

The background of the cover is a photograph of a woman in a black, off-the-shoulder, floor-length gown standing in the center of an ornate, wrought-iron gate. The gate is flanked by two stone pillars and is set against a backdrop of dense green foliage. A light-colored path leads towards the gate.

ANNE
BRONTË
LOKATORKA
WILDFELL HALL

Nigdy dotąd
niewydawana w Polsce
powieść Anne Brontë!

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANNE
BRONTË

LOKATORKA
WILDFELL HALL

przekład:
Magdalena Hume



Tytuł oryginału: The Tenant of Wildfell Hall

Copyright © 2012, MG

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-116-5

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Korekta: Michał Borun

Skład: Jacek Antoniuk

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.

Do Wielmożnego J. Halforda

Drogi Halfordzie,

Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, w wielce szczegółowy i zajmujący sposób opisałeś mi najbardziej znaczące wydarzenia ze swej młodości, potem żądając ode mnie, bym zrewanżował się tym samym. Nie będąc wówczas w nastroju do zwierzeń, odmówiłem, twierdząc, iż przeszłość moja pozbawiona jest wypadków wartych uwagi. Ty jednakże, choć temat rozmowy natychmiast zmieniłeś, mym wykrętom nie dałeś wiary, czego dowodami były dostyszalny w Twym głosie ton głębokiej urazy oraz cień, który zasnuwał Twoje oblicze przez pozostałą część naszego spotkania. I który – wnioskując z żalu i powściągliwości, jakimi od tamtej pory zdają się być podszyte Twoje listy – wciąż musi być na nim obecny.

Jakże Ci nie wstyd, stary druhu? Czyż nie powinieneś wspomnieć na tę długą i bliską zażyłość, która nas łączy i wszystkie te dowody przyjaźni i zaufania, którymi Cię obdarzałem, nie skarżąc się nigdy na swego rodzaju dystans i małomówność z Twej strony? Lecz być może w tym właśnie tkwi sedno – nie będąc z natury człowiekiem wylewnym, zwierzenia swe uznałeś za niebywałe świadectwo przyjaźni i przyznając sobie prawo do mojej wdzięczności, założyłeś, że bez chwili wahania pójdę za Twym przykładem.

Tak czy inaczej, nie chwyciłem za pióro po to, ażeby rzucać gromy na Twą głowę lub przepraszać za swe przewiny, ale – jeśli to możliwe – by za nie zadośćuczynić.

Mamy dziś nader deszczowy dzień. Rodzina moja bawi z wizytą poza domem i jestem sam w mej bibliotece, gdzie przeglądałem pożółkłe, stare listy i dokumenty, dumając nad minionymi dniami. Tym sposobem znalazłem się w nastroju odpowiednim ku temu, by zająć Cię opowieścią o mej przeszłości. Zdjąwszy dobrze ogrzane stopy z półki przy kominku, przysunąwszy się do stołu i nakreśliwszy powyższe słowa do mego oschłego, starego przyjaciela, za chwilę przedstawię mu zarys... nie, nie zarys – pełny i wierny obraz najważniejszych wydarzeń w mym życiu. Tych, które wyprzedziły w czasie moją znajomość z niejakim Jackiem Halfordem. Dopiero poznawszy je, będzie mógł on zarzucać mi niewdzięczność i chłód.

Wiem, jak bardzo cenisz sobie długie historie i jak wielką wagę przywiązujesz do szczegółów. Tych ostatnich nie będę Ci więc szczędził, jedyne ograniczenia natomiast stanowić będą moja cierpliwość i czas.

Pośród wspomnianych przeze mnie listów i dokumentów znajduje się mój wyblakły, stary dziennik, co odnotowuję tylko po to, aby uspokoić Cię, iż nie będę polegał wyłącznie na swej pamięci – choć tę mam dobrą. Zatem, od razu przystępując do rzeczy, oto Rozdział Pierwszy – jeden z wielu w mojej opowieści.

Rozdział I

Nowina

Trzeba nam się cofnąć do jesieni roku 1827.

Ojciec mój, jak wiadomo, był poniekąd szlachcicem na zagrodzie w hrabstwie X. i ja, na jego wyraźne życzenie, wstąpiłem w jego ślady. Nie nazbyt skwapliwie jednak, albowiem ambicja wzbudzała we mnie pragnienie wyższych celów, a próżność moja nakazywała mi myśleć, iż ignorując jej głos, zakopuję swój talent w ziemi i stawiam swoje światło pod korcem.^[1] Matka całą mocą starała się wzbudzić we mnie przekonanie, że zdolny jestem do czynów wspaniałych, niemniej dla ojca ambicja była najpewniejszą drogą wiodącą ku ruinie, a zmiana kojarzyła się mu jednoznacznie z zagładą. O moich pomysłach na poprawienie sytuacji mojej czy mych bliźnich słyszeć nie chciał słowa, zapewniając mnie, że wszystko to głupstwa, na łożu śmierci zaś zaklinał mnie, abym nie zbaczał z drogi obranej ongiś przez niego, a wcześniej przez jego ojca i by moją największą ambicją życiową było kroczyć przez życie uczciwie i bez rozglądania się na boki, i bym ojcowiznę przekazał swym dzieciom w stanie tak kwitnącym, w jakim ją dostaję.

„Trudno! Bądź co bądź, pracowity gospodarz rolny jest jednym z najbardziej wartościowych członków zbiorowości ludzkiej i jeśli zdolności swoje spożytkuję na uprawę ziemi oraz doskonalenie sztuki rolniczej w ogólności, przysłużę się tym nie tylko swym najbliższym krewnym, ale i w pewnym stopniu całej ludzkości. Moje życie tym samym nie będzie życiem daremnym”.

Takimi to myślami usiłowałem dodać sobie otuchy, kiedy w pewien zimny i deszczowy wieczór pod koniec października utrudzony wielce wracałem z pól do domu. Jednak to jaskrawoczerwony blask kominka rozświetlający okno bawialni podniósł mnie na duchu, a nie wszystkie owe mądrości i szlachetne postanowienia, do których formułowania zmuszałem swój umysł. Pamiętaj bowiem, iż byłem wówczas człowiekiem młodym, zaledwie dwudziestoczteroletnim i nie zdążyłem jeszcze osiąść nawet połowy tej władzy, którą mam obecnie nad swą duszą.

Przez próg owego błogosławnego sanktuarium nie ośmieliłem się przejść dopóty, dopóki nie zastąpiłem swych ubłoconych butów czystymi, a swego zgrzebnego surduta nie zamieniłem na przyzwoite okrycie – matka moja, pomimo całej swej dobroci, była pod tym względem nader wymagająca. Pnąc się na górę do mego pokoju, napotkałem na schodach ładną dziewczynę w wieku lat dziewiętnastu, o zdrowej, pulchnej figurze, okrągłej, bardzo rumianej twarzy okolonej lśniąco, gęstymi lokami i o małych, błyszczących oczkach. Nie muszę chyba dodawać, że była to moja siostra Rose. Wiem dobrze, że jest ona wciąż przystojną kobietą, w Twych oczach ani chybi nie mniej urzekającą niż w owym szczęśliwym dniu, w którym ujrzałeś ją po raz pierwszy. Naówczas nic nie zapowiadało, że za kilka lat

stanie się żoną kogoś, kto – choć dotąd mi jeszcze nieznany – przeznaczony mi był na przyjaciela bliższego nawet od niej samej. Bliższego również od tego źle wychowanego młodzieńca, który próbował mnie przewrócić, gdym schodził z powrotem na dół i który w zamian za swe zuchwalstwo otrzymał ode mnie dotkliwy cios w ciemię, nie ponosząc na tym jednakże żadnego uszczerbku, gdyż nie dosyć, że głowa jego była nieprzeciętnie twarda, to osłaniała ją na domiar tego gęsta czupryna rudawych, kręconych włosów, przez naszą matkę zwanych kasztanowatymi.

Wszedłszy do bawialni, zastaliśmy rzeczoną zacną damę usadowioną w fotelu przy kominku i pochłoniętą dzierganiem, któremu to zajęciu zwykła się poświęcać w czasie wolnym od innych czynności. Ogień w palenisku buchał wysokimi płomieniami, służąca dopiero co przyniosła tacę z podwieczorkiem, a Rose wyjmowała cukiernicę i blaszany pojemnik na herbatę z ciemnego, dębowego kredensu, który w panującym w bawialni nastrojowym półmroku lśnił niczym polerowany heban.

– A więc są już obaj! – zawołała matka, spoglądając na nas kolejno, ani na chwilę jednak nie przestając poruszać swymi zwinnymi palcami, w których trzymała połyskujące igły. – Zamknijcie drzwi i siądźcie przy kominku, a Rose tymczasem przygotuje herbatę. Musicie umierać z głodu. W międzyczasie opowiedzcie mi, jak upłynął wam dzień. Lubię wiedzieć, co porabiają moje dzieci.

– Ujeżdżałem dziś tego szarego żrebaka, co było zadaniem niełatwym. Pilnowałem też zaorywania ostatniego ścierniska pszenicznego, bo parobczakowi brakuje rozeznania. Potem zabrałem się za odsączanie położonych niżej łęgów.

– Dzielny chłopiec! A ty, Fergusie – co robiłeś?

– Zastawiałem sidła na borsuki – odpowiedział on, po czym rozpoczął długą relację na temat polowania, szczegółowo opisując waleczność wpierw borsuka, a potem psów, podczas gdy nasza matka, udając zainteresowanie, przyglądała się jego ożywionemu obliczu z zachwytem, który zdawał się mi nieadekwatny do sytuacji.

– Pora, byś zajął się czym innym, Fergusie – wtrąciłem, wykorzystując pierwszą przerwę w jego opowiadaniu.

– A czym *mógłbym* się zająć? – odparł. – Matka nie zgadza się, bym został marynarzem czy zaciągnął się do wojska, ale ja postanowiłem, że nie będę robił niczego innego – poza uprzykrzaniem się wam wszystkim, byście zechcieli się mnie za wszelką cenę pozbyć.

Matka uspokajająco pogłaskała sztywne pukle jego włosów, a on, siłąc się na to, by wydać się niepokieszonym, mruknął coś pod nosem. Rose już trzeci raz powtarzała swe nawoływania i usłuchawszy ich wreszcie, zajęliśmy nasze miejsca przy stole.

– Zaczynajcie jeść – powiedziała. – Ja tymczasem opowiem wam, jak *mnie* minął dzień. Otóż poszłam dziś z wizytą do Wilsonów i wielka szkoda, Gilbercie, że mi nie towarzyszyłeś, bo była tam Eliza Millward!

– No i cóż z tego?

– Och! Nic takiego... Tylko wydała mi się taką miłą, zabawną istotką i pomyślałam, że nie miałabym nic przeciwko temu, by kiedyś w przyszłości móc nazywać ją...

– Zamilknij, moja droga! Twój brat daleki jest od podobnych zamysłów! – szepnęła gwałtownie matka.

– Z niecierpliwością czekałam na chwilę, w której będę mogła zakomunikować wam pewną ważną, zasłyszaną tam nowinę – podjęła na nowo Rose. – Jak wszyscy wiecie, miesiąc temu w okolicy pojawiła się pogłoska, jakoby ktoś miał zamiar nająć Wildfell Hall i – kto by pomyślał! – faktycznie ktoś już tam mieszka. Od tygodnia! A myśmy nie mieli o tym pojęcia!

– Niemożliwe! – zawołała matka.

– Nonsens! – wykrzyknął Fergus.

– Ależ to prawda! Mieszka tam samotnie jakaś dama!

– Wielkie nieba! Kochana, przecież ten dwór to jedna ruina!

– Kilka pokoi przystosowano do zamieszkania. I nie licząc jednej starszej służącej, owa dama mieszka tam całkiem sama!

– No nie! To wszystko psuje! Już rodziła się we mnie nadzieja, że jest czarownicą – oświadczył Fergus, odkrawając sobie grubą na cal pajdę chleba.

– Głupstwa pleciesz, Fergusie. Ale czy mama nie zgodzi się ze mną, że to dziwne?

– Bardzo! Ledwie mogę w to uwierzyć!

– A jednak to prawda. Jane Wilson się z nią widziała. Poszła do Wildfell Hall wraz ze swoją matką, która, usłyszawszy, że w okolicy pojawił się ktoś obcy, naturalnie nie zagnałaby spokoju, póki by tej osoby nie poznała i nie dowiedziała się na jej temat wszystkiego, co się tylko da. A więc owa nieznajoma to niejaka pani Graham. Nosi żałobne szaty, choć bez czarnego welonu, i jest bardzo młoda – liczy sobie nie więcej niż dwadzieścia sześć wiosen. Podobno jest nad wyraz skryta! I choć Jane i jej matka robiły co mogły, by dowiedzieć się, kim jest i skąd przybyła, to na nic się to zdało. Nie wydobyły z niej nic, co rzuciłoby choć promień światła na jej przeszłość, jej sytuację obecną czy rodzinne powiązania. Przy tym była wobec nich ledwie grzeczna i pożegnała się z nimi z widoczną ulgą. Eliza Millward mówi, że jej ojciec ma zamiar niebawem złożyć tej młodej wdowie wizytę, by zaofiarować jej pomoc duszpasterską, której, jego zdaniem, musi ona potrzebować, bo choć wiadomo, że przyjechała w te strony na początku ubiegłego tygodnia, na niedzielnym nabożeństwie w kościele się nie pojawiła. I ona – Eliza, znaczy – będzie mu towarzyszyć i jest przeświadczona, że na pewno uda jej się czegoś o niej dowiedzieć. Dobrze wiesz, Gilbercie, że *Eliza* potrafi wszystko. I my również powinniśmy udać się do Wildfell Hall z wizytą, mamó. Przecież tak nakazuje dobre wychowanie.

– Oczywiście, moja droga. Biedactwo! Jakże musi się tam czuć samotna!

– Tylko idźcie tam jak najprędzej. I błagam, nie zapomnijcie opowiedzieć mi, ile cukru sypie do herbaty i jakiego rodzaju czepki nosi. I zapamiętajcie też wszystkie inne szczegóły, bo nie przeżyję, jeżeli ich wszystkich nie poznam – powiedział Fergus z kamiennym wyrazem twarzy.

Ale jeśli spodziewał się, że słowa jego zostaną przyjęte jako przebłysk porażającego dowcipu, srogo się zawiódł, gdyż nikt się nie roześmiał. Bynajmniej go to jednak nie

speszyło. A gdy, odgryzłszy kęs chleba, miał wlać sobie w usta łyk herbaty, rozbawienie zawładnęło nim z tak nieprzemogłą siłą, że zmuszony był zerwać się od stołu i dławiąc się jedzeniem wybiec z pokoju. Podczas gdy matka z siostrą dalej dyskutowały na temat wiadomych i niewiadomych dotyczących tajemniczej damy, ja w milczeniu pochłaniałem posiłek składający się z herbaty, szynki i grzanek, choć wyznać muszę, że kilkakrotnie zdarzyło się, iż uniósłszy filiżankę do ust, odstawiałem ją z powrotem na stół, nie śmiejąc skosztować jej zawartości, ażeby wypadek podobny do tego, który przydarzył się memu bratu nie przytrafił się i mnie.

Następnego dnia moje dwie krewne pospieszyły do Wildfell Hall złożyć ukłony pięknej samotnicy. I mimo że po powrocie z wizyty wiedziały niewiele więcej niż przedtem, matka uznała, że nie szkoda jej całego zachodu, bo chociaż wyprawa jej samej nie przyniosła żadnego pożytku, skorzystali na niej inni, co nawet lepsze.

– Udzieliłam pani Graham wielu cennych rad, których, jak mam nadzieję, nie zlekceważy. Była co prawda małomówna i zdawała się nieco dumna, ale nie sprawiała wrażenia osoby bezrozumnej. Choć nie wiem, gdzie się chowała przez całe życie, biedactwo, bo w pewnych kwestiach zdradzała godną ubolewania niewiedzę. I nie orientowała się nawet, że to powód do wstydu.

– W jakich kwestiach? – zapytałem.

– W rozmaitych domowych kwestiach, włączając w to te wszystkie subtelności sztuki kulinarnej, na których każda dama powinna się znać, bez względu na to, czy życie zmusi ją do zastosowania tej wiedzy w praktyce, czy też nie. Dałam jej kilka przydatnych wskazówek i parę znakomitych przepisów, których wartości jednak najwyraźniej nawet się nie domyślała, gdyż błagała mnie, abym nie robiła sobie kłopotu, bo żyje tak prosto i skromnie, że z pewnością nigdy nie będzie miała okazji z nich skorzystać. „Mniejsza o to, moja droga – rzekłam do niej. – Przekazuję pani wiedzę, którą powinna posiadać każda przyzwoita kobieta. A zresztą, chociaż jest pani w tej chwili samotna, nie oznacza to wcale, że zawsze tak będzie. Kiedyś była pani mężatką i prawdopodobnie – a raczej na pewno – znów pani nią będzie”. Na co ona odparła, rzekłabym, wyniośle: „Tutaj się pani myli, madame. Nigdy już nie wyjdę za mąż”. Zapewniłam ją jednak, że *ja*, żyjąc na tym świecie dłużej od niej, mam więcej doświadczenia w tych sprawach.

– Zatem to jakaś sentymentalna młoda wdowa – powiedziałem. – Przybyła tu w poszukiwaniu samotności, w której mogłaby ze spokojem opłakiwać swego męża. To nie będzie jednak trwało długo.

– Ja też tak uważam – wtrąciła Rose. – Nie zdawała się bynajmniej pogrążona w jakimś wielkim żalu. Do tego jest bardzo ładna, a nawet piękna. Gdybyś ją zobaczył, Gilbercie, powiedziałbyś, że jest skończenie piękna, choć niełatwo byłoby się dopatrzeć podobieństwa pomiędzy nią a Elizą Millward.

– Potrafię sobie wyobrazić twarz piękniejszą od tej, którą posiada Eliza, ale nie bardziej urokliwą. Zgodzę się, że brakuje jej nieco do doskonałości, jednak gdyby była nieskazitelnie piękna, stałaby się mniej interesująca.

– Zatem wolisz defekty Elizy od doskonałości innych kobiet?

– Otóż to...

– Och, Gilbercie drogi! Jakie głupstwa opowiadasz! Wiem, że naprawdę tak nie myślisz.

To wykluczone... – powiedziała matka. I by nie usłyszeć odpowiedzi, która drżała już na końcu mego języka, podniósłszy się, prędko wyszła z pokoju pod pozorem konieczności dopilnowania jakiejś domowej sprawy.

Rose tymczasem raczyła mnie dalszymi szczegółami na temat pani Graham. I choć jej słów słuchałem zaledwie jednym uchem, to powierzchowność nieznajomej, jej sposób bycia, elementy jej stroju i meble znajdujące się w zamieszkiwanych przez nią wnętrzach stanęły przed moimi oczami żywiej niż bym sobie tego życzył.

Następnej niedzieli wszyscy zadawali sobie pytanie, czy piękna nieznajoma, usłuchawszy napomnień pastora, pojawi się w kościele. Przyznać muszę, iż sam popatrzyłem z pewną ciekawością w stronę starej rodzinnej ławy należącej do Wildfell Hall, gdzie od lat nikt nie przyciskał swym ciężarem spłowiałych, szkarłatnych obić i gdzie ze ściany powyżej spoglądały chmurnie od dawien dawna nieodświeżane ponure tarcze herbowe.

Tam właśnie ujrzałem przyodzianą w czerń kobietą sylwetkę i skierowaną w moją stronę twarz, a w niej coś, co nakazało mi spojrzeć ponownie. Zwróciłem uwagę na lśniące, kruczoczarne włosy ułożone w pierścienie długich loków – wówczas dość niespotykany rodzaj uczesania, chociaż wdzięczny i twarzowy. Zauważyłem czystą i bladą cerę. Jej oczu nie dostrzegłem, bowiem opuszczone były na modlitewnik i osłaniały je firanki długich, czarnych rzęs. Jej brwi wznosiły się ponad powiekami wyrazistymi, mocno zarysowanymi łukami, czoło jej było wysokie i myślące, nos doskonale orli. Ogółem biorąc, wszystkie rysy jej twarzy były nienaganne. Jedynie policzki i oczodoły miała trochę zapadnięte, a usta – choć doskonale foremne – nieco zbyt wąskie i odrobinę zbyt mocno zaciśnięte. Doszedłszy do wniosku, że wyraz ich świadczyć musi o nieprzystępnym charakterze, rzekłem do siebie w duchu: „Wolę podziwiać cię z tej odległości, piękna damo, niż jako współmieszkaniec twego domu”.

Los zrządził, że w owej właśnie chwili ona podniosła głowę i oczy jej napotkały mój wbity w nią wzrok, którego nie uznałem za stosowne odwrócić. Kiedy przeniosła spojrzenie z powrotem na książeczkę do nabożeństwa, przez jej oblicze przebiegł pewien nieuchwytny wyraz tłumionej pogardy. Zdał mi się on niewymownie nieznośny. „Ma mnie za zuchwalca – pomyślałem. – Hm! Jeśli jednak uznam ją za wartą mego zachodu, wkrótce zmienię zdanie”.

Uzmysłowiwszy sobie naraz, iż znajduję się w świątyni, gdzie podobne rozważania są wielce niestosowne, przywołałem się do porządku. Jednakże nim uwagę swą skierowałem na nabożeństwo, rozejrzałem się dyskretnie wokół, ażeby przekonać się, czy nikt mnie nie obserwuje. Nie miałem się czego obawiać – oczy tych, którzy nie patrzyli w modlitewniki, zwrócone były właśnie na obcą damę, a pośród owych ciekawskich znajdowały się moja zacna matka wraz z moją siostrą, pani Wilson i jej córka, a nawet Eliza Millward, która zerkała ukradkiem na obiekt powszechnej ciekawości. Ta ostatnia niebawem przeniosła

spojrzenie na mnie i posławszy mi zalotny uśmiezek, zarumieniła się, po czym wstydliwie opuściła wzrok na swą książeczkę do nabożeństwa, usiłując uspokoić wzburzone rysy twarzy.

Znów przekraczałem granice przyzwoitości, lecz tym razem do porządku przywołało mnie nagłe szturchnięcie w żebra otrzymane od mego zadziornego brata. Na razie na zniewagę tę zareagować mogłem jedynie, przydeptując mu palce u nogi i z należytych rewanżem za wyrządzoną krzywdę trzeba mi było poczekać do chwili, w której mieliśmy znaleźć się poza kościołem.

Nim zakończę pisanie tego listu, Halfordzie, muszę opowiedzieć Ci o Elizie Millward. Otóż była ona młodszą córką pastora, a przy tym bardzo ujmującą istotką, do której żywiłem niemałą słabość. Z tej mojej słabości panna Millward zdawała sobie sprawę, aczkolwiek nigdy niczego nie dałem jej wprost do zrozumienia i nigdy też nie zamierzałem, bowiem znałem pogląd swej matki na tę kwestię. Jej zdaniem, w promieniu dwudziestu mil nie mieszkała ani jedna godna mnie panna i nieznośna była jej myśl, że mógłbym poślubić tę nic nieznaczącą dziewczynę, która, nie licząc innych licznych defektów, nie posiadała nawet dwudziestu funtów przy duszy. Eliza figurę miała jednocześnie smukłą i pulchną, twarz drobną i prawie tak okrągłą, jak moja siostra, podobną cerę, choć nie tak różaną, zadarty nos i wszystkie rysy twarzy w zasadzie nieregularne. Mówiąc pokrótce, była raczej urocza niż urodziwa. Sekret owego uroku tkwił w jej oczach. Miały one podłużny kształt, ciemnobrązowe, niemal czarne tęczówki oraz nieustannie zmieniający się wyraz, który zawsze jednak odznaczał się nadnaturalną, diaboliczną wręcz, figlarnością i nieprzepartym czarem. Ich właścicielka mówiła łagodnym, dziecinnym głosem, poruszała się miękko niczym kot i swym sposobem bycia również przypominała to przyjemne stworzenie, raz będąc swawolną i filuterną, a raz bojaźliwą i ostrożną.

Jej starsza o kilka lat siostra Mary miała wyższy wzrost, tęższą budowę ciała i była pospolitej urody cichą i rozsądną dziewczyną, która od czasu długiej i ostatniej choroby ich matki pełniła w domu rolę gospodyni. Cieszyła się zaufaniem i szacunkiem swego ojca, łąsiły się do niej wszystkie psy i koty, była uwielbiana przez dzieci i ubogich, natomiast przez wszystkich innych traktowana niczym powietrze.

Jeżeli zaś chodzi o ich ojca, wielbego Michaela Millwarda, to był on starszym, ociężałym dżentelmenem o wielkiej, kwadratowej twarzy o grubych rysach, chodzącym z masywną laską w dłoni i odziewającym swe wciąż mocarne kończyny w bryczesy i getry. Był to człowiek stałych zasad, silnych uprzedzeń i regularnych nawyków – nieznoszący sprzeciwu w żadnej postaci i żyjący w niezachwianym przeświadczeniu, że jego sądy są zawsze słuszne, a ci, którzy się z nimi nie zgadzają to godni pożałowania głupcy.

W dzieciństwie wzbudzał we mnie trwożliwy szacunek, bowiem choć wobec grzecznych przejawiał ojcowską dobroć, opowiadał się za surową dyscypliną i często srogo nas karcił za nasze młodzieńcze słabości i drobne przewinienia, a ilekroć nawiedzał dom naszych rodziców, żądał, abyśmy, stając przed nim, recytowali Wyznanie Wiary albo jeden z hymnów, lub – co gorsza – odpowiadali na pytania dotyczące jego ostatniego kazania,

którego nigdy nie potrafiliśmy zapamiętać. Niekiedy ów czcigodny dżentelmen strofował naszą rodzicielkę za pobłażliwość, jaką okazywała swym synom, co okrutnie raniło jej matczyne uczucia. I choć darzyła go wielkim szacunkiem, pewnego razu usłyszałem, jak woła:

– Dobry Boże, gdybyś był dał mu syna, nie ofiarowywałby teraz innym swych rad tak skwapliwie i wiedziałby, jakim dopustem jest wychowywanie dwóch chłopców.

Wielebny z godną pochwałą troską dbał o swe zdrowie cielesne – wcześniej udawał się na spoczynek, przed śniadaniem zawsze wychodził na spacer, ubierał się ciepło i chociaż natura wyposażyła go w solidną parę płuc i tubalny głos, słynął z tego, że nie wygłaszał kazania, dopóki nie przełknął uprzednio surowego jajka. Był nad wyraz wybredny pod względem tego, co pił i jadł, acz niczego bynajmniej sobie nie odmawiał. Posiadając zaś swoiste upodobania żywieniowe: pogardzając wielce herbatą, chwając sobie za to zalety piwa, jajecznicy na bekonie, szynek, suszonej wołowiny i innych ciężkostrawnych mięs i uznając je za odpowiednie dla swego układu pokarmowego, uważał je za zdrowe dla wszystkich innych i z całą stanowczością zalecał je chorym. A gdy zachwalana przez niego kuracja nie przynosiła im spodziewanych korzyści, oskarżał ich o brak wytrwałości lub posądzał o wymysły.

Jeszcze kilka słów na temat dwóch osób, o których wspomniałem wcześniej, a potem zakończę pisać ten długi list. Mam tutaj na myśli panią Wilson i jej córkę. Ta pierwsza była wdową po bogatym farmerze, do tego kobietą rozmiłowaną w plotkach, o zaściankowej mentalności i charakterze niezasługującym na uwagę. Miała ona dwóch synów: Roberta i Richarda. Robert, nieprzyjemny w obyciu grubianin, tak jak ojciec trudnił się uprawą ziemi. Richard tymczasem był nieśmiałym i pracowitym młodzieńcem, który z pomocą pastora studiował klasyków i przygotowywał się do wstąpienia na wyższą uczelnię dla duchownych.

Siostra tych dwóch, Jane, posiadała pewne zdolności, ale jeszcze większe ambicje. Na własne życzenie kształcona była w szkole z internatem, gdzie nabrała ogłady i zatraciła zupełnie prowincjonalny akcent. Swoimi osiągnięciami przewyższała wszystkich członków swej rodziny, a nawet córki pastora. Przy tym powszechnie uważana była za piękność, aczkolwiek mnie w poczet swych wielbicieli zaszeregować nie mogła. Liczyła sobie wówczas lat około dwudziestu sześciu, była wysoka i szczupła, a włosy jej nie były ani kasztanowate, ani rdzawe, lecz zdecydowanie jaskrawo rude. Cerę miała nadzwyczaj czystą i promienną, małą główkę osadzoną na długiej szyi, zgrabny, choć bardzo krótki podbródek, usta wąskie i czerwone, spojrzenie orzechowych oczu bystre i przenikliwe, jakkolwiek całkiem pozbawione poezji czy uczucia. Wielu wielbicieli z okolicy starało się o jej rękę, mimo że jej wyszukanemu gustowi i wygórowanym ambicjom sprostać mógł tylko dżentelmen zamożny i wysoko urodzony. Ostatnimi czasy pojawił się człowiek, który okazywał jej niewątpliwe względy i wobec którego serca, nazwiska i majątku, jak szeptano, Jane miała poważne zamiary. Był to niejaki pan Lawrence – młody ziemianin, którego rodzina, nim przeniosła się do przestronniejszej rezydencji na terenie sąsiedniej parafii,

ongiś zamieszkiwała Wildfell Hall.

Tymczasem pożegnam się już z Tobą, Halfordzie. Proszę, uznaj ten list za pierwszą ratę mojego długu i jeśli moneta, którą go spłacam przypadła Ci do gustu, nie omieszkaj mnie o tym powiadomić. Jeżeli zaś, zamiast napełniać swą sakiewkę tak nieporęcznym pieniądzem, wolisz, bym pozostał Twym dłużnikiem, ja wybaczę Ci ten brak dobrego smaku i skarb swój z chęcią zatrzymam dla siebie.

Twój oddany przyjaciel,

Gilbert Markham

Rozdział II

Rozmowa

Z radością odkryłem, mój najdroższy przyjacielu, że cień niezadowolenia, który unosił się nad Twą głową już się rozproszył i światło Twego błogosławieństwa sprzyja mi na nowo, albowiem życzysz sobie, bym kontynuował zaczęłą opowieść. Bez zbędnej straty czasu przechodzę zatem do rzeczy.

Przypominam sobie, że ostatnim dniem, o którym wspomniałem w swym poprzednim liście była pewna niedziela pod koniec października roku 1827. W następny wtorek, zabierając ze sobą psa i fuzję, poszedłem poszukać na terytorium naszego Linden-Car dzikiej zwierzyny. Nie mogąc wypatrzeć jednak żadnej zdobyczy, postanowiłem skierować strzelbę na jastrzębie i czarne wrony, których grabieżcze zwyczaje, jak podejrzewałem, były przyczyną mego niepowodzenia w łowach. Z myślą o tym, oddalając się od uczęszczanych szlaków, zadrzewionych dolin oraz łąk, podążyłem w górę stromego zbocza Wildfell – najdzikszego i najwyższego wzniesienia w naszej okolicy. W miarę jak piąłem się wzwyż, żywopłoty i drzewa stawały się coraz bardziej skarłowaciałe i coraz bardziej nieliczne, aż wreszcie te pierwsze całkiem ustąpiły miejsca prymitywnym, kamiennym ogrodzeniom, które tu i ówdzie pokrywała zieleń bluszczy i mchu, te drugie zaś usunęły się z drogi modrzewiom, sosnom i pojedynczym krzewom. Tutejsze nierówne, skaliste pola w ogóle nie nadawały się pod uprawę i w większości przeznaczono je na pastwiska dla owiec i bydła. Gleba była tu słaba i jałowa i z pokrytych trawą pagórków gdzieś wyłaniały się fragmenty szarej skały. Pod murami rosły krzewinki czarnej borówki oraz wrzosu, podczas gdy wszędzie indziej pośród nielicznego zieleńca niepodzielnym panowaniem cieszyły się krostawiec i sitowie. Nic tutaj nie było *moje*.

Niemal na samym szczycie wzgórza, w odległości około dwóch mil od Linden-Car, wznosiło się Wildfell Hall – wybudowany z ciemnego kamienia wiekowy dwór elżbietański. Ta wielce malownicza i majestatyczna z wyglądu siedziba wewnątrz bez wątpienia musiała być niezwykle mroczna i zimna. Kratowe okna były niewielkie, wywietrzniki w widoczny sposób nadgryzł żąb czasu, a całą budowlę przed deszczem i wiatrem chroniła jedynie kępa sosen, sama po części nadwątlona przez burze i prezentująca się równie surowo i złowrogo, co sam dwór. Powyżej rozciągało się kilka opustoszałych pól, które biegły aż po pokryty dywanem brązowego teraz wrzosu wierzchołek wzgórza. Przed dworem natomiast roztaczał się okolony kamiennym murem ogród. Wejście prowadziło poprzez żelazną bramę o słupach zwieńczonych wielkimi kulami z szarego granitu, podobnymi do tych, które zdobiły dach i szczyty budynku. Ogród niegdyś wypełniały mało wymagające i odporne na kaprysy pogody rośliny, a także drzewa i krzewy, które łatwo poddawały się nożycom ogrodnika i gotowe były przybierać każdy wymyślony przezeń kształt. Teraz

jednak miejsce to, od wielu lat opuszczone i nieporządkowane przez nikogo, pozostawione na pastwę chwastów i traw, mrozu i wiatru oraz deszczu i suszy przedstawiało sobą doprawdy bardzo szczególny widok. Ciągące się wzdłuż głównej ścieżki żywopłoty były w dwóch trzecich uschłe, a to, co z nich pozostało, rozrosło się na wszystkie strony. Stary bukszpanowy łabędź, który przysiadł obok skrobaka do butów zatracił połowę swego ciała. Uformowane z wawrzynu zamkowe wieże sterczące na środku ogrodu, olbrzymi wojownik stojący przy jednym z boków bramy i lew strzegący drugiego – wszystkie te twory przybrały tak osobliwe kształty, że nie przypominały już żadnych niebiańskich czy ziemskich istot i dla mej młodej wyobraźni jawiły się niczym stworzenia podobne do goblinów. Doskonale współgrało to zresztą z upiornymi legendami, które w dzieciństwie na temat dworu i jego minionych mieszkańców opowiadała nam nasza stara piastunka.

Ustrzeliwszy już jastrzębia i dwie wrony, postanowiłem poniechać dalszych łowów i powędrować dalej, ażeby przyjrzeć się budynkowi bliżej i zobaczyć, jakie zmiany poczyniła w jego otoczeniu jego nowa mieszkanka. Nie chcąc jednakże podchodzić zbyt blisko, zatrzymałem się przy ogrodowym murze. Rozejrzawszy się wokół, nie stwierdziłem żadnych zmian, jedynie wybite okna i zniszczony dach w jednym ze skrzydeł dworu najwyraźniej zostały zreperowane, a z komina wydobywały się kłęby dymu.

Gdym tak stał zadumany, wsparty na swej fuzji i zapatrzony w ciemne szczyty budowli, uszu mych dobiegł nieznaczny szelest dochodzący z ogrodu. Za chwilę też ujrzałem maleńką rączkę wzniesioną ponad murem, która chwyciła się kurczowo najwyższego z kamieni i zaraz potem pojawiła się druga rączka, a za nią mała, biała główka zwieńczona koroną jasnobrązowych włosów, pod którą błyszczała para ciemnoniebieskich oczek i lśniła niczym kość słoniowa górna część drobnego noska.

Owe oczka mnie nie zauważyły, lecz roziskrzyły się radośnie dostrzegłszy Sancho – mojego pięknego, czarno-białego setera, który biegał tam i z powrotem po polu z nosem przy ziemi. Nieznana mi istotka zawołała na psa, na co ten zatrzymał się, uniósł pysk w górę i zamerdał ogonem, na żadne dalsze uprzejmości jednak się nie decydując. Dziecko (mały chłopiec w wieku lat około pięciu) wdrapało się na mur i zawołało ponownie, a potem jeszcze raz. Widząc bezowocność swych zabiegów, postanowiło zapewne, że skoro góra nie chce przyjść do niego, tak jak Mahomet, samo przyjdzie do góry. Pech sprawił tymczasem, że próbując przedostać się na drugą stronę muru, zaplątało się w gąszczu gałęzi starego czereśniowego drzewa rosnącego tuż obok i zahaczyło sukienką o jeden z jego chropawych, wykrzywionych konarów. Podejmując zaś próbę wyswobodzenia się z zarośli, pośliznęło się i runęło w dół – nie na ziemię jednak, zawisło bowiem na swym ubranku. Przez chwilę trwała cicha walka, po czym rozległ się przeszywający krzyk. Na co ja, rzuciwszy natychmiast strzelbę na ziemię, chwyciłem chłopca w ramiona.

Otarłszy brzegiem sukienki jego zapłakane oczy, zapewniłem go, że jest cały i zdrow i na pociechę przywołałem do siebie psa. Kiedy dziecko kładło swą maleńką rączkę na

karku zwierzęcia i zaczynało już uśmiechać się przez łyzy, usłyszałem za sobą trzaśnięcie żelaznej bramy i szelest kobiecej sukni. Oto bowiem w stronę moją – z nieosłoniętą szyją i czarnymi lokami rozwianymi przez wiatr – ruszyła pani Graham.

– Proszę oddać mi to dziecko! – powiedziała głosem niewiele donośniejszym od szeptu, którego ton jednakże przejmował gwałtownością. Wydarła chłopca z mych objęć, jak gdyby ręce moje nasączone były jaką straszliwą trucizną i przystanąła, w jednej dłoni ściskając jego małą rączkę, drugą kładąc na jego ramieniu i wbijając we mnie błyszczące spojrzenie swych wielkich, ciemnych oczu – blada, bez tchu i drżąca ze zdenerwowania.

– Nie robiłem temu dziecku żadnej krzywdy, pani – rzekłem, nie mogąc się zdecydować, czemu się poddać: swemu zdumieniu czy gniewowi. – Spadł z tamtego muru i szczęśliwie udało mi się go w porę złapać i zapobiec Bóg jeden wie jakiej tragedii.

Promień światła rozsądku zdawał się docierać do jej zasnutej chmurami duszy i delikatny rumieniec napłynął na jej policzek.

– Proszę mi wybaczyć, sir – wyjąknęła wreszcie. – Nie znam pana i wyobraziłam sobie... Pochyliła się, by ucałować dziecko.

– Wyobraziła sobie pani, że próbuję porwać jej syna?

Głaszcząc go po główce, roześmiała się z zakłopotaniem.

– Nie wiedziałam, że próbował przejść przez mur – odrzekła, po czym dodała pospiesznie: – Mam przyjemność rozmawiać z panem Markhamem, prawda?

Skłoniwszy się, ośmieliłem się zapytać, jak mnie rozpoznała.

– Pańska siostra złożyła nam kilka dni temu wizytę. Razem z panią Markham.

– Zatem podobieństwo jest tak uderzające? – zapytałem z pewnym zaskoczeniem, a myśl o takiej możliwości nie pochlebiła mi tak, jak powinna.

– Niejakie podobieństwo istnieje, jak sądzę – odpowiedziała z pewnym niezdecydowaniem i przyglądając się mojej twarzy. – Poza tym zdaje mi się, że widziałam pana w niedzielę w kościele.

Uśmiechnąłem się. Ten rodzaj uśmiechu musiał przywołać w niej jakieś wyjątkowo nieprzyjemne wspomnienia, albowiem nagle twarz jej przybrała ów dumny, lodowaty wyraz, który zdał się mi tak bardzo nieznośny w kościele.

– Do widzenia, panie Markham – powiedziała i bez dalszego słowa czy spojrzenia wycofała się wraz ze swym dzieckiem do ogrodu.

Ja natomiast skierowałem się w drogę powrotną do domu – pełen gniewu i rozżalenia, choć nie potrafiłbym podać przyczyny owych uczuć.

Do domu wstąpiłem tylko po to, aby zostawić tam fuzję i róg z prochem. A po wydaniu kilku niezbędnych poleceń jednemu z parobków udałem się na plebanię poszukać w towarzystwie Elizy Millward pocieszenia dla mej duszy i ukojenia dla mego wzburzonego nastroju.

Jak zwykle, zastałem ją pochyloną nad jakimś haftem, jej siostra tymczasem, siedząc z kotem na kolanach w kącie przy kominku, zajęta była cerowaniem sterty pończoch. Tuż przed swym wejściem do pokoju usłyszałem gorączkowe słowa Elizy:

– Mary, Mary! Odłóż to!

– Oczywiście, że nie – brzmiała wygłoszona niewzruszonym głosem odpowiedź.

Moje pojawienie się ukróciło dalszą dyskusję.

– Doprawdy, ma pan *takiego* pecha, panie Markham! – zauważyła młodsza z sióstr, posyłając mi jedno ze swoich figlarnych spojrzeń. – Papa właśnie wyszedł i na pewno nie wróci nim minie godzina!

– Nic nie szkodzi. Wytrzymam kilka chwil w towarzystwie jego córek, jeśli mi tylko na to pozwolą – odrzekłem i nie czekając na zaproszenie, przysunąłem krzesło do kominka i usadowiłem się w nim.

– Jeśli obieca pan być grzecznym i zabawnym, nie będziemy protestować.

– Dając mi swoje przyzwolenie, proszę nie stawiać mi żadnych warunków, gdyż nie przyszedłem tu, by ofiarowywać przyjemność, lecz by jej poszukać – odparłem.

Pomyślałem jednak, że należałoby się zdobyć na niewielki wysiłek, by uczynić swoją obecność miłą. Zabiegi moje najwyraźniej zakończyły się całkiem pomyślnie, bowiem panna Eliza nigdy nie była w lepszym humorze i zaiste zdawało się, że oboje jednakowo jesteśmy zadowoleni z własnego towarzystwa i naszej pogodnej i ożywionej, acz dość powierzchownej rozmowy. Okoliczność ta niewiele różniła się od spotkania *tête-à-tête*, gdyż panna Millward nie odzywała się w ogóle. Raz jedynie poprosiła siostrę o podniesienie kłębka bawełny, który zatoczył się był pod stół. To jednak ja go jej wręczyłem.

– Dziękuję, panie Markham – powiedziała starsza panna Millward. – Sama bym to zrobiła, ale nie chciałam przeszkadzać kotu.

– Mary, moja droga, w oczach pana Markhama to żadne usprawiedliwienie – rzekła Eliza. – Ośmielę się stwierdzić, że nie znosi on kotów tak serdecznie, jak starych panien. Podobnie jak wszyscy inni dżentelmeni, prawda, panie Markham?

– Moim zdaniem to naturalne, że przedstawiciele niegodziwej płci brzydkiej nie lubią tych stworzeń – odparłem. – Dlatego, że wy, panie, obdarowujecie je tak wieloma pieścizotami.

– Niechże Bóg pobłogosławi te nasze małe skarby – zawołała Eliza w nagłym przypiływie uniesienia i odwróciwszy się, obsypała ulubieńca swej siostry gradem pocałunków.

– Przestań, Elizo – nieco burkliwie powiedziała panna Millward.

Na mnie szybko jednakże przyszedł czas. Już spóźniony byłem na podwieczorek, a matka nasza stanowczo wymagała od nas punktualności. Tymczasem moja piękna znajoma wyraźnie nie miała ochoty się ze mną żegnać. Kiedy się rozstawaliśmy, delikatnie uściśnąłem jej drobną rączkę, za co podziękowała mi jednym ze swoich najśłodzych uśmiechów i jednym ze swych najbardziej czarownych spojrzeń. Do domu wróciłem bardzo szczęśliwy – z sercem przepełnionym zadowoleniem z siebie i wezbranym miłością do Elizy.

Rozdział III

Kontrowersja

Dwa dni potem pani Graham zaszła do Linden-Car – wbrew oczekiwaniu Rose, przekonanej, że tajemnicza lokatorka Wildfell Hall całkowicie zlekceważy powszechnie obowiązujące normy cywilizowanego życia. Z tą opinią zgadzali się Wilsonowie, jako że ich wizyta złożona pani Graham, tak jak i wizyta Millwardów, nie została jak dotąd odwzajemniona. Powód owego zaniedbania został wyjaśniony teraz, aczkolwiek zdaniem Rose w sposób niewystarczająco zadowalający. Kiedy nasza matka wyraziła zdumienie, że pani Graham przyprowadziła ze sobą dziecko i że dało ono radę przejść tak długą drogę, tamta odpowiedziała:

– To dla niego zaiste długi spacer, ale nie miałam wyjścia. Musiałam zabrać go ze sobą lub całkiem zrezygnować z wizyty, gdyż nigdy nie zostawiam go samego. I chciałabym panią prosić, pani Markham, o wytłumaczenie mnie przed państwem Millward i państwem Wilson, bo obawiam się, że nie będę mogła pozwolić sobie na przyjemność odwiedzenia ich dopóty, dopóki mój mały Arthur nie będzie w stanie mi towarzyszyć.

– Ależ ma pani służącą – zauważyła Rose. – Nie mogłaby pani zostawić go pod jej opieką?

– Ma dosyć swoich obowiązków, a poza tym jest już zbyt stara, by biegać za dzieckiem. Arthur jest żywym chłopcem i nie mogę odpowiedzialnością za niego obarczać kobiety w podeszłym wieku.

– Ale do kościoła przyszła pani przecież sama.

– Tak, to prawda. Jednak nie zostawiłabym go w domu z żadnego innego powodu. I w przyszłości, jeśli nie uda mi się znaleźć sposobu na to, by zabierać go ze sobą, będę musiała zrezygnować z uczestniczenia we mszy.

– Doprawdy jest aż tak psotliwy? – zapytała matka, nader zaskoczona.

– Nie – odrzekła ze smutnym uśmiechem dama, głaszcząc pukle włosów swego syna, który siedział na niskim stołku u jej stóp. – Ale to mój jedyny skarb. A ja jestem jego jedynym kompanem, więc nie lubimy się rozstawać.

– Ależ moja droga, przecież to nadopiekuńczość – rzekła moja prostolinijna rodzicielka. – Powinna pani spróbować pohamować te niemądre skłonności, ażeby uchronić syna przed zepsuciem, a siebie przed śmiesznością.

– *Zepsuciem*, pani Markham?

– Tak. To przecież rozpieszczanie dziecka. Nawet w *obecnym* wieku nie powinien nieustannie trzymać się maminej spódnicy. Powinien nauczyć się tego wstydu.

– Pani Markham, proszę, by nie mówiła pani takich rzeczy, przynajmniej w jego obecności. Mam nadzieję, że mój syn nigdy nie będzie wstydział się kochać swojej matki! –

odparła pani Graham z żarem w głosie, który wprawił w popłoch wszystkich zebranych.

Matka podjęła próbę udobruchania jej, wyjaśniając, co miała na myśli, a potem, zdając się sądzić, iż dość już zostało powiedziane w tej kwestii, sprowadziła rozmowę na inne tory.

„Tak, jak myślałem – powiedziałem do siebie w duchu. – Temperament tej damy nie należy do łagodnych, mimo jej czarującej, bladej twarzy i wysokiego czoła, na którym, jak się zdaje, inteligencja i cierpienie jednakowo odcisnęły swoje piętno”.

Przez cały ten czas siedziałem przy stole po przeciwległej stronie pomieszczenia, pozornie pochłonięty lekturą periodyku rolniczego, który, jak się złożyło, czytałem w chwili przybycia naszego gościa. Nie chcąc wydać się natarczywie uprzejmym, wejście pani Graham uhonorowałem jedynie skinieniem głowy, po czym wróciłem do przerwanego zajęcia.

Krótką chwilę później poczułem jednak, że ktoś zbliża się do mnie lekkim acz powolnym, pełnym niepewności krokiem. Był to mały Arthur przyciągany niczym magnes przez mego psa Sancho, który leżał u mych stóp. Podniósłszy wzrok, ujrzałem go stojącego w odległości około dwóch jardów z wyrazistymi, niebieskimi oczami wpatrzonymi tęsknie w czworonoga. Paraliżował go nie strach przed zwierzęciem, lecz lęk przed jego panem. Niewielka zachęta z mojej strony skłoniła go jednakże do zbliżenia się. Chłopiec bowiem, choć nieśmiały, nie był nietowarzyski i po chwili już klęczał na dywanie, obejmując rączkami szyję Sancho, a minutę lub dwie później siedział na mym kolanie, z zainteresowaniem przyglądając się rozmaitym odmianom koni, bydła i trzody chlewnej ukazany w rozłożonym przede mną czasopiśmie. Od czasu do czasu zerkalem na jego matkę, by sprawdzić, jak przyjmuje tę nowopowstałą zażyłość. W wyrazie jej oczu dostrzegłem, że z jakiegoś powodu wzbudziła w niej niepokój.

– Arthurze, przyjdź tutaj – przemówiła wreszcie. – Przeszkadzasz panu Markhamowi w czytaniu.

– Ależ bynajmniej, pani Graham. Proszę pozwolić mu zostać. Jest mi równie miło, jak jemu – poprosiłem.

Mimo to ona skinieniem dłoni milcząco przywołała dziecko do swego boku.

– Nie, mam – powiedział chłopiec. – Pozwól mi najpierw popatrzeć na te obrazki, a potem przyjdę i opowiem ci o nich.

– W poniedziałek piątego listopada będziemy podejmować niewielką grupę gości – rzekła moja matka. – I mam nadzieję, że przyjmie pani zaproszenie, pani Graham. Będzie pani mogła zabrać synka ze sobą, na pewno uda nam się go czymś zabawić. I będzie miała pani okazję sama przeprosić Millwardów i Wilsonów. Spodziewamy się ich obecności.

– Dziękuję, ale nie mam zwyczaju bywać na przyjęciach.

– Och, ależ to będzie tylko małe spotkanie towarzyskie. Wśród zaproszonych są jedynie Millwardowie i Wilsonowie, z którymi w większości już się pani zaznajomiła. A także pan Lawrence – to pani gospodarz i powinna go pani poznać.

– Poniekąd zawarłam już z nim znajomość. Tym razem musi mi pani wybaczyć. Wieczory

są obecnie ciemne i wilgotne i obawiam się, że Arthur jest zbyt delikatnego zdrowia. Przyjemność skorzystania z pani gościnności musimy odłożyć do czasu, gdy powrócą dłuższe dni i cieplejsze noce.

Rose tymczasem, wyjąwszy z kredensu na polecenie matki karafkę z winem, kieliszki oraz ciasto, postawiła je należycie na stole. Obydwoje goście poczęstowali się ciastem, kategorycznie wzbraniając się jednak przed skosztowaniem wina, pomimo usilnych namów pani domu. Mały Arthur zgoła wzdrygnął się na widok owego rubinowego nektaru, jak gdyby w przerażeniu czy obrzydzeniu, a zachęcany do posmakowania go gotów był się rozpłakać.

– Nie przejmuj się, Arthurze – powiedziała jego mama. – Pani Markham sądzi, że wino dobrze ci zrobi po długim spacerze, ale nie będzie cię zmuszać do wypicia go. On nie znosi samego widoku wina, a jego zapach przyprawia go o mdłości – dodała. – Kiedy chorował, zwykła byłam zmuszać go do przełknięcia odrobiny wina lub wody ze spirytusem w charakterze lekarstwa i zaiste zrobiłam co w mej mocy, by znienawidził alkohol.

Wszyscy obecni, z wyjątkiem młodej wdowy i jej syna, roześmiali się.

– Och, pani Graham! – rzekła moja matka, ocierając łzy rozbawienia. – Och, doprawdy zdumiewa mnie pani. Sądziłam, że jest pani rozsądniejsza. To biedne dziecko całe życie będzie miało mleko pod nosem! Proszę pomyśleć, na jakiego człowieka wyrośnie, jeśli z takim uporem...

– Uważam, że to doskonały plan – przerwała pani Graham z niewzruszonym spokojem. – W ten sposób mam nadzieję ocalić go przed przynajmniej jednym upadającym nałogiem. I żałuję, że nie mogę go tak samo zniechęcić go do wszystkich innych.

– Ależ w ten sposób nie wpoi mu pani zasad moralnych – wtrąciłem się. – Bo cóż to takiego moralność, pani Graham? Czy to chęć opierania się pokusom, czy też brak pokus, którym można byłoby się oprzeć? Czy silnym jest ten, który przewyciężając wielkie trudności, dokonuje zadziwiających czynów, choć robiąc to z wielkim wysiłkiem i narażając się na zmęczenie, czy ten, który spędza cały dzień, siedząc w swym fotelu, przegrzebując tylko od czasu do czasu żar w kominku i wkładając sobie jedzenie do ust? Jeśli pragnie pani, by syn szedł przez świat honorowo, nie wolno jej uprzętać kamieni spod jego nóg, lecz musi go nauczyć twardo je pokonywać. I, zamiast prowadzić go za rękę, musi pani pozwolić mu iść samodzielnie.

– Dopóki nie będzie miał sił iść samodzielnie, panie Markham, będę go prowadzić. I usunę z jego drogi tak wiele kamieni, ile zdołam, a pozostałe nauczę *omijać* lub – jak pan powiada – twardo pokonywać. Bowiem nawet kiedy zrobię wszystko co w mojej mocy, wciąż będzie stało przed nim całe mnóstwo przeszkód wymagających od niego zręczności, siły i roztropności. Łatwo jest mówić o ćwiczeniu charakteru, ale w obliczu tylu ludzi, którzy ulegli pokusie, dlaczego miałabym mieć pewność, że mój syn okaże się wyjątkiem? Dlaczego nie miałabym przygotowywać się na najgorsze? I jak mogę mieć pewność, że mój syn nie okaże się taki, jak jego... jak reszta ludzkości?

– Ma pani onas wszystkich bardzo pochlebne zdanie – zauważyłem.

– Na *wasz* temat nic nie wiem. Mówię o tych, których znam. I kiedy widzę, że cała rasa ludzka (z kilkoma rzadkimi wyjątkami), idąc ścieżką życia, potyka się, wpada w każdą możliwą pułapkę i łamie sobie kończyny na każdej przeszkodzie stojącej na drodze, czyż nie powinnam użyć wszelkich dostępnych mi środków, by zapewnić swojemu dziecku gładszą i bezpieczniejszą drogę?

– Jednak najbezpieczniej byłoby zahartować je wobec czyhających na nie pokus, a nie usuwać je z jego drogi.

– Uczynię jedno i drugie, panie Markham. Mnie samej to, co świat nazywa złem nigdy nie jawiło się zachęcająco, a jednak byłam poddawana próbom, które wymagały ode mnie najwyższej czujności i siły. Wierzę, że wszyscy, którzy pragną dobra wiedzą, co mam na myśli.

– Oczywiście – powiedziała moja matka, chyba nie do końca jednak pojmując tok rozumowania pani Graham. – Ale jest pani kobietą. I, moja droga pani, proszę pozwolić mi przestrzec ją przed błędem, rzekłabym – fatalnym: proszę nie obarczać się zadaniem samodzielnego wychowywania tego chłopca. Ponieważ jest pani bystra i posiada pewną wiedzę, może jej się wydawać, że się jej powie. Lecz prawda jest taka, że jeśli dalej będzie kroczyć tą drogą, proszę mi wierzyć, srogo tego pożałuje, kiedy będzie już za późno.

– Rozumiem więc, że mam go posłać do szkoły, gdzie nauczy się gardzić uczuciem swej matki i straci cały do niej szacunek! – rzekła dama, uśmiechając się gorzko.

– Och, nie! Ale to trzymanie go w domu, chuchanie na niego i zaspokajanie wszystkich jego kaprysów nauczy go gardzić swoją matką.

– W tej kwestii doskonale się z panią zgadzam, pani Markham. Daleka jestem od tego, by wychowywać go w tak karygodny sposób.

– Lecz przecież, traktując go jak dziewczynkę, rozpieści go pani i uczyni z niego prawdziwego maminsynka, cokolwiek pani sobie na ten temat myśli. Poproszę pana Millwarda, aby z panią o tym porozmawiał. On opowie pani o możliwych konsekwencjach takiego wychowania i udzieli jej wszelkich potrzebnych rad. Nie mam żadnych wątpliwości, że uda się mu przekonać panią w minutę.

– Nie ma potrzeby fatygować pastora – powiedziała pani Graham, spoglądając na mnie. Podejrzewam, że na mej twarzy pojawił się uśmiech wywołany bezgraniczną wiarą matki w tego zacnego dżentelmena. – Pan Markham zdaje się sądzić, że posiada dar przekonywania niemniejszy od pana Millwarda. A zatem, panie Markam, pan, który utrzymuje, że nie powinno się dziecka osłaniać przed złem, lecz pozwolić mu toczyć z nim bitwę samotnie i bez niczyjego wsparcia – że zamiast uczyć je o pułapkach, które zastawia na nas życie, należy je bez wahania w nie pchać – i że powinno się szukać dla niego niebezpieczeństw i pokus, by ćwiczyło na nich swój charakter – czy pan...

– Proszę wybaczyć, pani Graham, ale mówi pani za szybko. Jak dotąd nie powiedziałem, że powinno się chłopca pchać w pułapki zastawiane przez życie czy rozmyślnie szukać dla niego pokus. Twierdzę tylko, że mądrzej jest wyposażyć swego wojownika w broń i zbroję

niż próbować osłabić wroga. Czy z hodowanej w oranżerii sadzonki dębu, pielęgnowanej pieczołowicie każdego dnia i osłanianej przed każdym podmuchem wiatru, wyrosłoby odporne na mróz drzewo? Takie, jak to stojące na zboczu góry, wystawione na działanie wszystkich żywiołów?

– Przyznaję panu rację. Ale czy użyłby pan tego samego argumentu, gdyby chodziło o dziewczynkę?

– Naturalnie, że nie.

– Powiedziała by pan, że należy się nią opiekować tak troskliwie, jak rośliną cieplarnianą – uczyć ją lgnąć do innych w poszukiwaniu rad i wsparcia i chronić ją przed najmniejszym kontaktem ze złem. Czy byłby pan tak dobry i wyjaśnił mi, dlaczego w jej przypadku zachowałby się pan inaczej? Czy to dlatego, że dziewczynki nie mają charakteru?

– Bynajmniej.

– Ale twierdzi pan, że to pokusy ćwiczą charakter. Z drugiej strony jednak uważa pan, że kobiety nie powinno się na nie narażać i że nie należy jej zanadto zaznajamiać ze złem. A więc pańskim zdaniem jest ona z natury tak niemoralna lub bezrozumna, że nie będzie umiała przeciwstawić się pokusie. I póki utrzymywana jest w niewiedzy i zamknięciu, pozostanie czysta i niewinna, ale ponieważ pozbawiona jest prawdziwej moralności, gdy tylko dowie się, co to grzech, od razu stanie się grzesznicą. A im większą posiadzie wiedzę i wolność, tym większe będzie jej zepsucie. Tymczasem w przedstawicielach płci szlachetniejszej istnieje wrodzona skłonność do dobra, poparta godnym podziwu hartem ducha, i im częściej poddaje się tę skłonność sprawdzianom, tym doskonalej jest wykształcona...

– Niech Bóg broni. Bynajmniej tak nie myślę – przerwałem jej wreszcie.

– Zatem musi pan myśleć, że przedstawiciele obydwu płci jednakowo skłonni są błędzić, z tą różnicą, że najmniejszy błąd kobietę zgubi, a mężczyznę wzmocni. Uważa pan, że nasi synowie powinni zdobywać doświadczenia, ale naszym córkom odmawia pan nawet prawa do korzystania z doświadczeń innych. Jeżeli chodzi o mnie, chciałabym, by i jedni, i drudzy mogli korzystać z mądrości płynących z cudzych doświadczeń i nauk, by z góry potrafili odróżniać dobro od zła i by nie potrzebowali przekonywać się na własnej skórze, czym grozi grzech. Co zaś do mojego syna, gdybym miała pewność, że wyrośnie na kogoś, kto „doświadczył życia” i chlubi się tym, wolałabym jutro ujrzeć go martwym! Absolutnie! - zapewniła pani Graham, przyciskając swój mały skarb do serca i składając czuły pocałunek na jego czole. Rozstawszy się z nowym przyjacielem, dziecko już od dłuższej chwili stało u kolan swej matki, zaglądając jej w twarz i z milczącą ciekawością słuchając jej niezrozumiałego wywodu.

– Hm! Wy, damy, jak sądzę, zawsze musicie mieć ostatnie słowo – powiedziałem, widząc, że pani Graham podnosi się i zaczyna żegnać z moją matką.

– Pozwalam panu mieć tyle ostatnich słów, ile tylko zapagnie. Ale nie mogę zostać, by ich wysłuchać.

– Otóż to. Wysłucha pani tylko tylu argumentów, ile uzna za słuszne. Resztę zaś można

rzucić na wiatr.

– Jeżeli zależy panu na dokończeniu tej dyskusji – odparła, podając Rose dłoń – któregoś dnia musi mnie pan odwiedzić wraz z siostrą. Obiecuję, że cierpliwie wysłucham wszystkiego, co będzie pan miał do powiedzenia. Wolę już to niż wykład pastora, bo na końcu łatwiej będzie mi się przyznać, że moje poglądy pozostały niezmienione.

– Tak, oczywiście – odrzekłem, postanawiając być równie nieznośnym jak ona. – Bowiem kiedy dama przystaje na to, by wysłuchać cudzych argumentów, z góry zakłada zawsze, że się z nimi nie zgodzi.

– Do widzenia, panie Markham – z litościwym uśmiechem rzekła moja oponentka i skłoniwszy się nieznacznie, skierowała się ku wyjściu. Synek jej jednak z dziecięcą zuchwałością zatrzymał ją, wykrzykując:

– Mamo, nie podałaś ręki panu Markhamowi!

Ona, śmiejąc się, zawróciła i wyciągnęła do mnie dłoń, którą ścisnąłem mściwie, gdyż jej niesprawiedliwy osąd mojej osoby u samego zarania naszej znajomości dotknął mnie był do żywego. Nie wiedząc nic na temat mego usposobienia czy wyznawanego przeze mnie systemu wartości i kierowana jakimś niejasnym uprzedzeniem, zdawała się być zdecydowana pokazać mi, że mam o sobie dużo lepsze mniemanie niż powinienem. Byłem, rzecz jasna, przewrażliwiony, bowiem w przeciwnym wypadku nie rozgniewałoby mnie to w takim stopniu. Być może również żyjące wokół mnie kobiety, z matką i siostrą na czele, zanadto mi pobłażały, choć bynajmniej nie zasługiwałem na miano narcyza – tego jestem pewien, bez względu na to, co ty, Halfordzie, na ten temat myślisz.

Rozdział IV

Przyjęcie

Mimo iż pani Graham nie zdecydowała się zaszczyścić nas swoją obecnością, przyjęcie piątego listopada minęło bardzo dobrze. I prawdę powiedziawszy, niewykluczone, że jej pojawienie się zaszkodziłoby nastrojowi serdeczności i beztroski, który wśród nas owego dnia panował.

Moja dobroduszna matka zwyczajem swoim była wesoła i rozmowna, a jedyną jej słabostkę stanowiła przesadna dbałość o to, by jak najlepiej dogodzić swym gościom, często na przekór ich woli, uporczywie zachęcając ich do jedzenia i picia, nakłaniając do siedzenia przy rozprażonym kominku i wciągając ich do rozmowy wtedy, kiedy mieli ochotę pomilczeć. Niemniej jednak wszyscy poddawani przez nią tym torturom znosili je uprzejmie i z humorem.

Pan Millward nie szczędził zebranyim ważkich nauk, dowcipów z pouczającą puentą, pompatycznych anegdot i naszpikowanych prorocत्वami przemów, które miały na celu umoralnić całe towarzystwo ogółem, a w szczególności kilku jego najuważniejszych słuchaczy: pełną podziwu panią Markham, kulturalnego pana Lawrence'a, stateczną Mary Millward, cichego Richarda Wilsona i jego beznamiętnego brata Roberta.

Pani Wilson, wznosząc się na wyżyny swej gadatliwości, zabawiała towarzystwo zbiorem świeżych wieści i starych plotek, które okraszała powtarzającymi się spostrzeżeniami oraz banalnymi pytaniami, wypowiedzanymi przez nią najwyraźniej tylko po to, by jej niestrudzony aparat mowy nawet przez jedną chwilę nie trwał beczynnie. Przyniosła ze sobą robótkę i patrząc na nią, można by pomyśleć, że język jej i palce współzawodniczą w wyścigu szybkości.

Jej córka Jane starała się, rzecz jasna, uruchomić wszystkie swe pokłady wdzięku, elegancji i dowcipu – w towarzystwie znajdowały się wszak damy, które należało przyćmić swym blaskiem i dżentelmeni, których wypadało sobą oczarować. Przede wszystkim jednak trzeba było za wszelką cenę zniewolić pana Lawrence'a. Subtelne, ledwie uchwytnie dla mego oka zabiegi panny Wilson nie przykuły zanadto mej uwagi, choć pomyślałem, że niejaka nienaturalność w jej pewności siebie i nieprzyjemne onieśmienie, które usiłowała ukryć nieważniając wszystkie jej zalety. Wszelkie jej spojrzenia, słowa i sztuczki pewien czas potem rzeczowo wytłumaczyła mi Rose, a przenikliwość, z jaką to uczyniła kazała mi się zastanowić, czy i ona nie upatrzyła sobie również rzeczzonego jegomościa. Nie masz jednak powodu do niepokoju, Halfordzie – nie mógłbym się bardziej mylić.

Richard Wilson, młodszy brat Jane, siedział w kącie. Nastawiony do wszystkich życzliwie, aczkolwiek małowówny, nieśmiały i raczej nie w swoim żywiole, na swój własny, cichy sposób byłby całkiem szczęśliwy, gdyby pani domu, w duchu opacznie pojętej

gościnności, nie naprzykrzała się mu nieustannie swymi uprzejmościami, wmuszając weń rozmaite potrawy i wymagając od niego, by z przeciwległego końca pokoju wykrzykiwał swe jednosylabowe odpowiedzi na zadawane przez nią co rusz pytania, za pomocą których na próżno starała się wciągnąć go do rozmowy.

Rose powiadomiła mnie, że Richard zaszczycił nas swoim towarzystwem tylko z powodu uporczywych nalegań jego siostry Jane, której niezmiernie zależało na tym, by pokazać panu Lawrence'owi, iż ma ona przynajmniej jednego kulturalnego brata. Drugiego ze swych braci, Roberta, równie uporczywie starała się do wizyty zniechęcić. Ten jednak stwierdził, że nie widzi powodu, dla którego miałby przegapić okazję ucięcia sobie pogawędki z niżej podpisanym Markahamem, starszą panią (którą matka moja w rzeczywistości jeszcze nie była), śliczną panną Rose i z proboszczem. Przyszedł więc, by wymienić się banalnymi spostrzeżeniami z panią domu i moją siostrą oraz by przedyskutować z pastorem ostatnie wydarzenia zaszłe na terenie naszej parafii, a ze mną kwestie polityczne i rolnicze.

Mary Millward pełniła rolę drugiego milczka w towarzystwie – nienarażonego jednak na okrutne uprzejmości tak bardzo, jak Dick Wilson, bowiem zwykła udzielać krótkich, stanowczych odpowiedzi i uchodziła za osobę nie tyle nieśmiałą, co ponuro usposobioną i czerpiącą z podobnych spotkań niewiele radości. Przyszła ona, jak powiedziała mi Eliza, tylko dzięki namowom ich ojca, który wbił sobie do głowy, że Mary zbyt wiele czasu poświęca obowiązkom domowym, zaniedbując jednocześnie niewinne przyjemności właściwe jej wiekowi i płci. Mnie w zasadzie zdała się być w dość pogodnym nastroju. Kilukrotnie roześmiała się sprowokowana żartem uczynionym przez kogoś z naszego grona, za każdym razem szukając wzroku Richarda Wilsona, który siedział naprzeciw niej. Ponieważ kształcił się on pod okiem jej ojca, znała go dość dobrze i jak sądzę, istniała pomiędzy nimi pewna nić porozumienia.

Moja Eliza z niewymuszoną i nieopisaną lekkością czarowała i uwodziła towarzystwo, ale to oczywiście ja byłem tym, któremu starała się przypodobać najbardziej. Radość z tego, że jestem blisko, że siedzę obok, że szepczę do jej ucha i że ściskam w tańcu jej dłoń promieniowała z jej rumianej twarzy i biła z falującej piersi pomimo śmiałych słów i zuchwałych gestów, którymi starała się tuszować swoje rozradowanie. Ale miast chełpić się teraz tym wszystkim, lepiej zamilknę, inaczej bowiem później przyjdzie mi się wstydzić.

Wracając zatem do osób obecnych na naszym przyjęciu, trzeba mi wspomnieć o Rose, którą, tak jak zwykle, wypełniała radość życia, naturalność i prostota. Zachowanie Fergusa było z kolei zuchwałe i błazeńskie, ale choć nie podnosiło go ono w oczach pozostałych, to mimo wszystko było dla nich źródłem wielkiej uciechy.

I wreszcie pan Lawrence, jako ostatni ze zgromadzonych (bowiem swoją osobę pomijam), był dworski i uprzejmy wobec wszystkich, w szczególności zaś wobec panny Wilson, gdyż nieszczęśnik nie miał na tyle dobrego smaku, ażeby dać pierwszeństwo Elizie Millward. Pan Lawrence był z natury introwertykiem i rzadko opuszczał swój stojący na odludziu dom, w którym się urodził i w którym mieszkał samotnie od śmierci ojca. Okazji

i chęci do zawierania nowych znajomości miewał niewiele, a ze wszystkich starych najbardziej zdawał się cenić znajomość ze mną. Lubilem go po trosze, ale był zbyt zimny, zbyt nieśmiały, zbyt zamknięty w sobie, by wzbudzić we mnie serdeczniejsze uczucia. Choć w innych podziwiał otwartość i bezpośredniość, sam nie potrafił się na nie zdobyć. Wybaczałem mu tę jego nadmierną powściągliwość, zaiste irytującą i przejmującą niekiedy dreszczem, żywiąc przekonanie, iż źródło jej nie wypływa z dumy czy nieufności wobec przyjaciół, lecz raczej z chorobliwej wrażliwości i osobliwego lęku, którego był świadom, ale z którym jednak nie miał sił walczyć. Serce jego było niczym delikatna roślina, która, dotknięta promieniem słońca, otwiera się na chwilę, ale zaraz kurczy się w sobie, gdy tylko poczuje dotyk chłodnej dłoni lub łaskotanie najłżejszego podmuchu wiatru. Nasza znajomość była raczej koleżeństwem niż głęboką, trwałą przyjaźnią i w niczym nie przypominała zażyłości, która pewien czas potem wywiązała się pomiędzy mną a Tobą, Halfordzie i którą porównać mógłbym do płaszcza: o nienagannym kroju, aczkolwiek wygodnego i dopasowującego się do właściciela. Pan Lawrence był dla mnie niczym nowa część garderoby – elegancka i schludna, ale tak ciasna w ramionach, że bardziej zamaszty ruch groził pęknięciem szwów.

Wkrótce po tym, jak goście przybyli matka wspomniała o pani Graham, bolejąc nad tym, że nie może jej być z nami. Millwardom i Wilsonom wyjaśniła, dlaczego młoda wdowa nie odwzajemniła im się dotąd wizytą, zapewniając, że nie wynika to bynajmniej z braku dobrego wychowania i że bez wątpienia dama z przyjemnością ich odwiedzi, gdy tylko okoliczności jej na to pozwolą. Następnie dodała:

– Mimo wszystko to bardzo niezwykła osoba, panie Lawrence, i nie wiemy zupełnie, co o niej myśleć. Ale pan niechybnie będzie mógł nam powiedzieć na jej temat coś więcej? Wszak to pańska lokatorka i wedle jej własnych słów nieco już się państwo poznali.

Wszystkie oczy skierowały się na pana Lawrence'a, który zdawał się być owym pytaniem nie lada zakłopotany.

– Ależ nie, pani Markham, myli się pani – odrzekł. – Nie znam jej... To jest, zawarłem już znajomość z panią Graham, oczywiście, ale jestem ostatnią osobą, która mogłaby udzielić pani na jej temat jakichkolwiek bliższych informacji.

Powiedziawszy to, natychmiast zwrócił się do Rose, prosząc, by zaszczyliła zebranych swoim śpiewem lub popisem gry na pianinie.

– Och, nie – rzekła moja siostra. – Musi pan poprosić pannę Wilson. Ona swoją muzykalnością przewyższa wszystkich tutaj zgromadzonych.

Tamta jednak kazała się prosić.

– Panna Wilson zaśpiewa *całkiem* chętnie, panie Lawrence, pod warunkiem, że będzie jej pan przewracał stronicę w zeszycie z nutami – powiedział Fergus.

– Z wielką przyjemnością, panno Wilson. Pozwoli pani? – zapytał pan Lawrence.

Ta, uniósłszy dumnie głowę, uśmiechnęła się i dała zaprowadzić do instrumentu. Tam, przy własnym akompaniamencie i w swym najlepszym stylu, zaśpiewała kilka pieśni, podczas gdy pan Lawrence, z jedną dłonią spoczywającą na oparciu jej krzesła, drugą

cierpliwie przewracał jej nuty, niewykluczone, że równie bardzo oczarowany jej występem, co ona sama. Mnie jednakże w jej wykonaniu zabrakło uczucia, choć niewątpliwie nie można było odmówić mu zręczności.

Niemniej temat pani Graham nie został jeszcze owego wieczora wyczerpany.

– Nie będę pił wina, pani Markham – oświadczył pan Millward, gdy przyniesiono trunek do pokoju. – Chętnie skosztowałbym za to pani domowego piwa. Temu warzonemu przez panią nic nie dorównuje.

Moja matka, mile połaskotana tym komplementem, zadzwoniła na służącą i po chwili przed zacnym dżentelmenem stanął porcelanowy dzbanek pełen jej pierwszorzędnego piwa.

– O to właśnie chodzi! – zawołał pan Millward, z wprawą nalewając sobie napoju do szklanki. Zadbawszy o to, by utworzyło się jak najwięcej piany i aby nie zmarnowała się nawet kropla, badawczo przyjrzał się złocistej cieczy pod światło, po czym upił jej głęboki łyk, mlasnął ustami, odetchnął głęboko i ponownie napełnił szklankę. A wszystko to ku zadowoleniu obserwującej go pani domu.

– Niezrównane, pani Markham! – orzekł. – Zawsze powtarzam: nie ma to jak pani domowe piwo.

– Cieszę się, że panu smakuje, sir. Nadzoruję warzenie naszego piwa osobiście – podobnie jak wyrabianie sera i masła. Lubię dbać o to, by wszystko w moim domu robione było należycie.

– I słusznie, pani Markham!

– Skoro już przy tym jesteśmy, panie Millward, czy uważa pan, że wypicie od czasu do czasu odrobiny wina lub krzyny czegoś mocniejszego to coś złego? – zapytała matka, podając pani Wilson kieliszek dzinu, jako że tamta twierdziła, iż wino szkodzi jej na żołądek.

– Bynajmniej! – rzekł wielebny tonem wyroczni. – Wszelkie dary ziemi to błogosławieństwo dla tych, którzy potrafią z nich we właściwy sposób korzystać.

– Jednak pani Graham uważa inaczej. Powtórzę panu, co powiedziała nam niedawno – uprzedzałam ją, że to zrobię.

W tym miejscu matka moja wyczerpująco przytoczyła poglądy rzeczonoj damy na kwestię trunków, relację swą kończąc słowami:

– To chyba niewłaściwe podejście?

– Niewłaściwe! – potwierdził pastor uroczyście. – Rzekłbym nawet, że karygodne! Karygodne! Nie tylko bowiem w ten sposób czyni z dziecka lebiegę, ale też, okazując pogardę boskim darom, uczy je po nich deptać.

Rozwijając następnie temat, pan Millward drobiazgowo ukazał zgromadzonym nieroztropność i bezbożność takiego postępowania. Moja matka i wszyscy pozostali słuchali jego słów z namaszczeniem, nawet pani Wilson łaskawie pozwoliła swemu językowi na chwilę odpoczynku, popijając w milczeniu swój dzin z wodą. Pan Lawrence tymczasem, opierając się łokciem o stół, bawił się swą pustą szklanką i uśmiechał pod

nosem. A kiedy wielebny wreszcie zakończył swą przemowę, podsunął mu tę oto myśl:

– Ale czy nie uważa pan, panie Millward, że w razie podejrzeń o istnienie w dziecku wrodzonej skłonności do nieumiarkowania – odziedziczonej po rodzicu, dla przykładu...

Czy nie uważa pan, że w takiej sytuacji pewne środki ostrożności byłyby wskazane?

(W okolicy powiadano, że dni starszego pana Lawrence'a skróciło jego zamiłowanie do mocnych trunków).

– Pewne środki ostrożności być może tak. Ale umiar to rzecz jedna, a abstynencja – druga.

– Wiem jednak, że istnieją ludzie, którzy nie posiadają umiejętności zachowywania umiaru. A jeśli abstynencja jest grzechem, to nieumiarkowanie musi być grzechem jeszcze większym. Zdarza się, że rodzice kategorycznie zabraniają swym pociechom nawet posmakowania alkoholu. Ich władza rodzicielska jednak nie trwa wiecznie, a dziecko łaknie zakazanego owocu, bo taka już jego natura. I ciekawość tego, co jest mu tak surowo zabronione i czym jednocześnie delektują się inni zaspokaja często przy pierwszej nadarzącej się okazji. A raz złamany zakaz łatwo jest złamać ponownie i wszystko to może skończyć się nieszczęśliwie. Nie twierdzę, że jestem w tej kwestii dobrym sędzią, ale moim zdaniem metoda pani Graham, choć być może niezwykła, kryje w sobie pewne zalety. Dziecko zrażone zawczasu do mocnych trunków nie będzie żywiło żadnej wobec nich potajemnej ciekawości i nie będzie miało pokusy ich smakowania. A wszystko to bez konieczności przekonywania się na własnej skórze, jak zgubne może być ich działanie.

– I takie postępowanie, sir, jest pańskim zdaniem właściwe? Czyż nie wyjaśniłem przed chwilą, jak niemoralne, jak niezgodne z Pismem Świętym i jak sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem jest uczenie dziecka pogardy dla darów dawanych nam przez Stwórcę?

– Również i opium można by uznać za dar Stwórcy, sir – odparł z uśmiechem pan Lawrence. – A jednak przyzna pan, że lepiej, by nikt z nas go nie używał, nawet z umiarem. Ażeby jednak moje słowa nie zostały odebrane nadto poważnie, wychylę teraz do dna swój kieliszek.

– A potem, mam nadzieję, następny, panie Lawrence – rzekła moja matka, podsuwając mu butelkę.

Tamten jednakże grzecznie odmówił, po czym, odsuwając swoje krzesło nieco od stołu, pochylił się w mym kierunku (siedziałem odrobinę dalej, na sofie obok Elizy Millward) i bez ogródek zapytał, czy znam panią Graham.

– Miałem już okazję ją poznać – odpowiedziałem.

– I co pan o niej myśli?

– Skłamałbym, mówiąc, że bardzo przypadła mi do gustu. Jest wprawdzie urodziwa, a w każdym razie posiada interesującą powierzchowność, ale bynajmniej nie wydaje się miłą. Odniosłem wrażenie, że to kobieta skłonna tworzyć w sobie silne uprzedzenia i niezłomnie w nich trwać. Zbyt dumna i gorzka, jak na mój gust.

Pan Lawrence nie odpowiedział, tylko spuścił wzrok i przygryzł wargę, a krótko potem wstał, by podejść do panny Wilson. W owym czasie ledwie zwróciłem na to uwagę,

aczkolwiek późniejsze okoliczności przypomniały mi o tym zdarzeniu – ale nie uprzedzamy faktów...

Wieczór zakończył się tańcami, przeciw czemu nasz czcigodny pastor nie protestował, mimo że płasom naszym na skrzypcach akompaniować miał jeden z wioskowych muzykantów. Mary Millward stanowczo jednak odmówiła przyłączenia się do nas. Podobnie Richard Wilson, choć moja matka z całych sił starała się nakłonić go do zmiany zdania i wyraziła nawet gotowość do posłużenia mu za partnerkę w tańcu.

Odtańczyliśmy kilka kadryli i pora szybko zrobiła się późna. Prosiłem właśnie naszego skrzypka o zaintonowanie walca, zamierzając zawirować w tym wspaniałym tańcu z Elizą, a obok nas płaść miał pan Lawrence w parze z Jane Wilson oraz Fergus w parze z Rose, kiedy pan Millward zaoponował.

– Nie, nie. Nie pozwalam. Najwyższy czas wracać do domu.

– Och nie, papo! – prosiła Eliza.

– Najwyższa pora, dziewczyno – najwyższa pora! Pamiętaj: umiar we wszystkim! „Niech będzie znana wszystkim ludziom wasza wyrozumiała łagodność: Pan jest blisko!”^[2]

Z chęci zemsty poszedłem za Elizą do pogrążonego w półmroku korytarza, pozornie po to, by pomóc jej owinąć się szalem i podczas gdy jej ojciec zajęty był wkładaniem wierzchniego okrycia i stał odwrócony do nas plecami, dopuściłem się – do czego przyznaję się ze wstydem – skradzenia jednego pocałunku. Niestety odwróciwszy się, przekonałem się, że świadkiem mojej zuchwałości była moja matka, która okazała się stać tuż za mną. W wyniku tego, ledwie goście się rozeszli, na mą głowę spadły gromy krytyki i napomnienia, którym skutecznie udało się zburzyć mój dobry nastrój.

– Mój drogi Gilbercie, opamiętaj się! – rzekła matka. – Twoje dobro leży mi bardzo na sercu i kocham cię i cenię bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Dlatego bardzo zależy mi na tym, abyś dobrze się ożenił i musisz wiedzieć, że wyrządziłbyś mi wielką przykrość, gdyby wybór twój padł na tę właśnie dziewczynę. Nie pojmuję, co takiego w niej widzisz... Nie chodzi mi tutaj o jej brak majątku – nic z tych rzeczy. Ale nie jest ani piękna, ani mądra, ani szlachetnego serca, krótko mówiąc: niczym nie zachwyca. Gdybyś tak jak ja znał swoją wartość, podobny pomysł nie przyszedłby ci nawet do głowy. Daj sobie trochę czasu, a przekonasz się! Jeśli teraz się z nią zwiążesz, będziesz żałował do końca życia – masz na to moje słowo.

– Och, niechże mama zamilknie, nie znoszę kazań! Powiadam przecież, że nie w głowie mi jeszcze plany matrymonialne. Ale na Boga, czyż w ogóle nie wolno mi używać życia?

– Oczywiście, że tak, chłopcze – lecz nie w taki sposób. Swoim zachowaniem tylko uraziłeś tę dziewczynę – to jest, uraziłbyś ją, gdyby była taka, jak należy. Ale zapewniam cię, to sprytna latawica i nim się zorientujesz, wpadniesz w jej sidła. A jeśli mimo wszystko uprzesz się, by ją poślubić, złamiesz mi tym serce!

– Dobrze już, niech mama się tym nie zadręcza – powiedziałem, widząc, że oczy jej wzbierają łzami. – I niech ten pocałunek wymaże z jej pamięci tamten, którego była świadkiem. Może mama spać spokojnie – obiecuję, że nigdy... to jest, obiecuję, że dwa

razy się zastanowię, nim zdecyduję się zrobić coś, czego mama nie pochwała.

Powiedziawszy te słowa, zapaliłem świecę i czując się znacznie gorzej na duchu, udałem się na spoczynek.

Rozdział V

Pracownia

Zbliżał się koniec miesiąca, kiedy to, ulegając natarczywym namowom Rose, zdecydowałem się towarzyszyć jej w wyprawie do Wildfell Hall. Ku naszemu zdziwieniu, pierwszymi przedmiotami ujrzanymi przez nas w pomieszczeniu, do którego nas wprowadzono były sztaluga oraz stół zastawiony buteleczkami farb olejnych, zwojami malarskiego płótna, paletami i pędzlami. Pod ścianą stało kilka szkiców znajdujących się w różnych stadiach rozwoju oraz pewna liczba ukończonych już obrazów, które w głównej mierze przedstawiały pejzaże i ludzkie postacie.

– Zmuszona jestem przyjąć państwa w pracowni – rzekła pani Graham. – W salonie dziś nie palimy i panujący tam chłód jest dość nieprzyjemny.

Uwolnwszy z artystycznego chaosu kilka krzeseł, poprosiła, abyśmy usiedli, a sama zajęła miejsce przy sztaludze – w taki sposób, by podczas rozmowy z nami mieć możliwość rzucenia od czasu do czasu okiem na obraz i dokonania sporadycznych pociągnięć pędzlem, zupełnie jak gdyby nie była zdolna przenieść całej swej uwagi ze swojego zajęcia na gości. Malowidło przedstawiało poranny widok na dwór Wildfell Hall, który wznosił się mrocznie na tle srebrzystego błękitu nieba. Wszystkie kształty i barwy oddane były nad podziw wiernie, a całość tworzyła estetyczne, wysmakowane wrażenie.

– Widzę, że nie może się pani oderwać od swojej pracy, pani Graham – zauważyłem. – Proszę sobie zatem nie przerywać. Jeśli pozwoli nam pani sobie przeszkadzać, poczujemy się jak niemile widziani intruzi.

– Och nie! – odparła i odrzuciła pędzel na stół, jak gdyby moje słowa wyrwały ze snu uśpione w jej wnętrzu dobre maniery. – Nie jestem aż tak osaczona gośćmi, bym nie mogła poświęcić kilku chwil tym, którzy postanowili zaszczycić mnie swoim towarzystwem.

– Obraz jest już prawie ukończony – rzekłem, podchodząc do malowidła bliżej i starając się okazać podziw większy od tego, który odczuwałem. – Jedyne na pierwszym planie brakuje jeszcze kilku muśnięć pędzla, jak sądzę. Ale dlaczego zatytułowała go pani „Fernley Manor w hrabstwie Cumberland” zamiast „Wildfell Hall w hrabstwie X.”? – zapytałem, dostrzegłszy nakreślony niewielkimi literami podpis widniejący w dolnej części płótna.

Widząc jej zawahanie i rumieniec, który pojawił się na jej policzku, natychmiast zdałem sobie sprawę, że pozwoliłem sobie na zuchwalstwo. Lecz po chwili milczenia i w przypływie czegoś, co nazwałbym straceńczą szczerością, pani Graham odpowiedziała:

– Ponieważ mam przyjaciół, a w każdym razie znajomych, przed którymi pragnę zataić swoje obecne miejsce pobytu. Gdyby przez jakiś zbieg okoliczności któryś z owych znajomych zobaczył ten obraz, to mimo fałszywych inicjałów, którymi podpisałam się w rogu płótna, mógłby łatwo rozpoznać mój styl. Na wszelki wypadek zatem podałam

również nieprawdziwą nazwę miejsca. Tym sposobem, jeżeli na podstawie tej pracy ktoś będzie próbował mnie odszukać, znajdzie się na fałszywym tropie.

– Więc nie zamierza pani zatrzymać tego płótna? – zapytałem, starając się skierować rozmowę na inne tory.

– Nie, nie mogę sobie pozwolić na malowanie dla przyjemności.

– Mama wysyła wszystkie swoje obrazy do Londynu – powiedział Arthur. – A tam ktoś je sprzedaje i przysyła nam pieniądze.

Rozglądając się po innych jej pracach, dostrzegłem jeszcze uroczy szkic naszego Lindenhope widzianego ze szczytu wzgórza, jedno płótno przedstawiające stary dwór w blasku popołudniowego słońca oraz prosty, aczkolwiek efektowny obraz pogrążonego w zadumie dziecka.

– Jak pan widzi, brakuje mi tematów – zauważyła artystka. – Malowałam już ten dwór w scenerii księżycowej nocy i chyba będę musiała postarać się wymyślić jeszcze jakiś inny sposób na jego przedstawienie – być może pośród krajobrazu zimowego lub podczas pochmurnego, ciemnego wieczoru... Doprawdy nie mam żadnych innych pomysłów. Mówiono mi, że gdzieś tu w okolicy rozciąga się wspaniały widok na morze – czy to prawda? Czy można dotrzeć tam na piechotę?

– Owszem, jeśli nie ma pani nic przeciwko prawie czteromilowemu spacerowi. Oznacza to, że idąc w obie strony musiałyby pani pokonać łącznie niemal osiem mil, do tego po dość nierównej, męczącej drodze.

– W którą stronę należy się skierować?

Już zaczynałem zagłębiać się w szczegóły dotyczące rozmaitych gościńców, drózek i pól, które wiodły do wspomnianego miejsca, wyjaśniając, gdzie iść prosto, gdzie skręcić w prawo i gdzie odbić w lewo, kiedy pani Graham mi przerwała.

– Och, proszę nie tłumaczyć mi tego teraz. Wszystkie pańskie wskazówki zdążę zapomnieć do czasu, gdy będą mi potrzebne. Będę mogła się tam wybrać nie wcześniej niż na wiosnę i być może wtedy poproszę pana o pomoc. Na razie przed nami zima i...

W tym miejscu urwała nagle i ze stłumionym krzykiem na ustach zerwała się z miejsca.

– Państwo mi wybaczą na moment – powiedziała, po czym wybiegła z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi.

Zaintrygowany spojrzałem w kierunku okna, na które chwilę przedtem przypadkowo padł jej wzrok i uczyniłem to w samą porę, by dostrzec poły męskiego płaszcza znikające za rozłożystym ostrokrzewem rosnącym w połowie drogi pomiędzy oknem a przedsionkiem.

– To znajomy mamy – oznajmił Arthur.

Rose i ja wymieniliśmy się spojrzeniami.

– Zaprawdę, nie wiem, co o niej myśleć – powiedziała szeptem Rose.

Chłopiec popatrzył na nią z zaskoczeniem, więc Rose natychmiast skierowała jego uwagę na inny temat, gdy ja tymczasem zainteresowałem się obrazami. W ciemnym kącie znajdował się jeden, którego wcześniej nie dostrzegłem. Przedstawiał siedzące na trawie

małe dziecko, w którego drobnej twarzyczce o niebieskich, uśmiechających się spod jasnobrązowej czupryny oczkach rozpoznałem stojącego teraz przede mną młodego dżentelmena -Arthura w okresie niemowlęcym.

Chcąc przypatrzeć się obrazowi w lepszym świetle, podniosłem go, jednocześnie odkrywając, że stoi za nim jeszcze jeden odwrócony płótnem do ściany malunek. Tamten również ośmieliłem się obejrzeć. Był to portret całkiem przystojnego dżentelmena w kwiecie wieku – nie najgorzej oddany, ale jeśli namalowany został tą samą ręką, co pozostałe prace, musiał powstać wiele lat przed nimi, bowiem brakowało mu tak charakterystycznej dla nich precyzji detali, świeżości kolorów i lekkości. Niemniej, było to nader interesujące malowidło. Pewna wyrazistość rysów przedstawionego na nim oblicza dowodziła, że to udana podobizna. Jaskrawoniebieskie oczy mężczyzny patrzyły poniekąd żartobliwie, jego wargi zdawały się gotowe rozciągnąć w uśmiechu, podczas gdy opadające obfitymi falami na czoło włosy sugerowały, że ich właściciel bardziej dumny jest ze swej powierzchowności niż z intelektu. I być może całkiem słusznie, choć bynajmniej nie sprawiał wrażenia głupca.

Portret znajdował się w moich rękach nie dłużej niż dwie minuty, kiedy powróciła pani Graham.

– To tylko ktoś w sprawie obrazów – powiedziała przeprasząco. – Poprosiłam, żeby zaczekał.

– Obawiam się, że oglądając dzieło, które autorka postanowiła skierować płótnem do ściany, pozwoliłem sobie na ogromne zuchwalstwo – zacząłem – ale czy mogę zapytać...

– Istotnie, to *było* z pana strony zuchwalstwo, sir. I proszę mnie nie pytać o ten obraz, bowiem pańska ciekawość i tak nie zostanie zaspokojona – odrzekła, próbując złagodzić cierpkość swoich słów uśmiechem. Jednak rumieniec, który wystąpił na jej policzku i ogień płonący w jej oczach powiedziały mi, że wrze w niej gniew.

– Chciałem tylko dowiedzieć się, czy namalowała go pani sama – powiedziałem urażony, kiedy bezceremonialnie wyrwała mi obraz z rąk. Odkładając go na swoje miejsce, postawiła go tak, jak stał wcześniej – płótnem do ściany, a następnie spojrzała mi w twarz i roześmiała się.

Lecz mnie wcale nie było do śmiechu. Udając obojętność i pozwalając Rose na chwilę rozmowy z panią domu, odwróciłem się do okna, by wyrzeć na spustoszony ogród. Wkrótce jednak oznajmiłem siostrze, że pora już iść i uściskawszy rączkę małemu dżentelmenowi oraz skłoniwszy się chłodno damie, ruszyłem do drzwi. Pożegnawszy się z Rose, pani Graham wyciągnęła do mnie dłoń i uśmiechając się doprawdy czarująco, rzekła łagodnym głosem:

– Niech nad pańskim gniewem nie zachodzi słońce^[3], panie Markham. Proszę mi wybaczyć, jeśli uraziłam pana swoją obcesowością.

Kiedy dama decyduje się przeprosić, wszelkie żale, rzecz jasna, muszą pójść w niepamięć. Po raz pierwszy więc rozstaliśmy się w przyjaźni i *tym razem* jej wyciągniętą do mnie na pożegnanie dłoń, zamiast z utajoną niechęcią, uściskałem z prawdziwą

serdecznością.

Rozdział VI

Postęp

W ciągu czterech następnych miesięcy nie wchodziłem w ogóle pod dach pani Graham, a ona pod mój, jakkolwiek temat jej osoby wciąż pojawiał się w rozmowach żyjących wokół mnie kobiet, a moja znajomość z nią nie przestawała się rozwijać. Powtarzanym przez innych płotkom nie poświęcałem nazbyt wiele uwagi, a jedyną istotną zasłyszaną przeze mnie wieścią było to, jakoby piękna samotnica odważyła się w pewien pogodny, mroźny dzień wybrać się wraz ze swym synkiem aż na plebanię, gdzie zastała niestety jedynie pannę Millward. Mimo wszystko jednak spędziła tam ponoć długi czas, bowiem obie miały sobie wiele do powiedzenia, a potem rozstawały się z obustronnym postanowieniem, że ich spotkanie nie będzie ostatnim. Nie da się ukryć jednak, że Mary lubiła dzieci, kochające zaś matki lubią tych, którzy potrafią należycie docenić ich małe skarby.

Czasami jednak zdarzało mi się panią Graham widywać – nie tylko na mszy w kościele, lecz również pośród wzgórz – czy to zmierzającą wraz z synkiem w jakimś konkretnym kierunku, czy to spacerującą spokojnie z książką w ręku po wrzosowiskach albo po otaczających stary dwór posepnych pastwiskach, podczas gdy chłopiec bawił się w pobliżu. Przy każdej takiej sposobności – kiedy w trakcie jakiejś samotnej wędrówki czy konnej przejażdżki udawało mi się ją gdzieś wypatrzeć, z reguły świadomie kierowałem swymi krokami tak, by nasze ścieżki się spotkały. Lubiłem bowiem przyglądać się pani Graham i rozmawiać z nią, przede wszystkim zaś upodobałem sobie pogawędki z jej małym towarzyszem, który – skoro tylko lód jego onieśmienia dostatecznie stopniał – okazał się być bardzo sympatycznym, bystrym i zajmującym chłopcem. Obydwaj szybko staliśmy się dobrymi przyjaciółmi – jednak czy ku zadowoleniu jego mamy? Tego nie potrafiłem stwierdzić na pewno. Na początku odnosiłem wrażenie, że chętnie wylałaby kubel zimnej wody na zarzewie naszej zażyłości, że wolałaby naszą przyjaźń zdusić w zarodku. Ale wbrew swym pierwotnym uprzedzeniom, w miarę upływającego czasu musiała dojść wreszcie do wniosku, że jestem zupełnie niegroźny, że moje intencje są czyste i że znajomość ze mną i moim psem przynosi jej synowi wiele radości, bowiem przestała protestować, a nawet zaczęła witać mnie uśmiechem.

Sam Arthur zaś, jeśli dostrzegł mnie z daleka, wykrzykując pozdrowienia, wybiegał mi na spotkanie. Jeżeli jechałem właśnie wierzchem lub w pobliżu znajdował się jeden z moich koni pociągowych, dbałem o to, aby chłopca nie ominęła przejażdżka. A gdy dziecko siedziało już na grzbiecie zwierzęcia, jego matka zawsze podążała za nim – domyślam się jednak, że nie tylko po to, ażeby ustrzec je przed upadkiem, lecz również, by upewnić się, że nie zaszczepiam w nim żadnych niewłaściwych idei. Zdawała się najbardziej rada, kiedy chłopiec biegał i swawolił wraz z Sancho, a ja siedłem obok niej. Obawiam się, że nie brało

się to z jej zamiłowania do mojego towarzystwa (choć niekiedy lubiłem ludzię się tą myślą), lecz raczej z przyjemności, jaką sprawiał jej widok szczęśliwego Arthura zażywającego ruchu – tak bardzo potrzebnego jego delikatnemu ciałku i tak rzadko przezeń zaznanego z braku odpowiednich jego wiekowi towarzyszy do zabawy. I być może dodatkową osłodę stanowiło dla niej to, że idąc obok *niej*, znajdowałem się z dala od jej dziecka i nie mogłem wyrządzić mu – celowo czy też niechcący – żadnej krzywdy.

Czasami jednak odnosiłem wrażenie, że dyskusje ze mną zaiste przynoszą pani Graham niejaką radość. W pewien pogodny, lutowy poranek, gdy przechadzaliśmy się wspólnie po wrzosowisku, wyzbyła się tak typowego dla siebie chłodu i powściągliwości i objawiła się mi jako elokwentna i zdolna do prawdziwej refleksji rozmówczyni. Wyglądała przy tym tak pięknie, a jej poglądy tak fortunnie pokrywały się z moimi, że poczułem się oczarowany. W drodze zaś powrotnej do domu zaskoczyła mnie myśl, że być może zamiast spędzać życie z Elizą Millward, warto byłoby przejść przez nie, mając u swego boku kogoś takiego, jak pani Graham. Ów brak stałości w moich uczuciach zaraz mnie jednak zawstydził.

Dotarwszy do domu, wszedłem do bawialni, gdzie zastałem nie kogo innego, jak Elizę właśnie, siedzącą sam na sam z Rose. Przyznać muszę, że to niespodziewane spotkanie nie wzbudziło we mnie takiej radości, jaką powinno i choć gawędziliśmy razem długi czas, panna Millward wydała mi się głupiutka i nawet nieco mdła w porównaniu z dojrzałą panią Graham. Cóż więc – tyle na temat mojej lojalności!

„Chyba jednak nie powinienem żenić się z Elizą, skoro matka moja tak stanowczo się temu sprzeciwia – powiedziałem do siebie w duchu. – I trzeba mi przestać oszukiwać tę nieszczęsną dziewczynę, każąc jej myśleć, że mam wobec niej jakieś zamiary. Z Bożą pomocą mój obecny nastrój się utrzyma i łatwiej mi będzie uwolnić się spod jej przyjemnego, acz niekorzystnego wpływu. I chociaż znajomość z panią Graham okazać się może nie bardziej korzystna, wzorem lekarzy spróbuję uleczyć większe zło mniejszym. Moje uczucia do młodej wdowy prawdopodobnie nigdy nie staną się poważne – tak jak, bez wątpienia, jej uczucia do mnie. Ale jeśli w obcowaniu z nią mogę znaleźć nieco przyjemności, ani chybi mam prawo jej szukać. A jeżeli jej blask przyćmi w moich oczach i tak już gasnące światło Elizy, tym lepiej.

Od owego czasu w niemal każdy bezdeszczowy dzień wybierałem się na zbocze Wildfell, z nadzieją, że uda mi się spotkać moją nową znajomą. Jednak tak zmienne były godziny, w których pani Graham decydowała się opuścić swoją pustelnię i tak rzadko udawało się mi ją gdzieś wypatrzeć, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie unika mnie z takim samym uporem, z jakim ja szukam jej towarzystwa. Taka myśl jednakże wydała się mi nazbyt nieznośna i ponieważ łatwo i szybko mogłem ją od siebie odpędzić, zaraz to uczyniłem.

Niemniej pewnego pogodnego, marcowego popołudnia, kiedy zajęty byłem nadzorowaniem prac przy wałowaniu pola i przy naprawianiu żywopłotu w dolinie, wreszcie udało mi się ją dostrzec. Siedziała ze szkicownikiem w ręku nad płytkim, skalistym strumykiem, podczas gdy Arthur bawił się, budując tamy. Nie mogłem zaniedbać

tak rzadkiej okazji, więc zaraz ruszyłem w ich kierunku, zapominając o polu i żywopłocie. Szybszy ode mnie jednak okazał się Sancho, który zauważywszy z oddali swego młodego przyjaciela, pełnym galopem przemierzył dzielącą ich odległość i z radością rzucił się na dziecko, niemal wpychając je do wody.

Pani Graham przyglądała się badawczo sylwetkom obnażonych przez zimę drzew i to, co widziała przenosiła na papier zamaszystymi, aczkolwiek delikatnymi ruchami. Nie odzywała się do mnie zbyt często, ale mimo to wciąż stałem obok, obserwując postępy czynione przez jej ołówek. Przyjemność sprawiało mi patrzeć na jej sprawne, zgrabne palce i to, co spod nich wychodziło. Niebawem jednak owe palce zaczęły się wahać, drżeć nieznacznie i błądzić, aby wreszcie znieruchomieć. Właścicielka ich z rozbawieniem podniosła na mnie oczy i oznajmiła, że mój nadzór nie służy jej szkicowi.

– Wobec tego pójdę pogawędzić z Arthurem – powiedziałem.

– Panie Markham, czy mógłbym się przejechać, jeśli mama mi pozwoli? – zapytało dziecko.

– Na czym, chłopcze?

– Tam na polu chyba widać konia – odrzekł, wskazując palcem miejsce, w którym czarna klacz ciągnęła za sobą wał.

– Nie, Arthurze. To za daleko – zaprotestowała jego matka.

Ponieważ jednak obiecałem jej, że po jednym lub dwóch okrążeniach chłopiec bezpiecznie do niej wróci, a Arthur wręcz trząśł się z podekscytowania – uśmiechając się, w końcu wyraziła zgodę. I był to pierwszy raz, kiedy pozwoliła mu oddalić się w moim towarzystwie na taką odległość.

Siedząc z uroczystą miną na grzbiecie olbrzymiego rumaka, który nosił go tam i z powrotem po szerokim, stromym zboczu, chłopiec wyglądał niczym ucieleśnienie cichego zachwytu. Radość jednak nie mogła trwać wiecznie i prace na polu szybko dobiegły końca. Zdjąwszy młodego jeźdźcę z jego wierzchowca, zaprowadziłem go z powrotem do matki, która zdawała się zdenerwowana tym, że zatrzymałem chłopca na tak długo. Z zamkniętym szkicownikiem, prawdopodobnie od wielu już minut, niecierpliwie czekała na nasz powrót.

– Najwyższa pora wracać do domu – powiedziała i zaczęła się ze mną żegnać.

Ja jednak nie chciałem się jeszcze z nią rozstawać. Postanowiłem zatem, że przejdę wraz z nimi część drogi prowadzącej w górę wzgórza. Podczas spaceru pani Graham stała się na powrót bardziej przystępna i zaczynało mnie na nowo wypełniać poczucie szczęścia. Lecz kiedy w zasięgu wzroku pojawił się stary dwór, ona znieruchomiała i odwróciła się do mnie, jak gdyby oczekując, że tutaj nasza rozmowa się zakończy i że tutaj się rozstaniemy. I doprawdy, był po temu czas najwyższy, gdyż szybko zapadał zimny wieczór, słońce już zaszło i pęczniejący księżyc zaczynał błyszczeć jasno na bladoszarym sklepieniu nieba. Tymczasem uczucie bez mała litości nie pozwoliło mi ruszyć się z miejsca. Nie mogłem znieść myśli, że wróci sama do tego opuszczonego, smutnego domu, który tak chmurnie na nas teraz spoglądał. W dolnych oknach jednego ze skrzydeł budynku migotało co prawda

nikłe, czerwone światło, ale większa część dworu pogrążona była w absolutnym mroku. Do tego wiele ogołconych z szyb i ram okien ziało czarną, przepastną pustką.

– Czy ten dom nie wydaje się pani ponurym miejscem do życia? – zapytałem po chwili milczącej refleksji.

– Tak, czasami – odpowiedziała. – W zimowe wieczory, kiedy Arthur już śpi, a ja siedzę samotnie, słuchając zawodzeń wiatru omiatającego te popadające w ruinę, stare pomieszczenia, żadna lektura i żadne zajęcie nie potrafi poskromić ponurych myśli i obaw, które rodzą się tłumnie w mojej głowie. Ale dobrze wiem, że głupstwem byłoby poddawać się takim słabościom. Jeśli Rachel zadowolona jest z takiego życia, dlaczego mnie miałyby ono nie odpowiadać? Zresztą, dopóki będę mogła liczyć na takie schronienie, dopóty będę za nie wdzięczna.

Ostatnie zdanie wypowiedziała półgłosem, jak gdyby nie mówiła do mnie, tylko do siebie samej. A potem pożegnała się ze mną i odeszła.

Kierując się do domu, nie uszedłem zbyt daleko, kiedy na skalistej dróżce biegnącej w górę wzniesienia pojawił się pan Lawrence jadący na swym ładnym, szarym kucyku. Zboczyłem nieco z obranego kursu, postanawiając zamienić z nim słowo, jako że nie widzieliśmy się od długiego czasu.

– Czy osobą, z którą rozmawiał pan przed chwilą była pani Graham? – zapytał, gdy wymieniliśmy się już pozdrowieniami.

– Owszem.

– Hm. Tak też myślałem – powiedziawszy to, spojrzął na grzywę swego konia tak, jak gdyby coś mu się w niej nie podobało.

– Czy coś w tym złego?

– Och, bynajmniej – odparł. – Tylko sądziłem, że nie darzy jej pan zbytnią sympatią – dodał cichym głosem, po czym jego wargi wykrzywił nieco złośliwy uśmieszek.

– I co z tego? Czy człowiekowi nie wolno już zmienić zdania?

– Oczywiście, że wolno – rzekł, starannie wygładzając zwichrzoną grzywę swego siwego kuczka.

Wreszcie zajrzał mi w twarz swoimi nieśmiałymi, orzechowymi oczami i zapytał:

– A zatem *zmienił* pan zdanie?

– Nie do końca. Nie... rzekłbym, że mam o niej takie samo zdanie, co przedtem – choć może nieco lepsze.

– Rozumiem.

Rozejrzał się wokół, szukając innego tematu do rozmowy, a dostrzegłszy na niebie księżyc, uczynił jakąś uwagę o pięknej nocy. Ja jednak ją zignorowałem.

– Lawrence, czy kocha się pan w pani Graham? – zapytałem, spokojnie patrząc mu w oczy.

Zamiast poczuć się urażonym owym pytaniem, przewyciężywszy początkowe zaskoczenie wywołane moją zuchwałością, zachichotał, jak gdyby wielce rozbawiony tym pomysłem.

– Ja? Czy *ja* się w niej Kocham? – powtórzył. – Co, na nieba, podsunęło panu taką myśl?

– Widząc, z jakim zainteresowaniem śledzi pan rozwój mojej znajomości z rzeczoną damą i jak bardzo ciekawi pana moja opinia na jej temat, pomyślałem, że może powoduje panem zazdrość.

Lawrence ponownie się roześmiał.

– Zazdrość? Ależ nie! Sądziłem jednak, że zamierza się pan ożenić z Elizą Millward.

– Wobec tego mylił się pan. Nie zamierzam się żenić – ani z jedną, ani z drugą.

– Zatem uważam, że najlepiej pan zrobi, jeśli zostawi je obydwie w spokoju.

– A pan planuje poprosić Jane Wilson o rękę?

Lawrence zaczerwienił się i znów dotknął grzywy konia. Mimo wszystko odpowiedział jednak na moje pytanie:

– Nie, nie sędzę.

– Więc najlepiej pan zrobi, jeśli zostawi ją w spokoju.

„Ale ona mnie nie zostawi w spokoju” – mógłby odpowiedzieć, lecz nie zrobił tego i tylko patrzył tępo, przez długą chwilę w ogóle się nie odzywając. Potem zaś jeszcze raz spróbował skierować rozmowę na inne tory. Postanowiłem nie ciągnąć już tamtego tematu, gdyż Lawrence dość już wycierpiał i kolejne słowo z mojej strony byłoby kroplą przepelniającą czarę jego gorzkości.

Co prawda nie zdążyłem na podwieczorek, ale matka wspaniałomyślnie trzymała dla mnie imbryk z herbatą i ciasto na ciepłej płycie z boku kominka. I choć nieco zbeształa mnie za spóźnienie, nie gniewała się za bardzo, a gdy poskarżyłem się, że stojąca zbyt długo herbata jest za mocna, zaraz nakazała Rose zaparzyć świeżej. Tamta wykonała polecenie, czyniąc jednak przy tym wiele hałasu i wygłaszając godne odnotowania uwagi.

– Tak! Gdyby chodziło o mnie, wcale nie dostałabym teraz herbaty i nawet Fergus musiałby się w takich okolicznościach zadowolić tym, co jest. Ale dla ciebie wszystko musi być zawsze najlepsze. Jeżeli na stole pojawi się coś wyjątkowo pysznego, mama daje mi znaki, bym się pohamowała. A jeśli na to nie zważam, szepcze do mnie: „Nie jedz tak dużo, Rose. Gilbert będzie miał na kolację”. *Ja* w ogóle dla niej nie istnieję. W bawialni mówi do mnie: „Dalejże, Rose, odłóż wszystko i posprzątaj, by chłopcy po powrocie do domu zastali w nim porządek. I nie pozwól, aby ogień zgasł w komiku – Gilbert tak lubi, kiedy płomienie są wysokie”. W kuchni mama przykazuje: „Rose, placek ma być duży. Chłopcy na pewno będą okrutnie głodni. I nie przesadz z pieprzem, bo nie będzie im smakować”. Albo: „Rose, nie syp zbyt dużo przypraw do puddingu, Gilbert nie lubi”. Albo też: „Pamiętaj, by w cieście było dużo rodzynek, bo Fergus je uwielbia”. Jeżeli ja powiem: „Ale *ja* ich nie lubię, mamó”, to słyszę, że nie powinnam myśleć tylko o sobie. „Wiesz, Rose, prowadząc gospodarstwo domowe trzeba nam pamiętać tylko o dwóch rzeczach: o tym, co wypada oraz o tym, co będzie najlepsze dla naszych dżentelmenów”. Zdaniem mamy kobiety powinny zadowalać się byle czym.

– Gilbert na pewno przyzna, że to bardzo dobra doktryna – powiedziała matka.

– W każdym razie to doktryna bardzo wygodna dla nas – odrzekłem. – Ale jeśli mama

naprawdę chciałyby zrobić mi przyjemność, powinna zacząć więcej myśleć o sobie i własnej wygodzie. Co do Rose, nie mam żadnych wątpliwości, że potrafi sama o siebie zadbać. Za każdym razem, gdy przez wzgląd na mnie się czegoś wyrzeka lub zdobywa się na jakieś ogromne poświęcenie, nie omieszka się mnie o tym wyczerpująco poinformować. I dobrze, bo dzięki mamie mógłbym osiągnąć szczyty samopobłażania i egoizmu. Gdybym zupełnie nie wiedział, ile trudu zadajecie sobie z mojego powodu, łatwo byłoby mi się przyzwyczaić do tego, że ktoś się mną nieustannie opiekuje i natychmiast zaspokaja wszystkie moje potrzeby, niekiedy nawet zanim zdążą się pojawić. Gdyby Rose od czasu do czasu mnie nie oświecała, wasza dobroć jawiłaby mi się jako coś naturalnego i nie zdawałbym sobie sprawy z tego, jak wiele wam zawdzięczam.

– Ach! *Zdasz sobie sprawę*, Gilbercie, dopiero wtedy, gdy się ożenisz – dopiero wtedy, kiedy będziesz miał u swego boku tak próżną i dbającą tylko o własne przyjemności dziewczynę, jak Eliza Millward. Albo taką upartą damę, jak pani Graham – nieświadomą swych podstawowych obowiązków i mądrą tylko w kwestiach, którymi kobieta nie powinna sobie zaprzętać głowy.

– Dobrze mi to robi, mamó. Wierzę, że nie przyszedłem na świat tylko po to, by korzystać z dobroci bliźnich, ale też po to, by samemu na coś im się przydać. Podejrzewam, że kiedy się ożenię, większą przyjemność czerpać będę z dbania o szczęście i wygodę mojej żony niż z sytuacji odwrotnej. Wolę dawać niż otrzymywać.

– Och! To niedorzeczność, mój drogi. Przemawia przez ciebie jeszcze młody chłopiec. Szybko znudzi ci się dogadzanie żonie i certowanie się z nią, choćby była nawet najbardziej czarująca. I właśnie wtedy poczujesz, jaki to trud.

– Cóż, będziemy sobie nawzajem pomagać w znoszeniu trudów życia.

– Ale każde z was powinno być na właściwym miejscu. Ty będziesz robił to, co do ciebie należy, a twoja żona – jeśli będzie ciebie godna – to, co należy do niej. I jej powinnością będzie dbanie o twoją wygodę. Jestem przekonana, że twój drogi ojciec był najlepszym mężem, jakiego nosił ten świat, ale gdy minęło pierwsze półrocze naszego małżeństwa, prędkiej spodziewałabym się, że zacznie latać niż zada sobie trud i spróbuje sprawić mi jaką przyjemność. Zawsze powiadał, że jestem dobrą żoną, wypełniającą należycie swoje obowiązki. A on nie zanieczywał swoich – niech Pan świeci nad jego duszą! Był zrównoważony i sumienny, przeważnie sprawiedliwy, zawsze chwalił moją kuchnię i prawie nigdy nie spóźniał się na posiłki. I to wszystko, czego żona powinna oczekiwać od męża.

Czy zgodziłbyś się z tym, Halfordzie? Czy tak przedstawia się cała skala Twoich domowych cnót? I czy Twoja szczęśliwa małżonka nie oczekuje od Ciebie niczego ponadto?

Rozdział VII

Wyprawa

Niedługi czas potem, w pewien słoneczny i ciepły poranek – dość błotnisty, bowiem ostatnia powłoka śniegu przykrywająca ziemię dopiero co stopniała, tu i ówdzie pozostawiając jeszcze po sobie białe pasma – znajdowałem się na zboczu wzgórza, gdzie zasłuchany w niebiańską, zwiastującą wiosnę pieśń skowronka pilnowałem swych jagniąt. Rozglądając się wokół, dostrzegłem nagle w oddali trzy idące od doliny ludzkie sylwetki, a kiedy rozpoznałem w nich Elizę Millward, Fergusą i Rose, ruszyłem im na spotkanie. Okazało się, że zmierzają do Wildfell Hall, zaproponowałem więc, że dotrzymam im towarzystwa i podawszy Elizie swoje ramię, które ta chętnie przyjęła w miejsce ramienia mego brata, kazałem Fergusowi wracać.

– Co takiego, proszę? – zawołał. – To damy mnie towarzyszą, a nie na odwrót. Wszyscy już mieliście okazję nasycić oczy widokiem owej wspaniałej nieznajomej, ale ja jeszcze nie i dłużej tego nie będę znosił. Niech się dzieje co chce – moja żalosna ciekawość musi zostać wreszcie zaspokojona. Próbowałem namówić Rose, by zgodziła się od razu pójść ze mną do Wildfell Hall i przedstawić mnie jego lokatorce, ale postawiła warunek, że towarzystwa musi nam dotrzymać panna Eliza. Toteż zaraz pospieszyłem po nią na plebanię i dotąd szliśmy z panną Millward ramię w ramię – niczym para zakochanych. A ty teraz chcesz mi ją odebrać, i do tego pozbawić mnie przyjemności wizyty w dworze. Wracaj do swoich owiec, prosty chłopie. Nie masz czego szukać pośród takiego wielkiego państwa jak my, którzy całe dni mogą spędzać na węszeniu po domach sąsiadów, przeglądaniu im kątów, wietrzeniu ich sekretów i szukaniu dziur w ich płaszczach, jednocześnie nie zauważając ich w swoich. Ty nie rozumiesz takich wyrafinowanych przyjemności.

– A obaj panowie pójść nie mogą? – zapytała Eliza, ignorując ostatnią część przemowy Fergusą.

– Oczywiście, że mogą – zawołała Rose. – Im więcej nas będzie, tym będzie weselej. A pewna jestem, że gdy znajdziemy się już w tamtym wielkim, mrocznym pomieszczeniu z wąskimi oknami i ponuro wyglądającymi meblami będzie nam trzeba tyle pogody ducha, ile tylko zdołamy z siebie wykrzesać. Chyba że pani Graham znów przyjmie nas w swojej pracowni.

Zatem poszliśmy wszyscy razem. Otworzywszy nam drzwi, stara, koścista służąca zaprowadziła nas do pomieszczenia, które Rose miała już okazję poznać podczas swojej pierwszej wizyty u pani Graham. Był to pokój przestronny i wysoki, ale zarazem ciemny, gdyż staromodne, kratowe okna wpuszczały do środka niewiele światła. W dodatku sufit, ściany i rzeźbiony kominek obłożone były ciemnym dębem i tak samo ciemne były stojące tu meble. Po jednej stronie kominka znajdowała się stara biblioteczka zapełniona

zbiorowiskiem rozmaitych ksiąg, po drugiej stało pianino.

Dama siedziała w wysokim, twardym fotelu przy okrągłym stoliku i z synkiem u boku. Chłopiec stał, wspierając się łokciem na jej kolanie i czytając na głos z zadziwiającą płynnością z małej książeczki leżącej na jej podołku, podczas gdy ona bawiła się w zamyśleniu długimi puklami jego włosów, które opadały na jego białą szyjkę. Uderzył mnie przyjemny kontrast, który stanowili oboje wobec swojego otoczenia.

Podaję, że pani Graham nie była zachwycona naszym pojawieniem się. Pełna rezerwy uprzejmość, z jaką nas przyjęła zdawała się mi być podszyta czymś nieopisanie lodowatym. Sam nie zamieniłem z panią domu wielu słów, za to, usiadłszy przy oknie, z dala nieco od całej reszty, przywołałem do siebie Arthura i we trójkę wraz z Sancho spędziliśmy bardzo miłe chwile, podczas gdy dwie młode damy zamęczały matkę chłopca rozmową o głupstwach. Fergus ze skrzyżowanymi nogami i trzymając ręce w kieszeniach spodni siedział odchyłony na swym krześle, to spoglądając na sufit, to zerkając na panią Graham (w taki sposób, że czułem przemożną chęć, by wyrzucić go z pomieszczenia), to pogwizdując pod nosem fragment swej ulubionej melodii, to wtrącając się do rozmowy lub przerywając chwilę milczenia jakimś zuchwałym pytaniem czy uwagą w rodzaju:

– Zdumiewa mnie fakt, że wybrała pani taką walącą się ruinę na swoje miejsce do życia, pani Graham. Jeśli nie stać pani było na to, by zająć cały dom i dokonać w nim koniecznych napraw, dlaczego nie zamieszkała pani w jakim przyjemnym, małym domku?

– Być może byłam zbyt dumna, panie Fergusie – odpowiedziała tamta z uśmiechem. – Być może szczególnie upodobałam sobie tę romantyczną, staroświecką siedzibę. I nie da się ukryć, że ma ona więcej zalet niż mały domek. Po pierwsze, pomieszczenia są tutaj bardziej przestronne, a po drugie, w tych pustych pokojach, za które nie muszę płacić mogłabym trzymać wszystkie niepotrzebne rzeczy, gdybym jakieś miała. A do tego stanowią one wspaniałe miejsce do zabawy dla mojego syna podczas deszczowych dni. Poza tym, mamy tu ogród, w którym, jak pan widzi, poczyniłam już pewne postępy – dodała, odwracając się do okna. – W tamtym zakątku mamy grządkę z warzywami, a tam kwitną już śnieżyczki, pierwiosnki i krokusy.

– Ale jakże potrafi pani znieść myśl, że żyje w tak odludnym miejscu? Pani najbliżsi sąsiedzi mieszkają przecież dwie mile dalej i nikt tędy nigdy nie przechodzi, nikt tu nie zagląda. Rose w podobnej sytuacji całkiem postradałaby zmysły – nie przeżyje, jeśli nie zobaczy co dzień pół tuzina nowych sukien i kapotek, nie mówiąc już o noszących je głowach. A tutaj mogłaby przesiedzieć w oknie cały długi dzień i nie wypatrzyłaby nikogo prócz staruszki niosącej jaja na targ.

– Samotne położenie tego domu uznałam właśnie za jedną z jego zalet. Nie znajduję przyjemności w obserwowaniu ludzi przez okno. Za to cenię sobie ciszę.

– Och! Co, innymi słowy, znaczy, że chciałaby pani, ażebyśmy wszyscy pilnowali swojego nosa i zostawili panią w spokoju.

– Ależ nie. Nie jestem, co prawda, zanadto towarzyska, ale mam, oczywiście, kilku przyjaciół i lubię się z nimi spotykać od czasu do czasu. W całkowitym osamotnieniu nikt

nie mógłby być szczęśliwy. Zatem zawsze będę rada z pańskich odwiedzin, panie Fergusie. Pod warunkiem jednak, że wejdzie pan do tego domu jako przyjaciel – powiedziawszy to, pani Graham zwróciła się z jakąś uwagą do Rose i Elizy.

Po pięciu minutach Fergus jednak znów się odezwał.

– Pani Graham, idąc tutaj, spieraliśmy się o pewną kwestię, którą z łatwością mogłaby pani pomóc nam rozstrzygnąć, jako że głównie dotyczy ona właśnie jej osoby. Muszę przyznać, że często prowadzimy dyskusje na pani temat, bo niektórzy z nas nie mają nic lepszego do roboty od zajmowania się życiem sąsiadów. A ponieważ mieszkamy tu wszyscy razem od urodzenia, znamy się na wskroś i zbrzydło już nam plotkowanie o sobie nawzajem. Nic dziwnego więc, że w nieznajomych, którzy przybywają w te strony widzimy nowe, bezcenne źródło rozrywki. A zatem kwestią lub kwestiami, które chciałbym, aby pomogła nam pani rozstrzygnąć...

– Zamilknij, Fergusie! – zawołała ze zgrozą Rose.

– Powiadam ci, że nie zamilknę. A zatem pierwsza kwestia dotyczy pani pochodzenia i poprzedniego miejsca zamieszkania. Niektórzy twierdzą, iż jest pani cudzoziemką, inni – że Angielką. Jedni upierają się, że musi pani pochodzić z północy kraju, a drudzy, że z południa. Są tacy, którzy mówią...

– A więc, panie Fergusie, zaspokoje pańską ciekawość. Jestem Angielką – i nie wiem, dlaczego ktoś miałby w to wątpić. Urodziłam się natomiast na wsi – ani na północy, ani też na południu naszej uroczej wyspy – i na owej wsi spędziłam większą część życia. Mam nadzieję, że moja odpowiedź pana usatysfakcjonowała, bo więcej w tej chwili już panu nie powiem.

– Jeszcze tylko jedno...

– Nie, dość już pytań! – roześmiała się pani Graham i podniósłszy się gwałtownie ze swego miejsca, podeszła do okna, przy którym siedziałem. Doprowadzona do ostateczności napastliwością mego brata, w akcie desperacji podjęła próbę nawiązania ze mną rozmowy.

– Panie Markham – rzekła, a szybkość, z jaką słowa padały z jej ust i rumieniec, który wypłynął na jej policzek niezbitcie świadczyły o jej zdenerwowaniu. – Czy pamięta pan, jak rozmawialiśmy o owym miejscu, z którego ponoć rozciąga się tak piękny widok na morze? Chyba poproszę pana, by już teraz objaśnił mi, którądy najłatwiej tam dotrzeć. Jeśli ta piękna pogoda się utrzyma, niebawem będę musiała wybrać się tam ze swoim szkicownikiem. Tutaj nie mogę znaleźć już żadnych tematów do swoich obrazów – zdaje się, że wszystkie wyczerpałam.

Już miałem spełnić jej prośbę, kiedy wtrąciła się Rose:

– Och, niczego jej nie mów, Gilbercie! Pani Graham pojedzie tam razem z nami. Jeżeli obydwie mamy na myśli tę samą zatokę, to trzeba pani wiedzieć, że znajduje się ona bardzo daleko stąd i na piechotę trudno byłoby pani tam dotrzeć, nie mówiąc już o Arthurze. Planowaliśmy jednak, że w jakiś pogodny dzień wybierzemy się tam na piknik i wszyscy bylibyśmy radzi z pani towarzystwa.

Nieszczęsna pani Graham wyglądała na skonsternowaną i próbowała wymówić się jakimś pretekstem, lecz Rose – być może współczując jej samotnego życia, a być może pragnąc za wszelką cenę pogłębić swoją znajomość z nią – nie chciała o tym słyszeć. Zapewniła ją, że będzie nas zaledwie garstka przyjaciół, dodając, że najlepszy widok rozciąga się z pewnego urwiska, które leży całych pięć mil stąd.

– To tylko miły spacer dla dżentelmenów – ciągnęła Rose. – A damy na zmianę będą szły pieszo i jechały wozem ciągnionym przez kucyka. Zmieszczą się na nim trzy dorosłe osoby i Arthur, a do tego jeszcze pani przybory malarskie i nasz prowiant.

Pani domu wreszcie przystała na tę propozycję, a po przedyskutowaniu dalszych szczegółów planowanej wycieczki pożegnaliśmy się z nią.

Lecz był to dopiero marzec. Zdążył przeminąć cały zimny, deszczowy kwiecień i dwa tygodnie maja, nim ośmieliliśmy się zaryzykować wyprawę, z nadzieją, że miłych chwil spędzonych w pięknej scenerii i w wesołym towarzystwie nie zmacą nieprzejezdne drogi, podmuchy zimnego wiatru czy groźne chmury. Wreszcie w pewien piękny poranek wyruszyliśmy. W naszym gronie znajdowali się: pani i panicz Graham, Mary i Eliza Millward, Jane i Richard Wilson oraz Rose, Fergus i niżej podpisany Gilbert Markham.

Pan Lawrence, który również był zaproszony, z jakiegoś wiadomego tylko sobie powodu nie zdecydował się zaszczyścić nas swą obecnością. Po tym, jak osobiście przedstawiłem mu nasze plany, zawahał się i zapytał, kto poza mną miał wziąć udział w wyprawie. Kiedy pośród innych wymieniłem nazwisko panny Wilson, wyglądało na to, że pan Lawrence zdecyduje się do nas przyłączyć, lecz gdy – myśląc, że tym sposobem zachęcę go jeszcze bardziej – wspomniałem o pani Graham, rezultat okazał się odwrotny i usłyszałem kategoryczną odmowę. Prawdę powiedziawszy, jego decyzję przyjąłem z zadowoleniem, choć nie umiałbym wyjaśnić dlaczego.

Kiedy dotarliśmy do celu naszej podróży, było około południa. Pani Graham całą drogę pokonała pieszo, a i mały Arthur przeszedł na piechotę jej lwią część, bowiem ostatnimi czasy stał się dużo silniejszy, a poza tym siedzenie na wozie z nieznanymi nie przypadło mu do gustu i wolał maszerować daleko w tyle w towarzystwie swojej matki, psa Sancho, pana Markhama i panny Millward.

Z wielką przyjemnością wspominam ów spacer po rozświetlonej promieniami słońca drodze, gdzieniegdzie przysłoniętej cieniami, które rzucały na nią jasnozielone drzewa. Co prawda, nie miałem u swojego boku Elizy, która wraz ze swoimi przyjaciółkami jechała wozem, ale wierzyłem, że jest tak szczęśliwa, jak ja. A kiedy razem z pozostałymi piechurami porzuciłem bity gościniec na rzecz krótszej drogi przez pola i ujrzałem, jak tamten mały powozik znika za zielonymi drzewami, nie gniewałem się na owe drzewa za to, że skradły moim oczom jej widok. Zbyt rad byłem zaiste z towarzystwa pani Graham, by ubolewać nad nieobecnością Elizy Millward.

Ta pierwsza wprawdzie sprawiała z początku wrażenie nieprzystępnej i zdawało się, że jest zdecydowana nie odzywać się do nikogo prócz Mary Millward i Arthura. Obie damy szły obok siebie z chłopcem pośrodku, lecz tam, gdzie pozwalała na to droga, trzymałem

się blisko pani Graham, podczas gdy Richard Wilson kroczył po stronie panny Millward, a Fergus, w zależności od upodobania, błąkał się tu i tam. Po pewnym czasie młoda wdowa stała się bardziej towarzyska i w końcu udało mi się zagarnąć dla siebie prawie całą jej uwagę – wówczas zaiste byłem szczęśliwy. Bowiem ilekroć decydowała się przemówić, lubiłem jej słuchać. Tam, gdzie jej opinie i odczucia zgadzały się z moimi zachwycałem się jej wielką inteligencją, jej wyśmienitym gustem i wrażliwością. Tam, gdzie jej poglądy różniły się od moich doceniałem bezkompromisowość i śmiałość, z jakimi ich broniła. I im bardziej irytowała mnie jakimś niemiłym słowem, nieprzyjemnym spojrzeniem czy nieprzychylnym wnioskiem, do którego dochodziła na mój temat, tym bardziej wyrzucałem sobie, że wywarłem na niej niekorzystne wrażenie i tym silniejsze było moje pragnienie zrehabilitowania się w jej oczach i zasłużenia na jej szacunek.

Nasza wędrówka dobiegła wreszcie końca. Wznoszące się coraz wyżej wzgórze od jakiegoś czasu ograniczały nam pole widzenia, ale po pokonaniu kolejnego wzniesienia oczom naszym ukazał się głęboki granat morza – nie całkiem spokojnego, bowiem po jego powierzchni przesuwają się połyskujące fale przyboju. Nad nimi tańczyły mewy, których białe skrzydła migotały w promieniach słońca, a w oddali widoczne były jedynie dwa statki.

Zerknąłem na swą towarzyszkę, by przekonać się, jak przyjęła ten niezwyklej urody widok. Nie odzywając się w ogóle, stała w bezruchu, a wyraz jej oczu mówił mi, że się nie zawiodła. Notabene, oczy miała piękne, czy już o tym wspominałem? – wyraziste, wielkie i niemal czarne – nie brązowe, lecz w bardzo ciemnym odcieniu szarości. Od morza docierała nas ożywcza, chłodna bryza, która rozwiewała pukle jej włosów i sprawiła, że jej zazwyczaj zanadto blade wargi i policzki nabrały koloru. I ja poczułem ów orzeźwiający wpływ wiatru, i choć jego muśnięcia wywołały we mnie radosne zniecierpliwienie, nie ośmielałem się mu poddawać, skoro ona stała obok taka milcząca. W wyrazie jej oblicza krył się rodzaj poskramianej euforii, która, gdy nasze oczy się spotkały, rozkwitła w pełen radości, inteligentny uśmiech. Nigdy dotąd nie wyglądała tak uroczo, jeszcze nigdy dotąd nie ociepliła w ten sposób mojego serca. Gdyby pozwolono nam stać tak sam na sam jeszcze dwie minuty dłużej, nie wiem, jakie mogłyby być tego konsekwencje. Szczęśliwie dla mnie, szybko wezwano nas na posiłek, który Rose przy pomocy panny Wilson i Elizy zdążyła już przygotować na wychodzącym na morze pomoście, osłanianym od gorącego słońca przez występ skalny i wiszące gałęzie drzew.

Pani Graham nie zdecydowała się siąść obok mnie, a moją najbliższą sąsiadką została Eliza, która na swój delikatny, nienatarczywy sposób robiła co mogła, by mi się przypodobać. I gdyby nie mój obecny stan ducha, bez wątpienia byłbym nią zafascynowany i oczarowany jak zawsze. Mimo wszystko jednak wkrótce udało jej się stopić nieco lód mojego serca i ów długi, wspólny posiłek upłynął nam obojgu, jeśli się nie mylę, radośnie.

Kiedy wszyscy skończyli się posilać, Rose poleciła Fergusowi, by pomógł jej uprzątnąć naczynia i sztućce. Pani Graham tymczasem chwyciła swój składany stołek oraz przybory do rysowania i poprosiła pannę Millward, ażeby nie spuszczała jej najdroższego syna z oczu, a jemu samemu przykazała, by nie oddalał się od swojej opiekunki. Następnie skierowała

się w górę stromego, skalistego wzgórza, zamierzając dotrzeć na pewną urwistą wyniosłość, gdzie spodziewała się znaleźć jeszcze wspanialszy widok dla swego szkicu, aczkolwiek niektóre z dam stanowczo jej to odradzały, ostrzegając, że to niebezpieczne miejsce.

Gdy straciłem panią Graham z oczu, zdało mi się, że wraz z nią odeszła cała radość, choć nie potrafiłbym powiedzieć, w jaki sposób jej obecność przyczyniała się do podniesienia ogólnego nastroju. Z jej ust nie padały żadne żarty i rzadko się śmiała. A jednak jej uśmiech ożywiał całą moją duszę, a każda bystra obserwacja czy pogodna uwaga uczyniona przez nią wyostrzała moje zmysły i nadawała sensu temu, co mówiła cała reszta. Jej obecność ożywiła nawet moją rozmowę z Elizą, mimo że nie zdawałem sobie z tego sprawy. A kiedy odeszła, żartobliwa paplanina młodszej panny Millward nie tylko przestała mnie bawić, ale stała się zgoła nużąca. Czułem, że to odległe miejsce, w którym piękna artystka samotnie uprawia swą sztukę nieodparcie mnie do siebie przyciąga i prędko przestałem z tym walczyć. Wykorzystując to, że moja urocza sąsiadka odwróciła się, by zamienić kilka słów z panną Wilson, wstałem i cicho wymknąłem się. Wkrótce szybkie, długie kroki doprowadziły mnie tam, gdzie znajdowała się pani Graham – na skraj opadającego stromo ku kamienistemu wybrzeżu urwiska.

Najwyraźniej nie usłyszała moich kroków, bowiem kiedy mój cień padł na papier, wzdrygnęła się i gwałtownie odwróciła.

– Och! Nie wiedziałam, że to pan. Dlaczego mnie pan wystraszył? – zapytała z lekkim rozdrażnieniem. – Nie znoszę, gdy ktoś do mnie tak niespodziewanie podchodzi.

– Gdybym wiedział, że jest pani tak nerwowa, byłbym ostrożniejszy, ale...

– Och, nie mówmy już o tym. Po co pan przyszedł? Czy wszyscy inni też idą?

– Nie, nie zmieściliby się wszyscy na tym niewielkim występie skalnym.

– To dobrze. Zmęczyły mnie już rozmowy.

– Wobec tego nie będę nic mówił. Usiądę sobie tylko, by popatrzeć, jak pani rysuje.

– Ale wie pan przecież, że tego nie lubię.

– Zatem zadowolę się podziwianiem widoków.

Nie sprzeciwiła się temu i przez pewien czas szkicowała w milczeniu. Ja jednak, nie bacząc na to, że obiecałem jej nie patrzeć, od czasu do czasu zerkałem na jej kształtną, białą dłoń ściskającą ołówek, na jej zgrabną szyję i lśniące, kruczoczarne pukle jej włosów, które opadały teraz na papier.

„Gdybym tylko miał ołówek i kawałek papieru – pomyślałem – mógłbym w tej chwili narysować znacznie ładniejszy szkic, pod warunkiem, że umiałbym wiernie oddać to, co teraz widzę”.

Ale choć nie miałem zaznać tej przyjemności, sama możliwość siedzenia przy niej w milczeniu przepelniała mnie poczuciem zadowolenia.

– Czy wciąż pan tam jest, panie Markham? – odzywając się wreszcie, obejrzała się za siebie (siedziałem bowiem nieco w tyle, na pokrytej mchem półce skalnej). – Dlaczego nie pójdzie pan poszukać rozrywki w towarzystwie swoich przyjaciół?

– Ponieważ, tak jak pani, jestem już nimi zmęczony. Zresztą jutro i w kolejne dni będę miał ich towarzystwa pod dostatkiem, a przyjemność zobaczenia pani może nie być mi dana przez Bóg jeden wie jak długi czas.

– Co robił Arthur, kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Był tam, gdzie go pani zostawiła – przy panie Millward. Nic mu nie doskwierało, tylko chciał, żeby jego mama wkrótce wróciła. A swoją drogą, nie powierzyła go pani mojej opiece – mruknąłem – chociaż mam zaszczyt znać was oboje znacznie dłużej niż panna Millward.

Zaraz dodałem jednak niedbale:

– Ale przypuszczam, że jeśli posiada ona jakiś dar, to jest to właśnie dar obłaskawiania i rozweselania dzieci.

– Panna Millward ma wiele godnych podziwu zalet, których pan i panu podobni nigdy nie będą potrafili dostrzec i docenić. Czy mógłby pan powiedzieć Arthurowi, że wrócę za kilka minut?

– Jeśli to tylko kilka minut, proszę pozwolić mi zostać z panią do końca. Potem pomogę pani zejść z tej stromizny.

– Dziękuję, ale w takich okolicznościach najlepiej sobie radzę bez cudzej pomocy.

– Mógłbym chociaż ponieść pani stołek i szkicownik.

Choć nie odmówiła mi tej przyjemności, poczułem się nader urażony jej wyraźnym pragnieniem pozbycia się mnie. Mój gniew jednak wkrótce minął, kiedy poprosiwszy mnie o radę w jakiejś kwestii dotyczącej jej rysunku, zgodziła się z moją opinią i bez chwili wahania wykorzystwała moje wskazówki.

– Często, kiedy od długiego już czasu wpatruję się w jakiś przedmiot i zaczynam tracić zaufanie do własnego umysłu i własnych oczu, ubolewam nad tym, że nie mogę tak po prostu poprosić kogoś o radę.

– To jedna z niewygód, na jaką naraża nas samotne życie – odpowiedziałem.

– To prawda – przyznała, po czym obydwójce znów popadliśmy w milczenie.

Mniej więcej dwie minuty później uznała, że szkic jest skończony i zamknęła zeszyt.

Po naszym powrocie na pomost zastaliśmy tam tylko Mary Millward, Richarda Wilsona i Arthura Grahama, wszyscy pozostali bowiem się rozeszli. Chłopiec leżał pogrążony w głębokim śnie z główką spoczywającą na kolanach damy. Młody dżentelmen siedział obok, trzymając w ręku kieszonkowe wydanie dzieła jakiegoś klasyka – nigdzie nie ruszał się bez książek, a czas niepoświęcony nauce wydawał się mu stracony. Nawet teraz – w podmuchach rześkiego powietrza i w ciepłych promieniach słońca – nie potrafił się zapomnieć. Nawet w obliczu tak wspaniałych widoków, nawet wobec tego kojącego odgłosu fal i łagodnego szumu wiatru w koronach drzew i nawet w towarzystwie damy (aczkolwiek przyznam, że niezbyt urodziwej) – potrzebował zatopić się w lekturze i wykorzystać owe chwile pożytecznie.

Być może jednak od czasu do czasu poświęcał moment, by wymienić się ze swą towarzyszką słowem lub spojrzeniem, gdyż ta bynajmniej nie wydawała się dotknięta jego

zachowaniem, tylko z wyrazem niezwyklej radości na swej pospolitej twarzy przyglądała się jego blademu, zamyślonemu obliczu.

Powrotna droga do domu nie była bynajmniej tak przyjemna, jak poprzednia część dnia, bowiem pani Graham jechała teraz wozem, a podczas wędrowki towarzyszyła mi tylko Eliza. Panna Millward dostrzegła moją słabość do młodej wdowy i wyraźnie uważała się za pokrzywdzoną, chociaż nie demonstrowała swego rozżalenia pretensjami, uszczypliwościami ani nadąsaną miną czy milczeniem. Wszystko to potrafiłbym znieść i z łatwością umiałbym obrócić w żart, tymczasem jej cicha melancholia zraniła mi serce. Robiłem wszystko, by ją rozweselić i przed końcem naszej wyprawy chyba w pewnym stopniu mi się to udało. Ale cóż z tego, skoro sumienie czyniło mi wyrzuty – wiedziałem bowiem, że prędzej czy później istniejąca pomiędzy nami więź musi zostać zerwana i że w ten sposób podsycam jedynie jej płonne nadzieje.

Kiedy wóz zbliżył się do Wildfell Hall na tyle, na ile pozwalała kamienista droga, młoda wdowa i jej synek zsiadli, natomiast Rose zajęła jedno ze zwolnionych przez nich miejsc. Przekonawszy Elizę do zajęcia drugiego, upewniłem się, czy jest jej wygodnie i poprosiłem, ażeby uważała na zimne, wieczorne powietrze. Potem z uczuciem wielkiej ulgi pożegnałem się z nią i pospieszyłem zaoferować pani Graham swą pomoc w niesieniu przyborów do rysowania. Ona jednak, trzymając już w ręku swój składany stołek i szkicownik, uparła się od razu ze mną rozstać. Lecz tym razem odrzuciła mą pomoc w tak uroczy i uprzejmy sposób, że prawie nie miałem jej tego za złe.

Rozdział VIII

Podarunek

Uplęnęło sześć tygodni. Był nader pogodny poranek pod koniec czerwca, lwią część sianokosów miałem już za sobą, ale miniony tydzień obfitował w deszcz, toteż kiedy nareszcie piękna aura wróciła, zdecydowany byłem wykorzystać ją w pełni. Zebrałem wszystkich swoich parobków i najmitów na polu i sam również, z zakasnymi rękawami i w słomkowym kapeluszu na głowie, przyłączyłem się do robót. Zamierzałem pracować w pocie czoła od świtu do zmierzchu i z taką samą gorliwością i sumiennością, jakiej oczekiwałem od swych robotników – zarówno po to, by natchnąć ich swoim przykładem, jak i po to, by własnymi wysiłkami przyczynić się do lepszych efektów prac. Jednak wszystkie moje postanowienia legły w gruzach, kiedy ni stąd, ni zowąd pojawił się mój brat, który włożył mi w dłoń niewielkie zawiniątko. Przybyło właśnie z Londynu i czekałem na nie już od pewnego czasu. Gdy rozdarłem papier, oczom naszym ukazało się eleganckie wydanie poematu *Marmion*.^[4]

– Wiem, dla kogo to – oznajmił Fergus, podczas gdy ja z zadowoleniem przyglądałem się tomikowi. – Przyznaj, że to dla panny Elizy!

Wypowiedział te słowa tonem tak autorytatywnym i z tak pewną miną, że z przyjemnością zaprzeczyłem.

– Mylisz się, chłopcze – rzekłem, po czym, chwyciwszy swój surdut, narzuciłem go na siebie, wkładając książeczkę w jedną z jego kieszeni. – Dalejże, wałkoniu, chociaż raz się na coś przydaj. Zdejmij surdut i zastąp mnie na polu, dopóki nie wrócę.

– Dopóki nie wrócisz? A dokądże to idzie dżentelmen, jeśli można zapytać?

– Nieważne *dokąd*, ważne *na jak długo* – wrócę najpóźniej w porze obiadowej.

– Więc to tak! A ja mam do tego czasu harować, tak? I pilnować, by ci panowie tutaj się nie ociągali? No, no! Dobrze więc, raz jeden na to przystanę. Uwaga, panowie, nie wolno wam się guzdrać. Zaraz *sam* przyjdę wam z pomocą. I biada temu, który zmarnuje choć chwilę na rozglądanie się wokół, drapanie się po głowie czy wydmuchiwanie nosa – żadne wymówki na nic się nie zdadzą. Trzeba wam w pocie czoła pracować, pracować i jeszcze raz pracować...

Zostawiając go pośród owej przemowy, mającej na celu raczej rozbawić robotników niż podnieść ich morale, zawróciłem do domu. Tam przebrałem się i zaraz pospieszyłem w kierunku Wildfell Hall, a wraz ze mną pochodząca z Londynu książeczka, jako że była ona przeznaczona dla pani Graham.

„Jak to, czy wasza znajomość znalazła się w fazie sprawiania sobie nawzajem podarunków?” – zapytałbyś zapewne. Otóż nie do końca, stary druhu. To był mój pierwszy eksperyment w tym względzie i bardzo spieszno mi było przekonać się co do jego

rezultatów.

Od czasu wyprawy nad Zatokę X. zdążyliśmy spotkać się kilkukrotnie i podczas tych spotkań odkryłem, że dopóty, dopóki ograniczam się w rozmowie do tematów neutralnych i banalnych, moje towarzystwo nie jest pani Graham niemiłe. Z chwilą gdy decydowałem się mówić o uczuciach lub gdy próbowałem obdarować ją jakim ciepłym słowem czy spojrzeniem, nie tylko od razu karała mnie, zmieniając całkowicie swoje wobec mnie nastawienie, ale także przy następnym naszym spotkaniu była bardziej spięta i zimna, jeśli nie całkowicie nieprzystępna. Nie martwiłem się tym jednakże zanadto, gdyż przypisywałem to nie tyle jej niechęci do mojej osoby, co jakiemuś stanowczemu, powziętemu przez nią jeszcze zanim się poznaliśmy postanowieniu, by nie wychodzić po raz drugi za mąż. Sądziłem, że być może wynikało ono z głębokiego uczucia, jakim darzyła swego świętej pamięci małżonka, a być może z rozczarowania nim i instytucją małżeństwa w ogóle. Początkowo zaiste zdawała się czerpać przyjemność z upokarzania mej próżności i poskramiania mojego tupetu – bezlitośnie dusząc je w zarodku, gdy tylko ośmielały się pojawić. Jednak jakiś czas później, przekonawszy się ponad wszelką wątpliwość, że nie jestem tym pustogłowym fircykiem, za którego pierwotnie mnie uważała, zaczęła odpiierać moje subtelne zaloty w zupełnie innym duchu. Mam tu na myśli rodzaj pewnego smutku, którego wkrótce nauczyłem się w niej nie prowokować.

„Wpierw muszę ugruntować swą pozycję jako towarzysza zabaw i przyjaciela jej syna – myślałem – i jako trzeźwo myślącego, niezawodnego i uczciwego powiernika jej samej. A później, kiedy przyzwyczai się już do mojej obecności w swym życiu, pocieszenia i radości, które mogę przecież w nie wnieść... – wtedy zobaczymy, co dalej”.

Zatem rozmawiałem z nią o malarstwie, literaturze i muzyce, na tematy teologiczne i filozoficzne, raz czy dwa pożyczyłem jej jakąś książkę, a ona w zamian raz pożyczyła mi swoją. Starłem się widywać ją podczas jej spacerów tak często, jak tylko mogłem i odwiedzałem ją w jej domu tak często, jak się ważyłem. Pierwszym pretekstem, pod którym ośmieliłem się wtargnąć do jej prywatnego sanktuarium było przeznaczone przeze mnie dla Arthura maleńkie, chwiejące się jeszcze na swych łapkach szczenię. Podarek (którego ojcem był Sancho) niewypowiedzianie uszczęśliwił dziecko i tym samym musiał sprawić przyjemność jego mamie. Za drugim razem posłużyłem się książką, którą przyniosłem dla Arthura i którą – wiedząc, jak wymagająca jest pod tym względem jego matka – wybierałem z najwyższą ostrożnością. Potem zaniósłem jej w imieniu Rose kilka roślin do ogrodu, uprzednio namówiwszy siostrę do sprezentowania ich młodej wdowie. Podczas każdej swojej wizyty dowiadywałem się o obraz, który pani Graham malowała ze szkicu sporządzonego nad zatoką, na co zapraszany byłem do jej pracowni i pytany, jak podobają mi się zachodzące w nim zmiany.

Pretekstem mojej ostatniej wizyty była konieczność oddania książki, którą mi pożyczyła. I to wówczas, przy okazji przypadkowej wymiany zdań na temat Sir Waltera Scotta, pani Graham zdradziła mi, że pragnie przeczytać poemat *Marmion*. W ten sposób zrodził się we mnie zuchwały pomysł podarowania go jej i zaraz po powrocie do domu

posłałem po tę niewielką, elegancką książeczkę, która dotarła do mnie owego ranka. Jednakowoż swoje najście wypadło mi czymś wytłumaczyć, toteż uzbroiłem się w niebieską, safianową obrożę, którą postanowiłem podarować Arthurowi dla jego szczeniaka. A gdy upominek został przyjęty i ucichły już wyrazy zachwytu i wdzięczności nieporównanie większej od tej, na jaką zasługiwał wyrachowany ofiarodawca, odważyłem się poprosić panią domu, by pozwoliła mi jeszcze raz rzucić okiem na obraz.

– Oczywiście, proszę wejść do środka – powiedziała (zastałem ich bowiem w ogrodzie).
– Jest już ukończony, oprawiony w ramy i czeka na wysłanie, ale chciałabym poznać pańskie ostateczne zdanie na jego temat i jeśli zasugeruje pan naniesienie jakichś poprawek, zostaną one należycie rozważone.

Obraz był porażająco piękny i widok z urwiska przeniesiony został na płótno jak żywy. Obawiając się jednak, że mógłbym ją urazić, swój zachwyt wyraziłem w sposób bardzo powściągliwy. Ona jakkolwiek uważnie śledziła wyraz mojej twarzy i dostrzegłszy w mych oczach niekłamany podziw, musiała zapewne poczuć się zadowolona i doceniona jako artystka. Ale podczas gdy wzrok mój skierowany był na malowidło, moje myśli krążyły wokół książeczki. Nie miałem pomysłu na to, jak powinienem ją jej wręczyć i czułem, że cała odwaga mnie opuściła. Postanowiłem jednak, że nie odejdę, dopóki przynajmniej nie spróbuję. Na nic nie zdałoby się czekanie na właściwą sposobność czy układanie jakichkolwiek przemów i uznałem, że im prościej i naturalniej rzecz zostanie zrobiona, tym lepiej. Zatem, zbierając w sobie odwagę, rzuciłem jedno spojrzenie na widok za oknem, po czym wydobyłem z kieszeni tomik i odwracając się do pani Graham, włożyłem go jej w dłoń.

– Życzyła sobie pani przeczytać poemat *Marmion*, pani Graham; zatem oto on, jeśli tylko będzie pani łaskawa go przyjąć.

Jej twarz oblała się chwilowym rumieńcem, który być może świadczył o jej zawstydzeniu niezgrabną formą, w jakiej podarunek został ofiarowany. Z powagą i w skupieniu przyjrzała się oprawie książki, następnie w milczeniu przewertowała jej stronicę, cały czas przy tym marszcząc brwi, jak gdyby zastanawiała się nad czymś intensywnie. Kiedy zamknęła tomik i cicho zapytała o jego cenę, poczułem, jak krew nabiega mi do twarzy.

– Bynajmniej nie chcę pana urazić, panie Markham – powiedziała – ale jeśli nie pozwoli mi pan zapłacić za tę książeczkę, nie będę mogła jej przyjąć.

Odłożyła ją na stół.

– Dlaczego?

– Ponieważ... – urywając, spuściła wzrok.

– Dlaczego? – powtórzyłem zapalczywym tonem, który kazał jej podnieść oczy i spojrzeć mi w twarz.

– Ponieważ nie lubię zaciągać długów wdzięczności, których nigdy nie zdołam spłacić. Już jestem panu zobowiązana za dobroć, jaką okazuje pan memu synowi, ale jako zadośćuczynienie wystarczyć musi panu jego radość i pańska własna satysfakcja.

– Nonsens! – zawołałem.

Znów na mnie spojrzała, a wyraz zaskoczenia malujący się w jej oczach podziałał na mnie niczym sroga reprimenda, bez względu na to, czy takie było jej zamierzenie, czy też nie.

– Zatem nie przyjmie pani tej książki? – zapytałem łagodniejszym tonem.

– Przyjmę ją z radością, ale pod warunkiem, że pozwoli mi pan za nią zapłacić.

Najbardziej opanowanym głosem, na jaki potrafiłem się w owej chwili zdobyć, podałem jej dokładną cenę książki i koszt dostawy, choć w rzeczywistości tylko krok dzielił mnie od zapłakania z bezradności i rozczarowania.

Wyjawszy portmonetkę, spokojnie odliczyła pieniądze, lecz nim włożyła je mi do ręki, zawahała się. Patrząc na mnie badawczo, zauważyła delikatnym głosem:

– Czuje się pan dotknięty, panie Markham. Chciałabym, by potrafił pan zrozumieć, że... że ja...

– Rozumiem doskonale – odparłem. – Sądzi pani, że gdyby przyjęła teraz ode mnie ten drobiazg, w przyszłości próbowałbym to wykorzystać. Ale jest pani w błędzie – jeżeli tylko raczy pani sprawić mi dziś tę przyjemność, proszę uwierzyć, nie będę rozniecał w sobie płonnych nadziei i nie będę spodziewał się z pani strony żadnych względów. I niedorzecznością jest mówić, że będzie mi pani przez to w jakiś sposób zobowiązana, skoro doskonale pani wie, iż w takim wypadku to ja będę miał wobec pani dług wdzięczności za wyświadczoną mi uprzejmość.

– Dobrze więc, zaufam pańskim słowom – odpowiedziała, uśmiechając się jak anioł i wkładając pieniądze z powrotem do portmonetki. – Ale proszę o tym nie zapominać!

– Będę pamiętał, co powiedziałem. Jednak proszę nie karać mnie za mój tupet, odsuwając się ode mnie całkowicie. I proszę nie oczekiwać ode mnie, że będę starał się odpokutować swój grzech, zachowując większy niż do tej pory dystans – rzekłem, wyciągając rękę na pożegnanie, jako że byłem zanadto wzburzony, by zostać.

– Zatem niech nic się między nami nie zmienia – odpowiedziała, ze swobodą podając mi dłoń.

Wielką trudność sprawiło mi powstrzymanie się przed przyciśnięciem jej do swoich ust, miałem świadomość jednak, że byłoby to szaleństwo. I tak już pozwoliłem sobie na zbyt dużą zuchwałość i taki gest okazałby się prawdopodobnie śmiertelnym ciosem dla moich nadziei.

Do domu pędziłem z płonącym sercem i rozognioną duszą, nie bacząc na żar lejący się z będącego w zenicie słońca – niepomny na nic prócz tej, z którą właśnie się rozstałem; nie mając sobie za złe niczego poza swą pochopnością i brakiem wyczucia; nie lękając się niczego z wyjątkiem jej determinacji i swojej niemożności przewyciężenia jej; nie mając żadnych nadziei poza jedną... Ale dość już, nie będę Cię nużył opisami wypełniających mnie w owym czasie nadziei i obaw oraz przemykających przez mą głowę refleksji i postanowień.

Rozdział IX

Fałszywy przyjaciel

Choć można by uczciwie powiedzieć, że do Elizy Millward przestałem żywić jakiegokolwiek uczucia, nie oznacza to, iż całkiem zaprzestałem swych wizyt na plebanii. Pragnąłem bowiem, by nasze relacje osłabły stopniowo – tym samym przysporzyłbym jej jak najmniej cierpienia, unikałbym jej wielkiego gniewu i okolicą być może nie wzięłaby mnie na języki. Poza tym wielebny Millward, który sądził, że powodem mych częstych odwiedzin jest głównie – jeśli nie wyłącznie – on sam, najpewniej potraktowałby moje zaniechanie jako osobisty afront. Jednak tak się złożyło, że kiedy następnego dnia po spotkaniu z panią Graham pojawiłem się na plebanii, pastor był w domu nieobecny i okoliczność ta bynajmniej nie zdawała mi się równie szczęśliwa, jak podczas moich wcześniejszych wizyt. Swój pobyt tam postanowiłem uczynić krótkim i uznałem, że w jego trakcie najlepiej będzie rozmawiać z Elizą w sposób serdeczny, ale jednocześnie braterski – w sposób, jaki usprawiedliwić mogłaby długotrwałość naszej znajomości, lecz również taki, który nie wyrządziłby jej krzywdy i nie podsycił w niej fałszywych nadziei.

Nigdy dotąd nie miałem w zwyczaju rozmawiać z nią czy z kimkolwiek innym o pani Graham, ale nie spędziłem tam nawet trzech minut, kiedy Eliza sama o niej wspomniała, i to w dość zaskakujący sposób.

– Och, panie Markham – powiedziała głosem znizowanym niemal do szeptu, a wyraz jej twarzy zdradzał wielkie poruszenie. – Co pan myśli na temat tych wstrząsających pogłosek dotyczących pani Graham? Czy powinniśmy w nie wierzyć?

– O jakie pogłoski chodzi?

– Ależ doskonale pan wie, co mam na myśli! – uśmiechnąwszy się figlarnie, pokręciła głową.

– Bynajmniej. Co takiego ma pani na myśli, Elizo?

– Och, proszę nie pytać o to *mnie!* *Ja* nic na ten temat nie wiem – powiedziawszy to, wzięła do ręki batystową chustkę, której brzegi ozdabiała właśnie koronką i zaczęła pilnie pracować.

– O czym mówi pani siostra, panno Millward? – zwróciłem się do Mary, zajętej właśnie obrębianiem wielkiego, grubego prześcieradła.

– Nie wiem – odrzekła. – Być może o owych daremnych plotkach, które, jak sądzę, ktoś musiał wyssać z palca. Nie znałam ich, dopóki kilka dni temu nie powtórzyła mi ich Eliza. Ale nawet gdyby wszyscy w okolicy je głosili, nie uwierzę nawet w jedno słowo – zbyt dobrze znam panią Graham!

– I słusznie, panno Millward. Ja też nie dałbym im wiary.

– Cóż! – rzekła Eliza. – To rzecz szlachetna wierzyć tak bezwzględnie w niewinność tych,

których lubimy. Jednak życzę wam, by nie okazało się, że obdarzyliście swoim zaufaniem kogoś, kto na nie nie zasługuje.

Podniósłszy twarz, spojrzała na mnie z tkliwym smutkiem, który zmiękczyłby mi serce, gdyby nie to, że w jej oczach czaiło się coś nieprzyjemnego. Zastanowiłem się, jak to możliwe, że dawniej się nimi zachwyciałem. Szczerze oblicze i małe, szare oczka jej siostry zdawały się mi teraz dalece sympatyczniejsze, choć bez wątpienia wpłynął na to fakt, że byłem rozsierdzony fałszywymi, jak wierzyłem, insynuacjami Elizy pod adresem pani Graham.

Nie miałem ochoty kontynuować tego tematu i nie powiedziałem również wiele na żaden inny, gdyż czując, że nie mogę opanować nerwów, zaraz wstałem i pożegnałem się z damami, usprawiedliwiając się jakimś obowiązkiem gospodarskim. W drodze powrotnej na farmę, choć ani odrobinę nie wierzyłem w prawdziwość owych tajemniczych pogłosek, zastanawiałem się, czego mogły dotyczyć, kto je zapoczątkował, jakie ten ktoś miał ku temu podstawy i wreszcie, w jaki sposób najskuteczniej mógłbym zadać im kłam.

Kilka dni później odbyło się kolejne z naszych skromnych przyjęć, na którym oprócz stałego grona naszych przyjaciół i sąsiadów znalazła się też pani Graham. Tym razem nie mogła wymówić się szybko zapadającą nocą czy niesprzyjającą pogodą, zatem przyszła, ku mojej wielkiej uldze, bowiem bez niej cała rzecz zdałaby mi się nieznośnie dokuczliwa. W chwili, w której się pojawiła, w dom jak gdyby weszło zupełnie nowe życie i chociaż nie było mi wolno zaniedbywać innych gości i nie wypadało mi zanadto absorbować jej uwagi swoją osobą, z radością myślałem o tym, że mam przed sobą niezwykle przyjemny wieczór.

Na przyjęciu pojawił się także pan Lawrence, choć przyszedł jako ostatni z zaproszonych. Byłem ciekaw, jak zachowa się w obecności pani Graham i mojej uwadze nie uszedł fakt, że wchodząc do środka, pozdrowił ją jedynie nieznacznym skinieniem głowy. Przywitawszy się zaś grzecznie z resztą towarzystwa, usadowił się z dala od młodej wdowy, pomiędzy moją matką i Rose.

– To dopiero kunszt! – wyszeptała Eliza, która siedziała obok mnie. – Zapewne pomyślałby pan, że tych dwoje to zupełnie obcy sobie ludzie.

– Być może. Ale cóż z tego?

– Cóż z tego? Chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że o niczym nie wie?

– A o czym powinienem wiedzieć? – zapytałem tonem tak ostrym, że aż wzdrygnęła się.

– Och, nie tak głośno – zwróciła mi uwagę.

– Wobec tego proszę mi powiedzieć – odrzekłem, zniżając głos. – Co takiego ma pani na myśli? Nie znoszę zagadek.

– Dobrze więc. Bynajmniej nie mogę ręczyć za prawdziwość tej pogłoski, ale czy nie dobiegło pańskich uszu...

– Mych uszu nie dobiegło *nic* poza pani słowami.

– Zatem rozmyślnie nie słucha pan tego, co mówią inni. Każdy panu powie, że... Ale widzę, że powtarzając to, tylko pana rozzłoszczy. Lepiej więc zamilknę.

Zacisnęła wargi i splotła przed sobą dłonie, wyglądając na urażoną.

– Jeśli nie chciała mnie pani złościć, powinna była pani w ogóle nic nie mówić lub od razu powiedzieć mi jasno i wyraźnie, o co chodzi.

Odwracając się ode mnie, wyciągnęła chusteczkę i podeszła do okna, gdzie stała tak przez dłuższy czas, najwyraźniej roniąc łzy. Poczułem się jednocześnie zdumiony, zniecierpliwiony i zawstydzony – nie tyle swą własną bezwzględnością, co jej infantylną słabością. Zdawało się jednak, że nikt nie zwrócił na nią uwagi. Zaraz potem zaś zwołano nas wszystkich do stołu, jako że posiłek zaplanowano na dość wczesną godzinę. Kiedy zająłem swoje miejsce, po jednej stronie miałem Rose, a po drugiej stało wolne krzesło.

– Czy mogę tutaj usiąść? – zapytał cichy głos.

– Jeśli tylko pani chce – brzmiała moja odpowiedź.

Na wolne krzesło obok opadła Eliza, która spojrzała na mnie z na wpół melancholijnym i na wpół figlarnym uśmiechem i wyszeptała:

– Jest pan taki poważny, Gilbercie.

Z pogardliwym uśmiechem wręczyłem jej filiżankę z herbatą. Nie odezwałem się, gdyż nie miałem jej nic do powiedzenia.

– Chciałabym wiedzieć, czym mogłam tak pana urazić? – powiedziała żałośnie.

– Proszę pić swoją herbatę, Elizo. I nie mówić głupstw – odrzekłem, podając jej cukiernicę.

Wówczas to po mojej drugiej stronie nastąpiła chwila zamieszania wywołanego przez pannę Wilson, która przysłała namówić Rose, by zamieniła się z nią na miejsca.

– Czy będzie pani tak dobra, panno Markham? – zapytała. – Nie podoba mi się, że muszę siedzieć obok pani Graham. Jeśli matce pani wydaje się stosowne zapraszać takie osoby do swojego domu, to nie będzie miała nic przeciwko temu, by jej córka przebywała w bliskim towarzystwie owej osoby.

Ostatnia część jej wypowiedzi miała charakter monologu, bowiem Rose już zdążyła się oddalić. Ja jednak nie miałem w sobie tyle grzeczności, by móc zignorować słowa panny Wilson.

– Czy byłaby pani łaskawa wyjaśnić mi, co miała przez to na myśli, panno Wilson? – rzekłem.

Moje pytanie spłoszyło ją nieco. Szybko jednak przysłała do siebie i odpowiedziała oschle:

– Ależ panie Markham, zdumiewa mnie, że pańska matka przyjmuje w swoim domu kogoś takiego jak pani Graham. Ale być może nie zdaje sobie sprawy z tego, że to osoba nie zasługująca na jej szacunek.

– Owszem, i ja również nie zdaję sobie z tego sprawy. I byłbym pani bardzo zobowiązany, gdyby zechciała mnie pani oświecić.

– Ależ to nie pora i miejsce na tego rodzaju rozmowę. Jednak nie mogę uwierzyć, że o niczym pan nie wie. Wszak musi pan ją znać równie dobrze, co ja.

– Sądzę, że znam ją nieco lepiej niż pani. Zatem jeśli zdecyduje się pani powiedzieć mi, co słyszała – lub co sobie wyobraziła na temat pani Graham, być może będę umiał

wyprowadzić ją z błędu.

– Zatem czy może mi pan powiedzieć, kim był jej mąż, albo czy kiedykolwiek w ogóle takowego miała?

Oburzenie odebrało mi mowę i poczułem, że dopóki nie zapanuję nad emocjami, nie wolno mi się odzywać.

– Czy nie zauważył pan – rzekła Eliza – tego uderzającego podobieństwa, które istnieje pomiędzy jej dzieckiem i...

– I kim? – surowym tonem zapytała panna Wilson.

Eliza wzdrygnęła się, gdyż najwyraźniej ta wypowiedziana przez nią nieśmiałym głosem sugestia przeznaczona była tylko dla moich uszu.

– Och! Proszę mi wybaczyć – poprosiła. – Wszak mogę się mylić – dodała, ale jej słowom towarzyszyło chytre, drwiące spojrzenie jej nieszczerych oczu.

– *Mnie* nie musi pani przepraszać – odpowiedziała jej przyjaciółka. – Ale z wyjątkiem jego matki, nie widzę tu nikogo, kto przypominałby tego chłopca. A kiedy następnym razem usłyszysz pani jakieś złośliwe plotki, panno Elizo, mądrze pani zrobi, nie rozpowszechniając ich. Jak rozumiem, osobą, którą miała pani na myśli był pan Lawrence. Chyba jednak mogę zapewnić panią, że pani podejrzenia w tym względzie są całkowicie nieuzasadnione. I jeśli cokolwiek łączy go z ową damą (czego nikt nie ma prawa twierdzić), to przynajmniej ma on (czego nie można powiedzieć o innych) wystarczająco dużo przyzwoitości, by w obecności szanowanego towarzystwa przywitać się z nią zaledwie skinieniem głowy. Kiedy pan Lawrence ją tutaj zobaczył, był wyraźnie zaskoczony i poirytowany.

– Hajda na panią Graham! – zawołał Fergus, który siedział po drugiej stronie Elizy i był jedyną osobą dzielącą z nami tę część stołu. – I proszę dopilnować, by nie zostały z niej nawet strzępy.

Z wyrazem lodowatej pogardy na twarzy panna Wilson wyprostowała się, ale nic nie powiedziała. Eliza zaczynała już coś mówić, lecz przerwałem jej – tak taktownie, jak tylko potrafiłem, choć bez wątpienia głos mój do pewnego stopnia zdradzał uczucia, które się we mnie gotowały.

– Już dość na ten temat. Jeżeli nie potrafimy mówić o naszych bliźnich, nie rzucając na nich oszczerstw, powinniśmy zamilknąć.

– Mądre słowa – zauważył Fergus. – I jak sądzę, nasz zacny pastor by im przyklasnął. Podczas gdy wy, siedząc tu, szeptaliście między sobą, on w swym najlepszym stylu przemawiał do zebranych i co chwila ze zniesmaczoną miną zerkał na was. Raz nawet uczynił pauzę w swym kazaniu i wbił w ciebie wzrok, Gilbercie, zdając się myśleć: „Nie powiem nic więcej, dopóki pan Markham nie przestanie flirtować z tymi dwiema damami!”

Nie umiałbym sobie przypomnieć, jakie jeszcze słowa padły przy tamtym stole, ani w jaki sposób udało mi się doczekać cierpliwie końca posiłku. Pamiętam jedynie, że przełknąwszy z trudem resztkę swojej herbaty, przeniosłem wzrok na małego Arthura Grahama, który siedział obok swojej matki po przeciwległej stronie stołu, a zaraz potem na

usadowionego dalej pana Lawrence'a. W pierwszej chwili poraziła mnie myśl, że zaiste istnieje pomiędzy nimi pewne podobieństwo, lecz po wnikliwszym przyjrzeniu się im doszedłem do wniosku, iż jest ono zaledwie wytworem mojej wyobraźni. Co prawda, obydwaj odznaczyli się subtelniejszymi rysami, drobniejszymi kośćmi i cerą delikatniejszą od typowych przedstawicieli płci męskiej, jednak maleńki, zadarty nosek Arthura nigdy nie mógłby stać się tak długi i prosty jak nos pana Lawrence'a, a jego okrągła twarzączka nie miała szans przekształcić się w pociągłe oblicze tamtego. Do tego włosy dziecka posiadały zdecydowanie jaśniejszy odcień, a jego wielkie, niebieskie oczy – choć niekiedy odznaczały się przedwcześnie poważnym wyrazem – były całkiem inne od nieśmiałych, piwnych oczu pana Lawrence'a. Jakże wielkiej nikczemności dopuściłem się, poddając się na chwilę tamtej odrażającej myśli! Czyż nie znałem pani Graham? Czyż nie rozmawiałem z nią wielokrotnie? Czyż nie miałem pewności, że intelektem i czystością duszy dalece przewyższa każdego ze swych krytyków? I że w istocie jest najszlachetniejszą i najwspanialszą ze wszystkich kobiet, które dane mi było spotkać lub sobie wyobrazić? Ależ tak. I powtarzając za mądrą Mary Millward: nawet gdyby cała okolica – cały świat nawet – głosił owe straszliwe kłamstwa, nie uwierzyłbym w jedno słowo, bowiem znałem panią Graham lepiej niż ktokolwiek inny.

Mój umysł tymczasem płonął oburzeniem, a serce rozsadzał natłok sprzecznych uczuć. Siedzące po obu mych stronach dwie piękności wzbudzały we mnie odrazę, której prawie nie starałem się ukrywać. I choć ze wszystkich stron wytykano mi, że jestem rozkojarzony i tym samym zaniedbuję damy, było mi wszystko jedno. Wyczekiwałem tylko chwili, w której posiłek dobiegnie końca. Zdawało mi się, że pan Millward po wieczne czasy rozwódzić się będzie nad swoją awersją do herbaty, przekonując innych o szkodliwości napełniania sobie żołądka podobnymi płynami i jednocześnie niespiesznie dopijając swoją czwartą filiżankę.

Kiedy wreszcie owa wyczekiwana przeze mnie chwila nadeszła, nie usprawiedliwiając się w ogóle prze swymi gośćmi, wstałem od stołu. Czułem, że ani chwili dłużej nie wytrzymam w ich towarzystwie, więc pospieszyłem na zewnątrz, by ochłonać w kojącym, wieczornym powietrzu.

Nie chcąc, by ktoś dostrzegł mnie z okien domu, wszedłem na dyskretną, ciągnącą się wzdłuż ogrodzenia alejkę, na końcu której stała ukryta pośród krzewów róż ławeczka. Siadłem na niej i oddałem się swoim myślom, które krążyły głównie wokół zalet i wad mieszkanki Wildfell Hall. Jednak nie minęły dwie minuty, kiedy uszu mych dobiegł dźwięk rozbawionych głosów i pomiędzy drzewami zobaczyłem migające postaci. Zrozumiawszy, że reszta towarzystwa również postanowiła wyjść do ogrodu, by zażyć świeżego powietrza, skuliłem się w nadziei, że pozostanę niezauważony i uda mi się zatrzymać swoją kryjówkę dla siebie. Lecz nie – ku memu rozczarowaniu, już ktoś szedł alejką w moją stronę.

Wyjrzałem zza swego kwitnącego, wonnego parawanu, by przekonać się, kim są intruzi (szmer głosów powiedział mi, że musi to być więcej niż jedna osoba) i zaraz poczułem, jak gniew mój ustępuje, a jego miejsce zajmują dalece inne uczucia. Oto bowiem na ścieżce

przed sobą zobaczyłem panią Graham i jej syna. Dlaczego byli sami? Czy jad pomówień zdążył już zatruć umysły wszystkich pozostałych, każąc im się od niej odwrócić? Przypomniałem sobie nagle ujrany przeze mnie tego samego wieczoru widok: pani Wilson pochylająca się nad moją matką. Bez wątpienia w dyskretny sposób przekazywała jej jaką ważną wiadomość, a sposób, w jaki kiwała nieustannie głową, grymasy wykrzywające co chwilę jej pomarszczoną twarz i złośliwe błyski pojawiające się w jej brzydkich, małych oczkach kazały mi dojść do wniosku, że chodzić musi o jakąś pikantną plotkę. Natomiast poufny charakter ich rozmowy niezbitnie świadczył o tym, że jej przedmiotem jest jedna z obecnych na przyjęciu osób.

Aby przedwcześnie nie odstraszyć pani Graham swoją osobą, wyłoniłem się ze swego zakątka dopiero wtedy, gdy dotarła do końca alejki. Ujrawszy mnie, uczyniła krok w tył i znieruchomiła, zamierzając, jak się zdaje, zaraz zawrócić.

– Och, proszę sobie nie przeszkadzać, panie Markham – rzekła. – Przyszliśmy tutaj poszukać odpoczynku w odosobnieniu, a nie zakłócać panu jego własny.

– Nie jestem pustelnikiem, pani Graham. Choć przyznaję – niegrzeczny sposób, w jaki kryję się przed swymi gośćmi może temu przeczyć.

– Bałam się, że coś panu dolega – powiedziała z wyrazem prawdziwej troski na twarzy.

– Przez chwilę istotnie czułem się źle, ale to już minęło. Proszę się na moment i odpocząć, i powiedzieć mi, jak się pani podoba ta altana – rzekłem, podnosząc Arthura i usadawiając go na środku ławeczki, ażeby tym sposobem zagwarantować sobie obecność jego mamy. Ona przyznała, że to doprawdy urocze schronienie, po czym zajęła przeciwległy koniec siedziska.

Jednakże słowo „schronienie” zaniepokoiło mnie. Czyżby nieżyczliwość pozostałych istotnie zmusiła ją do szukania azylu w samotności?

– Dlaczego inni zostawili panią samą?

– To ja ich zostawiłam – brzmiała pogodna odpowiedź. – Rozmowy o niczym znużyły mnie już śmiertelnie. Nie rozumiem, jak oni tak *mogą*.

Jej zdumienie było tak prawdziwe, że nie mogłem się nie uśmiechnąć.

– Czy to dlatego, że ich zdaniem nie wypada im milczeć? – ciągnęła dalej. – I kiedy brakuje im już ciekawych tematów do rozmowy, zamiast pozwolić sobie na chwilę refleksji, czują się zmuszeni wypełnić przestrzeń czczymi banałami? A może takie dyskusje naprawdę ich bawią?

– Obawiam się, że to bardzo prawdopodobne – odparłem. – W ich płytkich duszach nie ma miejsca na wzniosłe myśli, a ich próżne umysły zadowolają się byle jaką błahostką. A jedyną znaną im alternatywą dla takich dyskusji jest zanurzenie się po uszy w bagno plotek. To dla nich źródło największej radości.

– Nie mówi pan chyba o nich wszystkich? – zawołała dama, zdumiona zjadliwością mojego komentarza.

– Nie. Te zarzuty nie dotyczą mojej siostry – i mojej matki, jeśli ona także była przedmiotem pani krytyki.

– Nie miałam zamiaru nikogo poddawać krytyce, a z całą pewnością nie pańską matkę. Dane mi było poznać wielu świątłych ludzi, którzy, gdy zmuszały ich do tego okoliczności, okazywali się w takich dyskusjach niezwykle zręczni. Jednak jest to talent, którym ja niestety nie mogę się poszczycić. Nie znoszę rozmów, podczas których nie następuje żadna wymiana myśli czy poglądów i nienawidzę dyskusji, z których nic dobrego nie wynika.

– Cóż, jeśli kiedykolwiek będę dokuczał pani swoim gadulstwem – rzekłem – proszę od razu mi o tym powiedzieć. Obiecuję, że nie poczuję się urażony, gdyż zarówno w ciszy, jak i w rozmowie potrafię cieszyć się towarzystwem tych, których... tych, którzy są moimi przyjaciółmi.

– Nie do końca panu wierzę. Ale gdyby była to prawda, oznaczałoby to, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Czy to znaczy, że odpowiadam pani pod wszystkimi innymi względami?

– Nie to chciałam powiedzieć. Jakże pięknie wygląda ta obfitość liści, gdy przenikają przez nią promienie słońca – powiedziała, rozmyślnie zmieniając temat.

Był to zaiste piękny widok: głęboka zieleń gęstwiny drzew i krzewów rosnących po przeciwległej stronie ścieżki stanowiła wspaniale kontrastujące tło dla sączącego się przez nią bursztynowego światła.

– W pewnym sensie żałuję, że jestem malarką – zauważyła moja towarzyszka.

– Dlaczego? Wydawałoby się, że w takich chwilach umiejętność przenoszenia na płótno podobnych subtelności przyrody sprawiać będzie pani największą satysfakcję.

– Ale wówczas, zamiast zatracać się w nich tak, jak inni, zdręczam się zawsze pytaniem, czy mogłabym odtworzyć taki sam efekt na płótnie. A ponieważ uczynienie tego jest niemożliwością, wszystkie te rozterki są daremnym utrapieniem.

– Być może nie potrafi pani sprostać swoim zbyt wygórowanym wymaganiom. Jednak nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że inni są zawsze zachwyceni rezultatami pani pracy.

– Cóż, chyba nie mam prawa narzekać. Zapewne niewielu ludziom dane jest zarabiać na swoje utrzymanie w tak przyjemny sposób. Ale ktoś nadchodzi...

Wydawała się zmartwiona.

– To tylko pan Lawrence z panną Wilson, którzy wybrali się na przechadzkę. Nie będą nam przeszkadzać.

Nie potrafiłem do końca rozszyfrować wyrazu jej twarzy, choć z zadowoleniem stwierdziłem, że w jej zachowaniu nie widzę żadnych objawów zazdrości. Ale dlaczego w ogóle ich szukałem?

– Jaką osobą jest panna Wilson? – zapytała.

– Przywiązaną do modnych strojów i wykształconą lepiej niż większość podobnie urodzonych panien. Niektórzy powiadają też, że jest bardzo wytworna i przyjemna.

– Mnie wydała się dzisiaj nieco chłodna i wyniosła.

– Niewykluczone, że jest wobec pani nieprzychylnie nastawiona, bowiem, jak sądzę, widzi w niej swoją rywalkę.

– We mnie? To niemożliwe, panie Markham! – zawołała pani Graham, równie zdumiona, co rozzłoszczona.

– Chociaż być może się mylę – odrzekłem nieco mrukliwie, urażony jej nieprzyjemną reakcją.

Kiedy tamtych dwoje zbliżyło się do nas na odległość kilku kroków, Jane Wilson zauważyła nas i zwróciła na nas uwagę swojego towarzysza. Dostrzegłszy na jej twarzy zimny, złośliwy uśmiech i usłyszawszy kilka z padających z jej ust pojedynczych słów, zrozumiałem, że napomknęła coś na temat bliskich stosunków łączących mnie z panią Graham. Pan Lawrence zaczerwienił się po same skronie, rzucił w naszą stronę ukradkowe spojrzenie i z grobową miną poszedł dalej, nie odpowiadając na uwagi tamtej nawet słowem.

Zatem prawdą musiało być to, że miał on względem pani Graham jakieś zamiary. Ale gdyby były uczciwe, nie zależałoby mu tak bardzo na zatajeniu ich. Naturalnie *ona* była wolna od wszelkiej winy, lecz jego uznałem za skończonego łajdaka.

Podczas gdy myśli te przemykały przez mą głowę, moja towarzyszka gwałtownie się podniosła i przywoławszy do siebie syna, oznajmiła, że pójdą teraz dołączyć do pozostałych. Bez wątpienia usłyszała część z tego, co panna Wilson powiedziała do Lawrence'a, nic dziwnego więc, że wołała już nie przedłużyć naszego *tête-à-tête*. Tym bardziej że oburzenie na mego dawnego przyjaciela wywołało na mojej twarzy wypieki, które błędnie mogła zinterpretować jako objaw idiotycznego zawstydzenia. To tylko pogłębiło moją niechęć do panny Wilson i im więcej o niej myślałem, tym bardziej jej nienawidziłem.

Był już późny wieczór, kiedy wróciwszy do domu, na nowo dołączyłem do towarzystwa. Pani Graham gotowa była do wyjścia i zegnała się właśnie z pozostałymi gośćmi. Poprosiłem – nie, zaapelowałem, by pozwoliła mi się odprowadzić do domu. Pan Lawrence stał wówczas nieopodal, pochłonięty rozmową z kim innym. Nie patrzył na nas w ogóle, ale usłyszawszy, o co ją proszę, zatrzymał się w połowie zdania, a kiedy przekonał się, że tamta mi odmówiła, z zadowoleniem dokończył swą przerwana wypowiedź.

Pani Graham odmówiła stanowczo, aczkolwiek grzecznie. Robiłem co mogłem, lecz nie chciała mi wierzyć, że samotna wędrownica z dzieckiem poprzez bezludne pola i wiejskie drogi może okazać się niebezpieczna. Stwierdziła, że słońce jeszcze nie zaszło, a poza tym mieszkańcy okolicy są spokojni i niegroźni. W ogóle nie chciała się zgodzić na to, by ktokolwiek jej towarzyszył, choć również Fergus zaofiarował jej swoje usługi, a nasza matka zaproponowała, że każe ją eskortować jednemu z parobków.

W chwili, w której odeszła, wszystko zdało mi się pustką. Lawrence próbował zacząć ze mną jakąś rozmowę, lecz ja zignorowałem go i przeszedłem na drugą stronę pomieszczenia. Wkrótce potem pozostali goście się rozeszli i on także zaczął się zegnać, ale kiedy zbliżył się do mnie, nie dostrzegłem jego wyciągniętej ręki i nie usłyszałem słów, które mówił na pożegnanie, dopóki ich nie powtórzył. Wreszcie, ażeby uwolnić się od jego obecności, mruknąłem coś w odpowiedzi i niechętnie się skłoniłem.

– O co chodzi, Markham? – zapytał szeptem.

Rzuciłem mu gniewne, pogardliwe spojrzenie.

– Czy ta złość to skutek tego, że pani Graham nie pozwoliła panu odprowadzić się do domu? – zapytał z łagodnym uśmiechem, który rozszerzył mnie do tego stopnia, że niemal straciłem panowanie nad sobą.

Lecz powstrzymując się od ostrych słów, rzuciłem tylko:

– To nie pańska sprawa.

– Ma pan rację – odrzekł z nieznośnym spokojem.

Zaraz potem zajął mi głęboko w oczy, dodając:

– Tylko trzeba panu wiedzieć, Markham, że jeśli ma pan wobec niej jakieś zamysły, niechybnie dozna pan rozczarowania. I z przykrością patrzę, jak oszukuje się pan próżnymi nadziejami i marnuje swoje siły na bezcelowe zabiegi, bowiem...

– Jest pan hipokrytą! – wykrzyknąłem, na co jemu zaparło dech w piersi. Skonsternowany i pobladły odwrócił się i odszedł bez słowa.

Musiałem dotknąć go do żywego, i byłem z tego nad wyraz rad.

Rozdział X

Umowa

Kiedy wszyscy się rozeszli, okazało się, że podczas przyjęcia goście istotnie rozpowszechniali między sobą ową nikczemną plotkę, nie zważając na bliską obecność swojej ofiary. Rose wszelako zaklinała się, że nie uwierzyła i nigdy nie uwierzy w prawdziwość owej pogłoski, a matka moja poparła jej słowa, choć obawiam się, że w tonie jej głosu brakowało niezachwianej pewności mojej siostry. Kwestia ta zdawała się nie dawać mojej rodzicielce spokoju i po wielokroć słuchać musiałem nieznośnych wykrzyknień w rodzaju: „Dobry Boże, kto by pomyślał!...”, „No, no! Zawsze sądziłam, że jest w niej coś dziwnego!...” i „Widzicie, do czego to prowadzi, kiedy kobieta obnosi się ze swoją odmiennością!...” Wreszcie zaś matka powiedziała:

– Od samego początku uważałam tę jej tajemniczość za podejrzaną. I wiedziałam, że nie wyniknie z tego wszystkiego nic dobrego. Jakaż to potwornie smutna historia!

– Przecież mówiła mama, że nie wierzy w te opowieści – zauważył Fergus.

– Ależ oczywiście, że nie, mój drogi. Jednak nie zapominaj, że nie ma dymu bez ognia.

– Ognia płonącego w zdrotnych umysłach obłudników – wtrąciłem. – Ponieważ widziano pana Lawrence’a, jak szedł w tamtą stronę, wioskowi plotkarze doszli do wniosku, że musi zalecać się do nieznajomej damy, a łowcy sensacji łapczywie podchwycili tę pogłoskę, widząc w niej uzasadnienie dla gorejącego w ich wnętrzach piekła.

– No dobrze, Gilbercie. Jednak w jej usposobieniu musi być coś, co uzasadniałoby takie plotki.

– Czy *mama* zauważyła coś takiego w jej usposobieniu?

– Ależ nie. Lecz swoją drogą zawsze mówiłam, że wydaje mi się nieco dziwna.

Jeżeli pamięć mnie nie myli, jeszcze tego samego wieczoru zaryzykowałem następną wizytę w Wildfell Hall. Od czasu naszego przyjęcia upłynął już ponad tydzień i choć codziennie starałem się kierować swoimi krokami tak, ażeby mieć jak największą szansę spotkać panią Graham podczas jednego z jej spacerów, za każdym razem doznawałem rozczarowania (musiała celowo mnie unikać). Dlatego też co noc głowiłem się nad pretekstem, którym mógłbym wyjaśnić swe kolejne najście. Uznawszy ostatecznie, że dłużej nie zniosę tej rozłąki, wyjąłem ze swej biblioteczki starą, zniszczoną książkę, która, jak sądziłem, mogłaby ją zainteresować i wybiegłem z domu – choć bynajmniej nie wolny od obaw co do tego, jak zostaną przyjęty. Niepewny, czy znajdę w sobie dość odwagi, by swoją niespodziewaną wizytę usprawiedliwić tak błahym powodem, pocieszałem się myślą, że być może ujrzę ją gdzieś na łące lub w ogrodzie, co będzie dla mnie wielkim ułatwieniem. Bowiem największym lękiem przepełniał mnie sam akt kołatania do drzwi i perspektywa stawienia czoła posępnej Rachel, która poprowadzi mnie przed oblicze

swojej być może zaskoczonej i nieprzyjaźnie nastawionej pani.

Ale moje nadzieje nie zostały spełnione i pani Graham w zasięgu mojego wzroku się nie pojawiła. W ogrodzie za to dostrzegłem małego Arthura, który bawił się ze swoim rozbrykanym pieskiem. Kiedy zawołałem do niego poprzez bramę, poprosił, bym wszedł do środka, na co ja odparłem, że nie mogę tego zrobić, dopóki nie otrzymam pozwolenia jego mamy.

– Pójdę ją zapytać – rzekło dziecko.

– Nie, nie, Arthurze. Jeśli nie jest niczym zajęta, po prostu poproś ją, by na chwilę tutaj przyszła. Powiedz jej, że chcę z nią zamienić słowo.

Chłopiec oddalił się biegiem, by wykonać to, o co go poprosiłem i niebawem wrócił w towarzystwie swej matki. Jakże pięknie wyglądała, gdy pukle ciemnych włosów rozwiewał jej delikatny, letni wietrzyk, gdy policzki jej były zaróżowione, a oblicze rozpromienione uśmiechem! Drogi Arthurze, jakim sposobem mógłbym spłacić swój wielki dług wdzięczności za tamto szczęśliwe spotkanie! Dzięki tobie zaoszczędzone zostały mi męki dochowywania wierności zasadom formalności i wybawiony zostałem od wszelkiego lęku i skrępowania. W sprawach miłości nie istnieje lepszy pośrednik od radosnego, prostodusznego dziecka – zawsze gotowego złączyć dwa rozdzielone serca, wybudować most ponad otchłanią sztywnych konwenansów, roztopić lód powściągliwości i zburzyć wysokie mury dumy.

– A więc, panie Markham, jaką ma pan do mnie sprawę? – zapytała młoda matka, uśmiechając się do mnie przyjemnie.

– Pragnąłbym, by zechciała pani rzucić okiem na tę książkę, a jeśli przypadnie pani do gustu, proszę ją sobie zabrać i przeczytać w wolnym czasie. Tylko tym błahym powodem mogę usprawiedliwić to, że swoją obecnością zakłócam pani ten skądinąd piękny wieczór.

– Zaproś go do środka, mamó – podpowiedział Arthur.

– Czy zechciałby pan wejść? – zapytała dama.

– Owszem. Ciekawi mnie, jakie zmiany zaszły w pani ogrodzie.

– I zapewne, jak pod moją pieczę rozwijają się rośliny, które podarowała mi pańska siostra – dodała, otwierając bramę.

Przechadzaliśmy się po ogrodzie, rozmawiając o kwiatach, drzewach i przyniesionej przeze mnie książce. Pogoda tego wieczoru była łaskawa i przyjemna, i w podobnie łaskawym i przyjemnym nastroju znajdowała się moja towarzyszka. Stopniowo zaczęły wypełniać mnie uczucia cieplejsze niż kiedykolwiek dotąd. Jednakże nie próbowałem wyrażać ich słowami i ona nie musiała ich odpiierać. Przynajmniej do chwili, w której przechodziliśmy obok pokrytego mchem drzewka różanego, podarowanego jej niegdyś przez moją siostrę. Zerwawszy z niego jeden wspaniały, na wpół otwarty pąk, pani Graham poprosiła, bym przekazał go Rose.

– Czy nie mógłbym zatrzymać go dla siebie? – zapytałem.

– Nie. Ale oto inny dla pana.

Odbierając go od niej, ująłem jednocześnie podającą mi go dłoń i zajrzałem w oczy jej

właścicielki. Przez jeden krótki moment nie broniała się. Dostrzegłszy błyskachwytu w jej spojrzeniu i rumieniec emocji na jej policzku, pomyślałem, że odniosłem zwycięstwo. Lecz nagle przez jej oblicze przebiegł grymas – zupełnie jak gdyby wróciło do niej jakieś bolesne wspomnienie; jej czoło zasnuł cień cierpienia, a jej wargi i policzki pokryła bladość. Po chwili wewnętrznego konfliktu, wyciągnęła swoją dłoń z mojej i cofnęła się krok.

– Och, panie Markham – rzekła, rozpaczliwie starając się zachować spokój. – Muszę to powiedzieć otwarcie: tak dalej być nie może. Żyję tutaj zupełnie sama i bardzo cenię sobie pańskie towarzystwo, a z rozmów z panem czerpię więcej przyjemności niż z rozmów z kimkolwiek innym. Ale jeśli nie wystarczy panu moja przyjaźń – zwyczajna, pozbawiona emocji, siostrzana przyjaźń – będę zmuszona poprosić pana, by raz na zawsze zostawił mnie w spokoju. W zasadzie będziemy musieli stać się dla siebie obcymi ludźmi.

– Zatem zostanę pani przyjacielem... bratem... cokolwiek sobie pani życzy, bylebym tylko mógł ją widywać. Ale proszę powiedzieć mi jedno – dlaczego między nami nie może być czegoś więcej?

Zapadła chwila ciszy. Wprawiona moim pytaniem w zakłopotanie, pani Graham głęboko się nad czymś zastanawiała.

– Czy z powodu jakiegoś złożonego przez panią w przeszłości pochopnego przyrzeczenia?

– Tak, można by to tak ująć – odparła. – Być może pewnego dnia wszystko panu wyjaśnię, ale tymczasem proszę zostawić mnie w spokoju. I nigdy więcej, Gilbercie, proszę mnie nie dręczyć i nie zmuszać do powtarzania tego, co właśnie pan ode mnie usłyszał! – poprosiła żarliwie i z powagą podała mi dłoń.

Jakże rozkosznie, jakże melodyjnie moje imię zabrzmiało w jej ustach!

– Obiecuję tego nie robić – odrzekłem. – Ale czy *tym razem* wybaczy mi pani?

– Pod warunkiem, że się to nie powtórzy.

– Czy będę mógł czasami panią odwiedzać?

– Być może – od czasu do czasu. Jeśli obieca pan nie nadużywać tego przywileju.

– Nie chcę składać czczych obietnic, ale przekona się pani, że z całych sił będę się starał nie korzystać z niego ponad miarę.

– W przeciwnym razie nasza przyjaźń się zakończy.

– A czy da mi pani słowo, że od teraz zawsze już będzie się do mnie zwracać po imieniu? „Gilbercie” brzmi bardziej siostrzanie, a poza tym pomoże mi to pamiętać o naszej umowie.

Uśmiechnęła się, prosząc raz jeszcze, bym już sobie poszedł i w końcu uznałem, iż roztropnie będzie jej usłuchać.

Kiedy, wracając do domu, szedłem w dół wzgórza, wieczorną ciszę wokół mnie nagle zakłócił odgłos końskich kopyt. Spoglądając w kierunku drogi, dostrzegłem zbliżającego się samotnie jeźdźca, w którym natychmiast, pomimo zapadającego zmroku, rozpoznałem pana Lawrence'a. Rzucając się pędem przez pole, przeskoczyłem przez kamienny mur

i wyszedłem mu naprzeciw. Zauważywszy mnie, ściągnął wodze swojego wierzchowca, jak gdyby zamierzając zawrócić, lecz zaraz najwyraźniej zmienił zdanie i ruszył dalej, nie zbaczając z obranego wcześniej kursu. Przejeżdżając tuż obok mnie pod murem, pozdrowił mnie nieznacznym skinieniem głowy i spróbował mnie wyminąć, lecz nie pozwoliłem na to. Chwyciwszy konia za cugle, wykrzyknąłem:

– Lawrence, żądam, by wyjaśnił mi pan tę zagadkę! Natychmiast i bez owijania w bawełnę proszę powiedzieć mi, dokąd pan jedzie i w jakim celu!

– Zechce pan puścić cugle? – rzekł cichym głosem. – Sprawia pan ból mojemu kucykowi.

– Oby pana i pańskiego kucyka...

– Po cóż być tak ordynarnym, Markham? Doprawdy, wstyd mi za pana.

– Nie pojedzie pan dalej, dopóki nie odpowie na moje pytanie. Zamierzam się zaraz dowiedzieć, co to za przebiegła, dwulicowa gra, którą pan prowadzi.

– Nie odpowiem na żadne pytania dopóty, dopóki nie puści pan cugli mojego konia. Możemy stać tu nawet do rana.

– A więc? – ponagliłem go, zabierając rękę z uzdy, ale nie ruszając się z miejsca.

– Proszę zapytać mnie wtedy, kiedy będzie pana stać na grzeczność – odparł i znów spróbował mnie wyminąć. Ja jednak szybko powtórnie pochwyciłem cugle kucyka, który tym, jak go traktuję zdumiony był nie mniej od swego pana.

– Doprawdy, Markham, tego już za wiele! Czy za każdym razem, gdy będę miał jakiś interes do załatwienia z moją dzierzawczynią, będzie pan na mnie w ten sposób napadał?

– To nie pora na załatwianie interesów, sir! Powiem panu, co o panu sądzę...

– Proszę poczekać z wydawaniem swych wyroków do bardziej stosownej chwili – przerwał mi znizonym głosem. – Zbliża się do nas pastor.

I w rzeczy samej, tuż za sobą ujrzałem pana Millwarda, który wracał do domu strudzony z jakiegoś odległego zakątka swojej parafii. Natychmiast puściłem pana Lawrence'a wolno. Ten, pozdrawiając pastora, ruszył naprzód.

– A co to, Markham? Kłóciliście się? – zawołał pastor. – Niechybnie o tę młodą wdowę... – dodał, kręcąc z niezadowoleniem głową. – Ale powiadam ci, młodzieńcze – (w tym miejscu konfidencjonalnie przysunął twarz do mojej twarzy) – ona nie jest tego warta!

– Panie Millward! – zawołałem tonem tak złowrogim, że czcigodny dżentelmen, nieprzywykły do bycia traktowanym w ten sposób, najpierw rozejrzał się wokół, a potem popatrzał na mnie z wyrazem osłupienia na twarzy, zdając się myśleć: „To było do mnie?” Znadto byłem wzburzony, ażeby poprosić go o wybaczenie czy by w ogóle zamienić z nim jakiegokolwiek słowo i zostawiając go tak jak stał, pospieszyłem do domu, długimi krokami pokonując biegnącą stromo w dół wzgórza, nierówną dróżkę.

Rozdział XI

Kolejne spotkanie z pastorem

Po upływie następnych trzech tygodni pani Graham i ja byliśmy już bliskimi przyjaciółmi – albo raczej bratem i siostrą, za których woleliśmy się uważać. Na moje wyraźne życzenie zwracała się do mnie „Gilbercie”, podczas gdy ja nazywałem ją „Helen”, bowiem tym właśnie imieniem podpisane były jej książki. Staralem się nie widywać z nią częściej niż dwa razy w tygodniu, a większość naszych spotkań aranżowałem tak, ażeby wyglądały na przypadkowe. Zachowywałem przy tym największą możliwą ostrożność i sprawowałem się tak poprawnie, że ani razu nie miała powodu mnie napominać. A jednak nie mogłem nie zauważyć, że bywała niekiedy nieszczęśliwa i niezadowolona z siebie – lub z sytuacji, w której się znajdowała. I ja również nie byłem bardzo rad ze swego położenia – wiele trudu sprawiało mi utrzymywanie owych pozorów braterskiej obojętności i często myślałem sobie, że jestem odrażającym hipokrytą. Ponadto czułem, że pomimo jej starań, ja również „nie jestem jej obojętny”, jak to mają zwyczaj skromnie określać powieściowi bohaterowie i choć wdzięczny byłem losowi za to, co obecnie miałem, nie potrafiłem wyzbyć się nadziei na coś lepszego w przyszłości. Jednakże swoje marzenia naturalnie zachowywałem tylko i wyłącznie dla siebie.

– Dokąd się wybierasz, Gilbercie? – zapytała Rose pewnego dnia, zaraz po podwieczorku.

– Idę na spacer – brzmiała moja odpowiedź.

– Czy przed każdym spacerem tak starannie układasz włosy, czyścisz kapelusz i wkładasz nowe, eleganckie rękawiczki?

– Nie przed każdym.

– Idziesz do Wildfell Hall, prawda?

– Co ci każe tak sądzić?

– Wyraz twojej twarzy. Wolałabym jednak, byś nie chodził tam tak często.

– Nedorzeczność! Bywam tam nie częściej niż raz na sześć tygodni... Co mam rozumieć przez te słowa?

– Na twoim miejscu trzymałabym się z dala od pani Graham.

– Ależ Rose, czy ty także zaczęłaś zgadzać się z tym, co mówią o niej inni?

– Nie – odparła z niezdecydowaniem w głosie. – Ale tak wiele słyszałam ostatnimi czasy na jej temat – u Wilsonów i na plebanii. W dodatku mama mawia, że gdyby pani Graham była przyzwoitą osobą, nie mieszkałaby tam samotnie. I czy nie pamiętasz, Gilbercie, jak ubiegłej zimy wyjaśniła to nieprawdziwe nazwisko, którym podpisała swój obraz – mówiąc, że ma przyjaciół lub znajomych, przed którymi chciałaby zataić swoje obecne miejsce zamieszkania i że obawia się, iż mogliby ją odszukać? Zapomniałeś też, jak gwałtownie

zerwała się z miejsca, kiedy ktoś przyszedł i jak zadbała o to, abyśmy nie mieli możliwości nawet rzucić okiem na tę osobę, którą Arthur w aurze tajemniczości nazwał przyjacielem swojej mamy?

– Nie, Rose, nie zapomniałem. I wybaczam ci te nieprzychylnie sugestie, ponieważ, być może, gdybym sam nie znał jej tak dobrze, słysząc to wszystko doszedłbym do podobnych wniosków. Jednak miałem okazję ją poznać, dzięki Bogu, i nie zasługiwałbym na miano człowieka, gdybym uwierzył choćby w jedno słowo jej oszczerców. Równie dobrze mógłbym to zrobić, gdyby chodziło o ciebie.

– Och, Gilbercie!

– Ale czy sądzisz, że uwierzyłbym, gdyby coś takiego Wilsonowie i Millwardowie powtarzali o tobie?

– Mam wielką nadzieję, że nie!

– A dlaczego bym w to nie uwierzył? – Mianowicie dlatego, że zbyt dobrze cię znam. I tak samo dobrze znam panią Graham.

– Nieprawda! Nie wiesz nic na temat jej przeszłości, a jeszcze rok temu nie miałeś nawet pojęcia, że ktoś taki w ogóle istnieje.

– Nic nie szkodzi. Czasami spoglądając komuś głęboko w oczy można poznać jego duszę na wskroś i dowiedzieć się o nim więcej w ciągu godziny niż o innych w ciągu całego życia.

– A więc wybierasz się do niej dziś wieczorem?

– A jakże!

– Ale co powie mama, Gilbercie?

– Mama nie musi o tym wiedzieć.

– Jednak pewnego dnia się dowie, jeśli będziesz się upierał to kontynuować.

– Kontynuować? Nie istnieje między nami nic, co można by kontynuować. Pani Graham i ja jesteśmy tylko dwojgiem przyjaciół. Nikt nie ma prawa nam tego zabraniać i nikt nie prawa się wtrącać.

– Ale gdybyś wiedział, co mówią, zachowywałbyś większą ostrożność. Powinieneś być czujniejszy – dla jej dobra, i swojego własnego także. Jane Wilson uważa, że twoje wizyty w starym dworze to tylko kolejny dowód na jej zepsucie...

– Niech diabli porwą Jane Wilson!

– A Elizie Millward sprawiłeś duży ból.

– Mam taką nadzieję.

– Jednak, będąc na twoim miejscu, nie robiłabym tego.

– Czego byś nie robiła? Skąd miałyby wiedzieć, że się tam wybieram?

– Przed nimi nic się nie ukryje – dowiedzą się wszystkiego.

– Och, a więc śmiałyby z mojej sympatii do pani Graham uczynić kolejną pożywkę dla swych głodnych skandalu umysłów! To tylko dowodzi kłamliwości wszystkich innych ich zarzutów – jeśli dotąd w ogóle brakowało jakiego dowodu. Pamiętaj o tym, by za każdym razem im się przeciwstawić, Rose.

– Ale one nie rozmawiają ze mną otwarcie o takich sprawach. Tylko dzięki czynionym przez nie aluzjom i insynuacjom – i dzięki temu, co usłyszę od innych – wiem, co myślą.

– Dobrze, dziś już nie pójdę, bo zrobiło się nieco późno. Ale niech licho porwie ich przeklęte, jadowite języki! – mruknąłem w rozgoryczeniu.

W owej chwili właśnie do pokoju wszedł pastor, którego kołatania do drzwi nie usłyszeliśmy, jako że zanadto pochłonięci byliśmy naszą rozmową. Przywitawszy się, jak to leżało w jego zwyczaju, wesoło i po ojcowsku z Rose, która była poniekąd jego ulubienicą, starszy dżentelmen odwrócił się do mnie z nieco surowym wyrazem twarzy i rzekł.

– No, no! Stałeś się zupełnie obcym człowiekiem, sir. Minęło już... – niechże... pomyśle... – ciągnął wolno, usadawiając się ciężko w fotelu, który usłudźnie podsunęła mu Rose. – Minęło już... sześć tygodni, jeśli dobrze liczę, odkąd po raz ostatni przestąpiłeś próg... mojego domu! – zakończył z emfazą, uderzając laską w podłogę.

– Doprawdy, sir? – zapytałem.

– A owszem! – skinieniem głowy potwierdził swe słowa, nie spuszczając ze mnie gniewnego wzroku. Swą potężną laskę trzymał między kolanami, podczas gdy ręce splecione miał za głową.

– Byłem bardzo zajęty – powiedziałem, bowiem najwyraźniej spodziewał się usłyszeć jakieś usprawiedliwienie.

– Zajęty! – powtórzył drwiąco.

– Jak panu wiadomo, mieliśmy niedawno sianokosy, a teraz zaczynają się żniwa.

– Akurat!

Matka, która szczęśliwie weszła właśnie do środka, odwróciła ode mnie uwagę naszego czcigodnego gościa, wylewnie się z nim witając i wyrażając żal, że nie przybył nieco wcześniej.

– Już jesteśmy po podwieczorku, ale każę szybko coś przygotować, jeśli tylko sobie pan życzy.

– Proszę się nie fatygować, dziękuję – odpowiedział. – Za chwilę i tak będę w domu.

– Ależ proszę zostać dłużej i posilić się czymś. Przygotowanie posiłku zajmie tylko kilka minut.

On jednak władczym machnięciem ręki odmówił.

– Powiem pani, na co mam ochotę, pani Markham – rzekł. – Z chęcią wypiję szklaneczkę pani wyborowego piwa.

– Cała przyjemność po mojej stronie! – zawołała nasza matka, skwapliwie dzwoniąc na służącą, a gdy ta przyszła, wydała jej stosowne polecenia.

– Przechodziłem niedaleko i pomyślałem, że wstąpię posmakować pani domowego piwa – mówił dalej pastor. – Wracam z wizyty u pani Graham.

– Doprawdy?

Pan Millward uroczyście skinął głową i dodał ze straszliwym naciskiem:

– Uznałem, że mam *obowiązek* to uczynić.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła matka.

– A to dlaczego, panie Millward? – zapytałem.

Z marsową miną popatrzał na mnie, po czym, zwracając się znów do mojej matki, powtórzył:

– Uznałem to za swój obowiązek! – ponownie gruchnął swą laską w podłogę, podczas gdy moja matka, siedząc naprzeciw niego, z atencją i szacunkiem słuchała jego słów.

– „Pani Graham – powiedziałem – szerzą się odnośnie pani straszliwe pogłoski!” – ciągnął pan Millward, kręcąc cały czas głową. – „Jakie pogłoski, sir?” – zapytała, udając, że nie wie, co mam na myśli. „Jako pani duszpasterz mam obowiązek – rzekłem – poinformować panią, za jak naganne uważam jej postępowanie, co na jej temat mówią mi inni i czego sam się domyślam”. I wszystko jej wyłuszczyłem!

– Wyłuszczył jej pan, sir? – zawołałem, zrywając się ze swego krzesła i uderzyłem pięścią w stół. On jedynie zerknął na mnie kątem oka, nie przestając mówić do pani domu:

– Było to przykre zadanie, pani Markham, ale wszystko jej wyłuszczyłem!

– A jak ona to przyjęła?

– Obawiam się, iż całkiem bezwstydnie – bezwstydnie! – powtórzył, ze smutkiem kręcąc głową. – I jednocześnie nie starała się nawet ukrywać swego gniewu. Pobladła na twarzy, zacisnęła zęby, niemal niczym dzikuska wciągnęła do płuc powietrze i nie próbowała się nawet tłumaczyć ani bronić. Z bezczelnym spokojem – odrażającym, jeśli pomyśleć, jak młoda to osoba – dała mi do zrozumienia, że moje napomnienia są daremne, a duszpasterskie rady bezcelowe, mało tego – że sama moja *obecność* będzie jej niemiła, dopóki będę upierał się poruszać takie kwestie. Wielce zasmucony beznadziejnością jej przypadku i widząc wyraźnie, że nic tam po mnie, w końcu sobie poszedłem. Powziąłem jednak stanowcze postanowienie, że *moje* córki nie będą z nią przestawać i mam nadzieję, że pójdzie pani za moim przykładem, pani Markham! Jeżeli zaś chodzi o pani synów... Jeżeli chodzi o *ciebie*, młodzieńcze... – w tym miejscu zwrócił się do mnie.

– Jeżeli chodzi o mnie, sir... – zacząłem, ale zaraz się pohamowałem.

Czując, jak całym mym ciałem trzęsie furia, posłuchałem głosu rozsądku, który kazał mi chwycić kapelusz i wyjść z pokoju. Drzwi zamknąłem za sobą z hukiem, który zatrzęsł domem aż po same fundamenty, przeraził moją matkę i na chwilę uspokoił gotujące się we mnie emocje.

Minutę potem szybkim krokiem zmierzałem w stronę Wildfell Hall – nie będąc do końca pewnym swych zamiarów, ale czując, że to jedyny słuszny kierunek. Musiałem się z nią zobaczyć, musiałem z nią porozmawiać – to było pewne, choć nie wiedziałem, jakich słów użyć i w jaki sposób. Przez mą głowę przetaczał się bezlik burzliwych myśli i rozmaitych postanowień, a moja dusza była chaosem sprzecznych namiętności.

Rozdział XII

Sam na sam

Kiedy po około dwudziestu minutach dotarłem do celu swej wędrówki, przystanąłem przed bramą, aby otrzeć mokre czoło, uspokoić oddech w piersiach i przywrócić swej duszy względne opanowanie. Szybki marsz zdążył już załagodzić moje wzburzenie, więc za chwilę, pewnym już krokiem, pokonałem ogrodową alejkę. Przechodząc wzdłuż zamieszkałego skrzydła budynku, przez jedno z otwartych okien dostrzegłem panią Graham samotnie spacerującą tam i z powrotem po swym pokoju.

Moje pojawienie się przyjęła z konsternacją, rzekłbym nawet – z przestachem, jak gdyby spodziewała się, że i ja przyszedłem po to, by ją o coś oskarżyć. Pierwotnie zamierzałem powiedzieć jej, jak bardzo ubolewam nad niegodziwością tego świata i umożliwić jej wyżalenie się na pastora i jego kłamliwych donosicieli. Jednakże teraz, kiedy przestępowałem próg jej domu, myśl o poruszeniu owej kwestii napełniła mnie zgoła wstydem. Postanowiłem więc nie robić tego, chyba że ona uczyni to jako pierwsza.

– Przychodzę o niestosownej porze – rzekłem, starając się przybrać uspokajający ton głosu, choć bynajmniej spokojny nie byłem – ale nie zamierzam zostać długo.

Usłyszawszy to, uśmiechnęła się – co prawda nieznacznie, ale nader łaskawie, być może nawet z wdzięcznością.

– Jakże wydaje się pani przygaszona, Helen! I dlaczego kominek stoi ciemny? – zapytałem, rozglądając się po pograżonym w mroku pomieszczeniu.

– Lato jeszcze się nie skończyło – brzmiała jej odpowiedź.

– U nas co wieczór, jeśli zanadto nie doskwiera nam upał, kominek zawsze trzaska ogniem, który tym bardziej przydałby się pani w tym zimnym, ponurym apartamencie.

– Gdyby zjawił się pan wcześniej, kazałabym rozpalić. Ale teraz już nie warto, skoro nie zostanie pan długo, a Arthur już śpi.

– Mimo wszystko jednak miałbym wielką ochotę poczuć tu ciepło ognia. Czy jeżeli zadzwonię na służącą, poleci jej pani się tym zająć?

– Dlaczego, Gilberte? Bynajmniej *nie wygląda* pan na zmarzniętego! – zauważyła, z uśmiechem przyglądając się mojej twarzy.

– Nie jestem zmarznięty, ale nim pójdę, chcę dopilnować, by dobrze się pani tutaj czuła.

– Bym dobrze się tutaj czuła! – powtórzyła, wybuchając gorzkim śmiechem, jak gdyby w pomysłu tym znalazła coś zabawnie absurdalnego. – Ależ niczego mi w tej chwili tutaj nie brakuje – dodała zboląłym, zrezygnowanym tonem.

Zdecydowany postawić na swoim, zadzwoniłem na służącą.

– Bardzo panią proszę, Helen! – powiedziałem, kiedy za drzwiami rozległy się kroki nadchodzącej Rachel.

Pani Graham nie miała innego wyjścia, jak odwrócić się i poprosić służącą, by rozpałała w kominku. Po dziś dzień żywię do Rachel urazę za spojrzenie, które mi wówczas rzuciła – nieprzyjemne, podejrzliwe i świdrujące spojrzenie, które mówiło jasno: „A ty tutaj czego?”. Nie uszło ono uwadze jej pani.

– Nie wolno panu zostawać zbyt długo, Gilbercie – rzekła, gdy drzwi za tamtą się zamknęły.

– Bynajmniej nie mam takiego zamiaru – odparłem nieco zirytowany, choć powodem mojej irytacji było wyłącznie wścibstwo starszej kobiety. – Ale, Helen, zanim pójdę, muszę pani o czymś powiedzieć.

– Co takiego?

– Nie, jeszcze nie teraz... Nie do końca jeszcze wiem, co... A raczej, jak ująć to słowami – odrzekłem z większą dozą prawdomówności niż rozwagi; po czym, w obawie, że zostanę wyproszony i chcąc zyskać na czasie, poruszyłem jakiś obojętny mi temat.

W międzyczasie Rachel wróciła rozniecić ogień. Dokonawszy tego za pomocą rozgrzanego do czerwoności pogrzebacza, który włożyła w palenisko, skierowała się do wyjścia, jednocześnie zaszczycając mnie jeszcze jednym nieprzyjaznym spojrzeniem. Niezrażony tym jednak, odważyłem się przysunąć do kominka jeden fotel dla pani Graham i drugi dla siebie, choć domyślałem się, że ona wolałaby, abym sobie poszedł.

Wkrótce nasza rozmowa urwała się i kilka kolejnych minut spędziliśmy w milczeniu, wpatrując się w ogień – ona zaabsorbowana własnymi smutnymi myślami, a ja zadumany nad tym, jak cudowną rzeczą byłoby móc siedzieć tak obok niej w samotności, z duszą wolną od ciężaru uczuć, które teraz ostatkiem sił próbowałem w sobie tłumić. Gdybym tylko mógł je z siebie wyrzucić, gdybym tylko umiał zdobyć się na szczerłość... Czy powinienem zaryzykować, otwierając przed nią natychmiast swoje serce i błagając, ażeby odwzajemniła mi się tym samym, pozwoliła mi myśleć odtąd o sobie jako o mojej i przyznała mi prawo do obrony jej przed tymi, którzy rzucają na nią oszczerstwa? Z jednej strony poczułem w sobie przyływ nowej wiary we własne siły i pewność, że obecny stan mego ducha użyczy mi daru przekonywania i tym samym zdobędzie mi to, o co zabiegam. Z drugiej zaś strony obawiałem się, że stracę terytorium, którego podbicie przyszło mi z tak wielkim trudem i że jednym pochopnym czynem pogrzebię wszystkie swoje nadzieje na szczęśliwą przyszłość, podczas gdy kluczem do sukcesu mogłaby okazać się cierpliwość. Sytuacja zdawała mi się równoznaczna ze stawianiem na szali całego swojego życia, a jednak gotowy byłem zaryzykować. Pomyślałem, że przynajmniej odwołam się do owego wyjaśnienia, które wcześniej mi obiecała i poproszę, by wyjawiała mi, jakaż to tajemnicza przeszkoda stoi na drodze do mojego i, jak podejrzewałem, również jej własnego szczęścia.

Jednak kiedy ja zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób najlepiej byłoby ją o to zapytać, moja towarzyszka westchnęła delikatnie i ocknąwszy się z zadumy, spojrzała w kierunku okna, za którym lśniła czerwona tarcza księżyca w pełni.

– Gilbercie, robi się późno – rzekła.

– Tak, widzę – odpowiedziałem. – Zapewne chciałaby pani, żebym sobie poszedł.

– Uważam, że tak trzeba. Jeżeli moi życzliwi sąsiedzi dowiedzą się o pańskiej wizycie u mnie, a niewątpliwie tak się stanie, nie obróci się to na moją korzyść.

Gdy wypowiadała owe słowa, na jej twarzy widniał ten rodzaj uśmiechu, który pastor niechybnie określiłby mianem „uśmiechu dzikuski”.

– Niechże sobie mówią co chcą – odparłem. – Dlaczego pani i ja mielibyśmy dbać o to, co myślą o nas inni? Oboje wiemy przecież, że nie mamy sobie nic do zarzucenia. Niech pozostali idą do diabła wraz ze swoimi kłamliwymi wymysłami!

Mój nagły wybuch sprawił, że oblała się rumieńcem.

– Czy to znaczy, że słyszał pan, co o mnie mówią?

– Słyszałem tylko jakieś wstrętne, kłamliwe insynuacje, Helen. Ale tylko głupcy mogliby dać im wiarę, więc proszę nawet przez chwilę się nimi nie zadręczać.

– Nie nazwałabym pana Millwarda głupcem, a jednak we wszystko uwierzył. I niezależnie od tego, czy szanuje się ludzi powtarzających o nas takie rzeczy czy też nie, nie ma nic przyjemnego w byciu postrzeganym przez nich jako osoba nieuczciwa. To nic miłego, gdy inni oskarżają nas o praktykowanie zwyczajów, które sami potępiamy, gdy nasze dobre intencje są źle odbierane, a wyznawane przez nas zasady poddawane w wątpliwość.

– To prawda. I jeśli za sprawą swojej niefrasobliwości i egoizmu ściągnąłem na panią te przykrości, błagam, by nie tylko wybaczyła mi pani, ale też pozwoliła mi się zrehabilitować. Proszę pozwolić mi stanąć w obronie pani reputacji, zaręczyć za jej honor moim własnym i oczyścić z wszelkich zarzutów jej imię – imię, które droższe mi jest od własnego życia!

– Czy jest w panu dość odwagi, by utożsamić się z tą, którą wszyscy wokół pogardzają? – by swój honor związać z jej honorem? Proszę dobrze się zastanowić! To nie są żarty!

– Zrobiłbym to z dumą, Helen! Gdyby mi pani na to pozwoliła, byłbym najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem! I jeśli to jedyna przeszkoda stojąca pomiędzy nami, proszę uznać ją za pokonaną. I musi pani... musi pani stać się moją!

Zerwawszy się z miejsca, chwyciłem jej dłoń, zamierzając przycisnąć ją sobie do ust, lecz ona gwałtownie mi ją wyrwała, wykrzykując tonem głębokiego żalu:

– Nie, nie, to jeszcze nie wszystko!

– A więc co to takiego? Obiecała mi pani, że kiedyś wszystkiego się dowiem i...

– Dowie się pan – pewnego dnia, lecz jeszcze nie teraz. Dokuczają mi okropny ból głowy i muszę trochę odpocząć – powiedziała, przyciskając dłoń do czoła – Z całą pewnością spotkało mnie dzisiaj już dosyć przykrości!

– Ale przecież jeżeli powie mi pani teraz, w żaden sposób to jej nie zaszkodzi – nalegałem. – Być może nawet przyniesie jej ulgę, a ja będę wiedział, w jaki sposób panią pocieszyć.

Z przygnębieniem pokręciła głową.

– Gdyby wiedział pan wszystko, potępiłby mnie tak jak inni; być może nawet bardziej niż na to zasługuję... Choć doprawdy wyrządziłam panu okrutną krzywdę – dodała

szeptem, jak gdyby mówiąc do siebie.

– Mnie? To niemożliwe, Helen!

– Ależ tak, choć niechący. Nie wiedziałam bowiem, jak silne i głębokie są pańskie uczucia. Myślałam, a w każdym razie starałam się myśleć, że mają stonowany i braterski charakter – że są takie, jakimi je pan przedstawiał.

– Albo że przypominają to, co czuje pani do mnie?

– Albo że przypominają to, co *powinnam* do pana czuć – coś nieistotnego, samolubnego i powierzchownego...

– Myśląc tak, zaiste wyrządziła mi pani niesprawiedliwość.

– Wiem o tym. I wcześniej niekiedy się nawet tego domyślałam. Ale sądziłam, że nie stanie się nic złego, jeśli pozwolę panu żywić fantazje i nadzieje, które i tak w sposób naturalny się wypalą, podczas gdy nasza przyjaźń będzie trwała nadal. Jednak gdybym miała świadomość, jak bezinteresowne i prawdziwe są względy, które zdaje mi się pan okazywać...

– *Zdaję się*, Helen?

– Zatem które mi pan *okazuje*, wówczas zachowałabym się inaczej.

– Jak to? Przecież nie mogłaby już pani zachowywać większego dystansu i traktować mnie chłodniej niż dotychczas! I jeśli sądzi pani, że wyrządziła mi krzywdę, oferując mi swą przyjaźń i sporadycznie podarowując mi przyjemność obcowania ze sobą, podczas gdy wszystkie nadzieje na bliższą zażyłość były daremne, co zawsze zresztą dawała mi pani do zrozumienia – jeżeli wydaje się pani, że mnie w ten sposób skrzywdziła, to jest pani w błędzie. Owe uprzejmości z pani strony nie tylko radowały moje serce, lecz również uszlachetniały mą duszę. I gdybym miał wybierać, wolałbym przyjaźń pani od miłości jakiegokolwiek innej kobiety chodzącej po tym świecie!

Niewiele pocieszona owym wyznaniem pani Graham zacisnęła ręce na swoim kolanie i spojrzała w górę, zdając się wzywać na pomoc jakieś pozaziemskie siły. Po chwili odwróciła się do mnie i spokojnym głosem rzekła:

– Jutro około południa proszę przyjść na wrzosowisko. Tam wyjawię panu wszystko, co będzie pan chciał wiedzieć i być może wtedy zrozumie pan, dlaczego ukrócenie naszej znajomości jest konieczne. To jest, jeśli jeszcze sam nie uznał mnie pan za niegodną jego względów...

– Z całym przekonaniem mogę powiedzieć, że nigdy się tak nie stanie. Nie wierzę, by mogła mieć pani coś aż tak poważnego na sumieniu. Helen, chyba poddaje mnie pani jakiejś próbie.

– Nie, nie, nie – powtórzyła stanowczo. – Okrutnie żałuję, ale myli się pan! Dzięki Bogu – dodała – nie dopuściłam się żadnej wielkiej zbrodni, ale mam panu do wyznania więcej niż chciałby pan ode mnie usłyszeć i prawdopodobnie więcej niż byłby pan gotów mi wybaczyć. W tej chwili jednak niczego panu nie powiem, więc proszę już sobie iść!

– Pójdę, ale najpierw proszę odpowiedzieć mi na jedno pytanie: czy kocha mnie pani?

– Nie usłyszy pan ode mnie odpowiedzi!

– Wobec tego wnioskuje, że owa odpowiedź byłaby twierdząca. Dobranoc.

Odwróciła się, by ukryć emocje, nad którymi nie potrafiła zapanować. Nie zważając na to, chwyciłem jej dłoń i żarliwie ją ucałowałem.

– Gilbercie, *proszę* zostawić mnie samą! – zawołała głosem pełnym bóleści i pomyślałem, że okrucieństwem z mojej strony byłoby jej tym razem nie usłuchać.

Nim zamknąłem za sobą drzwi, obejrzałem się jeszcze raz za siebie. Siedziała pochylona nad stołem z rękoma przyciśniętymi do oczu, szlochając spazmatycznie. A jednak, nie mówiąc już nic więcej, odszedłem. Czułem bowiem, że próba pocieszenia jej tylko spotęgowałaby jej cierpienie.

Trzeba by mi było całej księgi, gdybym miał przelać na papier wszystkie pytania i domysły, obawy, nadzieje i dzikie emocje, które rządziły moją duszą, gdy szedłem w dół wzgórza. Ale zanim znalazłem się choć w połowie drogi, bezgraniczna litość wobec tej, którą przed chwilą zostawiłem samą wyparła wszelkie inne uczucia, nakazując mi zawrócić. Pytałem sam siebie: „Dlaczego tak spieszę się do domu? Czy znajdę tam jakiś rodzaj pocieszenia? – Czy czeka mnie tam spokój ducha, poczucie bezpieczeństwa lub zadowolenie? I czy mogę tak po prostu zostawić za sobą cały ów chaos nieszczęścia, smutku i lęku?”

Odwróciwszy się, spojrzałem w stronę starego dworu. Mój ograniczony widnokrąg pozwalał mi dostrzec tylko wieńczące budowlę kominy, toteż podszedłem bliżej, a gdy dwór pojawił się przede mną w całej swej okazałości, przystanąłem. Zaraz jednak ruszyłem w jego kierunku, jak gdyby przyciągała mnie doń jakaś nieznana siła. I dlaczego nie miałbym się jej poddać? Czyż nie lepiej było przyglądać się w skupieniu owemu sędziwemu budynkowi, skąpanemu teraz w żółtym blasku sierpniowego księżyca, który płynął spokojnie po bezchmurnym nieboskłonie? I czyż nie lepiej było oddawać się myślom o przebywającej w jego wnętrzu pani mojego serca niż wracać do domu, gdzie wszystko było beztruską i życiem, i radością – tak nienawistną memu obecnemu stanowi ducha? Tym bardziej, że wszyscy moi domownicy zdawali się wierzyć w coś, na samą myśl o czym w moich żyłach burzyła się krew. Jakże mógłbym wysłuchiwać ich otwarcie wygłaszanych opinii lub, co gorsza, ich zawoalowanych insynuacji? Dość, że zmuszony byłem walczyć z jakimś złośliwym demonem, który nie przestawał szeptać do mojego ucha: „To może być prawda!”

– Nie, to kłamstwo! Nie uda ci się sprawić, bym w nie uwierzył! – wykrzyknąłem wreszcie na cały głos.

Okno jej bawialni rozświetlał łagodny, czerwony blask płonącego w kominku ognia. Zbliżyłem się do ogrodowego muru i przystanąwszy, zapatrzyłem się w nie, zastanawiając się, co ona teraz robi, o czym myśli i czy cierpi. Marzyłem o tym, bym przed odejściem mógł zamienić z nią choć jedno słowo albo żeby dane mi było chociaż raz ją zobaczyć.

Nie oddawałem się jednak owym marzeniom nazbyt długo, bowiem wkrótce, powodowany nieprzepartą pokusą zerknięcia przez okno, przeskoczyłem przez mur. Pragnąłem tylko przekonać się, czy jest już spokojniejsza niż w chwili, w której się

rozstawaliśmy. I gdybym odkrył, że rozpacz jej nie osłabła, być może ośmieliłbym się spróbować ją pocieszyć, wypowiadając choć jedną z tych rzeczy, które powinienem był powiedzieć wcześniej. Zajrzawszy do środka, stwierdziłem, że jej fotel stoi pusty i że w pomieszczeniu jej nie ma. W tej samej chwili jednak drzwi wejściowe się otwały i czyjś głos – jej głos – powiedział:

– Wyjdźmy na zewnątrz. Chcę popatrzeć na księżyc i odetchnąć wieczornym powietrzem. Dobrze mi to robi – jeśli cokolwiek może mi dobrze zrobić.

A więc postanowiła pospacerować wraz z Rachel po ogrodzie. Pożałowałem, że nie znajduję się bezpiecznie po drugiej stronie muru, aczkolwiek wysoki ostrokrzew, który rósł pomiędzy oknem i portykiem i w którego cieniu właśnie stałem osłaniał mnie przed ich wzrokiem, mnie samemu jednocześnie nie ograniczając pola widzenia. W świetle księżycy ujrzałem dwie przechadzające się postaci: panią Graham i kroczącą za nią jakąś inną osobę – nie Rachel, lecz młodego mężczyznę – szczupłego i dość wysokiego... Wielkie nieba, jakże pulsowały moje skronie! Przejmujący niepokój sprawił, że wzrok mi zmętniał, ale mimo wszystko rozpoznałem w tamtym człowieku... Tak – ów głos stanowił niepodważalny dowód: był to pan Lawrence.

– Niepotrzebnie się zamartwiasz, Helen – Od teraz będę ostrożniejszy i z czasem...

Reszty jego słów nie dosłyszałem, albowiem szedł tuż za nią i mówił bardzo cicho. Moje serce rozsadzała nienawiść, ale wytężyłem słuch, czekając na jej odpowiedź. Ta dobiegła moich uszu wyraźnie:

– Ale ja muszę stąd wyjechać, Fredericku. Nigdy nie będę tutaj szczęśliwa. Zresztą ani tutaj, ani w żadnym innym miejscu – dodała, wybuchając śmiechem, w którym nie było słyhać radości. – Jednak nie mogę tutaj zostać.

– Lecz gdzie znajdziesz lepsze schronienie? – zapytał Lawrence. – Gdzie znajdziesz dom położony tak ustronnie, a zarazem tak blisko mnie – jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

– To prawda – wtrąciła. – Lepszego miejsca nie mogłabym sobie wyobrazić. Gdyby tylko ludzie zostawili mnie w spokoju...

– Ale dokądkolwiek byś się nie udała, napotykać będziesz te same trudności. Nie chcę cię stracić, Helen. Musiałbym pojechać razem z tobą lub przynajmniej mieć możliwość odwiedzania cię. A wścibskich głupców nie brakuje nigdzie – nie tylko tutaj.

Powolnym krokiem przeszli alejką obok mnie i dalszej części ich rozmowy już nie dosłyszałem. Zobaczyłem jedynie, że on obejmuje ją w tali i że ona wdzięcznym ruchem kładzie dłoń na jego ramieniu. I wówczas przed moimi oczami pojawiła się ciemność, moje serce zaniemogło, a głowa poczęła płonąć. Chwiejąc się, ruszyłem z miejsca, do którego dotąd przykuwało mnie przerażenie. Doprawdy nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób udało mi się przedostać na drugą stronę muru; za to dobrze pamiętam, że znalazłszy się tam, rzuciłem się na ziemię niczym rozzłoszczone dziecko. Jak długo oddawałem się owym gwałtownym porywom rozpacz i gniewu, Bóg raczy wiedzieć. Kiedy, wylawszy z siebie potok łez, poczułem wreszcie pewien przyływ ulgi, spojrzałem na księżyc, który

nieprzerwanie świecił spokojnym i beztroskim światłem – tak samo obojętny na moje nieszczęście, jak ja obojętny byłem na jego kojący blask. A potem mimowiednie podniosłem się i pchany instynktem podążyłem do domu, po drodze usilnie modląc się o śmierć lub zapomnienie.

Drzwi wejściowe zastałem zaryglowane i wszyscy domownicy już spali, z wyjątkiem matki, która usłyszawszy moje niecierpliwe kołatanie, przybiegła mi otworzyć. Od razu znalazłem się pod gradem jej pytań i wyrzutów.

– Och, Gilbercie, *jak mogłeś?* I *gdzie* byłeś? Wejdźże do środka. Dopilnowałam, by kolacja na ciebie czekała, choć nie zasłużyłeś sobie na to. Przeraziłeś mnie tym, w jaki sposób wyszedłeś dziś wieczorem z tego domu. Pan Millward był nadzwyczaj... Dobry Boże! Czy jesteś chory, chłopcze? Wielkie nieba, co się stało?

– Nic, nic się nie stało. Poproszę o świecę.

– A co z kolacją?

– Nie będę jadł, chcę się położyć – rzekłem, chwytając swoją świecę i próbując odpalić ją nad płomieniem tej, którą trzymała matka.

– Gilbercie, jesteś cały roztrzęsiony! – wykrzyknęła moja troskliwa rodzicielka. – I okrutnie błady! Proszę, powiedz mi, czy coś się stało?

– Nic się nie stało! – zawołałem, poirytowany tym, że świeca nie chce się zapalić. Po czym pomiarkowawszy się, dodałem: – Zbyt szybko szedłem, to wszystko. Dobranoc.

Z tymi słowy skierowałem się na górę do swojej sypialni, nie bacząc na pytania, które ciągle wykrzykiwała za mną matka:

– Zbyt szybko szedłeś?... Ale gdzie byłeś?...

Towarzyszyła mi aż po same drzwi pokoju, nie przestając pytać i zasypywać mnie radami odnośnie mojego zdrowia, lecz gdy poprosiłem ją, ażeby do rana dała mi spokój, poddała się wreszcie i niedługo uszu mych dotarł odgłos zamykających się za nią drzwi jej sypialni. Ja jednak, wiedząc, iż sen nie jest mi tej nocy przeznaczony, nie miałem zamiaru się kłaść i zamiast tego począłem chodzić w tę i w tę po pomieszczeniu, pamiętając o tym, by uprzednio zdjąć buty. Deski podłogi jednakże trzeszczały i nie minął kwadrans, kiedy moja czujna matka znów pojawiła się pod drzwiami.

– Gilbercie, dlaczego nie jesteś w łóżku? Czyż nie mówiłeś, że chcesz się położyć?

– Niech to licho! Zaraz się położę – odpowiedziałem.

– Ale dlaczego tak z tym zwlekasz? Jestem pewna, że coś cię trapi...

– Na litość boską, niechże mama mnie zostawi w spokoju i sama idzie się położyć!

– Czy to przez panią Graham jesteś w takim nastroju?

– Powiadam, że nie – nic mnie nie trapi!

– Życzyłabym sobie, by była to prawda – wyszeptała z westchnieniem i zawróciła do swojego pokoju.

Ja tymczasem rzuciłem się na łóżko.

Nigdy dotąd nie przeżyłem tak przykrej, tak dłużej się nocy. Jednak nie była ona całkiem bezsenna, gdyż nad ranem przepływające przez mą głowę bolesne myśli zaczęły

tracić spójność i przekształciły się w bezładne, malaryczne sny, po których nastąpił wreszcie krótki okres głębokiego snu. Lecz niebawem nadszedł świt, a wraz z nim gorycz przypomnienia – przypomnienia, że życie jest pustką, a nawet gorzej niż pustką – niekończącym się pasmem udręk, pełnym cierni i zadr – przypomnienia, że zostałem oszukany, zdeptany i pozbawiony nadziei i że osoba, którą uważałem za swego anioła okazała się demonem.

Tego samego ranka obok moich widoków na przyszłość zmieniła się również pogoda – dzień był pochmurny, mroczny, a deszcz chłostał szyby okna. Nie bacząc na to, wyszedłem jednak z domu – aczkolwiek nie po to, aby zająć się gospodarstwem, lecz by ostudzić swój umysł i przywrócić sobie – o ile było to w ogóle możliwe – względny spokój, dzięki któremu podczas śniadania mógłbym uniknąć uciążliwych pytań domowników. Przemoczone do suchej nitki ubranie wraz z pozorowanym przeze mnie zmęczeniem pomogłyby mi usprawiedliwić mój nagły brak apetytu, a gdyby potem przyszła choroba – im poważniejsza, tym lepiej – przez długi czas nie musiałbym się przed nikim tłumaczyć ze swojej apatii i przygnębienia.

Rozdział XIII

Powrót do obowiązków

– Mój drogi Gilbercie, życzyłamby sobie, byś starał się być nieco bardziej przystępnym – zauważyła moja matka pewnego ranka. – Powiadasz, że nic się nie stało i że nic cię nie gnębi, ale ja tymczasem *nigdy* nie widziałam, by ktoś zmienił się tak bardzo, jak ty w przeciągu tych kilku ostatnich dni. Dla nikogo nie masz dobrego słowa – swych przyjaciół traktujesz jak obcych, a do siebie równych odnosisz się tak samo, jak do podwładnych. Doprawdy, wolałabym, byś spróbował nad tym zapanować.

– Zapanować nad czym?

– Jak to: nad czym? Nad tym swoim dziwnym nastrojem. Nie zdajesz sobie sprawy, w jak niekorzystnym świetle cię on przedstawia. A pewna jestem, że nie chodzi po tym świecie człowiek o charakterze przyjemniejszym od twojego. Nie masz prawa tłamsić w sobie swojej prawdziwej natury.

Nic nie mówiąc, chwyciłem książkę i położywszy ją przed sobą na stole, udałem, że zajęty jestem czytaniem. Nie potrafiłem bowiem usprawiedliwić swojego zachowania ani też nie byłem skłonny przyznać się do swych uchybień; i zresztą, w ogóle nie miałem chęci w żaden sposób komentować całej sprawy. Tymczasem moja znakomita rodzicielka, spróbowała najpierw napomnieć, postanowiła wreszcie uciec się do czułości i poczęła głaskać mnie po głowie. Czułem już, że łagodnieję, kiedy mój czupurny brat, który snuł się właśnie wokół bez celu, podsycił mój słabnący upór, wykrzykując nagle:

– Niech go mama nie dotyka, bo ją jeszcze ugryzie! Wszak to prawdziwy tygrys w ludzkiej skórze i ja już machnąłem na niego ręką. Oświadczam, że zdecydowanie się go wyrzekam i odrzucam w całości. I ponieważ życie mi miłe, odtąd nie będę podchodził do niego bliżej niż na sześć jardów. Czy mama wie, że niedawno mało co pogruchotałby mi czaszkę w podziękowaniu za to, że chcąc go rozweselić, zanuciłem niewinną pioseczkę o miłości?

– Och, Gilbercie! Jak mogłeś? – zawołała matka.

– Uprzednio poprosiłem, Fergusie, abyś nie robił hałasu – powiedziałem.

– Tak, ale kiedy zapewniając cię, że to żaden dla mnie kłopot, przeszedłem do kolejnej zwrotki w nadziei, że bardziej przypadnie ci do gustu, ty chwyciłeś mnie za ramię i cisnąłeś o mur z taką siłą, że prawie odgryzłem sobie język i pomyślałem, że mózg mój musi być rozbryzgany na wszystkie strony. Gdy pomacawszy się po głowie, stwierdziłem, że jest cała, uznałem to za prawdziwy cud. Ale cóż począć! – w tym miejscu wydał z siebie egzaltowane westchnienie. – Nieszczęśnik ma złamane serce, nie da się zaprzeczyć, i jego umysł...

– Zamilkniesz wreszcie? – wrzasnąłem, zrywając się z miejsca i wpatrując się weń

wzrokiem tak dzikim, że matka, spodziewając się z mojej strony fizycznej napaści na niego, położyła dłoń na moim ramieniu i zaapelowała, bym zostawił go w spokoju. On tymczasem wyszedł niespiesznie z pomieszczenia, ręce trzymając w kieszeni i śpiewając prowokująco: „Czy powinienem, skoro kobieta piękna...”, etc.

– Nie zamierzam brukać sobie nim rąk – rzekłem w odpowiedzi na błagania matki. – Nie dotknąłbym go nawet cęgami.

Przypomniałem sobie, że mam do omówienia z Robertem Wilsonem szczegóły zakupu pewnego pola graniczącego z moją farmą, którą to sprawę dzień po dniu odkładałem na później, jako że ostatnimi czasy straciłem serce do wszystkiego i usposobiony byłem mizantropijnie. Do tego wyjątkową odrazą napawała mnie perspektywa spotkania Jane Wilson i jej matki, choć bowiem nie miałem już teraz powodów po temu, by nie wierzyć w powtarzane przez nie plotki dotyczące pani Graham, nie oznacza to wcale, że żywiłem do nich – czy do Elizy Millward – bodaj odrobinę więcej sympatii. Tego dnia jednakże zdecydowany byłem powrócić do swych obowiązków, czując, że nawet jeśli nie znajdę w tym żadnej satysfakcji, będzie to rozwiązanie mniej uciążliwe, a w każdym razie bardziej pożyteczne od bezczynności. Postradawszy nadzieję na zaznanie w życiu jakiegokolwiek radości, postanowiłem, że przebrnę przez nie, zatracając się w ciężkiej pracy, harując bez mała niczym roboczy wół i tym samym przydając się na coś innym.

Określiwszy w ten sposób swe zamiary na przyszłość, w nastroju ponurej rezygnacji podążyłem w kierunku farmy Rycote, nie licząc wprawdzie na to, że zastanę jej właściciela o tej porze dnia w domu, ale z nadzieją, że uda mi się dowiedzieć, w której części jego majątku można by go odnaleźć.

W domu istotnie go nie było, aczkolwiek spodziewano się, że niebawem wróci, toteż zostałem poproszony o zaczekanie na niego w salonie. Wchodząc do rzeczonoego pomieszczenia, stwierdziłem, iż nie stoi ono bynajmniej puste. Kiedy ujrzałem tam pannę Wilson trajkoczącą właśnie w najlepsze pospołu z Elizą Millward, z trudnością udało mi się powstrzymać mimowolny odruch nakazujący mi dokonać natychmiastowego odwrotu. Niemniej jednak zdołałem zdobyć się na chłodną uprzejmość i wyglądało na to, że i Eliza zdecydowana była grzecznie się ze mną przywitać. Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce owego wieczora na przyjęciu, lecz teraz nie dostrzegałem w niej żadnej widocznej emocji – nie zdawała się ani rada z tego, że mnie widzi, ani też zasmucona tym faktem; nie przejawiała również żadnych oznak żalu czy urażonej dumy i jej zachowanie wobec mnie było bardzo opanowane i układne. Zauważyłem w niej nawet pewien brak skrępowania i wesołość, choć w jej nazbyt wyrazistych oczach błyszczała niechęć, dająca mi jasno do zrozumienia, że tamto nie zostało mi wybaczone – Eliza wciąż nienawidziła swej rywalki i z wielką chęcią dałaby upust swojej złośliwości, gdyby tylko mogła. Z drugiej strony, panna Wilson sprawiała wrażenie nad podziw sympatycznej i uprzejmej i mimo że sam nie byłem w towarzyskim nastroju, obydwu damom wspólnymi siłami udało się dopilnować tego, by rozmowa nie zgasła. Jednakże pierwszą nadarzącą się chwilę milczenia Eliza postanowiła wykorzystać, pytając mnie, czy widuję się z panią Graham – a uczyniła to

tonem na pozór doskonale obojętnym, rzucając mi ohydne spojrzenie, które w jej zamierzeniu miało być filuterne, ale w istocie kipiało niezyczliwością.

– Nie w ostatnim czasie – odrzekłem niedbale, równocześnie gromiąc ją jednak wzrokiem, bowiem choć wyteżalem siły, aby pozostać niewzruszonym, z irytacją poczułem, że krew napływa mi do twarzy.

– Jak to? Już zaczyna się pan nią nudzić? Sądziłam, że tak szlachetna osoba zdoła pana do siebie przywiązać na co najmniej jeden rok!

– Wolałbym nie mówić o niej teraz.

– Ach! A więc pojął pan swój błąd. Wreszcie dotarło do pana, że jego bogini nie jest do końca ową nieskazitelną...

– Panno Elizo, prosiłem panią, by nie ciągnęła dalej tego tematu.

– Och, proszę mi wybaczyć. Widzę, że strzały Kupidyna okazały się być dla pana nazbyt ostre: wbiły się w pana serce głęboko i zostawiły po sobie bynajmniej nie powierzchowne rany, które wciąż się goją. A każde wspomnienie nazwiska pańskiej ukochanej sprawia, że zaczynają krwawić od nowa.

– Pan Markham chciał przez to raczej powiedzieć – wtrąciła panna Wilson – że rzeczą niestosowną jest wymawianie nazwiska tej kobiety w towarzystwie przyzwoitych dam. Elizo, jestem zdumiona tym, że w ogóle przyszło ci do głowy, by poruszyć temat owej nieszczęśliwej osoby. Powinnaś wiedzieć, że każdemu z tutaj obecnych sprawisz tym przykrość.

Jakże mogłem to znosić? Podniósłszy się, zamierzałem właśnie gwałtownym ruchem włożyć na głowę kapelusz i w wielkim gniewie opuścić dom Wilsonów, kiedy w samą porę uświadomiłem sobie, jak nieroztropne byłoby to posunięcie. Sprawiałbym tym tylko uciechę swoim dręczycielkom i naraził na szwank swój honor, a wszystko to przez wzgląd na tę, którą w swym sercu uznałem już za niegodną najmniejszego poświęcenia z mojej strony, choć duch dawnej miłości ciągle nie pozwalał mi ze spokojem słuchać, gdy inni znieważali jej imię. Zatem podszedłem tylko do okna. Przygryzając nerwowo przez kilka chwil wargę i walcząc zacięcie z ciężkim oddechem ciemniącym moją pierś, ponurym głosem rzekłem wreszcie do panny Wilson, że nigdzie nie widać jej brata i że ponieważ czas jest mi drogi, być może lepiej byłoby, gdybym przyszedł nazajutrz, w porze, w której najpewniej mógłbym zastać go w domu.

– Och nie, proszę jeszcze chwilę poczekać! – zawołała. – Robert niechybnie wróci za kilka minut, bo ma do załatwienia jakąś sprawę w L. – (było to pobliskie miasteczko) – i przed wyjazdem będzie potrzebował się trochę posilić.

Uległem zatem jej namowom, starając się wykrzesać z siebie możliwie najwięcej dobrej woli, lecz szczęśliwym trafem nie musiałem długo czekać. Kiedy niebawem pojawił się pan Wilson, mimo że byłem w owej chwili usposobiony do interesów niechętnie i niewiele dbałem o wspomniane pole czy o jego właściciela, z wewnętrzną determinacją przystąpiłem do pertraktacji szybko dobiłem interesu. Następnie zaś z uczuciem wielkiej ulgi opuściłem tamten dom i udałem się na zbocze doliny, dogłędać żniw.

Jakiś czas potem, zostawiwszy żniwiarzy samych przy pracy, skierowałem się w górę wzgórza, z zamiarem dokonania oględzin jednego z położonych wyżej pól. Tego dnia jednak nie było mi dane tam dotrzeć, albowiem po drodze dostrzegłem panią Graham i jej syna, którzy szli w moim kierunku. Oboje mnie zauważyli i Arthur biegł mi już na spotkanie, tymczasem ja, odwróciwszy się na pięcie, pewnym krokiem ruszyłem do domu, gdyż ślubowałem sobie nigdy więcej nie zamienić słowa z matką chłopca. Nie bacząc na jego piskliwy głosik wołający za mną, bym się zatrzymał, twardo szedłem dalej. Dziecko wkrótce zrezygnowało z pogoni – być może uznało ją w końcu za beznadziejną albo uległo nawoływaniom swojej matki. Jakkolwiek by nie było, kiedy kilka minut później obejrzałem się za siebie, w zasięgu mojego wzroku nie było już ani jego, ani jej.

To zdarzenie niewymownie mnie poruszyło. Wyglądało na to, że strzały Kupidyna okazały się dla mnie nie tylko zbyt ostre, ale również wyposażone w zadziory, których nie zdołałem jeszcze wyrwać ze swego serca. Tak czy inaczej, resztę tamtego dnia spędziłem, cierpiąc podwójnie.

Rozdział XIV

Napaść

Nazajutrz rano, o ile pamięć mnie nie myli, sam również miałem jaką sprawę do załatwienia w L., zatem dosiadłszy tuż po śniadaniu swego konia, ruszyłem w drogę. Dzień był ciemny i dżdżysty, co jednak w żaden sposób mi nie przeszkadzało, a nawet współgrało ze stanem mojego ducha. Zanosiło się na to, że podróż odbędzie całkiem samotnie, bowiem obrany przeze mnie trakt uczęszczany był z reguły tylko w dni targowe – ale i to mi odpowiadało.

Niemniej, kiedy pochłonięty swoimi *gorzkimi* rozważaniami posuwałem się naprzód, nagle uszu mych dobiegł tętent kopyt innego konia, który znajdować się musiał w niewielkiej odległości za mną. Nie próbowałem zgadywać, kim może być ów jeździec i w ogóle nie zaprzętałem sobie nim głowy, dopóki nie dotarłem do pewnego łagodnego wzniesienia. Wjeżdżając na nie, spowolniłem tempo, a raczej to mój wierzchowiec je spowolnił, gdyż zagubiony we własnych myślach pozwalałem mu poruszać się tak, jak się mu podobało. I wówczas ów drugi jeździec, dogoniwszy mnie, wykrzyknął moje nazwisko – nie był to bowiem żaden nieznajomy, lecz pan Lawrence we własnej osobie. Moje palce odruchowo zacisnęły się na rękojeści bata, ale pomiarkowałem się i skinieniem głowy odpowiedziałem na jego pozdrowienie, po czym ponagliłem swego konia. Pan Lawrence jednakże znów się ze mną zrównał i zaczął prawić o pogodzie i zbiorach. Zbywając jego pytania i obserwacje kilkoma słowami, ściągnąłem cugle, by pozostać z tyłu. Lawrence jednakże poszedł za moim przykładem i sam również ściągnął cugle swego konia, pytając, czy mój kuleje. Odpowiedziałem mu *spojrzeniem*, na co on tylko łagodnie się uśmiechnął.

Byłem równie zdumiony, co rozjuszony tym osobliwym uporem i śmiałością z jego strony. Sądziłem, że okoliczności naszego ostatniego spotkania odcisną na jego duszy piętno tak głębokie, że na zawsze już będzie do mnie uprzedzony. Tymczasem zdawał się nie tylko niepomny na moje dawne względem niego uchybienia, ale także niewrażliwy na moją obecną nieuprzejmość. I choć kiedyś wystarczał najdrobniejszy ton chłodu w głosie, by go urazić, teraz nie potrafiłem go do siebie zniechęcić iście grubiańskim zachowaniem. Czyżby wiedział o rozczarowaniu, jakiego niedawno doznałem i pragnął nasycić wzrok widokiem mojego cierpienia? Znów zacisnąłem dłoń na rękojeści bata, lecz i tym razem udało mi się zwalczyć pokusę użycia go. Jadąc dalej w milczeniu, postanowiłem, że zanim otworzę wrota swej duszy i uwolnię kipiącą w niej furję, poczekam na bardziej oczywisty pretekst do tego występu.

– Markham – powiedział Lawrence typowym dla siebie cichym głosem. – Dlaczego wadzi się pan z przyjaciółmi? Czy to *moja* wina, że doznał pan zawodu i pańskie nadzieje legły w gruzach? Przecież ostrzegałem zawczasu, ale pan nie chciał...

Niczego więcej powiedzieć już nie zdołał, albowiem, usłuchawszy podszeptu jakiego demona, złapałem za mniejszy koniec bata, a większym – ruchem szybkim jak mgnienie błyskawicy – zdzieliłem jegomościa w głowę. Z rodzajem barbarzyńskiej satysfakcji patrzyłem, jak jego oblicze okrywa się śmiertelną bladością, a z czoła ścieka kilka czerwonych kropeł, podczas gdy cała jego postać chwieje się przez chwilę w siodle, by wreszcie runąć plecami na ziemię. Kucyk, zaskoczony tym dziwnym sposobem, w jaki uwolniony został spod ciężaru swego pana, wzdrygnąwszy się, wyrzucił do tyłu obie tylne nogi, po czym, korzystając ze swej wolności, oddalił się na skarpę, by poskubać porastającą ją trawę. Lawrence tymczasem leżał na ziemi nieruchomo i bezgłośnie niczym nieboszczyk. Czy go zabiłem? Gdy pochylałem się nad nim z zapartym tchem, przyglądając się jego upiornie bladej twarzy, zdało mi się, jakby jakaś lodowata dłoń ścisnęła moje serce, zatrzymując jego bicie. Ale nie; powieki tamtego poruszyły się, a z ust wydobył się nieznaczny jęk. Znów mogłem oddychać – upadek go tylko ogłuszył, na co zresztą sobie zasłużył. Czy powinienem pomóc mu wsiąść na konia? Nie. Zrobiłbym to, gdyby chodziło o każde inne przewinienie, jego grzech był jednak w moich oczach niewybaczalny. Poza tym, jeśliby zechciał, mógłby dosiąść swego wierzchowca samodzielnie – już zaczynał się poruszać i rozglądać wokół, a kucyk czekał na niego, spokojnie skubiąc trawę na przydrożu.

Zatem, złorzecząc pod nosem, postanowiłem pozostawić jegomościa własnemu losowi i spiąwszy swego konia ostrogami, galopem odjechałem z miejsca zdarzenia. W duszy mojej kłębiły się uczucia, które niełatwo byłoby zgłębić, choć obawiam się, że główne miejsce pośród nich zajmować mogło upojenie tym, czego właśnie się dopuściłem.

Niebawem jednakże wrzenie w mojej głowie poczęło tracić na sile i niepewny co do dalszych losów swojej ofiary zawróciłem. Nie kierowały mną żadne szlachetne pobudki – nie nakazała mi tego ani miękkość serca, ani też strach przed konsekwencjami, które mogłyby mnie czekać, gdybym pozostawił zaatakowanego przez siebie mężczyznę bez pomocy i tym samym naraził go na doznanie kolejnych obrażeń. Powodowało mną tylko i wyłącznie sumienie. A fakt, że jego głosu usłuchałem tak niezwłocznie przepełnił mnie dumą – być może i słuszną, jeśliby zmierzyć wartość czynu kosztującym go poświęceniem.

Pan Lawrence i jego kucyk zdążyli się nieco przemieścić. Zwierzę stało teraz około dziesięć jardów dalej, a dżentelmen, który jakimś sposobem zdołał usunąć się ze środka drogi, leżał na skarpie przyciskając batystową chustkę – obecnie raczej czerwoną niż białą – do swej wciąż bardzo bladej twarzy.

Cios musiał być potężny, aczkolwiek część winy należałoby przypisać batowi ozdobionemu masywną, srebrzoną główką konia. Przemoknięta deszczem trawa stanowiła raczej mało przyjazne podłoże dla młodego dżentelmena, jego ubranie pokryte było błotem, podczas gdy kapelusz leżał w kałuży po drugiej stronie drogi. Myśli jego zdawały się jednak krążyć teraz głównie wokół kuczka, na którego spoglądał pełnym przygnębienia wzrokiem – na wpół z niepokojem, a na wpół z bezradną rezygnacją.

Zsiadłem z konia i przywiązaawszy go do najbliższego drzewa, nasamprzód podniosłem

kapeluszu, zamierzając wcisnąć go panu Lawrence'owi na głowę. Ten jednakże uznał najwyraźniej, iż jego czaszka w swym obecnym stanie jest kapelusza niegodna, albo że to kapelusz w jego obecnej kondycji jest niegodny jego czaszki, bowiem wzbraniając się, wyrwał mi nakrycie głowy z rąk i pogardliwym ruchem cisnął na bok.

– Na nic lepszego nie zasługujesz – mruknąłem pod nosem.

Moim następnym dobrym uczynkiem było złapanie i przyprowadzenie doń jego kucyka, co nie nastęczyło mi żadnych trudności, gdyż zwierzę było całkiem spokojne. Pozostało mi więc tylko umieścić jegomościa w siodle.

– Dalejże, druhu... draniu... psie... Dawaj rękę, to pomogę ci wsiąść na konia.

Ale Lawrence odwrócił się ode mnie z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Spróbowałem chwycić go pod ramię, lecz cofnął się przed moim dotykiem, jak gdybym był trędowaty.

– Jak to? Gardzisz moją pomocą? Dobrze! Jeżeli chodzi o mnie, możesz tu siedzieć aż do dnia sądnego. Ale chyba nie chcesz się całkiem wykrwawić? Będę więc na tyle łaskawy, by opatrzyć przynajmniej tę ranę.

– Proszę mnie zostawić.

– Hm, z całego serca. Jeśli tak wolisz, możesz iść do samego diabła. I powiedziec mu, że to ja cię przysłałem.

Lecz nim odjechałem, przywiązałem uzdę kucyka do palika w ogrodzeniu i rzuciłem Lawrence'owi swoją chustkę, jako że jego własna na wskroś przesiąknięta już była krwią. Chwyciwszy ją, z całą siłą, na jaką mógł się w owej chwili zdobyć cisnął mi ją pod nogi. Wówczas miara jego występków w mych oczach się przebrała i znów, złorzecząc mu w głębi duszy, pozostawiłem go na pastwę losu. Uznałem, że skoro próbowałem go ratować, nie mam sobie nic do zarzucenia. Jednocześnie jednak nie pamiętałem, jak bardzo zbłądziłem, doprowadzając go do jego obecnego położenia i w jak obraźliwy sposób oferowałem mu potem swą pomoc.

Wsiadłszy powtórnie na konia, obejrzałem się tylko za siebie, by przed swym odjazdem przekonać się, jak tamten sobie radzi. Lawrence stał już na nogach i trzymając się kurczowo grzywy kucyka, usiłował usadzić się w siodle. Ale skoro tylko noga jego znalazła się w strzemieniu, musiał go obezwładnić nagły zawrót głowy lub przyptływ mdłości, bowiem przechylił się do przodu i zwieszoną głową oparł się o bok zwierzęcia. Po chwili podjął jeszcze jedną próbę wejścia na konia, a gdy ta okazała się daremna, na powrót opadł na skarpę, układając się na wilgotnej darni z takim spokojem, jak gdyby była to znajdująca się w jego domu kanapa.

Powinienem był mu pomóc, nie zważając na jego protesty – przewiązać ranę, której nie był w stanie zatamować, usadzić go w siodle i dopilnować, ażeby trafił bezpiecznie do domu. Ale prócz mojej nieprzejednanej niechęci wobec jego osoby istniało również pytanie, co powiedziec jego służbie – oraz jak całą sprawę wytłumaczyć mojej własnej rodzinie. Musiałbym przyznać się do czynu, który – gdybym nie wyjaśnił im swych motywów, a to było wykluczone – przedstawiłby mnie im jako szaleńca. Mógłbym wprawdzie posłużyć się kłamstwem, ale to również nie wchodziło w rachubę. Tym bardziej,

że pan Lawrence prawdopodobnie zaprzeczyłby moim słowom, co okryłoby mnie dziesięciokrotnie większą hańbą – chyba że miałbym w sobie dość podłości, by wykorzystując brak świadków zdarzenia, upierać się przy swojej wersji wypadków i tym sposobem uczynić zeń jeszcze większego łajdaka od tego, którym był w rzeczywistości. Nie; miał jedynie rozciętą skroń i być może też kilka sińców, których nabawił się podczas upadku lub od kopyt swego kucyka – to nie mogło go zabić, nawet jeśli leżał tu pół dnia. A zresztą, nawet gdyby sam sobie nie poradził, ktoś prędzej czy później niechybnie przejeżdżałby tą drogą i przyszedł mu z pomocą. Co do tego, w jaki sposób wytłumaczy innym położenie, w którym się znalazł byłem skłonny zaryzykować. Gdyby postanowił kłamać, ja bym mu zaprzeczył, a jeśli powiedziałby prawdę, przyjąłbym to z godnością. Nie miałem jednak obowiązku wdawać się w szczegółowe wyjaśnienia. Istniała jednak szansa, że Lawrence, chcąc uniknąć pytań o przyczyny mojej napaści, zdecyduje się milczeć – zdawało się bowiem, że bardzo zależy mu na utrzymaniu swojej znajomości z panią Graham w tajemnicy.

Pochłonięty tymi rozważaniami, ruszyłem do miasta, gdzie wpierw załatwiłem swoje sprawy, a potem dokonałem kilku sprawunków dla mojej matki i Rose, wszystko to zaś uczyniłem – biorąc pod uwagę okoliczności – z godną pochwałą starannością. W drodze powrotnej do domu naszły mnie nowe obawy odnośnie nieszczęsnego Lawrence'a. Z niepokojem zacząłem myśleć, co zrobię, jeśli znajdę go leżącego wciąż w tym samym miejscu na mokrej ziemi – umierającego z zimna i z wyczerpania albo już martwego. Ta zatrwająca ewentualność malowała się w mej wyobraźni coraz to żywszymi, boleśniejszymi kolorami, w miarę jak zbliżałem się do miejsca, w którym go zostawiłem. Ale, dzięki Bogu, w okolicy nie widać było już ani Lawrence'a, ani jego konia i tylko dwa przedmioty przypominały o moim występku: przemoczony deszczem, ubłocony kapelusz, w którym okrutna rękojeść mojego bata pozostawiła wgłębienie oraz leżąca w kałuży ciemnej wody, zabarwiona czerwienią chustka.

Złe wieści szybko się rozchodzą. Gdy dotarłem do domu, była ledwie czwarta, ale zatroskana matka przywitała mnie tymi oto słowami:

– Och, Gilbercie! *Takie* nieszczęście! Rose, robiąc w wiosce sprawunki, usłyszała, że pana Lawrence'a przywieziono do domu umierającego, po tym jak zrzucił go koń!

Jak się zapewne domyślasz, Halfordzie, ta nowina wstrząsnęła mną okrutnie, lecz gdy powtórzono mi, że dżentelmen ma straszliwie zmiażdżoną czaszkę oraz złamaną nogę, zaraz się uspokoiłem, bowiem wiedziałem dobrze, że to nieprawda i uznałem, że pozostałe fakty muszą być równie bardzo wyolbrzymione. Widząc, jak matka i siostra lamentują nad stanem pana Lawrence'a, z trudnością powstrzymałem się przed powiedzeniem im wszystkiego, co sam wiedziałem na temat odniesionych przez niego obrażeń.

– Jutro musisz pojechać go odwiedzić – rzekła matka.

– Albo jeszcze dzisiaj – podsunęła Rose. – Jest nadal całkiem wcześnie. A jeśli twój koń jest zbyt zmęczony, zawsze możesz pojechać na kucyku. Zrobisz to, Gilbercie, prawda?

Zaraz po posiłku?

– Ależ nie. Jak możemy mieć pewność, że to nie tylko fałszywe pogłoski? Przecież to wszystko brzmi wielce nieprawdopodobnie...

– Och, jestem przekonana, że nie może to być tylko kolejna pusta plotka, bo cała wioska żyje tą wiadomością. Do tego rozmawiałam z pewnymi osobami znającymi kogoś, kto zna tego człowieka, który go znalazł... Być może nie brzmi to przekonująco, lecz jeśli się dobrze zastanowić...

– Ale Lawrence to doskonały jeździec, więc niepodobna, by dał się zrzucić swojemu koniowi. A nawet jeśli tak się stało, to nigdy nie uwierzę to, że połamano się do tego stopnia, jak powiadają. Te wieści muszą być rażąco przesadzone.

– Ależ nie, mówią, że koń go kopnął... Albo coś w tym rodzaju.

– Jak to? Ten łagodny, mały kucyk?

– Skąd wiesz, że jechał na kucyku?

– Rzadko jeździ czym innym.

– Tak czy inaczej, jutro pojedziesz go odwiedzić – rzekła matka. – Bez względu na to, co jest prawdą, a co nie, będziemy chcieli wiedzieć, jak pan Lawrence się czuje.

– Fergus może pojechać zamiast mnie.

– A dlaczego nie ty?

– Ja jestem teraz bardzo zajęty. Fergus ma więcej czasu.

– Och, Gilbercie! Jak możesz podchodzić do tego z takim spokojem? W chwili, w której twój znajomy może być bliski śmierci wszystkie inne sprawy powinieneś odłożyć na bok!

– Ale powiadam wam, że to nie może być nic poważnego.

– Co do tego nie możesz mieć pewności. Bądź co bądź miał jakiś straszliwy wypadek, a ty masz obowiązek złożyć mu wizytę. Gdybyś tego nie zrobił, on mógłby uznać to za wielkie zaniedbanie i nietakt z twojej strony.

– Niech to diabli porwą! Nie mogę do niego pojechać. Ostatnimi czasy Lawrence i ja nie żyliśmy zbyt w dobrych stosunkach.

– Drogi chłopcze, chyba nie jesteś aż tak pamiętliwy, żeby jakieś niewielkie różnice, które was dzielą...

– Niewielkie różnice, doprawdy – mruknąłem pod nosem.

– Ależ trzeba, abys wziął pod uwagę okoliczności. Pomyśl tylko, jak...

– Dobrze już. Niech mama na razie przestanie mnie zdręczać. Pomyślę o tym – odrzekłem.

I pomyślawszy o tym, nazajutrz rano wysłałem do pana Lawrence'a swojego brata, polecając mu, by przekazał dżentelmenowi wyrazy szacunku od naszej matki i dowiedział się o jego zdrowie. Rzecz jasna, sam nie mogłem zrobić tego osobiście. Fergus wrócił z wiadomością, że młody ziemianin wypoczywa w łóżku z obrażeniami głowy i stłuczeniami (spowodowanymi upadkiem z konia, którego okoliczności jednak nie raczył bliżej wyjaśnić) oraz z poważnym przeziębieniem, którego nabawił się w wyniku długotrwałego leżenia na przemoczonym deszczem ziemi. Połamanych kości i widma poważnego niebezpieczeństwa

jednak nie było.

Jasnym stało się dla mnie wtedy, że Lawrence, przez wzgląd na panią Graham, nie miał zamiaru wysuwać pod moim adresem żadnych oskarżeń.

Rozdział XV

Spotkanie i jego skutki

Tamten dzień był równie deszczowy, co poprzedni, lecz pod wieczór niebo poczęło się przejaśniać. Kolejny ranek zaś okazał się całkiem pogodny. Przebywałem na wzgórzu, nadzorując prace przy żniwach, podczas gdy delikatny wietrzyk wiał pośród zbóż i cała przyroda uśmiechała się w słońcu. Ostatnie deszcze przywróciły powietrzu taką świeżość, tak cudownie obmyły niebo, a gałęziom drzew i źdźbłom traw nadały tak niezwykle połysk, że nawet farmerzy wybaczyli niesprzyjającej ostatnio aurze. Jednak mej duszy nie potrafił osiągnąć żaden promień słońca, żaden wiatr nie mógł przynieść jej orzeźwienia i nic nie było w mocy wypełnić pustki, którą pozostawiła w niej Helen Graham. Dojmujący ból nadal ścisnął moje serce, a gorycz tego, co pozostało po miłości wciąż kipiała w ustach.

Kiedy stałem z założonymi na piersi rękoma, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w falujące połacie nietkniętego jeszcze przez żniwiarzy zboża, poczułem, że ktoś delikatnie ciągnie za poły mego ubrania, po czym cienki głosik, miły onegdaj moim uszom, przywrócił mnie do przytomności, wymawiając te oto zdumiewające słowa:

– Panie Markham, mama prosi, by pan podszedł.

– Bym podszedł, Arthurze?

– Tak. Dlaczego tak dziwnie pan wygląda? – zapytał chłopiec, kiedy raptownie się do niego odwróciłem. Był na wpół rozbawiony i na wpół złękniiony niespodziewanym wyrazem mojej twarzy. – I dlaczego tak długo nas pan nie odwiedzał? Chodźmy!... Nie chce pan?

– Jestem teraz zajęty – rzekłem, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Arthur popatrzył na mnie z dziecięcą dezorientacją w oczach, ale nim zdołałem powiedzieć coś jeszcze, we własnej osobie pojawiła się pani Graham.

– Gilbercie, *muszę* z panem porozmawiać! – rzekła, a w tonie jej głosu dźwięczała tłumiona gwałtowność.

Spojrzałem w jej iskrzące się oczy i pobladłe oblicze, lecz wciąż milczałem.

– To zajmie jedynie chwilę. Przejdźmy tylko na tamtą łąkę – apelowała, zerkając na żniwiarzy, którzy rzucali w jej stronę zuchwałe, pełne ciekawości spojrzenia. – Zabiorę panu najwyżej minutę.

Poszedłem za nią.

– Arthurze, pobiegnij nazrywać tamtych dzwoneczków – powiedziała, wskazując na rosnące nieco dalej pod żywopłotem kwiatki. Dziecko, najwyraźniej niechętnie odstąpić od mego boku, zawahało się. – Idź, skarbie – przynagliła głosem, którego ton, mimo że uprzejmy, nakazywał bezwzględne posłuszeństwo.

Chłopiec oddalił się zatem.

– A więc, pani Graham? – zapytałem głosem beznamiętnym i oschłym. Choć widziałem,

że jest nieszczęśliwa i moje serce wypełniło uczucie litości, dręczenie jej sprawiało mi przyjemność.

Wbiła we mnie wzrok, który przeszywając mnie do szpiku kości, jednocześnie zmusił do uśmiechu.

– Nie będę pytać o przyczyny tej zmiany, która w panu zaszła, Gilberte – powiedziała z przejmującym spokojem. – Wszystkiego się domyślam. Ale choć potrafię przeboleć to, że wszyscy inni skłonni są mnie traktować podejrzliwie i skazywać na potępienie, z pańskiej strony tego nie zniosę... Dlaczego nie przyszedł pan wysłuchać moich wyjaśnień w dniu, w którym się umawialiśmy?

– Ponieważ tak się złożyło, że w międzyczasie dowiedziałem się wszystkiego, co pragnęła mi pani powiedzieć. Podejrzewam, że nawet nieco więcej.

– Ależ powiedziałabym panu wszystko! – zawołała gorączkowo. – Teraz już tego nie zrobię, bo widzę, że nie zasługuje pan na to!

Jej blade usta zadrżały z emocji.

– Czy mogę zapytać, dlaczego?

W odpowiedzi na mój drwiący uśmiech rzuciła mi pełne pogardy spojrzenie.

– Ponieważ nigdy mnie pan nie rozumiał. Gdyby było inaczej, nie uwierzyłby pan tak ochoczo w to, co mają do powiedzenia moi oszczercy. Pomyliłam się, obdarzając pana swoim zaufaniem... Nie jest pan człowiekiem, za jakiego go uważałam. Proszę sobie pójść! Nie dbam, co pan o mnie myśli!

Odwróciła się do mnie plecami, a ja odszedłem, wierząc, że w ten sposób zadam jej największy ból. I, jak sądzę, nie myliłem się, bowiem oglądając się chwilę potem przez ramię, zobaczyłem, jak ona odwraca się powtórnie, bez wątpienia licząc na to, że wciąż stoję przy niej. Znieruchomiała, a spojrzenie, które za siebie rzuciła pełne było raczej gniewu niż rozpaczy. Natychmiast przybrałem obojętny wyraz twarzy i udałem, że niedbale rozglądam się wokół siebie. Czekaając przez chwilę, czy nie usłyszę za sobą jej kroków lub wołania, wreszcie jeszcze raz obejrzałem się za siebie, ale po to tylko, by stwierdzić, że zdążyła się już znacznie oddalić, szybkim krokiem posuwając się w górę wzgórza, podczas gdy mały Arthur biegł u jej boku. Dziecko najwyraźniej coś do niej mówiło, ale twarz jej zwrócona była w drugą stronę, zupełnie jak gdyby starała się ukryć przed nim jakieś uczucie, nad którym nie potrafiła zapanować.

Wróciłem do swych obowiązków, lecz wkrótce jednak począłem żałować swej pochopności i pośpiechu, w jakim się z nią rozstałem. To, że żywiła do mnie uczucie nie budziło wątpliwości – być może uprzykrzyło jej się towarzystwo pana Lawrence'a i pragnęła zastąpić je moim. I gdybym kochał ją i wielbił mniej, jej wybór zapewne mile połaskotałby moją próżność. Tymczasem owa sprzeczność pomiędzy jej prawdziwymi uczuciami i utrzymywanymi przez nią pozorami – pomiędzy tą, za jaką miałem ją dawniej i tą, za jaką uważałem ją teraz – raniła mnie tak głęboko, że wszystko inne przestało się liczyć.

Mimo to ciekaw byłem, jak wytłumaczyłaby się przede mną, gdybym kategorycznie

upominał się o wyjaśnienia – do czego by się przyznała, w jaki sposób próbowałaby się usprawiedliwić? Potrzebowałem wiedzieć, co powinienem w niej nienawidzić, a co w niej podziwiać – do jakiego stopnia jej współczuć i jak bardzo nią gardzić. I co więcej, zamierzałem tę wiedzę zdobyć. Trzeba mi było zobaczyć się z nią raz jeszcze, by upewnić się, co o niej myśleć. To, że nasze drogi musiały się rozejść nie ulegało kwestii, lecz jednak wspomnienie nastroju wzajemnych nieuprzejmości i obopólnego cierpienia, w jakim przebiegło moje ostatnie z nią spotkanie nie dawało mi spokoju. Tamto spojrzenie, które rzuciła mi na pożegnanie zapadło w moje serce i nie pozwalało o sobie zapomnieć... Ale czyż nie oszukała mnie i nie zraniła – czy nie obróciła w niwecz wszelkich mych nadziei na szczęśliwe życie? „Dobrze, zobaczę się z nią jeszcze raz – brzmiało moje ostateczne postanowienie – lecz nie dzisiaj; dziś zostawię ją sam na sam z jej grzechami i cierpieniem. Jutro odbędzie się nasze ostatnie spotkanie. Być może jej samej na nic się ono nie przyda, ale w mym skazanym na stagnację życiu będzie jak tchnienie świeżego wiatru, które ukoji ogień podsycanych przez niepewność myśli”.

Następnego dnia, gdy już wszystkie obowiązki dnia codziennego miałem za sobą, a wskazówka zegara przekroczyła godzinę szóstą, swój zamiar wcieliłem w czyn. Kiedy dotarłem na miejsce, przesuwane się po zachodnim nieboskłonie słońce rzucało na stary dwór czerwone refleksy i nadawało bursztynowy połysk jego kratowym oknom, tym samym użyczając budynkowi nienaturalnego, pogodnego charakteru. Nie będę rozwodził się nad uczuciami, które towarzyszyły mi, gdy zbliżałem się do świątyni mego dawnego bóstwa – do owego miejsca rojącego się tysiącem czarownic wspomnień, które zasnuwał teraz cień potwornej prawdy.

Rachel wprowadziła mnie do bawialni i poszła po swoją panią. Na małym, okrągłym stoliku stojącym przy fotelu o wysokim oparciu leżała otwarta książka. Niezbyt liczny, choć znakomity księgozbiór pani domu znałem niemal tak dobrze, jak swój własny, ale tego tomu nigdy wcześniej nie widziałem. Wziąwszy go do ręki, przekonałem się, iż są to „Ostatnie dni filozofa” Sir Humphry’ego Davy i że na pierwszej stronie widnieje podpis: „Frederick Lawrence”. Wciąż trzymając książkę w ręku, odwrócony twarzą do drzwi, a plecami do kominka, spokojnie czekałem na Helen Graham, bowiem co do tego, że się pojawi nie miałem żadnych wątpliwości. Kiedy wkrótce uszu mych dobiegły odgłosy jej kroków, serce poczęło mi bić mocniej, ale pohamowując je wewnętrzną przyganą, zdołałem zachować opanowanie. Weszła do środka spokojna, pobladła i skupiona.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, panie Markham? – zapytała z nieudawaną, cichą godnością, która prawie wytrąciła mnie z równowagi. Zdobyłem się jednak na uśmiech i zuchwale odpowiedziałem:

– Przyszedłem wysłuchać pani wyjaśnień.

– Mówiłam, że ich pan nie otrzyma – odparła. – Nie zasłużył sobie pan na moje zaufanie.

– Dobrze więc – odrzekłem, kierując się do drzwi.

– Proszę zostać chwilę dłużej – powiedziała. – To nasze ostatnie spotkanie. Niechże się

pan tak nie spieszy.

Przystanąłem, czekając na jej dalsze słowa.

– Proszę mi powiedzieć – podjęła na nowo – co sprawiło, że uwierzył pan w to, co o mnie mówią? Kto pana przekonał? I co ten ktoś powiedział na mój temat?

Milczałem przez chwilę, podczas gdy ona patrzyła mi w oczy wzrokiem tak pewnym, jak gdyby jej duszę uzbrajała skończona niewinność. Zdecydowana była dowiedzieć się najgorszego, a także stawić temu czoło. „Mógłbym z łatwością w niej zniszczyć tego bojowego ducha” – pomyślałem. Ale podczas gdy skrycie radowałem się swą władzą, miałem ochotę, niczym kot, zabawić się ze swoją ofiarą. Pokazując jej książkę, którą ciągle trzymałem w ręku i widniejące na wklejce nazwisko, zapytałem:

– Czy zna pani tego dżentelmena?

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała, rumieniąc się gwałtownie. Nie potrafiłem jednak odgadnąć, czy był to rumieniec wstydu czy gniewu, choć skłonny byłem przyjąć tę drugą możliwość. – I co dalej, sir?

– Kiedy widziała się z nim pani po raz ostatni?

– Kto dał panu prawo do zadawania mi podobnych pytań?

– Ależ nikt! To, czy pani na nie odpowie, czy też nie pozostawiam całkowicie jej woli. I pozwoli pani, że zapytam ją jeszcze, czy słyszała, co przydarzyło się ostatnimi czasy owemu jej znajomemu? Bowiem jeśli nie...

– Proszę mnie nie obrażać, panie Markham! – zawołała rozjuszona tonem mojego głosu. – Jeżeli tylko po to pan przyszedł, proszę lepiej od razu opuścić ten dom.

– Nie przyszedłem tutaj, by panią obrażać. Przyszedłem wysłuchać jej wyjaśnień.

– A ja powiadam panu, że ich nie dostanie! – odparowała, chodząc w wielkim wzburzeniu tam i z powrotem po pokoju, zaciskając dłonie i oddychając płytko, gdy tymczasem oczy jej rzucały na mnie gromy. – Nie poniżę się, tłumacząc się przed kimś, kto czyni sobie żarty z tak okropnych zarzutów i z taką łatwością poddaje się cudzym sugestiom.

– Bynajmniej nie czynię sobie żartów – rzekłem, porzucając natychmiast swój sarkastyczny ton. – Doprawdy życzylibym sobie umiejętności znalezienia w tej całej sytuacji czegoś zabawnego! A co do tego, że łatwo poddaję się cudzym sugestiom: tylko Bóg jeden wie, jak ślepym i naiwnym głupcem dotąd byłem, uparcie zamykając oczy i uszy na wszystko, co zagrażało tej wierze, którą w pani pokładałem. Wreszcie jednak jeden niepodważalny dowód wyrwał mnie z tego zaślepienia.

– Jaki dowód, sir?

– Dobrze więc, powiem. Czy pamięta pani ów wieczór, w którym byłem tutaj po raz ostatni?

– Owszem.

– Nawet wówczas czyniła pani aluzje, które komuś mądrzejszemu pomogłyby otworzyć oczy. Tymczasem ja dalej ufałem i wierzyłem, nie zważając na nic, będąc dobrej myśli i otaczając swoim uwielbieniem to, czego nie potrafiłem pojąć. Tak się jednak złożyło, że

krótko po wyjściu zawróciłem – wiedziony czystym uczuciem litości i namiętnością – co prawda, niechętny temu, by otwarcie narzucić pani swoją obecność, ale niezdolny do oparcia się pokusie, by zajrzeć w pani okno i przekonać się, w jakim jest pani nastroju. Gdy się rozstawaliśmy, była pani w niewesołym i za ten stan rzeczy częściowo obwinałem siebie i swój brak cierpliwości i rozwagi. Jeśli postąpiłem źle, niech moim usprawiedliwieniem będzie uczucie. Pokarany zaś zostałem srodze, bowiem ledwie dotarłem do tamtego drzewa, kiedy pani i jej znajomy wyszli do ogrodu. Nie chcąc zdradzać w tych okolicznościach swojej obecności, stałem nieruchomo w cieniu, czekając aż oboje mnie miniecie.

– I ile z naszej rozmowy udało się panu usłyszeć?

– Tyle, ile potrzebowałem, Helen. I dobrze, że stało się tak, jak się stało, gdyż nic innego nie wyleczyłoby mnie z mojego zaślepienia. Nieustannie powtarzałem sobie, że nie uwierzę nawet w jedno słowo na pani temat, dopóki nie usłyszę go z jej własnych ust. Wszelkie napomknienia i zapewnienia czynione przez innych traktowałem jako złośliwe, bezpodstawne oszczerstwa. Pani własne oskarżenia względem siebie uznawałem za przesadzone i wierzyłem, że wszystko, co wydawało mi się w pani niezrozumiałe mogłoby zostać wnet wyjaśnione, gdyby tylko pani zechciała.

Pani Graham przystanąła i oparła się o jeden z krańców gzymsu kominka, przeciwny temu, przy którym stałem ja. Z podbródkiem spoczywającym na zaciśniętej dłoni i oczami, w których nie płonął już gniew od czasu do czasu spoglądała na mnie, by potem powieść wzrokiem po przeciwległej ścianie, a następnie przenieść go na dywan.

– Powinien był pan mimo wszystko przyjść i wysłuchać tego, co chciałam mu powiedzieć – rzekła. – Zachował się pan samolubnie i krzywdząco, kończąc naszą znajomość tak nagle i bez uprzedzenia, nie podając w ogóle przyczyny tej raptownej zmiany w pańskim nastawieniu, choć nie tak dawno zapewniał mnie pan żarliwie o swoim uczuciu. Powinien był pan powiedzieć mi wszystko – nieważne, jak gorzkie byłyby pańskie słowa, zniósłabym je lepiej niż to milczenie.

– A dlaczego miałbym to zrobić? Nie dowiedziałbym się już niczego nowego na ten temat – temat, który dotyczył również mnie samego. I nie udało by się pani sprawić, bym zwątpił w świadectwo moich własnych zmysłów. Gdy poznałem całą prawdę, zapragnąłem natychmiast zaprzestać kontynuowania naszej znajomości – jak zresztą sama pani przewidziała. Ale nie chciałem stawiać pani pod pręgierzem wyrzutów, mimo że (co także pani przyznała) wyrządziła mi okrutną krzywdę. Tak: zadała mi pani ranę, która nigdy się nie zagoi. Zrównała pani z ziemią wszystkie obietnice, którymi kusiała mnie młodość i uczyniła moje życie pustynią! Być może będę żył sto lat, ale nigdy nie podniosę się po tym druzgocącym ciosie – nigdy go nie zapomnę! Odtąd... Pani Graham, pani się uśmiecha... – uciałem nagle swą płomienną przemowę zdumiony niewymownie tym, że odmalowany przeze mnie obraz zniszczeń, jakie zaprowadziła w moim życiu ucieszył ją.

– Doprawdy? – zapytała, spoglądając na mnie poważnie. – Nie zdawałam sobie sprawy. Jeśli na mojej twarzy pojawił się uśmiech, to bynajmniej nie dlatego, że myśl o pańskim

nieszczęściu sprawiła mi przyjemność. Był to wyraz radości, jaką poczułam, odkrywając, że pańskie uczucia są mimo wszystko prawdziwe i głębokie i że nie myliłam się jednak całkowicie co do pańskiego charakteru. Zresztą śmiech i łzy to dla mnie jedno i to samo: często płaczę ze szczęścia i uśmiecham się, gdy ogarnia mnie przygnębienie.

Ponownie na mnie spojrzała, jak gdyby czekając na jakąś odpowiedź z mojej strony, tymczasem ja ciągle milczałem.

– Czy ucieszyłoby pana – podjęła na nowo – gdyby okazało się, że wyciągnął pan zbyt pochopne wnioski?

– Jak może mnie pani o to pytać, Helen?

– Nie twierdzę, że jestem zupełnie pozbawiona winy – mówiła szybko cichym głosem, podczas gdy serce jej biło mocno w falującej piersi. – Ale czy byłby pan rad, gdyby przekonał się, że jestem jednak lepszą osobą od tej, za jaką mnie uważa?

– Jeżeli istnieje coś, co pomogłoby wskrzesić choć ułamek tej wiary, którą w pani pokładałem, uzasadnić wciąż żyjące we mnie uwielbienie dla niej i załagodzić ból niewypowiedzianego żalu, który temu uwielbieniu towarzyszy – jeśli istnieje coś takiego, byłbym niezmiernie rad się o tym dowiedzieć!

Jej policzki płonęły teraz intensywnym rumieńcem i cała jej postać drżała z nadmiaru emocji. Nie mówiąc nic, rzuciła się do swojego sekretarzyka i wyciągnawszy z niego coś, co przypominało gruby sztambuch, pospiesznie wyrwała z niego kilka końcowych stronic, po czym włożyła mi go w rękę.

– Nie musi pan czytać wszystkiego, ale proszę zabrać to do domu – powiedziała i szybkim krokiem opuściła pokój.

Gdy, wyszedłszy z dworu, znalazłem się w alejce, otworzyła okno i kazała mi zawrócić. Jednak tylko po to, by powiedzieć:

– Kiedy już skończy pan czytać, proszę mi to oddać. I nikomu ani słowa na temat treści. Liczę na pański honor.

Ale nim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć, pani Graham zamknęła okno i odeszła. Dostrzegłem, jak opada z powrotem na swój dębowy, stary fotel, chowając twarz w rękach. Targające nią emocje najwidoczniej sięgnęły zenitu i zmuszona była poszukać ukojenia we łzach.

Dyszząc z niecierpliwości i usiłując nie rozbudzać w sobie nadmiernych nadziei, pospieszyłem do domu. Dotarłszy zaś na miejsce, zaopatrzyłem się w świecę, choć zmrok jeszcze nie zapadł, i pobiegłem na górę do swego pokoju. Zdecydowany nie pozwolić na to, by ktokolwiek mi przeszkodził, zaryglowałem za sobą drzwi, po czym siadłem przy stole i położyłem przez sobą swoją zdobycz. Nasamprzód pospiesznie ją przekartkowałem, tu i ówdzie wychytując pojedyncze zdania, a kiedy już nieco ochłonałem, powróciłem na sam początek, by tym razem zacząć dokładnie zapoznawać się z treścią dziennika pani Graham.

Leży on teraz przede mną; i chociaż jego lektura oczywiście nie wzbudzi w Tobie, Halfordzie, takich emocji, jakie wówczas wzbudziła we mnie, wiem, że skrótowe

przedstawienie jego zawartości Cię nie usatysfakcjonuje. Zatem poznasz ją w całości, z wyjątkiem być może kilku nieistotnych ustępów, które zamiast posuwać naprzód, tylko by spowalniały naszą opowieść. A zaczyna się ona dość niespodziewanie...

Rozdział XVI

Przestrogi doświadczenia

1 czerwca 1821 r. – Właśnie wróciliśmy do Staningley – to jest, od naszego powrotu minęło już kilka dni, ale chyba nigdy nie przyzwyczaję się na nowo do tego miejsca. Choroba wuja przyspieszyła nasz wyjazd z miasta. Zastanawiam się, jak wszystko by się potoczyło, gdyby nasz pobyt tam trwał dłużej.

Wstyd mi tego nowego we mnie wstrętu do życia na wsi. Wszystkie moje poprzednie zajęcia zdają się teraz tak męczące i monotonne, a dawne przyjemności tak bezbarwne i próżne. Nie potrafię cieszyć się swoją muzyką ani spacerami, ponieważ nie ma tu nikogo, z kim mogłabym je dzielić. Czytanie również nie sprawia mi żadnej radości – w mojej głowie roi się od wspomnień z kilku ostatnich tygodni i nic nie jest w stanie przykuć mej uwagi. Najbardziej odpowiada mi rysowanie, bowiem rysując, mogę równocześnie myśleć. Prac moich, co prawda, nie ogląda teraz nikt poza mną samą i tymi, którzy o nie w ogóle nie dbają, ale nie oznacza to wcale, że będzie tak zawsze. Moja ręka wciąż jednak szkicuje tę samą twarz. I zawsze bez powodzenia, co jest okrutnie irytujące. O właścicielu tej twarzy zapomnieć nie potrafię i prawdę powiedziawszy wcale nie próbuję. Co chwila zastanawiam się, czy kiedykolwiek o mnie myśli i czy pewnego dnia dane mi będzie go jeszcze zobaczyć. A potem w mojej głowie pojawia się korowód refleksji, które za każdym razem prowadzą do tej samej wątpliwości: gdyby los odpowiedział na moje pytania twierdząco – czy pożałowałabym tego kiedyś?

Jakże dokładnie pamiętam rozmowę z moją ciotką, przeprowadzoną ostatniego wieczora przed naszym wyjazdem do miasta. Siedziałyśmy przy kominku, podczas gdy wuj z lekkim atakiem podagry udał się już był na spoczynek.

- Helen – zaczęła ciotka po chwili zadumy – czy myślisz czasem o zamążpójściu?
- Tak, ciociu, często.
- I czy kiedykolwiek bierzesz pod uwagę możliwość, że nim sezon się skończy, mogłabyś już być po słowie albo nawet po ślubie?
- Czasami, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne.
- Dlaczego?
- Bo myślę, że żyje na tym świecie tylko garstka mężczyzn, których chciałabym poślubić i istnieje doprawdy nikła szansa, że zdołam któregoś z nich spotkać. A nawet jeśli moje drogi z którymś z nich się skrzyżują, to wielce prawdopodobne jest, że nie będzie kawalerem, albo że nie przypadnę mu do gustu.

– To żaden argument, choć być może to, co mówisz jest prawdą. I zaiste mam nadzieję, że byłabyś w swoim wyborze wybredna... Ale nie wolno ci zdradzać się ze swoją chęcią poślubienia *kogokolwiek*, dopóki nie zostaniesz o to poproszona. Młoda panna nie powinna

obdarzać swymi uczuciami kogoś, kto o nie nie zabiega. Jednak gdy mężczyzna stara się o jej względy i kiedy dokonuje obłączenia jej serca, ono często skłonne jest poddać się, nim jego właścicielka zdąży się spostrzec, nierzadko wbrew jej zdrowemu rozsądkowi i na przekór wszystkim powziętym przez nią postanowieniom co do tego, kogo mogłaby pokochać. Dlatego też należy zachowywać w tym względzie daleko idącą ostrożność. Przestrzegam cię, Helen – teraz, kiedy jesteś na początku swej życiowej drogi, i gorąco proszę, abyś nie traciła czujności i rozwagi i nie pozwoliła sobie skraść serca pierwszemu głupcowi albo niegodziwcowi, który się na nie połasi. Moja droga, masz dopiero osiemnaście lat i mnóstwo czasu przed sobą, i ani mnie, ani twojemu wujowi nie spieszo jest się z tobą rozstawać. Dodam, że na brak wielbicieli cierpieć nie będziesz, bowiem pochodzisz z dobrej rodziny i majątek posiadasz pokaźny, i powiem ci jeszcze – bo jeśli ja tego nie zrobię, i tak dadzą ci to do zrozumienia inni – że natura nie poskąpiła ci również urody. I mam nadzieję, że nigdy nie będziesz miała powodu, by tego żałować!

– I ja mam taką nadzieję, ciociu. Ale dlaczego miałabym się tego obawiać?

– Dlatego, moja droga, że uroda, podobnie jak pieniądze, przyciąga z reguły najgorszy gatunek mężczyzn. I tym samym może ściągnąć na jej posiadaczkę ogrom nieszczęść.

– Czy ciocia miała podobne doświadczenia?

– Nie, Helen – odrzekła głosem pełnym wyrzutu. – Znam jednak wiele takich przypadków. Niektóre z tych kobiet poprzez swą nieostrożność stały się ofiarami ohydneho oszustwa, inne zaś za sprawą swej słabości wpadły w sidła pokus zbyt okropnych, bym mogła ci o nich opowiedzieć.

– Cóż, ja nie będę ani nieostrożna, ani słaba.

– Wspomnij na świętego Piotra, Helen! Nie chęć się i miej się na baczności. Strzeż swych oczu i uszu jako bram do swego serca i pilnuj swych ust, aby nie zdradziły cię w chwili zapomnienia. Dopóki nie poznasz i nie rozważysz należycie charakteru swojego adoratora, wszelkie uprzejmości z jego strony przyjmuj chłodno i bez emocji. Nasamprzód przyjrzyj się jego wnętrzu i kochaj dopiero wtedy, gdy spodoba ci się to, co widzisz. Niech twoje oczy będą ślepe na wszystkie jego przymioty zewnętrzne, a uszy głuche na bezwartościowe pochlebstwa i dowcipne uwagi, które nie są niczym innym, jak podstępными sztuczkami mającymi usidlić nieprzezorną ofiarę i doprowadzić ją do zguby. Pierwszą rzeczą, której powinnaś szukać są zasady moralne, po nich stoi rozsądek, szacunek innych i godziwy majątek. Nie wiesz, jak wielkie spotkałoby cię nieszczęście, gdybyś poślubiła nawet najprzystojniejszego, najbardziej utalentowanego i najdowcipniejszego człowieka na ziemi i potem odkryła, że jest on zatwardziałym grzesznikiem lub zwykłym głupcem.

– Ale co mają ze sobą zrobić ci głupcy i grzesznicy, ciociu? Gdyby wszyscy stosowali się do rad cioci, ludzkość wkrótce by wymarła.

– O to się nie bój, mój droga! Męskim głupcom i grzesznikom nigdy nie zabraknie kandydatek na żony, skoro tak wiele kobiet dorównujących im charakterem chodzi po świecie. Ty jednak *musisz* wziąć sobie moje rady do serca. I nie jest to bynajmniej temat do

żartów, Helen. Z przykrością widzę, że bagatelizujesz moje słowa, ale wierz mi, *małżeństwo to rzecz poważna*.

Poważny również był ton jej głosu i można by pomyśleć, że przemawiają przez nią jej własne, bolesne doświadczenia. Nie chcąc jednak zadawać nietaktownych pytań, odrzekłam jedynie:

– Wiem o tym. I wiem, że we wszystkim, co ciocia mówi jest sama prawda i mądrość. Ale niepotrzebnie obawia się ciocia o mnie, ponieważ ja też wierzę, że błędem jest poślubienie kogoś pozbawionego rozsądku i zasad. Nigdy nie stanę przed taką pokusą, bo nie potrafiłabym lubić takiego człowieka, bez względu na to, jak bardzo byłby przystojny i czarujący. Być może nienawidziłabym go, gardziłabym nim lub współczuwałabym mu, ale w żadnym wypadku nie pokochałabym go, gdyż nie umiem kochać tego, czego nie szanuję. Dlatego proszę się o mnie nie martwić, ciociu.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– *Nie myślę się* – zapewniłam ją.

– Nigdy jeszcze nie zostałam poddana takiej próbie, Helen. Jednak nie pozostaje nam nic innego, jak być dobrej myśli... – odrzekła ciotka tak typowym dla siebie, ostrożnym tonem głosu.

To niedowierzanie z jej strony rozzłościło mnie, choć być może było poniekąd uzasadnione. Obawiam się, że łatwiej przychodzi mi zapamiętywanie jej słów niż korzystanie z ich mądrości – i zaiste bywało już tak, że powątpiewałam w trafność jej rad. Jej nauki, a w każdym razie ich myśl przewodnia, mogą być w pewnym stopniu słuszne, ale pewnych kwestii w swych obliczeniach nie wzięła pod uwagę. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek *była* zakochana.

Rozpoczęłam swoją dorosłość – lub, jak mawia wuj, swoją pierwszą życiową kampanię – rozogniona nadzieją i marzeniami i przepełniona wiarą w swój rozsądek. Początkowo fascynowała mnie świeżość i intensywność naszego londyńskiego życia, lecz wkrótce poczułam się zmęczona hałasem i ściskiem panującym w mieście i zaczęłam tęsknić za czystością wiejskiego powietrza. Moi nowi znajomi, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, zawiedli moje oczekiwania i na przemian złościли mnie i przygnębiali, bowiem szybko znudziło mi się obcowanie z ich dziwactwami i żartowanie z ich słabostek – tym bardziej, że zmuszona byłam swoje krytyczne uwagi zachowywać dla siebie, jako że ciotka nie miała ochoty ich słuchać. Wszyscy, a damy w szczególności, zdawali się nieznośnie bezmyślni, bezduszni i fałszywi. Dżentelmeni wprawdzie wywarli na mnie odrobinę lepsze wrażenie, ale prawdopodobnie tylko z tego względu, że znałam ich gorzej, albo być może dlatego, że mi schlebiali. Nie zakochałam się jednak w żadnym z nich, a jeśli ich uprzejmości sprawiały mi w jednej chwili przyjemność, w drugiej wywoływały we mnie irytację, bowiem mile łaskocząc moją próżność wzbudzały we mnie lęk, czy aby nie staję się taka sama, jak część z tych dam, których tak serdecznie nie znosiłam.

Jeden starszy dżentelmen irytował mnie szczególnie. Był to bogaty przyjaciel mego wuja i wuj, jak sądzę, wbił sobie do głowy, że nie mógłby mnie spotkać większy zaszczyt od

poślubienia owego jegomościa. Poza jego podsztywnym wiekiem przeszkadzała mi w nim jego brzydota i niegrzeczność – niegodziwość wręcz, choć ciotka zbesztala mnie za ten zarzut, zarazem przyznając jednak, że żaden z niego święty. Był też inny mężczyzna, mniej odrażający, ale za to *bardziej* dokuczliwy, bowiem ciotka, widząc w nim swojego faworyta, nieustannie narzucała mi jego towarzystwo i wyśpiewywała na jego cześć pochwalne hymny. Nosił nazwisko Boarham i był okrutnie nużący. Do tej pory o dreszcz przyprawia mnie wspomnienie jego monotonnego, buczonego głosu, którym przemawiał do mnie w nieskończoność, wierząc święcie, że w ten sposób udoskonala mój umysł, wpaja mi ważne dogmaty i naprawia mój błędny światopogląd. Choć może po prostu wyobrażał sobie, że zniżając się do mojego poziomu, zabawia mnie zajmującą rozmową. Mimo wszystko rzekłabym, że był z gruntu przyzwoitym człowiekiem i gdyby zachowywał odpowiedni dystans, nie miałabym powodu go nienawidzić. Tymczasem nie trawiłam go, gdyż nie dość, że naprzykrzał mi się swoją osobą, to jeszcze ograniczał moje kontakty z przyjemniejszym towarzystwem.

Zdarzył się jednak pewien bal, podczas którego ów dżentelmen był nawet *bardziej* męczący niż zazwyczaj, co poddało moją cierpliwość najwyższej próbie. Zdawało się, że cały wieczór będzie katastrofą: zdążyłam tylko odbyć jeden taniec z jakimś pustogłowym dandysem, kiedy pojawił się pan Boarham z wyraźnym zamiarem, by nie odstępować mnie na krok przez resztę przyjęcia. Sam nie brał w ogóle udziału w tańcach, tylko siedział obok, patrząc mi głęboko w oczy i wszystkim innym każąc tym samym myśleć, że jest oto moim oficjalnie zatwierdzonym ukochanym, gdy tymczasem ciotka bezustannie spoglądała na nas z zadowoleniem, zdając się dawać nam swoje błogosławieństwo. Na próżno starałam się go do siebie zniechęcić, nie ukrywając swego zniecierpliwienia jego osobą i w końcu nawet uciekając się do prawdziwej nieuprzejmości. Nic nie było w mocy przekonać go, że jego towarzystwo może być mi niemiłe. Uparte milczenie z mojej strony uznawał za objaw skupienia i oczarowania jego słowami, moje zjadliwe odpowiedzi odbierał jako dziewczęce, zalotne uszczypliwości, a moje stanowcze protesty, niczym oliwa dolewana do ognia, stanowiły jedynie pożywkę dla jego oratorskich skłonności.

Był tam jednak ktoś, komu łatwiej przyszło odgadnąć stan mego ducha. Nieopodal stał dżentelmen, który przysłuchiwał się naszej rozmowie od dłuższego już czasu, sprawiając wrażenie niezmiernie rozbawionego – zarówno niczym niezrażoną wytrwałością mego towarzysza, jak i bezwzględny, cierpkimi odpowiedziami, jakich mu udzielałam. Nieznajomy w końcu się oddalił, ale najwyraźniej tylko po to, by odszukać panią domu i poprosić ją o przedstawienie nas sobie, bowiem wkrótce obydwójce stanęli przed nami. Dżentelmen zaprezentowany został jako pan Huntingdon, syn nieżyjącego przyjaciela mego wuja. Jego zaproszenie do tańca przyjąłam naturalnie z wdzięcznością i oboje pozostaliśmy nierozłączni przez resztę wieczoru, który jednakże nie trwał długo, bowiem ciotka moja, tak jak zwykle, uparła się wracać do domu wcześniej.

Opuszczałam bal z wielkim żalem, jako że mój nowy znajomy okazał się pełnym życia, błyskotliwym towarzyszem. We wszystkim, co mówił i robił była pełna wdzięku łatwość,

która koła mój umysł wyczerpany nadmierną powagą i sztywnością mego poprzedniego kompana. Przyznaję, że jego sposób bycia wydać się mógł nieco zbyt beztroski i śmiały, ale ogarnął mnie tak dobry nastrój i tak wdzięczna byłam mu za wybawienie mnie od towarzystwa pana Boarhama, że nie potrafiłam się gniewać.

– A więc, Helen, jak teraz oceniasz pana Boarhama? – zapytała ciotka, gdy siadłyśmy na swych miejscach i powóz ruszył.

– Gorzej niż kiedykolwiek – odpowiedziałam.

Ciotka wyglądała na niezadowoloną, ale nie zdecydowała się kontynuować tematu.

– Kim był dżentelmen, z którym tańczyłaś na końcu? – odezwała się ponownie po chwili milczenia. – I który tak gorliwie pomagał ci owinąć się szalem?

– Bynajmniej nie gorliwie, ciociu. Nie próbował mi pomagać, dopóki nie zobaczył nadchodzącego pana Boarhama. Wtedy z rozbawieniem zaofiarował się, mówiąc: „Pozwoli pani, że uchronię ją przed tą nieprzyjemnością”.

– Kim był ten dżentelmen, pytam? – powtórzyła lodowatym tonem głosu.

– Pan Huntingdon, syn starego przyjaciela wuja.

– Słyszałam co nieco na temat młodego pana Huntingdona od twojego wuja. Pamiętam, jak mówił: „To dobry chłopak, ale jak na moje oko trochę dziki”. Na twoim miejscu byłabym zatem ostrożna.

– Co wuj mógł mieć na myśli mówiąc: „trochę dziki”? – zapytałam.

– To, że brakuje mu zasad i wykazuje wszystkie słabości typowe dla młodzieńców w jego wieku.

– Ale pewnego razu słyszałam, jak wuj przyznawał, że sam był dziki w młodości.

Przybrawszy marsowy wyraz twarzy, ciotka pokręciła głową.

– Na temat pana Huntingdona zapewne sobie żartował – rzekłam – bo trudno byłoby mi uwierzyć, że te roześmiane, błękitne oczy mogą należeć do niegodziwca.

– To żaden argument, Helen – odparła ciotka, wzdychając.

– Ale czyż nie powinniśmy być wyrozumiali dla naszych bliźnich, ciociu? Zresztą uważam, że podałam dobry argument, gdyż doskonale znam się na ludzkich twarzach i na ich podstawie trafnie potrafię ocenić czyjś charakter. Dla przykładu: nie musiałabym znać cioci, by stwierdzić, że nie jest ona z natury pogodnie usposobioną, optymistyczną osobą. Jedno spojrzenie na pana Wilmota powiedziałoby mi, że jest on podłym, starym łotrem, na twarzy pana Boarhama wypisane jest, jaki z niego nudziarz, zaś oblicze pana Huntingdona to dowód na to, że nie jest on ani głupcem, ani łajdakiem, choć być może do mędrców i świętych nie należy. Ale to wszystko i tak jest bez znaczenia, bo prawdopodobnie już więcej go nie spotkam.

Myliłam się jednak, bowiem zobaczyłam go ponownie już nazajutrz rano. Przybył z wizytą do wuja, przepaszając, że nie uczynił tego wcześniej i wyjaśniając, że dopiero niedawno wrócił z Europy i do wczorajszego wieczora nie wiedział o tym, że wuj przebywa w mieście. Odtąd często go spotykałam – niekiedy poza domem i niekiedy w domu, jako że prawdziwie niestrudzony był w składaniu wyrazów uszanowania swemu staremu

znajomemu, który ze swej strony jednak owymi uprzejmościami nie czuł się za bardzo zaszczycony.

– Zastanawiam się, po co, u licha, ten chłopak tak często tu zagląda – mawiał wuj. – Może ty się domyślasz, Helen? He?... Pewny jestem, że nie zależy mu na moim towarzystwie bardziej niż mnie na jego.

– Zatem, dlaczego mu o tym nie powiesz? – zapytała ciotka.

– Po co miałbym to robić? Mnie się wprawdzie nie podoba, ale może inni go lubią – tutaj wuj puścił do mnie oko. – Poza tym młodzieniec posiada całkiem pokaźny majątek, Peggy, nie dorównujący, co prawda, majątkowi Wilmota, ale o tamtym Helen nie chce słyszeć. Z jakiegoś powodu bowiem młodym dziewczynom nie imponują starzy dżentelmeni, pomimo ich pieniędzy i doświadczenia. Dałbym sobie głowę uciąć, że nawet gdyby ów młody jegomość nie miał grosza przy duszy, wołałaby jego niż Wilmota z jego domem pełnym złota. Czyż nie mam racji, Nell?

– Tak, wujku. Ale nie mówi to zbyt wiele na temat pana Huntingdona, gdyż wołałabym już zostać starą panną bez środków do życia niż panią Wilmot.

– A co wołałabyś od bycia panią Huntingdon? He?

– Powiem wujowi wtedy, kiedy już zastanowię się nad tą kwestią.

– Ach! A więc sprawa potrzebuje namysłu... Ale uchyl rąbka tajemnicy: wołałabyś być starą panną? Albo żyć w nędzy?

– Nie będę się nad tym zastanawiać, dopóki nie zostanę o to poproszona – rzekłam i zaraz wyszłam z pokoju, by uniknąć dalszych dociekań.

Nie minęło jednak więcej niż pięć minut, kiedy, wyglądając przez okno mojej sypialni, zobaczyłam pana Boarhama zbliżającego się do drzwi wejściowych. Przez niemal pół godziny w przykrym napięciu wyczekiwałam wezwania do bawialni, jednocześnie modląc się, by sobie poszedł. Wreszcie na schodach rozległ się odgłos czyichś kroków i po chwili do środka weszła ciotka, która z uroczystym wyrazem twarzy zamknęła za sobą drzwi.

– Przyszedł pan Boarham, Helen – oznajmiła. – Pragnie się z tobą zobaczyć.

– Och, ciociu! Czy nie mogłaby ciocia mu powiedzieć, że źle się czuję? Zresztą to prawda – perspektywa *spotkania się z nim* przyprawia mnie o mdłości.

– Nedorzecznosc! Moja droga, on przyszedł w bardzo poważnej sprawie – aby poprosić wuja i mnie o twoją rękę.

– Daliście mu chyba do zrozumienia, że nie do was należy decyzja w tej sprawie? Jakim prawem rozmawia o tym z *kimkolwiek*, nie zapytawszy uprzednio *mnie*?

– Helen!

– Co odpowiedział mój wuj?

– Powiedział, że nie będzie się wtrącał i jeśli przyjmiesz łaskawą propozycję pana Boarhama...

– Wuj użył sformułowania: „łaskawa propozycja”?

– Nie. Powiedział, że jeżeli się zgodzisz, nie będzie miał nic przeciwko. A jeśli odmówisz, to też nie będzie protestował.

– A więc dobrze powiedział. A jakiej odpowiedzi udzieliła ciocia?

– To nie ma żadnego znaczenia. Pytanie: jak ty mu odpowiesz? Pan Boarham czeka teraz na ciebie, żeby osobiście się tobie oświadczyć. Ale nim pójdziesz, dobrze się zastanów. A jeśli zamierzasz mu odmówić swej reki, przedstaw mi swoje powody.

– Oczywiście, że mu odmówię, ale ciocia musi poradzić mi, w jaki sposób to zrobić, bo chcę być delikatna, ale jednocześnie też stanowcza. A kiedy już się go pozbędę, powiem cioci, jakie miałam po temu powody.

– Ale nie idź jeszcze, Helen. Siądź na chwilę i uspokój się. Panu Boarhamowi nie spieszy się nazbyt, gdyż nie ma wątpliwości co do tego, że twoja odpowiedź będzie twierdząca. Ja tymczasem chcę zamienić z tobą słowo. Powiedz, moja droga, co ci w nim przeszkadza? Czy zaprzeczysz, że jest on zacnym, prawym człowiekiem?

– Nie.

– Czy zaprzeczysz, że jest rozsądny, stateczny i uczciwy?

– Nie. Być może to wszystko prawda, ale...

– *Ale*, Helen?! Ilu takich mężczyzn spodziewasz się spotkać na tym świecie? Zacnych, prawych, rozsądnych, statecznych i uczciwych? Czy owe cechy zdarzają się w ludziach tak często, byś mogła bez chwili wahania odrzucić posiadacza tak szlachetnego charakteru? Tak – szlachetnego, bowiem pomyśl nad znaczeniem każdego z tych przymiotów, które wymieniłam i o tym, jak każdy z nich jest bezcenny. I wyobraź sobie, że teraz cały ten nieoceniony skarb położony zostaje u twoich stóp i że do ciebie należy decyzja, czy zatrzymasz go dla siebie na zawsze – tego zacnego, wspaniałego męża, który będzie cię kochał prawdziwie i mądrze, który będzie twoim przewodnikiem w wędrówce przez życie doczesne i współtowarzyszem w życiu wiecznym. Pomyśl, jak...

– Ale ja go nienawidzę, ciociu – powiedziałam, przerywając ten nietypowy dla niej potok słów.

– Nienawidzisz! Czy to po chrześcijańsku, Helen? *Nienawidzisz go?*... Takiego dobrego człowieka?

– Nienawidzę go nie jako człowieka, lecz jako kandydata na mojego męża. Jako człowieka kocham go tak bardzo, że życzę mu lepszej żony od tej, jaką ja mogłabym być – żony równie dobrej, jak on sam, ale pod warunkiem, że będzie go ona kochać. Bo ja sama nigdy bym nie mogła, i z tego powodu...

– Dlaczego nie? Co ci przeszkadza go kochać?

– Po pierwsze, ma co najmniej czterdzieści lat, choć podejrzewam, że znacznie więcej, a ja mam ledwie osiemnaście. Po drugie, jest dewotem o niepojęcie ograniczonych horyzontach myślowych. Po trzecie, jego gusta i poglądy całkowicie odbiegają od moich. Po czwarte, bardzo nie podoba mi się jego powierzchowność, jego głos i sposób bycia. I wreszcie, do całej jego osoby żywię nieprzepartą wręcz niechęć.

– Zatem powinnaś z nią walczyć! I proszę, byś przez chwilę pomyślała i porównała go sobie z panem Huntingdonem, i odsuwając na bok urodę – która w żaden sposób nie podnosi wartości mężczyzny ani nie przyczynia się do szczęścia w małżeństwie i o której

sama częstokroć mówiłaś, że niewiele dla ciebie znaczy – powiedz mi: który z nich jest lepszym człowiekiem?

– Pan Huntingdon jest bez wątpienia dużo lepszym człowiekiem niż za jakiego go ciocia uważa. Ale teraz nie mówimy o nim, tylko o panu Boarhamie, a ponieważ wołałabym dojrzeć, żyć i umrzeć w samotności niż zostać jego żoną, jedyną właściwą rzeczą w tej sytuacji będzie powiedzieć mu o tym natychmiast, tym samym wybawiając go z niepewności. Proszę więc pozwolić mi do niego pójść.

– Jednak nie udzielaj mu tak kategorycznej odmowy. Nie spodziewa się jej i poczuje się srodze urażony. Powiedz mu, że nie myślisz jeszcze o zamążpójściu...

– Ale to nieprawda, bo myślę o tym.

– Albo że chciałybyś go lepiej poznać.

– Bynajmniej nie chciałabym go lepiej poznawać – wręcz przeciwnie.

I nie czekając na dalsze słowa ciotki, opuściłam pokój i skierowałam się do bawialni. Pan Boarham chodził tam i z powrotem, nucąc fragment jakiejś melodii i skubiąc koniec swej laski.

– Moja droga damo – rzekł, kłaniając się i uśmiechając się z wyższością. – Dostałem pozwolenie od pani łaskawych opiekunów...

– Wiem o tym, sir – przerwałam, pragnąc zakończyć sprawę najszybciej jak to możliwe. – I bardzo jestem zaszczycona pańskim wyborem. Niestety jednak nie mogę przyjąć tego honoru, gdyż uważam, że pan i ja nie jesteśmy dla siebie stworzeni – co sam by pan wkrótce odkrył, gdyby doszło do tego eksperymentu.

Ciotka miała rację: panu Boarhamowi najwyraźniej nie przyszło do głowy, że mogłabym powiedzieć „nie” i teraz sprawiał wrażenie osłupiałego, zdumionego mą odpowiedzią. Zbyt wielkie jednak wypełniało go niedowierzanie, by mógł poczuć się urażonym. I po chwili namysłu przystąpił do kolejnego ataku.

– Zdaję sobie sprawę, moja droga, że istnieje pomiędzy nami znaczna różnica wieku i charakterów i, być może, dzielą nas jeszcze i inne rzeczy. Ale zapewniam panią, że będę wyrozumiała dla słabości jej młodej, ognistej natury i choć z ojcowską troską wytykam pani niekiedy jej wady, proszę mi wierzyć: żaden młodzieniec nie mógłby być bardziej pobłażliwy względem swojej ukochanej niż ja względem pani. Ponadto żywię nadzieję, że doświadczenie mych lat oraz moja skłonność do poważnej refleksji nie będą w pani oczach uchybieniem, jako że postaram się z ich pomocą przyczynić się do pani szczęścia. A więc...? Co pani na to? Żadnego dziewczęcego krygowania się czy kaprysów – proszę od razu odpowiedzieć!

– Powtórzę tylko to, co powiedziałam już wcześniej: uważam, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Naprawdę tak pani sądzi?

– Tak.

– To dlatego, że nie zna mnie pani dobrze i potrzebuje tylko czasu, by...

– To nieprawda. Znam pana lepiej niż on mnie, bowiem w przeciwnym razie nie

myślałby pan wiązać swego życia z kimś tak nieodpowiednim, z kimś tak bardzo niepasującym do niego pod każdym względem.

– Ależ moja droga, nie szukam ideału i potrafię wybaczyć...

– Dziękuję, panie Boarham, ale nie będę wykorzystywać pańskiej dobroci. Proszę zachować swoją łaskawość dla kogoś, kto będzie na nią zasługiwał i kto nie będzie jej nadużywał.

– Ależ proszę poradzić się swojej ciotki. To wspaniała kobieta, która z pewnością...

– Już się jej radziłam i wiem, że jej życzenia pokrywają się z pańskimi. Jednak w tak ważnych kwestiach decyzje podejmuję samodzielnie i żadne perswazje nie zmienią mego zdania. Nie wierzę, że taki krok mógłby przynieść któremuś z nas szczęście i dziwi mnie, że człowiek tak doświadczony i rozważny, jak pan chciałby mieć taką żonę.

– Cóż! Ja także nieraz się nad tym zastanawiałem – rzekł. – Czasem mawiałem do siebie: „Na co się porywasz, Boarham? Uważaj – nie rób niczego pochopnie! To słodka, czarująca istotka, ale pamiętaj: to, co najbardziej atrakcyjne dla kochanka często okazuje się udręką dla męża!” Zapewniam panią, że wyboru swego dokonałem po głębokim namyśle. Jego pozorna nieopatrność kosztowała mnie wiele bezsennych nocy i wiele niespokojnych dni, z czasem jednak doszedłem do wniosku, że wybór mój nie jest do końca nieopatrny. Zrozumiałem, że choć moja droga przyjaciółka nie jest pozbawiona wad, jej młodość jest obietnicą nierozkwitłych jeszcze cnót. I powiedziałem sobie, że jej błędne sądy i drobne defekty charakteru mogą zostać naprawione za pomocą cierpliwych wysiłków mądrego i czujnego doradcy, podczas gdy pozostałe jej słabości można spróbować wybaczyć przez wzgląd na wszystkie liczne jej zalety. Zatem, moja droga panno, skoro ja nie mam nic przeciwko temu, dlaczego pani miałaby protestować?

– Ponieważ, prawdę powiedziawszy, panie Boarham, nie protestuję przez wzgląd na pana, lecz przez wzgląd na siebie. Porzućmy więc już ten temat – powiedziałam, zamierzając dodać jeszcze: „gdyż prowadzenie dalej tej rozmowy niczego nie zmieni”, ale on niezrażony przerwał mi.

– Ale dlaczego? Kochałbym panią, troszczyłbym się o nią, chronił ją... – i tak dalej bez ustanku.

Nie będę sobie zadawała trudu, by opisać wszystko, co zostało między nami powiedziane. Wystarczy dodać, że pan Boarham długo jeszcze mi się naprzykrzał i bardzo trudno było mi go przekonać, że odmawiając mu, odmawiam bez cienia wątpliwości. Wreszcie zmęczona tym, że tak uparcie draży ten sam temat, przywołując wciąż od nowa te same argumenty i zmuszając mnie do powtarzania tych samych odpowiedzi, nazwałam rzeczy po imieniu:

– Powiadam panu, że to niemożliwe. Nic nie zmusi mnie do zawarcia małżeństwa wbrew sobie. Szanuję pana – a w każdym razie szanowałabym, gdyby zachowywał się pan jak człowiek rozsądny – ale nigdy nie mogłabym pana pokochać. I im dłużej mówi pan na ten temat, tym większą czuję do niego odrazę. Więc proszę w końcu zamilknąć.

Usłyszawszy to, pan Boarham pożegnał się ze mną i poszedł sobie, bez wątpienia

wprawiony w wielkie zakłopotanie i urażony. Jednak nie było w tym mojej winy.

Rozdział XVII

Dalsze przestrogi

Nazajutrz wraz z wujem i ciotką udałam się na przyjęcie do rezydencji pana Wilmota, u którego gościły dwie damy. Jego bratanica Annabella jest piękną, pewną siebie dziewczyną – a raczej już młodą kobietą w wieku lat około dwudziestu pięciu – zbyt ceniącą sobie uciechy flirtu, jak sama twierdzi, by myśleć o zamążpójściu, ale wielbioną przez dżentelmenów, którzy powszechnie określają ją epitetem wspaniałej. Jej delikatna kuzynka Milicent Hargrave, uważając mnie najwyraźniej za osobę znacznie lepszą od tej, którą naprawdę jestem, lubi mnie niezmiernie, a ja, mimo swej ogólnej niechęci do większości znajomych kobiet, uczucie to odwzajemniam. Ale to nie ze względu na nią czy jej kuzynkę wspominam o owym przyjęciu. Czynię to z powodu innej osoby, którą tego dnia podejmował pan Wilmot, mianowicie pana Huntingdona. Jego obecność tam zapamiętałam tak dobrze dlatego, że wówczas to widziałam go po raz ostatni.

Przy stole zajmowaliśmy miejsca oddalone od siebie, bowiem los sprawił, że damą, którą pan Huntingdon powiódł do jadalni nie byłam ja, lecz pewna majętna, tęga wdowa. Mnie zaś swym ramieniem posłużył jego znajomy, niejaki pan Grimsby. Ów dżentelmen szczególnie nie przypadł mi do gustu – w jego obliczu było coś złowieszczonego, a w jego zachowaniu zdawało się czaić okrucieństwo i fałszywość. À propos, jakież to nieznośny obyczaj – jeden z wielu w tym sztucznym, nader cywilizowanym świecie: jeżeli dżentelmeni *muszą* wprowadzać damy do jadalni, dlaczego nie wolno im wybrać tej, którą darzą największą sympatią?

Nie jestem jednak wcale pewna, czy pan Huntingdon zdecydowałby się na mnie, nawet gdyby miał taką możliwość, niewykluczone bowiem, że jego wybór padłby na pannę Wilmot, która, jak się zdaje, uparła się zagarnąć całą jego uwagę dla siebie. On przeciwko temu bynajmniej nie protestował i ochoczo składał jej wszystkie hołdy, których się od niego domagała. Takie w każdym razie miałam odczucia, obserwując, jak ze sobą rozmawiają, śmieją się razem i rzucają sobie przez stół spojrzenia, zaniedbując przy tym osoby siedzące po sąsiedzku. Jakiś czas potem, zaraz gdy dżentelmeni dołączyli do nas w bawialni, panna Wilmot donośnym głosem poprosiła pana Huntingdona, ażeby rozsądził pewien spór, który toczyła z inną damą, a on przystąpił do powierzonego mu zadania nader skwapliwie, bez chwili wahania stając po jej stronie, choć moim zdaniem racja niezbitnie leżała po stronie jej oponentki.

Podczas gdy tamtych dwoje prowadziło swobodną pogawędkę z grupką pozostałych dam, ja siedziałam w drugim końcu pomieszczenia w towarzystwie Milicent Hargrave, która była poprosiła mnie, bym krytycznym okiem spojrzała na jej rysunki i w razie konieczności udzieliła jej potrzebnych rad. Jednakże, wbrew moim wysiłkom, nie potrafiłam skupić się na

jej pracach i myśli moje wciąż krążyły wokół tamtego roześmianego kręgu. Na przekór sobie stawałam się coraz bardziej zniecierpliwiona, co niewątpliwie musiało uwidocznić się na mojej twarzy, gdyż Milicent, mówiąc, że zapewne czuję się już znużona jej bohomazami, poleciła mi dołączyć do reszty towarzystwa. Poczęłam ją zapewniać, że bynajmniej nie mam na to ochoty i że wcale nie czuję się zmęczona, ale w tej samej chwili do okrągłego stolika, przy którym siedziałyśmy podszedł nie kto inny, jak pan Huntingdon we własnej osobie.

– Czy to pani rysunki? – zapytał, niedbałym ruchem podnosząc jeden z nich.

– Nie, to prace panny Hargrave.

– Och. Dobrze, przyjrzyjmy się im zatem – powiedział.

Nie zważając na protesty skromnej panny Hargrave, która twierdziła, że prace jej niewarte są jego uwagi, przysunął sobie krzesło i siadł obok mnie. Odbierając z moich rąk rysunek po rysunku, przyglądał się im po kolei, po czym rzucał je na stolik, w żaden sposób ich nie komentując, mimo iż usta mu się nie zamykały. Doprawdy nie wiem, co Milicent Hargrave myślała o jego ówczesnym zachowaniu, ale *mnie* to, co miał do powiedzenia wydało się ogromnie interesujące – choć gdy jakiś czas potem wszystko sobie przemyślałam, doszłam do wniosku, że były to w głównej mierze żarty z poszczególnych osób znajdujących się w towarzystwie. I mimo że uczynił sporo błyskotliwych i niezwykle dowcipnych uwag, sądzę, że przytaczając je tutaj nie potrafiłabym im oddać sprawiedliwości, bowiem pozbawione byłyby jego spojrzeń, melodii jego głosu, gestów i owego niewypowiedzianego czaru, który rzucał wyjątkowy blask na wszystkie jego słowa, nawet te najbardziej niedorzeczne. Jednak ku memu rozgoryczeniu kres całej przyjemności położyła moja ciotka, która zbliżyła się do nas pod pretekstem chęci obejrzenia rysunków, choć tak naprawdę w ogóle o nie nie dbała i nic na ich temat nie wiedziała. Udając, że się im przygląda, swym najbardziej lodowatym, nieprzyjemnym tonem głosu poczęła kierować pod adresem pana Huntingdona rozmaite, banalne pytania i spostrzeżenia, próbując tym sposobem odwrócić jego uwagę od mojej osoby. Ponieważ sama już zapoznałam się z zawartością teczki Milicent, zostawiłam ich samych i usiadłam na stojącej na uboczu sofie, nie przejmując się tym, jak dziwnym może się wydać innym moje zachowanie i pragnąc jedynie dać upust swojemu chwilowemu przyływowi złości oraz zyskać sposobność do zatracenia się we własnych myślach.

Ale nie cieszyłam się tym odosobnieniem nazbyt długo, bowiem pan Wilmot – dżentelmen najbardziej mi niemiły z wszystkich obecnych – postanowił wykorzystać to, że jestem sama i zaraz usadowił się obok mnie. Dotąd sądziłam, że skoro przy wszystkich minionych okazjach tak konsekwentnie i skutecznie odpierałam jego zaloty, nie muszę już się z jego strony niczego obawiać. Jednak najwyraźniej byłam w błędzie. Widocznie tak niezachwianie wierzył w moc swego bogactwa lub resztki swego osobistego powabu i tak wielkie było jego przeświadczenie o kobiecej słabości, że nie bał się powrócić na pole walki. A uczynił to ze świeżą dozą animuszu, wznieconego przez pokaźną ilość wypitego przezeń wina, co dodatkowo wzmogło jeszcze moją do niego niechęć. Ale mimo wstrętu, który w owej chwili do niego czułam, będąc gościem w jego domu, nie ośmieliłam się

potraktować go niegrzecznie. Skutkiem tego stawał się teraz coraz bardziej wylewny i podochocony. Czując się coraz bardziej bliska rozpacz, zamierzałam już coś powiedzieć, choć doprawdy nie wiedziałam co, gdy nagle poczułam, jak moją przewieszoną przez oparcie sofy rękę chwyta delikatnie, acz stanowczo, czyjaś dłoń. Intuicja podpowiedziała mi, do kogo należy, i kiedy spojrzałam w górę, widok stojącego nade mną i uśmiechającego się pana Huntingdona bynajmniej mnie nie zaskoczył. Poczułam się wtedy tak, jak gdybym odwróciła się od jakiego czyścicowego demona i ujrzała przed sobą anioła światła, który przyszedł mi oznajmić, że czas mego cierpienia dobiegł końca.

– Helen – powiedział (często zwracał się do mnie po imieniu, a ja nigdy nie czułam się dotknięta jego śmiałością) – Chciałbym, by przyjrzała się pani tamtemu obrazowi: jestem pewien, że pan Wilmot mi wybaczy.

Podniosłam się prędko, a pan Huntingdon, chwytając mnie pod ramię, powiódł mnie na drugą stronę pomieszczenia do wyśmienitego obrazu Antona van Dycka, który zauważyłam już przedtem, choć nie miałam jeszcze okazji się mu dokładnie przyjrzeć. Przez chwilę kontemplowałam dzieło w milczeniu, po czym zaczęłam czynić jakieś uwagi na temat jego urody i rozmaitych właściwości, kiedy mój towarzysz, ściskając swawolnie moją dłoń, którą wciąż trzymał pod swym ramieniem, przerwał mi słowami:

– Mniejsza o malowidło – nie po to panią tutaj przyprowadziłem. Pragnąłem tylko wyrwać ją z rąk tamtego bezwstydnego, starego łajdaka, który wygląda teraz tak, jak gdyby zamierzał wyzwać mnie za tę zniewagę na pojedynek.

– Jestem panu bardzo wdzięczna – rzekłam. – Już drugi raz uwolnił mnie pan od katuszy niemiłego mi towarzystwa.

– Proszę mi nie dziękować – odparł. – Nie uczyniłem tego jedynie z sympatii do pani, lecz w pewnej mierze również poprzez niechęć do jej dręczycieli. Wielką satysfakcję sprawia mi dawanie się we znaki owym starszym jegomościom, choć nie sądzę, bym miał powody widzieć w nich groźnych rywali. Czyż nie mam racji, Helen?

– Dobrze pan wie, że ich nie znoszę.

– A mnie?

– Nie mam powodu pana nie znosić.

– Ale co pani do mnie czuje, Helen? Proszę powiedzieć! Co pani o mnie myśli?

Ponownie ścisnął moją dłoń, ale ja, dostrzegając w jego zachowaniu więcej władczości niż czułości i dochodząc do wniosku, że nie ma on prawa domagać się ode mnie wyznań, skoro sam nie zdradził mi swych uczuć, przez chwilę zastanawiałam się, co odpowiedzieć, po czym zapytałam:

– A co *pan* myśli o *mnie*?

– Aniele drogi, uwielbiam panią! Ja...

– Helen, pozwól na chwilę – powiedział cichy, aczkolwiek zdecydowany głos mojej ciotki, która pojawiła się tuż za nami.

Oddalając się zatem od pana Huntingdona, który złorzeczył teraz pod nosem swoim złym duchom, poszłam za swą krewną do wnęki okiennej.

– A więc? Czego ciocia ode mnie chce? – zapytałam.

– Chcę, żebyś dołączyła do naszego towarzystwa. Ale dopiero wtedy, gdy ochłoniesz – odparła, surowo na mnie patrząc. – Proszę, zostań tutaj, dopóki ten okropny rumieniec na twojej twarzy nieco nie zblednie, a z twoich oczu nie zniknie ten nienaturalny wyraz. Wstydziałabym się, gdyby ktoś ujrzał cię w tym stanie.

Oczywiście tamta uwaga nie pomogła zblednąć owemu „okropnemu rumieńcowi”, a zgoła przeciwnie: poczułam, że moje policzki płoną zdwojonym ogniem wzbudzonym poprzez mieszaninę kłębiących się we mnie uczuć, pośród których główne miejsce zajmowało oburzenie. Nic nie mówiąc jednak, odsunęłam zasłonę okna i spojrzałam w noc – a raczej: na oświetlony latarniami skwer.

– Czy pan Huntingdon oświadczał się tobie, Helen? – zapytała moja nader czujna krewna.

– Nie.

– Zatem co takiego mówił? Zdawało mi się, że słyszę coś bardzo podobnego.

– Nie wiem, co by powiedział, gdyby mu ciocia nie przerwała.

– A gdyby doszło do oświadczeń, Helen, przyjęłabyś je?

– Oczywiście, że nie – nie bez uprzedniego poradzenia się wuja i cioci.

– Och! Rada jestem, moja droga, że zostało ci jeszcze tyle rozsądku. Dobrze – dodała po chwili milczenia – ściągnęłaś już na siebie dość uwagi, jak na jeden wieczór. Widzę, że damy nie przestają zerkać na nas zaciekawieniem. Wróć teraz do nich i ty zrób to samo, gdy już przyjdiesz do siebie.

– Już przyszłam do siebie.

– Mów więc spokojniej, i nie patrz takim gniewnym wzrokiem. Niedługo wrócimy do domu, a tam – dodała uroczyście – będę miała ci wiele do powiedzenia.

Do domu wracałam zatem przygotowana na to, że będę musiała wysłuchać bezliku napomnień i przestróg. Podczas naszej krótkiej podróży w powozie padło między nami niewiele słów, ale znalazłszy się w swojej sypialni, ledwie zdążyłam rzucić się na fotel, chcąc zastanowić się nad wydarzeniami minionego dnia, kiedy do środka weszła ciotka. Odprawiwszy Rachel, która w owym czasie zajęta była uprzątnięciem moich ozdób, zamknęła za nią drzwi i stawiając krzesło pod odpowiednim kątem do mojego fotela, usiadła na nim. Z należnym szacunkiem zaofiarowałam jej swoje wygodniejsze siedzisko, lecz ona podziękowała i zaczęła mówić:

– Czy pamiętasz, Helen, tamtą rozmowę, którą odbyliśmy w przeddzień naszego wyjazdu ze Staningley?

– Tak, ciociu.

– I pamiętasz, jak przestrzegałam cię, abyś nie pozwoliła sobie skraść serca komuś, kto na nie nie zasługuje, abyś nie pozwoliła swoim uczuciom wygrać z rozumem?

– Tak, ale *mój* rozum...

– Wybacz, ale czy pamiętasz, jak zapewniałaś mnie, że nie muszę się o ciebie martwić, bowiem nigdy nie ulegniesz pokusie poślubienia człowieka, który pozbawiony jest zasad

moralnych – nawet gdyby był niezwykle przystojny i czarujący? Czy pamiętasz, jak zarzekałaś się, że nie umiałabyś kogoś takiego kochać – że być może nienawidziłabyś go, pogardzała nim lub współczuła mu, ale nigdy byś go nie pokochała? Czy to nie były twoje słowa?

– Tak, ale...

– I czy nie mówiłaś, że twoje uczucie musi być na oparte na szacunku?

– Owszem, ale ja szanuję...

– Jak to, moja droga? Czy pan Huntingdon jest dobrym człowiekiem?

– Dużo lepszym niż ciocia myśli.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Czy jest on *dobrym* człowiekiem?

– Tak – pod pewnym względem. Ma przyjemne usposobienie.

– Czy jest człowiekiem z *zasadami*?

– Być może nie do końca. Ale wynika to tylko z jego beztroski – gdyby miał u swego boku kogoś, kto by mu doradzał i przypominał, co jest właściwe...

– Wkrótce, twoim zdaniem, by się nauczył? A ty chętnie podjęłabyś się być jego nauczycielką? Ale on jest, jak sądzę, starszy od ciebie o całych dziesięć lat. Jak to możliwe więc, że wyprzedzasz go swymi zdobyczami moralnymi?

– To dzięki cioci zostałam tak dobrze wychowana. I zawsze miałam wokół siebie dobre wzorce, czego jemu najprawdopodobniej brakowało. A prócz tego, on posiada radosne, beztroskie usposobienie, gdy ja tymczasem z natury jestem skłonna do refleksji.

– Zatem sama przyznałaś, że brakuje mu zarówno zasad, jak i mądrości...

– Więc posłużę mu swoimi zasadami i mądrością!

– To zuchwałe słowa, Helen! Czy sądzisz, że twoich zasad i mądrości starczy na was oboje? I że twój radosny, beztroski rozpustnik pozwoli, by rządziła nim taka młoda dziewczyna?

– Nie. Nie pragnę nim rządzić, ale myślę, że będę miała na niego wystarczająco duży wpływ, by ustrzec go przed pewnymi błędami. A jeśli osobiście przyczynię się do ocalenia tak szlachetnej duszy przed zepsuciem, to będę mogła uznać swoje życie za wartościowe i pożyteczne. Pan Huntingdon z wielką uwagą słucha zawsze moich słów i niekiedy daje mi do zrozumienia, że gdyby zawsze mógł mnie mieć u swego boku, nigdy by już nie błędził. Powiada, że kilka słów zamienionych ze mną każdego dnia uczyniłoby z niego niemal świętego. Kto wie, być może to na wpół żarty i na wpół pochlebstwa, ale jednak...

– Ale jednak sądzisz, że to prawda?

– Jeżeli sądzę, że jest w tym jakaś część prawdy, to nie ze względu na wiarę w swoje własne zdolności, lecz w jego wrodzoną dobroć. I ciocia nie ma prawa nazywać go rozpustnikiem – bynajmniej nim nie jest.

– Kto ci o tym powiedział, moja droga? Czy zapomniałaś już, jak panna Wilmot opowiadała o jego potajemnym romansie z pewną zameźną damą?

– To kłamstwo – kłamstwo! Nie wierzę w jedno jej słowo.

– Uważasz więc, że pan Huntingdon jest cnotliwym, dobrze prowadzącym się młodym

człowiekiem?

– Nie wiem nic pewnego odnośnie jego charakteru. Wiem tylko, że nie słyszałam na ten temat nic alarmującego – w każdym razie nic, co można by udowodnić. I dopóki inni nie będą mieli dowodów na poparcie swoich oszczerczych oskarżeń, dopóty nie będę im wierzyć. I uważam, że nawet jeśli pan Huntingdon popełnił w przeszłości jakieś błędy, to należy złożyć je na karb jego młodego wieku. A zresztą nie mogłoby to być nic wielkiego, gdyż wszyscy wokół przepadają za nim, wszystkie matki witają go z uśmiechem, a ich córki – z panną Wilmot włącznie – rade są, gdy zwraca na nie uwagę.

– Helen, świat *być może* patrzy na takie występki pobłażliwie; kilka pozbawionych skrupułów matek *być może* życzyłoby sobie zławić dla swojej córki takiego majątnego młodzieńca, nie bacząc na jego charakter; i *być może* niektórym bezmyślnym dziewczętom imponuje, gdy uśmiecha się do nich tak przystojny dżentelmen. Ale sądziłam, że ty jesteś na tyle mądra, by nie patrzeć na niego ich wadliwym wzrokiem. Nigdy bym się po tobie tego nie spodziewała, że pewnego rodzaju grzechy uznasz za wybacalne!

– Ani ja, ciociu. Ale choć potępiam grzechy, kocham grzesznika i zrobiłabym wiele dla jego odkupienia – nawet zakładając, że podejrzenia cioci są słuszne, w co jednak nigdy nie uwierzę.

– Cóż, moja droga, zapytaj swojego wujka, z kim przestaje pan Huntingdon i czy przypadkiem nie jest to czereda rozwiązłych, rozpustnych młodych mężczyzn, których on nazywa swoimi przyjaciółmi – swoją „wesołą kompanią” i dla których główną treścią życia jest oddawanie się nałogom oraz branie udziału w karkołomnym wyścigu do bram piekła.

– Wobec tego ocalę go przed nimi.

– Och, Helen, Helen! Nie wiesz, jakie nieszczęście cię czeka, jeśli zwiążesz swoje życie z takim człowiekiem.

– Pomimo tego, co ciocia mówi, pokładam w nim tak wielką wiarę, że chętnie zaryzykuję własnym szczęściem dla możliwości zapewnienia mu jego własnego. Lepszych mężczyzn zostawię tym kobietom, którym zależy tylko na własnej korzyści. Jeśli pan Huntingdon do tej pory błędził, z radością poświęcę swoje życie na ratowanie go przed konsekwencjami jego młodzieńczych uchybień i sprowadzenie go na właściwą drogę – niech Bóg mi w tym dopomoże!

W tym miejscu rozmowa urwała się, bowiem uszu naszych dobiegł głos wuja wzywającego ciotkę na spoczynek. Tamtej nocy nie był w humorze, gdyż dokuczała mu podagra, która stopniowo nasilała się, odkąd przyjechaliśmy do miasta. Następnego ranka ciotka wykorzystała sytuację, przekonując wuja do tego, byśmy zamiast czekać na koniec sezonu, od razu wrócili na wieś. Lekarz gorąco poparł jej pomysł, a ona – wbrew swemu dotychczasowemu zwyczajowi – tak szybko uporała się ze wszystkimi przygotowaniami do wyjazdu, że już za kilka dni ruszyliśmy w drogę. I więcej już nie było mi dane spotkać pana Huntingdona... Ciotka pochlebia sobie, że dzięki niej wkrótce o nim zapomnę – być może nawet sądzi, że już o nim zapomniałam, skoro nigdy o nim nie mówię. Nie będę jej wyprowadzać z tego błędu – w każdym razie aż do dnia, w którym znów się spotkamy, jeśli

takowy kiedykolwiek nastąpi.

Rozdział XVIII

Miniatura

25 sierpnia – Wdrożyłam się już w rytm moich dawnych, utartych nawyków i małych przyjemności i choć czuję się dość zadowolona, z utęsknieniem czekam na wiosnę. Mam nadzieję, że wrócimy do Londynu – nie po to, bym mogła rzucić się w wir wielkomiejskiego życia, lecz dla możliwości ponownego spotkania z panem Huntingdonem, który wciąż obecny jest w moich myślach i snach. Każde moje zajęcie zdaje się mieć jakiś z nim związek: każda zdobyta przeze mnie nowa umiejętność pewnego dnia ma zostać obrócona na jego korzyść lub posłużyć jego przyjemności, każdy nowy szczegół, który uda mi się zaobserwować w przyrodzie staram się zachować w pamięci, by móc mu kiedyś o nim opowiedzieć. Takimi nadziejami w każdym razie dodaję sobie otuchy i rozświecłam swą samotność. Ostatecznie być może okaże się, że to zwykłe mrzonki, ale wodzenie za nimi oczami i rozkoszowanie się ich blaskiem nie przyniesie mi żadnej szkody, jeśli tylko ich powab nie przyćmi mi wzroku i nie zepchnie z właściwej drogi, co – jak sądzę – mi nie grozi. Głęboko zastanawiałam się nad radami mej ciotki i widzę teraz wyraźnie, jakim szaleństwem byłoby zdać się na łaskę kogoś, kto nie byłby godny mojej miłości, kto nie byłby zdolny odwzajemnić mych płynących z najgłębszego zakątka serca uczuć – widzę to tak *wyraźnie*, że nawet gdyby dane mi było zobaczyć go ponownie i gdyby wciąż pamiętał o mnie, nadal mnie kochał i chciał się mi oświadczyć, nie przyjąłabym go, dopóki nie przekonałabym się, która z nas dwóch – ja czy ciotka – jest bliższa prawdy, jeśli chodzi o jego osobę. Bowiem jeśli to ja się mylę, oznacza to, że nie kocham wcale jego, lecz wytwór mojej własnej wyobraźni. Nie sądzę jednak, bym się myliła – nie, jakiś wewnętrzny instynkt podpowiada mi, że to z gruntu dobry człowiek. I jaką rozkoszą będzie udowodnienie tego światu! Jeśli zbłądził, jak cudownie będzie móc go sprowadzić na właściwą drogę i wybawić od zgubnego wpływu jego zepsutych kompanów! Och, gdybym tylko miała pewność, że Bóg właśnie po to mnie stworzył!

1 września – Zaczął się sezon polowań, ale wuj polecił łowczemu, by poczekał ze strzelaniem do kuropatw do przyjazdu gości.

– Jakich gości? – zapytałam, usłyszawszy to.

Okazało się, że wuj zaprosił kilku dżentelmenów na polowanie. Jednym z nich ma być jego przyjaciel pan Wilmot, drugim zaś znajomy ciotki, pan Boarham. W tamtej chwili przyjąłabym to jako okropną nowinę, ale całe moje rozżalenie i wszystkie obawy znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy usłyszałam, że trzecim z gości ma być pan Huntingdon! Ciotka naturalnie jest temu wielce przeciwna i usilnie starała się przekonać wuja, by go nie zapraszał. Wuj jednak, żartując sobie z jej protestów, powiedział, że na nic

się nie zdadzą, bowiem nieszczęście już się stało: zaprosił był Huntingdona i jego znajomego Lorda Lowborough jeszcze przed naszym wyjazdem z Londynu i nie pozostawało teraz nic innego, jak przygotować się na ich przyjęcie. A więc na pewno go zobaczę. Ukrywanie przed ciotką radości przychodzi mi z trudnością, ale nie chcę martwić jej swoimi uczuciami, dopóki nie będę pewna co do tego, czy powinnam je żywić. Jeśli przekonam się, że wyzbycie się ich jest absolutną koniecznością, postaram się, by nie sprawiły bólu nikomu poza mną. Jednak jeżeli dojdę do wniosku, że są uzasadnione, stawię czoło każdemu – nawet ryzykując gniew ze strony mej najlepszej przyjaciółki. Wkrótce wszelkie me wątpliwości zostaną rozwiane. Goście jednak przyjeżdżają dopiero w połowie miesiąca.

Wśród nich mają znaleźć się również dwie damy – wraz z panem Wilmotem przyjeżdża bowiem jego bratanica i jej kuzynka Milicent. Ciotka spodziewa się, jak sędzę, że ta druga, stanowiąc wzór wszelkich cnót, wywrze na mnie zbawienny wpływ. Pierwsza natomiast ma zapewne odegrać rolę mojej konkurentki, która odwróci ode mnie uwagę pana Huntingdona. Mimo wszystko rada będę z towarzystwa Milicent: to urocza, dobra dziewczyna i żałuję, że nie mogę być do niej bardziej podobna.

19 września – Goście przyjechali przedwczoraj. Panowie przebywają obecnie na polowaniu, a damy wraz z moją ciotką siedzą nad swymi robótkami w bawialni. Ja ukryłam się w bibliotece, bo czuję się okrutnie nieszczęśliwa i potrzebuję samotności. Czytanie mnie nie bawi, więc otworzyłam sekretarzyk, by przekonać się, czy szczegółowe opisanie przyczyn mojej rozpaczki przyniesie mi ulgę. Ten kajet posłuży mi jako zaufany przyjaciel – który co prawda nie będzie umiał mi współczuć, ale też nie wyśmiejemy mych wyznań i nigdy nikomu ich nie powtórzy – najlepszy przyjaciel, jakiego mogłabym sobie w tej sytuacji życzyć.

Najpierw trzeba mi opisać jego przyjazd – to, jak przez blisko dwie godziny siedziałam przy swoim oknie, zanim jego powóz jako ostatni nie minął parkowej bramy i jak czułam się zawiedziona, kiedy kolejni przybysze okazywali się nie być nim. Jako pierwszy pojawił się pan Wilmot z damami, a kiedy Milicent weszła do swego pokoju, opuściłam na chwilę mój posterunek, aby do niej zajrzeć i zamienić parę słów na osobności, jako że od naszego rozstania zdążyłyśmy wymienić się kilkoma długimi listami i teraz byłyśmy już bliskimi przyjaciółkami. Po powrocie do okna dostrzegłam, że pod drzwiami zajechał kolejny powóz. Czyżby jego? Nie, należał do pana Boarhama, który stał obecnie na schodach, pieczołowicie nadzorując wynoszenie z pojazdu rozmaitych kufrów i pakunków, a sądząc po ich ilości można by przypuszczać, że planował co najmniej półroczny pobyt. Długo po nim pojawił się Lord Lowborough w swym czterokołowym pojeździe. „Czy to jeden z jego rozwiązłych przyjaciół?” – zastanawiałam się. Nie sędzę jednak. Bynajmniej nie sprawia wrażenia „wesołego kompana” – jego sposób bycia jest zbyt zrównoważony i kulturalny, by można było mu to zarzucić. To wysoki, chudy i poważny człowiek, prawdopodobnie trzydziestokilkuletni, o nieco niezdrowym, markotnym obliczu.

W końcu przez trawnik przetoczył się wartkim tempem lekki faeton pana Huntingdona. Ujrzałam go jedynie w przelocie, bowiem ledwo pojazd się zatrzymał, dżentelmen wyskoczył na stopnie portyku i zaraz znikł za drzwiami wejściowymi.

Zgodziłam się wreszcie przebrać do obiadu, na co przez minionych dwadzieścia minut usilnie namawiała mnie Rachel, dokonawszy zaś tej niezmiernie ważnej czynności, udałam się do bawialni, gdzie znajdowali się już pan i panna Wilmot oraz Milicent Hargrave. Krótco potem do środka wszedł Lord Lowborough, a po nim pan Boarham, który zdawał się gotowy wybaczyć mi moje dawne zachowanie, żywiąc nadzieję, że odrobina perswazji i wytrwałości z jego strony mogą jeszcze przywołać mnie do rozsądku. Podszedł do mnie, gdy stałam przy oknie zaabsorbowana rozmową z Milicent i już zaczynał przemawiać swym monotonnym głosem, kiedy do pomieszczenia wkroczył pan Huntingdon.

„W jaki sposób się ze mną przywita?” – zapytało moje bijące mocno serce. Zamiast wyjść mu na spotkanie odwróciłam się do okna, by dać sobie chwilę na opanowanie emocji. Pan Huntingdon, wymieniwszy się pozdrowieniami z panem i panią domu oraz resztą obecnych, zbliżył się wreszcie do mnie, by z żarem uścisnąć moją dłoń i wyszeptać, że rad jest widzieć mnie ponownie. W tej samej chwili ogłoszono, że podano obiad. Ciotka poprosiła pana Huntingdona, by zaprowadził do jadalni pannę Hargrave, a mnie swoje ramię zaofiarował zniechęcony pan Wilmot. Tym sposobem zmuszona byłam siedzieć pomiędzy nim a panem Boarhamem. Później jednakże, kiedy powtórnie zebraliśmy się wszyscy w bawialni, los wynagrodził mi owe cierpienia kilkuminutową rozmową z panem Huntingtonem.

W trakcie wieczoru Annabella nakłoniona została do zabawienia towarzystwa swym śpiewem, mnie zaś poproszono o pokazanie swoich szkiców. Pannie Wilmot bynajmniej nie brakuje talentu, mimo to pan Huntingdon zdawał się poświęcać większą uwagę moim rysunkom.

Jak dotąd, wszystko szło po mojej myśli. Jednak, kiedy słysząc, jak pan Huntingdon półgłosem, aczkolwiek z osobliwym naciskiem, komentuje jedną z prac słowami: „*To jest najlepsze!*”, spojrzałam zaciekawiona i ku swemu przerażeniu odkryłam, że z zadowoleniem przygląda się on *odwrotnej* stronie rysunku – widniał na niej szkic jego własnej twarzy, o którym zupełnie zapomniałam! W zdenerwowaniu spróbowałam wyrwać mu go z rąk, ale on na to nie pozwolił, wołając: „Ależ nie! Zatrzymam to sobie!” i wydając z siebie radosny chichot, wsunął sobie rysunek pod kamizelkę.

Następnie, przyciągnąwszy do siebie świecę, pozbierał wszystkie pozostałe szkice i mrużąc pod nosem: „Teraz muszę pamiętać, by oglądać je z dwóch stron”, zabrał się ochoczo za oględziny, co początkowo obserwowałam z dość dużą dozą opanowania, przekonana, że jego próżność nie zostanie już zaspokojona żadnym innym znaleziskiem, bowiem choć zaiste oszpeciłam kilka rysunków, próbując na ich odwrotnej stronie, i bez powodzenia zresztą, naszkicować jego nader fascynujące oblicze, pewna byłam, że poza owym nieszczęsnym wyjątkiem, wszelkie pozostałe dowody świadczące o moim zauroczeniu dokładnie wymazałam. Jednakże ołówek często pozostawia po sobie pewien

śląd, którego nie usunie żadna gumka do ścierania. Tak też było w przypadku większości owych szkiców i wyznać muszę, że drżałam, widząc jak pan Huntingdon w jasnym świetle świecy bada wzrokiem każdą pozornie niezapełnioną powierzchnię papieru. Wciąż jednak wierzyłam, że nie znajdzie niczego, co mogłoby przynieść mu satysfakcję. Musiałam być jednak w błędzie, gdyż, skończywszy oględziny, zauważył cichym głosem:

– Widzę, że w rysunkach młodych panien najważniejszą i najciekawszą część stanowi ich odwrotna strona – zupełnie jak to, co piszą w postscriptach swych listów.

Odchylając się do tyłu na swym krześle, z uśmiechem samozadowolenia rozmyślał przez kilka minut, po czym wstał i podchodząc do sofy, na której Annabella Wilmot zawzięcie kokietowała Lorda Lowborough, usadowił się przy niej i przez resztę wieczoru już jej nie odstępował.

„A więc gardzi mną, bo wie, że go kocham” – pomyślałam.

I owa myśl tak mnie przygnębiła, że nie wiedziałam, co począć. Milicent, która przyszła po chwili, zaczęła podziwiać rysunki, ale nie potrafiłam z nią rozmawiać – z nikim nie mogłam rozmawiać. Kiedy podawano herbatę, wykorzystałam zamieszanie, by wymknąć się do biblioteki. Ciotka przysłała po mnie Thomasa, lecz poprosiłam go, by powtórzył jej, że nie przyjdę tego dnia na podwieczorek. Szczęśliwie zanadto zajęta była swymi gośćmi, by dociekać, jakie miałam po temu powody.

Ponieważ większość gości miała za sobą trudy długiej podróży, na spoczynek udano się dość wcześnie. Z biblioteki odważyłam się wyjść dopiero wtedy, gdy doszłam do wniosku, że inni muszą już znajdować się na górnym piętrze. Jednak znalazłszy się w holu, zobaczyłam, że pan Huntingdon, pozostając w tyle za resztą, jest ledwie u podnóża schodów. Usłyszawszy moje kroki – choć sama prawie ich nie słyszałam – natychmiast się odwrócił.

– Helen, czy to pani? – zapytał. – Dlaczego od nas pani uciekła?

– Dobranoc, panie Huntingdon – powiedziałam chłodno i ignorując jego pytania, skierowałam się do bawialni, by ze stojącego tam kredensu zabrać swój świecznik.

– Ale chyba uściśnie mi pani rękę na pożegnanie? – rzekł, zagrządzając mi sobą drzwi, po czym złapał moją dłoń.

– Proszę mnie przepuścić, panie Huntingdon – powiedziałam. – Chcę zabrać stamtąd swoją świecę.

– Świeca może poczekać – odparł.

Podjęłam rozpaczliwą próbę uwolnienia swej ręki z jego uścisku.

– Dlaczego pani tak spieszo się ze mną rozstać, Helen? – zapytał z wyniosłym uśmiechem. – Nie nienawidzi mnie pani przecież, dobrze pani o tym wie.

– W tej chwili owszem, nienawidzę.

– Ależ nie! To nienawiść do Annabelli Wilmot, nie do mnie.

– Nie mam żadnych zastrzeżeń wobec Annabelli Wilmot – powiedziałam, płonąć z oburzenia.

– Ale ja mam – odrzekł z osobliwym naciskiem.

– To mnie nie interesuje, sir! – odparłam.

– Czyżby, Helen?... Przysięgnie mi pani?

– Nie, panie Huntingdon! Chcę wejść do środka! – zawołałam, nie wiedząc, czy się roześmiać, rozplakać, czy też dać się ponieść swojej furii.

– Proszę zatem iść, sekutnico! – powiedział, ale w tej samej chwili, w której wypuścił z rąk moją dłoń miał czelność objąć mnie i pocałować.

Trzęsąc się ze wzburzenia, wyrwałam się z jego uścisku i chwyciwszy świecę, pobiegłam na górę do swojej sypialni. Do niczego takiego by nie doszło, gdyby nie tamten nienawistny szkic! Na dodatek pan Huntingdon wciąż miał go w swym posiadaniu – niczym wieczysty pomnik ku jego chwale i memu upokorzeniu!

Tej nocy zasnęłam niewiele snu, a rano wstawałam zmartwiona świadomością, że spotkam pana Huntingdona przy śniadaniu. Nie wiedziałam, jakie powinnam przyjąć wobec niego nastawienie. Na nic nie zdałaby się pełna godności, chłodna obojętność, skoro wiedział o mojej słabości do niego, a przynajmniej mojej słabości do jego twarzy. A jednak coś należało zrobić, by ukrócić jego swawolę – nie zamierzałam poddać się tyranii owych błyszczących, roześmianych oczu. Zgodnie z tym, na jego pogodne powitanie odpowiedziałam z lodowatym spokojem, który pochwaliłaby moja ciotka, a podejmowane przez niego nieliczne próby nawiązania ze mną rozmowy odpierałam jednosylabowymi odpowiedziami, jednocześnie odnosząc się do wszystkich pozostałych osób w naszym gronie z serdecznością – po to, ażeby pokazać mu, że mój chłód i powściągliwość wobec niego nie wynikają z mego ogólnego złego nastroju czy przygnębienia.

To jednakże bynajmniej go nie zraziło. Nie mówił do mnie wiele, ale kiedy już mu się to zdarzało, robił to z wielką swobodą i otwartością – jak gdyby wiedział, że jego głos jest muzyką dla mych uszu. A kiedy nasze oczy się spotykały, uśmiechał się – być może zuchwale – ale przy tym tak czarująco i promiennie, że czułam, jak uchodzi ze mnie gniew, a wszelkie ślady niezadowolenia znikają niczym poranne chmury w ciepłe letniego słońca.

Wkrótce po śniadaniu wszyscy dżentelmeni – z wyjątkiem jednego – z chłopięcym zapałem wyruszyli na wyprawę przeciwko nieszczęsnym kuropatwom. Mój wuj i pan Wilmot jechali wierzchem, zaś pan Huntingdon wraz z Lordem Lowborough mieli iść pieszo. Ów wyjątek stanowił pan Boarham, który z uwagi na nocne opady deszczu postanowił, że dołączy do pozostałych za jakiś czas, kiedy słońce osuszy już trawę. Swą decyzję uzasadnił, racząc nas długą przemową na temat niebezpieczeństw towarzyszących przemoczonym stopom, którą to wygłosił z niewzruszoną powagą pośród docinków i śmiechu pana Huntingdona i mego wuja.

Nie mając ochoty spędzać całego ranka w towarzystwie pana Boarhama, udałam się do biblioteki, gdzie rozłożyłam sztalugę i zaczęłam malować. Sztaluga i przybory do malowania miały posłużyć jako usprawiedliwienie, w razie gdyby do środka weszła ciotka, pytając o powody mej dezercji. Ponadto pragnęłam ukończyć malowidło, które stać się miało moim arcydziełem i któremu poświęciłam wiele czasu, jako że jego zamysł był dość odważny. Za pomocą lazurowego nieba, ciepłego światła i długich cieni usiłowałam

przedstawić na nim wizję słonecznego poranka. Scena ukazywała otwartą leśną polanę. W tle namalowałam ciemną kępę sosen, by uzyskać przeciwwagę dla pozostałych elementów obrazu, za to na pierwszym planie widniała część sękatego pnia i rozłożyste konary leśnego drzewa, którego liście lśniły głęboką, wiosenną zielenią. Na jednej z gałęzi siedziała para zakochanych turkawek, pod nią zaś, pośród pokrytej stokrotkami darni, klęczała młoda dziewczyna z zadartą w górę głową i puklami jasnych włosów opadającymi na ramiona. Dłonie miała zaciśnięte, usta rozchylone i oczami pełnymi zachwytu kontemplowała tamtych dwoje pierzastych zakochanych, którzy zbyt pochłonięci byli sobą wzajem, by zwrócić na nią uwagę.

Ledwo zabrałam się za swój obraz – w którym brakowało już tylko kilku ostatnich pociągnięć pędzla – kiedy za oknem przeszli wracający ze stajni myśliwi. Okno było częściowo otwarte i pan Huntingdon, mijając je, musiał mnie przez nie dostrzec, bowiem po pół minucie wrócił i oparłszy swą strzelbę o ścianę budynku, otworzył je szerzej, po czym wskoczył do środka i stanął przed moim malowidłem.

– Doprawdy bardzo ładny! – powiedział, przyjrzawszy mu się uważnie. – I temat bardzo odpowiedni dla młodej panny: wiosna mająca przeistoczyć się w lato... poranek ustępujący miejsca południu... dziewczyna przeobrażająca się w kobietę... Jaka urocza istotka! Ale dlaczego jej włosy nie są czarne?

– Uznałam, że jasne będą do niej bardziej pasować. Jak pan widzi, ma niebieskie oczy, pulchną twarz i zaróżowione policzki.

– Daję słowo, to istna Hebe!^[5] Zakochałbym się w niej, gdybym nie miał przy sobie artystki, która ją stworzyła. Urocze niewiniątko! Wyobraża sobie, że i dla niej nadejdzie czas, w którym ktoś – tak jak w przypadku owej turkaweczki – zdobędzie jej serce. I zadumała się nad tym, jak czuła i wierna będzie wobec swego ukochanego.

– I być może – podsunęłam – jak czuły i wierny on będzie wobec niej.

– To bardzo możliwe – w tym wieku bowiem potęga wyobraźni nie zna żadnych granic.

– Zatem nadzieje tego dziewczęcia nazwałby pan młodzieńczymi, daremnymi złudzeniami?

– Nie, serce mi mówi, że to nie złudzenia. Kiedyś być może byłem innego zdania, ale teraz powiadam: „Jeśli los da mi na własność tę, którą kocham, będę jej wierny po wieczne czasy – poprzez lata i zimy, w młodości i na starość, w życiu i w śmierci!”

Mówił te słowa z taką powagą, że moje serce zabiło mocniej z zachwytu. Ale chwilę potem zmienił ton głosu i z wymownym uśmiechem zapytał, czy mam „jeszcze jakieś portrety”.

– Nie – odpowiedziałam, rumieniąc się z zażenowania i gniewu.

Moja teczka leżała jednak na stole. Jak gdyby nigdy nic podniósł ją i usiadł, by przyjrzeć się jej zawartości.

– Panie Huntingdon, to są moje niedokończone szkice i nigdy nie pozwałam nikomu ich oglądać! – zawołałam, po czym spróbowałam wyrwać mu teczkę z rąk.

On jednakże trzymał ją nieugięcie, zapewniając mnie, że „niedokończone szkice lubi

ponad wszystko inne”. Wyciągnąwszy większą część z nich na stół, przez moment przyglądał się im w skupieniu.

– A niech mnie, oto kolejny! – wykrzyknął nagle, a następnie wsunął do kieszeni swej kamizelki niewielki owal papieru w kolorze kości słoniowej. Był to kompletny, miniaturowy portret, który naszkicowałam tak udanie, że pokusiłam się nawet o nadanie mu koloru. Postanowiłam jednak stanowczo, że nie pozwolę mu go zatrzymać.

– Panie Huntingdon – zawołałam. – *Nalegam*, by mi go pan oddał! Należy do mnie i nie ma pan *prawa* go zabierać. Proszę natychmiast mi go zwrócić – jeżeli pan tego nie zrobi, nigdy mu tego nie wybaczę!

Ale im bardziej się przy tym upierałam, tym bardziej on stawał się rozbawiony. W końcu jednak ustąpił, mówiąc:

– No, no. Skoro tak bardzo jest pani do niego przywiązana, nie będę go jej odbierał.

By pokazać mu, jak bardzo jestem przywiązana do owej miniaturowej kopii, podarłam ją i rzuciłam w ogień. Na to nie był przygotowany. Wesołość minęła mu jak ręką odjął i przez chwilę patrzył w milczeniu na ów skarb, trawiony teraz przez płomienie. Następnie rzucił niedbale: „Hm! Trzeba mi iść na polowanie!” i odwracając się na pięcie, opuścił pomieszczenie tak, jak do niego wszedł, czyli przez okno, zostawiając mnie sam na sam z moim obrazem i zadowoleniem – rada byłam bowiem, że udało mi się tak mu dopiec.

Kiedy wróciłam do bawialni, pana Boarhama już tam nie zastałam, bowiem poszedł był dołączyć do pozostałych dżentelmenów. Zaraz po lunchu, na którym tamci nie mieli się pojawić, zaproponowałam Annabelli i Milicent, że pokażę im uroki okolicznego krajobrazu. Odbyłyśmy długą wędrówkę i powtórnie u bram naszego parku stanęłyśmy dopiero w chwili, w której panowie wracali z polowania. Utrudzeni wyprawą i ubrudzeni przeszli wszyscy przez trawnik, by uniknąć spotkania z nami. Jedynie pan Huntingdon – ku zgorszeniu mojej niezwykle przywiązanej do nakazów dobrego wychowania ciotki – nie zważając na swoje zabłocone i zaplamione krwią swej zdobyczy ubranie, wyszedł nam naprzeciw. Wszystkie damy, oprócz mnie, obdarzył uśmiechem i jakimś komplementem, po czym, umieszczając się pomiędzy mną i Annabellą Wilmot, począł opisywać swoje ostateczne wyczyny i porażki w sposób tak dowcipny, że gdybym się w owej chwili na niego nie gniewała, niechybnie byłabym rozbawiona do łez. Cały czas jednak zwracał się wyłącznie do Annabelli, a ja, udając całkowitą obojętność wobec wszystkiego, co między sobą mówili, trzymałam się kilka kroków za nimi, podczas gdy moja ciotka wraz z Milicent szły przodem, pogrążone w poważnej rozmowie. Wreszcie pan Huntingdon odwrócił się do mnie i konfidencjonalnym szeptem zapytał:

– Helen, dlaczego spaliła pani mój portret?

– Ponieważ miałam na to ochotę – odpowiedziałam szorstko.

– Och, bardzo dobrze! – powiedział. – Jeśli dla *pani* nie mam żadnej wartości, będę musiał zwrócić się do kogoś, kto mnie doceni.

Pomyślałam, że to po części żarty – na wpół żartobliwa mieszanina udawanej rezygnacji i pozorowanej obojętności. Ale on zaraz na powrót dołączył do panny Wilmot i od tamtej

chwili do obecnej – do końca tamtego wieczora, przez cały następny dzień, a po nim kolejny i kolejny – odzywał się do mnie tylko wtedy, gdy wymagała tego konieczność. A jeżeli w ogóle na mnie spoglądał, to czynił to zimnym, nieżyczliwym wzrokiem, którego nigdy bym się po nim nie spodziewała.

Ciotka zauważyła tę zmianę w jego nastawieniu do mnie i choć nie dociekała jej przyczyn ani też nie wspomniała na jej temat słowem, wiem, że jest z niej bardzo zadowolona. Panna Wilmot również ją dostrzegła i tryumfalnie przypisuje ją swojej wyższości. Ja jednak czuję się prawdziwie nieszczęśliwa – bardziej nieszczęśliwa niż chciałabym to sama przed sobą przyznać.

Pan Huntingdon nie miał żadnych złych zamiarów – pragnął tylko pożartować, a ja, czując się dotkliwie urażona – tak niewspółmiernie do niewielkiego wykroczenia, którego się dopuścił, zraniłam jego uczucia tak bardzo, że nigdy mi nie wybaczy – i wszystko to z powodu zwykłego żartu! Wierzy teraz, że go nienawidzę i przyjdzie mi go stracić na zawsze, a Annabella być może zdobędzie jego serce i istotnie zatryumfuje.

Ale to nie nad swoją stratą czy jej tryumfem ubolewam najbardziej, a nad klęską nadziei, które miałam co do jego przyszłości i nad krzywdą, którą sobie wyrządzi, oddając swój los w jej ręce. *Ona* go nie kocha, bo potrafi kochać tylko siebie. Nie będzie umiała docenić dobra, które w nim jest – nie dostrzeże go, nie zrozumie, nie będzie go szanować. Nie zauważając jego wad, nie będzie starała się ich naprawiać, za to będzie je tylko podsycać swymi własnymi. Poza tym zastanawiam się, czy Annabella na końcu go nie oszuka, dostrzegam bowiem, że prowadzi ona podwójną grę pomiędzy nim i Lordem Lowborough: szukając rozrywki w towarzystwie pełnego życia Huntingdona, jednocześnie za wszelką cenę stara się zniewolić jego chmurnego przyjaciela. A jeśli uda jej się rzucić sobie do stóp ich obydwu, ostatecznie czarujący mieszczanin nie będzie miał żadnych szans z prawdziwym arystokratą.

Panowie Wilmot i Boarham, korzystając z tego, że pan Huntingdon mnie zaniedbuje, ponowili swe zaloty. I gdybym choć trochę przypominała Annabellę, być może posłużyłabym się tym, by wzbudzić jego zazdrość. Jednak odsuwając na bok względy uczciwości, na samą *myśl* o zachęcaniu ich do dalszych awansów dostaję mdłości. A zresztą, nawet gdybym postanowiła podjąć tę grę, niczego bym w ten sposób nie wskórała. Męki, jakie tamci zadają mi swoim naprzykrzaniem się pan Huntingdon obserwuje bez cienia współczucia względem mnie lub gniewu wobec mych dręczycieli. Nigdy mnie nie kochał, w przeciwnym razie nie zrezygnowałby ze mnie tak łatwo i nie bawiłby się teraz tak wyśmienicie w towarzystwie innych – śmiejąc się i żartując wraz z Lordem Lowborough i moim wujem, dokuczając Milicent Hargrave i flirtując z Annabellą Wilmot – zupełnie, jak gdyby nic nie leżało mu na sercu. Och, dlaczego nie mogę go znienawidzić? Muszę być zaślepiona miłością, bo w innym przypadku wstydziłabym się sama przed sobą tak bardzo go żałować.

Trzeba mi będzie zebrać w sobie wszystkie siły, które mi pozostały i spróbować wyrwać go ze swojego serca. Słyszę dźwięk dzwonka wzywającego na obiad i oto nadchodzi ciotka, by zbesztać mnie za to, że zamiast spędzać czas w towarzystwie gości, siedzę cały dzień

przy tym sekretarzyku. Wolałabym, by wszyscy już sobie pojechali.

Rozdział XIX

Incydent

22 września – Noc. Co ja zrobiłam? I jak to wszystko się skończy? Nie potrafię spokojnie o tym myśleć, nie potrafię spać i ten dziennik musi posłużyć mi za deskę ratunku. Dzisiejszej nocy przeleję wszystko na papier, a jutro się nad tym zastanowię.

Schodziłam na obiad ze stanowczym postanowieniem, by wydać się innym pogodną i opanowaną i ze swego zadania wywiązałam się całkiem przyzwoicie, biorąc pod uwagę, jak bardzo bolała mnie głowa i jak byłam nieszczęśliwa. Od dwóch dni nie czuję się zbyt dobrze – przyczyna tkwić musi w tym, że tak niewiele śpię i jem ostatnimi czasy, podczas gdy głowę mą wypełnia chaos myśli i nieustannie jestem w podłym nastroju. Ale wracając do początku wieczoru: zanim dżentelmeni przyszli do bawialni, na prośbę mojej ciotki i Milicent zmusiłam się do śpiewu i gry na instrumencie (panna Wilmot nie lubi trwonić swych wyczynów muzycznych, jeśli podziwiać je mają tylko damy). Milicent poprosiła o krótką, szkocką pieśń i kiedy panowie weszli do środka, byłam w połowie utworu. Pierwszą rzeczą, którą zrobił pan Huntingdon było podejście do Annabelli.

– Panno Wilmot, chyba nie pożałuje nam pani dziś swego śpiewu? – rzekł. – Błagam panią! Cały dzień marzyłem o tym, by usłyszeć dźwięk jej głosu. Proszę, fortepian już jest wolny.

I w rzeczy samej – był wolny, bowiem usłyszawszy słowa pana Huntingdona, natychmiast odeszłam od instrumentu. Gdybym posiadała w sobie więcej spokoju, odwróciłabym się do damy i wesołym głosem przyłączyłabym się do próśb dżentelmena, tym sposobem uświadamiając mu, jakiego dopuścił się względem mnie afrontu. A jeśli popełnił go był z premedytacją, swoją obojętną reakcją zawiodłabym jego oczekiwania. Zbyt boleśnie jednakże odczułam tamten policzek, by zdobyć się na coś więcej niż zwolnienie fortepianowego stołka. Z trudnością tłumiąc w sobie jęk rozgoryczenia, opadłam na sofę. Wiedziałam, że Annabella przewyższa mnie swoimi talentami muzycznymi, ale pan Huntingdon nie miał powodu traktować mnie niczym powietrze.

Rozradowana panna Wilmot usadowiła się tymczasem przy fortepianie i zaśpiewała dwie z jego ulubionych pieśni. A uczyniła to w tak wysmakowany sposób, że nawet ja z melancholijną przyjemnością słuchałam jej harmonijnego, potężnego głosu, czując, jak mój gniew ustępuje miejsca podziwowi. I podczas gdy uszy moje tonęły w owych rozkosznych dźwiękach, moje oczy zatrzymały się na jej głównym słuchaczu i kontemplowały jego pochylone nad nią oblicze – rozświetlone wyrazem entuzjazmu i owym uroczym uśmiechem, który pojawiał się i znikał niczym promienie słońca podczas kwietniowego dnia. Nic dziwnego, że tęskno mu było usłyszeć jej głos. Wybaczając mu w owej chwili tamten afront, poczułam się zawstydzona swym rozgoryczeniem i ukłuciami

zazdrości, które mimo wszystko wciąż nękały moje serce.

– Proszę bardzo! – zawołała Annabelle, energicznie przebiegając palcami po klawiaturze, gdy skończyła śpiewać drugą pieśń. – Czego panowie jeszcze sobie życzą?

Zadawszy to pytanie, popatrzała na Lorda Lowborough, który stał nieco dalej, opierając się o krzesło. On także słuchał w skupieniu, a wyraz jego twarzy zdradzał, że to, co usłyszał wzbudziło w nim – podobnie jak we mnie – sprzeczne uczucia przyjemności i smutku. Spojrzenie, które panna Wilmot mu posłała mówiło wyraźnie: „Teraz ty wybierz – dość już zrobiłam dla niego i dla odmiany z chęcią wysię się dla ciebie”. Ośmielony w ten sposób, jego lordowska mość podszedł do fortepianu i przerzucając stronice zeszytu z nutami, wybrał dla niej pieśń, którą dobrze znałam. Jej przejmujące, traktujące o rozstaniu słowa tak doskonale wyrażały obecny stan mego ducha, że słuchając ich teraz, zmuszona byłam ukryć twarz w leżącej na sofie poduszce, by nikt nie zobaczył moich łez. Kiedy zaś ostatnie dźwięki utworu przebrzmiały, zapragnęłam jak najszybciej wyjść z pokoju. Sofa stała w pobliżu drzwi, ale nie śmiałam podnieść twarzy, bowiem wiedziałam, że nieopodal stoi pan Huntingdon, a sposób, w jaki dobiegał mnie jego głos, gdy odpowiadał na jakąś uwagę swojego przyjaciela, wskazywał na to, że zwrócony jest w moją stronę. Być może jakiś mój nie do końca zduszony szloch doszedł jego uszu i kazał mu się rozejrzeć wokół. Z ogromnym wysiłkiem pohamowałam łzy, a kiedy wydało mi się, że pan Huntingdon odwrócił się z powrotem, wstałam i prędko opuściłam pomieszczenie, kierując się do mojego ulubionego schronienia, jakim była biblioteka.

W jej wnętrzu panował mrok, nie licząc nikłego blasku, którego dostarczały węgle żarzące się w dogasającym kominku. Ja jednak nie potrzebowałam światła i chciałam jedynie w spokoju i w samotności móc oddać się swoim myślom. Siadłam na stołku stojącym przed głębokim fotelem i zatopiwszy twarz w miękkiej wyściółce tego drugiego, trwałam tak, myśląc i myśląc, aż łzy trysnęły powtórnie z mych oczu, a z ust wydobył się szloch. Niebawem jednak drzwi otworzyły się cicho i ktoś wszedł do środka. Sądząc, że to tylko służąca, nie przeszkadzałam sobie, ale kiedy drzwi ponownie się zamknęły, poczułam, że nie zostałam sama. Czyjaś dłoń delikatnie dotknęła mojego ramienia i jakiś głos zapytał:

– Helen, czy coś się stało?

W owej chwili nie mogłam zdobyć się na odpowiedź.

– Musi mi pani powiedzieć i powie mi pani – dodał głos stanowczo, a jego właściciel rzucił się na kolana i złapał moją dłoń. Ja jednak zaraz wyrwałam ją z jego rąk i odrzekłam:

– To nie ma z panem nic wspólnego, panie Huntingdon.

– Czy jest pani tego pewna? – zapytał. – Czy może pani przysiąc, że płacząc, nie myślała o mnie?

To było nie do zniesienia. Próbowałam wstać, ale on klęczał na mojej sukni.

– Proszę mi powiedzieć – nie dawał za wygraną. – Muszę wiedzieć, bowiem jeśli moje podejrzenia są słuszne, będę musiał coś pani wyznać, ale jeśli nie – pójdę sobie.

– Proszę więc iść! – zawołałam, ale bojąc się, że mnie usłucha, zaraz pospiesznie

dodałam: – Albo powiedzcie mi to, co ma mi pan do powiedzenia, byśmy mieli to już za sobą.

– Ale jeżeli naprawdę nie myślała pani o mnie, niczego jej nie wyznam. Zatem proszę odpowiedzieć na moje pytanie, Helen.

– Jest pan nader zuchwały, panie Huntingdon!

– Bynajmniej. A więc nie chce pani? Dobrze, uszanuję zatem pani kobietą ambicję i przyjmując jej milczenie za odpowiedź twierdzącą, założę, że to *ja* jestem powodem pani cierpienia.

– Doprawdy, sir...

– Jeśli pani zaprzeczy, nie wyjawię jej swojej tajemnicy – zagroził.

Już więcej nie usiłowałam mu przerywać – i nawet nie protestowałam, kiedy kolejny raz chwycił moją dłoń, a drugim ramieniem objął mnie w pól. W owej chwili jednak byłam tego jedynie na w pól świadoma.

– Chcę pani powiedzieć – zaczął – że Annabella Wilmot jest w porównaniu z panią niczym pretensjonalna piwonia w zestawieniu z rozkosznym, błyszczącym od rosy pączkiem dzikiej róży – i kocham panią do szaleństwa!... Teraz proszę powiedzieć, czy to wyznanie sprawiło pani przyjemność. Znowu pani milczy, a więc znaczy to, że tak... Dodam wobec tego, że nie mogę bez pani żyć i jeżeli na moje ostatnie pytanie odpowie pani „nie”, doprowadzi mnie tym pani do obłądu... A zatem: czy zostanie pani moją żoną? Ależ tak! – zawołał, ściskając mnie z całych sił.

– Nie, nie! – wykrzyknęłam, usiłując się mu wyrwać. – Musi pan zapytać mego wuja i ciotkę.

– Nie odmówię mi, jeśli pani tego nie zrobi.

– Nie byłabym tego taka pewna – moja ciotka nie przepada za panem.

– Ale *pani* przeciwnie, Helen. Proszę powiedzieć, że mnie pani kocha, a potem sobie pójdę.

– Wołałabym, by już pan sobie poszedł.

– Pójdę natychmiast – jeśli tylko powie mi pani, że mnie kocha.

– Dobrze pan wie, że tak – odrzekłam, a on ponownie porwał mnie w ramiona i obsypał pocałunkami.

W tej samej chwili otworzyło się skrzydło szerokich drzwi i ze świecą w ręku stanęła przed nami moja ciotka, z przerażeniem spoglądając to na pana Huntingdona, to na mnie – bowiem oboje zerwaliśmy się już na nogi i staliśmy teraz w pewnym oddaleniu od siebie. *On* jednakże nie trwał w zakłopotaniu zbyt długo. W mgnieniu oka opanowując się, z godną pozazdroszczenia pewnością siebie począł mówić:

– Całą duszą błagam, by mi pani wybaczyła, pani Maxwell! Proszę nie osądzać mnie zbyt surowo. Pytałem właśnie pani siostrzenicę, czy zgodzi się zostać moją żoną, ale ona powiada, że nie śniłoby się jej przyjąć mnie, nie mając na to zgody swoich opiekunów. Więc proszę nie skazywać mnie na wieczne potępienie. Jeśli zaszczyci mnie pani swoją przychylnością, będę uratowany, gdyż wiem, że pan Maxwell nie potrafi jej niczego

odmówić.

– Porozmawiamy o tym jutro, sir – odrzekła chłodno ciotka. – To kwestia, która wymaga gruntownego i poważnego zastanowienia. Na razie lepiej będzie, jak wróci pan do bawialni.

– Ale tymczasem – zaapelował – proszę pozwolić mi przemówić do pobłażliwości pani...

– Żadna pobłażliwość wobec pana, panie Huntingdon, nie może zaważyć na decyzji, od której będzie zależeć całe życie mojej siostrzenicy.

– Ach, prawda! Wiem, że to prawdziwy anioł, a ze mnie musi być podły zuchwalec, skoro ośmielam się marzyć o posiadaniu takiego skarbu. Niemniej jednak wolałbym umrzeć niż zrezygnować z niej na rzecz najszlachetniejszego człowieka chodzącego po ziemi. I dla jej szczęścia złożyłbym w ofierze swoje ciało i duszę...

– Ciało i duszę, panie Huntingdon? Poświęciłby pan swą *duszę*?

– W każdym razie oddałbym życie...

– Tego od pana nie wymagam.

– Zatem spędziłbym swoje życie – oddałbym je i wszystkie swoje siły wspanięciu i chronieniu...

– Wrócimy do tej rozmowy następnym razem, sir. Ale muszę powiedzieć, że byłabym skora przychylniej patrzeć na pańskie aspiracje, gdyby wybrał pan był inny czas i miejsce – i pozwoli pan, że dodam – inny *sposób* na składanie swych deklaracji.

– Ależ proszę zrozumieć, pani Maxwell...

– Wybacz pan – przerwała mu z godnością. – Goście pytają o pana w bawialni – i powiedziawszy to, odwróciła się do mnie.

– Zatem musi się za mną pani wstawić, Helen – rzekł pan Huntingdon i w końcu odszedł.

– Najlepiej zrobisz, jeśli pójdziesz do swojego pokoju – powiedziała ciotka poważnie. – Z tobą też przedyskutuję tę kwestię jutro.

– Proszę się nie gniewać, ciociu – powiedziałam.

– Moja droga, ja się nie gniewam – odrzekła. – Ale jestem *zaskoczona*. Jeśli to, co pan Huntingdon mówił jest prawdą... jeśli powiedziałaś mu, że nie możesz przyjąć jego oświadczeń bez naszej zgody...

– Tak, to prawda – wtrąciłam.

– Zatem jak mogłaś pozwolić, by...

– Nie mogłam nic na to poradzić – zawołałam, wybuchając płaczem.

Nie były to do końca łązy smutku czy lęku przed jej gniewem, ale raczej erupcja wszystkich wrzących we mnie uczuć. Moją zaciętą ciotkę ogarnęło wzruszenie, więc łagodniejszym już tonem głosu powtórzyła, bym poszła do swego pokoju, po czym całując mnie w czoło i życząc mi dobrej nocy, włożyła mi w dłoń swoją świecę, a ja usłuchałam jej polecenia. Zbyt mocno byłam jednak poruszona, by spać. Spisawszy teraz to wszystko, czuję się spokojniejsza, więc położę się i spróbuję zażyć trochę snu.

Rozdział XX

Upór

24 września – Rano wstałam pełna otuchy – nie, wstałam przeszczęśliwa. Jasne światło nadziei i świadomość, że moje uczucie jest odwzajemnione rozproszyły wszystkie obawy. Poranek był piękny i wyszłam z domu, by się nim nacieszyć podczas spokojnego spaceru, w którym towarzyszyć miały mi tylko moje własne, błogie myśli. Trawa pokryta była kroplami rosy, w powietrzu unosiły się nici babiego lata, wokół płynęła melodia ptasiego śpiewu, a moje serce rozpierały hymny dziękczynne, które kierowałam ku Niebu.

Nie zdążyłam jednak zawędrować daleko, kiedy mąż zadumę i samotność przerwała jedyna osoba, której w takiej chwili nie mogłabym uznać za niepożądanego natręta. Nagle bowiem znalazł się przy mnie pan Huntingdon i stało się to tak niespodziewanie, że skłonna byłabym uznać to za wytwór swej rozognionej wyobraźni, gdyby nie to, że jego silne ramię zaraz objęło mnie w pól, na policzku poczułam ciepło jego pocałunku, a w uszach zadźwięczały wypowiedziane przez niego z radosnym entuzjazmem słowa:

– Moja Helen!

– Jeszcze nie pańska – powiedziałam, pospiesznie wykręcając się z jego zbyt śmiałego, powitalnego uścisku. – Proszę pamiętać o moich opiekunach. Nie uda się panu tak łatwo otrzymać zgody mojej ciotki – czy nie widzi pan, że jest do niego uprzedzona?

– Widzę, najdroższa. I musi mi pani powiedzieć, dlaczego, bym jak najlepiej mógł odeprzeć jej zarzuty. W mniemaniu pani ciotki jestem zapewne utracjuszem? – zapytał, a nie doczekawszy się ode mnie odpowiedzi, dodał: – I niechybnie sądzi ona, że nie mogę posiadać wystarczających dóbr doczesnych, by zapewnić byt mojej lepszej połowie? Jeśli tak, proszę jej powtórzyć, że swój majątek otrzymałem w głównej mierze jako majorat i nie mógłbym go roztrwonić. Poza kilkoma zastawami hipotecznymi, poza odrobiną nieznacznych długów i poza paroma obciążonymi nieruchomościami, mój majątek jest nienaruszony. I choć przyznaję, że nie jestem tak bogaty, jak mógłbym być – lub jak byłem – wciąż będziemy mogli żyć całkiem wygodnie. Mój ojciec był poniekąd liczygroszem i jedyną jego uciechę w życiu stanowiło gromadzenie fortuny. Nic dziwnego więc, że jego syn obrał drogę odwrotną i jego głównym źródłem przyjemności stało się korzystanie z odziedziczonego majątku – dopóki znajomość z panią, najdroższa Helen, nie nauczyła go innego spojrzenia na życie i nie dostarczyła mu wznioślejszych celów. Sama myśl o tym, że żyłaby pani pod moim dachem i potrzebowała mojej opieki zmusiłaby mnie do poskromienia mej rozrzutności i sprowadziła na drogę chrześcijańskiej cnotliwości – nie wspomnę już o wszystkich mądrościach, które wpoiłaby mi pani za pomocą swych rad i dobroci.

– Ale to nie to – powiedziałam. – To nie do pańskiego majątku moja ciotka ma

zastrzeżenia.

– Do czego więc?

– Pragnie, bym wyszła za naprawdę dobrego człowieka.

– Jak to? To znaczy religijnego? Hm... Cóż, tu też stanę na wysokości zadania! Jutro jest niedziela, czyż nie? Pójdę na nabożeństwo poranne, popołudniowe i wieczorne, a w trakcie obrzędu wykażę się taką pobożnością, że pani Maxwell spojrzy na mnie z mieszaniną podziwu i siostrzanych uczuć. Do domu wrócę zaś, wzdychając niczym wiatr w kominie i z zachwytem wspominając kazanie, które wygłosił pan Górnołotny...

– Pan Leighton – poprawiłam go poważnym tonem głosu.

– Czy pan Leighton jest „świętym kaznodzieją”, Helen? „Umiłowanym, czarującym człowiekiem o niebiańskiej duszy”?

– Jest *dobrym* człowiekiem, panie Huntingdon. I żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o panu.

– Och, zapomniałem, że pani również jest świętą. Błagam o wybaczenie, najdroższa – ale proszę nie zwracać się do mnie per „panie Huntingdon”, tylko „Arthurze”.

– W ogóle nie będę się do pana zwracać i nie będę chciała mieć z panem nic wspólnego, jeśli dalej mówił będzie pan w ten sposób. Jeżeli naprawdę pragnie pan zwodzić moją ciotkę, to jest pan łotrem, a jeżeli tylko żartuje, to i tak nie powinien kpić sobie z takiego tematu.

– Przyznaję się do błędu – powiedział, kończąc swój wybuch śmiechu pełnym boleści westchnieniem. Po chwili milczenia zaś rzekł: – Teraz porozmawiajmy o czym innym. I proszę podejść bliżej, Helen, i wziąć mnie pod ramię. Potem zostawię panią w spokoju.

Spełniłam jego prośbę, zauważając jednocześnie, że wkrótce trzeba nam będzie wracać do domu.

– Jeszcze długi czas nikt nie zejdzie na śniadanie – odparł. – Mówiliśmy przed chwilą o pani opiekunach, ale pani ojciec chyba wciąż żyje?

– Tak. Ale to o wuju i ciotce myślę jako o swoich opiekunach, bo w istocie nimi są, choć nie w świetle prawa. Mój ojciec całkowicie powierzył mnie ich pieczy. Nie widziałam go ani razu, odkąd umarła mama, a byłam wtedy bardzo małą dziewczynką. Na prośbę mamy ciotka przywiozła mnie do Staningley, gdzie mieszkam nieprzerwanie od tamtego czasu i nie sądzę, by mój ojciec sprzeciwił się czemuś, na co ona by wyraziła swoją zgodę.

– Ale czy wyraziłby zgodę na coś, czemu ona by się sprzeciwiła?

– Nie, nie sądzę, by zależało mu tak na moim szczęściu.

– Dziwię się mu. Ale nie wie, jakim aniołem jest jego córka – i tym lepiej dla mnie, bo gdyby wiedział, nie chciałby się z takim skarbem rozstawać.

– Panie Huntingdon – powiedziałam – chyba wiadomo panu, że nie jestem jego spadkobierczynią?

On zapewnił mnie, że nigdy nie myślał na ten temat i poprosił mnie, bym nie psuła jego obecnej radości i nie poruszała tak niezajmujących kwestii. Rada byłam z tego świadectwa jego bezinteresowności, bowiem Annabella Wilmot, nie licząc majątku jej świętej pamięci

ojca, jest również prawdopodobnie spadkobierczynią swego zamożnego wuja.

Niebawem powoli skierowaliśmy swe kroki ku domowi. Po śniadaniu ciotka wezwała mnie do swojego pokoju, gdzie po raz kolejny udzieliła mi napomnień, którymi jednak nie udało jej się przekonać mnie do tego, że jej pogląd na kwestię pana Huntingdona jest słuszniejszy od mojego.

– Wiem, że ciocia nie patrzy na niego łaskawym okiem – powiedziałam. – Ale jego znajomi nie są nawet w połowie tak zepsuci, jak ich ciocia przedstawia. Dla przykładu, Walterowi Hargrave, bratu Milicent, niewiele brakuje do anioła – jeśli chociaż część z tego, co Milicent o nim mówi jest prawdą. Panna Hargrave nieustannie mi o nim opowiada i wychwala jego cnoty pod niebiosa.

– Nie można oceniać człowieka na podstawie tego, jakie zdanie ma o nim jego kochająca siostra – odparła ciotka. – Nawet najgorsi potrafią ukryć swoją niegodziwość przed swymi siostrami, i matkami także.

– A Lord Lowborough? To całkiem przyzwoity człowiek.

– Kto ci to powiedział? Lord Lowborough to człowiek *zdesperowany*. Roztrwonił swój majątek, grając w karty i teraz szuka bogatej panny, by go odzyskać. Mówiłam o tym panie Wilmot, ale wszystkie jesteście takie same. Panna Annabella wyniośle odpowiedziała mi, że jest mi bardzo wdzięczna, ale sama wie, kiedy mężczyzna stara się o nią ze względu na jej majątek, a kiedy ze względu na nią samą. Chwaliła się, że ma wystarczająco dużo doświadczenia w tych sprawach, by ufać swemu własnemu rozumowi, a tym, że jego lordowska mość stracił swoje mienie w ogóle się nie przejmuje, gdyż jej majątku wystarczy na nich oboje. A kiedy poruszyłam temat jego charakteru, stwierdziła, że przecież już się zmienił i wyzbył się wszystkich złych nawyków. Tak – oni wszyscy potrafią zdobyć się na obłudę, kiedy chcą oszukać zaślepioną, naiwną kobietę!

– Hm, uważam, że oboje zasługują na siebie – zauważyłam. – Jednak kiedy pan Huntingdon stanie się moim mężem, nie będzie miał wielu okazji do spotykania się ze swymi nieżonatymi znajomymi. A im będą oni gorsi, tym bardziej będę pragnęła ochronić go przed nimi.

– Nie wątpię, moja droga. A im gorszy będzie *on*, tym bardziej będziesz pragnęła ochronić go przed samym sobą.

– Tak, tym bardziej będę pragnęła wybawić go od jego własnych niedoskonałości – stworzyć mu możliwość pozbycia się wszelkich defektów, których nabawił się dzięki kontaktom z gorszymi od siebie i pomóc rozbłysnąć jego własnej, wrodzonej dobroci. Zrobię wszystko, by jego lepsza natura wygrała z gorszą i pomogę mu stać się tym człowiekiem, którym byłby już dziś, gdyby nie miał samolubnego i skąpego ojca żalującego mu wszystkich niewinnych przyjemności wieku dziecięcego i gdyby jego matka nie rozpieszczała go za plecami swojego męża, tym samym pomagając rozkwitnąć jego słabościom...

– Niestety! – powiedziała ciotka drwiąco. – Rodzina wyrządziła mu okrutną krzywdę!

– Ależ tak! – zawołałam. – Ale już więcej go nie skrzywdzą, a jego żon naprawi w nim wszystko to, co zepsuła jego matka!

– Cóż! – rzekła ciotka po chwili ciszy. – Muszę ci powiedzieć, Helen, że spodziewałam się po tobie więcej rozsądku – i więcej dobrego smaku. Nie potrafię zrozumieć, jak możesz kochać takiego człowieka... ani jak możesz znajdować w jego towarzystwie przyjemność... „Cóż bowiem ma wspólnego sprawiedliwość z niesprawiedliwością? Albo cóż ma wspólnego światło z ciemnością?”^[6]

– Nie jestem światłem, a pan Huntingdon nie jest ciemnością. Jego najgorszą i jedyną przywarą jest bezmyślność.

– A bezmyślność – podjęła moja ciotka – prowadzić może do każdego innego występku i w dniu Sądu Ostatecznego będzie marnym usprawiedliwieniem w Boskich oczach. Podejrzewam, że pan Huntingdon, podobnie jak reszta z nas, został obdarzony przez Stwórcę rozumem i sumieniem i tak jak reszta z nas słyszy słowa Pisma Świętego. Pamiętaj, Helen: „Niegodziwi rzuceni zostaną do piekieł, a wraz z nimi ci, którzy zapomnieli o Bogu”. Nawet zakładając, że będzie cię kochał, a ty jego i że oboje przejdziecie przez życie całkiem spokojnie – co będzie na końcu, kiedy rozdzieleni zostanieie na zawsze i ty być może znajdziesz się w niebie, a on rzucony zostanie na wieczność w morze niegasnącego ognia...

– Nie na wieczność! – zawołałam – Tylko „aż zwróci ostatni grosz”, bo „ten, którego dzieło spłonie, poniesie szkodę: sam wprawdzie ocaleje, lecz tak jakby przez ogień”.

– Och, Helen! Skąd ci to wiadomo?

– Z Biblii, ciociu. Przeszukałam ją całą i znalazłam prawie trzydzieści ustępów, które popierają tę samą teorię.

– Więc taki użytek robisz z Biblii? A nie znalazłaś żadnych ustępów, które dowodziłyby, jak niebezpieczne i błędne jest takie przekonanie?

– Nie. Co prawda, gdyby kilka fragmentów rozpatrywać osobno, zdawałyby się stać w sprzeczności z tym przekonaniem, ale wszystko zależy od interpretacji greckiego słowa „wieczny”. Nie znam Greki, ale przypuszczam, że w najściślejszym sensie oznacza ono „przez wieki” i można je rozumieć albo jako „bezkresny”, albo „taki, który trwa długo”. Tak, mam świadomość, że takie przekonanie może być niebezpieczne i że każdy nikczemnik ku swojej zgubie mógłby się na nim oprzeć. I dlatego nie rozgłaszałam go. Niemniej jest to cudowna myśl i za nic w świecie nie chciałam się z nią rozstać!

W tym miejscu nasza rozmowa dobiegła końca, bowiem nastał najwyższy czas, by zacząć przygotowywać się do wyjścia do kościoła. W porannym nabożeństwie uczestniczyli wszyscy z wyjątkiem mego wuja oraz pana Wilmota. Po południu panna Wilmot została w domu, i tak też Lord Lowborough, ale pan Huntingdon znów zechciał nam towarzyszyć. Nie umiem powiedzieć, czy próbował w ten sposób wkupić się w łaski mojej ciotki, ale jeśli istotnie takie były jego zamiary, to powinien był bardziej się postarać. Muszę przyznać, że jego zachowanie podczas nabożeństwa bardzo mi się nie podobało. Swoją modlitewnik trzymał albo dogóry nogami, albo otwarty na niewłaściwej stronie i nieustannie rozglądał

się wokół, a kiedy napotykał wzrok mojej ciotki, z wyrazem purytańskiej powagi na twarzy opuszczał oczy na książeczkę, co byłoby nawet zabawne, gdyby nie powaga sytuacji i miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Raz, przyglądając się od kilku minut wygłaszającemu kazanie panu Leightonowi, wyciągnął nagle złotą kasetkę z przyborami do pisania i zamaszystym ruchem podniósł Biblię. Widząc, że to dostrzegłam, wyszeptał, że ma zamiar poczynić notatki z kazania, jednak siedząc obok nie mogłam nie zauważyć, że rysuje karykaturę pastora, która przedstawia owego zacnego, starszego dżentelmena jako nedorzecznego, obłudnego starca. Niemniej uwagi na temat kazania, które później w drodze powrotnej do domu pan Huntingdon uczynił podczas rozmowy z moją ciotką były tak wnikliwie, że byłam skłonna uwierzyć, iż zaiste słuchał go bacznie i wyciągnął pożyteczne wnioski.

Tuż przed obiadem wuj wezwał mnie do biblioteki.

– Posłuchaj, Nel – rzekł. – Ten Huntingdon przyszedł poprosić mnie o twoją rękę. Co mam mu odpowiedzieć? Twoja ciotka najpewniej by mu odmówiła, ale co ty na to?

– Ja się zgadzam, wuju – odparłam bez chwili wahania. – Jestem w tym względzie zdecydowana.

– Bardzo dobrze! – zawołał. – To jest właśnie uczciwa odpowiedź i wspaniale, że młoda dziewczyna jest do czegoś takiego zdolna!... A zatem jutro napiszę do twojego ojca – on jednak niechybnie się zgodzi, więc możesz uważać sprawę za załatwioną. Powiadam ci, lepiej byś się urządziła, decydując się na Wilmota. Ale ty w to nie uwierzysz, bo w twoim wieku człowiekiem rządzi uczucie, w moim – użyteczne, twarde złoto. Podejrzewam, że nawet by ci się nie śniło, by sprawdzać stan majątku twego przyszłego męża czy zaprzętać sobie głowę szczegółami kontraktu?

– Nie sądzę.

– Dziękuj zatem niebu, że masz wokół mądrzejszych od siebie, którzy to za ciebie robią. Nie miałem jeszcze czasu dokładnie przyjrzeć się finansom tego młodego szubrawca, ale zdążyłem zauważyć, że spora część majątku jego ojca została roztrwoniona. Jednak z tego, co pozostało będziecie mogli żyć całkiem przyzwoicie. Poza tym musimy nakłonić twego ojca, żeby wysupłał dla ciebie przyzwoitą sumkę, skoro prócz ciebie posiada jeszcze tylko jednego spadkobiercę. A jeśli będziesz się dobrze sprawować, kto wie – być może ja również nie zapomnę o tobie w swoim testamencie? – dodał, mrugając do mnie okiem.

– Dziękuję wujowi za całą jego dobroć – odrzekłam.

– Och, i poruszyłem już z tym młodym lekkoduchem temat kontraktu małżeńskiego i zdaje się, że ma zamiar być wspaniałomyślny w tym względzie...

– Nie wątpiłam w to! – zawołałam. – Ale proszę nie zaprzętać sobie tą kwestią głowy, wujku, bo wszystko, co mam będzie jego i wszystko, co ma on będzie moje – więc czego więcej mogłoby chcieć którekolwiek z nas?

Kierowałam się już do drzwi, kiedy wuj przywołał mnie z powrotem.

– Zaczekaj chwilkę! Jeszcze nie wspomnieliśmy o dacie. Twoja ciotka najchętniej

zwlekałaby w nieskończoność, ale jemu zależy, by stało się to jak najwcześniej – zgaduję, że i tobie się spieszy, a więc...

– Ależ nie, wujku, przeciwnie – chciałabym poczekać z tym co najmniej do Bożego Narodzenia.

– Phi! Nie opowiadaj bajek, dobrze wiem, jak jest naprawdę – zawołał wuj.

I bez względu na wszystko nie chciał dać wiary moim zapewnieniom.

Ja tymczasem mówiłam prawdę. Jakże mogłoby mi być spieszno do tej przełomowej chwili w moim życiu? Wystarczającym poczuciem szczęścia przepełnia mnie sama świadomość, że pan Huntingdon i ja zostaniemy ze sobą złączeni na wieczność – że on naprawdę mnie kocha i że od tej chwili ja mogę kochać *jego* i myśleć o nim tak często, jak będzie mi się podobało. Jednakże nie chcę, by ciotka poczuła się całkowicie zlekceważona i trzeba mi będzie poradzić się jej co do daty ślubu.

Rozdział XXI

Opinie

1 października – Wszystko już ustalone. Mój ojciec wyraził zgodę, a data wyznaczona została na święto Bożego Narodzenia – jako rodzaj kompromisu pomiędzy tymi, którzy optowali za pośpiechem i tymi, którzy opowiadali się za późniejszym terminem. Milicent Hargrave zostanie jedną z moich druhen, natomiast drugą ma być Annabella Wilmot – nie oznacza to, że darzę ją szczególnym uczuciem, ale jest ona bliską znajomą rodziny, a innej przyjaciółki nie posiadam.

Kiedy powiedziałam Milicent o swoich zaręczynach, sposób w jaki przyjęła tę nowinę sprawił mi przykrość. Przez chwilę w osłupieniu wpatrywała się we mnie, po czym rzekła:

– Cóż, Helen, chyba powinnam ci pogratulować – i rada jestem widzieć cię *tak* szczęśliwą. Ale jestem zdumiona tym, że go przyjęłaś. Nie wiem, jak możesz tak bardzo go cenić.

– Jak to?

– Jesteś od niego lepsza pod każdym względem. I dostrzegam w nim pewien rodzaj zuchwałości... i niefrasobliwości, więc... Nie wiem, jak to ująć, ale za każdym razem, gdy widzę, że się do mnie zbliża, wolę zejść mu z drogi.

– Jesteś zwyczajnie lękliwa, Milicent. I nie ma w tym żadnej jego winy.

– Poza tym ta jego uroda – mówiła dalej. – Powiadają, że jest przystojny, i oczywiście jest, ale *ja* nie mam upodobania do takiego rodzaju piękna. I dziwi mnie, że tobie ono odpowiada.

– Dlaczego?

– Hm... Uważam, że w jego powierzchowności nie można dostrzec nic szlachetnego czy wzniosłego.

– Więc zastanawiasz się, jak mogę kochać kogoś, kto nie odpowiada patetycznej wizji powieściowych bohaterów? Cóż! Wszystkich ich pozostawiam tobie – pod warunkiem, że uda ci się któregoś z nich znaleźć – i sama zadowolę się moim ukochanym z krwi i kości.

– Wcale ich nie chcę – odparła. – Sama również zadowolę się kimś z krwi i kości, ale tylko wtedy, gdy blask jego duszy będzie przewyższał wszystko inne. Ale czy nie uważasz, że twarz pana Huntingdona nie jest zanadto zaczerwieniona?

– Nie! – zawołałam z oburzeniem. – Ma jedynie delikatnie zaróżowioną cerę. Ten świeży, różany koloryt całej jego twarzy doskonale harmonizuje z głębszym odcieniem jego policzków – właśnie tak, jak być powinno. Nie znoszę, kiedy cera mężczyzny jest białoczerwona – jak u porcelanowej laleczki – albo śmiertelnie blada, albo zbrązowiała, albo trupio żółta...!

– No cóż, istnieją różne upodobania i mnie akurat odpowiadają blade lub śniade

odcienie karnacji – odrzekła. – Prawdę mówiąc, Helen, dotąd łudziłam się nadzieją, że pewnego dnia staniesz się moją siostrą. Liczyłam na to, że w przyszłym sezonie zostanie ci przedstawiony Walter, że oboje przypadniecie sobie do gustu i że tym sposobem dwie moje najukochańsze osoby na świecie – nie licząc mamy – zjednoczą się na zawsze. Być może nie nazwałabyś go człowiekiem przystojnym, ale jest wytworniejszy, uprzejmiejszy i pod każdym względem lepszy od pana Huntingdona. I jestem pewna, że gdybyś go poznała, przyznałabyś mi rację.

– To niemożliwe, Milicent! Mówisz tak dlatego, że jesteś jego siostrą i z tego powodu ci wybaczam. Nikomu innemu jednak nie pozwoliłabym bezkarnie obrażać w ten sposób Arthura Huntingdona.

Panna Wilmot swe zdanie na ten temat wyraziła z podobną otwartością, co Milicent.

– A więc, Helen – powiedziała podchodząc do mnie z bynajmniej nie najzyczliwszym uśmiechem. – Wychodzisz chyba za pana Huntingdona?

– To prawda – odrzekłam. – Czyż nie powinnaś mi zazdrościć?

– Wielkie nieba, ależ nie! – wykrzyknęła. – Pewnego dnia zapewne stanę się Lady Lowborough, i wtedy to ja będę mogła zapytać: „Czyż nie powinnaś mi zazdrościć?”

– Odtąd nie będę miała powodu nikomu niczego zazdrościć – odparłam.

– Doprawdy? Jesteś więc szczęśliwa? – zapytała w zamyśleniu i jakiś cień przypominający cień rozczarowania zasnuł jej oblicze. – I czy on cię kocha?... To jest, czy wielbi cię tak bezkrytycznie, jak ty wielbisz jego? – dodała, czekając na moją odpowiedź z nieukrywanym niepokojem.

– Nie chcę być wielbiona – odrzekłam. – Ale jestem przeświadczona, że *kocha mnie* bardziej niż ktokolwiek inny na tym świecie – tak jak ja Kocham jego.

– Właśnie – przytaknęła, kiwając głową. – Żałuję... – w tym miejscu urwała.

– Czego żałujesz? – zapytałam rozdrażniona wyrazem mściwości, który malował się na jej twarzy.

– Żałuję – odparła, wydając z siebie krótki śmiech – że wszystkich fascynujących cech tamtych dwóch dżentelmenów nie można złączyć w jednej osobie. Bardzo życzyłabym sobie, by Lord Lowborough posiadał piękną twarz Huntingdona, jego pogodne usposobienie, jego dowcip i urok. Albo żeby Huntingdon mógł się pochwalić pochodzeniem Lorda Lowborough, jego tytułem szlacheckim i wspaniałą siedzibą rodową – wtedy chętnie bym się na niego zdecydowała, a tobie oddałabym tego drugiego.

– Dziękuję ci, droga Annabelle, ale mnie jednak odpowiada obecny stan rzeczy. I życzę ci, byś była zadowolona ze swego przyszłego męża tak bardzo, jak ja jestem ze swojego – powiedziałam.

I mówiłam prawdę, bowiem choć z początku gniewało mnie jej nieprzyjazne do mnie nastawienie, teraz naprawdę poczułam się wzruszona jej szczerością, a ponieważ uważałam, że położenie, w którym znajduje się ona nie jest tak korzystne jak moje, łatwo mi było zdobyć się na współczucie.

Zdaje się, że przyjaciele pana Huntingdona wieść o nadchodzącym ślubie przyjęli nie

lepiej od moich. Dzisiejszego ranka pośród poczty znalazło się kilka listów od jego znajomych i przeglądając je przy śniadaniu, mój przyszły mąż zwrócił na siebie uwagę całego towarzystwa osobliwymi grymasami, które co rusz pojawiały się na jego twarzy. Skończywszy zaś lekturę, uśmiechnął się do siebie pod nosem, wsunął listy do kieszeni i do końca posiłku nie odezwał się ani słowem. Kiedy część pozostałych gości oddaliła się w pobliże kominka, a reszta poczęła spacerować po pokoju, pan Huntingdon podszedł do mnie i oparłszy się na moim krześle, nasamprzód złożył na mojej głowie pocałunek, a następnie szeptem poskarżył mi się do ucha:

– Helen, ty czarownico, czy wiesz, że ściągnęłaś na mnie klątwy wszystkich moich przyjaciół? Kilka dni temu pisałem im o swoich szczęśliwych perspektywach na przyszłość, ale w odpowiedzi, zamiast potoku gratulacji, słyszę od nich same złorzeczenia i wyrzuty. W żadnym z ich listów nie znalazłem serdecznych życzeń dla mnie czy jednego dobrego słowa dla ciebie. Powiadają, że teraz cała zabawa się skończy, że nie czekają ich już żadne radosne dni ani wspaniałe noce, a wszystko to z mojej winy – jako pierwszy wyłamane się z naszej wesołej kompanii i reszta z czystej rozpaczyny pójdzie za moim przykładem. Podobno do tej pory stanowiłem duszę naszego towarzystwa, lecz teraz w sposób haniebny zawiodłem ich zaufanie...

– Więc jeśli pan tego chce, proszę sobie do nich wracać – powiedziałam nieco urażona zbolalym tonem jego przemowy. – Nie chciałabym stawać pomiędzy kimkolwiek a jego szczęściem – albo całą gromadą ludzi a ich szczęściem. I być może poradzę sobie bez pana lepiej niż pańscy biedni, opuszczeni przyjaciele.

– Niech cię Bóg błogosławi! Ależ nie – mruknął. – Dla ciebie z chęcią zapomnę o wszystkich innych. Niech idą do... niech idą tam, gdzie ich miejsce, mówiąc grzecznie. Ale gdybyś wiedziała, Helen, jak gorzkie mają dla mnie słowa i jak wiele dla ciebie poświęcam, kochałabyś mnie jeszcze bardziej.

Rzekłszy to, wyciągnął z kieszeni tamte pomięte listy, na co ja powiedziałam, że nie potrzebuję ich oglądać.

– Bynajmniej nie zamierzam ci ich pokazywać, najdroższa – rzekł. – To nie byłaby odpowiednia lektura dla kobiety. Ale spójrz tutaj – to gryzmoły Grimsby'ego... nadąsany drań napisał tylko trzy zdania! To niewiele, oczywiście, ale jego milczenie mówi mi więcej niż wszystkie słowa całej reszty. Trzeba ci wiedzieć, że im Grimsby mniej się odzywa, tym więcej myśli – niech go diabli!... Przepraszam, najdroższa... Tutaj jest list od Hargrave'a, który gniewa się na mnie szczególnie, gdyż na podstawie tego, co opowiadała mi na twój temat jego siostra zaiste się w tobie zakochał. I postanowił, że jak tylko się wyszumi, sam się z tobą ożeni.

– Jestem mu wielce zobowiązana – zauważyłam.

– I ja również – powiedział Huntingdon. – Spójrz na ten tutaj, przyszedł od Hattersleya – każda strona pełna jest gorzkich oskarżeń, złorzeczeń i biadania. A na końcu jegomość przysięga mi, że z zemsty sam się ożeni z pierwszą lepszą starą panną, która zagnie na niego parol – jak gdyby *mi* obchodziło, co ze sobą robi.

– Cóż – rzekłam – uważam, że niczego by pan nie stracił, wyrzekając się kontaktów z owymi dżentelmenami. Wierzę, że nigdy nie mieli na pana dobrego wpływu.

– Być może. Ale przeżyliśmy także wspólnie wiele wesołych chwil... Choć nie zabrakło smutnych czy bolesnych, o czym nieszczęsny Lowborough mógłby osobiście zaświadczyć – ha, ha!

Podczas gdy pan Huntingdon śmiał się do swych wspomnień, podszedł do niego mój wuj i klepiąc go w ramię, rzekł:

– Dalejże, chłopcze. Czy miłość do mojej siostrzenicy sprawiła, że zapomniałeś już o naszej wojnie z bażantami? Mamy dziś pierwszy października i sezon się zaczyna! Deszcz ustał, słońce wyszło i nawet Boarham nie boi się wyjść z domu w swych nieprzemakalnych butach. Ale Wilmot i ja damy wam wszystkim popalić. Ogłaszam wszem i wobec, że nam, starym myśliwym, nikt nie dorówna!

– Zobaczy pan, do czego jestem dziś zdolny – odparł pan Huntingdon. – W odwecie za to, że rozdziela mnie pan z osobą tysiącokrotnie atrakcyjniejszą od kogokolwiek innego tutaj, wymorduję całą masę pańskich ptaków.

I powiedziawszy to, pan Huntingdon oddalił się i nie wrócił, dopóki nie nastąpiła pora obiadowa. Wszystkie te chwile, które przyszło mi spędzić bez niego zdawały mi się tak puste, że zupełnie nie wiedziałam, co ze sobą począć.

Wuj miał świętą rację, mówiąc, że starsi dżentelmeni prześcigną młodszych swym łowczym instynktem. Zarówno Lord Lowborough, jak i Arthur Huntingdon ostatnimi czasy zaniechali polowania po to, ażeby towarzyszyć damom podczas rozmaitych przejażdżek i spacerów. Wkrótce te radosne dni dobiegną jednak końca. Za niecałe dwa tygodnie goście wyjeżdżają – ku mojemu wielkiemu rozżaleniu, gdyż każdego dnia czerpię z ich obecności coraz więcej radości: panowie Boarham i Wilmot już mi się nie naprzykrzają, ciotka zaprzestała wygłaszania mi kazań, ja sama zaś przestałam być zazdrosna o Annabelle i nawet ją polubiłam, a teraz, kiedy pan Huntingdon ma zostać moim Arthurem, mogę cieszyć się jego towarzystwem bez ograniczeń. Cóż pocznę tutaj bez niego?

Rozdział XXII

Przymioty przyjaźni

5 października – W mojej czarze słodyczy wyczuwam jednak pewien gorzki posmak, którego nie potrafię przed sobą ukryć, bez względu na to, jak bardzo się staram. Próbuję przekonywać siebie samą, że słodycz dominuje nad goryczą, próbuję nazywać ów posmak aromatycznym, ale niezależnie od tego, co zrobię on wciąż tam jest. Nie potrafię zamknąć oczu na niedoskonałości Arthura i im bardziej go kocham, tym bardziej nie dają mi spokoju. Jego serce – to, w które tak wierzyłam – nie jest tak ciepłe i szlachetne, jak sądziłam. Dziś w każdym razie ukazał mi pewną stronę swego charakteru, która nie zasługuje na tak delikatne określenie, jak niefrasobliwość. On i Lord Lowborough towarzyszyli dziś Annabelli i mnie podczas długiej, cudownej przejażdżki. Arthur – tak jak zwykle – jechał konno obok mnie, podczas gdy panna Wilmot i Lord Lowborough jechali nieco z przodu, pochłonięci, jak się zdawało, uczuciową, poufną rozmową.

– Tych dwoje nas wyprzedzi, Helen, jeśli się nie pospieszymy – zauważył Huntingdon. – Ani chybi się pobiorą. Lowborough oszalał na jej punkcie, ale kiedy już ją będzie miał, znajdzie się w nie lada tarapatach.

– A kiedy *ona* będzie *jego*, też znajdzie się w nie lada tarapatach – dodałam – jeśli to, co na jego temat słyszałam jest prawdą.

– Bynajmniej. Ona wie, co robi, gdy tymczasem ten nieszczęsny głupiec łudzi się, że będzie miał w niej dobrą żonę, ponieważ zwodziła go pięknymi słówkami o swej bezinteresowności i pogardzie dla tytułów szlacheckich i bogactwa. Lowborough pochlebia sobie, że skoro nie przeszkadza jej jego brak pieniędzy, oznacza to, że jest mu bezmiernie oddana i kocha go dla niego samego.

– Ale czy on nie zabiega o nią ze względu na jej majątek?

– Ależ nie. Z początku zaiste kierował się tą pobudką, ale całkiem już o tym zapomniał. Nie, jest prawdziwie w niej zakochany, choć myślał, że coś takiego nigdy więcej już mu się nie przydarzy. Już raz miał zamiar się żenić – dwa lub trzy lata temu – ale tracąc swój majątek, jednocześnie stracił swoją wybrankę. W Londynie wszyscy byliśmy świadkami jego upadku. Miał nieszczęsne upodobanie do hazardu, a do tego nieborak urodził się chyba pod złą gwiazdą, bo tam, gdzie raz wygrywał, tam trzy razy przegrywał. Ten rodzaj samoumartwiania się nigdy nie przedstawiał dla mnie specjalnego uroku, bowiem kiedy wydaję pieniądze, lubię cieszyć się ich wartością w pełni. Nie widzę nic zabawnego w oddawaniu ich oszustom ze świątyni hazardu, zawsze też miałem ich pod dostatkiem i nigdy nie musiałem o nie grać. Czasami jednak chodziłem do kasyna, ale tylko po to, by poprzyglądać się owym amatorom ryzyka, a obserwowanie tych obłąkanych głupców stanowi niekiedy bardzo pouczającą rozrywkę – uwierz mi, Helen. Lowborough był

prawdziwie uzależniony. Co chwila postanawiał, że z tym kończy, ale za każdym razem owe postanowienie łamał. Każda wyprawa do kasyna była dla niego „tym ostatnim razem”: jeśli udawało mu się trochę wygrać, miał nadzieję, że następnym razem szczęście jeszcze bardziej mu dopisze, a jeżeli przegrywał, musiał grać dalej, dopóki przynajmniej nie powetował sobie tamtego poprzedniego niepowodzenia – pech nie mógł wszak trwać wiecznie, a każdy łut szczęścia był dla niego obietnicą na przyszłość – oczywiście do czasu, w którym życie wyprowadzało go z błędu. Stawał się coraz bardziej zrozpaczony i zaczęliśmy się nawet zastanawiać, czy nie będzie próbował odebrać sobie życia. Przyszedł dzień, w którym zaryzykował ogromną stawkę, jednocześnie oświadczając stanowczo, że będzie to ostatni raz – bez względu na wynik. W przeszłości często, rzecz jasna, składał takie obietnice i równie często ich nie dotrzymywał. W tym wypadku znów przegrał i gdy jego przeciwnik z uśmiechem na ustach zagarniał wygraną, Lowborough, zbladłszy jak ściana, cofnął się od stołu i otarł czoło, a potem założył ręce na piersi i wbił wzrok w podłogę. Byłem przy tym obecny i wiedziałem, jakie myśli przebiegają przez jego głowę.

„A więc, Lowborough, czy to już ostatni raz?” – zapytałem, zbliżywszy się do niego.

„Przedostatni” – odpowiedział z ponurym uśmiechem.

A potem, rzucając się z powrotem do stołu, uderzył weń pięścią i przekrzykując wypełniający pomieszczenie hałas brzęczących monet i wielu szeptanych zaklęć, poprzysiągł, że cokolwiek się stanie, to będzie *naprawdę* ostatni raz, po czym na wypadek, gdyby kiedykolwiek jeszcze przyszło mu do głowy dotknąć kart lub zagrzechotać kośćmi do gry, obłożył się straszliwymi klątwami. Następnie podwoił swoją poprzednią stawkę i zapytał, kto z obecnych chciałby zagrać przeciw niemu. Swoją gotowość natychmiast wyraził Grimsby. Lowborough spojrzał na niego wściekłym wzrokiem, bowiem Grimsby niemal tak samo sływał ze swego szczęścia, co on ze swego pecha. Zaczęli grać. Grimsby to szczwany, pozbawiony skrupułów lis i nie wiem, czy nie wykorzystał roztrzęsienia swego przeciwnika, by niepostrzeżenie go oszukać, w każdym razie Lowborough znowu przegrał i całkiem się pochorował.

„Powinieneś jeszcze raz spróbować swego szczęścia” – rzekł Grimsby, pochylając się ku tamtemu nad stołem, a do mnie mrugając okiem.

„Nie mam już czym grać” – z upiornym uśmiechem odpowiedział nieszczęśnik.

„Och! Huntingdon na pewno chętnie ci pożyczy tyle, ile potrzebujesz” – kusił tamten.

„Nie. Słyszałeś moje przyrzeczenie” – odparł Lowborough cicho, po czym odwrócił się, a ja, chwyciwszy go pod ramię, wyprowadziłem go z kasyna.

„A więc, Lowborough, czy to naprawdę był twój ostatni raz?” – zapytałem, gdy już znajdowaliśmy się na ulicy.

„Ostatni” – brzmiała odpowiedź, która nieco mnie zaskoczyła.

Zabrałem go – uległego w owej chwili niczym dziecko – do naszego klubu, gdzie zmuszałem go do picia brandy z wodą, dopóki się nieco rozchmurzył, a w każdym razie – dopóki nie wróciło weń jakieś życie.

„Huntingdon, jestem skończony!” – odezwał się wreszcie, odbierając z moich rąk trzeci

kielich trunku. Poprzednie wypił w kompletnym milczeniu.

„Ależ skąd!” – odrzekłem. – „Przekonasz się, że człowiek może żyć bez pieniędzy, tak samo, jak zółw bez głowy czy osa bez tułowia”.

„Ale ja mam długi” – odparł. – „Potworne długi! *Nigdy* się od nich nie uwolnię!”

„I co z tego? Wielu lepszych od ciebie żyło i umarło, tonąc w długach. A do więzienia – ze względu na twój tytuł lordowski – wtrącić cię nie mogą”.

„Ale ja *nie* znoszę mieć długów!” – wykrzyknął.

„Głową muru nie przebijesz” – zauważyłem, przygotowując dla niego kolejną porcję brandy.

„A do tego straciłem moją Caroline...” – zaczął pochlipywać, bowiem przez alkohol wezbrało w nim rozrzewnienie.

„Mniejsza o to. Na świecie jest mnóstwo takich jak ona”.

„Dla mnie była tą jedyną” – westchnął żałośnie. – „A nawet gdyby istniało i z pięćdziesiąt do niej podobnych, jakie miałbym u nich szanse bez pieniędzy?”

„Och, któraś na pewno połasi się na twój tytuł szlachecki. A poza tym masz jeszcze swoją niezbywalną siedzibę rodową”.

„Żałuję, że nie mogę jej sprzedać, by spłacić długi” – mruknął pod nosem.

„A zresztą” – powiedział Grimsby, który właśnie się pojawił – „możesz jeszcze raz *spróbować*. Na twoim miejscu nie poddawałbym się tak łatwo i dałbym sobie jeszcze jedną szansę”.

„Nie zrobię tego, powiadam ci!” – wrzasnął Lowborough i zrywając się z miejsca, wyszedł z pomieszczenia – chwiejnym krokiem, jako że brandy zdążyła już mu uderzyć do głowy.

Wówczas jeszcze nie był nawykły do picia, choć później się to zmieniło i topienie smutków w alkoholu stało się jego zwyczajem.

Ku niemałemu zaskoczeniu nas wszystkich Lowborough obietnicy swej dotrzymał i więcej już nie grał, mimo że Grimsby nie przestawał go kusić. Wkrótce jednak, znajdując się w szponach innego nałogu, przekonał się na własnej skórze, że demon pijaństwa jest równie straszliwy, co demon hazardu i tak samo trudny do pokonania – zwłaszcza, że jego życzliwi przyjaciele z całych sił przyłączali się do podszeptów jego nienasyconej, chorej duszy.

– Zatem sami byli demonami! – zawołałam z oburzeniem. – A pan, panie Huntingdon, jako pierwszy wodził go na pokuszenie.

– Ale cóż mogliśmy zrobić? – odpowiedział z lekceważeniem. – Mieliśmy dobre intencje i nie potrafiliśmy znieść widoku jego przygnębienia, a poza tym, dopóki będąc trzeźwym, pamiętał o utracie swej ukochanej, postradaniu majątku i odczuwał skutki pijatyki z poprzedniej nocy, dopóty swoją małomównością i zasepieniem psuł innym humor. Jednak gdy trochę wypił, to nawet jeśli sam się nie rozweselał, przynajmniej rozweselał nas. Jego osobliwe przemowy sprawiały uciechę nawet Grimsby’emu. Ale pewnego wieczoru, kiedy po jednym z naszych klubowych obiadów siedzieliśmy przy winie, ciesząc się swoim

towarzystwem, słuchając absurdalnych toastów wygłaszanych przez Lowborougha i wyśpiewując dzikie pieśni, tamten nagle znów popadł w milczenie, spuścił głowę i więcej już nie podniósł swego kielicha do ust. Nie po raz pierwszy się to zdarzało, więc zostawiliśmy go w spokoju i weseliliśmy się dalej, do czasu kiedy on, podniósłszy nagle głowę, przerwał nam, wykrzykując:

„Panowie, jak to wszystko się skończy? Odpowiedzcie mi: jak to wszystko się skończy?”

„Ogniem piekielnym!” – zawył Grimsby.

„Właśnie! Otóż to!” – potwierdził Lowborough, po czym wstał, oświadczając: – „Wobec tego coś wam powiem...”

„Przemówienie, przemówienie!” – poczęliśmy wołać. – „Cisza! Lowborough będzie wygłaszał mowę!”

Kiedy gromki aplauz i brzęk trącanych o siebie szklanek ucichł, rzekł:

„Chcę tylko powiedzieć jedno, panowie: uważam, że w tym miejscu powinniśmy się zatrzymać, że lepiej będzie przestać, póki możemy”.

„Racja!” – wykrzyknął Hattersley.

„Stój i pomyśl, nieszczęsny grzeszniku, nim w zabawie uczynisz następny krok, Bo tam, dokąd zmierzasz nie czekają cię uciechy, lecz wieczysty mrok.”^[7]

„Właśnie!” – z najwyższą powagą zgodził się jego lordowska mość. – „A jeżeli wy życzyście sobie znaleźć się w otchłani piekielnej, ja nie będę wam towarzyszył – będziemy musieli się rozstać, bowiem przysięgam: w tamtą stronę nie zrobię już jednego kroku!... Co to jest?” – zapytał, podnosząc kielich wina.

„Posmakuj, to się przekonasz” – zaproponowałem.

„To napój szatański!” – wykrzyknął Lowborough. – „Wyrzekam się go na zawsze!” – i z tymi słowy wylał zawartość kielicha na środek stołu.

„Napełnij go ponownie, byśmy mogli wznieść toast za twoje postanowienie!” – powiedziałem, wręczając mu butelkę.

„To cuchnąca trucizna!” – rzekł, chwytając butelkę. – „I odzegnuję się od niej! Wyparłem się hazardu i tego też się wyprę”.

I wylałby rozmyślnie całą zawartość butelki na stół, gdyby Hargrave nie wyrwał mu jej z rąk.

„Zatem przeklinam was!” – zawołał Lowborough i wycofując się z pomieszczenia, dodał jeszcze: – „Bywajcie, kusiecie!” – po czym wyszedł pośród wybuchów śmiechu i oklasków.

Spodziewaliśmy się, że następnego dnia znów ujrzymy go między nami, ale ku naszemu zdziwieniu, jego miejsce pozostało puste. Nie pojawiał się w ogóle przez cały tydzień i zaczęliśmy już myśleć, że Lowborough zaiste ma zamiar dotrzymać danego słowa. Pewnego wieczora jednak w końcu się pokazał. Wszedł do środka milczący i zasępiiony niczym duch i miał już sięść na swym miejscu przy moim boku, kiedy wszyscy zerwaliśmy się, by go przywitać i kilka głosów poczęło się dopytywać, co wypije. Wiedząc, że

szklaneczka parującej brandy z wodą najlepiej go pocieszy, zabrałem się za nalewanie. On jednak postawiony przed sobą trunek odepchnął ze złością, mówiąc:

„Zostaw mnie w spokoju, Huntingdon! I wy wszyscy też! Nie przyszedłem tu, by pić. Chciałem tylko przez chwilę побыć w waszym towarzystwie, bo nie mogę znieść własnych myśli”.

Z tymi słowy założył ręce na piersi i odchylił się do tyłu na swym krześle, a my przestaliśmy narzucać się mu z uprzejmościami. Jednakże tamta szklanka wciąż przed nim stała i jakiś czas potem moją uwagę na nią skierował łypiący do mnie okiem Grimsby. Odwróciwszy się, zauważyłem, że jest osuszona do dna. Tamten dawał mi znaki, abym napełnił ją powtórnie i chyłkiem podsunął mi butelkę, a ja skwapliwie ją od niego odebrałem. Lowborough tymczasem dostrzegł tę naszą pantomimę i zirytowany naszymi porozumiewawczymi uśmieszkami, wyrwał mi szklankę z rąk, jej zawartość cisnął w twarz Grimsby'emu, po czym opróżnionym naczyniem rzucił we mnie i wypadł z pokoju.

– Mam nadzieję, że pana zranił – powiedziałam.

– Nie, najdroższa – odrzekł Huntingdon wybuchając niepohamowanym śmiechem na wspomnienie tamtego zdarzenia. – Oczywiście mogłoby się tak stać i tym samym zostałem prawdopodobnie oszpecony na zawsze, ale ten gąszcz włosów – (mówiąc to Huntingdon zdjął kapelusz ukazując swe obfite, kasztanowe loki) – na szczęście ocalił moją czaszkę.

Po tamtym zdarzeniu przez tydzień lub dwa Lowborough trzymał się z dala od naszego klubu. Spotykałem go od czasu do czasu w mieście, a podczas owych spotkań – ponieważ dobrodusznie wybaczyłem mu tamto niegrzeczne zachowanie, a i on do mnie nie żywił urazy – chętnie ze mną rozmawiał i kurczowo trzymał się mego towarzystwa, rozstając się ze mną tylko wtedy, gdy udawałem się do klubu lub kasyna. W samotności nazbyt doskwierał mu jego zgębiony umysł, więc wreszcie, stawiając warunek, bym nie próbował nakłaniać go do picia, zgodził się udać wraz ze mną do klubu i od tego czasu zaglądał do nas regularnie – cały czas jednak z godną podziwu wytrwałością wzbraniając się przed zażywaniem owej „obrzydliwej trucizny”. Jednakże niektórym członkom naszej ferajny nie podobało się to, że zamiast przyczyniać się do ogólnego nastroju beztroski, Lowborough siedzi pośród nas niczym cień człowieka i chciwymi oczami patrzy na każdą kroplę, którą wlewamy sobie w usta. W końcu postanowili, że ten, kto nie postępuje tak, jak wszyscy, musi zostać wykluczony z naszego towarzystwa. Przy tej okazji zachowałem się względem niego jak dobry przyjaciel, nakłaniając tamtych, by okazali mu trochę więcej cierpliwości i przekonując, że niebawem na pewno przyjdzie on do siebie. Wiadomo mi było jednak, że choć Lowborough nie chce pić jak na prawdziwego chrześcijanina przystało, jednocześnie nosi przy sobie dyskretną buteleczkę laudanum, od którego uzależniony jest podobnie, jak wcześniej uzależniony był od alkoholu.

Pewnej nocy w trakcie jednej z naszych orgii – to jest, jednego z naszych rautów – Lowborough wpłynął do środka niczym duch z *Makbeta* i usadowił się swym zwyczajem w pewnej odległości od stołu – na krześle, które zawsze czekało na niego puste, niezależnie od tego, czy raczył się pojawić, czy też nie. Po jego twarzy poznałem, że

dokuczają mu skutki przedawkowania tamtego podstępnego pocieszyciela. Nikt tymczasem się do niego nie odzywał i on nie odzywał się do nikogo – jego pojawienie się wywołało tylko kilka spojrzeń z ukosa i kilka wypowiedzianych szeptem uwag, że „oto przyszła zjawą”. Nie przerywaliśmy zabawy, dopóki Lowborough nie wprawił nas wszystkich w popłoch, przysuwając się do stołu na krześle i wołając złowieszczco:

„No, no! Zachodzę w głowę, jakie macie powody do takiej radości. Doprawdy nie wiem, co wy widzicie w życiu – dla mnie to tylko najgłębsza ciemność i oczekiwanie na okrutne Boskie wyroki!”

Wszyscy zgromadzeni jak jeden mąż podali mi swoje kielichy, które ja z kolei ustawiłem przed nim w półkołu. Klepiąc go serdecznie po plecach, zaproponowałem, ażeby się napił, bo wtedy ujrzy życie w tak pogodnych barwach, w jakich widzimy je my. On jednak odepchnął wszystko od siebie, mamrocząc:

„Zabierzcie to! Powiadam, że nie będę pił – nie zrobię tego!... Nie zrobię!”

Wobec tego oddałem kielichy właścicielom. Meją uwadze jednak nie umknął fakt, że Lowborough pożegnał je tęsknym, pożądlwym wzrokiem, a po chwili ukrył twarz w dłoniach. Dwie minuty potem podniósł głowę, by powiedzieć ochryplym, gwałtownym szeptem:

„A jednak trzeba mi to zrobić! Huntingdon, podaj mi jeden z tych kielichów!”

„Trzymaj od razu całą butelkę, druhu!” – rzekłem, wciskając mu ją w rękę... Lecz dość już, za dużo mówię... – mruknął pan Huntingdon spłoszony spojrzeniem, które weń wbiłam. Zaraz jednak dodał beztrasko: – Ale co mi tam... Lowborough rozpaczliwym, łapczywym gestem chwycił butelkę i pił z niej dopóty, dopóki pośród burzy oklasków nie zsunął się ze swego krzesła i nie wpadł pod stół. W wyniku owej nieroztropności doznał czegoś, co przypominało atak apopleksji, po którym potem nastąpiło poważne zapalenie opon mózgowych...

– I co pan sobie wówczas o sobie pomyślał, sir? – zapytałam szybko.

– Rzecz jasna byłem bardzo skruszony – odpowiedział Huntingdon. – Odwiedziłem go raz czy dwa razy... nie, dwa lub trzy razy... być może nawet cztery... A kiedy jego stan się poprawił, dopilnowałem, by delikatnie powrócił na łono naszej kompanii.

– Co pan przez to rozumie?

– To znaczy, że zaprowadziłem go do klubu i współczując mu kruchości zdrowia cielesnego i duchowego, zachęciłem go do tego, ażeby pił „krztynę wina na trawienie” – by zamiast się go całkiem wyrzekać lub rzucać się nań jak marzący o śmierci głupiec, znalazł złoty środek i korzystał z wina tak, jak istota rozumna – krótko mówiąc, żeby szedł za moim przykładem. Bowiem nie myśl sobie, Helen, że jestem pijakiem – bynajmniej nim nie jestem, nigdy nim nie byłem i nigdy nie będę. Za bardzo cenię sobie pozostałe radości życia, by całkowicie zatracić się w picu i stać się niewolnikiem jednej tylko skłonności. Ponadto wino źle wpływa na urodę – dodał pan Huntingdon z nader zuchwałym uśmiechem, który nie oburzył mnie jednak tak, jak powinien.

– A czy Lord Lowborough skorzystał w jakiś sposób na pańskich radach? – zapytałam.

– Owszem, poniekąd tak. Przez pewien czas prowadził się bardzo dobrze – niczym wzór umiarkowania i rozwagi zaiste, choć nie podobało się to wielu członkom naszej dzikiej wspólnoty. Z jakiegoś powodu Lowborough jednak nie umiał zachowywać umiaru i przechyliwszy się w jedną stronę, nim mógł odzyskać równowagę, musiał całkiem upaść – i jeżeli jednego wieczora przebierał miarę, nazajutrz wspomnienie dnia poprzedniego tak bardzo go przygnębiało, że kolejny raz powtarzał swe przewinienie i trwał tak w tym błędnym kole, dopóki sumienie nie przywoływało go do porządku. W chwilach trzeźwości zaś tak bardzo zanudzał przyjaciół swymi wyrzutami sumienia, swymi obawami i pretensjami, że broniąc się przed nimi, zmuszeni byli nakłaniać go do tego, by poszukał pocieszenia w winie czy jakimkolwiek innym mocnym trunku, który akurat mieli pod ręką. A kiedy udawało im się pokonać jego początkowe opory, więcej namawiać go już nie musieli i później często swym pijaństwem przewyższał najgorszych z nich – ale tylko po to, by potem wszystkiego srodze pożałować.

Pewnego dnia tak się złożyło, że on i ja znaleźliśmy się sami. Od jakiegoś już czasu, siedząc ze spuszczoną głową i z założonymi na piersi rękoma, oddawał się swoim niewesołym myślom, kiedy nagle ocknął się z zadumy i chwytając się naraz mojego ramienia, zawołał:

„Huntingdon, tak dalej być nie może! Jestem zdecydowany z tym skończyć!”

„Jak to? Zamierzasz się zastrzelić?” – zapytałem.

„Nie, zamierzam się zmienić”.

„Och, to żadna nowina! Już od ponad roku nosisz się z tym zamiarem”.

„To prawda, ale wy mi na to nie pozwalaliście. Byłem głupcem, bo nie potrafiłem wyobrazić sobie bez was życia. Ale teraz widzę, co przeszkadzało mi się zmienić i czego przez ten cały czas mi brakowało – i przemierzyłbym świat wzdłuż i wszerz, by to zdobyć, choć obawiam się, że pogrzebałem już wszelkie nadzieje...” – westchnął tak, jak gdyby jego serce miało zaraz pęknąć.

„Co to takiego, Lowborough?” – zapytałem, podejrzewając, że całkiem już oszalał.

„Żona” – odpowiedział. – „Nie mogę żyć sam, bowiem w samotności moja dusza nie daje mi spokoju. Ale nie mogę też żyć pośród was, ponieważ kusicie mnie do złego tak, że nawet szatan by się nie powstydział”.

„Kto? Ja?”

„Tak, wy wszyscy – ale ty najbardziej. Jednak gdyby udało mi się zdobyć żonę wystarczająco majątną, bym mógł spłacić długi i zrehabilitować się w oczach świata...”

„Naturalnie” – zauważyłem.

„Żonę, która uczyniłaby z mego domu przyjazne miejsce i dzięki której mógłbym się pogodzić z samym sobą... Jestem pewien, że nigdy więcej się nie zakocham; ale być może to właśnie pozwoliłoby mi dokonać wyboru świadomie, z otwartymi oczami. I nie bacząc na wszystko, mógłbym być dobrym mężem... Ale czy ktokolwiek mógłby *mnie* pokochać? – oto jest pytanie... Gdybym posiadał twoją powierzchowność i czar, mógłbym mieć nadzieję, ale pomyśl tylko, Huntingdon: która zechciałaby człowieka takiego jak ja – kogoś

tak ułomnego i zrujnowanego?”

„Na pewno by się jakaś znalazła”.

„Kto taki?”

„Każda lekceważona, nieszczęśliwa stara panna z radością by...”

„Nie, nie” – powiedział Lowborough. – „To musi być kobieta, którą mógłbym pokochać”.

„Jak to? Wszak dopiero co powiedziałaś, że nigdy się nie zakochasz”.

„Dobrze, wobec tego kobieta, którą mógłbym polubić... Przeszukam całą Anglię!” – zawołał w nagłym przyпыływie nadziei i desperacji. – „Bez względu na to, czy mi się uda, czy też nie, będzie to lepsze rozwiązanie niż dążenie do samounicestwienia w tym przeklętym klubie. Moja noga już więcej tutaj nie postanie. Będę rad spotykać się z tobą w jakim uczciwym miejscu, ale nigdy w życiu nie uda ci się nakłonić mnie do przekroczenia progu tego przybytku diabła!”

Były to mocne słowa, ale uścisnąłem mu dłoń na pożegnanie. Lowborough, o ile mi wiadomo, swego przyrzeczenia dotrzymał i od tamtego czasu stanowił wzór przyzwoitości. Do niedawna rzadko go widywałem – raz po raz szukał mego towarzystwa, ale częściej od niego uciekał, obawiając się, że znów sprowadzę go na drogę zepsucia. Zresztą i dla mnie obcowanie z nim straciło cały swój urok, tym bardziej, że niekiedy starał się rozbudzić we mnie wyrzuty sumienia i wybawić mnie od wiecznego potępienia, przed którym – jak sądził – sam uciekł. Jednak za każdym razem, kiedy zdarzało nam się spotkać, zawsze pamiętałem, by zapytać, jak idą mu poszukiwania żony, a on na ogół nie miał dobrych wieści – matki potencjalnych kandydatek zrażał swymi pustymi kieszeniami, a same kandydatki swą chmurną miną i skłonnością do melancholii.

Wkrótce wybrałem się w podróż po Europie, zaś po swoim powrocie nie zastałem żadnych zmian w jego sytuacji i Lowborough wciąż był niepoczyszonym kawalerem, mimo że zewnętrznie nie przypominał już tak bardzo jak dawniej powstałego z grobu upiora. Młode damy przestały się go lękać i zaczynały się nim interesować, choć ich matki nadal pozostawały nieubłagane. To właśnie w owym czasie, Helen, dobre duchy postawiły cię na mojej drodze i wszyscy inni przestali się dla mnie liczyć. Lowborough tymczasem – dzięki wstawiennictwu swych własnych dobrych duchów, jak sam niechybnie by powiedział – przedstawiony został naszej czarującej znajomej, pannie Wilmot. I chociaż nie śmiał zalecać się do damy tak powszechnie podziwianej i adorowanej, ona sama, znalazłszy się niedługi czas potem wraz z nami tutaj w Staningley, w obliczu braku innych wielbicieli, poczęła zabiegać o jego względy, tym samym dodając mu odwagi i napełniając go nadzieją na nadejście lepszych dni. Przez pewien czas, co prawda, stałem pomiędzy nim a nią – lecz to tylko podsyciło płonący w nim ogień uczucia, kiedy potem ustąpiłem mu pola, rzucając się w pogoń za cenniejszym skarbem. W każdym razie, jak rzekłem, Lowborough jest nią prawdziwie oczarowany. Z początku dostrzegał jej ułomności i był nimi nieco zaniepokojony, ale w końcu namiętność tak go zaślepiła, że teraz nie widzi przed sobą niczego prócz jej zalet i swoich widoków na szczęście. Wczorajszego wieczora przyszedł do mnie, kipiąc swą nowo odnalezioną radością i uściskawszy z całej siły mą dłoń zawołał:

„Huntingdon, nie jestem już pariasem! Czekają mnie jeszcze w tym życiu szczęśliwe dni – ona mnie kocha!”

„Doprawdy?” – zapytałem. – „Wyznała ci to?”

„Nie, ale nie mam już co do tego żadnych wątpliwości. Czy nie widzisz, jak jest dla mnie łaskawa i serdeczna? Dobrze wie, że jestem ubogi, a jednak w ogóle o to nie dba! Wiadomo jej też, jakie szaleństwa i grzechy popełniłem w swym dawnym życiu, ale nie boi się mi zaufać. A mój rodowód i mój tytuł szlachecki nie mają dla niej żadnego znaczenia. Jest najbardziej wspaniałomyślną istotą, jaką można by sobie wyobrazić. To ona wybawi mnie – moje ciało i duszę – od zagłady. Już stałem się dzięki niej człowiekiem szlachetniejszym, lepszym, mądrzejszym... Och! Gdybym tylko miał okazję poznać ją wcześniej – ileż poniżenia i nieszczęść zostałoby mi zaoszczędzonych! Jednak czymże sobie zasłużyłem na tak cudowną kobietę?”

A najlepsze w tym wszystkim jest to – ciągnął dalej rozbawiony pan Huntingdon – że jedyną rzeczą, którą kocha w nim ta chytra kokietka jest jego pochodzenie, tytuł i „ta wspaniała siedziba rodowa”.

– Skąd pan o tym wie? – zapytałam.

– Sama mi to wyznała, mówiąc: „Jeżeli chodzi o niego samego, doskonale nim gardzę. Trzeba mi się jednak na kogoś wreszcie zdecydować. Gdybym postanowiła czekać na kogoś zasługującego na mój szacunek i uczucie, skazana byłabym na staropanieństwo, bowiem brzydzę się wami wszystkimi!” Ha, ha! W tym względzie zapewne się myliła, ale bez wątpienia *jego* nie kocha – nieszczęsny głupiec.

– Zatem powinien pan mu o wszystkim powiedzieć.

– Jak to? I pokrzyżować tej biednej dziewczynie plany? Ależ nie – to byłoby z mojej strony nadużycie jej zaufania, czyż nie, Helen? Ha, ha! Poza tym złamałbym mu w ten sposób serce – dodał pan Huntingdon, znów parskając śmiechem.

– Panie Huntingdon, nie wiem, co w tej sprawie tak pana bawi. *Ja* nie widzę w tym wszystkim nic zabawnego.

– W tej chwili śmieję się z *ciebie*, najdroższa – odpowiedział, powtórnie zanosząc się śmiechem.

Zostawiając pana Huntingdona sam na sam z jego rozbawieniem, smagnełam swoją Ruby batem i pocwałowałam naprzód, by dogonić tamtych dwoje, którzy zdążyli nas już znacznie wyprzedzić. Arthur wkrótce znów zrównał się ze mną, ale nie mając ochoty z nim rozmawiać, zmusiłam swojego konia do galopu. Tamten zaś poszedł za moim przykładem i oboje nie zwalnialiśmy tempa, dopóki nie dogoniliśmy panny Wilmot i Lorda Lowborough. Znalazszy się przed domem, zamierzałam szybko zeskoczyć z konia i zniknąć zaraz za drzwiami, ale kiedy zajęta byłam wyplątywaniem rąbka sukni ze strzemienia, on zdjął mnie z siodła i wciąż trzymając mnie w swych objęciach, powiedział, że mnie z nich nie wypuści, dopóki mu nie wybaczę.

– Nie muszę panu niczego wybaczać – rzekłam. – *Mnie* pan w żaden sposób nie uraził.

– Nie, najdroższa i niech Bóg broni! Gniewasz się jednak, bo to mnie Annabella

wyjawiła, jak nisko ceni swego ukochanego.

– Nie, Arthurze, nie to mnie rozgniewało, lecz całe pańskie zachowanie względem Lorda Lowborough. I jeśli chce pan, bym o wszystkim zapomniała, proszę od razu do niego pójść i powiedzieć mu, jaka naprawdę jest kobieta, którą tak nieprzytomnie wielbi i w której pokłada wszystkie swoje nadzieje.

– Powiadam ci, Helen, że to złamałoby mu serce – zabiłoby go. Teraz już nie ma dla niego ratunku. Być może zresztą Annabella będzie zwodziła go już do końca życia i Lowborough będzie trwał w tym złudzeniu, tak jak gdyby było ono rzeczywistością. Być może odkryje swój błąd dopiero wtedy, gdy przestanie ją już kochać; a jeśli nie, lepiej będzie pozwolić, by prawda dotarła do niego stopniowo. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno, mój aniele, i że zrozumiałaś, dlaczego nie mogę odkupić swojej winy w ten sposób. Ale jakie masz jeszcze życzenia? Mów, z radością spełnię wszystkie.

– Mam tylko jedno życzenie – powiedziała równie poważnym głosem, co przedtem. – Proszę mi obiecać, że już nigdy więcej nie będzie pan żartował z cudzego cierpienia i że zawsze będzie się pan starał wykorzystać wpływ, jaki ma pan na swoich przyjaciół, nie zachęcając ich do złego, lecz pomagając im walczyć z ich własnymi słabościami.

– Z całych sił będę się starał wypełniać polecenia mojej anielicy – odrzekł Huntingdon i ucałował moje obie, osłonięte rękawiczkami dłonie, puścił mnie wolno.

Kiedy weszłam do swojej sypialni, niespodziewanie zastałam w niej Annabellę Wilmot. Stała przed moją toaletką i spokojnie przyglądała się swojej twarzy w lustrze, w jednej ręce trzymając pozłacany bat, a drugą podciągając fałdy swej sukni.

„To bez wątpienia wspaniała istota!” – pomyślałam, przyglądając się jej wysokiej, zgrabnej sylwetce, jej pięknej twarzy okolonej lśniącoymi, ciemnymi włosami, które podczas przejażdżki wdzięcznie potargał wiatr, jej smagłej, zarumienionej od wysiłku cerze i jej czarnym, błyszczącym z niezwykłą intensywnością oczom. Dostrzegłszy mnie, odwróciła się i zaniósła śmiechem, w którym jednak zamiast radości dźwięczała raczej wrogość.

– Ależ Helen, gdzie byłaś przez cały ten czas? Przyszłam, ażeby podzielić się z tobą swoim szczęściem – mówiła, nie zważając na obecność Rachel. – Lord Lowborough oświadczył mi się, a ja łaskawie go przyjąłam. Zazdrościsz mi teraz, moja droga?

– Nie, kochana – odparłam, w myślach dodając jeszcze: „jemu też nie zazdroszczę”. – Czy lubisz go, Annabelle?

– Czy go lubię? Oczywiście! Jestem w nim zakochana po uszy!

– Zatem mam nadzieję, będziesz dla niego dobrą żoną.

– Dziękuję, moja droga! Czy masz jeszcze jakieś inne nadzieje?

– Tak: że oboje będziecie się nawzajem kochać i że będziecie szczęśliwi.

– Dziękuję. A ja mam nadzieję, że ty będziesz *bardzo* dobrą żoną dla pana Huntingdona!

– rzekła i ukłoniwszy się w iście dworski sposób, wyszła z pokoju.

– Och, panienko! Jak mogła panienka tak jej powiedzieć? – zawołała Rachel.

– Jak? – zapytałam.

– Że ma panienka nadzieję, iż tamta będzie dla niego dobrą żoną – w życiu czegoś

takiego nie słyszałam!

– Ponieważ naprawdę mam taką nadzieję – a raczej: życzyłabym sobie tego, bo wiem, że nadzieja w tym wypadku okazałaby się raczej płonna.

– Hm! *Ja* mam nadzieję, że *on* będzie dla niej dobrym mężem. W kwaterach dla służby opowiadają o nim przedziwne rzeczy. Mówią, że...

– Wiem, Rachel – wszystko słyszałam. Teraz Lord Lowborough jest już jednak innym człowiekiem. A służące powinny wiedzieć, że nieładnie jest plotkować o gościach swego pracodawcy.

– Ma panienka rację. Ale plotkują też jeszcze na temat pana Huntingdona...

– Nie chcę tego słuchać, Rachel. To wszystko kłamstwa.

– Tak, panienko – powiedziała cicho, zabierając się za układanie moich włosów.

– A czy *ty* wierzysz w tamte plotki, Rachel? – zapytałam po chwili milczenia.

– Nie, panienko, w ogóle. Służące lubią obmawiać lepszych od siebie, a niektóre z nich nawet, by przydać sobie znaczenia, dają wszystkim wokół do zrozumienia, że wiedzą więcej od innych. Ale na panienki miejscu, zastanowiłabym się dobrze – ostrożności nigdy za wiele, gdy młoda dama postanawia wydać się za męża.

– To prawda, Rachel – odrzekłam. – Ale pospiesz się, proszę. Chcę być jak najszybciej ubrana.

Doprawdy pragnęłam jak najprędzej uwolnić się od towarzystwa tej poczciwej kobiety, bowiem ogarnął mnie tak ponury nastrój, że z trudnością powstrzymywałam łzy. Nie bolałam jednak nad Lordem Lowborough ani nad Annabellą, ani też nad sobą – powodem owych łez był Arthur Huntingdon.

13 października – Goście wyjechali, a wraz z nimi on. Nie zobaczymy się ani razu przez ponad dwa miesiące – całych dziesięć tygodni! To tak okrutnie długi czas. Arthur obiecał jednak, że będzie często pisał i jednocześnie wymógł na mnie, bym przyrzekła pisać do niego jeszcze częściej, bowiem sam będzie zajęty uporządkowywaniem swoich spraw, a ja żadnych lepszych zajęć nie posiadam. Myślę, że zawsze będę miała mu wiele do opowiedzenia, ale tęsknię za chwilą, w której będziemy mogli porozumiewać się bez pomocy tych bezdusznych pośredników, jakimi są pióro, papier i atrament!

22 października – Otrzymałam już od Arthura kilka listów. Nie były długie, ale za to urocze i zupełnie takie, jak on: pełne płomiennego uczucia, błyskotliwe i dowcipne. Ale – w tym niedoskonałym świecie zawsze pojawia się jakieś „ale” – doprawdy życzyłabym sobie, by *niekiedy* potrafił być poważny. Za każdym razem, gdy do mnie pisze – lub gdy rozmawia ze mną – przybiera ów żartobliwy ton. *Teraz* tak bardzo mi to nie przeszkadza, ale jeśli zawsze taki będzie, co pocznę z tą częścią mnie, która w całości zbudowana jest z powagi?

Rozdział XXIII

Pierwsze tygodnie małżeństwa

18 lutego 1822 r. – Dziś wczesnym rankiem Arthur dosiadł swego konia i przeszczęśliwy wyruszył na polowanie. Nie wróci z niego do wieczora, zatem by wypełnić sobie czymś cały ten czas, dokonam kolejnego wpisu w moim dzienniku – jeśli tak nieregularną formę można określić mianem dziennika. Mijają dokładnie cztery miesiące od chwili, w której otworzyłam go po raz ostatni.

Jestem teraz kobietą zamężną i panią dworu Grassdale Manor. W stanie małżeńskim żyję już od ośmiu tygodni. Czy żałuję swego kroku? – Nie... Choć trzeba mi wyznać, że Arthur nie jest człowiekiem za jakiego miałam go na początku i gdybym wówczas znała go tak dobrze, jak dziś, wiedziałabym, że nigdy nie wolno mi się w nim zakochać, a nawet jeśli nie mogłabym się oprzeć uczuciu, obawiam się, że uznałabym za swój obowiązek nie przystać na jego propozycję małżeństwa. Naturalnie wszyscy wokół próbowali mnie doń zniechęcić i zmusić do przejrzenia na oczy, a i on sam nie był hipokrytą, ja tymczasem wolałam się oszukiwać. Obecnie jednak, zamiast żałować swego dawnego zaślepienia, jestem z niego *rada*, bowiem oszczędziło mi ono wielu bolesnych zmagania z własnym sumieniem i bez względu na to, jak *powinnam była postąpić*, teraz moją powinnością jest po prostu kochać go i trwać przy nim, a to doprawdy odpowiada moim inklinacjom.

Arthur jest we mnie bardzo zapatrzony – niemal *nazbyt* zapatrzony. Życzyłabym sobie widzieć w jego zachowaniu mniej czułości, a więcej rozsądku – być dla niego mniej ukochaną, a bardziej przyjaciółką. Nie chcę się jednak skarżyć. Obawiam się tylko, że tam, gdzie jego uczucie zyskuje na żarliwości, tam traci ono coś ze swej głębi. Niekiedy przyrównuję je do słomianego, krótkotrwałego ognia, który gorejąc jasnym, gwałtownym płomieniem, wkrótce może zgasnąć, zostawiając po sobie jedynie popiół. A wówczas co pocznę? Ale nie, nie może się tak stać, nie pozwolę mu zgasnąć – muszę odsunąć od siebie taką myśl, zapomnieć o niej. Mimo wszystko trzeba mi przyznać, że jest egoistą. Ale skoro *ja* kocham go tak bardzo, jakże mogłabym dziwić się jego miłości własnej? Arthur ma upodobanie do przyjemności, a sprawianie ich jemu mnie przynosi satysfakcję. I jeśli ubolewam czasem nad tą jego skłonnością, to przez wzgląd na niego samego, a nie na siebie.

Po raz pierwszy jego egoizm dał znać o swoim istnieniu w Europie, przy okazji naszej podróży poślubnej. Arthur postanowił się szybko z nią uporać, bowiem wszystkie tamtejsze krajobrazy były mu już znajome i albo zdążyły stracić w jego oczach cały swój powab, albo nigdy nie wydawały się mu szczególnie interesujące. Skutkiem tego, przemierzywszy lotem błyskawicy Francję i Italię, do Anglii wróciłam niewiele bogatsza w doświadczenia. Zamiast tego przez głowę moją przetaczał się chaos zamglonych obrazów i choć niektóre z nich

przynosiły wraz z sobą całkiem przyjemne skojarzenia, to niezmiennie towarzyszyła im gorzka świadomość, że mój towarzysz nie podzielał żadnego z moich zachwyków. Nawet przeciwnie: gdy wyrażałam swoje zaciekawienie czymkolwiek, co udało mi się zobaczyć lub co pragnęłam zobaczyć, sprawiał wrażenie urażonego.

W Paryżu spędziliśmy ledwie chwilę, a w Rzymie Arthur nie pozwolił mi zwiedzić choćby jednej dziesiątej tamtejszych zabytków. Zależało mu bowiem na tym, jak sam powiedział, by jak najszybciej mieć mnie całą dla siebie i przywieźć z powrotem do domu tak prostolinijną i naiwną, jaką do tej pory byłam. Lękał się, że obcowanie z mieszkańcami tamtych dwóch stolic mogłoby „zetrzeć srebrny pył z moich skrzydełek” – zupełnie jak gdyby wierzył, że jestem jakim kruchym motylem. Bez żadnych skrupułów oznajmił mi także, że w obu miastach mieszkają damy, które chętnie wydrapałyby mu oczy, gdyby jakimś zrzędzeniem losu spotkały go wraz ze mną.

Rzecz jasna byłam tym wszystkim bardzo rozżalona – zwłaszcza wtedy, kiedy moi przyjaciele dopytywali się, jak to możliwe, że podczas swojej podróży zobaczyłam tak niewiele i gdy zmuszona byłam wymyślać usprawiedliwienia, które nie przedstawiłyby mojego męża w złym świetle. Ale kiedy dotarliśmy do Grassdale Manor – do mojego nowego, cudownego domu – poczułam się tak szczęśliwa, a Arthur wykazał się tak wielką wspaniałomyślnością, że wszystko dobrowolnie mu wybaczyłam. Jednak w drugą niedzielę po naszym powrocie zaskoczył mnie i przeraził swym kolejnym bezzasadnym zachowaniem. Wracaliśmy właśnie z porannego nabożeństwa (na piechotę, ponieważ dzień był pogodny, a dom nasz znajduje się w niewielkiej odległości od kościoła), gdy Arthur z nietypową dla siebie powagą rzekł:

– Helen, nie jestem z ciebie zadowolony.

Zapytałam, dlaczego.

– Czy obiecujesz, że się poprawisz, jeśli ci powiem?

– Tak, jeżeli tylko będzie to możliwe; i jeśli nie będzie to ode mnie wymagało sprzeniewierzenia się jakiejś wyższej sile.

– Ach! Otóż to – widzisz? Nie kochasz mnie całym sercem.

– Nie rozumiem, Arthurze – a przynajmniej mam nadzieję, że nie rozumiem. Powiedz mi, proszę, co takiego powiedziałam lub uczyniłam, że poczułeś się dotknięty?

– Nie mam tu na myśli czegoś, co powiedziałaś lub uczyniłaś – chodzi o to, *jaka jesteś*. A jesteś nazbyt pobożna. Co prawda, religijność w kobiecie to pożądana cecha i myślę, że jest ona jedną z twych najbardziej urokliwych zalet, jednak co za dużo, to niezdrowo. Uważam, że pobożność nie powinna osłabiać lojalności żony wobec jej ziemskiego pana. Kobieta winna mieć jej w sobie tyle, by wystarczyło do uwznioślenia jej duszy, ale nie za dużo, bowiem jej nadmiar pozbawia ją wszelkiej ludzkiej wyrozumiałości.

– Czy to znaczy, że *ja* jestem pozbawiona wszelkiej ludzkiej wyrozumiałości? – zapytałam.

– Nie, kochanie. Ale jesteś coraz bliższa świętości i nie do końca mi się to podoba. Przez ostatnie dwie godziny myślałem o tobie i szukałem twojego wzroku, ale ty byłaś tak

pochłonięta modlitwą, że poskąpiłaś mi nawet jednego spojrzenia. I powiadam: to wystarczy, by uczynić człowieka zazdrosnym o jego własnego Stwórcę – co jest wielkim grzechem, jak ci zapewne wiadomo. Zatem dla dobra mojej duszy postaraj się nie wywoływać we mnie tak nikczemnych uczuć!

– Gdybym tylko mogła, oddałabym całą swoją duszę Stwórcy – odrzekłam – a tobie nic więcej ponad to, na co On by przyzwolił. Za kogo się uważasz, sir, stawiając się na równi z Bogiem i ośmielając się z Nim rywalizować? – z Tym, któremu zawdzięczam wszystko co mam, wszystko czym jestem i wszystkie błogosławieństwa, jakie kiedykolwiek na mnie spłynęły i być może jeszcze spłyną, a pośród nich ciebie? Choć teraz jestem skłonna wątpić, czy jesteś takim błogosławieństwem...

– Nie bądź dla mnie tak surowa, Helen. I nie szczyj w ten sposób mego ramienia – wbijas mi palce w ciało aż po samą kość.

– Arthurze – mówiłam dalej, zabierając rękę z jego ramienia – nie kochasz mnie nawet w połowie tak bardzo, jak ja ciebie. Ale nawet gdybyś darzył mnie jeszcze mniejszym uczuciem, nie miałabym ci tego wcale za złe, pod warunkiem, że miłowałbyś bardziej Pana. Byłabym *rada*, gdybyś potrafił się tak zatracić w modlitwie, że zupełnie byś o mnie zapominał. Wiem, że nic bym na tym nie straciła, bowiem im większa byłaby twoja miłość do Boga, tym głębsza, czystsza i bardziej prawdziwa byłaby twoja miłość do mnie.

Wysłuchawszy moich słów, Arthur tylko się roześmiał i ucałował moją dłoń, nazywając mnie słodką dewotką. Potem zaś zdjął kapelusz i dodał:

– Ale spójrz, Helen. Co człowiek poradzi na to, że ma taką głowę?

Rzeczona głowa sprawiała wrażenie całkiem zwyczajnej, ale kiedy Arthur, chwyciwszy moją dłoń, umieścił ją sobie na ciemieniu, poczułam, że ta niepokojąco głęboko zapada się w gęstwinie jego loków, zwłaszcza pośrodku.

– Rozumiesz więc, że nie urodziłem się po to, by zostać świętym – powiedział, zanosząc się śmiechem. – Jeśli Bóg chciał, ażebym był człowiekiem religijnym, dlaczego nie dał mi odpowiedniego po temu narzędzia?

– Jesteś jak tamten sługa, który zamiast wykorzystać swój jedyny talent, zwrócił go swojemu panu w stanie niezmiennym, usprawiedliwiając się tym, że tamten jest „człowiekiem twardym, chcącym żąć tam, gdzie nie posiał i zbierać tam, gdzie nie rozsypał”. Od tego, który mniej otrzymał mniej będzie się wymagać; ale wszyscy mamy obowiązek czynić co w naszej mocy, by stawać się lepszymi. To nieprawda, że jesteś niezdolny do oddawania czci Bogu, do wiary i nadziei, do słuchania głosu sumienia, do dokonywania rozsądnych wyborów czy jakiegokolwiek innego chrześcijańskiego zachowania. Każdy posiada taką zdolność, ale od niego zależy to, czy ją spożytkuje. Wszystkie nasze talenty możemy pomnożyć poprzez posługiwanie się nimi i wszystkie nasze skłonności – dobre czy złe – umacnia korzystanie z nich. Zatem jeśli decydujesz korzystać tylko z tych złych i jednocześnie zaniedbujesz te dobre, doprowadzając do całkowitego ich zaniku, wówczas jesteś sam sobie winny. Ale uwierz mi, Arthurze, ty *naprawdę* posiadasz talenty – wrodzone zdolności zarówno umysłu, serca, jak i charakteru,

których nie powstydziliby się żaden chrześcijanin – i od ciebie zależy, czy pomnożysz je ku chwale Pana. Nie oczekuję od ciebie, że staniesz się osobą głęboko religijną, ale możliwym jest bycie dobrym chrześcijaninem i jednocześnie szczęśliwym, pełnym radości człowiekiem.

– Przemawiasz niczym wyrocznia, Helen, i wszystkie twoje słowa są ponad wszelką wątpliwość słuszne. Jednak wyobraź sobie, że dokucza mi głód i widzę przed sobą obfitą kolację. Tymczasem ktoś mówi mi, że jeśli dziś będę pościł, jutro czeka mnie pełna królewskich przysmaków uczta. Ale po pierwsze: dlaczego miałbym czekać do jutra, skoro w zasięgu moich rąk znajduje się coś, czym mogę nasycić głód już teraz? Po drugie: dzisiejszy sycący posiłek bardziej odpowiada memu podniebieniu niż wykwintne smakołyki, które obiecywane są mi jutro. Po trzecie: *nie widzę* przed sobą jutrzejszej uczy, więc jak mogę mieć pewność, że to wszystko nie jest jedynie wymysłem tego jegomościa, który radzi mi poczekać, bo być może sam chce zagarnąć całą strawę dla siebie. Po czwarte zaś: stojący przede mną stół został dla kogoś nakryty, i za twoim pozwoleniem siadę przy nim teraz i zaspokoję swoje dzisiejsze łaknienie, a dniem jutrzejszym będę martwił się jutro.

– Ależ nikt bynajmniej nie wymaga od ciebie, byś dziś odmawiał sobie pożywienia. Trzeba ci jedynie korzystać z niego z umiarem – po to, ażebyś potem w pełni mógł docenić jutrzejszą ucztę. Jeżeli jednak, nie bacząc na dobre rady, postanowisz oddać się teraz swemu łakomstwu i jeść dopóty, dopóki pokarm nie stanie się trucizną w twych żyłach, na własne życzenie będziesz cierpieł jutro skutki swej dzisiejszej niewstrzeźliwości. A wszyscy inni delektować się będą tymi wszystkimi wspaniałościami, których ty nie będziesz mógł skosztować.

– Słuszne słowa, moja święta opiekunko. Ale jednak, jak powiada nasz znajomy mędrzec Salomon: „Nic lepszego dla człowieka, niż żeby jadł i pił, i duszy swej pozwalał zażywać szczęścia”.

– Lecz potem mówi on: „Ciesz się, młodzieńcze, w młodości swojej, a serce twoje niech się rozwesela za dni młodości twojej. I chodź drogami serca swego i za tym, co oczy twe pociąga; lecz wiedz, że z tego wszystkiego będzie cię sądził Bóg!”

– Ależ Helen, jestem pewien, że przez ostatnich kilka tygodni sprawowałem się nienagannie. Co takiego w moim zachowaniu cię uraziło?

– Nic, Arthurze, twoim czynom jak dotąd nie mam nic do zarzucenia. Ale chciałabym zmienić twoje myśli – pragnęłabym, byś był silniejszy wobec pokus i nie nazywał zła dobrem, a dobra złem. Życzyłabym sobie, by twoje rozumowanie stało się głębsze i byś patrzył dalej i mierzył wyżej niż teraz.

Staliśmy już pod drzwiami naszego domu. Nie mówiąc nic więcej, uścisnęłam go mocno, po czym poszłam na górę zdjąć kapotkę i płaszcz. Obawiałam się bowiem, że jeśli dalej będę drążyć ten temat, Arthur poczuje się znużony – zarówno ową kwestią, jak i mną.

Rozdział XXIV

Pierwsza kłótnia

25 marca – Arthur zaczyna czuć się znużony – nie mną, jak mam nadzieję, ale beczynnym, zwyczajnym życiem, które wiecie. I nic dziwnego, skoro z tak niewielu zwykłych zajęć potrafi czerpać radość. Sam czytuje tylko gazety i periodyki myśliwskie, a kiedy widzi mnie pochyloną nad książką, tak długo mi się uprzykrza, dopóki jej nie zamknę. W czasie okresów sprzyjającej pogody chwile wpływają mu na ogół całkiem przyjemnie, jednak podczas dni deszczowych, których ostatnimi czasy mieliśmy pod dostatkiem, wielką przykrość sprawia mi obserwowanie, jak nie może znaleźć sobie miejsca. I choć robię wtedy wszystko co w mojej mocy, by go rozweselić, doprawdy trudno mi jest zainteresować go tym, co mam mu do powiedzenia. Zresztą tematy, które on z kolei z upodobaniem porusza w swych rozmowach ze mną również nie wzbudzają mojej ciekawości, a co gorsza, niekiedy wywołują we mnie złość. Ale to akurat mu odpowiada, gdyż jego ulubioną rozrywką jest dokuczanie mi opowieściami o swoich dawnych miłośkach, które zawsze kończyły się uwiedzeniem przez niego jakiejś ufnej, młodej dziewczyny lub oszukaniem jakiegoś nic nie podejrzewającego męża. W odpowiedzi na moje oburzenie Arthur oskarża mnie o zazdrość, wybuchając przy tym tak gwałtownym śmiechem, że w jego oczach pojawiają się łzy. Z początku unosiłam się furią lub reagowałam płaczem, lecz nauczywszy się, że im większy jest mój gniew, tym większe jest jego rozbawienie, zaczęłam tłumić swoje emocje i traktować jego wyznania pogardliwym milczeniem. Jednak pomimo moich starań moje rozczarowanie jego niegodziwością uzewnętrznia się na mojej twarzy – ku uciesze Arthura, który błędnie poczytuje je za szalejącą we mnie zazdrość, upajając się nią, dopóki nie uzna, że dostatecznie już się naśmiał lub że mój gniew mógłby zagrozić jego spokojowi i wygodzie. I wówczas pocałunkami próbuje zmusić mnie znów do uśmiechu – ale jakże przykre są dla mnie wtedy jego czułości, kiedy jawią się mi jako *podwójny egoizm* – godzący we mnie i w ofiary jego dawnej miłości! Zdarzają się chwile, w których czuję w duszy przelotne ukłucie przerażenia i zadaję sobie pytanie: „Helen, coś ty zrobiła?” Lecz później sama siebie za to karzę i odpieram te natrętne myśli, bowiem nawet gdyby mój mąż był i dziesięciokroć bardziej bezwstydnym i grzesznym, nie miałabym prawa się skarżyć. Wciąż go kocham i będę go kochać – i nigdy nie będę żałować tego, że złączyłam z nim swój los.

4 kwietnia – Doszło między nami do prawdziwej kłótni. Jej zarzewiem była historia jego romansu z Lady F., o którym Arthur opowiadał mi w odstępach od jakiegoś już czasu i w który początkowo nie chciałam uwierzyć. Niejakim pocieszeniem jest dla mnie to, że w tym wypadku wina leżała raczej po stronie damy, gdyż on był w tamtym czasie bardzo

młody, a pierwszy krok uczyniła ona, jeśli wierzyć jego słowom. Od razu poczułam głęboką do niej nienawiść, bowiem uznałam, że wielce przyczyniła się do jego zepsucia, a kiedy kilka dni temu Arthur znów o niej napomknął, poprosiłam, żeby tego nie robił.

– Nie znoszę samego dźwięku jej nazwiska. Lecz nie dlatego, że ją kochałeś, Arthurze, ale z tej przyczyny, że skrzywdziła ciebie, oszukała swego męża i ogółem była odrażającą kobietą, o której wstydzilibyś się wspominać.

On jednak stanął po jej stronie, tłumacząc, że miała zniedołężniałego, starego męża, którego nie sposób było kochać.

– Więc dlaczego za niego wyszła? – zapytałam.

– Dla pieniędzy – brzmiała odpowiedź.

– Zatem to kolejny grzech, jakiego się dopuściła. A następnym jej grzechem – grzechem, który spotęgował poprzedni – było to, że przysięgała go kochać i szanować.

– Jesteś nazbyt surowa dla tej nieszczęsnej kobiety – roześmiał się. – Ale mniejsza o nią, Helen, nic dla mnie teraz nie znaczy. Żadnej z nich nie kochałem nawet w połowie tak bardzo, jak ciebie. Więc nie musisz się obawiać, że tak jak one zostaniesz porzucona.

– Gdybyś opowiedział mi o tym wszystkim wcześniej, Arthurze, nigdy nie dałabym ci najmniejszej szansy.

– Jesteś tego pewna, najdroższa?

– Absolutnie!

Roześmiał się z niedowierzaniem.

– Doprawdy żałuję, że nie potrafię sprawić, byś mi uwierzył! – zawołałam, wstając.

I po raz pierwszy w swoim życiu, i mam nadzieję, że po raz ostatni, pożałowałam, że za niego wyszłam.

– Helen – powiedział, poważniejąc – czy zdajesz sobie sprawę, że gdybym teraz ci uwierzył, byłbym bardzo zły? Dzięki Bogu jednak nie wierzę ci, mimo że stoisz tam poblądła, a twoje oczy ciskają na mnie gromy. Ale ja znam twoje serce – być może nawet odrobinę lepiej niż ty sama.

Nie odpowiadając na to ani słowem, wyszłam z pokoju i zamknęłam się na klucz w mojej własnej sypialni. Po około półgodzinie on podszedł do drzwi. Najpierw chwycił za klamkę, a później zapukał.

– Wpuść mnie do środka, Helen – powiedział.

– Nie zrobię tego, bo mnie uraziłeś – odparłam. – I nie życzę sobie dziś już więcej ciebie widzieć ani słyszeć.

Przez chwilę stał w milczeniu, jak gdyby nie wiedząc, co powinien na to odpowiedzieć, a potem odwrócił się od drzwi i odszedł. Zdarzenie to miało miejsce zaledwie godzinę po kolacji – wiedziałam, że przykro będzie mu spędzić w samotności cały wieczór, i ta świadomość złagodziła nieco mój gniew, choć nie miałam zamiaru ustąpić. Zdecydowana byłam pokazać mu, że moje serce nie jest jego niewolnikiem, udowodnić mu, że mogłabym bez niego żyć. Zająłam się więc pisaniem długiego listu do mojej ciotki, w którym naturalnie o owym zajściu nie wspomniałam słowem. Chwilę po tym, jak wybiła godzina

dziesiąta, znów usłyszałam jego kroki schodach. Przy moich drzwiach jednak się nie zatrzymał, za to skierował się prosto do swojej garderoby, gdzie zamknął się na całą noc.

Z niepokojem czekałam, jak przywita mnie następnego ranka, a kiedy pojawił się pokoju śniadaniowym z beztróskim uśmiechem na twarzy, poczułam się zawiedziona.

– Czy wciąż się gniewasz, Helen? – zapytał, podchodząc do mnie.

Z zimnym spokojem odwróciłam się do stołu. Napełniając filiżanki kawą, zwróciłam mu uwagę, że przyszedł dość późno.

On, gwizdząc pod nosem, podszedł do okna, gdzie stał nieruchomo przez kilka minut, złorzecząc pogodzie i kontemplując rozciągający się za szybą widok, na który składały się przesuwające się po niebie posępne, szare chmury, lejący się strugami deszcz, przemoczony trawnik i ociekające wodą, bezlistne drzewa. Wreszcie usiadł do śniadania. Kiedy wziął do ręki swoją filiżankę, mruknął, że kawa jest „diabelsko zimna”.

– Nie powinieneś być tak długo zwlekać – rzekłam.

Nic na to nie odpowiedział i cały posiłek upłynął w milczeniu. Oboje poczuliśmy ulgę, kiedy do środka wniesiono pocztę, pośród której znajdowała się gazeta oraz kilka listów zaadresowanych do niego i kilka zaadresowanych do mnie. Jeden z moich pochodził od mojego brata, drugi przysłała Milicent Hargrave, obecnie przebywająca wraz z matką w Londynie. Listy, które otrzymał Arthur musiały dotyczyć interesów. Ich treść nie przypadła mu najwyraźniej do gustu, bowiem wcisnął je do kieszeni, mamrocząc pod nosem kilka przekleństw, za które w innych okolicznościach omieszkałabym go zganić. Następnie rozłożył przed sobą gazetę i przez pozostałą część pory śniadaniowej udawał, że jest bezgranicznie pochłonięty czytaniem.

Odpisywanie na listy i zajęcia domowe wypełniły mi cały poranek, natomiast po lunchu zajęłam się rysowaniem, a po kolacji czytałam aż do wieczora. W międzyczasie nieszczęsny Arthur nie wiedział, co ze sobą począć i czym się zająć, by uciec przed nudą. Pragnął sprawiać wrażenie równie zapracowanego i niewzruszonego, jak ja, i gdyby aura na to pozwoliła, niewątpliwie zaraz po śniadaniu posłałby po swego konia, po czym wyruszyłby w jakimś odległym kierunku – nieważne dokąd – i wróciłby dopiero nocą. Gdyby w jego zasięgu znajdowała się gdzieś jakaś dama w wieku pomiędzy piętnastym a czterdziestym piątym rokiem życia, szukając na mnie zemsty ani chybi zaczęłby z nią flirtować i tym wypełniłby sobie czas. Ale będąc – ku mojemu cichemu zadowoleniu – całkowicie odcięty od tych dwóch źródeł rozrywki, cierpiał doprawdy okrutnie. Kiedy skończył ziewać nad swoją gazetą i napisał już krótkie odpowiedzi na swoje równie krótkie listy, pozostała część ranka i całe popołudnie spędził, snując się z pokoju do pokoju, przyglądając się chmurom, przeklinając deszcz, na zmianę pieszcząc i dokuczając swoim psom, sporadycznie wylegując się na sofie z książką w ręku, choć nie potrafił zmusić się do czytania, i bardzo często – gdy wydawało mu się, że tego nie widzę – zerkając na mnie, z nadzieją na odnalezienie na mojej twarzy śladów łez lub jakichś innych dowodów mojej skruchy. Mnie tymczasem od początku do końca udawało się zachowywać niczym niezmacony spokój ducha. Nie gniewałam się już na Arthura – przez cały ten czas było mi

go żal i pragnęłam się z nim pojednać. Postanowiłam jednak, że to on powinien wykonać pierwszy krok ku zgodzie lub przynajmniej okazać jakieś poczucie winy. Gdybym to ja wyciągnęła do niego dłoń, połechtałoby to tylko jego próżność, utwierdziłoby go w jego zuchwalstwie i nie pozwoliłoby mu wyciągnąć żadnych nauk z lekcji, którą próbowałam mu dać.

Po kolacji zasiedział się długi czas w jadalni i, obawiam się, wypił dużo większą ilość wina niż zazwyczaj, choć i to nie rozwiązało mu języka, bowiem kiedy potem zastał mnie pochyloną nad lekturą i nie uznałam za słuszne zareagować na jego przyjście podniesieniem głowy, wymamrotał jedynie pod nosem słowa tłumionej dezaprobaty i z hukiem zamykając drzwi, poszedł ułożyć się do snu na sofie. Dash, jego ulubiony spaniel, który do tej pory leżał u moich stóp, teraz podążył za swoim panem i zaczął lizać go po twarzy. Tamten jednak nie docenił tych czułości i wymierzył mu tak brutalny cios, że nieszczęsne stworzenie, skomląc i kuląc się ze strachu, wróciło do mnie. Obudziwszy się pół godziny później, Arthur próbował przywołać psa z powrotem do siebie, na co zdezorientowany Dash zamachał tylko koniuszkiem swego ogona. Kiedy padło kolejne, wypowiedziane bardziej przenikliwym tonem głosu wezwanie, pies przylgnął do mnie jeszcze bardziej i polizał moją dłoń, jak gdyby błagał o to, bym stanęła w jego obronie. Widząc to, jego pan z wściekłością chwycił swą ciężką książkę i cisnął nią w głowę zwierzęcia, na co tamto wydało z siebie żalostny pisk i podbiegło do drzwi. Podniosłam się, żeby wypuścić psa z pokoju, a następnie wróciłam do swojej lektury.

– Oddaj mi tę książkę – powiedział Arthur tonem bynajmniej nie łaskawym.

Zrobiłam to, o co mnie poprosił.

– Dlaczego wypuściłaś psa? – zapytał. – Wiedziałaś, że chciałem, by tu został.

– Skąd mogłam o tym wiedzieć? Przecież rzuciłeś w niego książką... Ale być może celowałaś we mnie?

– Nie, choć widzę, że i ciebie nie ominęła – powiedział, patrząc na moją dłoń, na której widniało teraz dość bolesne otarcie.

Wróciłam do czytania, a on usiłował zająć się tym samym, jednak niebawem, wydawszy z siebie przeciągłe, nie wróżące niczego dobrego ziewnięcie, oświadczył, że *jego* książka jest „przeklętą szmirą” i rzucił ją na stół. Potem nastąpiło kilka minut ciszy, podczas której, jak sądzę, nieustannie się mi przyglądał. Wreszcie jego cierpliwość dobiegła kresu.

– Co to *jest* za książka, Helen? – wykrzyknął.

A kiedy odpowiedziałam, zapytał:

– Ciekawa?

– Tak, bardzo.

– Hm!

Czytałam dalej – a raczej udawałam dalej, że czytam, bowiem w owej chwili do mego mózgu docierało niewiele z tego, na czym skupione były moje oczy. Podczas gdy te ostatnie przesuwały się machinalnie po stronicach książki, mój umysł zastanawiał się, kiedy Arthur znów się odezwie, co takiego powie i co powinnam mu odpowiedzieć. On odezwał

się jednak dopiero wtedy, gdy podniosłam się, by przygotować herbatę i zrobił to tylko po to, żeby powiadomić mnie, że on jej pił nie będzie. Leżał na sofie – na przemian zamykając oczy i otwierając je, by popatrzeć najpierw na swój zegarek, a potem na mnie – aż do chwili, w której wstałam, chwyciłam swoją świecę i wyszłam przygotować się do snu.

– Helen! – zawołał, kiedy tylko przestąpiłam próg pomieszczenia.

Odwróciwszy się, czekałam na jego słowa.

– Czego chcesz, Arthurze? – zapytałam wreszcie.

– Nic – odrzekł. – Idź sobie!

Gdy zamykałam drzwi, usłyszałam, jakieś wypowiedane przez niego szeptem słowa, więc znów się odwróciłam. Zdawało mi się, że brzmiały jak: „paskudna wszetecznicza”, ale wolałam wierzyć, że się przesłyszałam.

– Mówiłeś coś, Arthurze? – zapytałam.

– Nie – brzmiała odpowiedź.

Zamknęłam za sobą drzwi i odeszłam. Kolejny raz zobaczyłam go dopiero nazajutrz przy śniadaniu, na które zszedł godzinę później niż zazwyczaj.

– Bardzo się spóźniłeś – powiedziałam na powitanie.

– Niepotrzebnie na mnie czekałaś – odrzekł i znów podszedł do okna.

Od poprzedniego dnia pogoda w ogóle się nie zmieniła.

– Och, niech diabli porwą ten deszcz! – mruknął.

Ale po dwóch minutach wytężonego przyglądania się aurze, musiał przyjść mu do głowy jakiś błyskotliwy pomysł, gdyż nagle wykrzyknął: „Już wiem, co zrobię!”, po czym zajął swoje miejsce przy stole. Sakwa z pocztą już dotarła i czekała teraz na otwarcie. Arthur przejrzał jej zawartość, ale nic na jej temat nie powiedział.

– Czy jest tam coś dla mnie? – zapytałam.

– Nie.

Rozłożywszy gazetę, zaczął ją czytać.

– Lepiej zacznij pić już swoją kawę, bo za chwilę znów będzie zimna – podsunęłam.

– Jeśli skończyłaś, możesz sobie iść – powiedział. – Nie będę cię potrzebował.

Podniosłam się i poszłam do pokoju obok, zastanawiając się, czy czeka nas kolejny przykry dzień i szczerze pragnąc, by to zadawanie sobie nawzajem cierpień wreszcie się skończyło. Wkrótce potem usłyszałam, że Arthur zadzwonił na służącego, ażeby wydać mu jakieś polecenia odnośnie swojej garderoby, zupełnie jak gdyby planował dłuższą podróż. Potem zaś posłał po stangreta i mych uszu dobiegło coś na temat powozu i koni, Londynu i siódmej rano. Wprawilo mnie to w niemały niepokój.

„Bez względu na wszystko nie wolno mi dopuścić, by pojechał do Londynu – powiedziałam do siebie w duchu. – Popełni tam rozmaite głupstwa, a jedyną osobą temu winną będę ja. Tylko w jaki sposób mogłabym odwieść go od jego zamiarów?... Cóż, trzeba mi trochę poczekać i przekonać się, czy coś na ten temat wspomni”.

Czekałam w zdenerwowaniu godzina za godziną, ale nie odezwał się do mnie słowem – ani w tej, ani winnej kwestii. Czas swój spędzał podobnie, jak poprzedniego dnia: krążąc

pomiędzy pokojami, pogwizdując i przemawiając do swoich psów. Doszedłszy w końcu do wniosku, że sama muszę poruszyć ten temat, zastanawiałam się właśnie, w jaki sposób to uczynić, kiedy bezwiednie z pomocą przyszedł mi John, przekazując Arthurowi wiadomość od stangreta.

– Przepraszam, sir. Richard powiada, że jeden z koni się okrutnie przeziębił i sugeruje, że jeśli panu, sir, odpowiadałoby wyruszyć pojutrze zamiast jutro, to zwierzę miałoby czas się wykurować...

– Niech szlag trafi jego i jego bezczelność! – przerwał pan.

– Przepraszam, sir, ale on mówi, że to byłoby znacznie lepsze rozwiązanie – nie dawał za wygraną John. – Ma nadzieję, że wkrótce nastąpi poprawa pogody i powiada, że niemądrze byłoby tak chorego konia...

– Niech diabli porwą konia – zawołał dżentelmen. Ale po chwili namysłu dodał: – Dobrze, powiedz mu, że się zastanowię.

Kiedy służący odszedł, Arthur rzucił na mnie badawcze spojrzenie, jak gdyby spodziewał się ujrzeć w mojej twarzy jakiś grymas zdumienia lub trwogi. Ja jednak byłam na to przygotowana. Zobaczywszy stoicki spokój w moich oczach, odwrócił się zawiedziony i podszedł do kominka. Oparty o gzyms paleniska i z twarzą ukrytą w ramieniu nie starał się nawet tuszować swego przygnębienia.

– Dokąd się wybierasz, Arthurze? – zapytałam.

– Do Londynu – odpowiedział ponuro.

– Dlaczego tam jedziesz?

– Bo tutaj nie mogę być szczęśliwy.

– Dlaczego?

– Bo moja żona mnie nie kocha.

– Kochałaby cię z całego serca, gdybyś sobie na to zasłużył.

– Co powinienem zrobić, żeby sobie zasłużyć?

Pytanie to zadał tonem tak poważnym i pełnym pokory, że ogarnęło mnie wielkie wzruszenie i przed udzieleniem odpowiedzi zmuszona byłam odczekać chwilę. Upewniwszy się, że głos mi się nie załamał, rzekłam wreszcie:

– Jeśli ona oddaje ci swoje serce, musisz przyjąć je z wdzięcznością. I zamiast łamać na kawałki, właściwie je traktować i nie śmiać się jej w twarz tylko dlatego, że nie może go ci odebrać.

On zdążył się już odwrócić od kominka i stał zwrócony twarzą do mnie.

– A więc, Helen, będziesz teraz dobrą dziewczynką? – zapytał.

Te słowa zdały mi się zanadto zuchwałe, a uśmiech, który im towarzyszył bynajmniej mnie nie ucieszył. Zatem nim odpowiedziałam, zawahałam się. Być może ton mojego głosu zdradził był zbyt wiele – być może usłyszał w nim drżenie i dostrzegł, jak ocieram spływającą po policzku łzę.

– Wybaczysz mi, Helen? – zapytał pokorniej.

– A czy żałujesz swego postępowania? – zapytałam, podchodząc i z uśmiechem

zaglądnę mu w twarz.

– Żałuję okrutnie! – odpowiedział z bolesnym wyrazem twarzy, choć w jego oczach i w kącikach ust czaił się uśmiech. Niezrażona tym jednak, rzuciłam się w jego ramiona, które objęły mnie mocno i mimo że wylałam z siebie potok łez, chyba nigdy dotąd nie czułam się tak szczęśliwa, jak w tamtej chwili.

– A więc nie pojedziesz do Londynu, Arthurze? – zapytałam, kiedy pierwszy wybuch emocji osłabł.

– Nie, kochanie – chyba że razem z tobą.

– Bardzo chętnie pojedę – odpowiedziałam – jeśli uważasz, że potrzebna ci odmiana i jeśli zgodzisz się poczekać do następnego tygodnia.

Przystąpił na to skwapliwie, ale dał mi do zrozumienia, że nie potrzeba aż tak długiego czasu na przygotowania, bowiem nie planuje długiego pobytu.

– Nie życzę sobie, byś przesiąkła miejskimi zwyczajami i by zbyt duża ilość rozmów z obywatelami w świecie damami pozbawiła cię twojej prowincjonalnej świeżości.

Te słowa wydały mi się niedorzeczne, ale nie chcąc mu się w owej chwili sprzeciwić, powiedziałam tylko, że nie zależy mi nazbyt na kontaktach z wielkim światem.

Tak więc wyjeżdżamy do Londynu w poniedziałek, to jest pojutrze. Od naszego pojednania minęły już cztery dni i pewna jestem, że tamta kłótnia miała na nas oboje zbawienny wpływ – dzięki niej Arthur stał się mi dużo bliższy, a jego zachowanie względem mnie znacząco się poprawiło. Od tamtej pory ani razu nie próbował mnie rozzłościć i nawet półsłówkiem nie wspomniął o Lady F. czy innych niegodnych wydarzeniach z jego przeszłości. Tak bardzo życzyłabym sobie wymazać je z pamięci – albo skłonić go do patrzenia na nie w ten sam sposób, co ja. W każdym razie wszystko to uświadomiło mi, że poruszanie takich tematów nie służy małżeństwu. A kiedyś być może zrozumie jeszcze więcej – nie zamierzam porzucać tej nadziei. I na przekór złym przeczuciom mojej ciotki oraz moim własnym niewypowiedzianym obawom wierzę, że jeszcze będziemy razem szczęśliwi.

Rozdział XXV

Pierwsza nieobecność

Ósmego kwietnia wyruszyliśmy do Londynu, ósmego maja zaś sama wróciłam do Grassdale Manor – zgodnie z życzeniami Arthura, ale zdecydowanie wbrew swoim własnym. Gdyby mi towarzyszył, byłabym bardzo rada wrócić do domu, ponieważ ożywione, miejskie życie, które wiodłam u jego boku w krótkim czasie srodze mnie zmęczyło. Mój mąż zdawał się zdecydowany wykorzystać każdą nadarzającą się okazję do tego, by pochwalić się mną przed swoimi poszczególnymi przyjaciółmi, znajomymi oraz nieznanymi i przy każdej takiej sposobności pilnował, bym ukazywała się im w jak najlepszym świetle. I choć satysfakcję sprawiała mi myśl, że uważa mnie za swój powód do dumy, płaciłam za to wysoką cenę. Po pierwsze bowiem, zmuszona byłam sprzeniewierzyć się swojemu gustowi i porzucić ulubione, proste sukienki na rzecz wystawnych, błyszczących toalet i kosztownej biżuterii, choć dawniej solennie obiecywałam sobie, że nigdy tego nie zrobię. Po drugie, nieustannie musiałam wyęźać wszystkie swoje zmysły i mieć się na baczności, by popełnieniem jakiejś towarzyskiej gafy nie zawieść nadziei, które Arthur we mnie pokładał. Po trzecie zaś, czułam się zagubiona w tym wielkomiejskim zgiełku i ścisku, oszołomiona pędem i zmiennością tamtejszego życia. Pewnego dnia w końcu Arthur sam zauważył, że pobyt w Londynie chyba mi nie służy, że muszę tęsknić za naszym domem na wsi i orzekł, że natychmiast powinnam wracać do Grassdale.

Śmiejąc się, zapewniłam go, że sprawa nie jest aż tak pilna, jak mu się zdaje, choć zaraz przyznałam, że jeśli sam chciałby wrócić do domu, ja nie będę miała nic przeciwko temu. W odpowiedzi usłyszałam jednak, że potrzebuje zostać w mieście jeszcze tydzień lub dwa, bowiem ma do załatwienia jakieś interesy.

– Zatem zostanę z tobą – powiedziałam.

– Ale to na nic, Helen – odparł Arthur. – Twoja obecność tutaj będzie tylko rozpraszać moją uwagę i przez to nigdy nie załatwię wszystkich pilnych spraw.

– Ale ja na to nie pozwolę – powiedziałam. – Teraz, kiedy wiem już, że czekają tutaj na ciebie jakieś obowiązki, dopilnuję, byś miał czas się nimi zająć i będę nalegała, żebyś zostawiał mnie samą. I prawdę mówiąc, chwila wytchnienia dobrze mi robi. Sama, tak jak do tej pory, będę mogła wybierać się na przejażdżki lub spacer po parku, a ty będziesz miał czas zająć się swoimi sprawami. Zresztą będziemy mogli widywać się na posiłkach i wieczorami, co zniosę tysiąckroć lepiej niż całkowitą rozłąkę i wiele dzielących nas mil.

– Ależ najdroższa, nie mogę pozwolić ci zostać. Jak mógłbym zajmować się interesami, wiedząc, że spędzasz tutaj całe dni w samotności...

– Nie będę czuła się samotna. Dopóki będziesz pochłonięty swoimi obowiązkami, Arthurze, nigdy nie będę się skarżyć na samotność. Gdybyś wcześniej powiedział mi, że

masz tutaj coś pilnego do zrobienia, już wszystko byłoby załatwione. Teraz musisz nadgonić stracony czas i podwoić swoje wysiłki. Jeżeli powiesz mi, co to takiego, zamiast być ci zawadą, być może będę umiała coś doradzić.

– Nie, nie – upierało się to krnąbrne stworzenie. – Helen, ty *musisz* pojechać do domu. Potrzebuję mieć pewność, że choć daleko, jesteś bezpieczna i zdrowa. Widzę, jak jesteś wyczerpana. Twoje oczy straciły blask, a z policzków znikł ten delikatny rumieniec, który zawsze je zdobił.

– To tylko ze zmęczenia zbyt dużą ilością przyjemności.

– Mylisz się, powiadam ci. To londyńskie powietrze musi tak na ciebie wpływać – brakuje ci świeżego, wiejskiego wiatru. Ale to już postanowione: nim miną dwa dni, znów go zaznasz. Pamiętaj o swoim stanie, najdroższa Helen: od twojego zdrowia zależy zdrowie – jeśli nie życie – naszego przyszłego szczęścia.

– A więc naprawdę chcesz się mnie pozbyć?

– Stanowczo tak. Sam zawiozę cię do Grassdale, a potem wrócę. Ale nie będzie mnie w domu najwyżej tydzień – w każdym razie nie więcej niż dwa tygodnie.

– Lecz skoro trzeba mi pojechać, pojedę sama. Nie ma takiej potrzeby, byś tracił czas i jeździł tam i z powrotem, skoro czekają tu na ciebie obowiązki.

Jednak pomysł wysłania mnie samej do domu nie przypadł mu do gustu.

– Za jakże bezbronne stworzenie musisz mnie uważać, skoro nie chcesz dopuścić do tego, bym przejechała sto mil w twoim własnym powozie i w towarzystwie twojego osobistego stangreta i służącej. Jeśli pojedziesz ze mną, z pewnością nie pozwolę ci potem zawrócić. Ale powiedz mi, Arthurze, *jakie* to interesy i dlaczego przedtem o nich nie wspominałeś?

– To tylko drobna sprawa, którą muszę omówić z moim radcą prawnym – odparł.

A następnie wdał się w szczegóły dotyczące pewnej ziemi, którą planował sprzedać, by móc spłacić część długów obciążających jego majątek. Jednak albo jego wyjaśnienia były zanadto nieskładne, albo mój umysł nie był wystarczająco lotny, bym mogła w pełni zrozumieć jego słowa, bowiem wciąż nie pojmowałam, dlaczego sprawa ta miałaby go zatrzymać w mieście na dwa tygodnie. Tym bardziej nie pojmuję, dlaczego miałaby go zatrzymywać na cały miesiąc – a tyle czasu mija właśnie od chwili, w której widzieliśmy się po raz ostatni. W swoich listach Arthur za każdym razem obiecuje mi, że zobaczymy się już za kilka dni, i za każdym razem mnie okłamuje – albo okłamuje samego siebie. Jego usprawiedliwienia są mętne i wymijające. Nie mam już wątpliwości co do tego, że znów wpadł w towarzystwo swych dawnych kompanów... Och, dlaczego zostawiłam go samego? I kiedy wreszcie do mnie wróci?

29 czerwca – Nadal ani śladu Arthura. Od wielu już dni nadaremnie wyglądam listu od niego. Jego listy – jeśli dane jest mi jakiś otrzymanie – są ujmujące, ale bardzo krótkie i pełne błahych wymówek i obietnic, w które przestałam wierzyć. Lecz z jaką niecierpliwością ich wyczekuję! Z jakim zapałem je otwieram i jak gorliwie pochłaniam

każde z tych niewielu słów napisanych w odpowiedzi na trzy lub cztery długie listy, które otrzymał ode mnie!

Och, to okrutne z jego strony, że skazuje mnie na tak długą samotność! Dobrze wie, że jedyną osobą, z którą mogę zamienić tutaj słowo jest Rachel, bowiem nie mamy żadnych sąsiadów – poza Hargrave'ami. Ich położoną pośród niskich, zalesionych wzgórz rezydencję można niewyraźnie dostrzec z górnych okien naszego domu. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam, że Milicent mieszka tak niedaleko, niezmiernie się ucieszyłam. Jej towarzystwo byłoby dla mnie teraz wielkim pocieszeniem, ale wciąż nie wróciła z matką z miasta i obecnie w Grove znajduje się jedynie mała Ester i jej francuska guwernantka, gdyż Waltera nigdy nie ma w domu. Dane mi było zobaczyć ów wzór męskich cnót w Londynie i choć w moim mniemaniu nie zasługiwał na peany, które wznosiła pod jego adresem jego siostra, z całą pewnością wydał się mi przyjemniejszy od Lorda Lowborough, szlachetniejszy od pana Grimsby'ego i wytworniejszy od pana Hattersley – reszty swoich przyjaciół Arthur nie uznał za słuszne mi przedstawić. Och, Arthurze, dlaczego nie przyjeżdżasz? Dlaczego chociaż do mnie nie piszesz? Tak bardzo zależało ci na moim zdrowiu, ale jak mogę odzyskać siły, skoro każdego dnia żyję w samotności i w niepokoju? Muszę poprosić wujostwo albo brata, by przyjechali mnie odwiedzić, choć będzie mi trudno przyznać się im do tego, że zostałam sama. Ale samotność to teraz moje najmniejsze strapienie. Co on tam robi? Co przez ten cały czas przeszkadza mu do mnie wrócić? To nieznośne pytanie i pojawiające się wraz z nim okropne podszepty mojej duszy zadają mi największe męki.

3 lipca – Mój ostatni, pełny goryczy list wreszcie skłonił go do odpowiedzi – i tym razem nieco dłuższej niż zwykle. Wciąż jednak nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. W swoim liście w żartobliwy sposób karci mnie za cierpkość moich ostatnich wynurzeń, powiadamia, że nawet sobie nie wyobrażam, jak wiele obowiązków zatrzymuje go w mieście i jednocześnie zapewnia, że nie bacząc na wszystko, zobaczymy się już przed końcem następnego tygodnia, choć będąc w swojej obecnej sytuacji, nie potrafi podać dokładnej daty swojego powrotu. Tymczasem mam się wykazać cierpliwością – „tą najprzedniejszą z kobiecych cnót”, wspomnieć na porzekadło „rozstanie umacnia uczucia” i znaleźć pociechę w myśli, że im dłuższe będzie nasze rozstanie, tym mocniej będzie mnie kochał po powrocie. Prosi też, żebym do tego czasu nie przestawała do niego pisać, bo choć niekiedy jest zbyt leniwy lub zbyt zajęty, by mi odpowiadać, lubi otrzymywać codziennie moje listy i jeśli, tak jak zagroziłam, postanowię ukarać go, przestając je do niego wysyłać, obrazi się i zrobi wszystko co w jego mocy, by mnie zapomnieć. Na końcu porusza jeszcze temat nieszczęsnej Milicent Hargrave:

„Twoja przyjaciółeczka Milicent prawdopodobnie niedługo pójdzie w Twoje ślady, przyjmując na siebie jarzmo stanu małżeńskiego. I uczyni to wraz z jednym z moich przyjaciół! Jak Ci wiadomo, Hattersley nie spełnił jeszcze swej groźby i nie związał swojego cennego życia z pierwszą lepszą starą panną, która by go zechciała, ale wciąż trwa w swym

postanowieniu, które zakłada, że nim ten rok się skończy, on będzie mężczyzną żonatym. «Tylko że – powiedział mi – muszę znaleźć taką, która nie będzie narzucać mi swojego zdania – taką, która nie będzie przypominała twojej, Huntingdon. To czarująca istota, ale sprawia wrażenie kobiety o żelaznej woli, kobiety, która niekiedy skłonna jest zamienić się w prawdziwą megierę». (Usłyszawszy te słowa, pomyślałem sobie: «masz rację, stary druhu»). «Potrzebne mi jakieś dobre, ciche stworzenie, które pozwoli mi robić to, na co mam ochotę – bez żadnych wyrzutów czy skarg, bo tych bym nie zniósł». «Cóż, jeżeli nie dbasz o pieniądze – odpowiedziałem – znam kogoś, kto będzie ci znakomicie odpowiadał. To Milicent, siostra Hargrave'a». Hattersley zażyczył sobie, ażebym niezwłocznie mu ją przedstawił, bo pieniędzy sam ma pod dostatkiem – a w każdym razie będzie miał, kiedy jego ojciec dokona już swego żywota. A więc, jak widzisz, Helen, ładnie wszystko urządziłem dla obojga naszych przyjaciół”.

Biedna Milicent! Nie sądzę jednak, że mogłaby przyjąć oświadczyzny kogoś takiego – kogoś, kto przeczy wszystkim jej wyobrażeniom o mężczyźnie szlachetnym i wartym jej uczucia.

5 lipca – Myliłam się. Dziś rano otrzymałam długi list od Milicent, w którym powiadamia mnie, że jest zaręczona i że przed końcem tego miesiąca będzie już kobietą zamężną.

„Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, Helen. Prawdę mówiąc, w ogóle nie lubię na ten temat myśleć. Jeśli mam zostać żoną pana Hattersley, muszę spróbować go pokochać. I doprawdy próbuję z całych sił, ale do tej pory nie uczyniłam żadnych postępów. A najgorszą rzeczą w tym wszystkim jest to, że zaczynam go lubić dopiero wtedy, kiedy znajduje się daleko ode mnie. Przeraza mnie jego obcesowość i dziwna skłonność do despotyzmu, myśl o poślubieniu go przepęlnia mnie trwogą. «Dlaczego więc go przyjęłaś?» – zapytasz zapewne. Nie wiedziałam, że go przyjęłam, ale mama powiada, że to zrobiłam i on również zdaje się tak myśleć. Bynajmniej nie miałam takiego zamiaru. Nie chciałam jednak udzielić mu kategorycznej odmowy, bo bałam się, że sprawię tym przykrość mamie (wiedziała, że życzy sobie, bym za niego wyszła) i chcąc z nią wpierw o tym porozmawiać, odpowiedziałam mu wymijająco i na w pół przecząco, jak mi się zdawało. Ale mama mówi, że brzmiało to prawie tak, jakbym go przyjęła i że uznałby mnie za niestałą w uczuciach, gdybym teraz spróbowała wszystko odwołać. I prawdą jest, że w tamtej chwili byłam tak zdezorientowana i wystraszona, że zaiste nie wiedziałam, co mówię. A kiedy spotkałam go po raz kolejny, przywitał się ze mną w sposób, który sugerował, że uważa mnie za swoją oficjalną narzeczoną, po czym natychmiast przeszedł do omawiania spraw z mamą. Nie miałam wtedy odwagi wyprowadzać ich z błędu, i jakże mogłabym zrobić to teraz? Pomyśleliby, że postradałam zmysły. Poza tym mama jest tak zachwycona, uważa go za tak znakomitą partię i nie mogę znieść myśli, że mogłabym ją teraz rozczarować. Czasami się jej sprzeciwiam i wyznaję jej, co naprawdę czuję, ale nie masz pojęcia, *jakich* ona używa argumentów. Pan Hattersley, jak wiesz, jest synem bogatego bankiera, a ponieważ Esther i ja nie mamy posagu, a majątek Waltera jest niewielki, naszej drogiej

mamie niezmiernie zależy na tym, żebyśmy dobrze wyszły za mąż – to znaczy: poślubiły bogatych mężczyzn. To nie jest moja definicja „dobrego wyjścia za mąż”, ale mama przecież chce dla nas dobrze. Powiada, że kiedy będzie miała mnie z głowy, odetchnie z ulgą. I zapewnia mnie, że poślubienie pana Hattersley przyniesie korzyści nie tylko mnie, ale też całej naszej rodzinie. Nawet Waltera cieszy ta perspektywa, a gdy wyznałam mu swoją niechęć do całej sprawy, powiedział, że jestem dziecinna. Czy Ty też uważasz, że jestem dziecinna, Helen? Byłoby mi wszystko jedno, gdybym wiedziała, że być może uda mi się go kiedyś pokochać. Jestem jednak pewna, że to niemożliwe. Nie ma w nim nic, co mogłoby wzbudzić mój szacunek i uczucie – jest dokładnym przeciwieństwem tego, jak wyobrażałam sobie swojego przyszłego męża. Napisz proszę i postaraj się dodać mi odwagi. Nie próbuj mnie zniechęcać, bowiem mój los jest przypieczętowany – wokół mnie trwają już przygotowania do tego ważnego wydarzenia. I nie pisz mi nawet jednego złego słowa na temat pana Hattersley, gdyż chcę dobrze o nim myśleć. I chociaż sama w tym liście nie mówiłam o nim zbyt dobrze, to już więcej się nie powtórzy. Odtąd nie pozwolę sobie na jedno słowo dezaprobaty pod jego adresem, nawet jeśli by sobie na nie zasłużył. I niech nikt nie ośmiela się znieważać człowieka, któremu ślubowałam miłość, szacunek i posłuszeństwo, bo spotka się z moim gniewem. Ostatecznie panu Hattersley niczego nie brakuje do pana Huntingdona, a być może jest nawet od niego lepszy. I jeśli Ty potrafisz kochać swego męża i być z nim szczęśliwa, kto wie, może ja też będę umiała? Musisz przekonać mnie, że pan Hattersley jest lepszym człowiekiem niż się wydaje, że jest prawy, szlachetny i serdeczny, że jest nieoszlifowanym diamentem, a ja o tym po prostu nie wiem – znam bowiem tylko jego powierzchowność i to, co jak sądzę, jest najgorszą stroną jego charakteru”.

Milicent kończy swój list słowami: „Do widzenia, droga Helen. Z niecierpliwością czekam na twoje rady – ale pamiętaj, by nadać im pozytywny wydźwięk”.

Biedactwo! W jaki sposób mogę dodać ci otuchy? I co innego mogę ci poradzić poza tym, że lepiej będzie sprzeciwić się teraz – nawet kosztem rozczarowania rodziny – niż skazać się na życie pełne niedoli i daremnego żalu?

13 lipca, sobota – Tydzień dobiegł końca, lecz Arthur nie przyjechał. Cała słodycz tego lata upływa mi bez jednego powiewu radości. A przecież tak wyczekiwałam tej pory roku, łudząc się, że będziemy się nią cieszyć we dwoje i że z Bożą pomocą i dzięki moim wysiłkom wszechobecność zbawiennego, niewinnego piękna natury uwzniośli duszę Arthura i uszlachetni jego upodobania. Teraz, kiedy wieczorami spoglądam na czerwoną tarczę słońca chowającą się za lesistymi wzgórzami, nie daje mi spokoju myśl, że oto kolejny czarowny dzień został zmarnowany. Gdy rano obudzona trzepotem skrzydeł i szczebiotem ptaków otwieram okno, by ujrzeć przed sobą cudowny, skąpany w promieniach słońca i kroplach rosy krajobraz, nazbyt często ronię niewdzięczne łzy, rozpaczając, że *jego* tutaj ze mną nie ma. A kiedy siadam w cieniu naszych dostojnych jesionów, których gałęzie delikatnie kołyszą się w powiewach łagodnego, letniego wiatru,

gdy uszy moje wypełnia nastrojowa melodia szeleszczących miękko liści i brzęczących cicho owadów, a przede mną rozciąga się szklana tafla naszego jeziora, wówczas również nie doznaję żadnej przyjemności. Im większe piękno roztacza przede mną natura, tym bardziej ubolewam nad tym, że *on* nie może się nim zachwycić. I im większe uniesienie moglibyśmy razem przeżyć, tym dotkliwiej odczuwam naszą niedolę – tak, naszą: wierzę bowiem, że *on* także cierpi, choć być może nie jest tego świadomy.

23 lipca – Niech Bogu będą dzięki – nareszcie wrócił! Ale jakże zmieniony! – poczerwieniały na twarzy, apatyczny i powolny. Jego uroda wydaje się przygaszona, jego dawna żywotność i fantazja całkiem go opuściły. Nie zganiłam go ani jednym słowem czy spojrzeniem, nie zapytałam nawet, co robił przez cały ten czas – nie mam do tego serca, gdyż sądzę, że i bez tego jest mu ogromnie wstyd. Dopytywania z mojej strony tylko sprawiłyby nam obojgu ból. Jest bardzo rad z mojej wyrozumiałości – wzruszony nią nawet, jak lubię myśleć. Powtarza, że jest szczęśliwy z powrotu do domu i Bóg jeden wie, jak bardzo ja jestem szczęśliwa z tego, że znów go przy sobie mam, pomimo jego obecnej kondycji. Prawie całe dni spędza, leżąc na sofie, a ja godzinami gram i śpiewam dla niego. Piszę za niego listy, przynoszę mu wszystko, czego potrzebuje, niekiedy mu czytam lub opowiadam o czymś, a czasem po prostu siedzę przy nim w milczeniu i pocieszam cichymi czułościami. Wiem, że nie zasługuje na nie i lękam się, że w ten sposób tylko go psuję, ale tym razem dobrowolnie mu wybaczam, mając nadzieję, że poprzez rozbudzenie w nim poczucia wstydu sprowadzę go na drogę cnotliwości i nigdy więcej już mnie nie zostawi.

Cieszy go moja troskliwość i lubi, kiedy przy nim jestem. I choć jest nieprzyjemny i drażliwy wobec służących i swoich psów, mnie traktuje z łagodnością i dobrocią. Jaki byłby, gdybym nie uprzedzała jego życzeń i bacznie nie unikała wszystkiego, co mogłoby go rozzłościć lub zmartwić? Nie umiem powiedzieć. Jakże bardzo życzyłamby sobie, by był wart tych wszystkich zabiegów! Ostatniego wieczoru, gdy jego głowa spoczywała na moich kolanach i przebiegałam właśnie palcami po jego pięknych włosach, owa myśl sprawiła, że moje oczy napełniły się gorzkimi łzami. Często zdarza mi się płakać, ale tym razem jedna z łez spadła na jego twarz, każąc mu podnieść na mnie wzrok. Arthur uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu nie było wyniosłości.

– Najdroższa Helen! Dlaczego płaczesz? Wiesz przecież, że cię kocham – powiedział i przycisnął moją rękę do swoich ust. – Czego jeszcze mogłabyś chcieć?

– Tylko tego, Arthurze, żebyś kochał *siebie* tak mocno i prawdziwie, jak ja cię kocham.

– To doprawdy byłoby bardzo trudne! – odpowiedział, czule ściskając moją dłoń.

Nie wiem, czy zrozumiał, co miałam na myśli, ale uśmiechnął się smutno – co w jego przypadku jest rzeczą niespotykaną – a potem zamknął oczy i zasnął niczym pozbawione trosk, niewinne dziecko. Gdy przyglądałam się jego spokojnej, wygładzonej snem twarzy, serce moje ścisnęło się jeszcze bardziej i łzy popłynęły z moich oczu niepohamowanym strumieniem.

24 sierpnia – Arthur przyszedł już do siebie i na powrót jest tamtym pełnym życia, niefrasobliwym człowiekiem, któremu trudno dogodzić, który przypomina rozpieszczone dziecko i który, tak jak dziecko, skłonny jest do psot – zwłaszcza gdy deszczowa aura zmusza go do pozostania w domu. Pragnęłabym, by miał jakieś zajęcie – pożyteczne obowiązki lub wartościową profesję – cokolwiek, byleby codziennie zajmowało jego uwagę na kilka godzin i skłaniało go do myślenia o czymś więcej niż tylko własna przyjemność. Mógłby zainteresować się swoim gospodarstwem... Albo spróbować nauczyć się czegoś nowego – rysować czy grać na instrumencie, skoro ma takie upodobanie do muzyki... Często próbuję nakłonić go do tego, by zaczął uczyć się gry na fortepianie. Jest jednak na to zbyt leniwy i nawet do głowy by mu nie przyszło, że mógłby pokonywać stojące przed nim przeszkody – tak samo, jak nie przychodzi mu do głowy to, że można walczyć ze swoimi słabościami. I na tym polega właśnie jego największe nieszczęście. Winą za to wszystko obarczam jego surowego, choć lekkomyślnego ojca oraz jego nazbyt pobłażliwą matkę. I obiecuję sobie, że jeżeli mnie samej kiedykolwiek dane będzie zostać matką, z całych sił starała się będę nie popełnić zbrodni nadmiernej wyrozumiałości wobec własnego dziecka.

Na szczęście niedługo rozpocznie się sezon polowań, a wtedy – jeśli pogoda okaże się łaskawa – czas mojego męża wypełniać będzie uniestwianie kuropatw i bażantów. Właściwie już mógłby się tym zająć, zamiast leżeć pod akacją i ciągnąć za uszy nieszczęsnego Dasha. Powiada jednak, że w samotnym polowaniu nie ma nic przyjemnego i że potrzebna mu pomoc jednego lub dwóch z jego przyjaciół.

– Oby tylko byli przyzwoici, Arthurze – powiedziałam.

Kiedy z jego ust pada słowo „przyjaciel”, cała dygoczę. Wiem dobrze, że to ci „przyjaciele” nakłonili go do pozostania w Londynie – to oni odebrali mi go na tak długi czas. Z wypowiedzianych przez niego czasem nieopatrznie słów wywnioskowałam, że musiał często pokazywać swoim kompanom moje listy, szcząc się tym, jak oddaną ma we mnie żonę i jak bardzo za nim tęsknię. Oni zaś tydzień po tygodniu przekonywali go, by się z nimi nie rozstawał i popychali go do różnego rodzaju ekscesów, a on im ulegał, nie chcąc narazić się na śmieszność i bojąc się, że mogliby poczytać go za głupca, który ustępuje we wszystkim żonie.

– Cóż, myślałem między innymi o Lordzie Lowborough. Ale ponieważ nie możemy liczyć na to, że będzie mógł przyjechać bez swojej drugiej połowy, którą jest nasza wspólna znajoma, Annabella, trzeba nam będzie zaprosić ich oboje. Chyba się jej nie obawiasz, Helen? – zapytał z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Oczywiście, że nie – odrzekłam. – Dlaczego miałabym się jej obawiać? Kogo jeszcze chciałbyś zaprosić?

– Na przykład Hargrave’a. Zapewne rad będzie się u nas zatrzymać, bowiem chociaż jest naszym bliskim sąsiadem, posiada niewiele terenów łowczych. To całkiem poważany człowiek, Helen – damy bardzo go lubią. Do tego myślę jeszcze o Grimsbym, który jest zacnym, dość cichym jegomościem. Nie będziesz miała nic przeciwko niemu?

– Nie znoszę go. Ale jeżeli życzysz sobie jego obecności, postaram się na jakiś czas uzbroić w cierpliwość.

– To tylko twoje uprzedzenia, Helen – zwykła, kobieca niechęć.

– Ależ nie, mam prawdziwe powody, by go nie lubić. Czy to już wszyscy?

– Tak sędzę. Hattersley będzie teraz zbyt zajęty swoją nową małżonką, by znaleźć czas na strzelanie – odparł.

I to przypomniało mi, że od dnia swojego ślubu Milicent przysłała mi już kilka listów, z których wynika, że jest całkiem pogodzona z własnym losem. Twierdzi, że odkryła w swoim mężu bezlik cnót i zalet, z których część, jak się obawiam, byłaby niedostrzegalna dla bardziej obiektywnej pary oczu. Milicent zapewnia, że teraz, kiedy przyzwyczaiła się już do jego tubalnego głosu, bezceremonialności i braku dobrych manier, bez trudu potrafi kochać go tak, jak powinna kochać żona i błaga mnie, ażebym spaliła ów list, w którym pisała na jego temat w tak nierozsądny sposób. Być może rzeczywiście jest z nim szczęśliwa. Choć owo poczucie szczęścia wynikać może tylko z dobroci jej serca. Gdyby bowiem postanowiła uważać się za ofiarę swojego przeznaczenia lub ambicji swojej matki i nie starałaby się pokochać swojego męża, nienawidziłaby go do końca swoich dni.

Rozdział XXVI

Goście

23 września – Goście przybyli około trzy tygodnie temu. Lord i Lady Lowborough są już małżeństwem od ponad ośmiu miesięcy i muszą przyznać, że jestem pełna uznania dla Annabelli, bowiem jej mąż stał się zupełnie innym człowiekiem. Od chwili, w której widziałam go po raz ostatni jego usposobienie, tak jak i jego wygląd zewnętrzny, zdecydowanie zmieniły się na lepsze. Jednak sporo brakuje mu jeszcze do doskonałości. Niekiedy popada w melancholię i Annabella często narzeka na jego zły humor, choć zasadniczo jest ona ostatnią osobą mającą do tego prawo. Lord Lowborough nigdy nie okazuje jej swego niezadowolenia – z wyjątkiem sytuacji, które wyprowadziłyby z równowagi świętego – do tego uwielbia ją i rad byłby jej nieba przychylić. Ona jest świadoma swojej władzy nad nim i nie boi się z niej korzystać. Ale wiedząc dobrze, że przymilanie się i proszenie po dobroci bezpieczniejsze jest od wydawania rozkazów, w inteligentny sposób łagodzi swój despotyzm taką ilością pochlebstw i komplementów, że Lord Lowborough zaiste miałby powody po temu, by uważać się za wyjątkowo szczęśliwego człowieka. Mimo to, nawet w jej obecności jego czoło zasnuwa niekiedy cień – raczej melancholii niż irytacji i zazwyczaj wywołany niestałością charakteru Annabelli i jej lekceważącym stosunkiem wobec wyznawanych przez niego zasad. Są to prawdopodobnie chwile, w których dociera do niego to, że jego żonie – pomimo całego jej uroku – brakuje szlachetności duszy, i wówczas współczuję mu z całego serca, bowiem dobrze znam ból takich refleksji.

Lady Lowborough dokucza swemu mężowi i w inny sposób – mianowicie flirtując otwarcie, choć nie nazbyt rażąco, z panem Huntingdonem, który zresztą bardzo ochoczo bierze udział w tej grze. Nie boli mnie to jednak, gdyż wiem, że z jego strony to nic innego, jak chęć zaspokojenia własnej próżności, wzbudzenia we mnie uczuć zazdrości i być może także dokuczenia swemu przyjacielowi. Nią bez wątpienia kierują te same pobudki, z tą różnicą, że w jej manewrach jest mniej żartobliwości, za to więcej złościwości. Zdecydowana rozczarować ich oboje, nieprzerwanie zachowuję stoicki spokój, nie tracę pogody ducha i najlepiej jak umiem manifestuję swoje zaufanie do męża i całkowitą obojętność wobec sztuczek mojego atrakcyjnego gościa. Dotąd nie czyniłam Arthurowi żadnych wymówek, jedynie raz upomniałam go, gdy pewnego wieczoru zażartował sobie z chmurnego oblicza Lorda Lowborough. Arthur jednak tylko roześmiał się, mówiąc:

– Współczujesz mi, Helen, prawda?

– Współczuję każdemu, kto traktowany jest przez innych krzywdząco – odparłam. – I tym, którzy krzywdzą również współczuję.

– Ależ Helen, jesteś tak samo zazdrosna, jak on! – zawołał Arthur, wciąż się śmiejąc.

Na próżno starałam się go przekonać, że jest w błędzie. Od tego czasu zatem pilnuję się, by w ogóle nie reagować na podobne sytuacje i pozwalam Lordowi Lowborough samemu się o siebie troszczyć. Ale przyznaję, że niekiedy czuję zazdrość w sercu – najboleśniej wówczas, gdy Annabella gra i śpiewa dla Arthura, a on pochylony nad instrumentem z niekłamanym podziwem wsłuchuje się w jej głos. Wiem wtedy, że jest nią prawdziwie zachwycony i że ja swoimi prostymi pieśniami nigdy nie będę potrafiła poruszyć nim tak bardzo.

Jednakże gdybym miała na to ochotę, mogłabym się łatwo zemścić, bowiem pan Hargrave często okazuje mi swoje względy, zwłaszcza wówczas, kiedy Arthur mnie zaniedbuje. Nie umiem powiedzieć, czy jego uprzejmości wynikają z błędnego przekonania o tym, że potrzebne mi współczucie, czy też z chęci ukazania się z jak najlepszej strony na tle mojego źle wychowanego męża. Lecz bez względu na to, jakie kierują nim motywy, jego grzeczności są mi nieznośne. Nawet jeśli mój mąż niekiedy zachowuje się wobec mnie w sposób nieco lekceważący, nasz gość nie ma prawa litować się nade mną niczym nad zaniedbaną żoną, którą w rzeczywistości nie jestem. Niemniej, zgodnie z zasadami gościnności, tłumię w sobie wszystkie urazy i odnoszę się do pana Hargrave'a z należytą serdecznością. Oddając mu sprawiedliwość, muszę przyznać, że jest on całkiem przyjemnym rozmówcą – posiada dużą wiedzę, dobry smak i potrafi dyskutować na wiele interesujących tematów, których Arthur nigdy by nie poruszył. Mój mąż nie lubi zresztą, gdy rozmawiam z Hargrave'em i wyraźnie złości go nawet najdrobniejsze akty uprzejmości z jego strony. Nie dlatego, że żywi wobec mnie jakieś niegodne podejrzenia – zwyczajnie nie może znieść myśli, że mogłabym się dobrze bawić w towarzystwie kogoś innego niż on sam. Dobrze wie, że jest mi słońcem, ale kiedy decyduje się poskąpić mi swego światła, nie godzi się na to, by moje czarne niebo rozświetlił jakiś księżyc albo gwiazda. To niesprawiedliwe i niekiedy mam ochotę odplacić mu tym samym. Nie ulegnę jednak tej pokusie. Jeśli w swojej zabawie moimi uczuciami Arthur posunie się za daleko, znajdę inny sposób na to, by go poskromić.

28 września – Wczoraj pojechaliśmy wszyscy do Grove – siedziby pana Hargrave'a, którą on ostatnimi czasy bardzo zaniedbuje. Jego matka, chcąc się nacieszyć obecnością swego drogiego Waltera, często nas do siebie zaprasza i tym razem wydała przyjęcie, gromadząc pod swoim dachem tylu przedstawicieli okolicznego ziemiaństwa, ilu zdołała. Wieczór był bardzo udany, ale nie potrafiłam przestać myśleć o tym, jak bardzo kosztowne musiało być to wszystko. Nie polubiłam pani Hargrave – to sroga, pretensjonalna materialistka. Miałaby dość pieniędzy, by wieść bardzo wygodne życie, gdyby tylko potrafiła korzystać z nich z umiarem i swego syna nauczyła tego samego, nie starała się za wszelką cenę zachowywać pozorów zamożności i wyzbyła się tego podłego rodzaju dumy, która każe ludziom patrzeć na ubóstwo jak na niewybaczalną zbrodnię. Pani Hargrave wykorzystuje swoich podwładnych, oszczędza na służących i nawet własne córki i samą siebie pozbawia

istotnych życiowych wygod, ponieważ w swej grze pozorów ani myśli ustępować pola tym, którzy posiadają trzykrotnie większy majątek od niej. Przede wszystkim zaś zależy jej na tym, by jej ukochany syn mógł „trzymać głowę wysoko pośród najprzedniejszych dżentelmenów”. Ów syn, jak mniemam, jest człowiekiem kosztownych zwyczajów – nie lekkomyślnym utracjuszem czy zepsutym hedonistą, ale kimś, kto lubi „otaczać się pięknymi przedmiotami” i nie odmawia sobie młodzieńczych przyjemności; choć nie po to, ażeby zaspokoić własne potrzeby czy upodobania, lecz by podtrzymać swą reputację światowca i dotrzymać kroku swym rozpasanym przyjaciółom. I co z tego, że czyni to kosztem swych kochających krewniaczek, pozbawiając je wielu życiowych udogodnień, których nie brakowałoby im, gdyby tylko pohamował swą skłonność do rozrzutności? Być może surowo oceniam naszego „drogiego, szlachetnego i wspaniałomyślnego Waltera”, ale obawiam się, że mam ku temu podstawy.

Na wpół przyczyną i na wpół konsekwencją powyższych błędów jest to, że pani Hargrave pragnie jak najlepiej wydać swoje córki za mąż. Owe próby pokazania się światu z jak najlepszej strony w jej zamierzeniu miały zapewnić im lepsze widoki na przyszłość, jednak żyjąc ponad stan i rozpieszczając ich starszego brata, pozbawiła je posagu i sama przyczyniła się do tego, że stały się ciężarem na jej barkach. I obawiam się, że nieszczęsna Milicent już padła ofiarą swojej błędzającej matki, która teraz gratuluje sobie tego, że tak pomyślnie udało jej się wywiązać ze swojego matczynego obowiązku względem starszej córki i już snuje podobne plany wobec młodszej. Jednak Esther jest na razie jedynie dzieckiem – zaledwie czternastoletnią, rozbrykaną dziewczynką – równie zacną, niewinną i prostoduszną jak jej siostra, lecz posiadającą niezależną, silną wolę, którą w przyszłości jej matce niełatwo będzie złamać czy nagiąć dla swych celów.

Rozdział XXVII

Występek

9 października – Podczas gdy dżentelmeni włóczą się po lasach, a Lady Lowborough zajęta jest pisaniem listów, ja wracam do swojego dziennika, a czynię to po to, ażeby zrelacjonować słowa i wydarzenia, które, mam nadzieję, już nigdy się nie powtórzą.

Wszystko miało miejsce w wieczór 4 października. Annabella popisywała się swymi talentami muzycznymi – jak zwykle pod czujnym okiem stojącego obok niej Arthura, a kiedy jej pieśń dobiegła końca, zamiast odejść od instrumentu jeszcze chwilę przy nim siedziała, podczas gdy mój mąż pochylony nad jej krzesłem szeptał jej coś do ucha. Skierowałam wzrok na Lorda Lowborough, który znajdował się w drugim końcu pomieszczenia. Rozmawiał właśnie z panami Hargrave'em i Grimsbym, ale od czasu do czasu rzucał w kierunku swej żony i pana domu nerwowe, niespokojne spojrzenie, które zdawało się bardzo bawić Grimsby'ego. Postanawiając przerwać tamto *tête-à-tête*, wstałam i z pulpitu na nuty wybrałam jeden z zeszytów, po czym ruszyłam w stronę fortepianu z zamiarem poproszenia damy o zaśpiewanie kolejnej pieśni. Zaraz jednak, widząc radosny uśmiech na zarumienionej twarzy Annabelli i jej dłoń schowaną w dłoniach mojego męża, zamarłam z przerażenia. A potem poczułam, jak krew szturmem wdziera się do mego serca i głowy, bowiem zobaczyłam jeszcze więcej: w tej samej chwili, w której się do nich zbliżałam, Arthur rzucił przez ramię pospieszne spojrzenie na osoby przebywające w drugiej części pokoju, a następnie żarliwie przycisnął dłoń Annabelli do swoich ust, przeciwko czemu tamta bynajmniej nie protestowała. Kiedy oboje mnie zauważyli, on wydał się zaskoczony i skonsternowany, ona natomiast popatrzyła na mnie wyzywająco. Położyłam nuty na fortepianie i odeszłam. Na szczęście robiło się późno i za chwilę towarzystwo miało się rozejść, toteż mimo że czułam się chora, nie uciekłam z pokoju. Zamiast tego, podeszłam do kominka i wsparłam głowę o jego gzyms. Po kilku minutach jakiś głos zapytał, czy coś mi dolega. Nie odpowiedziałam – w owej chwili zresztą w ogóle nie zrozumiałam tamtego pytania. Ale podnosząc mechanicznie wzrok, ujrzałam pana Hargrave'a, który stał obok mnie na dywaniku.

– Czy życzy sobie pani, bym przyniósł jej kieliszek wina? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odrzekłam.

Odwróciwszy się do niego plecami, rozejrzałam się wokół. Lady Lowborough stała pochylona nad swym siedzącym mężem, trzymając dłoń na jego ramieniu, przemawiając do niego miękkiem głosem i z uśmiechem spoglądając mu w twarz. Arthur zaś przeglądał przy stole książkę z rycinami. Sama siadłam na najbliższym krześle, a pan Hargrave, zrozumiawszy, że nie życzę sobie jego usług, taktownie się wycofał. Niebawem goście rozeszli się doswych sypialni, a Arthur zbliżył się do mnie z nader zuchwałym uśmiechem

na twarzy.

– Czy jesteś *bardzo* zła, Helen? – wyszeptał.

– To nie żarty, Arthurze – odpowiedziałam poważnie, starając się zachować spokój. –

Chyba że perspektywa stracenia na zawsze mojego uczucia wydaje ci się zabawna.

– Jak to? Jesteś aż tak rozżalona? – wykrzyknął, wybuchając śmiechem i chwytając moją dłoń, którą jednak z oburzeniem wyrwałam z jego uścisku.

Poczułam niemal odrazę, bowiem najwyraźniej był pod wpływem wypitego wina.

– Wobec tego muszę paść na kolana – rzekł, klękając przede mną z rękoma wzniesionymi w udawanym geście ukorzenia, po czym dodał błagalnie: – Wybacz mi, Helen! ... Najdroższa Helen, jeśli mi wybaczysz, nigdy więcej już nie uczynię czegoś takiego! – i chowając twarz w swojej chustce, zaniósł się udawanym szlochem.

Zostawiając go tak, jak klęczał, zabrałam swoją świecę i przemykając cicho z pomieszczenia do pomieszczenia, pospieszyłam na górne piętro. On jednak popędził za mną i nim zdążyłam zamknąć mu przed nosem drzwi swojej sypialni, wdarł się do środka i chwycił mnie w ramiona.

– Nie, nie! Na nieba, nie uciekniesz mi tak łatwo! – zawołał.

Zaraz jednak, dostrzegając moje wzburzenie, zaapelował, abym się uspokoiła, mówiąc, że stałam się blada niczym pergamin i że mój gniew mógłby mnie zabić.

– Więc puść mnie – powiedziałam cicho, na co on natychmiast wypuścił mnie ze swych objęć.

I słusznie uczynił, bowiem zaiste wstąpiła we mnie furia. Opadłam na fotel i spróbowałam się opanować, gdyż chciałam być w stanie rozmawiać z nim bez emocji. On stanął obok, ale przez kilka chwil nie ośmielał się mnie dotknąć czy przemówić. Wreszcie podszedł nieco bliżej i przyklęknął – już nie w szyderczym geście, lecz po to, by móc zajrzeć mi w twarz. I trzymając dłoń na poręczy mojego fotela, zaczął cichym głosem:

– To wszystko głupstwa, Helen – zaledwie nic nieznaczący żart, niewart jednej myśli. Czy *nigdy* nie pojmiesz, że z mojej strony nie masz się czego obawiać? – ciągnął dalej już śmielszym tonem. – Że kocham cię całą, całym swoim sercem? I że nawet... – dodał z czającym się gdzieś głęboko uśmiechem – nawet jeśli poświęcę jedną myśl innej, nie powinno ci to przeszkadzać, bo te myśli są jak ulotne mgnienie – ledwie się pojawiają, już ich nie ma, podczas gdy moja miłość dla ciebie płonie nieprzerwanym ogniem – wiecznym jak słońce. Mała despotko, czy to...

– Zamilknij na chwilę, Arthurze – przerwałam mu. – I pozwól mi coś powiedzieć. Nie myśl sobie, że szaleję z zazdrości... Jestem doskonale spokojna, dotknij mojej dłoni...

Ale moja wyciągnięta do niego, roztrzęsiona dłoń zdawała się przeczyć moim słowom.

Na twarzy Arthura pojawił się uśmiech.

– Proszę się nie uśmiechać, sir – powiedziałam, patrząc na niego wzrokiem tak surowym, że prawie się przede mną cofnął. – Być może owe próby wzbudzenia we mnie zazdrości traktuje pan jako przednią zabawę, ale proszę uważać, by zamiast tego nie wzbudził pan we mnie nienawiści.

– Helen, to już się więcej nie powtórzy. Ale zapewniam cię, tamto nic dla mnie nie znaczyło. Wypiłem zbyt wiele wina i w ogóle nie byłem sobą.

– Używanie w nadmiarze wina to kolejny twój zwyczaj, którego nie znoszę – rzekłam, a on spojrzał na mnie zaskoczony gwałtownością moich słów. – Tak. Nigdy dotąd o tym nie wspominałam, bo było mi wstyd. Ale teraz oświadczam ci, że jeśli w porę nie zapanujesz nad tą skłonnością i przerodzi się ona w nałóg, zacznę czuć do ciebie wstręt. Jestem jednak pewna, że twoje dzisiejsze zachowanie względem Lady Lowborough nie miało nic wspólnego z winem i że dobrze wiedziałeś, co robisz.

– Cóż, bardzo tego żałuję – odparł z większą dozą irytacji niż skruchy. – Czego więcej ode mnie oczekujesz?

– Niewątpliwie żałujesz tego, że zostałeś schwytyany na gorącym uczynku – powiedziałam zimno.

– Gdybyś nic nie zauważyła – mruknął, wbijając wzrok w dywan – nie byłoby kłopotu. Nie stało się przecież nic złego.

Gotowa byłam wybuchnąć, ale siłą powściągnęłam emocje i odrzekłam cicho:

– Tak sądzisz?

– Owszem – odparł zuchwale. – Wszak co takiego zrobiłem? To ty postanowiłaś z tego głupstwa uczynić pretekst do stawiania mi oskarżeń i wylewania swych żali.

– Co pomyślałby sobie Lord Lowborough, twój *przyjaciół*, gdyby dowiedział się o wszystkim? Albo co ty byś sobie pomyślał, gdyby on zachował się wobec mnie tak, jak ty zachowałeś się względem Annabelli?

– Zastrzeliłbym go jak psa.

– Wobec tego, Arthurze, jak możesz nazywać głupstwem występki, który sam, jak powiadasz, uznałbyś za uzasadniony powód do zabicia drugiego człowieka? Czy twoim zdaniem głupstwem jest ranienie mojego serca? Czy zwykłą drobnostką jest rywalizowanie z mężem o uczucia jego żony – żony, którą on uważa za swój największy skarb? Czy przysięga małżeńska jest dla ciebie ledwie żartem, a postępowanie wbrew niej i nakłanianie drugiej osoby, by zrobiła to samo jest dla ciebie zabawą? Czy mogę kochać człowieka, który dopuszcza się tego wszystkiego i chłodno stwierdza, że to nic wielkiego?

– To ty łamiesz przysięgę małżeńską – powiedział Arthur, podnosząc się gwałtownie. – Obiecywałaś mi szacunek i posłuszeństwo, a teraz próbujesz mnie tyranizować, grozisz mi, czynisz mi wyrzuty i traktujesz gorzej niż jakiego zbója. Gdyby nie twój stan, Helen, nie pozwalałbym na to. Żadna kobieta nie będzie mną rządzić, nawet moja żona.

– Zatem co zamierzasz? Będziesz postępował w ten sposób aż cię znienawidzę, a wtedy oskarżysz mnie o niedotrzymywanie przysięgi małżeńskiej?

Przez chwilę milczał, ale wreszcie odpowiedział:

– Nigdy mnie nie znienawidzisz.

A potem znów uklęknął u moich stóp i powtórzył bardziej stanowczym tonem głosu:

– Dopóki będę cię kochał, dopóty nie będziesz mogła mnie nienawidzić.

– Ale jak mogłabym wierzyć w twoją miłość, wiedząc, że nadal tak postępujesz?

Wyobraź sobie siebie na moim miejscu – czy wierzyłbyś w moją miłość, gdybym zachowywała się tak, jak ty? Czy w takich okolicznościach wierzyłbyś w moje zapewnienia o uczuciu, szanował mnie i ufał mi?

– To nie to samo – odrzekł. – W kobiecej naturze leży bycie wierną... Kobiety kochają nas ślepo, całym sercem i na wieczność – niech je Bóg błogosławi! A ty z nich wszystkich jesteś najlepsza – ale musisz okazać nam trochę współczucia, Helen, trochę więcej swobody, gdyż jak powiedział Szekspir:

*„Bo wbrew męskiej pysze,
Nasze uczucia są chwiejniejsze, bardziej
Płochę, mniej trwałe i gasnące szybciej
Niż żar kobiecych serc”^[8].*

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że twoje uczucia do mnie zgasły? I że twoje serce zapłonęło do Lady Lowborough?

– Nie. Bóg mi świadkiem, że w porównaniu z tobą jest ona dla mnie jak kurz i popiół. I dalej tak będzie, pod warunkiem, że nie zrazisz mnie do siebie swoją nadmierną surowością. Ona jest zwykłą córką ziemi – ty jesteś aniołem zrodzonym w Niebie. Tylko nie bądź zbyt nieludzka w tej swojej świętości i pamiętaj, że ja jestem nieszczęsnym, omylnym śmiertelnikiem. A więc, Helen? Wybaczysz mi? – zapytał, chwytając delikatnie moją dłoń i patrząc mi w oczy z niewinnym uśmiechem.

– Jeżeli ci wybaczę, tamto znowu się powtórzy.

– Przysięgam ci na...

– Nie przysięgaj – w twoje przysięgi wierzę tak samo, jak w twoje zwykłe słowa. Żałuję, że nie mogę ufać ani pierwszym, ani drugim.

– Pozwól mi więc udowodnić, że się mylisz, Helen. Wybacz mi tylko ten jeden raz, a się przekonasz! Błagam cię, dopóki nie powiesz, że mi wybaczasz, będę cierpiał męki piekielne.

Nic nie powiedziałam, za to, kładąc dłoń na jego ramieniu, ucałowałam go w czoło i wybuchnęłam płaczem. On objął mnie czule i od tamtej chwili żyjemy w wielkiej przyjaźni. Arthur nie nadużywa już wina podczas posiłków i jego zachowanie wobec Lady Lowborough jest nienaganne. Nazajutrz po tamtym incydencie trzymał się od niej tak daleko, jak tylko pozwalały na to normy gościnności. Później zaś zaczął odnosić się do niej z serdeczną uprzejmością, ale to wszystko – przynajmniej w mojej obecności. Mam jednak powody wierzyć, że i pod moją nieobecność traktuje ją obojętnie, bowiem Annabella sprawia teraz wrażenie bardzo niezadowolonej, za to Lord Lowborough jest w zdecydowanie lepszym nastroju niż przedtem, a jego stosunek do pana domu stał się serdeczniejszy. Ja jednakże nie mogę doczekać się chwili, w której jego lordowska mość i jego małżonka opuszczą nasz dom. Mam bowiem tak niewiele sympatii dla Annabelli, że z wielkim trudem przychodzi mi bycie grzeczną wobec niej, a ponieważ jesteśmy jedynymi kobietami

w towarzystwie, z konieczności spędzamy razem sporo czasu. Owa sytuacja tak mi doskwiera, że gdyby z kolejną wizytą postanowiła przybyć do nas pani Hargrave, uznałabym to za wybawienie. Mam wielką ochotę ją zaprosić i chyba postaram się przekonać Arthura do tego pomysłu. Starszej damie na pewno przypadłby do gustu taki dowód zainteresowania z naszej strony i choć nie przepadam zaledo za jej towarzystwem, jej obecność niewątpliwie sprawi, że nie będę musiała tak często obcować z Lady Lowborough.

Następnego ranka, godzinę lub dwie po śniadaniu, po raz pierwszy od owego nieszczęsnego wieczoru znalazłam się sam na sam z Annabellą. Dżentelmeni, spędziwszy ranek na pisaniu listów, czytaniu gazet i chaotycznych rozmowach, przebywali teraz poza domem. Przez dwie lub trzy minuty siedziałyśmy razem w milczeniu – ona zajęta była swoją robótką, a ja przebiegałam wzrokiem po nagłówkach w gazecie, które już od dwudziestu minut znałam na pamięć. Była to dla mnie bardzo krępująca chwila i sądziłam, że tym bardziej krępująca musi być dla Annabelli. Wygląda jednak na to, że się myliłam, bowiem odezwała się jako pierwsza, do tego uśmiechając się bardzo wyniośle:

– Ostatniego wieczoru twój mąż był bardzo rozweselony, Helen. Czy często się mu to zdarza?

Poczułam, jak krew wrze w mojej twarzy, ale doszłam do wniosku, że lepiej, by tłumaczyła sobie jego zachowanie upojeniem alkoholowym niż innymi powodami.

– Nie – odrzekłam. – I wierzę, że nigdy już do czegoś takiego nie dojdzie.
– Kiedy znaleźliście się w zaciszu waszej sypialni, zapewne udzieliłaś mu reprimendy?
– Nie. Ale powiedziałam mu, że nie spodobało mi się jego zachowanie, a on obiecał, że to się więcej nie powtórzy.

– Dziś rano wydał mi się przygaszony – ciągnęła dalej. – I widzę, że ty, Helen, płakałaś – wszak łyż to jedna z naszych najwspanialszych sztuczek. Ale czy nie pieką cię potem oczy? I czy w twoim przypadku ten argument jest zawsze skuteczny?

– Nie potrafię płakać dla efektu. I w ogóle nie wiem, jak tak można.
– Hm, sama nie wiem. Nigdy nie miałam okazji spróbować. Ale myślę, że gdyby Lowborough zachował się w tak nieprzyzwoity sposób, dopilnowałabym, żeby to *on* płakał. Nie dziwi mnie, że byłaś rozgniewana, bo ja swojemu mężowi nawet za drobniejsze wykroczenie udzieliłabym takiej lekcji, że zapamiętałby to na bardzo długi czas. Jednak on nigdy czegoś takiego nie robi, bo wiem, jak trzymać go w ryzach.

– Czy aby zaledo sobie nie pochlebiasz? Lord Lowborough słynął ze swej wstrzemięźliwości jeszcze zanim się z tobą ożenił.

– Och, mówisz o winie – tak, pod tym względem niczego się nie obawiam. Ale nie muszę się też obawiać tego, że pożądlwym wzrokiem spojrzy kiedyś na jakąś inną kobietę, bowiem czi ziemię, po której stąpam.

– Czyżby? I jesteś pewna, że na to zasługujesz?
– Tego nie potrafię powiedzieć: wiesz dobrze, Helen, że jesteśmy omylnymi istotami i żadne z nas nie zasługuje na uwielbienie. Ale czy ty jesteś pewna, że twój najdroższy

Huntingdon wart jest całej tej miłości, którą mu dajesz?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć na to pytanie. Choć w moim wnętrzu płonął gniew, nie pozwoliłam mu się uzewnętrznić i przygryzłam jedynie wargę. Annabella wykorzystała swoją przewagę, dodając jeszcze:

– Przynajmniej możesz pocieszyć się myślą, że *ty* jesteś warta całej tej miłości, którą on daje tobie.

– Pochlebiasz mi – odrzekłam. – Ale prawdą jest, że staram się być jej warta.

Powiedziawszy to, zmieniłam temat rozmowy.

Rozdział XXVIII

Ojcowskie uczucia

25 grudnia – Rok temu w Boże Narodzenie byłam panną młodą z sercem wypełnionym poczuciem szczęścia i żarliwymi nadziejami na przyszłość, mimo że nie zabrakło też i pewnych obaw. Teraz jestem żoną, i choć moje serce zdążyło już otrzeźwieć, to nadal bije mocno; choć moje nadzieje osłabły, to wciąż istnieją; choć moje obawy wzrosły, to nie mam pewności, czy są uzasadnione. Dziękować Niebu, stałam się również matką. Bóg, zsyłając mi tę małą duszyczkę, którą mam poprowadzić ku dobru, podarował mi trwalsze nadzieje i pewniejsze źródło pocieszenia. Ale tam, gdzie pojawia się nadzieja, tam *musi* przycząić się też strach. W chwilach, w których przyciskam swoje maleństwo do piersi lub z niewypowiedzianym zachwytem przyglądam się mu, gdy śpi, poczucie błęgiego szczęścia zakłócają mi dwie niezawodnie pojawiające się wówczas myśli: że w przyszłości może ono przekląć dzień swoich narodzin i że kiedyś mogę je stracić.

Mój maleńki Arthurze! Leżysz teraz w swej kołysce pogrążony we śnie, przypominając miniaturowe uosobienie swego ojca – wciąż czyste jednak i nieskalane jak świeży śnieg. Niech Bóg uchroni cię przed jego błędami! Jakże pieczołowicie będę cię strzegła! Mały aniołku! Nie znasz mnie jeszcze, nie potrafisz jeszcze o mnie myśleć ani mnie kochać, a mimo to jakże mocna więź spaja już moje serce z twoim! Jak wdzięczna ci jestem za całą radość, którą mi przyniosłeś! Gdyby twój ojciec potrafił ją ze mną dzielić, gdyby podzielał choćby połowę moich uczuć – jakże wielkim błogosławieństwem byłoby to dla nas obojga – jakże uwzniośliłoby to jego duszę i jak bardzo zbliżyłoby go do mnie.

Lecz, być może, prawdziwa ojcowska miłość wzrastać w nim będzie wraz z dzieckiem?

Obecnie Arthur przepełniony jest zadowoleniem oraz nadzieją, że z maleństwa wyrośnie wspaniały chłopiec i godny go dziedzic – to jednak wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć. Z początku dziecko było dla niego cudem, na który można było popatrzeć w zdumieniu lub w rozbawieniu, ale którego nie należało dotykać. Teraz jest wobec niego niemal doskonale obojętny, z wyjątkiem chwil, w których jego „absolutna bezradność” i „skrajna głupota” (jak sam mawia) doprowadzają go do irytacji. Niecierpliwi go też moje „nadmierne wyczulenie” na potrzeby dziecka. Kiedy jestem zajęta swymi matczynymi obowiązkami, Arthur często przychodzi do pokoju dziecinnego, by się obok mnie. Z początku łudziłam się, że pragnie nacieszyć się widokiem naszego bezcennego skarbu, ale wkrótce doszłam do wniosku, że próbuje w ten sposób uciec przed dręczącą go samotnością. Oczywiście jego obecność jest mile widziana, jednak najlepszym komplementem dla matki jest docenienie jej maleństwa. Pewnego dnia, mniej więcej dwa tygodnie po narodzinach naszego syna, Arthur poraził mnie swymi słowami. Przebywaliśmy właśnie razem w pokoju dziecinnym, milcząc już od jakiegoś czasu. W skupieniu

przyglądałam się naszemu niemowlęciu i zdawało mi się, że on również, kiedy nagle z zamyślenia wyrwał mnie jego zniecierpliwiony głos:

– Helen, znenawidzę tego łotra, jeśli dalej będziesz patrzeć w niego jak w tęczę. Jesteś absolutnie zaślepiona miłością do niego.

Spojrzałam na niego w zdumieniu, próbując dociec, czy mówi poważnie.

– Poza nim nic innego już dla ciebie nie istnieje – mówił dalej. – Mogę być w pobliżu lub nie, mogę być w dobrym nastroju albo przygnębiony – wszystko ci jedno. Wystarczy ci, że możesz hołubić to swoje brzydactwo – ja już się dla ciebie w ogóle nie liczę.

– To nieprawda, Arthurze. Twoja obecność tutaj tylko podwaja moją radość, mimo że być może nie patrzę na ciebie. A kiedy myślę o naszym dziecku, lubię sobie wyobrazać, że ty robisz to samo i że dzielasz moje uczucia, chociaż nigdy o tym nie mówisz.

– Po co, u diabła, miałbym marnować swoje myśli na takiego bezwartościowego, małego idiotę?

– To twój własny syn, Arthurze. A jeśli fakt ten nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, weź pod uwagę to, że dla mnie ma ogromne. I powinieneś szanować moje uczucia.

– Dobrze, nie gniewaj się już. Niefortunnie się wyraziłem – powiedział. – To całkiem przyjemny chłopak, ale nie potrafię wielbić go tak bardzo, jak ty.

– Za karę potrzywasz go teraz – rzekłam, po czym wstałam, by przekazać dziecko w jego ręce.

– Nie, Helen. Nie rób tego! – zawołał Arthur z prawdziwym niepokojem w głosie.

– Kiedy poczujesz jego ciało w swoich ramionach, pokochasz go bardziej.

Włożyłam ów słodki ciężar w jego ręce i przeszłam na drugą stronę pokoju, śmiejąc się z jego nedorzecznego zakłopotania. Trzymając dziecko na odległość ramienia, patrzył na nie, jak gdyby było jakimś osobliwym stworzeniem – przedstawicielem jakiegoś nieznanego mu gatunku.

– Zabierz go, Helen; zabierz go – zawołał wreszcie. – Jeśli tego nie zrobisz, zaraz go upuszczę...

Litując się nad nim, a raczej zaniepokojona niebezpieczeństwem, które mogło grozić dziecku, spełniłam jego prośbę.

– Ucałuj go, Arthurze; do tej pory jeszcze nigdy tego nie robiłeś! – rzekłam i klękając przed nim, podsunęłam mu dziecko do ust.

– Wolałbym ucałować jego matkę – odpowiedział Arthur, biorąc mnie w objęcia. – Proszę, czy to nie wystarczy?

Wróciwszy na swój fotel, obsypałam dziecko deszczem pocałunków, chcąc wynagrodzić mu brak czułości ze strony ojca.

– Proszę, otóż to! – zawołał tamten zazdrośnie. – W ciągu jednej minuty pocałowałaś to bezrozumne, niewdzięczne stworzenie więcej razy niż mnie na przestrzeni minionych trzech tygodni.

– Przyjdź więc tutaj, ty nienasycony egoisto, to dostaniesz ode mnie tyle pocałunków, ile tylko zapragniesz, choć na to nie zasługujesz. Proszę, czy to wystarczy? Być może

następnym razem pocałuję cię dopiero wtedy, kiedy nauczysz się kochać moje dziecko tak, jak powinien kochać ojciec.

– Nawet lubię to małe diablątko...

– Arthurze!

– Dobrze więc, lubię tego małego aniołka... – dodał, a na potwierdzenie swych słów przesunął palcem po drobnym nosku dziecka. – Ale *kochać* go nie potrafię. Bo co można by w nim kochać? Sam mnie nie kocha, i ciebie również. Nie rozumie tego, co do niego mówisz i nie umie okazać ci nawet odrobiny wdzięczności za wszystko, co dla niego robisz. Być może pokocham go wtedy, gdy będzie potrafił odwzajemnić się uczuciem. Lecz na razie jest tylko małym egoistą, i jeśli dostrzegasz w nim coś uroczonego, to nie przeszkadza mi to. Nie wiem tylko, jak to możliwe.

– Gdybyś sam nie był takim egoistą, Arthurze, nie patrzyłbyś na tę kwestię w ten sposób.

– Być może, najdroższa. Ale jest jak jest, i nic na to nie poradzimy.

Rozdział XXIX

Sąsiad

25 grudnia 1823 r. – Minął kolejny rok. Mój mały Arthur żyje i ma się dobrze. Jest zdrowym dzieckiem, mimo że nie jest nadmiernie rozrosły, ma żywy charakter i już okazuje uczucia, choć jeszcze długo nie będzie potrafił wyrażać ich słowami. Nareszcie zdobył serce swego ojca i odtąd nieprzerwanie towarzyszy mi lęk, że zostanie przez niego rozpieszczony. Ale sama także muszę się mieć na baczności, bowiem dopiero teraz przekonałam się, jak silną jest dla rodzica pokusa nieustannego dogadzania swemu jedynemu dziecku.

Pozwolę sobie wyznać tej milczącej kartce papieru, że potrzebuję szukać pocieszenia w swoim synu, bowiem niewiele mogę znaleźć go w mężu. Nadal go kocham i on na swój własny sposób również mnie kocha – ale jakże inna jest owa miłość od tej, która zdawała się łączyć nas dawniej! Jednak nie mam prawa narzekać, pozwolę sobie tylko wyrzucić z siebie prawdę – a przynajmniej jej część – a potem przekonamy się, czy jakieś inne, mroczniejsze prawdy zaplamiają jeszcze strony tego dziennika. Jesteśmy mężem i żoną już od całych dwóch lat i „romantyzm” przeznaczony naszemu związkowi musiał się już wyczerpać. Jego uczucie względem mnie osiągnęło najniższy z możliwych stopni intensywności, a ja zdążyłam już odkryć wszystkie złe strony jego charakteru. I jeśli kiedykolwiek nasza relacja ulegnie jakiejś zmianie, może to być jedynie zmiana na lepsze.

Arthur nie należy do ludzi powszechnie nazywanych „złymi”, posiada bowiem wiele zalet. Jest za to człowiekiem niezdolnym do powściągliwości i pozbawionym wzniosłych ambicji – to miłośnik zmysłowych przyjemności. Nie jest złym mężem, ale jego wyobrażenia o małżeńskich obowiązkach i radościach nie odpowiadają moim.

Wczesną wiosną powiadomił mnie o swoim zamiarze udania się do Londynu, mówiąc, że tamtejsze interesy wymagają jego obecności i że już nie może dłużej odkładać wyjazdu. Powiedział, że ubolewa nad tym, ale musi zostawić mnie samą. Choć ma nadzieję, że dzięki naszemu dziecku nie będę się czuła samotna.

- Ależ nie musisz zostawiać mnie samej – rzekłam. – Mogłabym pojechać razem z tobą.
- Chyba nie chciałabyś zabierać dziecka do miasta?
- Dlaczego nie?

Poinformował mnie, że to nedorzeczny pomysł – miejskie powietrze ani chybi zaszkodziłoby dziecku, a mnie w obecnych okolicznościach londyńskie zwyczaje na pewno by nie odpowiadały. I ogółem wzięwszy, wszystko to okazałoby się nadmiernie kłopotliwe, niebezpieczne i szkodliwe. Używając wszystkich możliwych argumentów upierałam się przy swoim, bowiem drżałam na samą myśl o tym, że mógłby pojechać sam. Jednak on wreszcie bez ogródek i z niejaką irytacją oznajmił mi, że nie życzy sobie ze mną jechać – że jest

wyczerpany wysłuchiowaniem co noc płaczu dziecka i potrzebny mu odpoczynek. Zaproponowałam, że moglibyśmy zamieszkać w oddzielnych apartamentach, ale na nic się to nie zdało.

– Prawda jest taka, Arthurze, że znużyło cię moje towarzystwo – powiedziałam w końcu. – Mogłeś od razu się do tego przyznać.

Zaczął zaprzeczać, ale ja natychmiast wyszłam z pomieszczenia, żeby poszukać ukojenia lub chociaż ukryć swoje uczucia w zaciszu pokoju dziecinnego.

Czułam się tak zraniona, że unikałam tego tematu aż do wigilii jego wyjazdu – wówczas to napomniałam go, by miał się na baczności i wystrzegał się wszelkich pokus. Mój niepokój rozbawił go. Zaraz jednak zapewnił mnie, że niepotrzebnie się martwię i obiecał, że zastosuje się do moich rad.

– Podejrzewam, że nie ma sensu pytać cię o to, kiedy planujesz wrócić? – powiedziałam.

– W tych okolicznościach trudno byłoby mi wyznaczyć konkretny dzień. Ale śpij spokojnie, moja droga, niebawem wrócę.

– Nie chcę uczynić z ciebie więźnia naszego domu – odparłam. – I nie skarżyłabym się, nawet gdybyś postanowił zostać w Londynie na cały miesiąc. Potrzebuję jednak wiedzieć, że jesteś bezpieczny. Nie potrafię znieść myśli, że mógłbyś na nowo znaleźć się w towarzystwie swoich – jak sam ich nazywałeś – kompanów.

– Pff... Niemądra dziewczyno! Sądzisz, że nie potrafię o siebie zadbać?

– Ostatnim razem nie potrafiłeś. Ale *tym razem*, Arthurze – dodałam żarliwie – udowodnij mi, że potrafisz i pozwól mi uwierzyć, że mogę ci ufać!

Obiecał mi, że się nie zawiodę, ale uczynił to taki sposób, w jaki obiecuje się coś dziecku, chcąc je udobruchać. I czy dotrzymał swojej obietnicy? – nie. Zatem odtąd już *nigdy* nie będę miała do niego zaufania. Teraz, kiedy piszę te słowa, moje oczy napełniają się łzami. Wyjechał na początku marca i nie wrócił aż do lipca. I tym razem nawet nie zadawał sobie trudu, by wymyślać kolejne preteksty, którymi mógłby tłumaczyć swoją nieobecność. Jego listy przychodziły znacznie rzadziej niż przedtem i każdy kolejny był krótszy i bardziej oschły od poprzedniego. Mimo to jednak, gdy *ja* z jakichś względów nie pisałam do niego, wyrzucał mi, że go zaniedbuję. Kiedy zaś w moich listach było więcej chłodu, co, jak wyznaję, zdarzało się dość często, oskarżał mnie o brak uczuć, który – jak twierdził – wystarczał mu, by zniechęcić go do powrotu do domu. Jedynie gdy próbowałam delikatnej perswazji, jego odpowiedzi przybierały łagodniejszy ton i obiecywał mi, że niedługo wróci – w co jednak szybko nauczyłam się nie wierzyć.

To były przykre cztery miesiące – wypełnione na przemian głębokim niepokojem, rozpaczą i oburzeniem, ale też współczuciem. Mimo to nie byłam przez cały ten czas całkowicie nieszczęśliwa, ponieważ miałam przy sobie swoje niewinne maleństwo, w którym niezawodnie znajdowałam pocieszenie. Jednakże i w tym pocieszeniu była jedna kropla goryczy, bowiem wciąż powracało do mnie pytanie: „Jak mam nauczyć dziecko szacunku do ojca i jednocześnie zniechęcić do pójścia za jego przykładem?”

Pamiętałam jednak, że wszystkie te cierpienia ściągnęłam na siebie poniekąd świadomie i postanowiłam znosić je bez słowa skargi. Równocześnie przyrzekłam sobie, że nie będę pokutować za cudze grzechy i zamiast tego tak często, jak to możliwe oddawać się będę przyjemnościom. Prócz dziecka miałam jeszcze przy sobie moją drogą, wierną Rachel, która niewątpliwie domyślała się moich smutków i współczuła mi z całego serca, choć była zbyt taktowna, by o tym wspominać. Ponadto czas mój wypełniały książki, rysowanie i obowiązki pani domu, i niekiedy również składałam wizyty swojej młodej przyjaciółce, Esther Hargrave. Starsza pani Hargrave tego lata nie przebywała w Londynie, bowiem nie mając córki na wydaniu, wolała zaoszczędzić wydatki i zostać w domu. Na początku czerwca zaś dołączył do niej Walter, który zabawił w Grove aż do sierpnia.

Pierwszy raz zobaczyłam się z nim w pewien czarowny, ciepły wieczór, kiedy spacerowałam po naszym parku w towarzystwie Arthura i Rachel, która, tak jak niegdyś była moją nianią, tak jest nią teraz dla mojego syna. Stałyśmy nad brzegiem stawu i rozweselałam właśnie znajdujące się w jej ramionach niemowlę za pomocą pokrytej baziemi, wierzbowej gałązki, gdy nagle, ku memu zaskoczeniu, pojawił się obok nas pan Hargrave na swym kosztownym, czarnym rumaku. Pozdrowiwszy mnie bardzo wyszukany komplementem, który niewątpliwie ułożył był sobie zawczasu, przekazał mi, że jego matka zaprasza mnie na skromny, rodzinny obiad mający się odbyć nazajutrz.

– Nikogo poza nami na nim nie będzie – powiedział. – Ale Esther bardzo zależy, by się z panią zobaczyć. A moja matka lęka się, że może się czuć pani samotna w tym wielkim domu i pragnęłaby, by dopóki pan Huntingdon nie wróci z miasta, zaszczycła ją pani swoim towarzystwem częściej i czuła się w naszej skromnej siedzibie jak u siebie.

– To bardzo łaskawe z jej strony – odparłam – ale, jak pan widzi, nie jestem tu sama. Zresztą ci, którzy dni mają szczelnie wypełnione obowiązkami rzadko utyskują na samotność.

– Czy to znaczy, że nie pojawi się pani u nas jutro? Moja matka będzie bardzo zawiedziona.

Nie podobało mi się, że inni uznają za konieczne mi współczuć, lecz mimo to obiecałam, że przyjadę.

– Jaki piękny mamy dziś wieczór! – zauważył pan Hargrave, rozglądając się po rozświetlonym słońcem parku. – I w jakim raju pani żyje!

– To zaiste uroczy wieczór – przyznałam.

Ale myśl, która pojawiła się w mojej głowie kazała mi westchnąć. Jakże niewiele z owego uroku do mnie w owej chwili docierało... A Grassdale bynajmniej nie jawiło się mi jako raj. Nie umiem powiedzieć, czy pan Hargrave odgadł moje myśli, w każdym razie jednak na wpół nieśmiałym, poważnym tonem głosu zapytał, czy ostatnimi czasy miałam jakieś wieści od pana Huntingdona.

– Ostatnio żadnych – odrzekłam.

– Tak myślałem – powiedział szeptem, spuszczaając wzrok.

– Prawdopodobnie dopiero niedawno wrócił pan z Londynu?

– Zaledwie wczoraj.

– I spotkał go pan tam?

– Tak, widziałem się z nim.

– Czy był w dobrym zdrowiu?

– Tak. To jest... – tu pan Hargrave zawahał się, zdając się tłumić w sobie oburzenie. –

Był w takim zdrowiu, na jakie zasługiwał. Proszę mi wybaczyć, pani Huntingdon, ale nie potrafię ukryć swojego zgorszenia w obliczu takiego zaślepienia i niewłaściwych upodobań; ale być może nie wie pani... – w tym miejscu urwał.

– Wiem tylko tyle, że jego pobyt w mieście trwa dłużej niż się tego spodziewałam. I jeśli w obecnej chwili przedkłada on towarzystwo swych przyjaciół nad towarzystwo swej żony, zawdzięczam to właśnie owym przyjaciołom. *Ich* upodobania podobne są do jego własnych i nie rozumiem, dlaczego miałyby oburzać lub dziwić któregokolwiek z nich.

– Jest pani wobec mnie niesprawiedliwa – odpowiedział. – Na przestrzeni ostatnich kilku tygodni niewiele miałem do czynienia z panem Huntingdonem. A jeśli chodzi o jego upodobania, to znacznie przerastają one moje. Puchar, w którym ja zaledwie moczę usta, on wypija do dna. I jeśli kiedykolwiek zdarzało mi się topić głos swojego rozsądku w paroksyzmie rozpusty lub trwonić swój czas pośród lekkoduchów, Bóg mi świadkiem, że rad byłbym wyrzec się tego wszystkiego raz na zawsze, gdybym posiadał choć połowę tego, do czego ów dżentelmen z taką niewdzięcznością odwraca się plecami! Uważam, że to haniebne!... – wyszeptał przez zaciśnięte zęby. – I proszę sobie nie wyobrażać, pani Huntingdon – dodał głośniejszym – że kiedykolwiek nakłaniałem go do trwania w jego obecnych przedsięwzięciach – wręcz przeciwnie: raz za razem próbowałem go napominać, wyrażałem swoje zdziwienie jego zachowaniem i przypominałem mu o jego obowiązkach oraz o przywilejach, które posiada. Ale wszystko to na próżno. On tylko...

– Dość już, panie Hargrave. Powinien pan zdawać sobie sprawę z tego, że jeśli mój mąż ma na sumieniu jakieś grzechy, to przykro mi jest słuchać o nich z ust nieznanego.

– Uważa mnie pani za nieznanego? – zapytał zasmuconym tonem. – Jestem pani najbliższym sąsiadem, ojcem chrzestnym jej syna i przyjacielem jej męża. Czy nie mógłbym być także pani przyjacielem?

– Prawdziwą przyjaźń musi poprzedzić bliska znajomość, a ja o panu, panie Hargrave, nic nie wiem. Znam tylko dotyczące pana pogłoski.

– Czy zapomniała pani o tamtych sześciu czy siedmiu tygodniach, które zeszłej jesieni spędziłem pod dachem pani domu? *Ja* o nich nie zapomniałem. To wtedy poznałem panią na tyle, by wiedzieć, że jej mąż jest najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem. A ja byłbym drugim, gdyby uznała mnie pani za godnego jej przyjaźni.

– Gdyby znał mnie pan lepiej, nawet nie przyszłoby mu to do głowy – a przynajmniej nie powiedziałby mi pan tego wprost, licząc na to, że uznam jego słowa za komplement.

Mówiąc to, cofnęłam się, a on, zrozumiałwszy natychmiast, że życzyłabym sobie już zakończyć tę rozmowę, ukłonił się z powagą i życząc mi dobrej nocy, zawrócił swojego konia ku drodze. Zdawał się rozżalony i dotknięty moją nieuprzejmą reakcją na jego

przyjazne gesty. Nie byłam wcale pewna, czy przemawiając do niego w tak bezwzględny sposób postąpiłam słusznie, ale w owej chwili byłam doprawdy zirytowana i czułam się niemal znieważona jego zachowaniem. Wydawało mi się, że próbuje wykorzystać nieobecność mojego męża, sugerując, że ma on na sumieniu grzechy gorsze niż w rzeczywistości.

Pan Hargrave, zbliżywszy się teraz do Rachel, która była oddaliła się od nas na czas naszej rozmowy, poprosił, by pozwoliła mu zobaczyć dziecko. Ostrożnie biorąc je na rękę, przyjrzał się mu z niemal ojcowskim uśmiechem, a kiedy podeszłam bliżej, usłyszałam, jak mówi:

– I nawet to porzucił!

Z tymi słowy ucałował czule chłopca i oddał go jego niani.

– Lubi pan dzieci, panie Hargrave? – zapytałam rozbrojona nieco tym widokiem.

– Nie wszystkie – odparł. – Ale to jest takie *urocze*. I tak podobne do swojej mamy... – dodał zniżonym głosem.

– Bynajmniej. Bardziej przypomina swojego ojca.

– Czy niania się ze mną nie zgodzi? – zapytał, zwracając się do Rachel.

– Uważam, że można się w nim dopatrzyć podobieństwa do obydwójga rodziców.

Kiedy pan Hargrave odjechał, Rachel orzekła, że jest z niego bardzo miły dżentelmen. Ja jednak wciąż miałam co do tego wątpliwości.

Kiedy spotkałam się z nim nazajutrz pod jego własnym dachem, zauważyłam, że pilnuje się, by mnie już nie urazić wygłaszaniem swoich sądów na temat Arthura czy okazywaniem mi swojego współczucia. Gdy zaś jego matka poczęła dawać mi do zrozumienia, jak bardzo zdumiona i zasmucona jest zachowaniem mojego męża, przyszedł mi nawet z pomocą, zręcznie skierowując rozmowę na inne tory. W ciągu następnych sześciu tygodni widziałam się z nim jeszcze kilkukrotnie, ale zawsze – z wyjątkiem jednego razu – w towarzystwie jego matki lub siostry. Za każdym razem, gdy przychodziłam do nich z wizytą, pan Hargrave przebywał w domu, a kiedy to one odwiedzały mnie w Grassdale, zawsze przywodził je swoim powozem.

Do naszego jedyne go spotkania na osobności doszło w pewien słoneczny, ale nie nazbyt upalny dzień na początku lipca. Wybrawszy się wraz z małym Arthurem do lasu graniczącego z naszym parkiem, posadziłam dziecko na omszonym korzeniu starego dębu i klękając przed nim, poczęłam wkładać w jego drobne rączki zebrane przez siebie uprzednio dzwonki i dzikie różyczki. Kiedy za pośrednictwem jego roześmianych oczu cieszyłam się niebiańskim pięknem owych kwiatów, zapominając na chwilę o swoich troskach, nagle obok nas na błyszczącej w słońcu trawie pojawił się cień. Podniósłszy głowę, ujrzałam zapatrzonego w nas Waltera Hargrave'a.

– Proszę mi wybaczyć, pani Huntingdon, lecz byłem zanadto urzeczony waszym widokiem, by dać znać o swojej obecności – powiedział. – Jakież wesół jest mój chrzestny syn dzisiaj rana! Ta maleńka istotka musi być dla pani wielką radością i pocieszeniem, pani Huntingdon! – zauważył z nutką żalu w głosie.

– To prawda – odrzekłam, po czym zapytałam o zdrowie jego matki i siostry.

Odpowiedział grzecznie na moje pytania, ale potem powrócił do owego tematu, którego tak bardzo pragnęłam uniknąć.

– Czy ostatnio doszły pani jakieś wiadomości od Huntingdona? – zaczął z pewnym onieśmieleniem, jak gdyby bał się, że znów mnie urazi.

– Nie w tym tygodniu – odrzekłam, choć równie dobrze mogłabym odpowiedzieć: „nie w ciągu ostatnich trzech tygodni”.

– Dziś rano otrzymałem od niego list. Niestety nie nadaje się on do tego, by pokazać go damie – w tym miejscu pan Hargrave do połowy wysunął rzeczony list z kieszeni swej kamizelki, po czym, krzywiąc się, schował go z powrotem. – Pani mąż informuje mnie w nim, że zamierza wrócić w przyszłym tygodniu.

– Powtarza mi to w każdym swoim liście.

– Doprawdy? Cóż, to do niego podobne... Ale mnie od początku mówił, że zamierza zostać w Londynie aż do bieżącego miesiąca.

Ten dowód na premedytację i systematyczną nieprawdomówność Arthura był dla mnie niczym cios.

– A więc naprawdę wraca w przyszłym tygodniu? – zapytałam po chwili milczenia.

– Może pani na to liczyć, jeśli tylko to zapewnienie poprawi pani nastrój. Ale czy to zaiste możliwe, by umiała się pani cieszyć z jego powrotu? – zawołał, bacznie przyglądając się mojej twarzy.

– Oczywiście, panie Hargrave, przecież jest moim mężem!

– Och, Huntingdon, nawet nie wiesz, czym wzgardziłeś – mruknął gniewnie pod nosem mój sąsiad.

Podniosłam dziecko i życząc panu Hargrave'owi miłego dnia, oddaliłam się, ażeby w samotności i w bezpiecznych ścianach mojego domu pomyśleć o tym wszystkim.

A czy naprawdę się cieszyłam? – tak, byłam uradowana, choć krzywdzące zachowanie Arthura mnie rozzłościło i nie zamierzałam mu tego tak łatwo wybaczyć.

Rozdział XXX

Sceny domowe

Następnego dnia rano sama dostałam od męża krótki list, którego treść potwierdzała to, co przekazał mi Hargrave. Arthur istotnie wrócił w następnym tygodniu i znajdował się w jeszcze gorszej kondycji cielesnej i umysłowej niż poprzednio, ale tym razem, mając za sobą bolesną lekcję doświadczenia, nie zamierzałam pominąć wszystkiego milczeniem. Jednakże pierwszego dnia był utrudzony podróżą, a mnie przepęłniała radość z jego powrotu, toteż postanowiłam poczekać z wymówkami. Nazajutrz rano nadal był zmęczony, co znów skłoniło mnie do odłożenia sprawy na później. Jednak kiedy przy kolacji nieustannie krytykował wszystko, co znajdowało się na stole, nie szczędząc gorzkich słów pod adresem naszej kucharki, uznałam, że nadszedł właściwy czas.

– To ta sama kucharka, którą mieliśmy przed twoim wyjazdem, Arthurze – powiedziałam. – A wtedy byłeś z niej bardzo zadowolony.

– Wobec tego podczas mojej nieobecności pozwoliłaś jej spocząć na laurach. Takim paskudztwem można by się zatruć! – odpowiedział, z irytacją odpychając od siebie swój talerz i odchylając się na krzesło.

– Myślę, że to ty się zmieniłeś, a nie ona – wypowiedziałam owe słowa najłagodniej, jak to było możliwe, gdyż nie chciałam go rozgniewać.

– Być może masz rację... – odrzekł niedbale, po czym chwycił szklanekę napełnioną winem i opróżniwszy ją jednym haustem, dodał: – ...bowiem w moich żyłach płonie ogień piekielny, którego nie ugasi żaden ocean wody!

Chciałam zapytać: „Co go roznieciło?”, ale w tej samej chwili do środka wszedł kamerdyner, który zaczął sprzątać ze stołu.

– Pospiesz się, Benson, i przestań w końcu pobrzękiwać tymi diabelskimi talerzami! – zawołał jego pan. – I *nie* stawiaj na stole sera! Chcesz, żebym się pochorował?

Benson w niejakim zaskoczeniu zabrał ser i robił co mógł, by jak najszybciej uporać się z resztą naczyń, ale na jego nieszczęście pan domu zbyt mocno odsunął się był na swoim krzesle, tworząc tym samym fałdę w dywanie. Potykając się o nią, kamerdyner zachwiał się, a porcelanowe naczynia znajdujące się na trzymanej przez niego tacy odezwały się donośnym brzękiem, choć obyło się bez większych szkód i na podłogę spadła jedynie sosjerka. Nie zważając na to, Arthur odwrócił się do nieszczęsnego służącego i, ku mojemu ogromnemu przerażeniu, zaklął niezwykle ordynarnie, na co tamten pobladł i zauważalnie zadrżał.

– To nie jego wina, Arthurze – powiedziałam. – Potknął się o dywan, a poza tym nic wielkiego się nie stało. Zostaw na razie te skorupy, Bensonie – pobierasz je później.

Kamerdyner pospiesznie postawił na stole deser i z wyraźną ulgą opuścił

pomieszczenie.

– Dlaczego stanęłaś po stronie służącego, a przeciw mnie – zaczął Arthur, jak tylko drzwi za tamtym się zamknęły – skoro wiedziałaś, że byłem rozkojarzony?

– Nie wiedziałam o tym, Arthurze. Ale ty swoim nieoczekiwanym wybuchem wystraszyłeś i uraziłeś tego nieszczęsnego człowieka.

– A to mi nieszczęśnik! Czy uważasz, że powinienem był martwić się uczuciami tego bezdusznego zwierzęcia, po tym jak dzięki swej nieudolności zszargał mi nerwy?

– Nigdy wcześniej nie wspominałeś o swoich nerwach.

– A dlaczego nie miałbym ich mieć? Czy tylko ty masz nerwy?

– Och, wcale nie odmawiam ci prawa do nerwów. Ale ja nigdy nie skarżę się na swoje.

– Dlaczego miałabyś się na nie skarżyć, skoro nigdy nie poddajesz ich żadnym próbom?

– A dlaczego ty swoje poddajesz próbom?

– Czy sądzisz, że powinienem wszystkie swe dni spędzić w domu, pieszcząc się ze sobą niczym kobieta?

– A czy wtedy, kiedy jesteś poza domem nie mógłbyś przynajmniej zadbać o siebie jak mężczyzna? Obiecałeś mi...

– Proszę cię, Helen, nie zaczynaj teraz. Nie zniosę tego.

– Czego nie zniesiesz? Tego, że przypomnę ci o obietnicach, których nie dotrzymałeś?

– Helen, jesteś okrutna. Gdybyś tylko wiedziała, jak boli mnie serce i jak rwie każdy mój nerw wraz z każdym wypowiedzianym przez ciebie słowem, darowałabyś mi. Litujesz się nad durnym służącym, który stłukł porcelanę, ale nie masz współczucia dla *mnie* – teraz, gdy głowę rozsadza mi ból i cały jestem w ogniu gorączki.

Wsparł głowę na dłoni i westchnął. Podszedłszy do niego, dotknęłam jego czoła. Było istotnie rozpalone.

– Wobec tego pójdź ze mną do bawialni, Arthurze, i nie pij więcej wina. Wypiłeś już kilka kieliszków od kolacji, a wcześniej przez cały dzień prawie nic nie miałeś w ustach. Jak możesz myśleć, że *to* ci pomoże?

Za pomocą delikatnej perswazji udało mi się go nakłonić do wstania od stołu. Kiedy przyniesiono mi dziecko, miałam nadzieję, że poprawi ono jego nastrój, ale małemu Arthurowi na nieszczęście właśnie wyrzynały się ząbki. Mój mąż, nie mogąc znieść jego płaczu, kazał zabrać je precz. Poszłam za dzieckiem, by przez chwilę potowarzyszyć mu na owym wygnaniu, ale kiedy wróciłam, zarzucono mi, że wolę swoje dziecko od męża. Arthur leżał nadal na sofie – tak jak go zostawiłam.

– Cóż! – zawołał tonem udawanej rezygnacji. – Pomyślałem, że nie poślę po ciebie i przekonam się, jak długo każesz mi na siebie czekać.

– Jestem pewna, że spędziłam w pokoju dzieciennym nie dłużej niż godzinę.

– Och, oczywiście. Godzina spędzona na przyjemnościach to dla ciebie mgnienie oka – ale *dla mnie*...

– Nie spędziłam jej na przyjemnościach – przerwałam mu. – Zajmowałam się naszym biednym dzieckiem, które bynajmniej nie ma się dobrze i dopóki nie usnęło, nie mogłam

go tak po prostu zostawić.

– Och, oczywiście masz litość i współczucie dla wszystkich z wyjątkiem mnie.

– A dlaczego miałabym *tobie* współczuć? Czy coś ci dolega?

– Pięknie! To już szczyt wszystkiego! Kiedy wracam do domu chory i wyczerpany, licząc na to, że żona okaże mi przynajmniej nieco troskliwości i serdeczności, ona mnie pyta, czy coś mi dolega!

– Bo *nic* ci nie dolega – odparłam. – Cierpisz jedynie skutki swojego świadomego postępowania, przed którym tak cię ostrzegałam.

– Posłuchaj, Helen – powiedział dobitnym głosem, podnosząc się nieco na łokciach. – Jeżeli naprzykrzysz mi się jeszcze jednym słowem, zadzwonię na służącego i każę mu przynieść sześć butelek wina – i przysięgam na wszystkie świętości: nim ruszę się z tego miejsca, opróżnię je wszystkie!

Nie odezwałam się więcej, tylko siadłam przy stole i rozłożyłam przed sobą książkę.

– Jeśli odmawiasz mi wszystkiego innego, daj mi chociaż trochę spokoju! – dodał i opadając z jękiem z powrotem na sofę, zamknął swoje ociężałe oczy, jak gdyby zmorzył go sen.

Nie umiem powiedzieć, jaki tytuł nosiła leżąca przede mną książka, bowiem w ogóle na nią nie spojrzałam. Trzymając po obu jej stronach łokcie i zaciskając przed oczami dłonie, zapłakałam cicho. Ale Arthur nie spał: usłyszawszy mój szloch, podniósł głowę i rozglądając się wokół, wykrzyknął niecierpliwie:

– Dlaczego płaczesz, Helen? O co, do diabła, chodzi ci *teraz*?

– Płacę z twojego powodu, Arthurze – odrzekłam, prędko ocierając łzy i zrywając się z miejsca, padłam przed nim na kolana. – Czy nie wiesz o tym, że jesteś częścią mnie? I czy sądzisz, że jeśli będziesz sobie szkodził i upadłaś się, ja tego nie poczuję?

– *Upadłaś się*, Helen?

– Tak, upadłaś! Co robiłaś przez cały ten czas?

– Lepiej nie pytaj – odrzekł z nikłym uśmiechem na twarzy.

– A ty lepiej mi nie opowiadaj. Ale nie możesz zaprzeczyć temu, że *okrutnie* się upodliłaś. Wyrządziłaś sobie ogromną krzywdę – i mnie także. A ja nie umiem pominąć tego milczeniem i nawet nie będę próbować!

– Nie ściskaj mojej dłoni tak gorączkowo i nie potrząsaj mną, na litość boską! Och, Hattersley! Miałaś rację, charakter tej kobiety wpędzi mnie do grobu... Już dobrze... ale oszczędź mi scen.

– Arthurze, ty *musisz* okazać skruchę – zawołałam rozpaczliwie, zarzucając mu ramiona na szyję i ukrywając twarz w jego piersi. – Powiedz, że żałujesz tego, co zrobiłaś.

– Dobrze, żałuję.

– Ale ja wiem, że to się powtórzy kolejny raz.

– Jeśli nie przestaniesz mnie tak brutalnie ściskać, nie będę miał szans dożyć kolejnego razu – odparł, odpychając mnie od siebie. – Prawie mnie udusiłaś – dodał, przykładając sobie rękę do serca.

Wydawał się naprawdę chory.

– A teraz, żeby naprawić to, co zrobiłaś, przynieś mi kieliszek wina, tygrysico! – powiedział. – Od omdlenia dzielił mnie zaledwie krok.

Spełniłam jego prośbę, a porcja wina, którą wypił wyraźnie go pokrzepiła.

– Jakie to smutne – rzekłam, odbierając od niego opróżniony kieliszek – że taki zdrowy mężczyzna sam doprowadził się do tego stanu.

– Gdybyś znała całą prawdę, dziewczyno, powiedziałaabyś raczej: „Posiadasz godny podziwu hart ducha!”. Podczas tych ostatnich czterech miesięcy, Helen, przeżyłem więcej niż ty mogłabyś przeżyć w ciągu całego swojego życia, nawet gdyby trwało ono całe stulecie. Więc nic dziwnego, że teraz muszę zapłacić za to pewną cenę.

– Jeśli nie będziesz na siebie uważał, zapłacisz większą cenę niż się spodziewasz – stracisz całe swoje zdrowie. I moje uczucia, jeżeli mają one dla ciebie jakieś znaczenie.

– A więc znów grozisz mi tym, że przestaniesz mnie kochać? Jeżeli tak łatwo zniszczyć twoje uczucia, to widać nigdy nie były one do końca prawdziwe. I jeśli nie będziesz ostrożna, moja śliczna despotko, zacznę naprawdę żałować swojego wyboru i pozazdroszczę mojemu przyjacielowi jego potulnej, stanowiącej wzór kobiecych cnót żoneczki. Cały sezon spędziła wraz z nim w Londynie i na nic się nie skarżyła. Hattersley mógł robić, czego dusza zapragnie – mógł wracać do domu o każdej porze dnia i nocy, a nawet nie wracać w ogóle, mógł być trzeźwy jak poranek lub pijany w sztok, a jego żona nigdy nie czyniła mu żadnych wymówek. Hattersley powiada, że w całej Anglii nie ma podobnego do niej klejnotu i nie oddałby jej nawet za królestwo.

– Ale on czyni z jej życia piekło.

– Ależ nie. Jego żona po prostu chce dla niego jak najlepiej, i kiedy Hattersley jest zadowolony, ona również jest zadowolona.

– To nieprawda. W swoich listach pisała mi o niepokoju, jaki wzbudza w niej zachowanie jej męża i skarżyła się, że to ty nakłaniasz go do popełniania rozmaitych grzechów. Raz błagała mnie nawet, bym spróbowała użyć swego wpływu i przekonała cię do wyjazdu z Londynu, bowiem dopóki się tam nie pojawiłeś, mąż w ogóle nie dawał jej powodów do zmartwień.

– Obrzydliwa zdrajczyni! Daj mi ten list. Dopilnuję, żeby Hattersley go zobaczył.

– Nie, nie zobaczy go nigdy bez jej zgody; choć nawet gdyby go zobaczył, to nie ma w nim niczego, co mogłoby go rozgniewać. Milicent pisze, że nie może powiedzieć o swoim mężu jednego złego słowa i daje tylko do zrozumienia, że się o niego niepokoi. W bardzo wyważony sposób wspomina o jego zwyczajach i najlepiej jak może usprawiedliwia jego zachowanie. A tego, że jest nieszczęśliwa sama się domyśliłam.

– Ale znieważa *mnie*; a ty niewątpliwie jej w tym pomagasz.

– Bynajmniej. Poinformowałam ją tylko, że przecenia mój wpływ na ciebie, równocześnie oznajmiając jej, że nie wierzę, byś mógł kogokolwiek kusić do złego. Swego czasu miałam na ten temat przeciwne zdanie i sądziłam, że to pan Hattersley sprowadza *ciebie* na złą drogę. W końcu jednak doszłam do wniosku, że musicie się wzajemnie

demoralizować. Zasugerowałam więc Milicent, by spróbowała delikatnie upomnieć swojego męża, jako że ten zdaje się być człowiekiem mniej niepokornym od ciebie.

– A więc *tak* to wygląda – miło spędzacie sobie czas, podburzając się nawzajem do buntu, znieważając swoich własnych oraz cudzych mężów i wymyślając na ich temat oszczerstwa!

– Obydwie zanadto jesteście zawstydzone ułomnościami naszych współmałżonków, by uczynić z nich stały temat naszej korespondencji. I choć jesteście przyjaciółkami, wolałybyśmy uniknąć konieczności referowania sobie nawzajem waszych grzechów.

– Dobrze już, dobrze. Tylko nie dokuczaj mi i już więcej nie wracaj do tej sprawy, bo w ten sposób i tak niczego nie osiągniesz. Okaż mi trochę cierpliwości, a zobaczysz: kiedy ta przekłeta febra ustąpi, wróci mi dawna radość życia i pogoda ducha. Dlaczego nie możesz być dla mnie tak wyrozumiała, jak ostatnim razem? Pamiętam, że byłem ci wtedy bardzo wdzięczny za twoją pobłażliwość.

– I co dobrego owa pobłażliwość przyniosła? Łudziłam się, że wstydzisz się swoich grzechów i liczyłam na to, że już nigdy ich nie powtórzysz, ale teraz nie została mi już żadna nadzieja!

– A więc jestem beznadziejnym przypadkiem? Tym lepiej, że tak myślisz, bo być może dzięki temu moja droga, troskliwa żona oszczędzi sobie niepotrzebnego trudu i przestanie mnie nękać kolejnymi próbami nawracania mnie. Sporadyczne wybuchy gniewu czy płaczu są niezmiernie wzruszające, Helen, ale jeżeli powtarzają się zbyt często, istnieje niebezpieczeństwo, że stracą cały swój urok i inni poczują się nimi znużeni.

Od tamtej pory więc z całych sił starałam się powstrzymywać od wybuchów gniewu i łez. Przestałam też Arthura upominać i zaniechałam prób sprowadzenia go na właściwą drogę, gdyż widziałam, że wszystkie moje wysiłki będą daremne. Jego wybuchowość i niesprawiedliwość wobec służących wciąż wywoływały we mnie oburzenie i niezmiennie przeciwko nim protestowałam, lecz kiedy to ja stawałam się celem jego ataków, co zdarzało się dość często, znosiłam je ze spokojem i cierpliwością. Troszczyłam się o to, by niczego mu nie brakowało, choć zmuszona jestem wyznać, że nie tak pieczołowicie, jak dawniej. Moje uczucia do niego straciły nieco na sile, a poza tym miałam teraz małe, chorowite dziecko, które wymagało mojej uwagi i dla którego często ryzykowałam tym, że narażę się na gniew i wymówki ze strony jego wymagającego ojca.

Ale jako że Arthur nie jest z natury człowiekiem pochmurnym i drażliwym, w miarę jak wracały mu siły i poprawiało się jego zdrowie fizyczne, polepszał się jego nastrój i usposobienie. Jednocześnie jednak – tak jak przewidywałam – wzrósł jego apetyt na wino. I teraz nie stanowiło ono już dla niego jedynie dodatku do towarzyskich spotkań, lecz stało się przyjemnością samą w sobie. Nie traciłam jednak czujności i za pomocą swoich wytrwałych wysiłków, perswazji i próśb udało mi się nie dopuścić do tego, by stał się całkowitym niewolnikiem owej odrażającej skłonności – tak podstępnej, tak bezlitosnej w swojej tyranii i tak katastrofalnej w skutkach.

I w tym miejscu nie wolno mi zapominać o tym, że mam ogromny dług wdzięczności

wobec pana Hargrave'a, który w tamtym okresie był częstym gościem w Grassdale i nierzadko towarzyszył nam przy kolacji. Przy takich okazjach zawsze obawiałam się, że Arthur, korzystając z obecności przyjaciela, chętnie ogłuchnie na głos rozsądku i postanowi „przyjemnie spędzić wieczór”, w ciągu jednej nocy niweczając w ten sposób moje wielotygodniowe zabiegi. Owe obawy były tak silne, że poczułam się zmuszona podzielić się nimi na osobności z panem Hargrave'em, jednocześnie prosząc go, by nie podsycił w Arthurze jego skłonności do nieumiarkowania. Tamten z zadowoleniem przyjął to jako dowód mojego zaufania i bynajmniej mnie nie zawiódł. Odtąd swoją obecnością zniechęcał raczej niż zachęcał mojego męża do zagładania do kieliszka i zawsze dbał o to, by nie zabawił on w jadalni nazbyt długo. Bowiem nawet jeśli Arthur ignorował napomknienia w rodzaju: „Cóż, nie będę cię dłużej zatrzymywał, skoro czeka na ciebie twoja pani” albo: „Nie wolno nam zapominać, że pani Huntingdon jest sama”, Hargrave wówczas sam wstawał od stołu i wychodził z jadalni, a pan domu, chcąc nie chcąc, zmuszony był podążyć za nim.

Od tego czasu myślałam o panu Hargrave'ie jako o swoim sprzymierzeńcu, prawdziwym przyjacielu naszego domu i nieszkodliwym kompanie Arthura – kompanie, który poprawiał mu nastrój i ratował go przed znużeniem i całkowitą beczynnością. W takich okolicznościach nie mogłam nie czuć wdzięczności i przy pierwszej nadarzającej się okazji nie zawahałam się mu o tym powiedzieć, choć w chwili, w której to uczyniłam krew uderzyła do moich policzków i głęboko w duszy poczułam, że w moich słowach jest coś nieprzyzwoitego. A moje zakłopotanie i niepokój spotęgował sposób, w jaki pan Hargrave przyjął moje podziękowania. To, że pomiędzy owym dżentelmenem a mną wywiązało się sekretne porozumienie dotyczące mojego męża zdało mi się nad wyraz niestosowne. Zaraz jednakże pomyślałam: „Jeśli doprawdy istnieje w tym coś niestosownego, winny temu jest Arthur, a nie ja”.

Nie wiem zresztą, czy w tamto uczucie zakłopotania nie pojawiło się raczej przez wzgląd na mojego męża niż na mnie. Skoro bowiem on i ja jesteśmy jednością, identyfikuję się z nim tak bardzo, że jego wady i występki traktuję jak swoje własne. Zachowania, które niegdyś wstrząsały mną czy budziły mój wstręt teraz w zasadzie zdają mi się czymś naturalnym. Wiem o tym, że są złe, gdyż tak podpowiada mi zdrowy rozsądek i Boże przykazania, jednak nie wywołują one już we mnie tego samego instynktownego przerażenia i odrazy, co dawniej. Być może wcześniej byłam zanadto bezwzględna, ponieważ brzydząc się grzechem, brzydziłam się również grzesznikiem. Teraz pochlebiam sobie, że mam w sobie więcej litości i wspaniałomyślności, ale czyż nie stałam się zarazem zbyt obojętna?

Jakże głupia byłam, wierząc, że mam w sobie dość siły i czystości, by ocalić nas oboje! I czy nie byłaby to słuszna kara za moją zuchwałość, gdybym wraz ze swoim mężem znalazła się w otchłani piekielnej? Ale niech Bóg mnie od tego uchwali! I jego także... Tak, nieszczęsny Arthurze, nadal będę się za ciebie modlić i choć piszę tutaj o tobie, jakbyś był jakim skończonym łotrem, skłania mnie do tego głębia moich uczuć. Gdybym tak bardzo cię

nie kochała, moje rozgoryczenie byłoby mniejsze.

Zachowanie Arthura ostatnimi czasy było nienagane, ale wiem, że w jego sercu nie zaszła żadna zmiana i lękam się nadchodzącej wiosny. Kiedy wróciły mu siły, a wraz z nimi zniecierpliwienie naszym spokojnym, ustronnym życiem, podsunęłam mu pomysł krótkiej wycieczki nad morze, na której mogłoby skorzystać również nasze dziecko. Nie zgodził się jednak – nadmorskie uzdrowiska wydają się mu okrutnie nudne, a poza tym jeden z przyjaciół zaprosił go na sezon polowań do Szkocji i zamierza z owego zaproszenia skorzystać.

– Więc znowu mnie zostawisz, Arthurze? – zapytałam.

– Tak, najdroższa, ale tylko po to, bym po powrocie mógł cię kochać lepiej i potrafił wynagrodzić ci dawne przykrości. I tym razem nie musisz się niczego obawiać – w górach nie będą czekały na mnie żadne pokusy. Na czas mojej nieobecności możesz wybrać się z wizytą do Staningley, jeśli masz na to ochotę.

Zatem w trzecim tygodniu sierpnia Arthur wyruszył do Szkocji, a w wyprawie, ku memu cichemu zadowoleniu, towarzyszył mu pan Hargrave. Wkrótce potem pojechałam wraz z małym Arthurem i Rachel do Staningley – mojego drogiego, dawnego domu, którego widok wzbudził we mnie jednocześnie radosne i bolesne uczucia. Od chwili, w której widziałam to miejsce po raz ostatni minęły tylko dwa lata, ale mnie wydawały się one całą wiecznością. I jakże inna wydawałam się sama sobie! Mój wuj także sprawiał wrażenie innego – starszego i słabszego, ciotka zaś była poważniejsza i smutniejsza. Prawdopodobnie domyślała się, że żałuję swojego pochopnego kroku, choć nigdy nie wspomniała na ten temat słowem. Baczenie mi się przyglądając, zdawała się nie dowierzać mojemu radosnemu nastrojowi i od czasu do czasu stawiała mnie w krzyżowym ogniu swoich pytań, zmuszając do zwierzeń, na które nigdy nie zdecydowałabym się z własnej woli. I obawiam się, że tym samym uzyskała pełny obraz charakteru mojego męża oraz moich cierpień, choć bardzo starałam się podkreślać zalety Arthura i wszystkie dobre strony swojego położenia. Czy to duma sprawiła, że tak szczególnie zależało mi na tym, by wydać się zadowoloną ze swego życia? Czy może powodowało mną pragnienie zaoszczędzenia mojej najbliższej krewnej bólu?

Arthur miał przyjechać do domu dopiero kilka tygodni po moim powrocie do Grassdale. Tym razem jednak niczego się nie obawiałam, gdyż wiedziałam, że zamiast w pełnym pokus Londynie przebywa w Szkocji, oddając się myślistwu. Jego listy, choć krótkie, przychodziły teraz regularniej niż kiedykolwiek, a gdy już wrócił, z radością zauważyłam, że jego zdrowie i nastrój nie tylko nie uległy pogorszeniu, ale wręcz wyraźnie się poprawiły. Od tamtej pory nie mam wielu powodów do narzekań – Arthurowi pozostało zamiłowanie do uciech stołu i wciąż muszę z tym walczyć, ale zaczął wykazywać zainteresowanie naszym synem, a w cieplejsze dni wypełnia sobie czas polowaniem. Na razie jednak mamy dopiero styczeń i, jak rzekłam, z niepokojem czekam na zbliżającą się wiosnę.

Rozdział XXXI

Zalety towarzyskie

20 marca 1824 r. – Ów budzący grozę czas nadszedł i Arthur, tak jak przewidywałam, znów wyjechał. Tym razem zapowiedział, że zamierza zatrzymać się na krótki czas w Londynie, a stamtąd wyruszyć na kontynent, gdzie prawdopodobnie spędzi kilka tygodni. Ja jednakże nie spodziewam się jego powrotu tak wcześnie, bowiem nauczyłam się już, że w jego przypadku dni to całe tygodnie, a tygodnie to całe miesiące.

Miałam mu towarzyszyć w tej podróży, ale tuż przed naszym wyjazdem pozwolił mi, a nawet łaskawie zachęcał mnie do tego, abym wybrała się z wizytą do swojego nieszczęsnego ojca, który zapadł na poważną chorobę oraz do swojego brata, który jest niezwykle strapiony ową chorobą i jej przyczynami i z którym nie widziałam się od dnia chrztu małego Arthura.

Nie chcąc nadużywać wspaniałomyślności męża, postarałam się uczynić swój pobyt tam jak najkrótszym, lecz kiedy wróciłam do Grassdale, Arthura już nie było.

Zostawił mi list, w którym usprawiedliwiał swój wcześniejszy wyjazd jakimś nagłym wypadkiem wymagającym jego natychmiastowej obecności w Londynie. Pisał, bym nie zadawała sobie trudu i nie próbowała do niego dołączyć, gdyż zabawi w mieście bardzo krótko, a zresztą doszedł do wniosku, że podróżując w pojedynkę ponosi o połowę mniejsze koszty i że rzeczą wskazaną byłoby odwlec naszą wspólną wyprawę do przyszłego roku, kiedy to ma nadzieję doprowadzić swoje finanse do należytego stanu. Ale czy to te względy naprawdę nim powodowały?

30 lipca – Wrócił około trzy tygodnie temu – z całą pewnością w lepszym zdrowiu niż dawniej, ale za to w dużo gorszym nastroju. Lecz być może się mylę – być może to ja jestem mniej cierpliwa i wyrozumiała. Czuję się już zmęczona jego niesprawiedliwością, jego egoizmem i jego beznadziejnym *rozpasaniem* – żałuję, ale nie mogę użyć łagodniejszego słowa. Mój biedny ojciec zmarł w zeszłym tygodniu. Arthur przyjął tę wiadomość z irytacją, bowiem widząc moje przygnębienie, doszedł do wniosku, że jego własne samopoczucie także może być zagrożone. Gdy wspomniałam o potrzebie zamówienia żałobnych strojów dla mnie, zawołał:

– Och, nie znoszę czerni! Ale podejrzewam, że będziesz musiała ją nosić, skoro tak jest przyjęte. Mam nadzieję jednak, że nie uznasz za swój święty obowiązek dostosować swojego wyrazu twarzy i sposobu bycia do pogrzebowego stroju. Nie chcę wysłuchiwać westchnień i jęków tylko dlatego, że jakiś zupełnie obcy nam obojgu, starszy dżentelmen w hrabstwie X. postanowił zapisać się na śmierć.

Nie chciał nawet słyszeć o tym, że mogłabym pojechać na pogrzeb lub przez kilka dni

dotrzymać towarzystwa nieszczęsnemu, osamotnionemu Frederickowi. Stwierdził, że nie ma takiej potrzeby. Bo kimże był dla mnie mój ojciec? Odkąd byłam niemowlęciem spotkałam go przecież tylko jeden raz i dobrze wiem, że nigdy mu na mnie nie zależało. A brat mój także jest dla mnie niemal obcym człowiekiem.

– Poza tym, najdroższa Helen, nie przeżyję bez ciebie jednego dnia – dodał pochlebco, czule mnie obejmując.

– Więc jak poradziłeś sobie przez te wszystkie dni, kiedy mnie przy tobie nie było? – zapytałam.

– Ach! Wtedy tułałem się po świecie, ale teraz jestem w domu. A dom bez mojej bogini byłby dla mnie nie do zniesienia.

– Co innego twierdziłeś, gdy tak usilnie namawiałeś mnie do wyjazdu, chcąc pod moją nieobecność bez przeszkód wymknąć się z domu – odparłam.

Lecz zaraz pożałowałam swoich słów. Jeśli to poważne oskarżenie było bezpodstawne, musiało zabrzmieć jak rażąca zniewaga – jeżeli zaś było słuszne, to i tak nie powinnam była tak boleśnie upokarzać Arthura, rzucając mu je w twarz. Jednak wygląda na to, że niepotrzebnie wyrzucałam sobie ów brak delikatności. Mój zarzut nie wzbudził w nim poczucia wstydu ani też nie uraził go. I nie próbując ani zaprzeczać, ani się usprawiedliwiać, zareagował nań jedynie długim atakiem chichotu, zupełnie jakby cała sprawa od początku do końca jawiła się mu jako błyskotliwy, niewysłowienie zabawny żart. Pewnego dnia ten człowiek w końcu mnie do siebie zniechęci!

20 sierpnia – Znów znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Arthur na nowo powrócił do swych starych zwyczajów, a ja uznałam, że najlepiej będzie przestać zamartwiać się tym, co już za nami i nie trapić tym, co nas jeszcze czeka. Zamierzam żyć tylko teraźniejszością: kochać go wtedy, kiedy będę potrafiła, uśmiechać się w odpowiedzi na jego uśmiech, być zadowoloną z życia wówczas, gdy on będzie zadowolony, a jego nieprzyjemne nastroje cierpliwie znosić, starać się usprawiedliwiać i wybaczać.

Jednakże nie będziemy sami długo. Wkrótce bowiem w naszym domu pojawi się to samo doborowe grono przyjaciół, które podejmowaliśmy przedostatniej jesieni. Dołączy do niego jeszcze pan Hattersley oraz – na moje szczególne życzenie – jego żona i dziecko. Z wytęsknieniem czekam na spotkanie z Milicent i jej ponadroczną córeczką, w której mój mały Arthur znajdzie zapewne uroczą towarzyszkę zabaw.

30 września – Goście przebywają u nas już od ponad tygodnia, lecz dotąd nie miałam czasu, by cokolwiek na ich temat napisać. Nie potrafię przewyciężyć swojej niechęci do Lady Lowborough, a powodem tego uprzedzenia nie jest tylko moja urażona duma. Nie pochwalam sposobu bycia owej kobiety i staram się unikać jej towarzystwa na tyle, na ile to możliwe bez łamania przyjętych norm gościnności. Kiedy jednak zdarza nam się rozmawiać, jesteśmy wówczas dla siebie niezwykle miłe, a ona odnosi się do mnie w sposób szczególnie serdeczny. Lecz niech Bóg uchowa mnie przed taką serdecznością! Przypomina

ona kwiecie głogu – miłe dla oka i z pozoru miękkie w dotyku, pod spodem jednak skrywające kolce.

Mimo to ostatnimi czasy w jej zachowaniu wobec Arthura nie dopatrzyłam się niczego niepokojącego czy irytującego. Wprawdzie w ciągu kilku pierwszych dni swojego pobytu w Grassdale za wszelką cenę starała się wzbudzić podziw mojego męża, a on miał tego świadomość i często uśmiechał się do siebie pod nosem, niemniej jednak jej wysiłki nie przynosiły zamierzonego przez nią rezultatu. I kiedy w końcu dotarło do niej, że każdy, nawet najbardziej czarujący uśmiech z jej strony Arthur przyjmie w ten sam dobroduszny, niewzruszony sposób, zrezygnowała z dalszych starań i stała się wobec niego, przynajmniej na pozór, równie obojętna, jak on wobec niej.

Jednak Arthur od dnia, w którym staliśmy się małżeństwem nie pozwolił mi na chwilę spokoju i wytchnienia. Ci dwaj odrażający mężczyźni, Grimsby i Hattersley, zdążyli już zniweczyć wszystkie efekty moich zabiegów, które miały na celu zwalczyć jego skłonność do nadużywania wina. Dzień po dniu zachęcają go do przekraczania granic umiaru – niekiedy zgoła kompromitującego przekraczania owych granic. W drugi wieczór po ich przyjeździe, zaraz po tym, jak za mną i pozostałymi damami zamknęły się drzwi do jadalni, dał się słyszeć krzyk Arthura:

– A teraz panowie, co powiecie na prawdziwą zabawę?

Milicent rzuciła mi na wpół strofujące spojrzenie, zaraz jednak na jej twarz wypłynął wyraz zakłopotania, bowiem uszu naszych dobiegło wołanie pana Hattersley:

– Jestem do dyspozycji! Każ przynieść więcej wina, bo tego nie starczy!

Ledwie weszliśmy do bawialni, dołączył do nas Lord Lowborough.

– *Dlaczego już przyszedłeś?* – zapytała cierpko jego żona.

– Wiesz dobrze, że nigdy nie piję, Annabelle – z powagą odpowiedział Lord Lowborough.

– Ale chyba mógłbyś побыć przez jakiś czas w towarzystwie dżentelmenów? Bez ustanku ciągniesz się za damami niczym ogon. To tak niedorzecznie wygląda!

Zaskoczony jej słowami Lord Lowborough spojrzał na nią z wyrzutem, po czym, tłumiąc w sobie ciężkie westchnienie, opadł na fotel, przygryzł pobladłą wargę i utkwiał wzrok w podłozie.

– Słusznie pan zrobił, rozstając się z nimi, Lordzie Lowborough – powiedziałam. – I mam nadzieję, że zawsze tak wczesnie będzie pan nas zaszczycał swoim towarzystwem. Gdyby Annabella знаła wartość prawdziwej mądrości i wiedziała, jakie cierpienie przynosi ze sobą nietrzeźwość, nie wygłaszałaby takich niedorzeczności – nawet żartem.

– Przynajmniej – rzekła Annabella – znam wartość czułego serca i odważnego, męskiego ducha!

Tryumfalne spojrzenie, które mi rzuciła zdawało się mówić: „W przeciwieństwie do ciebie”. Następnie popatrzała na swojego męża wzrokiem tak pełnym pogardy, że musiał on przeszyć jego serce na wskroś. Ale choć zawrzało we mnie oburzenie, nie mogłam jej zganić ani też zmanifestować swojej solidarności z jej mężem, nie raniąc jednocześnie

jego uczuć.

– Cóż, Annabello – powiedział on zduszonym głosem – jeśli moja obecność tutaj jest ci niemiła, uwolnię cię od niej.

– Zatem wracasz do tamtych? – zapytała niedbale.

– Nie! – zawołał gwałtownie. – *Nie wracam* do nich! I nigdy nie zdecyduję się zostać pośród nich dłużej niż uznam za słuszne, bez względu na to, kto mnie będzie do tego zachęcał – ty czy jakiś inny kusiciel! Ale nie musisz się trapić, Annabello, już nigdy nie będę w tak niestosowny sposób narzucał ci swojego towarzystwa.

Powiedziawszy to, Lord Lowborough wyszedł z pokoju, a chwilę potem naszych uszu dobiegł odgłos zamykających się za nim drzwi frontowych. Wyglądając przez okno, zobaczyłam, jak w ponurym półmroku wilgotnego zmierzchu ów nieszczęsny dżentelmen przechodzi przez park.

Bycie świadkiem podobnej sceny zawsze jest rzeczą krępującą i na pewien czas zaległa między nami cisza. Milicent bawiła się swoją łyżeczką od herbaty i w zakłopotaniu rozglądała się wokół. A jeśli Annabella czuła jakiegokolwiek zawstydzenie, postarała się zatuszować je, wydając z siebie krótki, urwany śmiech i beztroskim gestem podnosząc filiżankę z kawą do ust.

– Pożałowałabyś swojego zachowania, Annabello – odezwałam się wreszcie – gdyby Lord Lowborough wrócił do tamtych starych nawyków, które niemal doprowadziły go do ruiny i których wyzbycie się kosztowało go tak wiele wysiłku.

– Bynajmniej, moja droga! Nie miałabym nic przeciwko temu, by jego lordowska mość upijał się codziennie winem – w ten sposób tylko prędzej bym się go pozbyła.

– Och, Annabello! – zawołała Milicent. – Jak *możesz* tak mówić! Doprawdy miałabyś za swoje, gdyby Opatrzność, biorąc cię za słowo, pokarała cię tym, czego doświadczyają inni...

W tym miejscu dał się słyszeć nagły wybuch gromkiego śmiechu dochodzący z jadalni, a po nim dźwięki hałaśliwej rozmowy. Z dobiegających naszych uszu głosów najbardziej wyróżniał się ten należący do pana Hattersley.

– Tym, czego ty doświadczasz w tej chwili, jak mniemam? – podsunęła Lady Lowborough, uśmiechając się złośliwie i zapatrując się w strapione oblicze swej kuzynki.

Milicent nic nie odpowiedziała, tylko, odwracając głowę, otarła łzę. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do środka wszedł pan Hargrave – był tylko nieco zarumieniony, a jego oczy błyszczały.

– Och, rada jestem, że przyszedłeś, Walterze! – zawołała jego siostra. – Ale czy mógłbyś jeszcze przyprowadzić ze sobą Ralpa?

– To niewykonalne, droga Milicent – odpowiedział tamten wesoło. – Mnie samemu ledwie udało się uciec. Ralph usiłował zatrzymać mnie siłą, Huntingdon groził mi, że nie będzie chciał mnie znać, a Grimsby – on jest najgorszy ze wszystkich – próbował nakłonić mnie do pozostania, zawstydzając mnie swoimi straszliwymi docinkami i insynuacjami. Widzą więc panie, że skoro tyle dla was wycierpiałem, zasługuję na to, by przyjęły mnie jak bohatera.

Rzekłszy to, odwrócił się do mnie z uśmiechem i pozdrowił ukłonem.

– Czyż nie jest w tej chwili przystojny? – zapytała szeptem Milicent, której siostrzana duma dominowała nad wszelkimi innym uczuciami.

Dżentelmen siadł przy stole obok mnie i poprosił o filiżankę kawy. Kiedy mu ją wręczyłam, powiedział:

– Czuję, że znalazłem się w niebie. Jednak by sobie na nie zasłużyć, musiałem pokonać wodę i ogień. Ralph Hattersley w końcu zapał się plecami o drzwi i zapowiedział, że uda mi się wyjść tylko po jego trupie, a trzeba mi wspomnieć, że byłby to trup całkiem pokaźnych rozmiarów. Uratowało mnie to, że w pokoju znajduje się jeszcze jedna para drzwi i swoją ucieczkę skutecznym przez pomieszczenie dla służby – ku bezgranicznemu zdumieniu kamerdynera, który czyścił właśnie talerze.

Pan Hargrave roześmiał się i zaraz zawtórowała mu jego kuzynka. Jego siostra i ja jednak bynajmniej nie poczułyśmy się rozbawione.

– Proszę wybaczyć mi moją wesołość, pani Huntingdon – wyszeptał, poważniejąc. – Nie nawykła pani do takich zdarzeń i pozwala im pani zbyt mocno ranić swoją duszę. Ale ja, przebywając pośród owych rozhułanych lekkoduchów, pamiętałem o pani i starałem się przekonać pana Huntingdona, by również o niej nie zapominał. Na próżno jednak – obawiam się, że dzisiejszego wieczoru jest zdecydowany sobie poużywać i nie ma sensu czekać na niego czy jego towarzyszy z kawą. Być może pojawią się w porze herbaty. Tymczasem proszę o nich nie myśleć. I ja także spróbuję wymazać ich z pamięci – tak: mojego drogiego przyjaciela Huntingdona również, bowiem kiedy uświadamiam sobie, jak wielką ma on władzę nad szczęściem istoty tak bardzo przewyższającej go pod każdym względem i jak niegodnie ową istotę traktuje – wówczas zaczynam go nienawidzić!

– Wobec tego proszę mi o tym nie mówić – rzekłam. – Bez względu na to, jak złym byłby człowiekiem, mój mąż jest częścią mnie i potępiając go, jednocześnie potępia pan i mnie.

– Proszę mi wybaczyć, bo prędeziej wolałbym umrzeć niż panią urazić. Ale na tę chwilę zapomnijmy o nim.

Zaraz też zmienił temat i począł wytężać siły, by jak najlepiej zabawić nasze niewielkie towarzystwo. Ale choć wykazywał się tego wieczoru wyjątkowo błyskotliwym dowcipem, a Annabella dorównywała mu wesołością, ja czułam tylko rozpacz – zwłaszcza wtedy, gdy uszy moje przeszywały dźwięki śmiechu i bezładnego śpiewu docierające do nas z jadalni, od której dzieliło nas troje drzwi. Milicent znajdowała się w podobnym nastroju i pomimo dobrodusznym wysiłków Hargrave'a, obu nam wieczór zdawał się dłużyć.

Kiedy pozostali dżentelmeni nareszcie pojawili się w bawialni, było już po dziesiątej. I chociaż z niecierpliwością na nich czekałam, to serce we mnie zamarło, gdy w holu rozległy się hałasy zapowiadające ich przyjście. Milicent pobladła i niemal zerwała się z miejsca, kiedy pan Hattersley wpadł do środka z potokiem przekleństw na ustach. Hargrave spróbował przywołać go do porządku, prosząc, by wziął pod uwagę to, że znajduje się w towarzystwie dam.

– Ach! Dobrze, że przypominasz mi o damach, ty tchórzliwy dezernerze – zawołał tamten, wygrażając szwagrowi swoją potężną pięścią. – Gdyby nie ich obecność, w okamgnieniu położyłbym cię trupem, a potem rzucił twoje zwłoki na żer ptakom!

Przysunawszy krzesło w pobliże Lady Lowborough, Hattersley usadowił się na nim i począł rozmawiać z nią w sposób tak nedorzecznie zuchwały, że zamiast ją tym urazić, raczej wzbudził w niej wesołość. Grimsby siadł przy mnie na fotelu zwolnionym dopiero co przez Hargrave'a i z powagą rzekł, że byłby mi wdzięczny, gdybym podała mu filiżankę herbaty. Arthur zaś umieścił się obok nieszczęsnej Milicent i zajął jej w oczy z tak bliskiej odległości, że tamta zmuszona była się od niego odsunąć. Nie zachowywał się tak hałaśliwie, jak Hattersley, ale twarz miał zaczerwienioną i śmiał się bez ustanku. Jego stan przejął mnie okrutnym wstydem i rada byłam z tego, że rozmawia ze swoją sąsiadką po cichu i że tylko ona słyszy jego słowa. W najlepszym wypadku były to jakieś nedorzeczności, bowiem Milicent zareagowała na nie widocznym oburzeniem i rumieniąc się, najpierw odsunęła się od niego na swoim fotelu, a potem uciekła, by schronić się obok mnie na sofie. Spostrzegając, że ją od siebie odstraszył, Arthur wybuchnął niepohamowanym śmiechem i oparłszy się łokciami o stół, oddawał się temu nieracjonalnemu napadowi wesołości jeszcze przez długą chwilę. Kiedy wreszcie poczuł się tym zmęczony, podniósł głowę i zawołał coś do pana Hattersley, po czym wywiązał się między nimi jakiś głośny, niezrozumiały spór.

– Cóż z nich za głupcy! – powiedział do mnie przeciągłym głosem Grimsby, który siedząc obok, cały czas nader sentencjonalnym tonem przemawiał na jakiś temat. Ja jednak zbyt pochłonięta byłam obserwacją Arthura, by go słuchać. – Czy kiedykolwiek była pani świadkiem tych ich durnych rozmów? Wstyd mi za nich – wystarczy, że przełkną po pół butelki wina na głowę i już są pijani w sztok.

– Leje pan śmietankę obok filiżanki, panie Grimsby.

– Ach! No tak. Ale panują tu niemal egipskie ciemności. Hargrave, objaśnij te świece.

– To są świece woskowe, nie trzeba ich objaśniać – zauważyłam.

– „Światłem ciała jest oko” – zauważył pan Hargrave, uśmiechając się ironicznie. – „Jeśli więc twoje oko jest zdrowe, całe twoje ciało będzie w świetle”.

Grimsby zbył jego słowa dumnym machnięciem ręki i znów zwrócił się do mnie swym bełkotliwym głosem:

– Wracając do tego, co mówiłem, pani Huntingdon – ich głowy są tak słabe, że już pół butelki ich oszałamia; podczas gdy ja... Cóż, wypłem dziś trzy razy więcej od nich i, jak pani widzi, jestem doskonale trzeźwy. Być może uzna to pani za bardzo niezwykle, ale potrafię wszystko wyjaśnić... Otóż *ich* mózgi – nie wymieniam nazwisk, ale domyśli się pani, o kogo mi chodzi – *ich* mózgi i na co dzień są zbyt lekkie, a opary alkoholu czynią je jeszcze lżejszymi, co wywołuje zawroty głowy i w następstwie odurzenie. Natomiast *mój* mózg zbudowany jest z twardszego materiału, który zdolny jest wchłonać znaczną ilość oparów alkoholowych, nie powodując przy tym żadnych skutków ubocznych...

– Sądzę jednak, że kiedy spróbujesz swojej herbaty, odczujesz pewien skutek uboczny –

wtrącił pan Hargrave. – Zamiast wrzucić do niej, tak jak to leży w twoim zwyczaju, jedną kostkę cukru, wrzuciłeś sześć.

– Czyżby? – zapytał mędrzec, zanurzając łyżeczkę w swojej filiżance. – Hm, istotnie. Widzi więc pani, do czego prowadzi roztargnienie i nadmierne pogrążenie w swoich myślach. Gdybym nie był filozofem, a zwykłym, przyziemnym człowiekiem, nie zmarnowałbym tej oto filiżanki herbaty i nie musiałbym teraz narażać pani na fatygę, prosząc o to, ażeby zaparzyła mi świeżej. Za pani pozwoleniem tę wleję do naczynia na zlewki...

– To jest cukiernica, panie Grimsby; i teraz zmarnował pan również cukier. Proszę zadzwonić na służącą i polecić jej, by przyniosła trochę świeżego, bowiem nareszcie wrócił Lord Lowborough. Mam nadzieję, że zechce on przy nas usiąść i napić się herbaty.

Usłyszawszy moje słowa, jego lordowska mość ukłonił się z powagą, ale nic nie odrzekł. Hargrave zaofiarował się, że dopilnuje, by przyniesiono cukier, podczas gdy Grimsby lamentował nad swoim błędem, zapewniając, że jego powodem było słabe oświetlenie i cień, jaki na stół rzucał dzbanek.

Lord Lowborough już od kilku minut przebywał w bawialni i niezauważony przez nikogo przyglądał się wszystkim zgromadzonym. Teraz zaś ruszył w kierunku Annabelli, która odwrócona doń plecami siedziała obok Hattersleya pohukującego właśnie na pana domu.

– A więc, Annabello – rzekł Lord Lowborough, pochylając się nad nią – którego z obecnych tutaj posiadaczy „odważnych, męskich duchów” powinienem twoim zdaniem przypominać?

– Diabli wiedzą, że powinieneś przypominać nas wszystkich! – zawołał Hattersley, zrywając się z miejsca i gwałtownie chwytając go za ramię. – Hej, Huntingdon! Złapałem go! I niech piekło pochłonie moje ciało i duszę, jeśli puszcze go trzeźwego!

W tym miejscu wywiązała się pomiędzy nimi gorsząca próba sił. Poblady z gniewu Lord Lowborough za wszelką cenę starał się wyrwać, kiedy tamten potężny szalenciec włókł go w stronę wyjścia. Poprosiłam Arthura, by ruszył na pomoc naszemu rozsierdzonemu gościowi, ale był zbyt słaby, by cokolwiek zrobić i tylko się śmiał.

– Huntingdon, ty durniu, dlaczego mi nie pomagasz? – wykrzyknął Hattersley, zaczynając tracić siły.

– Pomagam ci swoją modlitwą! Szczęść Boże, Hattersley! – zawołał Arthur. – Bóg mi świadkiem, że na nic więcej mnie nie stać! Jestem wyczerpany.

– Annabello, podaj mi świecę! – powiedział Lord Lowborough. Jego przeciwnik obejmował go teraz w pasie, próbując oderwać go od futryny drzwi.

– Nie mam zamiaru brać udziału w twoich nieprzyzwoitych zabawach – odpowiedziała jego żona. – Jak w ogóle możesz tego ode mnie oczekiwać?

Wobec tego sama chwyciłam świecę i podałam ją Lordowi Lowborough, który zbliżył jej płomień do rąk Hattersleya. Tamten, wydając z siebie zwierzęcy ryk, wreszcie uwolnił go ze swego uścisku. Po tym zdarzeniu Lowborough zaszył się prawdopodobnie w swym apartamencie, bowiem nikt z nas nie widział go aż do następnego ranka. Hattersley,

bluźniąc niczym obłąkany, rzucił się na stojącą pod oknem otomanę, a Milicent, korzystając z tego, że drzwi stały teraz otworem, próbowała uciec z miejsca kompromitacji swojego męża. On jednak przywołał ją do siebie.

– Czego chcesz, Ralphie? – wyszeptała, niechętnie się doń zbliżając.

– Chcę wiedzieć, co ci dolega – odrzekł, sadzając ją na swoim kolanie, zupełnie jak gdyby była dzieckiem. – Dlaczego płaczesz?

– Ja nie płaczę.

– Ależ tak – powiedział, brutalnym ruchem odrywając jej dłonie od twarzy. – Jak śmiesz mnie okłamywać?

– Teraz już nie płaczę – broniła się.

– Ale płakałaś. I zamierzam się dowiedzieć, z jakiego powodu. Dalejże, mów!

– Zostaw mnie w spokoju, Ralphie! Pamiętaj, że nie jesteśmy w domu.

– To nie ma żadnego znaczenia: masz odpowiedzieć na moje pytanie! – wykrzyknął jej dręczyciel i potrząsnął nią bezlitośnie.

– Proszę nie pozwalać mu traktować tak pańskiej siostry – powiedziałam do pana Hargrave’a.

– Skończ z tym, Hattersley. Tak nie wolno – rzekł Hargrave, ruszając w ich stronę. – Bądźże łaskaw puścić moją siostrę.

Powiedziawszy to, spróbował oderwać palce brutala od drobnych ramion Milicent, ale zaraz prawie runął na plecy, rażony potężnym uderzeniem w pierś. Towarzyszyły temu słowa Hattersleya:

– To za twoją bezczelność! Niech cię to nauczy nie wchodzić między mnie i to, co moje!

– Gdyby nie to, że jesteś nieludzko pijany, wyzwałbym cię na pojedynek! – powiedział pobladły Hargrave, z trudem łapiąc oddech.

– Idź do diabła! – odparł jego szwagier. – A teraz, Milicent, powiedz mi, z jakiego powodu płakałaś.

– Powiem ci przy innej okazji – odrzekła cicho. – Kiedy będziemy sami.

– Mów teraz! – wykrzyknął jej mąż, znów nią potrząsając.

Milicent wstrzymała oddech i przygryzła wargę, usiłując stłumić w sobie okrzyk bólu.

– Ja panu powiem, panie Hattersley – odezwałam się. – Powodem łez pańskiej żony było to, że czuła się zawstydzona i upokorzona pańskim haniebnym zachowaniem.

– Niech panią diabli porwą, madame! – wymamrotał zdumiony swoją „zuchwałością”. – To chyba nie może być prawda, Milicent?

Milicent milczała, ale on dalej żądał od niej odpowiedzi.

– Nie mogę ci teraz powiedzieć – wyszłochała.

– Ale skoro zdołałaś powiedzieć: „nie teraz”, to i chyba dasz radę wymówić: „tak” albo „nie”?

– Tak – wyszeptała, po czym, zawstydzona tym wyznaniem, zwiesiła głowę.

– A więc niech cię szlag za twoją bezczelność, latawico! – zawołał, odpychając ją od siebie z taką siłą, że upadła na podłogę.

Ona jednak w mgnieniu oka, nim ktokolwiek z nas zdążył przyjść jej z pomocą, stanęła na nogi i nie tracąc czasu, wybiegła z pokoju.

Następną ofiarą Hattersleya stał się siedzący naprzeciw niego Arthur, którego cała ta scena musiała niezmiernie rozbawić.

– Posłuchaj, Huntingdon! – wykrzyknął jego porywczy przyjaciel. – Nie pozwolę na to, byś siedział tam, śmiejąc się jak idiota!

– Och, Hattersley! – zawołał Arthur, ocierając swoje błyszczące łzami rozbawienia oczy. – Wykończysz mnie.

– Owszem, ale nie tak, jak sobie wyobrażasz: jeżeli jeszcze raz usłyszę twój durny śmiech, gołymi rękami wyrwę ci serce z piersi!... Co to? Nadal ci wesoło? Dobrze, zobaczymy, czy to cię uspokoi! – zawołał Hattersley i chwyciwszy podnózek, cisnął nim w głowę swojego gospodarza. Nie trafił jednak i tamten wciąż skręcał się i płakał ze śmiechu, przedstawiając sobą doprawdy godny pożałowania widok.

Hattersley potraktował go paroma niewybrednymi obelgami, a kiedy i to nie przyniosło pożądanego skutku, złapał kilka znajdujących się w zasięgu jego ręki książek i począł nimi weń rzucać. Lecz to tylko jeszcze bardziej uradowało Arthura. Doprowadzony do ostateczności Hattersley natarł na niego w szale, chwycił za ramiona i wściekle nim potrząsnął. Więcej już nie zobaczyłam. Uznawszy, że dość napatrzyłam się na ponizienie swojego męża, wyszłam z bawialni – nie po to jednak, by udać się na spoczynek. Rachel poleciłam pójść spać, ale sama długo się nie kładłam i chodząc bez wytchnienia w tę i w tę po sypialni, załamywałam ręce nad tym, co się przed chwilą wydarzyło, zamartwiałam się o to, co przyniesie przyszłość i zastanawiałam się, w jaki sposób tamten nieszczęśliwiec da radę dojść tej nocy do swojego łóżka.

Korzystając z pomocy podtrzymujących go Grimsby’ego i Hattersleya, Arthurowi w końcu udało się pokonać schody i dotrzeć na piętro, mimo że jego kompani również ledwo trzymali się na nogach i żartując sobie z niego czynili tyle hałasu, że niechybnie musieli obudzić wszystkich służących. Jemu tymczasem przeszła już cała wesołość i sprawiał teraz wrażenie chorego i ogłupiałego – ale *o tym* nie napiszę ani słowa.

Odtąd podobnie haniebne sceny miały miejsce w naszym domu wielokrotnie. Wiedząc, że przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku, na ogół powstrzymywałam się przed poruszaniem tego tematu w swych rozmowach z Arthurem, choć niekiedy dawałam mu do zrozumienia, jaką odrazą napawają mnie tego typu widowiska, a on za każdym razem zapewniał mnie, że więcej się to nie powtórzy.

Obawiam się jednak, że wkrótce straci on całkiem tę niewielką ilość dyscypliny wewnętrznej i poczucia własnej godności, którą dotychczas posiadał, bowiem dawniej nie pozwalałby sobie na podobne ekscesy w obecności kogoś spoza kręgu swoich rozpasanych przyjaciół. Pan Hargrave, zachowując taką przytomność umysłu, jaką pragnęłabym zobaczyć we własnym mężu, nigdy nie kompromituje się spożyciem nadmiernej ilości wina i zawsze wstaje od stołu zaraz po Lordzie Lowborough. Tamten zaś wychodzi z jadalni tuż po nas, damach, choć odkąd Annabella tak srodze go uraziła, ani razu nie pojawił się w bawialni

przed resztą dżentelmenów i w międzyczasie albo przebywa w bibliotece, albo spaceruje po ogrodzie. Jednakże wierzę, iż Lady Lowborough żałuje swojego zachowania, gdyż ani razu go nie powtórzyła i jest ostatnio w stosunku do swojego męża uprzejmiej i troskliwsza niż kiedykolwiek dotąd. Jak się zdaje, owa zmiana nastąpiła w niej w okresie, w którym straciła nadzieję na to, że wzbudzi sobą zachwyt w oczach Arthura.

Rozdział XXXII

Porównania

5 października – Esther Hargrave staje się piękną dziewczyną. Wprawdzie wciąż jeszcze jest w wieku szkolnym, ale jej matka, odwiedzając nas rano, podczas gdy dżentelmeni przebywają poza domem, często przywozi ją ze sobą, by mogła spędzić godzinę lub dwie w towarzystwie swojej siostry, moim i naszych dzieci. Kiedy zaś sami składamy wizytę w Grove, zawsze rozmawiam z nią dłużej niż z kimkolwiek innym, gdyż jestem niesłychanie przywiązana do mojej młodej przyjaciółki, a ona do mnie. Zupełnie nie wiem, co sprawia, że ma do mnie takie upodobanie, bowiem nie jestem już tą pełną radości dziewczyną, którą byłam dawniej. Wiadomo mi jednak, że w domu Esther może liczyć tylko na towarzystwo swej nieprzyjemnej matki, guwernantki (bardziej nienaturalnej i przywiązanej do konwenansów osoby jej matka nie mogłaby dla niej znaleźć) i, od czasu do czasu, swej pokornej, cichej siostry. Często zastanawiam się, jaki ją czeka los – i ona także, ale jej rozważania na temat przyszłości przepełnione są optymistycznymi nadziejami. Moje dawniej też takie były i drzę na samą myśl, że mogłaby zostać obudzona z owych próżnych złudzeń w sposób równie brutalny, co ja. Wydaje mi się, że jej rozczarowanie życiem zabolałoby mnie bardziej od mojego własnego – czuję, że niejako taki żywot był mi przeznaczony od urodzenia. Ale *ona* jest tak radosna i świeża, tak beztroska i niezależna, ale też tak naiwna i niewinna, że gdyby w przyszłości miała dowiedzieć się tego, co wiem teraz ja, uznałabym to za wielkie okrucieństwo.

Jej siostra również niepokoi się o jej przyszłość. Część wczorajszego poranka, który przypadł w jeden z najpogodniejszych i najprzyjemniejszych październikowych dni, Milicent i ja spędziłyśmy w towarzystwie naszych dzieci w ogrodzie, gdy tymczasem Annabella leżała na sofie w bawialni, zatopiona w lekturze jakiejś nowej powieści. Swawoląc przez jakiś czas wraz z naszymi pociechami i zatracając się w tej zabawie niemal tak bardzo, jak one, wreszcie przystanęłyśmy w cieniu wysokiego buka, by odzyskać oddech i doprowadzić do porządku nasze zmierzwiłone włosy, podczas gdy maleństwa dreptały po szerokiej, rozświetlonej promieniami słońca alejce. Mój Arthur podtrzymywał kroczącą mniej pewnie małą Helen, pokazując jej najładniejsze kwiatki rosnące na rabacie i szczebiocząc do niej jakieś na wpół zrozumiałe słowa. Rozbawione tym uroczym widokiem, zaczęłyśmy rozmawiać o przyszłości naszych dzieci, i właśnie owa rozmowa wprowadziła nas w poważniejszy nastrój. Kiedy popadłszy w pełne zadumy milczenie, spacerowałyśmy powolnym krokiem po alejce, bieg skojarzeń Milicent, jak sądzę, kazał jej pomyśleć o siostrze.

– Helen, chyba często widzisz się z Esther, czy nie mam racji? – zapytała.

– Nie tak często.

– Ale częściej masz okazję ją spotykać niż ja. I wiem, że ona cię uwielbia i bardzo szanuje. Z niczym zdaniem nie liczy się tak bardzo, jak z twoim i mawia, że jesteś rozsądniejsza od naszej mamy.

– To dlatego, że ma przekorny charakter, a moje opinie na ogół częściej pokrywają z jej własnymi niż z opiniami waszej mamy. Ale do czego zmierzasz, Milicent?

– Cóż, ponieważ masz na nią tak duży wpływ, chciałabym, abyś jej uzmysłowiła, że nigdy – pod żadnym pozorem i za niczyją namową – nie należy wychodzić za mąż dla pieniędzy, pozycji społecznej czy jakiegokolwiek innej przyziemnej rzeczy; że w tym względzie powinno decydować tylko uczucie i uzasadniony szacunek do drugiej osoby.

– Nie ma takiej potrzeby – odrzekłam. – Już rozmawialiśmy z Esther na ten temat i zapewniam cię, że jej pogląd na miłość i małżeństwo jest tak romantyczny, jak trzeba.

– Ale romantyczne wyobrażenia to za mało. Jej wyobrażenia powinny odpowiadać rzeczywistości.

– Zgadzam się, lecz moim zdaniem to, co świat piętnuje i określa mianem romantycznego, ma często więcej wspólnego z rzeczywistością niż się przyjęło sądzić. Choć niewinne ideały młodości często w późniejszym życiu przysłania okropność naszej egzystencji, nie oznacza to wcale, że tamte wyobrażenia były błędne.

– Dobrze, ale jeżeli uważasz, że jej poglądy na tę kwestię już są takie, jak trzeba, to postaraj się ją jeszcze w nich utwierdzić. *Ja* także miałam niegdyś romantyczne idee, i nie chcę przez to powiedzieć, że żałuję swoich wyborów, lecz...

– Dobrze cię rozumiem – powiedziałam. – Sama jesteś pogodzona z losem, ale nie chciałabyś, by twoja siostra musiała cierpieć tak, jak ty.

– Nie – gorzej niż ja. Mogłaby cierpieć dużo gorzej niż ja, bo ja naprawdę jestem zadowolona ze swojego życia, Helen, choć być może trudno ci w to uwierzyć. Nie zamieniłabym swojego męża na nikogo innego, i mówiąc to, mówię najszczerzą prawdę.

– Dobrze, wierzę ci: teraz, kiedy go masz, nie zamieniłabyś na innego, ale rada byłabyś zamienić niektóre z cech jego charakteru na cechy innych mężczyzn.

– Tak, tak samo, jak rada byłabym zamienić niektóre z cech mojego charakteru na cechy innych kobiet. Bowiem żadne z nas – ani ja, ani on – nie jest doskonałe. I pragnąc zobaczyć w nim jakąś zmianę na lepsze, jednocześnie pragnę zobaczyć ją w sobie. Ale on się jeszcze zmieni, prawda, Helen? – ma tylko dwadzieścia sześć lat.

– Być może.

– Na pewno – na pewno się zmieni! – powtórzyła.

– Wybacz mi, Milicent, mój brak przekonania. Za nic w świecie nie chciałabym osłabiać twych nadziei, ale moje własne tak często mnie zawodziły, że stałam się w swoich oczekiwaniach tak obojętna i sceptyczna, jak najbardziej ponura osiemdziesięciolatka.

– Ale mimo to nadal masz jakieś nadzieje – nawet wobec pana Huntingdona?

– To prawda, przyznaję – „nawet” wobec *niego*. Wierzę bowiem, że nadzieja kończy się dopiero wtedy, gdy kończy się życie. Ale czy jest on *dużo* gorszy od pana Hattersley, Milicent?

– Hm, prawdę powiedziawszy, uważam, że jest bez porównania gorszy. Ale proszę, nie bądź na mnie zła, Helen. Wiesz, że zawsze mówię to, co myślę. I ty także możesz być ze mną szczerą – nie obrażę się.

– Nie jestem zła, moja droga. I sama uważam, że gdyby ich porównać, różnica zaiste wypadłaby na korzyść twojego męża.

Serce Milicent podszeptało jej, jak wiele bólu kosztowało mnie powiedzenie tego. Powodowana nagłym, prawie dziecięcym impulsem, bez słowa ucałowała mnie w policzek i zaraz odwróciła się, by podnieść swoje dziecko i ukryć twarz w fałdkach jego sukienki. Jakże często płaczemy nad cudzym nieszczęściem, nie roniąc nawet jednej łzy w obliczu naszego własnego!

Jednak jej zadowolenie ze swego wyboru nie jest do końca pozorowane. Milicent faktycznie kocha swojego męża, który zresztą, czemu nie da się zaprzeczyć, w porównaniu z moim niczego nie traci. Albo jego skłonność do alkoholu jest mniejsza, albo dzięki swej mocniejszej budowie cielesnej lepiej znosi skutki spożywania go w nadmiarze, bowiem nigdy nie doprowadza go to do stanu przypominającego upośledzenie umysłowe i w najgorszym wypadku kończy się wzmogoną drażliwością jego nastroju.

W ubiegłym tygodniu mieliśmy jeden deszczowy dzień. Podczas gdy większość gości umiała sobie czas w pokoju bilardowym, Milicent i ja przebywałyśmy wraz z małym Arthurem i małą Helen w bibliotece, gdzie w towarzystwie książek, naszych dzieci i swoim własnym zamierzałyśmy spędzić bardzo przyjemny poranek. Po niecałych dwóch godzinach jednakże dołączył do nas pan Hattersley, prawdopodobnie zwabiony głosem swojej córki, którą uwielbiał i która uwielbiała jego.

Przyniósł ze sobą silny zapach stajni, gdzie przebywał był od śniadania. To jednak bynajmniej nie przeszkadzało mojej małej imienniczce i gdy tylko potężna sylwetka jej ojca pojawiła się w drzwiach, Helen wydała z siebie przenikliwy pisk zachwytu i natychmiast ruszyła w jego kierunku. Objąwszy jego nogę w kolanie, zadarła główkę i roześmiała mu się w twarz, a on porwał ją w ramiona. Zaraz nastąpiło kilka minut dzikiej zabawy, podczas której nie było wiadomo, kto krzyczy i śmieje się głośniejsz: ojciec czy córka. Wkrótce jednak owa chwila hałaśliwej radości skończyła się jak nożem uciął – dziewczynka bowiem uderzyła się i zaczęła płakać. Jej niedelikatny towarzysz zabawy natychmiast posadził ją na kolanach swojej żony, prosząc ją, by się tym „zajęła”. Dziecko, wtulając się w matkę, po chwili ucichło i zaraz potem zasnęło.

Pan Hattersley tymczasem podszedł do kominka i zasłaniając go całą długością i szerokością swej masywnej postaci, wziął się pod boki i niczym pan na włościach począł rozglądać się po pomieszczeniu i wypełniających go sprzętach.

– Niech diabli porwą ten deszcz! – zawołał. – Podejrzewam, że z polowania nic już dzisiaj nie będzie.

W tym miejscu ni z tego, ni z owego zagrzmiał swawolną pieśnią, a po uraczeniu nas kilkoma jej taktami urwał równie raptownie, jak zaczął. Wydawszy z siebie na koniec przeciągły gwizd, zauważył:

– Jakże wspaniałą stadninę posiada pani mąż, pani Huntingdon! Nie jest wprawdzie duża, ale za to jakże wyśmienita! Dzisiejszego ranka przyglądałem się wszystkim waszym koniom i daję słowo, dawno nie widziałem tak pięknych zwierząt, jak Czarna Bess, Szary Tom i młody Nemrod!

Następnie wdał się w długi wywód na temat stadniny, którą sam zamierza założyć w przyszłości, kiedy ojciec jego dokona już swego żywota.

– Nie, żebym mu źle życzył – dodał. – Jeżeli chodzi o mnie, stary zuch może sobie chodzić jeszcze po tym świecie tak długo, jak będzie mu się podobało.

– Mam taką nadzieję, panie Hattersley!

– O tak! Ale ten dzień kiedyś i tak musi nadejść, a ja wolę patrzeć na sprawy optymistycznie – to chyba dobra filozofia, nie zgodzi się pani ze mną, pani H.? A tak przy okazji, co tu panie w ogóle robią? I gdzie jest Lady Lowborough?

– W pokoju bilardowym.

– To jest dopiero wspaniała kobieta! – ciągnął dalej, patrząc na swoją żonę, która nagle pobladła i w której w miarę jego słów zdawało się rosnać zakłopotanie. – Ta znakomita figura! I te cudowne, czarne oczy! A do tego jest charakterna i pewna siebie – wprost ją za to uwielbiam! Ale nie trzeba ci się trapić, Milicent – za nic w świecie nie chciałbym jej za żonę, nawet gdyby miała całe królestwo w posagu! Bardziej zadowala mnie moja własna – ale po co ta nadąsana mina? Nie wierzysz mi?

– Wierzę ci – tonem smutnej rezygnacji powiedziała Milicent, po czym odwróciła się, by pogłaskać po główce swoje śpiące dziecko, które leżało obok niej na sofie.

– Wobec tego dlaczego jesteś zła? Przyjdź tutaj, Milly, i powiedz mi, dlaczego nie wystarcza ci moje słowo.

Ona zbliżyła się doń i dotykając swoją drobną dłonią jego ramienia, spojrzała mu w twarz i rzekła łagodnie:

– Co z tego wszystkiego wynika, Ralphie? Choć podziwiasz Annabellę za zalety, których ja nie posiadam, mimo wszystko wolisz, bym to ja była twoją żoną. I to dowodzi tylko jednego: nie potrzebujesz kochać swojej żony i wystarcza ci, że potrafi się ona zająć twoim domem i dzieckiem. Ale nie gniewam się na ciebie za to, jedynie jest mi przykro, bo... – dodała drżącym głosem, zdejmując dłoń z jego ramienia i opuszczając powieki – bo jeśli mnie nie kochasz, to mnie nie kochasz i nic nie można na to poradzić.

– Słuszne słowa. Ale kto ci powiedział, że cię nie Kocham? Czy mówiłem, że Kocham Annabellę?

– Mówiłeś, że ją uwielbiasz.

– To prawda. Jednak uwielbienie to nie miłość. Uwielbiam Annabellę, ale jej nie Kocham. I Kocham ciebie, Milicent, choć cię nie uwielbiam – na dowód swojego uczucia Hattersley pociągnął niezgrabnie za pukle jej jasnobrązowych włosów.

– Naprawdę, Ralphie? – zapytała cicho Milicent, uśmiechając się delikatnie przez łzy.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział on. – Mimo że czasami mi dokuczasz.

– *Ja* tobie dokuczam? – wykrzyknęła z niekłamanym zaskoczeniem.

– Tak, ty – ale tylko swoją nadmierną dobrocią. Kiedy człowiek cały boży dzień objada się rodzynkami i cukierkami, w końcu zaczyna tęsknić za kwaśną pomarańczą. A czy kiedykolwiek widziałaś, Milly, piasek nadmorskiej plaży? Czy wiesz, jak przyjemnie wygląda i jak miękki jest pod stopami? Jednak jeśli przez pół godziny będziesz szła po tym przyjemnym, miękkim piasku, w którym nogi twoje zapadają się przy każdym kroku i który, im bardziej naciskasz, tym bardziej pod tobą ustępuje – poczujesz się wyczerpana i rada będziesz stanąć na kawałku twardej skały, która nie ugnie się pod tobą nawet wtedy, gdy zaczniesz napierać na nią całym swym ciężarem.

– Rozumiem, co masz na myśli, Ralphie – powiedziała Millicent, nerwowo zerkając na cień, który rzucała na dywan jej sylwetka i swą drobną stopą śledząc jego zarys. – Rozumiem, co masz na myśli, lecz zawsze zdawało mi się, że lubisz, kiedy ci ustępuję i teraz nie mogę się już zmienić.

– Istotnie, lubię, kiedy mi ustępujesz – odrzekł Hattersley, znów ciągnąc ją za włosy. – I nie przejmuj się moimi słowami, Milly. Mężczyźnie zawsze potrzebny jest jakiś powód do narzekań. I jeśli nie będzie mógł się poskarżyć na zły humor czy złośliwość swojej żony, to będzie utyskiwał na jej dobroć i łagodność.

– Ale po co w ogóle narzekać, jeżeli nie czujesz się wcale znużony i rozczarowany?

– Zapewne po to, ażeby usprawiedliwić przed sobą swoje własne słabości. Czy sądzisz, że będę samotnie niósł brzemię swoich grzechów, skoro może mi w tym dopomóc ktoś, kto jest ich pozbawiony?

– Na całym świecie nie istnieje nikt taki – powiedziała poważnie i zdjawszy jego dłoń ze swojej głowy, ucałowała ją żarliwie, po czym skierowała się ku drzwiom.

– A to co? – zapytał. – Dokąd idziesz?

– Idę uporządkować sobie włosy – odpowiedziała, uśmiechając się. – Całkiem je potargałeś.

– No to idź!

Kiedy Millicent zniknęła za drzwiami, Hattersley zauważył:

– Doskonała kobieta... Ale odrobinę zbyt delikatna – prawie topi się w rękach. Doprawdy myślę, że czasami, gdy za dużo wypiję, źle ją traktuję. Ale nic na to nie poradzę, a ona nigdy się nie skarży – ani w trakcie, ani potem. Przypuszczam, że nie przeszkadza jej to.

– Mogę pana oświecić w tej kwestii, pani Hattersley – powiedziałam. – *Przeszkadza* jej to. A pewne inne rzeczy przeszkadzają jej jeszcze bardziej, choć być może istotnie nigdy się nie skarży.

– Skąd pani o tym wie? Czy Millicent się pani żali? – zapytał z iskrą gniewu w głosie, gotową przerodzić się w ogień, gdyby moja odpowiedź brzmiała „tak”.

– Nie – odrzekłam. – Ale znam ją dłużej od pana i baczniej się jej przyglądam. I powiem panu, panie Hattersley, że Millicent kocha pana bardziej niż pan na to zasługuje. Byłby pan zdolny ją uszczęśliwić, ale zamiast tego woli być jej złym duchem. I, proszę mi wybaczyć, każdego dnia zadaje jej pan jakiś ból, którego z łatwością mógłby jej oszczędzić, gdyby

tylko chciał.

– Hm, to nie *moja* wina – rzekł, spoglądając niedbale na sufit i chowając ręce w kieszeniach. – Jeżeli nie podobają jej się moje zwyczaje, powinna mnie o tym poinformować.

– Ale czy nie takiej żony właśnie pan pragnął? Czyż nie wyznał pan mojemu mężowi, że potrzebuje kobiety, która bez słowa będzie się panu podporządkowywać i która, bez względu na wszystko, nigdy nie będzie czynić mu wyrzutów?

– To prawda. Ale gdybyśmy wszyscy zawsze dostawali to, czego pragniemy, nawet najlepsi z nas byliby zdemoralizowani, nie uważa pani? Jakże mógłbym być aniołem, skoro widzę, że wszystko jej jedno, czy zachowuję się jak prawdziwy chrześcijanin, czy jak skończony drań, którym stworzyła mnie natura? I jak mógłbym jej nie dokuczać, skoro prowokuje mnie do tego swoją spolegliwością, kładąc się u moich stóp niczym pies i nie wydając z siebie ani słowa protestu?

– Jeżeli jest pan despotą z natury, to przyznaję, trudno musi być panu ową skłonność w sobie przewyciężyć. Ale ludzie wielkoduszni nie znajdują przyjemności w ciemieniu słabszych. Wolą raczej troszczyć się o nich i być im wsparciem.

– Ciągłe troszczenie się o kogoś byłoby irytująco nudne. Ale ja jej *nie* ciemnę. Zresztą, skąd miałbym wiedzieć, że czuje się ciemniona? Niekiedy wydaje mi się, że moja żona nie ma żadnych uczuć i wówczas nie daję jej spokoju, dopóki nie zobaczę w jej oczach łez.

– Wobec tego zaiste lubi ją pan ciemnić.

– Powiadam pani, że nie! Tylko wtedy, kiedy jestem w złym humorze – albo w szczególnie dobrym, i chcę się z nią podroczyć dla samej możliwości późniejszego pocieszenia jej. Ale przyznać muszę, że kiedy czasem ni stąd, ni zowąd zaczyna płakać i nie chce powiedzieć mi, z jakiego powodu, ogarnia mnie wielki gniew – zwłaszcza w tych chwilach, w których nie jestem sobą.

– A w owych chwilach właśnie bez wątpienia płacze najczęściej – zauważyłam. – Jednak w przyszłości, panie Hattersley, gdy zobaczy pan, że pańska żona „bez powodu”, jak pan to ujął, zanosi się łzami, proszę wiedzieć, że to pan jest tego przyczyną.

– Nie wierzę. Gdyby była to prawda, powiedziałałaby mi o tym. Nie pochwalam takiego uzalania się nad sobą w milczeniu – nie ma w tym nic ucziwego. A poza tym, jak wobec tego mogłaby oczekiwać ode mnie, że się zmienię?

– Być może pańska żona przypisuje panu więcej spostrzegawczości niż w rzeczywistości on posiada, i żywi nadzieję, że pewnego dnia sam przejrzy pan na oczy i naprawi swoje błędy.

– Proszę sobie nie drwić, pani Huntingdon! Jestem na tyle spostrzegawczy, by wiedzieć, że nie zawsze postępuję właściwie – choć czasami wydaje mi się, że nikogo prócz siebie swoim zachowaniem nie krzywdzę.

– Ależ krzywdzi pan – wtrąciłam. – Zarówno siebie (o czym kiedyś się pan boleśnie przekona), jak i wszystkich swoich bliskich, a zwłaszcza swoją żonę. Niedorzecznością jest mówić, że takim postępowaniem można zaszkodzić tylko sobie samemu – w mniejszym lub

większym stopniu krzywdzi pan setki, a może nawet i tysiące ludzi – bowiem nie dość, że pańska skłonność popycha go do zła, to zapomina pan przy tym o swoim obowiązku niesienia dobra.

– Jak mówiłem – albo powiedziałbym, gdyby mi pani nie przerwała – niekiedy myślę, że lepiej byłbym zrobił związując się z kobietą, która wytykałaby mi moje błędy i zachęcała do dobrych uczynków, nagradzając mnie za nie swoim uznaniem.

– Jeżeli spełniałby pan owe dobre uczynki powodowany jedynie chęcią zasłużenia sobie na uznanie innego śmiertelnika, to niewiele byłyby one warte.

– Ale, jak rzekłem, potrzebowałbym żony, która pochwałami umacniałaby we mnie dobrą stronę mego charakteru, a brakiem akceptacji osłabiała tę złą. Jestem jednak pewien, że kobieta taka jak pani czyniłaby niekiedy z mego domu piekło.

– Źle mnie pan ocenia, nie jestem megierą. Nigdy nie sprzeciwiałabym się panu, nie mając po temu ważnego powodu. Starabym się tylko panu uświadomić, że jego postępowanie nie jest mi obojętne.

– Cóż, sądzę, że gdyby moja żoneczka przyjęła tę samą strategię, obydwójce byśmy na tym skorzystali.

– Wobec tego powiem jej o tym.

– Nie, nie, proszę tego nie robić. Gdy się dobrze zastanowić, wszystko ma swoje dobre i złe strony. Ten łotr Huntingdon często ubolewa nad tym, że nie przypomina pani bardziej mojej żony. A przecież nie dość, że przy pani nie spokorniał, to jest jeszcze dziesięćkroć gorszy ode mnie... Niewątpliwie lęka się pani i w jej obecności stara się sprawować najlepiej jak umie, ale...

– Zatem zastanawiam się, jaki jest wówczas, gdy sprawuje się *najgorzej* jak umie?

– Prawdę powiedziawszy, jego zachowanie jest wtedy gorszące – prawda, Hargrave? – rzekł, zwracając się do swojego szwagra, który przed chwilą wszedł do środka i którego pojawienia się nie zauważyłam, jako że stałam teraz obok kominka odwrócona plecami do drzwi. – Czy Huntingdon nie jest największym grzesznikiem, jakiego widział świat?

– Jego żona nie pozwoli nam bezkarnie go osądzać – odrzekł pan Hargrave, podchodząc bliżej. – Ale powiem jedno: dziękuję niebiosom, że nie jestem taki, jak on.

– Być może lepiej byłoby, gdyby powiedział pan: „Boże, miej litość dla mnie, grzesznika!”

– Jest pani dla mnie zbyt surowa – odparł tamten, kłaniając się dumnie.

Roześmiawszy się, Hattersley klepnął go w ramię, ale Hargrave, sprawiając wrażenie nieco urażonego, odsunął się od niego o kilka kroków.

– Czy nie uważa pani tego za skandal, pani Huntingdon? – zawołał jego szwagier. – Tak się złożyło, że w drugi wieczór po naszym przyjeździe, będąc pod wpływem alkoholu, uderzyłem Waltera, a on od tamtego czasu traktuje mnie oziębło – mimo że już następnego ranka po owym uchybieniu z mojej strony poprosiłem go o wybaczenie!

– Sposób, w jaki o nie poprosiłeś – odrzekł tamten – oraz klarowność twoich wspomnień z poprzedniej nocy powiedziały mi, że nie byłeś aż na tyle pijany, by nie być

świadomym swoich czynów – i że ponosisz za tamto zdarzenie pełną odpowiedzialność.

– Próbowałaś się wtrącić w sprawy pomiędzy mną a moją żoną – sarknął Hattersley. – A to rozjuszyłoby każdego.

– Zatem uważasz swój czyn za uzasadniony? – zapytał Hargrave, wbijając weń bezlitosne spojrzenie.

– Nie. Mówię tylko, że nie zrobiłbym tego, gdybym nie był zdenerwowany. A jeśli, nie bacząc na wszystkie te piękne słowa, które wypowiedziałem, zamierzasz nadal chować do mnie urazę, to możesz iść do diabła!

– Na twoim miejscu powstrzymałbym się od używania takiego języka w obecności damy – rzekł pan Hargrave.

– A cóż ja takiego powiedziałem, prócz samej prawdy? – zapytał Hattersley. – Pani Huntingdon, mój szwagier znajdzie się w ogniu piekielnym, jeżeli nie wybaczy swemu bliźniemu grzechów – czyż nie?

– Panie Hargrave, skoro pan Hattersley prosi pana o odpuszczenie mu win, to powinien pan to uczynić – zauważyłam.

– Jeżeli takie jest pani życzenie, natychmiast zostanie spełnione!

Z tymi słowy Hargrave podszedł do tamtego i z uśmiechem na ustach wyciągnął do niego swoją dłoń. Jego szwagier uścisnął ją bez wahania i serdecznie i wyglądało na to, że pojednanie z obydwu stron było szczere.

– Głównym powodem mojej nieustępliwości było to, że do owego afrontu doszło w pani obecności – mówił dalej pan Hargrave. – Ale ponieważ poprosiła mnie pani, bym wyrzucił całe tamto zdarzenie z pamięci, chętnie to niniejszym czynię.

– Sądzę, że najlepiej za to podziękuję, zostawiając was samych – wyszeptał Hattersley, uśmiechając się szeroko, po czym skierował się do wyjścia.

Jego przyjaciel również się uśmiechnął, co wzbudziło moją czujność. Odwracając się do mnie, Hargrave zaczął poważnie:

– Droga pani Huntingdon, z jaką niecierpliwością, ale też i lękiem, wyczekiwałem tej chwili! Nie, proszę się nie obawiać – dodał, bowiem nagły przypływ gniewu sprawił, że moja twarz oblała się pąsem. – Nie zamierzam pani obrazić swoimi daremnymi prośbami czy skargami. I nie będę pani niepokoił, mówiąc o swoich uczuciach czy wychwalając pani doskonałości. Jednak istnieje coś, co muszę pani wyjawić – coś, co powinna pani wiedzieć i co niewymownie rani moją duszę...

– Więc proszę nie zadawać sobie trudu i mi o niczym nie mówić.

– Ale to ważne...

– W takim razie wkrótce i tak się o tym dowiem – zwłaszcza jeśli jest to jakaś zła nowina, a na to wskazują pańskie słowa. Teraz mam zamiar zaprowadzić dzieci do ich pokoju.

– Czy nie mogłaby zrobić tego ich niania?

– Nie, potrzebuję ruchu i spacer na piętro dobrze mi robi.

– Ale czy potem wróci pani tutaj?

– Nie, proszę na mnie nie czekać.

– Zatem kiedy będę mógł zobaczyć się z panią ponownie?

– W porze lunchu – rzekłam, po czym ruszyłam do wyjścia, na jednej ręce trzymając małą Helen, a drugą prowadząc Arthura.

Pan Hargrave odwrócił się, tonem skargi szepcząc pod nosem jakieś słowa, spośród których wyraźnie dosłyszałam tylko jedno: „okrutna”.

– Co to ma znaczyć, panie Hargrave? – zapytałam, przystając w drzwiach. – Co pan przez to rozumie?

– Och, nic takiego. Mój monolog nie był przeznaczony dla pani uszu. Ale prawda jest taka, pani Huntingdon, że muszę zdradzić jej pewną tajemnicę – bolesną zarówno dla mnie, jak i dla pani. Pragnąłbym, by podarowała mi pani kilka minut swojego czasu i spotkała się ze mną gdzieś na osobności – w wybranym przez siebie miejscu i porze. Nie proszę o to z egoistycznych pobudek i nie chodzi o nic, co mogłoby urazić pani niezmiernie czystą duszę – niepotrzebnie więc wbija pani we mnie to lodowate, bezlitosne spojrzenie. Dobrze wiem, w jaki sposób powszechnie postrzega się posłańca przynoszącego złą nowinę, lecz...

– A cóż to za niezwykła nowina? – przerwałam mu niecierpliwie. – Jeśli jest to coś naprawdę ważnego, proszę powiedzieć mi teraz w kilku słowach.

– Kilka słów nie wystarczy. Proszę odesłać dzieci i zostać tu ze mną.

– Nie, niech pan zatrzyma swoją złą nowinę dla siebie. Wiem, że jest to coś, czego nie chciałabym usłyszeć.

– Obawiam się, że ma pani rację. Ale też uważam, iż moim obowiązkiem jest o wszystkim panią poinformować.

– Och, proszę zaoszczędzić nam obojgu cierpienia. Zwalniam pana z tego obowiązku: choć próbował mi pan powiedzieć, ja go nie wysłuchałam, a zatem nie ponosi pan odpowiedzialności za moją niewiedzę.

– Niechże i tak będzie. Ale kiedy ów cios spadnie na panią niespodziewanie, proszę pamiętać, że chciałem uczynić go mniej dotkliwym!

Opuszczałam bibliotekę ze stanowczym postanowieniem, że nie pozwolę, by jego słowa spędziły mi sen z powiek. Cóż takiego ważnego *on* mógł mieć powiedzenia *mnie*? Zapewne chodziło o jakąś przejawskrawioną plotkę dotyczącą mego nieszczęsnego męża – plotkę, którą chciał wykorzystać dla własnych, niestosownych celów.

6 października – Od tamtej pory pan Hargrave nie wspomniał słowem na temat tamtej niezwykłej tajemnicy, a ja, jak dotąd, nie miałam powodów, by pożałować tego, że nie chciałam jej poznać. Ów groźący mi cios jeszcze nie został zadany. Obecnie jestem zadowolona z Arthura: od prawie dwóch tygodni zachowuje przy stole należyty umiar, a w jego usposobieniu i wyglądzie zewnętrznym można dostrzec zdecydowaną poprawę. Czy ośmielę się żywić nadzieję, że będzie to trwało dalej?

Rozdział XXXIII

Dwa wieczory

7 października – Tak, ośmielę się! Dziś wieczorem usłyszałam, jak Grimsby i Hattersley narzekają na niegościnność swojego gospodarza. Nie zauważyli mojej obecności, jako że stałam za zasłoną w niszy okiennej, przyglądając się księżycowi wschodzącemu ponad kępą wysokich, ciemnych wiązów rosnących w naszym parku i zastanawiając się, co wprawiło w tak sentymentalny nastrój Arthura, który stał na zewnątrz oparty o jedną z kolumn portyku, najwyraźniej kontemplując rozciągający się przed nim widok.

– Zatem przypuszczam, że to koniec beztróskich uciech w tym domu – powiedział pan Hattersley. – Co prawda *przewidywałem*, że ta przyjacielska atmosfera nie będzie trwała wiecznie, ale – dodał ze śmiechem – nigdy bym nie pomyślał, że wszystko skończy się w ten sposób. Spodziewałem się raczej, że to śliczna pani domu nastawi kolce i zacznie grozić wystawieniem nas za drzwi, jeśli nie będziemy się należycie zachowywać.

Z ust Grimsby’ego wydobył się gardłowy chichot.

– Tego nie przewidywałeś, co? Ale on w końcu się nią znudzi. I zobaczysz, kiedy za rok lub dwa przyjedziemy tu ponownie, wszystko na powrót będzie po naszej myśli.

– Nie byłbym tego taki pewny – odparł Hattersley. – Ona nie jest z gatunku tych kobiet, które szybko się człowiekowi nudzą. Ale jakkolwiek by nie było, to diablo nieznośne, że Huntingdon psuje nam całą zabawę, bo nagle postanowił zacząć wzorowo się zachowywać.

– Wszystkiemu winne są te przekłete kobiety! – mruknął Grimsby. – Są prawdziwą zakałą świata! Gdziekolwiek nie pojawią się ich fałszywe, śliczne twarzyczki, tam pewne kłopoty.

W tej chwili wyłoniłam się ze swojej kryjówki i uśmiechając się do pana Grimsby’ego, wyszłam z pokoju, ażeby dołączyć do Arthura. Zauważywszy, że skierował się w stronę schowanej pośród zarośli, ciemnej alejki, podążyłam tam za nim. Czułam się tak lekkiego serca, tak przepełniona szczęściem, że bez uprzedzenia rzuciłam się mu w objęcia. Ów niespodziany atak z mojej strony Arthur przyjął w dość osobliwy sposób, w pierwszej chwili szepcząc: „Najdroższa!” i odwzajemniając moje czułości z taką żarliwością, jak dawniej, a *następnie* wzdrygając się i wykrzykując tonem absolutnego przerażenia:

– Helen!... Co to ma znaczyć, u licha?

W nikłym świetle księżyca, które sączyło się poprzez gęstwinę liści dostrzegłam na jego pobladłej twarzy wyraz prawdziwego oszołomienia.

Jakie to dziwne, że pierwszą reakcją Arthura był instynktowny odruch czułości, a dopiero potem przyszło zaskoczenie! Ale to dowód na to, że wciąż prawdziwie mnie kocha, że jeszcze się mną nie znudził.

– Widzę, że cię wystraszyłam, Arthurze! – powiedziałam, śmiejąc się radośnie. – Jakże

jesteś spięty!

– Dlaczego to zrobiłaś, do diaska? – zawołał nieco rozdrażnionym tonem. Wyplątawszy się z mych objęć, otarł czoło chustką. – Natychmiast wracaj do domu, Helen! Przeziębisz się!

– Nie odejdę, dopóki nie powiem ci, po co tu jestem. Tamci właśnie skarżą się, Arthurze, na twoją wstrzemięźliwość, ale ja przyszłam, by ci za nią podziękować. Powiadają, że to przez „te przekłete kobiety”, które są „zakałą świata”. Jednak nie pozwól, żeby swymi drwinami i marudzeniem zawrócili cię z dobrej drogi czy osłabili twoje uczucie do mnie.

On tylko się roześmiał, ale ja jeszcze raz go uścisnęłam i zawołałam płacząco:

– Proszę – trwaj w swych szlachetnych postanowieniach, a będę kochała cię bardziej niż kiedykolwiek dotąd!

– Dobrze, już dobrze, obiecuję – powiedział, całując mnie pospiesznie. – Ale teraz już sobie idź. Jak mogłaś w ten chłodny, jesienny wieczór wyjść z domu tak lekko ubrana?

– To piękna noc – zauważyłam.

– Ta noc zaraz sprawi, że się śmiertelnie rozchorujesz. Uciekaj stąd wreszcie!

– Czy pomiędzy tamtymi drzewami ujrzałaś śmierć, która właśnie po mnie przyszła, Arthurze? – zapytałam, dostrzegając, że z przejęciem wpatruje się on w zarośla.

Nie miałam ochoty rozstawać się z nim teraz, kiedy cieszyłam się swoim nowo odkrytym szczęściem i odzyskaną nadzieją. Jednak widząc, że ogarnia go coraz większe zniecierpliwienie, w końcu pocałowałam go na pożegnanie i pobiegłam z powrotem do domu.

Tamtego wieczoru tryskałam doskonałym humorem. Milicent wyszeptała mi do ucha, że stałam się prawdziwą duszą towarzystwa i że nigdy dotąd nie widziała mnie tak olśniewającej. Mówiłam za dwudziestu, chętnie rozdawałam uśmiechy i każdego traktowałam z siostrzaną serdecznością. Grimsby patrzył na mnie ze zdumieniem, Hattersley śmiał się i żartował, Hargrave i Annabella z różnych przyczyn starali się dotrzymać mi kroku, a Milicent na swój cichy sposób była zachwycona tym, iż jej mąż, jej brat oraz jej przyjaciółka – którą skądinąd bardzo przeceniała – czerpią tyle przyjemności z obcowania ze sobą. Nawet Lordowi Lowborough udzielił się ów powszechny nastrój radości i jego ciemne, zielone oczy błyszczały wesołością, jego zasepione zazwyczaj oblicze rozpromieniał uśmiech, a jego sposób bycia wolny był w tej chwili od tamtej typowej dla niego powściągliwości. Arthur natomiast nie mówił wiele, ale śmiał się, słuchając pozostałych i znajdował się w wybornym nastroju, choć tym razem nie za sprawą wina.

9 października – Kiedy wczoraj przed kolacją Rachel przyszła mnie ubrać, zauważyłam na jej twarzy ślady łez. Próbowałam dowiedzieć się ich przyczyn, ale nie chciała mi nic powiedzieć. Czy źle się czuła? Nie. Czy dotarła do niej od przyjaciół jaka smutna nowina? Też nie. A może inne służące jej dokuczały?

– Och nie, pani! W ogóle nie chodzi o mnie – odpowiedziała.

– A więc, co cię skłoniło do płaczu, Rachel? Może czytałaś jaką powieść?

– Ależ nie! – zaprzeczyła, ze smutkiem kręcąc głową; westchnąwszy zaś, dodała: – Ale prawdę mówiąc, pani, nie podoba mi się zachowanie pana Huntingdona.

– Co masz na myśli, Rachel? Ostatnio twój pan zachowuje się przecież bardzo stosownie.

– Cóż, jeśli tak pani uważa, to wszystko jest dobrze.

Z nietypową dla siebie nerwowością zajęła się moim uczesaniem, mruczając pod nosem, że nigdy nie widziała piękniejszych włosów i że „tamte na pewno im nie dorównują”. Skończywszy zaś je układać, tkliwym gestem przeciągnęła po nich dłonią i delikatnie poklepała mnie po głowie.

– Czy te czułości przeznaczone były dla mnie, czy dla moich włosów, nianiu? – zapytałam, odwracając się do niej ze śmiechem.

Lecz jej oczy wciąż były pełne łez.

– Ależ co się dzieje, Rachel? – zawołałam.

– Nie wiem, pani... Ale na...

– Tak?

– Ale na pani miejscu, nie pozwoliłabym, by ta Lady Lowborough została tu choć jedną minutę dłużej – choć jedną minutę!

Poczułam się jak rażona piorunem. Lecz nim zdążyłam przyjść do siebie i zażądać od niej wyjaśnień, do pokoju weszła Milicent i została ze mną aż do czasu, w którym należało udać się do jadalni. W tamtej chwili musiałam wydać jej się nader nietowarzyska, bowiem ostatnie słowa służącej ciągle dźwięczały w moich uszach. Wciąż jednak miałam nadzieję, że były bezpodstawne i że wynikły z jakiejś powtarzanej pośród służby, jałowej plotki. Przy kolacji bacznie obserwowałam zarówno Lady Lowborough, jak i Arthura, ale ani w jej zachowaniu, ani w jego nie dopatrywałam się niczego niezwykłego.

Niemal natychmiast po tym, jak kolacja dobiegła końca, Annabella wyszła wraz ze swoim mężem, by potowarzyszyć mu podczas spaceru w świetle księżyca, jako że wieczór był tak samo piękny, jak poprzedni. Pan Hargrave, który pojawił się w bawialni nieco wcześniej od pozostałych dżentelmenów, zaproponował mi rozegranie partii szachów, lecz ja odmówiłam, sugerując, że powinien raczej rzucić to wyzwanie Milicent.

– Ale ona jest marną szachistką i wolałbym zmierzyć się z panią – odrzekł. – Bardzo panią proszę! Proszę się nie wymawiać swoją robótką. Dobrze wiem, że zabiera się pani za nią tylko w tych chwilach, w których brakuje jej lepszego zajęcia.

– Ale to nieuprzejmie grać w szachy w towarzystwie – zaprotestowałam.

– Nikogo tutaj nie ma z wyjątkiem Milicent, a ona...

– Och, z przyjemnością będę się przyglądała waszej grze! – zawołała nasza wspólna przyjaciółka. – Dwoje doskonałych szachistów – to będzie ucztą dla oczu! Ciekawa jestem, które z was wygra.

W ten sposób zmuszona zostałam przystać na pojedynek.

– A więc, pani Huntingdon – rzekł Hargrave, układając figury na szachownicy – jest pani doskonałym graczem, ale ja góruję nad panią swoimi umiejętnościami. Nasza potyczka będzie długa i niechybnie sprawi mi pani sporo kłopotu, lecz, podobnie jak pani, potrafię być cierpliwy i w końcu na pewno zwyciężę.

Wygłosił to wszystko z osobliwym naciskiem, jak gdyby chciał nadać swoim słowom podwójne znaczenie. Potem zaś spojrział na mnie w sposób, który mi się nie spodobał – przeszywającym, podstępny, bez mała zuchwałym wzrokiem. Zdawał się już cieszyć z nieodniesionego jeszcze zwycięstwa.

– Mam nadzieję, że się pan myli, panie Hargrave!

Powiedziałam to tak porywczo, że Milicent drgnęła gwałtownie. Jej brat jednakże tylko się uśmiechnął i szepnął:

– Czas pokaże.

Przystąpiliśmy zatem do gry: on ze spokojem i przeświadczeniem o własnej wyższości, a ja ożywiona pragnieniem sprawienia mu zawodu – bowiem dla mnie, tak jak i dla niego, owa rozgrywka dotyczyła czegoś znacznie poważniejszego i z tej przyczyny wypełnił mnie przesądny lęk przed doznaniem porażki. Mimo że jego posunięcia były ostrożne i głęboko przemyślane, starałam się dotrzymać mu kroku. Przez pewien czas nasza walka była wyrównana, potem jednak ku mojemu zadowoleniu szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na moją stronę: pozbawiwszy go kilku ważnych figur, udaremniłam wszystkie jego zamysły, na co w geście bezradności złapał się za głowę. Cieszyłam się swoją przewagą, lecz tryumfować jeszcze nie śmiałam. Minęło kilka chwil i wreszcie on, spokojnie dokonując kolejnego ruchu, spojrział na mnie i powiedział cicho:

– Wydaje się pani, że wygra, czyż nie mam racji?

– Mam taką nadzieję – odrzekłam, zbijając piona, którego chwilę przedtem podstawiał mojemu gońcowi ruchem tak niedbałym, że uznałam to za przejaw jego roztargnienia. Nie znajdowałam się jednak obecnie w nastroju na tyle wspaniałomyślnym, by zwrócić mu na to uwagę.

– Tamten goniec mi przeszkadza – zauważył Hargrave. – Ale śmiały skoczek w każdej chwili może jednym susem pokonać owego dżentelmena – dodał, po czym zbił mojego ostatniego gońca. – A raz pozbywszy się go, będę mógł się rozprawić ze wszystkimi innymi.

– Och, Walterze, jesteś zbyt pewny siebie! – zawołała Milicent. – Ona wciąż ma więcej figur od ciebie.

– Nie zamierzam się jeszcze poddawać – oznajmiłam. – I być może nim się pan spostrzeże, znajdzie się pan w moim szachu. Proszę zwrócić uwagę na swoją królową.

Pojedynek stał się teraz bardziej zacięty. Nasze starcie trwało długo i zaiste *sprawiłam* swojemu przeciwnikowi sporo kłopotów, ale on istotnie *górował* nade mną umiejętnościami.

– Jakże zażarty bój ze sobą toczycie – zauważył pan Hattersley, który znajdował się już w bawialni i od pewnego czasu śledził przebieg naszej gry. – Ależ, pani Huntingdon! Ręka

pani drży, jak gdyby od wyniku zależało całe pani życie! Za to ty, Walterze, chytry lisie, wyglądasz, jak gdybyś był pewny swego zwycięstwa i zamierzał upuścić krwi swojej przeciwnicze! Na twoim miejscu jednak postarałbym się z nią nie wygrać, bo jej wzrok mówi mi, że jeśli ci się to uda, znienawidzi cię – jak pragnę zdrowia, znienawidzi cię!

– Niechże będzie pan łaskaw zamilknąć! – powiedziałam, ponieważ jego słowa rozpraszały mnie, a znalazłam się w krytycznym położeniu. Jeszcze tylko kilka ruchów i mogłam znaleźć się w sytuacji bez wyjścia.

– Szach! – zawołał pan Hargrave, podczas gdy ja rozpaczliwie szukałam jakiejś drogi ucieczki. – I mat... – dodał zaraz cicho, ale wyraźnie rozkoszując się tym słowem.

Rezultat naszego pojedynku przeraził mnie. Hattersley roześmiał się, ale Milicent była zaniepokojona moją reakcją. Hargrave uściskał moją spoczywającą na stole dłoń, szepcząc „Została pani pokonana – pokonana!” i wpatrując się w moją twarz wzrokiem, w którym uniesienie mieszało się ze znieważającą czułością.

– Nie, *nigdy*, panie Hargrave! – wykrzyknęłam, gwałtownie wrywając dłoń z jego uścisku.

– Przeczy pani, że została pokonana? – uśmiechnął się, wskazując na szachownicę.

– Ależ nie – odpowiedziałam, uzmysłowiwszy sobie, jak dziwnym moje zachowanie musi wydawać się innym. – W tej partii oczywiście mnie pan pokonał.

– Czy chciałaby pani zagrać jeszcze raz?

– Nie.

– A więc przyznaje pani, że jestem lepszy?

– Tak – w szachach jest pan ode mnie lepszy.

Podniosłam się, by na powrót zająć się swoją robótką.

Rozejrzawszy się po pomieszczeniu, Hargrave zapytał poważnie:

– Gdzie jest Annabella?

– Wyszła na spacer z Lordem Lowborough – odpowiedziałam, bowiem pan Hargrave spoglądał na mnie wyczekująco.

– I jeszcze nie wróciła?

– Chyba nie.

– A gdzie Huntingdon? – zapytał, znów się rozglądając.

– Jak ci wiadomo, wyszedł na spacer z Grimsbym – powiedział Hattersley, dusząc się ze śmiechu.

Dlaczego Hattersley się roześmiał? I dlaczego Hargrave wspomniał o tamtych dwojgu? Czy wobec tego była to prawda? I czy to był właśnie ów straszliwy sekret, który próbował mi wyjawić? Musiałam się tego dowiedzieć – musiałam szybko poznać prawdę. Podniósłszy się natychmiast, wyszłam z bawialni, zamierzając odszukać Rachel i zażądać od niej, by wyjaśniła mi znaczenie swych wcześniejszych słów. Jednak w przedpokoju dogonił mnie pan Hargrave.

– Czy pozwoli mi pani coś sobie powiedzieć, pani Huntingdon? – zapytał cicho, patrząc pod nogi.

– Tylko jeśli jest to coś wartego usłyszenia – odrzekłam, usiłując nad sobą zapanować, bowiem trzęsłam się od stóp do głów.

Spokojnie podsunął mi krzesło, na którym jednak nie siadłam. Poprosiłam, żeby nie zwlekał.

– Niechże się pani nie niepokoi – rzekł Hargrave. – To, co pragnę jej zakomunikować jest samo w sobie niewiele znaczące i wyciągnięcie wniosków pozostawię pani. Powiada pani, że Annabella jeszcze nie wróciła?

– Tak, tak. Ale proszę wreszcie mówić! – ponagliłam go, bojąc się, że mój wymuszony spokój może mnie za chwilę opuścić.

– I wiadomo pani, że Huntingdon wyszedł z domu w towarzystwie Grimsby’ego?

– A więc?

– Usłyszałem, jak ten drugi mówi do pani męża – lub człowieka, który się za niego uważa...

– Proszę nie przerywać, sir!

– Usłyszałem, jak mówi do niego: „Wszystko odpowiednio urządzę, zobaczysz! Spacerują teraz nad brzegiem jeziora, więc pójdę tam i poproszę go o chwilę rozmowy na temat, który nie zainteresuje jego małżonki, na co ona powie, że wobec tego wróci do domu. Ja wtedy grzecznie ją przeproszę, jednocześnie dyskretnie dając znak, by poszła alejką przez zarośla. Postaram się zatrzymać jegomościa na tak długo, jak tylko będzie to możliwe, poruszając każdą kwestię, która przyjdzie mi do głowy. A potem poprowadzę go do domu inną drogą...”

Pan Hargrave zamilkł i spojrzał na mnie.

Bez słowa wybiegłam z pokoju, a następnie z domu do ogrodu. Nie potrafiłam już znieść tego stanu niepewności. I choć nie chciałam fałszywie osądzać swojego męża na podstawie oskarżeń tamtego człowieka, potrzebowałam bezzwłocznie przekonać się, jaka jest prawda. Ledwie dotarłam na schowaną w zaroślach alejkę, gdy kazał mi przystanąć dźwięk czyjś głosu.

– Zabawiliśmy tutaj zbyt długo. On zaraz wróci – mówiła Lady Lowborough.

– Ależ nie, najdroższa! – odpowiedział *jego* głos. – Jednak pobiegnij przez trawnik i wemknij się do środka najciszej jak będziesz potrafiła. Ja za pewien czas uczynię to samo.

Kolana ugięły się pode mną i poczułam zawrót głowy. Ale nie wolno mi było zemdleć, nie mogłam dopuścić do tego, by ona mnie zobaczyła. Skuliwszy się pośród krzewów, czekałam, aż przejdzie.

– Ach, Huntingdon! – zawołała pełnym wyrzutu głosem, zatrzymując się w miejscu, w którym stałam wraz z nim poprzedniego wieczoru. – To tutaj pocałowałaś tę kobietę!

On, zbliżając się do niej, roześmiał się beztrasko i odrzekł:

– Cóż, najdroższa, nie miałem innego wyjścia. Dobrze wiesz, że trzeba mi zachowywać odpowiednie pozory. Ileż to razy musiałem patrzeć na to, jak całujesz tego swojego durnego męża? I czy kiedykolwiek czyniłem ci z tego powodu jakieś wyrzuty?

– Ale powiedz mi: nie kochasz jej jeszcze choć *odrobinę*? – zapytała, kładąc dłoń na jego

ramieniu i zagładając mu w oczy.

Widziałam ich bardzo wyraźnie, bowiem stali teraz w jasnych promieniach znajdującego się w pełni księżyca.

– Ani trochę, przysięgam na wszystkie świętości! – odpowiedział, całując jej zarumieniony policzek.

– Wielkie nieba, trzeba mi wreszcie uciekać! – zawołała, po czym oddaliła się szybko.

Arthur stał tuż przede mną, lecz nie miałam w owej chwili dość sił, by stawić mu czoła. Czułam się oniemiała, osłupiała, serce moje biło jak oszalałe i zdumiewało mnie to, że on nie słyszy jego uderzeń pośród tego delikatnego szumu wiatru i sporadycznego szelestu spadających liści. Ale choć wszystkie zmysły zdawały się mnie zawodzić, wyraźnie usłyszałam słowa, które wymówił, podążając wzrokiem za tamtą:

– Oto kobieta naiwna! Biegnij, Annabello, biegnij!

A kiedy odchodził, moich uszu dobiegł jeszcze jego cichy chichot.

– Boże, pomóż mi! – wyszeptałam, osuwając się na kolana, po czym przez znajdujące się ponad moją głowę listowie spojrzałam w rozświetlone blaskiem księżyca niebo. Moje palące, pękające w szwach serce długo nie potrafiło przetłumaczyć swojego bólu na słowa modlitwy. Jednak wreszcie omiótł mnie podmuch wiatru, który ostudził moje czoło i przywrócił nieco życia mojej zastygłej w bezruchu postaci. Zdało mi się wówczas, że jakaś niebiańska siła wzmocniła mnie od środka: oddychałam już swobodniej, a mój zmętniały wzrok odzyskał ostrość. Ujrzałam nad sobą świecący swym nieprzerwanym blaskiem księżyc, lekkie chmurki mknące po ciemnym, czystym niebie i odwieczne gwiazdy mrugające do mnie swym światłem. Wiedziałam, że ich Bóg jest także moim Bogiem; wiedziałam, że ma On moc ocalania i dar wysłuchiwania. „Nigdy cię nie zostawię, nigdy się ciebie nie wyrzeknę” – szeptał do mnie jakiś głos sponad bezliku owych ciał niebieskich.

Pokrzepiona w ten sposób podniosłam się i wróciłam do domu. Ale przyznać muszę, że kiedy weszłam do środka, pozostawiając za sobą tamtą rzeźkość wiatru i wspaniałość nieba, znaczna część odzyskanych sił opuściła mnie na nowo. Wszystko to, co ukazało się moim oczom i dotarło moich uszu przyprawiło mnie o mdłości – lampa, schody, drzwi do poszczególnych pomieszczeń, odgłosy rozmów i śmiech dochodzący z bawialni. Jak miałam znieść swoją przyszłość? I jakże miałam przetrwać swoje życie w tym domu i pośród tych ludzi? Z zamyślenia wyrwał mnie John, który pojawił się właśnie w holu, mówiąc, że polecono mu mnie odszukać i że pan chce wiedzieć, czy przyjdę, bowiem przyniesiono już podwieczorek.

– Johnie, poproś panią Hattersley, by była tak uprzejma i zajęła się herbatą – powiedziałam. – Przekaż jej, że źle się czuję i proszę, by wszyscy wybaczyli mi moją nieobecność.

Schroniłam się w wielkiej, opustoszałej jadalni, gdzie wszystko zdawało się ciszą i ciemnością, nie licząc dźwięku szumiącego za oknem wiatru i promieni księżyca, które przenikały do środka poprzez zasłony. I to tam, w samotności, zmagalam się ze swymi gorzkimi myślami, płacząc się bez celu po pomieszczeniu. Jakże inny był ten wieczór od

poprzedniego! I jakże byłam głupia, poddając się tamtemu poczuciu szczęścia! Teraz rozumiałam, dlaczego Arthur przywitał mnie w tak niezwykły sposób na owej ukrytej pośród zarośli alejce – tamten poryw czułości przeznaczony był dla jego kochanki, nie dla żony. Teraz też dotarło do mnie znaczenie owej podsłuchanej rozmowy – Hattersley i Grimsby bez wątpienia mówili o jego miłości do Annabelli, a nie do mnie.

Moich uszu dotarł odgłos otwierających się drzwi bawialni i po chwili ktoś lekkim krokiem przeszedł przez hol, a następnie schodami pobiegł na górę. Niechybnie była to Milicent. Biedna Milicent poszła sprawdzić, jak się czuję – nikt inny o mnie nie dbał i tylko ona postanowiła okazać mi serdeczność. Do tej pory nie potrafiłam uronić nawet jednej łzy, ale teraz popłynęły szybko i obficie. I tym sposobem moja przyjaciółka, choć nawet się do mnie nie zbliżyła, przyniosła mi ukojenie. Nie znalazłszy mnie w mojej sypialni, po chwili powolniejszym krokiem zeszła z powrotem na dół. Nie zdecydowała się zajrzeć do miejsca mojego schronienia i kierując się w przeciwnym kierunku, wróciła do bawialni. Rada byłam z tego, bowiem nie umiałabym jej teraz spojrzeć w oczy; nie wiedziałabym, co jej powiedzieć. Trzeba mi było samodzielnie zmierzyć się ze swym nieszczęściem – nie pragnęłam powiernicy i nie zasługiwałam na nią. Sama przyjąłam na siebie to brzemię i sama zamierzałam je nieść.

Gdy nadeszła pora udania się na spoczynek, otarłam oczy i spróbowałam wyciszyć swój umysł. Jeszcze tego wieczoru musiałam rozmówić się z Arthurem i zamierzałam uczynić to bez emocji. Postanowiłam, że nie urządzę mu sceny – że niczym takim nie będzie mógł się pochwalić przed swoimi kompanami, że nie dam mu i jego kochance powodów do śmiechu. Kiedy usłyszałam, że towarzystwo rozchodzi się do swoich sypialni, bezgłośnie otworzyłam drzwi i poczekawszy aż mój mąż znajdzie się w pobliżu, gestem przywołałam go do środka.

– Co z *tobą*, Helen? – zapytał. – Dlaczego nie przyszłaś, gdy trzeba było podawać herbatę? I co, u licha, robisz tutaj w tych ciemnościach? Co ci dolega, dziewczyno? Dlaczego wyglądasz jak duch? – pytał, przyglądając się mi w świetle swojej świecy.

– To nieważne – odpowiedziałam. – Przynajmniej dla ciebie, bo zdaje się, że nie żywisz już do mnie żadnych uczuć – podobnie zresztą, jak ja do ciebie.

– Co to ma znaczyć, u diabła? – mruknął.

– Gdyby nie moje dziecko, wyjechałabym już jutro i moja noga więcej by w tym domu nie stała.

Zamilkłam na chwilę, by uspokoić swój głos.

– Helen, co to wszystko, u diabła, ma znaczyć? – zawołał. – Do czego zmierzasz?

– Wiesz doskonale. Nie traćmy więc czasu na niepotrzebne wyjaśnienia. Powiedz mi tylko, czy...

On zapewnił gorliwie, że nie wie, w czym rzecz, a następnie zapytał, kto miał w sobie na tyle jadu, by oczerniać jego osobę i w jaką to ohydłą brednię na jego temat uwierzyłam.

– Oszczędź sobie trudu zaklinania się na wszystkie świętości i nie łam sobie głowy, wymyślając kolejne kłamstwa – odrzekłam oschle. – Nie musiałam ufać niczyjemu

świadectwu, gdyż tak się złożyło, że byłam dzisiejszego wieczoru w ogrodzie. Na własne oczy was widziałam i własnymi uszami was słyszałam.

To wystarczyło. Wydawszy z siebie stłumiony okrzyk konsternacji, postawił świecę na najbliższym krześle i zakładając ręce na piersi, oparł się plecami o ścianę. Następnie popatrzył na mnie wyczekująco.

– A więc? Co wobec tego? – zapytał z zuchwałym spokojem.

– Chciałabym tylko wiedzieć, czy zgodzisz się na to, bym odeszła wraz z naszym dzieckiem i tym, co zostało z mojego majątku?

– Odeszła dokąd?

– Dokądkolwiek – tam gdzie dziecku nie będzie zagrażał szkodliwy wpływ twojej osoby, i gdzie ja nie będę skazana na twoją obecność – a ty na moją.

– Nie! Na Jowisza, nie pozwolę na to!

– Czy pozwolisz mi zatem odejść z samym dzieckiem, bez pieniędzy?

– Nie – i bez dziecka też ci odejść nie pozwolę. Czy sądzisz, że ulegnę twoim kaprysom i przystanę na to, byś zrobiła ze mnie pośmiewisko?

– Wobec tego muszę tutaj zostać, by znosić twoją nienawiść do mnie i pogardę. Ale odtąd tylko formalnie jesteśmy mężem i żoną.

– Bardzo dobrze.

– Jestem dla ciebie jedynie matką twojego dziecka i panią tego domu – niczym więcej. Nie musisz zadawać sobie trudu, udając, że masz do mnie jakieś uczucia. Nie będę wymagać od ciebie żadnych pustych, małżeńskich czułości – nie pozwolę, byś ofiarując je mi, pił sobie ze mnie, podczas gdy to co najważniejsze dajesz innej!

– Bardzo dobrze – jeśli tylko sobie tego życzysz. Zobaczymy, komu wcześniej się to sprzykrzy.

– Jeżeli coś mi się sprzykrzy, to będzie to życie u twojego boku, a nie życie bez twojej pozorowanej miłości. Kiedy *tobie* znuży się trwanie w grzechu i okażesz prawdziwą skruchę, wybaczę ci – i być może spróbuję pokochać cię od nowa, choć będzie to bardzo trudne.

– A tymczasem pójdziesz podyskutować na mój temat z panią Hargrave, a potem będziesz pisała długie listy do cioteczki Maxwell, skarżąc się na to, jakim niegodziwcem jest twój mąż.

– Nikomu nie będę się skarżyła. Do tej pory usiłowałam ukrywać twoje grzechy przed oczami innych i zabiegałam o to, by widzieli w tobie zalety, których nie posiadasz. Odtąd jednak musisz liczyć tylko na siebie.

Zostawiłam go mruczącego pod nosem jakieś obelgi i poszłam na górę.

– Nie czuje się pani dobrze, madame – powiedziała Rachel, przyglądając się mi z niepokojem.

– To prawda, Rachel! – odrzekłam w odpowiedzi raczej na zmartwiony wyraz jej oblicza niż na jej słowa.

– O wszystkim wiedziałam, w przeciwnym razie nie wspomniałabym słowem.

– Ty się tym nie trap, Rachel – powiedziałam, całując jej blady, zapadły policzek. – Przetrwam to lepiej niż sobie wyobrażasz.

– Tak, pani zawsze stara się „przetrwąć”. Ale będąc na jej miejscu, zamiast tego popłakałabym sobie, i to mocno! A do tego wyrzuciłabym wszystko z siebie, mówiąc mu, co...

– Ależ powiedziałam mu – odparłam. – Powiedziałam mu więcej niż chciałby usłyszeć.

– Więc proszę sobie popłakać – nalegała. – Jeśli będzie pani wszystko w sobie dusić, pęknie jej serce z nadmiaru zgryzoty!

– Ależ płakałam – odrzekłam, uśmiechając się na przekór swojemu nieszczęściu. – I doprawdy *jestem* teraz spokojna. Przestańmy już o tym mówić – i pamiętaj, żeby nie wspominać na ten temat innym służącym. Dobranoc, Rachel, i niech to wszystko nie spędza ci snu z powiek. Sama także zamierzam spać spokojnie, jeśli tylko Bóg pozwoli.

Pomimo tego zapewnienia, posłanie zdawało mi się tej nocy tak nieznośne, że jeszcze przed drugą postanowiłam wstać i zapaliwszy świecę, siadłam przy sekretarzyku, by opisać w swoim dzienniku wydarzenia minionego wieczoru. Jawiło mi się to jako lepsze rozwiązanie od bezsennej leżania w łóżku i zadręczania swojego umysłu snuciem przerażających domysłów na temat przyszłości. Opisując tutaj okoliczności mojego odkrycia i błahe detale, które temu odkryciu towarzyszyły, poczułam prawdziwą ulgę i żaden sen zaznany dzisiejszej nocy nie przyniósłby mi takiego ukojenia. Choć teraz, kiedy kończę pisać te słowa, czuję, że głowę rozsadza mi potworny ból, a spoglądając przed chwilą na swoje lustrzane odbicie, przeraziłam się swojej upiornej, zmęczonej twarzy.

Rachel, która przyszła mnie ubrać, powiada, że widać po mnie, jak ciężką przeżyłam noc. Chwilę temu zajrzała do mnie również Milicent, dowiadując się o moje samopoczucie. Powiedziałam jej, że mam się już lepiej, ale zmuszona byłam przyznać się jej do nieprzespanej nocy, by usprawiedliwić to, jak wyglądam. Nie mogę się doczekać końca tego dnia! Sama myśl o konieczności zejścia na śniadanie wprawia mnie w drżenie – w jaki sposób spojrzę im wszystkim w oczy? Lecz muszę pamiętać, że to nie *ja* jestem winowajczynią. *Ja* nie mam powodu do obaw i jeśli *oni* przyznają sobie prawo do pogardzania mną jako swoją ofiarą, będę mogła tylko im współczuć.

Rozdział XXXIV

Sekret

Wieczór. Śniadanie minęło bez przeszkód i od samego początku aż do końca nie traciłam opanowania. Spokojnie odpowiadałam na pytania dotyczące mojego zdrowia, a wszystko, co w moim wyglądzie i zachowaniu mogło wydawać się niezwykle pozostali przypisywali owej niegroźnej niedyspozycji, która poprzedniego dnia zmusiła mnie do wcześniejszego udania się na spoczynek. W jaki sposób przetrwam tych dziesięć dni, które muszą jeszcze upłynąć, zanim goście wyjadą? Nie wiem jednak, dlaczego z takim utęsknieniem czekam na tę chwilę... Kiedy już ich nie będzie, jakże przeżyję przyszłe miesiące i lata w towarzystwie tego mężczyzny, który jest moim największym wrogiem? – tak: największym wrogiem, bowiem nikt na świecie nie mógłby mnie skrzywdzić bardziej niż on. Gdy myślę o tym, jak ślepo go kochałam, jak niedorzecznie mu ufałam, jak nieustannie trudziłam się i zabiegałam o jego dobro – i kiedy przypominam sobie, jak brutalnie on podeptał moją miłość, jak zawiódł moje zaufanie, jak wzgardził moimi modlitwami i łzami, jak zniszczył moje nadzieje i młodość i jak skazał mnie na życie będące jednym pasmem nieszczęść – wtedy nie wystarczy mi powiedzieć, że nie kocham swojego męża, ponieważ szczerze go nienawidzę! To słowo dźwięczy w moich uszach niczym wyznanie grzesznika, ale to prawda: nienawidzę go! Lecz niech Bóg okaże litość mojej nieszczęsnej duszy i sprawi, by tamten zrozumiał rozmiary i wagę popełnionego przez siebie błędu – o żaden inny rodzaj zadośćuczynienia nie proszę! Gdyby uprzytomnił sobie, jak wielką wyrządził mi krzywdę, poczułabym się w pełni pomszczona i mogłabym wszystko mu wybaczyć. Jednak on jest tak zagubiony, tak zatwardziały w swym zepsuciu, że nie sądzę, by kiedykolwiek mogło się to zmienić. Ale po cóż rozwodzić się nad tą kwestią... Lepiej uczynię, wracając do pomniejszych wydarzeń dzisiejszego dnia.

Pan Hargrave od rana irytował mnie swoimi ostrożnymi, miłosiernym (jak mu się zdaje) uprzejmościami. Gdyby owe uprzejmości były mniej dyskretne, nie dokuczałyby mi tak bardzo, bowiem mogłabym je w sposób kategoryczny odrzucić. Tymczasem potrafi on nadawać im tak delikatnie troskliwy charakter, że sprzeciwiając się im, wydałabym się zgoła niegrzeczna. Niekiedy myślę, że powinnam być mu wdzięczna za ową życzliwość, którą tak zręcznie pozoruje. Jednak sądzę, że w tych szczególnych okolicznościach, w których się znajduję moim obowiązkiem jest zachowanie ostrożności. Być może jego uprzejmość nie jest do końca udawana, ale nie wolno mi dopuścić do tego, by najmniejszy przyływ wdzięczności uspił we mnie moją czujność. Muszę pamiętać o tamtej partii szachów, o jego ówczesnych słowach i spojrzeniach – wtedy będę bezpieczna.

Pan Hargrave szuka, jak sądzę, okazji do porozmawiania ze mną na osobności. Cały dzień zdawał się jej wyglądać, lecz zadbałam o to, by jej nie dostał. Nie dlatego, że

obawiam się czegoś, co mogłabym od niego usłyszeć – po prostu dość mam już zmartwień i nie potrzebuję znosić na dodatek jego słów pocieszenia i wyrazów współczucia. Jednakże przez wzgląd na Milicent nie chciałam się z nim poróżnić. Dziś rano wymówił się od pójścia z pozostałymi dżentelmenami na polowanie, twierdząc, że ma kilka listów do napisania. Ale zamiast udać się w tym celu do biblioteki, przyszedł do pokoju dziennego, gdzie przebywałam właśnie wraz z Milicent i Lady Lowborough. Tamte dwie damy zajęte były swoimi robótkami, a ja zaopatrzyłam się w książkę – raczej po to, ażeby uniknąć rozmowy, a nie dla samej przyjemności czytania. Rozumiejąc, że pragnę spędzić ten czas w milczeniu, Milicent starała się mi nie przeszkadzać. Annabella tymczasem, choć również niewątpliwie zauważyła, że nie jestem w nastroju do rozmowy, trąkotała w najlepsze, zwracając się niemal wyłącznie do mnie, a w im chłodniejszy sposób jej odpowiadałam, tym bardziej się ożywiała. Pan Hargrave, zdając sobie sprawę z tego, że moja wytrzymałość poddawana jest ciężkiej próbie, próbował odpowiadać znad swojego biurka na zadawane przez nią pytania i czynione przez nią obserwacje, lecz na niewiele się to zdało. Być może Lady Lowborough sądziła, że dokucza mi ból głowy i mówienie tylko go zaostrza – jakkolwiek by nie było, dostrzegła, że jej szczebiot jest mi niemiły, o czym świadczył złośliwy upór, z jakim nie dawała za wygraną. W końcu jednak udało mi się ją poskromić, wkładając jej do ręki tę samą książkę, którą dotychczas usiłowałam czytać, gdzie na stronie przedtytułowej napisałam te oto słowa:

„Zbyt dobrze jestem zaznajomiona z Pani charakterem i tym, jak się Pani prowadzi, bym mogła mieć dla niej jakiegokolwiek życzliwe uczucia. I ponieważ nie posiadam Pani talentu do hipokryzji, zmuszona jestem ukrócić wszelkie bliskie kontakty między nami. A jeśli nadal będę odnosić się do Pani tak grzecznie, jak gdyby była pani kobietą wartą szacunku, proszę wiedzieć, że czynię tak przez wzgląd na pani kuzynkę Milicent, a nie na Panią”.

Przeczytawszy to, Annabella spłoszowała i przygryzła wargę, po czym ukradkiem wyrwała tamtą stronę, zmięła ją i rzuciła w palący się w kominku ogień. Następnie poczęła wertować książkę, przyglądając się jej zawartości. Krótki czas potem Milicent ogłosiła swój zamiar udania się do pokoju dziecinnego, pytając, czy zechcę jej towarzyszyć.

– Annabella nam wybaczy, jest zajęta czytaniem.

– Nie, nie wybaczę wam – zawołała tamta nagle, rzucając książkę na stół. – Chcę zamienić kilka słów z Helen. Możesz iść przodem, Milicent, a ona zaraz do ciebie dołączy.

Kiedy Milicent się oddaliła, Lady Lowborough zapytała:

– Wyświadczysz mi tę grzeczność, Helen?

Byłam zdumiona jej zuchwałością, ale uległam i poszłam za nią do biblioteki. Zamknawszy drzwi, podeszła do kominka.

– Kto ci o tym powiedział? – zapytała.

– Nikt nie musiał mi mówić. Nie jestem niewidoma.

– Ach, jest w tobie zbyt dużo podejrzliwości! – zawołała z cieniem nadziei w głosie.

– Gdybym *była* podejrzliwa – odrzekłam – już dawno odkryłabym, jak jesteś bezwstydną. Nie, Lady Lowborough, nie mam zwyczaju opierać swoich zarzutów na

podejrzeniach.

– A więc na czym je opierasz? – zapytała, rzucając się na fotel i kładąc stopy na kracie przed kominkiem – najwyraźniej po to, aby sprawić wrażenie opanowanej.

– Tak samo, jak ty cenisz sobie wieczorne spacerowanie przy świetle księżyca – odrzekłam, wbijając w nią wzrok. – I tak się składa, że alejka w zaroślach jest moim ulubionym miejscem.

Ponownie spąsowiła i nic nie mówiąc, zapatrzyła się w ogień. Przez kilka chwil przyglądałam się jej z uczuciem niezyczliwej satysfakcji, a potem, kierując się już do drzwi, zapytałam, czy ma mi jeszcze coś do powiedzenia.

– Tak, tak! – zawołała, gwałtownie się podnosząc. – Chciałabym wiedzieć, czy powiesz o tym Lordowi Lowborough.

– Założmy, że to zrobię?

– Cóż, jeśli jesteś skłonna rozgłosić tę sprawę, ja oczywiście nie będę cię powstrzymywać, jednak konsekwencje tego będą doprawdy przykre. Ale gdybyś postanowiła tego nie robić, uznałabym cię za najbardziej wspaniałomyślną istotę pod słońcem... I jeśli istnieje coś, co mogłabym dla ciebie zrobić – cokolwiek, oprócz... – zawahała się.

– Oprócz wyrzeczenia się tej karygodnej relacji z moim mężem, jak mniemam?

Moje słowa wprawiły ją w zakłopotanie i na chwilę zamilkła.

– Nie mogę wyrzec się czegoś, co jest mi droższe od własnego życia – wyszeptała pospiesznie. Potem zaś, podnosząc nagle głowę i wbijając we mnie wzrok, dodała poważnie: – Ale Helen, albo jeśli wolisz: pani Huntingdon, czy zamierzasz mu o tym powiedzieć? Jeżeli jesteś osobą wielkoduszną, to masz właśnie doskonałą okazję to udowodnić. Popatrz: oto ja, twoja rywalka, gotowa uznać się twoją dłużniczką i podziękować ci za twój łaskawy gest wyrozumiałości.

– Nie powiem mu.

– Nie powiesz! – zawołała radośnie. – Przyjmij zatem moje płynące prosto z serca podziękowania.

Z tymi słowy wyciągnęła do mnie dłoń, której ja jednak nie uściśnęłam.

– Nie dziękuj mi, bo to żaden akt wyrozumiałości z mojej strony. Nie powiem twojemu mężowi nie przez wzgląd na ciebie, lecz z uwagi na niego.

– A Milicent? Jej zamierzasz o tym powiedzieć?

– Przeciwnie – uczynię wszystko, co w mojej mocy, by nie dowiedziała się o podłości i haniebnym postępowaniu swojej kuzynki.

– Używa pani ostrych słów, pani Huntingdon – ale wybaczam to.

– A teraz, Lady Lowborough, radzę, by tak szybko, jak to możliwe opuściła pani ten dom. Musi być pani świadoma, że jej obecność tutaj jest mi wyjątkowo niemiła. Jednak nie z powodu pana Huntingdona – dodałam, widząc na jej twarzy cień tryumfalnego uśmiechu. – Jeżeli chodzi o mnie, może go sobie pani zabrać. Ale męczy mnie ciągle ukrywanie swoich prawdziwych uczuć i silenie się na uprzejmość wobec osoby, dla której nie mam

nawet krzty szacunku. Poza tym, jeśli dłużej będzie pani tutaj przebywać, te ostatnie dwie nieświadome niczego osoby w końcu się o wszystkim dowiedzą. I przez wzgląd na Lorda Lowborough, Annabello, a nawet przez wzgląd na siebie samą – radzę i serdecznie proszę, żeby natychmiast położyła pani kres swoim niecnym uczynom i dopóki to jeszcze możliwe, na powrót stała się przykładną żoną swego męża. Inaczej wynikną z tego straszliwe konsekwencje...

– Tak, oczywiście – przerwała mi, wykonując gest zniecierpliwienia. – Ale nie mogę wyjechać wcześniej niż było to planowane, Helen. Jaki mogłabym wymyślić po temu pretekst? Każde usprawiedliwienie jawiłoby się jako podejrzane. A skoro nasza wizyta prawie dobiega już końca i został nam jeszcze tylko nieco ponad tydzień, chyba przez ten krótki czas będziesz w stanie ścierpieć moją obecność? Obiecuję, że już nie będę ci dokuczać swoimi impertynencjami.

– Cóż, nic więcej nie mam ci już do powiedzenia.

– Czy rozmawiałaś o tym wszystkim z Huntingdonem? – zapytała, kiedy wychodziłam z pokoju.

– Jak śmiesz wypowiadać przy mnie jego nazwisko! – brzmiała moja odpowiedź.

Od tamtej pory nie zamieniłyśmy ze sobą ani jednego słowa – nie licząc powierzchownych uprzejmości, których wymagały od nas normy dobrego zachowania.

Rozdział XXXV

Prowokacje

19 października – Wiedząc, iż nie musi się z mojej strony niczego obawiać i w miarę jak zbliża się dzień jej wyjazdu z Grassdale, Lady Lowborough staje coraz odważniejsza i zuchwalsza. Bez skrupułów pozwala sobie w mojej obecności na gesty poufałości wobec mojego męża, a szczególnie upodobała sobie ostentacyjne okazywanie swojego zainteresowania jego samopoczuciem, jak gdyby zależało jej na zaakcentowaniu różnicy pomiędzy jej troskliwością i moją zimną obojętnością. Spojrzenia i uśmiechy, którymi on się jej odwdzięcza oraz niekiedy szeptane i niekiedy wypowiedane przez niego śmiałym głosem uwagi sugerujące, że dostrzega jej dobroć i moje zaniedbania – wszystko to na przekór mojej woli sprawia, że krew się we mnie gotuje. Wolałabym być ślepa i głucha na to, co się między nimi dzieje, gdyż wiem, że im bardziej czuję się dotknięta ich niegodziwym zachowaniem, tym bardziej ona rozkoszuje się swoim zwycięstwem. A on tym chętniej pochlebia sobie myślą, że wciąż – pomimo mojej udawanej obojętności – go kocham. Czasami ogarnia mnie przewrotne pragnienie, by wyprowadzić Arthura z błędu, posługując się Hargrave'em i odpowiadając na jego awanse. Jednakże ledwie ów pomysł pojawi się w mojej głowie, zaraz zdejmuje mnie trwogą i obrzydzeniem, a potem nienawiść do mojego męża wzrasta po dziesięciokroć, bowiem to jemu zawdzięczam to wszystko. Niechże Bóg mi wybaczy i daruje mi moje grzeszne myśli!

Rada jestem z tego, że Lady Lowborough jutro wyjeżdża, bo nie zniósłabym jej obecności w tym domu ani jednego dnia dłużej. Dzisiejszego ranka obudziłam się wcześniej niż zazwyczaj i kiedy zeszłam do jadalni na śniadanie, ona już tam była.

– Och, Helen! Czy to ty? – zapytała, odwracając się, gdy wchodziłam do środka.

Mimowolnie wzdrygnęłam się na jej widok, na co ona wydała z siebie krótki śmiech, a następnie zauważyła:

– Chyba *obydwie* jesteście zawiedzione.

Nic nie mówiąc, podeszłam do stołu, by zająć się śniadaniem.

– To już ostatni dzień, w którym będę nadużywała twojej gościnności – powiedziała, siadając przy stole. – Ale oto ktoś, kto nie będzie z tego powodu zadowolony – wyszeptła, kiedy do środka wszedł Arthur.

Na powitanie uściśnął jej dłoń, potem zaś, zaglądając jej z czułością w oczy, powiedział cichym, pełnym żalości głosem:

– Ostatni dzień...

– Tak – odpowiedziała dość cierpko Annabella. – Dlatego wstałam skoro świt, by jak najpełniej go wykorzystać. Siedziałam tutaj sama przez pół godziny, podczas gdy *ty*... Leniwa istoto...!

– Sądziłem, że sam też wstałem odpowiednio wcześniej – rzekł, po czym głosem znizowanym prawie do szeptu dodał: – Ale jak widzisz, nie jesteśmy sami.

– Nigdy nie jesteśmy sami – odparła.

Niewiele ich jednakże od tego dzieliło, bowiem stałam teraz pod oknem, przyglądając się chmurom i usiłując powstrzymać swój gniew.

Wymienili się jeszcze jakimiś uwagami, których na szczęście nie dosłyszałam; później jednak Annabella miała czelność podejść do mnie, położyć dłoń na mym ramieniu i powiedzieć:

– Nie masz powodu żałować swojego męża, Helen. Ja mam dla niego więcej miłości niż ty kiedykolwiek mogłabyś mu dać.

Usłyszawszy to, wpadłam w furję. Nie kryjąc odrazy, chwyciłam za jej dłoń i gwałtownie rzuciłam ją ze swego ramienia. Wystraszona, zgoła zatrwożona owym nagłym wybuchem z mojej strony, w milczeniu wycofała się. Miałam zamiar powiedzieć coś jeszcze w gniewie, ale opamiętałam się, słysząc śmiech Arthura. Pożałowawszy tego, że dałam mu powód do zadowolenia, odwróciłam się z powrotem do okna. Mój mąż wciąż się śmiał, kiedy do środka wszedł pan Hargrave. Nie wiem, jak wiele z owej sceny dane mu było zobaczyć, ale drzwi jadalni przez cały ten czas były uchylone. Hargrave chłodno przywitał się ze swoim gospodarzem i kuzynką, mnie zaś rzucił spojrzenie, które miało wyrażać jego najgłębsze współczucie i jednocześnie uwielbienie i szacunek dla mnie. Przystając obok, zapytał szeptem:

– Jak wiele swojego posłuszeństwa jest pani winna temu człowiekowi?

– Nie jestem mu winna żadnego – odpowiedziałam, po czym natychmiast wróciłam do stołu, by zająć się parzeniem herbaty, jako że w pomieszczeniu zaczęli się już gromadzić pozostali goście.

Po śniadaniu, zdecydowana spędzić w towarzystwie Lady Lowborough jak najmniejszą porcję tego dnia, udałam się do biblioteki. Pan Hargrave podążył tam za mną, na pozór szukając jakiejś książki. Przyjrząwszy się nasamprzód półkom, wybrał jeden z tomów, a następnie cicho, choć bynajmniej nie bojaźliwie, zbliżył się do mnie i kładąc rękę na oparciu mojego fotela, powiedział łagodnie:

– A więc uznała pani wreszcie, że jest wolna?

– Tak – odrzekłam, nie podnosząc oczu znad swojej lektury. – Tak wolna, jak tylko mogę być, nie uchybiając Bogu i własnemu sumieniu.

Zapadła chwila ciszy.

– I bardzo słusznie – zauważył wreszcie Hargrave, pochylając się nade mną. – Pod warunkiem, że sumienie pani nie jest zanadto wrażliwe, a Bóg z jej wyobrażeń nie jest nazbyt surowy. Ale czy sądzi pani, że ów łaskawy Pan Stworzenia poczułby się urażony, gdyby postanowiła pani dać szczęście człowiekowi, który z radością oddałby za jej życie własne?

Słowa te wypowiedział znizowanym, wzruszonym głosem. Tym razem podniosłam głowę i patrząc mu prosto w oczy, spokojnie odrzekłam:

– Panie Hargrave, czy próbuje mnie pan znieważać?

Widać nie był przygotowany na taką reakcję z mojej strony, bowiem na chwilę odebrało mu mowę. Wyprostowując się, zabrał dłoń z mojego fotela i ze smutkiem powiedział wreszcie:

– Nie miałem takiego zamiaru.

Nieznacznym ruchem głowy wskazałam mu drzwi, następnie zaś powróciłam do swojej lektury. On z kolei natychmiast wyszedł z pomieszczenia.

Tego ranka wraz z pozostałymi dwiema damami wybrałam się do Grove, jako że Milicent pragnęła przed swym odjazdem pożegnać się z matką i siostrą. Ponieważ krewne przekonały ją, by została u nich na cały dzień i obiecały, że przywiozą ją do Grassdale wieczorem, Lady Lowborough i ja miałyśmy przyjemność drogę powrotną odbyć *tête-à-tête*. Znalazszy się razem w powozie, przez pierwszą milę lub dwie milczałyśmy – ja usiłowałam uprzyjemnić sobie ten czas wyglądaniem przez okno, podczas gdy ona siedziała wciśnięta w kąt. Ale kiedy w końcu poczułam się zmęczona zimnymi podmuchami wiatru uderzającymi w moją twarz, poddałam się i odchyliłam się na oparcie siedziska. Moja towarzyszka z typową dla siebie zuchwałością próbowała nawiązać ze mną rozmowę, lecz jedynymi odpowiedziami, które udawało jej się ze mnie wydobyć były monosylaby w rodzaju „tak”, „nie” oraz „hm”. Wreszcie jednak – po tym jak uczyniła jakąś kolejną bezcelową uwagę – zapytałam:

– Dlaczego z takim uporem pani do mnie mówi, Lady Lowborough? Przecież doskonale pani wie, co o niej sędzę.

– Cóż, jeśli *ty* masz ochotę zachowywać się w stosunku do mnie w tak przykry sposób, nic na to nie poradzę – odparła. – Ale *ja* nie zamierzam się z niczyjego powodu dąsać.

Nasza krótka podróż dobiegała właśnie końca i skoro tylko drzwi powozu stanęły otworem, Annabella wyskoczyła na zewnątrz i pobiegła przez park na spotkanie dżentelmenom, którzy wracali właśnie z lasu. Ja naturalnie nie poszłam w jej ślady.

Ale nie był to bynajmniej ostatni raz, kiedy zmuszona byłam znosić jej tupet. Po kolacji – tak jak zazwyczaj – udałyśmy się do bawialni. Zabrałam ze sobą dzieci i to im poświęcałam całą swoją uwagę, postanawiając nie rozstawać się z nimi, dopóki nie pojawią się dżentelmeni lub dopóki Milicent nie wróci z Grove. Małą Helen jednakże zabawa szybko znużyła. Podczas gdy, siedząc na sofie, trzymałam pogrążoną we śnie dziewczynkę na kolanach, a przycupnięty obok mnie Arthur bawił się delikatnie jej miękkimi, płowymi włoskami, podeszła do nas Lady Lowborough i spokojnie usadowiła się po mojej drugiej stronie.

– Jutro, pani Huntingdon – rzekła – zostanie pani uwolniona od mojej obecności i bez wątpienia będzie pani z tego bardzo zadowolona. To, rzecz jasna, zrozumiałe, ale czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że wyświadczyłam jej wielką przysługę? Czy życzy sobie pani wiedzieć, w jaki sposób?

– Z radością dowiedziałabym się o jakiejkolwiek przysłudze, którą mogła mi pani wyświadczyć – powiedziałam, starając się nie tracić spokoju, bowiem zdawałam sobie

sprawę z tego, że tamta szuka sposobu na sprawienie mi przykrości.

– A więc, czy nie zauważyła pani, jak pozytywna zmiana zaszła w panu Huntingtonie? Czy nie dostrzega pani, jakim stał się statecznym, wstrzemięźliwym człowiekiem? Dobrze wiem, że ubolewała pani nad jego nieszczęsnymi zwyczajami i że robiła wszystko, co było w jej mocy, by go zmienić. Ale bez powodzenia – to jest, do czasu, w którym przyszedłam pani z pomocą. W kilku słowach dałam mu do zrozumienia, że jeśli nie przestanie się w ten sposób poniżać, ja... Ale nie ważne, co mu powiedziałam. Nie zaprzeczy pani jednak, że za moją sprawą jego zachowanie uległo diametralnej zmianie. I uważam, że powinna mi być pani za to wdzięczna.

Podniósłszy się, zadzwoniłam na nianię.

– Ale nie chcę pani podziękowań – mówiła dalej Annabella. – Proszę tylko, by pod moją nieobecność troszczyła się pani o niego i by swoją surowością i lekceważeniem nie nakłoniła go pani do powrotu do dawnych nawyków.

Byłam prawie u szczytu furii, lecz na szczęście w drzwiach stanęła Rachel. Ponieważ nie ufałam w owej chwili swojemu głosowi, gestem dałam jej do zrozumienia, że ma zabrać dzieci i sama również zaraz skierowałam się do drzwi.

– Czy będzie pani o niego dbała? – zapytała Annabella.

Rzuciłam jej spojrzenie, które wymazało – na chwilę przynajmniej – tamten złośliwy uśmiech z jej twarzy, po czym wyszłam z bawialni. W przedpokoju spotkałam pana Hargrave'a. Widział, że nie jestem w nastroju do rozmowy i pozwolił mi przejść obok siebie bez słowa. Ale kiedy, spędziwszy kilka minut w zaciszu biblioteki, opanowałam wreszcie emocje i postanawiając dołączyć do przybyłych właśnie pani Hargrave i Milicent, udałam się ponownie do bawialni, znalazłam go stojącego cały czas w tym samym miejscu.

– Pani Huntingdon, czy mogę zamienić z panią słowo?

– Na jaki temat? Proszę się pospieszyć.

– Dziś rano uraziłem panią. I nie potrafię spokojnie żyć, wiedząc, że się pani na mnie gniewa.

– A więc „idź, a od tej chwili już nie grzesz!”^[9] – odrzekłam, ruszając przed siebie.

– Nie, nie! – zawołał, doganiając mnie. – Muszę wiedzieć, że mi pani wybaczyła. Jutro wyjeżdżam i więcej mogę już nie mieć sposobności z panią porozmawiać. Postąpiłem niewłaściwie i błagam panią, by darowała mi ową zuchwałość i myślała o mnie tak, jak gdyby tamte słowa nigdy nie padły z moich ust. Proszę mi wierzyć: głęboko ich żałuję i utrata szacunku w pani oczach jest dla mnie karą nie do zniesienia.

– Wybaczenie nie przychodzi do nas na żądanie; a szacunkiem darzyć mogę tylko tych, którzy sobie nań zasłużą.

– A więc spędzę całe swoje życie, próbując zasłużyć na pani szacunek. Proszę jednak, by wybaczyła mi pani to jedno wykroczenie. Czy robi to pani dla mnie?

– Tak.

– Tak? Ale powiedziała to pani w tak chłodny sposób... Proszę podać mi swoją dłoń, to uwierzę. Nie robi pani tego? A zatem nie wybaczyła mi pani tak naprawdę.

– Ależ tak. Daję panu swoją dłoń, a wraz z nią wybaczenie – jednak proszę pamiętać: „od tej chwili już nie grzesz”.

Hargrave gorliwie uścisnął moją wyciągniętą do niego, zimną dłoń, ale nic już więcej nie powiedział i stanąwszy z boku, pozwolił mi przejść do bawialni, w której zgromadzeni byli już wszyscy goście.

Pan Grimsby siedział nieopodal drzwi i kiedy zauważył, że zaraz za mną do środka wszedł Hargrave, rzucił mi ohydne, znaczące spojrzenie. Odpowiedziałam na nie wzrokiem tak bezlitośnie karcącym, że w końcu spuścił oczy – jeśli nie w *zawstydzeniu*, to przynajmniej w *zakłopotaniu*. Tymczasem Hattersley, chwyciwszy Hargrave’a pod ramię, szeptał mu coś do ucha – niewątpliwie jakiś ordynarny żart, bowiem tamten ani się nie roześmiał, ani nie odpowiedział, tylko odwrócił się od niego z grymasem niezadowolenia na twarzy, po czym podszedł do swojej matki, która opowiadała właśnie Lordowi Lowborough, jak wiele powodów do dumy przynosi jej syn.

Dzięki Bogu jutro wszyscy wyjeżdżają.

Rozdział XXXVI

Podwójna samotność

20 grudnia 1824 r. – Mija właśnie trzecia rocznica naszego szczęśliwego związku. Dwa miesiące temu goście wyjechali i od tamtej chwili w naszym życiu trwa nowy etap: etap, w którym mieszkamy oboje pod tym samym dachem jako pan i pani tego samego domu oraz jako ojciec i matka tego samego ujmującego dziecka, ale przy wzajemnym zrozumieniu, że nie łączy nas miłość, przyjaźń ani współczucie. Ja ze swej strony staram się żyć z Arthurem w pokoju, zachowując się wobec niego uprzedzająco grzecznie, na rzecz jego wygód wyrzekając się własnych, radząc się go w sprawach domowych i zawsze licząc się z jego zdaniem, nawet wówczas, gdy wiem, że nie pokrywa się ono z moim.

Jeżeli zaś chodzi o niego, przez kilka pierwszych tygodni był skory do gniewu i przygnębiony, do czego przyczynił się, jak sądzę, wyjazd Annabelli. Wobec mnie zachowywał się w sposób szczególnie przykry: wszystko, co robiłam, w jego mniemaniu robiłam źle; zarzucał mi brak ciepła, nieczułość i bezduszość; moja zgorzkniała, blada twarz budziła w nim absolutną niechęć; a dźwięk mojego głosu przejmował go drżeniem. Zastanawiał się, czy w ogóle zdoła przeżyć w moim towarzystwie tę zimę, bowiem samą swoją obecnością zadawałam mu śmiertelne męki. Jeszcze raz wystąpiłam z propozycją separacji, lecz nadaremno – Arthur nie zamierzał stać się tematem rozmów okolicznych plotkarek i ani myślał dopuścić do tego, by zaczęto mówić o nim jako o brutalu, którego żona musiała ratować się ucieczką – nie, trzeba mu było zacisnąć zęby i nauczyć się mnie znosić.

– Chcesz chyba powiedzieć, że to ja muszę nauczyć się znosić *ciebie* – zauważyłam. – Ponieważ dopóki będę wywiązywać się sumiennie ze swych obowiązków zarządczyni domu i gospodyni, nie żądając w zamian żadnego wynagrodzenia ani wdzięczności, dopóty nie będzie ci się kalkulowało ze mną rozstawać. Jednakże z chwilą, w której owa niewola wyda mi się nie do zniesienia, złożę swoje wymówienie.

Sądzę, że musiał czuć się zawiedziony moją doskonałą obojętnością wobec jego przykrych uwag, bowiem za każdym razem, gdy mówił coś obliczonego na zranienie moich uczuć, badawczo przyglądał się mojej twarzy, a potem sarkał, że mam „serce z kamienia” albo „zwierzęcy brak wrażliwości”. Gdybym zapłakała gorzko, bolejąc nad tym, że przestał mnie kochać, być może byłby wtedy łaskawy mnie pocieszyć i tymczasowo na powrót obdarzyłby mnie swą przychylnością, próbując w ten sposób umilić sobie samotność na czas nieobecności Annabelli. Ale, dzięki Bogu, nie jestem aż tak słaba! Dawniej, co prawda, byłam zaślepiona miłością, której on nie był wart, teraz jednakże moje uczucie całkiem zwiędło, uschło i obumarło i Arthur tylko sobie i swoim zwyczajom może za to podziękować.

Z początku (podług zaleceń swojej wybranki, jak mniemam) z godną podziwu konsekwencją powstrzymywał się od szukania pocieszenia w winie, lecz w miarę upływającego czasu zaczął sobie coraz bardziej folgować, niekiedy nawet do przesady. W chwilach odurzenia wybucha niekiedy gniewem i wówczas nie zadaję sobie wiele trudu, by ukryć swoją dlań pogardę i obrzydzenie. Kiedy po wytrzeźwieniu zaś cierpi skutki swego nieumiarkowania, winą za nie obarcza mnie, twierdząc, że to ja popycham go do nadużywania trunków swoim niekobiecy zachowaniem – wie, że wszystko to w końcu zrujnuje mu zdrowie i go zgubi, ale to ja będę temu winna. I tego rodzaju niesprawiedliwości nie potrafię cierpliwie znosić. Czyż nie zadawałam sobie przez długi czas wielkich trudów, by ocalić go przed nałogiem? I czyż nie zadawałabym ich sobie nadal, gdybym tylko potrafiła? Ale czy mogłabym czołgać się u jego stóp i przymilać się do niego, jednocześnie wiedząc, że mną pogardza? Czy to *moja* wina, że przestałam się dla niego liczyć i że sam dobrowolnie zrzekł się praw do moich uczuć? I czy powinnam zabiegać o pojednanie, skoro ja czuję do niego wstręt i on mnie nienawidzi, a do tego wciąż pozostaje w kontakcie z Lady Lowborough? Nie, nigdy, nigdy! Jeśli tego chce, może zapić się na śmierć, ale nie będzie w tym żadnej mojej winy!

Obecnie cieszę się jego tymczasową nieobecnością, bowiem pojechał wraz z Hargrave'em w jakieś odległe miejsce na łowy i prawdopodobnie nie wróci wcześniej niż jutro wieczorem. Jakże inaczej odczuwałam dawniej chwile, w których mój mąż przebywał poza domem!

Pan Hargrave nadal rezyduje w Grove i często spotykają się z Arthurem, by wspólnie oddawać się polowaniu lub innym zajęciom uprawianym na świeżym powietrzu, choć nie wydaje mi się, by któryś z tych dwóch rzekomych, samozwańczych przyjaciół pałał do drugiego wielką miłością. Tym sposobem jednakże czas płynie im szybciej, a i ja nie mam powodu do narzekań, jako że dzięki temu na kilka godzin uwolniona zostaję od uciążliwego towarzystwa Arthura. Jedyną złą stroną obecności pana Hargrave'a w sąsiedztwie jest to, że z uwagi na lęk przed spotkaniem go, rzadko wybieram się do Grove i nie odwiedzam jego siostry tak często, jak bym chciała. Niemniej jednak ostatnimi czasy jego zachowanie w stosunku do mnie jest tak poprawne, że prawie zapomniałam o jego dawnych przewinach. Podejrzewam, że w ten sposób próbuje on „zasłużyć sobie na mój szacunek”. I być może w końcu mu się to uda, ale co wówczas? W chwili, w której zdecyduje się zażądać czegoś więcej, na powrót straci moją sympatię.

10 lutego – To bardzo gorzkie uczucie, kiedy ktoś szydzi z naszych szlachetnych uczuć i dobrych intencji. Moje serce topniało i zaczynałam już współczuć swojemu nieszczęsnemu mężowi jego smutnego położenia, dochodząc do wniosku, iż powinnam odsunąć swą dumę na bok i ponowić wysiłki w celu sprowadzenia go na drogę cnoty – choć nie za pomocą fałszywych zapewnień o miłości czy uznania swych win. Postanowiłam zrezygnować ze swej zimnej obojętności i przy każdej nadarzającej się okazji traktować go w sposób prawdziwie serdeczny. Swój zamiar poczęłam już nawet wcielać w życie – lecz z jakim rezultatem? Nie dość, że nie doczekałam się z jego strony choćby odrobiny wdzięczności, to moja

pobłażliwość podwoiła w nim skłonność do okazywania złego humoru, spotęgowała tylko jego wymagania i roznieciła w nim rodzaj tryumfalnego samozadowolenia. Wszystko to sprawiło, że moje serce na powrót zamieniło się w bryłę lodu – która po tym, jak zachował się dzisiejszego ranka nigdy już się nie roztopi. Pośród otrzymanych dziś przez niego listów znajdował się jeden, który przeczytał, jak się zdawało, z wyjątkową przyjemnością, a skończywszy jego lekturę, rzucił mi go przez stół, mówiąc:

– Proszę! Przeczytaj to sobie i wyciągnij z tego odpowiednią lekcję!

W zamaszystym, fantazyjnym charakterze pisma rozpoznałam rękę Lady Lowborough. Rzuciwszy okiem na pierwszą stronę listu, stwierdziłam, że jego treść pełna jest górnolotnych wyznań miłosnych, płomiennych zapewnień o tęsknocie i wyrazów świętokradczego buntu przeciwko wyrokowi Stwórcy, który skazał ich oboje na straszliwą niewolę w małżeństwach pozbawionych miłości. Widząc, że pobladałam, Arthur zachichotał cicho. Złożywszy list, wstałam i oddałam mu go, mówiąc tylko:

– Dziękuję, *na pewno* wyciągnę z tego odpowiednią lekcję!

Mały Arthur stał właśnie u kolan swego ojca, radośnie bawiąc się rubinowym pierścieniem znajdującym się na jego palcu. Pchnięta nagłym impulsem nakazującym mi natychmiast osłonić swoje dziecko przed deprawującym wpływem jego rodziciela, chwyciłam je w ramiona i wyszłam z pokoju. Chłopiec, zaskoczony tą niespodziewaną gwałtownością z mojej strony, wybuchnął płaczem, co odczułam jako kolejny cios zadany mojemu krwawiącemu sercu. Dotarwszy do biblioteki, zamknęłam za sobą drzwi i klękając przed synem, objęłam go, ucałowałam, a potem zaniosłam się szlochem, co tylko dodatkowo go wystraszyło. Wyrывая się z moich objęć, dziecko poczęło płakać za swoim papą, który usłyszawszy jego wołania, z przekleństwem na ustach wparował do pokoju i zabrał je stamtąd.

To okrutnie bolesne, że moje małe słoneczko kocha swego ojca bardziej niż mnie. Teraz, kiedy troszczenie się o nie jest wszystkim, co mi pozostało, przychodzi mi patrzeć, jak moje dobre nauki podważane są przez osobę, która kocha go egoistyczną miłością i ma na nie niebezpieczny wpływ. Gdy odmawiam małemu Arthurowi jakiejś drobnej przyjemności, on udaje się wówczas do ojca, który – pomimo swego lenistwa – ulega mu i nawet zadaje sobie trud, by daną zachciankę spełnić. Kiedy zaś próbuję ukrócić nieposłuszeństwo dziecka jakim karcącym spojrzeniem, zawsze może ono liczyć na uśmiech ze strony drugiego rodzica. Tym sposobem zmuszona jestem walczyć nie tylko z wrodzonymi skłonnościami syna, ale również z przeciwdziałaniem jego ojca, który z upodobaniem podważa mój matczyzny autorytet i okrada mnie z miłości mojego dziecka, zdając się czerpać z tego rodzaj diabolicznej przyjemności.

Lecz nie wolno mi się poddawać rozpacz. Zamiast tego będę się starała pamiętać słowa pewnego natchnionego proroka: „Kto między wami boi się Pana, niech słucha głosu Jego Sługi! Kto chodzi w ciemnościach i bez przeblýsku światła, niechaj imieniu Pana zaufa i niech na swoim Bogu się oprze!”^[10]

Rozdział XXXVII

Sąsiad raz jeszcze

20 grudnia 1825 r. – Minał kolejny rok, a ja mam już dość tego życia. Jednak bez względu na wszystko nie wolno mi zostawić mojego ukochanego dziecka samego na tym ponurym, pełnym niegodziwości świecie – bez przyjaciela, który będzie je prowadził przez kręty labirynt życia i strzegł je od czyhających na nie na każdym kroku niebezpieczeństw. Ale choć nie istnieje nikt, kto mógłby mnie mu zastąpić, wiem, że nie nadaję się na jego jedyne towarzysza. Jestem zanadto ponura, by uczestniczyć w jego zabawach tak, jak powinna to czynić matka. Jego porywy radości często mnie martwią i zatrważają – widzę w nim wtedy duszę i charakter jego ojca i drżę o konsekwencje, nazbyt często tłumiąc w nim owo poczucie szczęścia, które powinnam przecież z nim dzielić. Ojciec jego przeciwnie – nie prześladowa go żadne lęki i nie trapią go żadne wątpliwości dotyczące przyszłości syna i zwłaszcza wieczorami – w porze, w której dziecko widuje się z nim najczęściej – jest zawsze w pogodnym i serdecznym nastroju, gotów żartować z każdym prócz mnie. I ponieważ ja bywam wówczas wyjątkowo małomówna i zasmucona, dziecko, rzecz jasna, łąnie bardziej do swego na pozór radosnego, zawsze łaskawego papy. Okrutnie mnie to martwi – nie z tego względu, że boję się stracić miłość swojego syna, lecz dlatego, że jego ojciec w egoistyczny sposób wykorzystuje jego dziecięce uczucia, by mi dokuczyć. Jedynym moim pocieszeniem jest to, że mąż mój przebywa w domu stosunkowo krótki czas i w trakcie miesięcy, które spędza w Londynie mam możliwość zaradzić wszystkim poczynionym przezeń szkodom. Jednakże ciężko mi potem patrzeć, kiedy po swym powrocie robi co tylko może, ażeby zniszczyć owoce mojej pracy i przeobrazić moje niewinne, uległe słoneczko w samolubnego, nieposłusznego chłopca, podsycając w nim te same skłonności, które z takim powodzeniem wykształcił w sobie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że ubiegłej jesieni do Grassdale nie został zaproszony żaden z „przyjaciół” Arthura – zamiast tego to on składał im wizyty. Chciałabym, by stało się to jego stałym zwyczajem, a najlepiej, by jego kochający przyjaciele zechcieli gościć go u siebie przez cały rok. Ku memu wielkiemu rozczarowaniu nie wyjechał wraz z nim pan Hargrave; jednak sądzę, że udało mi się w końcu uporać na dobre z owym dżentelmenem.

Przez siedem lub osiem miesięcy sprawował się on tak nienagannie, że przestałam od niego stronić i zaczynałam już zaiste widzieć w nim swojego przyjaciela, a nawet traktować go jako takiego, zachowując przy tym jednak pewne nieznaczące środki ostrożności. Rzecz wydarzyła się pewnego przyjemnego wieczora pod koniec maja. Spacerowałam właśnie po parku, kiedy przejeżdżający w pobliżu Hargrave dostrzegł mnie z drogi. Zatrzymawszy się, zostawił swego konia przy bramie, po czym ośmielił się do mnie zbliżyć. Po raz pierwszy, odkąd zostałam sama odważył się wejść na teren naszego majątku, nie mając u swego boku

matki lub siostry, albo przynajmniej nie dysponując pretekstem w postaci jakiejś wiadomości od którejś z nich. W jego zachowaniu jednakże było tyle spokoju i swobody, że choć czułam się nieco zaskoczona jego śmiałością, nie uraziła mnie ona ani też nie wystraszyła. Zanim więc zaczęłam myśleć o tym, w jaki sposób mogłabym się go pozbyć, spędziłam sporo czasu, spacerując wraz z nim pośród drzew i pozwalając mu się zabawiać inteligentną, wyszukaną rozmową. Jednak po krótkiej chwili milczenia, podczas której obydwoje staliśmy zapatrzeni w spokojną, błękitną tafelę wody, nagle zaczął wyrzucać z siebie jednoznaczne, płomienne wyznania miłosne. Oburzona, zaraz przerwałam jego przemowę i odrzuciłam jego zaloty z taką stanowczością, że odszedł zdumiony, zawstydzony i niepocieszony. Kilka dni później zaś usłyszałam, że wyjechał do Londynu. Po około ośmiu tygodniach wrócił jednakże i choć nie unikał całkowicie mojego towarzystwa, zachowywał się w stosunku do mnie w tak niezwykły sposób, że jego spostrzegawcza siostra nie mogła tego nie zauważyć.

– Co pani zrobiła Walterowi, pani Huntingdon? – zapytała pewnego ranka, podczas którego przebywałam z wizytą w Grove. Pan Hargrave, przywitawszy się ze mną w nader chłodny sposób, wyszedł był właśnie z pokoju. – Ostatnimi czasy jest wobec pani tak ceremonialny i dumny. Nie znajduję innego wytłumaczenia, jak to, że musiała go pani czymś okrutnie urazić. Proszę mi powiedzieć, co to takiego. Być może będę umiała was pogodzić.

– Z własnej woli nie uczyniłam nic, czym mogłabym go urazić – odrzekłam. – Jeśli czuje się czymś dotknięty, to najlepiej, żeby sam ci o tym powiedział.

– Zapytam go więc – zawołała owa trzpiotka, zrywając się z miejsca i wystawiając głowę za okno. – Wyszedł tylko do ogrodu. Walterze!

– Nie, nie, Esther! Jeśli to zrobisz, pogniewam się na ciebie i natychmiast sobie pójdę. I nie będę cię odwiedzać całe miesiące, a może nawet lata.

– Wołałaś mnie, Esther? – zapytał jej brat, zbliżając się do okna.

– Tak; chciałam się dowiedzieć...

– Do widzenia, Esther – powiedziałam, ściskając mocno jej dłoń.

– Chciałam się dowiedzieć – mówiła dalej – czy mógłbyś zerwać dla mnie różę, którą mogłabym dać pani Huntingdon.

Pan Hargrave oddalił się.

– Pani Huntingdon – zawołała dziewczyna, odwracając się do mnie. – Zdumiewa mnie pani. Jest pani równie skora do gniewu i powściągliwa, jak on. Postanowiłam, że nie pozwolę pani odejść, dopóki oboje się nie pojednacie.

– Esther, jak możesz być tak niegrzeczna! – zawołała pani Hargrave, która zajęta dzierganiem siedziała w swoim fotelu. – Chyba nigdy nie nauczysz się zachowywać tak, jak przystało na damę!

– Ale czyż mama sama nie mówiła... – zaczęła Esther, ale zaraz zamilkła uciszona gestem i srogą miną swojej matki.

– Mama jest w złym humorze, prawda? – szepnęła do mnie, ale nim zdążyłam ją za to

zganić, przy oknie pojawił się ponownie pan Hargrave z piękną różą w ręku.

– Proszę, Esther, oto róża, o którą prosiłaś – powiedział, wyciągając ją do niej.

– Wręcz ją jej osobiście, półgłówku! – zawołała Esther, odskakując na bok.

– Pani Huntingdon wolałaby otrzymać ją od ciebie – odpowiedział poważnie, zniżając przy tym głos, by nie usłyszała go matka.

Jego siostra odebrała w końcu kwiat z jego rąk i wręczyła go mnie.

– Z wyrazami uszanowania od mojego brata, który ma nadzieję, że wkrótce oboje dojdziecie do porozumienia, pani Huntingdon. Czy to wystarczy, Walterze? – zapytała zuchwałą dziewczyna, obejmując swego opartego o okienny parapet brata za kark. – A może powinnam jeszcze dodać, że żałujesz swego przewrażliwienia? I że masz nadzieję na wybaczenie?

– Głupia dziewczyno! Nie masz pojęcia, o czym mówisz – odpowiedział on posepnie.

– To prawda. Jestem pogrążona w mrokach niewiedzy.

– Esther – wtrąciła pani Hargrave, która również nie знаła przyczyn oziębienia naszych stosunków, ale przynajmniej widziała, że jej córka zachowuje się bardzo niewłaściwie. – Jestem zmuszona poprosić cię, abyś wyszła z pokoju!

– Ależ nie, pani Hargrave. Sama zamierzam już sobie pójść – powiedziałam i zaraz się pożegnałam.

Mniej więcej tydzień później pan Hargrave przywiózł do Grassdale Manor swoją siostrę. Z początku zachowywał się tak, jak zwykle: w sposób chłodny i zdystansowany, na wpół ceremonialny i na wpół melancholijny, i ogółem rzecz biorąc nadal sprawiał wrażenie obrażonego. Ty razem jednak Esther nie wspomniała na ten temat słowem, jako że najwyraźniej poinstruowano ją, jak powinna się zachowywać. Rozmawiała ze mną, śmiała się i dokazywała wraz z małym Arthurem, którego uwielbiała i który uwielbiał ją. Niebawem dziecko, ku memu zakłopotaniu, wywabiło ją do holu, a następnie do ogrodu. Kiedy wstałam, by poprawić pogrzebaczem ogień w kominku, pan Hargrave, pytając, czy jest mi zimno, zamknął drzwi. Następnie ośmielił się podejść do kominka i zapytać, czy wiadomo mi, że pan Huntingdon przebywa teraz w rezydencji Lorda Lowborough i raczej nie zanoszą się na to, by miał szybko wyjechać.

– Nie wiedziałam o tym, ale nie sprawia mi to żadnej różnicy – odpowiedziałam niedbale, a jeśli mój policzek rozpałił rumieniec, to powodem tego było samo pytanie, a nie zawarta w nim informacja.

– Nie przeszkadza to pani?

– W ogóle. Pod warunkiem, że Lordowi Lowborough odpowiada jego towarzystwo.

– A więc nie kocha go już pani?

– Ani trochę.

– Wiedziałem... Wiedziałem, że jest pani zbyt szlachetna i niewinna, by wciąż mogła mieć dla kogoś tak fałszywego i zepsutego jakieś inne uczucia prócz odrazy i pogardy!

– Czy mój mąż nie jest przypadkiem pańskim przyjacielem? – zapytałam, przenosząc wzrok z płomieni na jego twarz.

– *Był nim* – odparł równie poważnie, co przedtem. – Ale wyrządza mi pani wielką niesprawiedliwość, jeżeli sądzi pani, że mógłbym nadal uznawać za swojego przyjaciela i wciąż poważać człowieka, który zdolny był w sposób tak haniebny i nieczny porzucić i skrzywdzić tak niezwykłą... Cóż, lepiej zamilknę. Lecz proszę mi powiedzieć: czy nie myśli pani czasem o tym, by się zemścić?

– Zemścić się! Ależ nie – co dobrego mogłoby z tego wyniknąć? Dzięki temu mój mąż nie stałby się lepszy, a ja nie poczułabym się szczęśliwsza.

– Doprawdy nie wiem, jak z panią rozmawiać, pani Huntingdon – zauważył Hargrave, uśmiechając się. – Jest pani kobietą tylko w połowie – pani dusza musi być na wpół ludzka i na wpół anielska. Ta niezwykła szlachetność mnie onieśmiela i nie wiem, co o niej myśleć.

– Wobec tego, sir, musi być pan dużo gorszy niż sądziłam, jeżeli uważa pan, że ja, zwykła śmiertelniczka, tak bardzo nad panem góruję. A ponieważ istnieje pomiędzy nami niewiele wzajemnego zrozumienia, sądzę, że oboje powinniśmy poszukać sobie bardziej odpowiedniego towarzystwa.

Powiedziawszy to, natychmiast podeszłam do okna, by popatrzeć na mojego małego synka i jego radosną przyjaciółkę.

– Nie, to *ja* jestem zwykłym śmiertelnikiem – odrzekł pan Hargrave. – Nie sądzę, bym był gorszy od swoich bliźnich. Jednak *pani*, madame – pani nikt nie dorównuje. Ale czy jest pani szczęśliwa? – zapytał poważnie.

– Myślę, że jestem równie szczęśliwa, jak wielu innych.

– Czy jest pani tak szczęśliwa, jak by sobie tego życzyła?

– Po tej stronie wieczności nikt nie może być doskonale szczęśliwy.

– Jedyną rzeczą, której jestem pewny – odparł, wydając z siebie głębokie, przepełnione smutkiem westchnienie – jest to, że musi być pani dalece szczęśliwsza ode mnie.

– Zatem bardzo panu współczuję.

– Czyżby? Nie, to nie może być prawda. W przeciwnym razie postarałaby się pani uśmierzyć mój ból.

– Zrobiłabym to, gdybym mogła tego dokonać, nie krzywdząc siebie czy innych.

– Czy uważa pani, że pragnę jej krzywdy? Przeciwnie, to właśnie na jej szczęściu najbardziej mi zależy – bardziej niż na moim własnym. Jest pani przygnębiona, pani Huntingdon – ciągnął dalej, odważnie patrząc mi prosto w oczy. – Nie skarży się pani, ale dobrze widzę i czuję, jaka jest prawda. I nic się nie zmieni dopóty, dopóki będzie pani budować wokół swojego ciepłego serca te mury z nieprzeniknionego lodu. Ja także cierpię. Ale jednym swoim uśmiechem mogłaby pani uczynić ze mnie człowieka szczęśliwego. I gdyby zdecydowała się pani obdarzyć mnie swoim zaufaniem, ja także potrafiłbym panią uszczęśliwić – i uczynię to, nie bacząc na pani protesty! – wymamrotał. – A jeżeli chodzi o innych... Oni się nie liczą – nie skrzywdzi pani w ten sposób swego męża, a pozostałych ta sprawa nie dotyczy.

– Ja mam syna, panie Hargrave, a pan ma matkę – powiedziałam, oddalając się od okna.

– Nie będą musieli o niczym wiedzieć – zaczął, ale nim zdążył powiedzieć coś jeszcze,

do pokoju wrócili Esther i Arthur.

Dziewczyna spojrzała na zarumienioną, rozemocjonowaną twarz Waltera, a następnie na moją – prawdopodobnie również nieco zaróżowioną, choć z innych przyczyn. Musiała pomyśleć, że srodze się posprzeczałyśmy i zdawała się poruszona tą okolicznością; ale widocznie miała w sobie dość grzeczności lub zanadto lękała się gniewu swego brata, bowiem nic na ten temat nie powiedziała. Zamiast tego, usadowiając się w fotelu, odgarnęła z twarzy obfite pukle swych złotych włosów i poczęła mówić o ogrodzie i swoim małym towarzyszczu zabawy, a zamilkła dopiero wtedy, gdy brat jej uznał, że pora im już wracać do domu.

– Jeżeli pozwoliłem sobie na zbyt dużą śmiałość, proszę mi wybaczyć – wyszeptał, żegnając się ze mną. – W przeciwnym razie sam sobie tego nigdy nie daruję.

Esther, uśmiechając się, zerknęła na mnie. Przekonawszy się jednak, że ledwie się skłoniłam, zasępiła się, uznając najwidoczniej moją reakcję za niewystarczającą odpowiedź na wspaniałomyślną prośbę Waltera. Biedne dziecko, jakże niewiele wie jeszcze o świecie, na którym żyje!

Przez następnych kilka tygodni pan Hargrave nie miał okazji widzieć się ze mną na osobności, a kiedy przychodziło nam się spotykać w gronie innych, w jego zachowaniu dostrzegałam mniej dumy niż dawniej, za to więcej melancholii. Och, jakże mnie irytował! Ze względu na niego zmuszona byłam niemal całkowicie zaprzestać swych wizyt w Grove, tym samym narażając się pani Hargrave i poważnie zasmucając biedną Esther, która z uwagi na brak innego towarzystwa bardzo ceni sobie moje. Lecz ów niezmordowany wróg nie został jeszcze pokonany i zdawał się czyhać na mnie na każdym kroku. Często powolnym tempem przejeżdżał obok naszego majątku, rozglądając się bacznie wokół, co nie uszło ani mojej uwadze, ani też uwadze Rachel. Ta bystra kobieta szybko zorientowała się w sytuacji, i jeżeli z okien położonego na piętrze pokoju dziecinnego udało jej się dostrzec manewry nieprzyjaciela, a ja wybierałam się właśnie na spacer, dyskretnie mnie ostrzegała. Wówczas to ograniczałam trasę swej przechadzki do naszego parku i ogrodów, a jeśli konieczna była jakaś dalsza wyprawa, zabierałam Rachel wraz z sobą, dzięki czemu miałam pewność, że tamten nie będzie mi się naprzykrzał.

Jednakże w pewien pogodny, listopadowy poranek odważyłam się opuścić teren naszego majątku samotnie, z zamiarem złożenia wizyty w pobliskiej, wiejskiej szkole, a potem u kilku z naszych ubogich najemców. W drodze powrotnej przeraziłam się, słysząc za sobą tętent zbliżających się końskich kopyt. Ale ponieważ w okolicy nie było widać żadnego przełazu ani też żadnej luki w ogrodzeniu, przez którą mogłabym uciec na łąki, nie miałam innego wyjścia, jak iść dalej naprzód.

„To wcale nie musi być on. A nawet jeśli, to postaram się użyć przeciwko jego zuchwałości i ckliwym wyznaniom takich słów i spojrzeń, by już więcej nie ośmielił się mnie nagabywać”.

Jeździec niebawem zrównał się ze mną i okazał się nim być istotnie nie kto inny, jak pan Hargrave. Pozdrowił mnie łagodnym, melancholijnym uśmiechem, przez który przeświecała

jednak satysfakcja z tego, że w końcu udało mu się dopiąć swego. Odpowiedziawszy chłodno na jego powitanie i zapytawszy o zdrowie jego krewnych, odwróciłam się i poszłam dalej. On jednakże podążył za mną.

„Dobrze, niech i tak będzie! Jeżeli chce pan się narazić na kolejną przykrość i spotkać się z powtórzną odmową z mojej strony, proszę bardzo – pomyślałam w duchu. – A więc, sir, czego pan ode mnie chce?”

Owo pytanie – choć niezadane na głos – nie pozostało bez odpowiedzi, bowiem tamten, po uczynieniu kilku nieistotnych uwag na równie nieistotne tematy, wkrótce począł apelować do moich wyższych uczuć:

– W kwietniu miną cztery lata od chwili, w której po raz pierwszy panią ujrzałem, pani Huntingdon. Być może nie pamięta pani okoliczności naszego pierwszego spotkania, ale ja nigdy nie mógłbym ich zapomnieć. Choć już wtedy podziwiałem panią bezgranicznie, nie śmiałem jej kochać. Następnej jesieni jednak dane mi było przekonać się, jak wiele posiada pani zalet i od tamtej pory nie potrafiłem już dławić w sobie uczucia. Przez ponad trzy lata cierpiałem niewypowiedziane męki – cierpiałem bardziej niż mogłaby sobie pani wyobrazić. I to pani była tego przyczyną. Młodość ucieka mi przez palce, swoją przyszłość widzę w czarnych barwach, moje życie jest skończoną pustką. Ani za dnia, ani nocą nie zaznaję odpoczynku; i stałem się ciężarem – ciężarem zarówno dla siebie samego, jak i dla innych. Mogłaby mnie pani ocalić jednym swoim słowem lub spojrzeniem, a jednak nie chce pani tego dla mnie uczynić. Czy mam rację?

– Po pierwsze, nie wierzę panu – odpowiedziałam. – A po drugie, nie jestem w stanie ustrzec pana przed jego bezmyślnością.

– Jeśli powiada pani, że najdoskonalsze, najsilniejsze i najbardziej boskie porywy ludzkiej natury uważa pani za bezmyślność, to *ja* jej nie wierzę. Wiem, że tak naprawdę nie jest pani tą pozbawioną serca, oziębłą istotą, którą udaje – niegdyś miała pani serce i oddała je swojemu mężowi, a przekonawszy się, że nie jest go wart, zażądała jego zwrotu. I skoro kiedyś potrafiła pani pokochać tego rozwiązłego, bezwstydneho hulakę, to umiałaby pani pokochać i kogoś innego. Wiem, że głęboko w duszy pani istnieją uczucia, których nikt dotąd z niej jeszcze nie wydobył; i wiem też, że teraz, gdy jest pani samotna i nikt o nią nie dba, *musi* pani być nieszczęśliwa. Jest pani w mocy podźwignąć dwie ludzkie istoty z prawdziwego cierpienia, dając im nadzieję na niewypowiedziane szczęście – takie, które może przynieść tylko bezinteresowna miłość. A jednak nie chce pani tego uczynić! Woli pani widzieć nas oboje nieszczęśliwymi i ze spokojem mówi mi pani, że taka jest wola Stwórcy. Być może pani nazywa to religijnością, ale dla mnie to fanatyzm!

– Zarówno pana, jak i mnie czeka inne życie – rzekłam. – I jeśli zgodnie z wolą Bożą siejemy teraz swoje ziarno we łzach, to dzieje się tak tylko po to, byśmy w życiu wiecznym mogli żąć w radości. Nie wolno nam zaspokajać naszych ziemskich namiętności, jednocześnie krzywdząc innych. Ma pan matkę, siostry i przyjaciół, których okrutnie by pan zranił, gdyby zdecydował się żyć w hańbie. I ja również mam bliskich i nie poświęciłabym spokoju ich duszy dla własnej przyjemności. Lecz nawet gdybym była na tym świecie

całkiem sama, nie zdecydowałabym się pogrzebać swoich szans na szczęśliwe życie wieczne dla kilku lat ulotnej, ziemskiej radości.

– Ależ nikt nie mówi o poświęcaniu innych czy życiu w hańbie. I nie proszę pani, by opuściła ona swój dom i szargała swoją reputację... – nie dawał za wygraną.

Nie będę jednak przytaczać wszystkich słów, które w tamtej chwili padły z jego ust. Wystarczy tylko powiedzieć, że kiedy wszelkie inne argumenty zawiodły, postanowiłam wreszcie spróbować innej taktyki.

– Czy naprawdę mnie pan kocha? – zapytałam, zaglądając mu ze spokojem w oczy.

– Ależ tak! – zawołał.

– Szczerze?

Hargrave pomyślał, że jest już bliski zwycięstwa i jego twarz pojaśniała. Począł mnie płomiennie zapewniać o prawdziwości swoich uczuć, ale przerwałam mu, zadając kolejne pytanie:

– Lecz czy pańska miłość nie jest miłością samolubną? Czy ma pan w sobie dość bezinteresownego uczucia, by z mojego powodu narazić się na pewną niedogodność?

– Zrobiłbym dla pani wszystko, oddałbym pani całe swoje życie.

– Nie chcę pańskiego życia. Ale czy byłby pan zdolny zadać sobie pewien trud, by ulżyć moim cierpieniom?

– Spełnię każde pani życzenie!

– A zatem, oto ono: proszę *nigdy więcej* nie wracać już do tego tematu. Za każdym razem, gdy pan to czyni, podwaja tym samym ciężar moich cierpień, nad którymi tak bardzo zdaje się pan ubolewać. Nie zostało mi już nic, poza czystym sumieniem i wiarą w Niebo – a mimo to systematycznie usiłuje mnie pan tej ostatniej pociechy pozbawić. Jeżeli pan nie ustąpi, będę musiała uznać go za swojego śmiertelnego wroga.

– Ale proszę pozwolić mi coś powiedzieć...

– Nie, sir! Zarzekał się pan, że zrobiłby dla mnie wszystko – a ja proszę pana tylko o zachowanie milczenia w tej jednej kwestii. Jeśli dalej będzie mnie pan nękał, uznam, że jego deklaracje były całkowicie fałszywe i że tak naprawdę w głębi duszy mnie pan nienawidzi.

Hargrave przygryzł wargę i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w ziemię.

– A więc muszę się z panią rozstać – powiedział wreszcie. – Nie mógłbym żyć w tym miejscu i jednocześnie nieustająco milczeć na temat, który absorbuje wszystkie moje myśli i pragnienia.

– Dawniej, jak sądzę, spędzał pan niewiele czasu w swym rodzinnym domu – odrzekłam. – Nic złego się nie stanie zatem, jeśli na jakiś czas wróci pan do tamtego zwyczaju – o ile to w ogóle konieczne.

– O ile to w ogóle *możliwe* – wyszeptał. – Jak może pani z takim spokojem zmuszać mnie do wyjazdu? Czy na pewno pani tego chce?

– Na pewno. Jeśli przy okazji każdego naszego spotkania miałby mi się pan naprzykrzać tak, jak do tej pory, rada byłabym się z nim pożegnać na zawsze.

Nic już nie powiedział, jedynie pochylając się z siodła, wyciągnął do mnie swoją dłoń. W jego oczach dostrzegłam wyraz tak autentycznego cierpienia, że poczułam się zmuszona uścisnąć ją jak dłoń przyjaciela. On zaraz spiął konia i odjechał galopem. Wkrótce potem dowiedziałam się, że wyjechał do Paryża, gdzie wciąż przebywa. I im dłużej będzie tam bawił, tym lepiej dla mnie.

Dziękuję Bogu za to wybawienie!

Rozdział XXXVIII

Zraniony dżentelmen

20 grudnia 1826 r. – Jest dziś piąta rocznica naszego ślubu i, jak sądzę, ostatnia, którą spędzę pod dachem tego domu. Powzięłam już stanowcze postanowienie, wytyczyłam plany i częściowo zaczęłam wprowadzać je w życie. Wyrzuty sumienia mi nie dokuczają, ale podczas gdy sprawa powoli dojrzewa, umiłę sobie kilka z tych długich, zimowych wieczorów, przedstawiając na kartach niniejszego dziennika gorzkie szczegóły swej obecnej sytuacji.

We wrześniu nasze zazwyczaj zaciszne Grassdale zatętniło na powrót życiem, gdyż zaszczyliło nas swoją obecnością to samo towarzystwo, które bawiło tu dwa lata temu, powiększone jeszcze o osobę pani Hargrave i jej młodszej córki. Dżentelmeni i Lady Lowborough zaproszeni zostali ku przyjemności pana domu; a pozostałe damy, jak mniemam, dla zachowania należytych pozorów oraz po to, by utrzymać mnie w ryzach i zmusić do grzecznego zachowania. Damy jednakże zabawiły u nas tylko trzy tygodnie, podczas gdy dżentelmeni, poza dwoma wyjątkami, zatrzymali się na ponad dwa miesiące – ich gościnny gospodarz nie mógł znieść bowiem myśli, że mógłby zostać sam na sam ze swoim błyskotliwym intelektem, nieskazitelnie czystym sumieniem i swoją ukochaną żoną.

W dniu, w którym pojawiła się Lady Lowborough poszłam za nią do jej pokoju i otwarcie uprzedziłam ją, że jeśli nadal będzie utrzymywać swe karygodne stosunki z panem Huntingdonem, uznam za swój obowiązek poinformować o tym jej męża – niezależnie od tego, jak wielki mogłoby to sprawić mu ból i bez względu na wszelkie inne konsekwencje. W pierwszej chwili moja groźba zatrwożyła ją, jednak przyszedłszy za chwilę do siebie, spokojnie odrzekła, że jeśli zauważę w jej zachowaniu coś nagannego lub podejrzanego, to mogę śmiało powiedzieć o tym jego lordowskiej mości. Od tamtego czasu istotnie nie dostrzegłam pomiędzy nią a Arthurem niczego nagannego czy podejrzanego, ale nie przyglądałam się im obojgu nazbyt bacznie i moją uwagę zajmowali również inni goście. Prawdę mówiąc, *bałam się* zobaczyć cokolwiek pomiędzy nimi, bowiem choć miałam już do sprawy stosunek doskonale obojętny, konieczność doniesienia o wszystkim Lordowi Lowborough byłaby dla mnie okrutnie przykrym obowiązkiem.

Jednakże od swoich lęków uwolniona zostałam w nader nieoczekiwany sposób. Pewnego wieczoru, mniej więcej dwa tygodnie od przyjazdu gości, zmęczona rozmowami i ciągłym udawaniem wesołości, udałam się do biblioteki, by poszukać tam chwili wytchnienia. Ale ledwie zdążyłam ukryć się we wnęce okna i zapatrzyć się w ciemniejące na zachodnim horyzoncie wzgórze, kiedy z holu dobiegły mnie odgłosy czyichś pospiesznych kroków i po chwili do środka wszedł Lord Lowborough. Drzwi otworzył z nietypową dla siebie gwałtownością, po czym rzucił na oślep swoim kapeluszem. Jego oblicze było

upiornie blade, wzrok miał wbity w podłogę, zęby zaciśnięte, a jego czoło pokrywały krople potu. Bezsprzecznie dowiedział się w końcu o krzywdzie, jaką mu wyrządzono!

Nieświadomy mojej obecności, we wzburzeniu zaczął chodzić po pokoju, załamując ręce w rozpacz i wydając z siebie ciche pomruki przeplatane jakimiś nieskładnymi okrzykami. Poruszyłam się, by mógł się zorientować, że nie jest sam, lecz zanadto był pochłonięty swoimi myślami, by cokolwiek usłyszeć. Kiedy jednak spróbowałam niepostrzeżenie wymknąć się z pomieszczenia, zauważył mnie. Wzdrygnąwszy się na mój widok, znieruchomiał na chwilę, po czym otarł czoło i ruszając w moim kierunku, powiedział głębokim, niemal grobowym głosem:

– Pani Huntingdon, jutro trzeba mi stąd wyjechać.

– Już jutro! – zawołałam. – Nie muszę pytać o powody pańskiego pośpiechu...

– Zatem o wszystkim pani wie... Jak to możliwe, że jest pani tak spokojna? – zapytał, w głębokim zdumieniu przyglądając się mojej twarzy.

– To dlatego, że od długiego czasu już znam... – w ostatniej chwili powstrzymałam się od dokończenia owego zdania, po czym dodałam: – Znam charakter mojego męża i nic mnie już nie dziwi.

– Ale jak długo wiedziała pani o tym? – zapytał Lord Lowborough, patrząc na mnie przenikliwym, nieruchomym wzrokiem.

Poczułam się tak, jakbym popełniła jaką zbrodnię.

– Niezbyt długo – odpowiedziałam.

– Widziała pani o wszystkim! – wykrzyknął głosem pełnym gorzkości. – A jednak nie uznała pani za stosowne mnie o tym poinformować! Pomagała im pani mnie oszukiwać!

– Milordzie, *nie pomagałam* pana oszukiwać.

– Zatem dlaczego mi pani o tym nie powiedziała?

– Ponieważ wiedziałam, że w ten sposób przysporzę panu cierpienia. Miałam nadzieję, że pańska żona w końcu przypomni sobie o swoich obowiązkach i nie będzie potrzeby ranić pańskich uczuć...

– Mój Boże! Jak długo to wszystko już trwa? Jak długo, pani Huntingdon? Proszę mi powiedzieć. Ja muszę wiedzieć! – zawołał przeraźliwie.

– Dwa lata, jak sędzę.

– Wielkie nieba! I przez cały ten czas mnie zwodziła! – tłumiąc w sobie jęk rozpacz, odwrócił się i we wzburzeniu na nowo zaczął chodzić tam i z powrotem po pomieszczeniu.

Serce mi krwawiło i pragnęłam go pocieszyć, lecz nie wiedziałam, w jaki sposób się za to zabrać.

– To podła kobieta – powiedziałam. – Nikczemnie pana oszukiwała i zdradzała. I tak, jak przedtem nie zasługiwała na pańskie uczucie, tak teraz nie zasługuje na pańskie wybaczenie. Proszę nie pozwalać jej się dalej ranić: proszę się od niej uwolnić.

Przystanąwszy, odwrócił się do mnie i srogim głosem rzekł:

– Pani, madame, ukrywając wszystko przede mną, również mnie zraniła!

Poczułam nagły przypływ oburzenia. Coś we mnie pękło i kazało mi ostrymi słowy

zareagować na ten brak wdzięczności za szczere współczucie, które cały ten czas do niego żywiłam. Na szczęście, nie chcąc dodawać kolejnej kropli goryczy do jego i tak już przelewającego się pucharu, nie poddałam się owemu impulsowi. A jednak obawiam się, że w tonie głosu, którym cicho odpowiedziałam na jego zarzut było więcej chłodu niż łagodności:

– Mogłabym się w wyczerpujący i przekonujący sposób usprawiedliwić, ale nawet nie będę próbowała...

– Domyślam się – powiedział pospiesznie. – Powiedziałyby mi pani, że nie chciała się wtrącać w moje sprawy, że sam powinienem umieć o nie zadbać i że jeśli moje własne zaślepienie doprowadziło mnie na skraj tej otchłani piekielnej, to nie mam prawa winić innych za swój brak spostrzegawczości.

– Przyznaję, nie postąpiłam tak, jak powinnam była. Ale bez względu na to, czy powodem mojego błędu był brak odwagi czy też opacznie pojęta życzliwość, uważam, że ocenia mnie pan zbyt surowo. Dwa tygodnie temu, zaraz po przybyciu Lady Lowborough, oświadczyłam jej, że jeśli nadal będzie pana oszukiwać, za swój obowiązek uznam o wszystkim panu powiedzieć. Ona zaś odparła, że jeżeli dopatrzę się w jej zachowaniu czegoś karygodnego, to będę miała do tego pełne prawo. Niczego takiego w jej postępowaniu nie zauważyłam i sądziłam, że się zmieniła.

Lord Lowborough nic nie odpowiedział, lecz ugodzony na nowo wspomnieniem, które przywołały moje słowa, gwałtownie tupnął nogą, zazgrzytał zębami i zmarszczył czoło niczym ktoś zmożony ostrym atakiem bólu.

– Tak, nie postąpiła pani tak, jak powinna była postąpić! – przemówił wreszcie szeptem. – Nie ma dla tego żadnego usprawiedliwienia, a przeszłości w żaden sposób nie można naprawić. Nic mi nie zwróci tamtych spędzonych w naiwności lat – nic ich nie wymaże! Nic, nic! – mamrotał w rozgoryczeniu.

– Kiedy się nad tym zastanawiam, widzę, że istotnie był to z mojej strony błąd – odrzekłam. – Ale teraz mogę jedynie powiedzieć, że jest mi przykro, bowiem, jak sam pan rzekł, w żaden sposób nie można naprawić przeszłości.

Zdawało się, że jakiś ton w moim głosie kazał mu się opamiętać. Zwracając się w moją stronę i uważnie przyglądając się w nikłym świetle mojej twarzy, powiedział już łagodniej:

– Pani również cierpiała, jak mniemam.

– Owszem, na początku.

– Kiedy to było?

– Dwa lata temu. I kiedy upłyną dwa następne, będzie pan równie spokojny, jak ja teraz. I dalece bardziej szczęśliwy ode mnie, bowiem jest pan mężczyzną i wolno mu dokonywać niezależnych wyborów.

Przez jego twarz przebiegł grymas przypominający bardzo gorzki uśmiech.

– Nie czuła się pani ostatnimi czasy szczęśliwa?

– Szczęśliwa? Czy mogłabym się czuć szczęśliwa mając takiego męża?

– Proszę mi wybaczyć, ale nie mogłem nie dostrzec, że w ciągu kilku pierwszych lat

waszego małżeństwa zmieniała się pani zewnętrznie – ciągnął dalej Lord Lowborough. – Kiedy zwróciłem na to uwagę temu czortowi, on odpowiedział, że wrodzone zgorzknienie trawi pani urodę i zabiera jej młodość. Ponoć swoim charakterem sprawiła pani, że dom stał się dla niego przykry i zimny niczym klasztor na ciele. Ale uśmiecha się pani, pani Huntingdon. Nic nie jest w stanie wytrącić pani z równowagi. Żałuję, że sam nie posiadam tyle spokoju!

– Nie jestem tak opanowana z natury – powiedziałam. – Ale dzięki twardym, życiowym lekcjom nauczyłam się nie poddawać emocjom.

W owej chwili do środka wparował pan Hattersley.

– Czołem, Lowborough... – zaczął, ale dostrzegłszy mnie, wykrzyknął: – Och! Proszę mi wybaczyć. Nie wiedziałem, że odbywa się tu jakieś *tête-à-tête*.

Po chwili zaś klepnął mocno Lorda Lowborough w plecy, wołając:

– Rozchmurz się, druhu! Potrzebuję z tobą pomówić.

– Mów więc – odpowiedział tamten poirytowanym tonem.

– Ale obawiam się, że to, co mam do powiedzenia mogłoby się nie spodobać obecnej tutaj damie.

– Wobec tego nie spodobałoby się również i mnie – odrzekł jego lordowska mość i skierował się do wyjścia.

– A jakże! – zawołał Hattersley, ruszając za nim do holu. – Jeśli masz serce mężczyzny, istotnie ci się to nie spodoba. Chodzi o to, chłopcze – mówiąc to, zniżył głos, ale mimo że dzieliły nas na wpół zamknięte drzwi, każde wypowiedziane przezeń słowo dotarło do moich uszu. – Chodzi o to, że moim zdaniem skrzywdzono cię haniebnie... Tylko się nie irytuj. Nie mam zamiaru cię urazić, ale dobrze wiesz, że potrafię mówić tylko bez owijania w bawełnę. Pozwól mi wyjaśnić... Przyszedłem zaoferować ci swoje usługi, bo chociaż Huntingdon jest moim przyjacielem, to wszystkim nam wiadomo, jaki z niego nicpoń i w tych okolicznościach stanę po twojej stronie. Tym, czego potrzebujesz, żeby wyrównać z nim rachunki jest pojedynek. Jedna wymiana strzałów, a potem na nowo poczujesz się człowiekiem. A gdyby sprawa poszła nie po twojej myśli, to i tak komuś w twojej sytuacji powinno być wszystko jedno. Dalejże, uściśnij mi dłoń i głowa do góry. Powiedz tylko, gdzie i kiedy, a ja się zajmę całą resztą.

– Moje serce – albo diabeł, który w nim mieszka – podpowiedziało mi to samo rozwiązanie: zmyć swą krzywdę krwią. To, czy padłbym ja czy on nie miałyby dla mnie żadnego znaczenia, bo każda z tych ewentualności przyniosłaby mi niewypowiedzianą ulgę...

– Otóż to! A więc...

– Nie! – wykrzyknął jego lordowska mość głębokim, stanowczym głosem. – Mimo że z całego serca go nienawidzę i uradowałoby mnie, gdyby spadł na niego cały ogrom nieszczęść tego świata, los Huntingdona zamierzam pozostawić w rękach jego Stwórcy. Tak samo, jak swoje własne życie, choć okrutnie się nim brzydę.

– Jednak widzisz, w tym przypadku... – nie dawał za wygraną Hattersley.

– Nie mam zamiaru cię dalej słuchać! – zawołał jego przyjaciel. – Ani słowa na ten temat! Wystarczy, że muszę się zmagać z mieszkającym we mnie demonem.

– Zatem jest z ciebie tchórzliwy głupiec i umyvam od ciebie ręce – burknął kusiciel, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Postąpił pan bardzo słusznie, Lordzie Lowborough! – zawołałam, wybiegając na zewnątrz i chwytając jego rozpaloną dłoń. – Zaczynam myśleć, że ten świat nie jest pana godzien!

Nie rozumiejąc tego nagłego wybuchu emocji z mojej strony, popatrzał na mnie wzrokiem pełnym ponurej konsternacji i zdumienia i to sprawiło, że poczułam się zawstydzona impulsem, któremu uległam. Wkrótce jednakże wyraz jego oblicza złagodniał i nim zdążyłam wyciągnąć swoją dłoń z jego dłoni, on ścisnął ją serdecznie, a w oczach jego pojawił się błysk prawdziwego wzruszenia.

– Niech Bóg dopomoże nam obojgu!

– Amen! – odpowiedziałam, po czym rozstaliśmy się.

Kierując się do bawialni, gdzie, jak podejrzewałam, czekali na mnie goście, w przedpokoju natknęłam się na pana Hattersley narzekającego właśnie na tchórzostwo Lorda Lowborough. W skład jego wyborowego audytorium wchodził pan Huntingdon, który siedział rozparty przy stole i upajając się własnym łotrostwem, drwił ze swojej ofiary, oraz pan Grimsby, który stał obok, zacierając ręce i wydając z siebie demoniczny chichot. Przechodząc obok, rzuciłam im wymowne spojrzenie, na co Hattersley urwał w połowie zdania i zapatrzył się we mnie jak ciele w malowane wrota, Grimsby zaś łypnął na mnie gniewnie okiem, a mój mąż wyszeptał pod nosem ordynarne przekleństwo.

Wszedłszy do bawialni, stwierdziłam ponad wszelką wątpliwość, że Lady Lowborough nie znajduje się w nastroju godnym pozazdroszczenia, choć ze wszystkich sił starała się zatuszować swoje wewnętrzne wzburzenie udawaną wesołością – bardzo niestosowną w obecnej sytuacji, bowiem sama dała innym do zrozumienia, że mąż jej otrzymał z domu jakieś smutne wieści, które przyprawiły go o potworny ból głowy i które najpewniej skłonią go do natychmiastowego wyjazdu. Zapewniła jednak, że sprawa dotyczy jego interesów i że sama nie zamierza zaprzętać sobie nią głowy. Mówiła to wszystko w chwili, w której przestępowałam próg bawialni, a kiedy mnie dostrzegła, powitała mnie spojrzeniem tak hardym i pełnym tupetu, że poczułam się zarazem zdumiona i oburzona.

– Ale nie oznacza to wcale, że nie jestem zmartwiona – ciągnęła dalej. – Uważam bowiem, że moim obowiązkiem jest towarzyszyć jego lordowskiej mości i oczywiście przykro mi będzie rozstawać się tak przedwcześnie ze swoimi serdecznymi przyjaciółmi.

– A jednak nigdy nie widziałam cię w lepszym nastroju, Annabelle – zauważyła siedząca obok niej Esther.

– Słuszna uwaga, moja droga. Wynika to z tego, że pragnę jak najpełniej wykorzystać swoje ostatnie chwile, które przyjdzie mi z wami spędzić. Jutro prawdopodobnie już mnie tutaj nie będzie i chciałabym zostawić po sobie jak najlepsze wrażenie – rozejrzała się wokół, a napotkawszy badawczy wzrok swojej ciotki, w zakłopotaniu zerwała się z miejsca,

mówiąc: – I z myślą o tym zaśpiewam wam teraz. Czy wszyscy mają ochotę posłuchać mojego śpiewu? Dobrze więc, dam z siebie wszystko, by jak najlepiej was zabawić.

Apartament, który zajmowała wraz z Lordem Lowborough sąsiadował z moim. Nie wiem, jak *ona* spędziła tamtą noc, ale ja nie zmrużyłam oka, przysłuchując się krokom jej męża, który niezmordowanie chodził w tę i we w tę po garderobie. Raz uszu mych dotarł jego porywczy okrzyk, a następnie odgłos jakiegoś wyrzuconego przez okno przedmiotu. Nazajutrz nieopodal owego okna znaleziono ostry kozik, w kominku zaś pogrzebaną głęboko w popiele, przełamaną na pół brzytwę – tak wielką Lord Lowborough odczuwał pokusę, by odebrać sobie życie i tak bardzo zdeterminowany był się jej oprzeć.

Moje serce krwawiło, gdy leżąc, słuchałam tamtych nieustających kroków. Dotychczas za bardzo skupiona byłam na sobie, lecz zapomniawszy teraz o swojej własnej niedoli, mogłam myśleć tylko o jego tragedii – o tym, jak bardzo wykorzystano jego głębokie uczucia, jak okrutnie go zdradzono, jak... Nie, nie będę wyliczać krzywd, które mu wyrządzono – dość powiedzieć, że do żony jego i swojego męża czułam większą nienawiść niż kiedykolwiek dotąd.

„Tamten mężczyzna – myślałam – stał się przedmiotem pogardy w oczach swoich przyjaciół i tego skorego do osądów świata. Jego obłudna żona i fałszywy przyjaciel, którzy pospołu wyrządzili mu wielką niesprawiedliwość cieszą się teraz większym poważaniem od niego. Jego niechęć do zemsty całkowicie pozbawiła go współczucia bliźnich i okryła go jeszcze większą hańbą. Och, gdybym miała prawo go pocieszyć i powiedzieć mu, że jeszcze nigdy dotąd nie myślałam o nim z takim szacunkiem!”

Oboje wyjechali wcześniej rano, kiedy pozostali goście jeszcze spali. Wyszędłszy z pokoju, spotkałam przy schodach Lorda Lowborough zmierzającego właśnie do swojego powozu, w którym czekała na niego już jego żona. Arthur (choć wolę nazywać go panem Huntingdonem, jako że tamto imię zastrzegłam sobie dla swojego dziecka) miał czelność wyjść w szlafroku z sypialni, by pożegnać się ze swoim „przyjacielem”.

– Co to? Już wyjeżdżasz, Lowborough? – zapytał. – Wobec tego do widzenia – powiedział, po czym wyciągnął do tamtego rękę.

Gdyby Huntingdon instynktownie nie uskoczył, Lord Lowborough niechybnie powaliłby go na ziemię, bowiem potężnie zamachnął się na niego drżącą, zaciśniętą do białości pięścią. Nie trafiwszy jednak w przeciwnika, wymamrotał przez zaciśnięte zęby jakieś dzikie przekleństwo i odszedł.

– To ci dopiero niechrześcijańskie zachowanie – powiedział tamten nikczemnik. – Ja z powodu żony nigdy nie zrezygnowałbym ze starego przyjaciela. Jeżeli chcesz, możesz sobie wziąć moją. Chyba jedyną rzeczą, jaką mogę uczynić w tej sytuacji jest zaproponowanie rekompensaty?

Ale Lowborough znalazł się już na dole i przechodził teraz przez hol. Pan Huntingdon, przechylając się przez balustradę, zawołał jeszcze za nim:

– Przekaż moje pozdrowienia Annabelli! Obojgu wam życzę szczęśliwej podróży – dodał, po czym chichocząc, wrócił do swojego apartamentu.

Jakiś czas później oświadczył, że rad jest z tego rozstania.

– Annabella była tak diabelsko władcza i wymagająca – powiedział. – Teraz na szczęście będę mógł być panem samego siebie.

Na temat dalszych losów Lorda Lowborough i jego żony wiem tylko tyle, ile usłyszałam od Milicent, która wprawdzie nie zna przyczyn ich separacji, lecz wiadomo jej, że mieszkają całkowicie oddzielnie. Annabella wiezie ponoć wesołe, aktywne życie pomiędzy miastem a wsią, natomiast on pędzi samotny żywot w swoim zamku na północy, mając pod swoją pieczęć dwoje ich małych dzieci, które najpewniej pragnie uchronić przed wpływem ich bezwstydną matki. Ta kobieta nigdy nie lubiła cudzych dzieci i dla swoich własnych również zdawała się mieć niewiele uczucia. Podejrzewam więc, że rozstając się z nimi, poczuła niewymowną ulgę.

Rozdział XXXIX

Plan ucieczki

Podczas owych przykrych dni największe moje zmartwienie związane było z małym Arthurem, którego ojciec, w towarzystwie swoich przyjaciół, uwielbiał zaznajamiać ze wszystkimi szkodliwymi zwyczajami, z jakimi tylko można zaznajomić małe dziecko. Mówiąc pokrótce: głównym źródłem rozrywki stało się dla panów „robienie z niego mężczyzny”. Z początku starałam się nie odstępować syna na krok, a kiedy musiałam zostawić go w pokoju dzieciennym, przykazywałam Rachel, ażeby pod żadnym pozorem nie schodziła z nim do jadalni, dopóki przebywają w niej owi „dzentelmeni”. Na nic się to jednak nie zdało, bowiem moje zalecenia zaraz unieważniał jej pan, który nie zamierzał pozwolić na to, by chłopiec zanudził się na śmierć w towarzystwie swojej starej opiekunki i przekłętej, durnej matki.

Zatem każdego wieczoru, wbrew życzeniom swojej rozgniewanej mamy, dziecko trafiało do jadalni, gdzie uczyło się pić wino, tak jak papa, przeklinać, tak jak pan Hattersley oraz tak, jak przystało na prawdziwego mężczyznę robić to, na co miało ochotę, a swoją matkę wysyłać do diabła, kiedy próbowała mu w czymś przeszkadzać. Obserwowanie, jak z dziecięcą naiwnością uczy się tego wszystkiego stanowiło dla tamtych wyborną zabawę, dla mnie jednak było źródłem niewypowiedzianego bólu. Kiedy jakimś swoim zachowaniem chłopiec wywoływał wśród panów prawdziwy huragan śmiechu, uradowany rozglądał się po ich twarzach i swym cienkim głosikiem dołączał się do ogólnej wesołości. Ale gdy roziskrzone spojrzenie jego niebieskich oczu napotykało moje, jego twarzyczka pochmurniała nieco i zmartwiony pytał:

– Mamo, dlaczego nie jesteś wesoła? Rozwesel ją, papo – mama zawsze jest taka smutna.

Skutkiem tego, zamiast wychodzić z jadalni zaraz po posiłku, zmuszona byłam przebywać dalej pośród owych zwierząt w ludzkiej skórze, czekając na chwilę, w której dziecko pozwoli mi się stamtąd wyprowadzić. A nigdy nie było ku temu chętne i często musiałam zabierać je siłą, co przyjmowało jako wielką niesprawiedliwość i okrucieństwo z mojej strony. Niekiedy ojciec jego nalegał, bym pozwoliła chłopcu zostać. Wówczas to zostawiałam dziecko w towarzystwie jego życzliwych przyjaciół, po czym w samotności oddawałam się gorzkiej rozpacz, głowiąc się nad tym, w jaki sposób można by temu bezeceństwu zaradzić.

W tym miejscu jednak kolejny raz zmuszona jestem wyrazić swoje uznanie dla pana Hargrave, który ani razu nie roześmiał się i nawet jednym słowem nie kusił mojego syna do złego. Choć gdy małemu rozpustnikowi udawało się powiedzieć coś szczególnie zadziwiającego, zauważałam w wyrazie twarzy tamtego dzentelmena coś osobliwego –

delikatny grymas ust lub nagły błysk oka, który pojawiał się w chwili, w której przenosił wzrok z dziecka na mnie. Zdawało mi się wtedy, że moje poczucie bezsilności i przeżywane przeze mnie katusze przynoszą mu rodzaj ponurej satysfakcji. Pewnego razu jednak, kiedy Arthur zachowywał się w sposób wyjątkowo okropny, pan Huntingdon i jego goście w wyjątkowo nieznośny sposób go do tego zachęcali, a mnie dzielił krok od wybuchnięcia niepohamowaną furią, bowiem dziecko było nieco podchmielone i śmiejąc się, pomstowało na mnie słowami, których znaczenia nie znało – pan Hargrave raptownie podniósł się z miejsca i zabierając chłopca z kolan ojca, wyniósł go z pomieszczenia i postawił w holu. Kiedy wychodziłam, przytrzymał mi drzwi, po czym zamknął je za mną i za chwilę zza ściany dały się słyszeć odgłosy ostrej wymiany zdań pomiędzy nim a moim mężem.

Tak dalej być nie może. Nie pozwolę, by mój syn wychowywał się w tej niezdrowej atmosferze zepsucia – lepiej już, by spędził dzieciństwo w ubóstwie u boku ukrywającej się matki niż dorastał w dostatku w towarzystwie takiego ojca. Nawet jeśli goście niedługo wyjadą, bez wątpienia kiedyś wrócą. A ten, który jest największym wrogiem mojego dziecka będzie tutaj zawsze. Sama mogłabym znosić takie życie, jednak przez wzgląd na syna nie wolno mi tu pozostać ani też martwić się o to, co pomyśli o mnie świat. Ale gdzie znajdę schronienie i w jaki sposób zapewnię nam obojgu byt? Mogłabym wyślizgnąć się bladym świtem z domu, wsiąść do powozu zmierzającego do M., następnie udać się do portu, przepłynąć Atlantyk i poszukać skromnego domu w Nowej Anglii, gdzie utrzymywałabym się z pracy swoich rąk. Środki do życia mogłoby mi zapewnić malarstwo, które dawniej było moim hobby. Ale czy jestem wystarczająco dobrą artystką, by poradzić sobie na obcej ziemi bez przyjaciół i bez dachu nad głową? Nie, trzeba mi poczekać, trzeba mi jeszcze ciężko pracować nad swoim talentem. Zresztą potrzebowałabym pieniędzy na podróż i pierwszy okres życia na obczyźnie – sporej sumy pieniędzy, bowiem kto wie, jak długo musiałabym walczyć z obojętnością innych, swoim brakiem doświadczenia i niemożnością sprostania cudzym gustom?

Co zatem powinnam zrobić? Zwrócić się o zapomogę do brata, wyjaśniając mu swoje położenie i co w związku z tym postanowiłam? Nie, nawet gdybym zwierzyła mu się ze wszystkich swoich trosk, nie poparłby moich planów – wydałyby mu się szaleństwem. I moja ciotka, i Milicent również byłyby im przeciwne. Nie; muszę uzbroić się w cierpliwość i samodzielnie zbierać odpowiednią kwotę. Jediną osobą, którą we wszystko wtajemniczę będzie Rachel – na pewno da się przekonać do tego pomysłu, a gdy już znajdziemy się w jakimś odległym mieście, pomoże mi znaleźć nabywcę na moje prace. Poza obrazami mogłabym też sprzedawać część swojej biżuterii – tę, którą zabrałam z domu oraz tę, którą podarował mi wuj w dniu ślubu. Kilka następnych miesięcy upłynie mi na ciężkiej pracy, ale w międzyczasie nikt nie zdoła skrzywdzić mego syna bardziej niż został skrzywdzony.

Podjąwszy owo postanowienie, natychmiast zajęłam się wcielaniem swoich planów w życie. Niebawem zaś wydarzyło się coś, co dodatkowo utwierdziło mnie w moich zamiarach.

Od chwili, w której Lord Lowborough opuścił nasz dom biblioteka należała tylko do

mnie i uznawałam ją za bezpieczne schronienie. Dżentelmeni nie mieli upodobania do literatury – z wyjątkiem pana Hargrave’a, ale ten i tak aktualnie zadowalał się czytaniem samych gazet i periodyków. Ponadto byłam pewna, że gdyby nawet jakimś zrzędzeniem losu tutaj zajrzał, zobaczywszy mnie, zaraz by sobie poszedł, bowiem odkąd jego matka i siostry wyjechały z Grassdale, zdecydowanie mnie unikał – co było zresztą jak najbardziej po mojej myśli. To w bibliotece rozłożyłam więc swoją sztalugę i to tam pracowałam od świtu do nocy nad swoimi płótnami, przerywając tylko wtedy, gdy wymagała tego jakaś wyższa konieczność. Jednakże wbrew moim oczekiwaniom pewnego dnia pan Hargrave zajrzał do biblioteki, a zobaczywszy mnie w środku, *nie wycofał się*. Przepraszając za swoje najście, powiedział, że przyszedł tylko po jakąś książkę, lecz gdy już ją odnalazł, pozwolił sobie rzucić okiem na mój obraz. Ponieważ miał zamiłowanie do sztuki, pokusił się o jakiś komentarz odnośnie mojej pracy, a następnie począł mówić ogólnie o malarstwie. Nie spotykając się z wielką zachętą z mojej strony, szybko porzucił ten temat, ale mimo wszystko nie uznał za słuszne sobie pójść.

– Nie zaszczyca nas pani zbyt często swoim towarzystwem, pani Huntingdon – zauważył po krótkiej chwili milczenia, podczas której zajęta byłam mieszaniami farb. – I bynajmniej się pani nie dziwię, bo musi mieć ona serdecznie dość nas wszystkich. Sam tak bardzo wstydę się za swoich kompanów i tak zmęczony już jestem ich głupimi rozmowami i bezrozumnym zachowaniem, że zamierzam jeszcze w tym tygodniu wyjechać. I podejrzewam, że nie będzie pani z tego powodu przykro?

Zadawszy to pytanie, zamilkł, ale ja nie odpowiedziałam.

– Jak sądzę – dodał, uśmiechając się – żałować będzie pani tylko tego, że nie zabrałem ze sobą pozostałych. Pochlebiam sobie niekiedy myślą, że choć spędzam w ich towarzystwie sporo czasu, nie jestem jednym z nich. Ale to rozumiałe, że będzie pani rada z tego, że się mnie pozbyła. I choć ubolewam nad tym, nie mogę pani za to winić.

– *Pański* wyjazd mnie nie ucieszy, bowiem *pan* postępuje jak prawdziwy dżentelmen – powiedziałam, dochodząc do wniosku, że powinnam wynagrodzić mu w jakiś sposób jego nienaganne zachowanie. – Ale zmuszona jestem przyznać, że rada będę pożegnać się z całą resztą, choć być może wydam się panu niegościnna.

– Myślę, że nawet owi dżentelmeni nie mogliby mieć pani za złe tego wyznania – odpowiedział poważnie. – Pragnę tylko pani powtórzyć – dodał, jak gdyby wiedziony jakimś nagłym impulsem – co zostało powiedziane wczorajszego wieczoru w jadalni po tym, jak nas pani opuściła. Być może nie urażę tym pani, skoro w tak filozoficzny sposób podchodzi pani do pewnych spraw. Otóż panowie rozmawiali o Lordzie Lowborough i jego rozkosznej małżonce – a trzeba pani wiedzieć, że przyczyna ich nagłego wyjazdu z Grassdale nie stanowi dla naszych dżentelmenów żadnej tajemnicy; charakter Lady Lowborough znają zaś tak doskonale, że choć jest ona ze mną blisko spokrewniona, nie ośmieliłbym się nawet próbować stawać w jej obronie. W każdym razie, podczas owej rozmowy któryś z nich zauważył, że skoro ona i jej mąż żyją w separacji, Huntingdon mógłby się z nią widywać wtedy, kiedy tylko miałby na to ochotę.

„Nie, dziękuję – odpowiedział pani mąż. – Jak na razie mam jej dość. Nie będę sobie zadawał trudu, by ją odwiedzać. Co najwyżej sama może do mnie przyjechać”.

„Wobec tego, Huntingdon, co zamierzasz robić po naszym wyjeździe? – zapytał Ralph Hattersley. – Zamierzasz więc wrócić na drogę cnoty i być dobrym mężem, przyzwoitym ojcem, i tak dalej? Uważam, że to najwyższy czas – twoja żona jest dla ciebie pięćdziesiąt razy za dobra...”

I w tym miejscu wypowiedział pod pani adresem komplement, którego jednak nie chciałyby pani usłyszeć i którego ja nie śmiałbym powtórzyć. Huntingdon tymczasem siedział, uśmiechając się do swego kieliszka i nic nie odrzekł, dopóki Hattersley nie zawołał:

„Słyszałeś, co powiedziałem, stary druhu?”

„Tak, mów dalej” – odparł tamten.

„Nie mam już nic więcej do powiedzenia – odrzekł Hattersley. – Chcę tylko wiedzieć, czy zamierzasz pójść za moją radą”.

„Jaką radą?”

„Byś rozpoczął nowe życie, ty skończony łotrze – zawołał Ralph. – Poprosił swoją żonę o wybaczenie i stał się grzecznym chłopcem”.

„Moją żonę! Jaką żonę masz na myśli? Przecież ja nie mam żony! – odpowiedział Huntingdon, podnosząc głowę znad kieliszka. – A nawet jeśli takową mam, to cenię ją tak wysoko, że jeśli któremuś z was przypada ona do gustu, z chęcią mu ją oddam – i jeszcze mu pobłogosławię!”

Ja... ktoś zapytał, czy mówi poważnie, na co on przysiągł, że bezwzględnie tak. Co pani o tym wszystkim sądzi, pani Huntingdon? – zapytał Hargrave po chwili milczenia, podczas której odwrócona do niego profilem czułam na swojej twarzy jego dociekliwy wzrok.

– Powiem tylko, że wkrótce uwolni się on od osoby, dla której ma tak niewiele szacunku.

– Chyba nie próbuje pani powiedzieć, że ma ona złamane serce i umrze ze zgryzoty przez tego haniebnego łotra?

– Bynajmniej: moje serce stało się zbyt twarde, by można było je tak łatwo złamać. I zamierzam żyć tak długo, jak pozwoli Bóg.

– Zatem zamyśla go pani opuścić?

– Tak.

– Kiedy? I jak? – zapytał gorączkowo.

– Wtedy, kiedy będę gotowa. I tak skutecznie, jak będę mogła.

– A co z pani dzieckiem?

– Zabiorę je ze sobą.

– On nie pozwoli na to.

– Nie będę prosiła go o pozwolenie.

– A więc rozważa pani potajemną ucieczkę! Ale w czyim towarzystwie, pani Huntingdon?

– W towarzystwie mojego syna. I jego niani, jeśli będzie to możliwe.

– Samotna i bezbronna! Lecz dokąd? Jak się to pani uda? Przecież mąż pojedzie za panią i przywiezie ją z powrotem do domu.

– Wszystko już przewidziałam. Kiedy tylko zdołam się wydostać z Grassdale, będę bezpieczna.

Pan Hargrave uczynił krok w moją stronę, podniósł wzrok i zaczerpnął tchu, aby przemówić. Wyraz jego oczu i rumieniec, który wypłynął na jego twarz sprawiły, że zawrzała we mnie krew. Odwracając się gwałtownie, chwyciłam za pędzel i zaczęłam energicznie wodzić nim po płótnie – zbyt energicznie, by mogło to wyjść mojemu obrazowi na dobre.

– Pani Huntingdon – odezwał się rozgoryczonym głosem. – Jest pani okrutna... okrutna dla mnie i dla samej siebie.

– Panie Hargrave, proszę pamiętać o tym, co mi pan obiecał.

– Ale ja *muszę* to powiedzieć – pęknie mi serce, jeżeli tego nie zrobię! Milczałem wystarczająco długi czas i wreszcie musi pani mnie wysłuchać! – zawołał, a kiedy próbowałam umknąć z pokoju, zuchwale stanął pomiędzy mną a drzwiami. – Powiada pani, że nie jest już winna swemu mężowi posłuszeństwa. On otwarcie przyznaje, że jest panią znużony i beznamiętnie ogłasza, że odda ją każdemu, kto tylko będzie jej chciał. Zamierza pani wkrótce go porzucić i nikt nie da wiary temu, że uczyniła to pani bez niczyjej pomocy. Ludzie będą mówić: „Opuściła go w końcu i nie można jej za to winić. Ale kto towarzyszył jej w tej ucieczce?” Nikt nie będzie wierzył w pani czystość – nawet pani najbliżsi przyjaciele. I co pani pocznie sama na tym zimnym, brutalnym świecie? Taka delikatna, młoda i niedoświadczona kobieta...

– Krótko mówiąc, radziłby mi pan zostać tu, gdzie jestem – przerwałam mu. – Dobrze, wezmę to pod uwagę.

– Ależ jak najbardziej proszę go zostawić! – zawołał. – Niechże tylko nie ucieka pani sama! Helen, musi mi pani pozwolić się chronić!

– Nigdy! Dopóki będę miała rozum, nigdy na to nie pozwolę! – odpowiedziałam, wrywając swoją dłoń z jego rąk.

Ale on nie zamierzał się poddawać i dla odniesienia zwycięstwa zdecydował się zaryzykować wszystko.

– Nie przyjmę odmowy! – wykrzyknął zapalczywie. Chwyciwszy obie moje dłonie, padł na kolano i unosząc głowę, spojrzał mi w twarz na wpół błagalnym i na wpół władcym wzrokiem. – Nie ma pani już powodu mi odmawiać. Bóg wyznaczył dla mnie rolę pani pocieszyciela i obrońcy – czuję to, wiem to ponad wszelką wątpliwość.

– Proszę mnie puścić, panie Hargrave! – powiedziałam srogo.

Ale on tylko zacieśnił swój uścisk.

– Proszę mnie puścić! – powtórzyłam, trzęsąc się z oburzenia.

Kiedy tak klęczał, z niejakim przestraczem zauważyłam, że zerknął w kierunku okna i że zaraz potem na jego twarzy pojawił się grymas złośliwego tryumfu. Oglądając się przez ramię, zdążyłam dostrzec tylko cień chowającej się za murem postaci.

– To był Grimsby – rzekł Hargrave. – Niechybnie doniesie on Huntingdonowi i całej reszcie o tym, co tu zobaczył, dorzucając jeszcze parę upiększeń od siebie. On za panią nie przepada, pani Huntingdon – nie ma szacunku dla kobiet, nie wierzy w ich czystość i nie stawia ich na piedestale. Jego wersja wydarzeń bez wątpienia ukaże panią w bardzo niekorzystnym świetle. Straciła pani swoje dobre imię i w żaden sposób już go pani nie odzyska. Ale proszę pozwolić mi stanąć w pani obronie i wskazać mi łotra, który śmie panią znieważać...!

– Nikt nigdy nie znieważał mnie tak bardzo, jak pan w tej chwili! – powiedziałam, odsuwając się od niego.

– Ależ nie znieważam pani! – zawołał. – Wielbię panią, jest pani moim aniołem – moją boginią! U jej stóp składał wszystko co mam i musi pani to ode mnie przyjąć! – wykrzyknął, zrywając się z kolan. – Będę pani pocieszycielem i obrońcą! A jeśli dokuczać będzie pani sumienie, wówczas proszę mu powiedzieć, że pokonałem ją i nie miała pani innego wyboru, jak tylko się poddać!

Nigdy dotąd nie widziałam nikogo w takim wzburzeniu. Kiedy rzucił się ku mnie, chwyciłam za swój nóż paletowy i skierowałam go w jego stronę. To go zaskoczyło. Znieruchomiawszy, spojrział na mnie ze zdumieniem – na mojej twarzy bez wątpienia musiała malować się dzika determinacja. Podbiegłszy do dzwonka, chwyciłam za sznur, co dodatkowo go poskromiło. Na wpół apodyktycznym i na wpół ganiącym gestem dał mi znak, bym nie dzwoniła na służbę.

– Wobec tego proszę się cofnąć! – zawołałam.

Kiedy zaś uczynił krok w tył, rzekłam:

– A teraz proszę posłuchać: nie lubię pana i nawet gdyby mój mąż się ze mną rozwiódł – lub umarł, nie wyszłabym za pana. To wszystko, co chciałam powiedzieć – i mam nadzieję, że w ten sposób wreszcie pana przekonałam.

Jego twarz pobladła z gniewu.

– Tak, *przekonała* mnie pani – odparł z pełnym goryczy naciskiem. – Przekonała mnie pani, że jest ona najbardziej bezduszną niewdzięcznicą, jaką dotąd miałem okazję spotkać!

– Niewdzięcznicą, sir?

– Niewdzięcznicą.

– Nie, panie Hargrave, myli się pan. Jestem panu niezmiernie wdzięczna za całe dobro, które mi pan wyświadczył lub chciał mi wyświadczyć – a jeśli chodzi o zło, którego się pan wobec mnie dopuścił albo dopuścić się zamierzał, to modlę się, by Bóg panu wybaczył.

W tym miejscu drzwi się gwałtownie otwarły, a za nimi ukazali się panowie Huntingdon i Hattersley. Ten drugi, zajęty swoją strzelbą, pozostał w holu, mój mąż zaś wszedł do środka i stając plecami do kominka, z nieznośnym uśmiechem na ustach i chytrym, złośliwym błyskiem w oku począł się przyglądać panu Hargrave'owi i mnie.

– Tak, sir? – zapytał Hargrave, przybierając poniekąd postawę obronną.

– Tak, sir? – powtórzył za nim jego gospodarz.

– Chcielibyśmy wiedzieć, Walterze, czy zechcesz nam towarzyszyć w wyprawie na

bażanty – zawołał Hattersley z holu.

Nic nie odpowiedziawszy, Walter ruszył w kierunku okna, by ochłonać, a Arthur, gwizdząc pod nosem, podążył za nim wzrokiem. Hargrave poczerwieniał nieznacznie ze złości, ale chwilę potem odwrócił się już ze spokojem i niedbale rzekł:

– Przyszedłem tutaj, by pożegnać się z panią Huntingdon i powiadomić ją, że jutro zamierzam wyjechać.

– Hm! Cóż za niespodziewana decyzja. Czy mogę zapytać, co cię zmusiło do jej podjęcia?

– Interesy – odparł Hargrave, a kiedy tamten wydał z siebie parsknięcie niedowierzania, rzucił mu pełne pogardy spojrzenie.

– Doskonale – brzmiała odpowiedź.

Po wyjściu Hargrave'a, pan Huntingdon natychmiast odwrócił się do mnie i zniżonym głosem, niemal szeptem, obrzucił mnie stekiem przekleństw i wyzwisk – najpodlejszych i najohydniejszych, jakie głowa może sobie wyobrazić, a usta wypowiedzieć. Nie próbowałam mu przerywać, ale dusza moja stanęła w ogniu, a kiedy skończył, powiedziałam:

– Nawet gdyby pańskie oskarżenia były słuszne, panie Huntingdon – jak *śmie* pan czynić mi jakiegokolwiek wyrzuty?

– Trafiła w samo sedno – zawołał Hattersley, po czym postawił strzelbę przy ścianie i wchodząc do środka, chwycił swego drogiego przyjaciela pod ramię, by wyprowadzić go z pomieszczenia. – Chodźże, młodzieńcze – mruknął. – Bez względu na to, czy to prawda czy nie, nie masz prawa jej niczego wyrzucać; i jemu także – po tym, co powiedziałaś zeszłego wieczoru. Chodźmy więc już.

Tego, co sugerowały jego słowa nie mogłam pominąć milczeniem.

– Śmie pan mnie o coś podejrzewać, panie Hattersley? – zapytałam, nie posiadając się z gniewu.

– Ależ nie, nikogo o nic nie podejrzewam. Wszystko jest w należyтым porządku. Huntingdon, chodźże łajdaku.

– Ona nie może się tego wyprzeć! – zawołał tamten, rozciągając usta w szerokim uśmiechu tryumfu, pod którym jednak kryła się wściekłość. – Nie może!

I wyrzucając z siebie zniżonym głosem kolejną porcję obelg, wyszedł do holu, by zabrać ze stołu swój kapelusz i strzelbę.

– Nie będę się przed tobą tłumaczyła – nie zniżę się do tego! – powiedziałam. – Ale pan – tutaj zwróciłam się do Hattersleya – jeśli ma pan w tej kwestii jakiegokolwiek wątpliwości, proszę zapytać pana Hargrave'a.

Usłyszawszy to, obaj równocześnie ryknęli ordynarnym śmiechem.

– Dokąd poszedł? Zadam mu to pytanie osobiście! – rzekłam, ruszając w ich stronę.

Tłumiąc w sobie nowy przypływ wesołości, Hattersley wskazał palcem na do połowy otwarte drzwi wejściowe, za którymi stał jego szwagier.

– Panie Hargrave, zechce pan pozwolić na chwilę? – zapytałam.

Tamten odwrócił się z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Proszę tu pozwolić! – powtórzyłam tak stanowczym tonem głosu, że zmuszony był usłuchać. Nieco niechętnie wspiął się po stopniach i przestępując próg holu, uczynił jeszcze dwa kroki naprzód.

– A teraz proszę powiedzieć tym dżentelmenom – tym *mężczyznom*, czy przyjął pańskie zaloty.

– Nie rozumiem, pani Huntingdon.

– Ależ rozumie pan. Liczę na pański honor i mam nadzieję, że powie pan prawdę.

Przyjął czy nie?

– Nie – mruknął, odwracając się.

– Proszę mówić głośniej, sir, bo panowie nie słyszą. Czy przychyliłam się do pańskich próśb?

– Nie zrobiła pani tego.

– Nie, mogę na to przysiąc – powiedział Hattersley. – W przeciwnym razie nie miałby tak żałobnej miny.

– Jeżeli żądasz satysfakcji honorowej, Huntingdon, jestem skłonny przystać na pojedynek – powiedział pan Hargrave, zwracając się do swego gospodarza głosem spokojnym, ale z drwiącym uśmiechem na ustach.

– Idź do diabła! – odpowiedział tamten, kręcąc głową w zniecierpliwieniu.

Hargrave, nim się oddalił, spojrział nań wzrokiem pełnym pogardy i powiedział jeszcze:

– Ale gdybyś poczuł potrzebę przysłania do mnie któregoś ze swych przyjaciół, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Owa aluzja skwitowana została jedynie kilkoma wymamrotanymi pod nosem przekleństwami.

– A więc widzisz, Huntingdon! – rzekł Hattersley. – Teraz masz pewność.

– Nie obchodzi mnie, co on *widzi* czy sobie wyobraża – powiedziałam. – Ale czy pan, panie Hattersley, będzie bronił mojego dobrego imienia, jeśli usłyszy, że ktoś je szarga i szkaluje?

– Będę. Niech diabeł porwie moją duszę, jeśli tego nie uczynię.

Natychmiast odchodząc, zaszyłam się w bibliotece. Co skłoniło mnie do zwrócenia się z podobnym apelem do takiego człowieka? Doprawdy nie wiem, ale tonący chwyta się brzytwy – a doprowadzona przez tamtych do ostateczności nie wiedziałam, co mówię. Cóż to była za potworna scena! Czy dawniej przeszłoby mi przez myśl, że pewnego dnia pod własnym dachem będę musiała znosić podobne zniewagi? Że w mojej obecności – nie, pod moim adresem – padać będą tak okropne słowa? I do tego z ust ludzi, którzy przypisują sobie miano dżentelmenów? I czy kiedykolwiek pomyślałabym, że wszystko to będę umiała przyjąć z podobnie stoickim spokojem? Tylko przykre doświadczenia i brak jakiegokolwiek nadziei nauczyć nas mogą takiej odporności ducha.

Przemierzając tam i z powrotem swój pokój, myślałam tylko o tym, by zabrać swoje dziecko i natychmiast opuścić ten dom – nie zwlekając nawet chwili! Ale nie mogłam tego

uczynić: miałam przed sobą jeszcze wiele ciężkiej pracy – pracy, której nie wolno mi było zaniedbać.

Pan Hargrave istotnie wyjechał nazajutrz i od tamtej pory ani razu go już nie widziałam. Pozostali zabawili zaś w Grassdale jeszcze dwa czy trzy tygodnie, lecz podczas tego okresu starałam się trzymać od nich jak najdalej. Wkrótce wtajemniczyłam w swoje plany Rachel, która poznawszy wszystkie moje motywy i zamiary, szybko przestała protestować. To bardzo stateczna i ostrożna kobieta, ale tak bardzo nienawidzi swojego pana i tak mocno przywiązana jest do mnie i mojego dziecka, że po wydaniu z siebie kilku okrzyków zgrozy i uronieniu kilku łez, wkrótce poparła mój pomysł i zgodziła się mi pomóc – pod jednym warunkiem jednak: że będzie mogła towarzyszyć mi w ucieczce. Ze wzruszającą wspaniałomyślnością zaproponowała, że pożycz mi swoje niewielkie oszczędności, na co naturalnie nie mogłam przystać; ale – dziękować Bogu – samej udało mi się już zebrać pewną sumę pieniędzy i z wytęsknieniem czekam na dzień, w którym będę mogła opuścić to więzienie. Kiedy tylko ta sroga zima złagodnieje nieco, pan Huntingdon, schodząc któregoś ranka do jadalni na śniadanie, nie zastanie przy stole nikogo. I być może w całym domu rozlegną się wówczas jego nawoływania, gdy tymczasem jego żona i dziecko będą mieli za sobą z pięćdziesiąt mil swej podróży do Nowego Świata.

Jestem w pełni świadoma wszystkich konsekwencji, które mogą i muszą wyniknąć z mojej decyzji. Nigdy jednakże nie powątpiewam w jej słuszność, ponieważ cały czas pamiętam o swoim synu. Dziś rano, gdy pochłonięta byłam malowaniem, Arthur siedział u mych stóp, bawiąc się w milczeniu skrawkami płótna, które rzuciłam na podłogę. Jednakże jego myśli musiały krążyć wokół czego innego, bowiem nagle podniósł na mnie swoje smutne oczy i poważnie zapytał:

– Mamo, dlaczego jesteś podła?

– Kto ci powiedział, że jestem podła, kochanie?

– Rachel.

– Nie, Arthurze. Jestem pewna, że Rachel nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

– Wobec tego papa – odrzekł, a po chwili zadumy dodał: – Kiedy jestem z papą i mówię: „Mama mnie woła” albo „Mama nie pozwala mi tego robić”, papa mówi wtedy: „Niech mama idzie do diabła”. A Rachel mawia, że diabeł jest w piekle i że do piekła idą tylko podli ludzie. To dlatego zapytałem, dlaczego jesteś podła – bo wolałbym, żebyś nie była.

– Ależ nie jestem, drogie dziecko. To, co usłyszałeś to okropne słowa, których podli ludzie używają czasem w stosunku do lepszych od siebie. Te słowa nie mogą nikogo skazać na wieczne potępienie i wcale nie świadczą o tym, że osoba, pod której adresem one padły zasługuje na piekło. Bóg będzie sądził nas wszystkich na podstawie naszych myśli i uczynków, a nie tego, co mówią o nas inni. I pamiętaj, żebyś sam nigdy nie powtarzał podobnych słów, Arthurze – bo to właśnie używanie ich przeciw innym jest podłe.

– A więc to papa jest podły – powiedział żałośnie.

– Twój papazle robi, mówiąc takie rzeczy, i teraz, kiedy już o tym wiesz, nie wolno ci

go naśladować.

– Co znaczy „naśladować”?

– Robić tak, jak on.

– A papa nie wie, że tak nie wolno?

– Być może wie. Ale tym się już nie przejmuj.

– Jeśli nie wie, powinnaś mu o tym powiedzieć, mammo.

– Już mu mówiłam.

W tym miejscu mały moralista zadumał się. Próbowałam zwrócić jego uwagę na jakiś inny temat, ale nadaremnie.

– Żałuję, że papa jest podły – odezwał się po chwili – bo nie chcę, by poszedł do piekła.

I powiedziawszy to, zaniósł się płaczem.

Pocieszyłam go nadzieją, że być może jego papa jeszcze się zmieni i umrze już jako dobry człowiek. Ale czy to nie najwyższa pora, by wybawić dziecko od wpływu takiego rodzica?

Rozdział XL

Nieszczęście

10 stycznia 1827 r. – Wczorajszego wieczoru, dokonując poprzedniego wpisu w niniejszym dzienniku, znajdowałam się w bawialni. W tym samym czasie przebywał tam również pan Huntingdon, który pogrążony we śnie – jak mi się zdawało – leżał na sofie znajdującej się za moimi plecami. W pewnej chwili jednak musiał się podnieść i – powodowany jakimś odruchem niskiej ciekawości – zajrzeć mi przez ramię, bowiem w chwili, w której miałam zamknąć notatnik, ze słowami: „Pozwolisz, moja droga” położył na nim dłoń, po czym przyciągnąwszy sobie krzesło do stołu, spokojnie usiadł i począł wertować moje zapiski. Tak się złożyło – nieszczęśliwie dla mnie – że tej nocy był trzeźwiejszy niż zazwyczaj.

Rzecz jasna, robiłam co mogłam, by uniemożliwić mu lekturę dziennika: próbowałam wyrwać mu go z rąk, jednak zbyt mocno go trzymał; poinformowałam go gorzko, jak haniebne jest takie zachowanie, ale to nie uczyniło na nim żadnego wrażenia; zgasiałam obydwie świece, lecz on tylko odwrócił się do kominka i w świetle palącego się w nim ognia kontynuował swoje dochodzenie. Jego ciekawość została zanadto rozbudzona, a im bardziej pragnęłam mu przeszkodzić w czytaniu, tym większa była jego determinacja, by mi na to nie pozwolić – a zresztą, i tak było już za późno.

– Wszystko to wydaje się nader interesujące, kochana – powiedział, podnosząc na mnie oczy. Stałam obok w milczeniu, przeżywając wewnętrzne katusze i załamując ręce. – Ale to dość długa lektura i dokończę ją innym razem. Tymczasem zaś poproszę cię, byś oddała mi swoje klucze, najdroższa.

– Jakie klucze?

– Klucze do twojej szafy, sekretarzyka, szuflad... Wszystkie, jakie posiadasz – powiedział, podnosząc się i wyciągając po nie dłoń.

– Nie mam ich teraz przy sobie – odrzekłam.

W rzeczywistości klucz do mojego sekretarzyka tkwił właśnie w jego zamku, a pozostałe były doń przyczepione.

– A zatem musisz posłać po nie służącą – powiedział. – I jeśli ta stara wiedźma Rachel zaraz mi ich przyniesie, już jutro będzie bezdomna.

– Ona nie wie, gdzie są – odparłam, jednocześnie cicho i, jak miałam nadzieję, niepostrzeżenie wyciągając je z sekretarzyka. – *Ja* wiem, ale nie oddam ci ich bez powodu.

– *Ja* też wiem – rzekł, po czym raptownie wyrwał mi klucze z ręki. Następnie chwycił jedną ze świec i przystawiając do płomieni w kominku, na powrót ją zapalił.

– A teraz będziemy kontynuowali konfiskatę mienia – uśmiechnął się drwiąco. – Najpierw jednak zajrzemy do pracowni artystki.

I włożywszy moje klucze do kieszeni, udał się do biblioteki. Poszłam tam za nim – trudno mi powiedzieć, czy po to, by spróbować zapobiec najgorszemu, czy tylko po to, by naocznie przekonać się, co zamierzał uczynić. Moje przybory do malowania leżały w kącie na stole, przykryte jedynie sukniem. Pan Huntingdon szybko je dostrzegł i odłożywszy na bok świecę, z namaszczaniem począł je kolejno rzucać w palenisko: paleta, farby, pędzle, werniks, noże paletowe, terpentyna – wszystko to zostało strawione przez ogień. Następnie zadzwonił na służącego, a kiedy ten przyszedł, wskazał na sztalugę, płótno i blejtram, mówiąc:

– Benson, zabierz te przedmioty. I powiedz pokojowej, że może użyć ich jako podpałki – nie będą już potrzebne waszej pani.

Benson w osłupieniu spojrział na mnie.

– Zabierz je, Bensonie – powiedziałam.

Jego pan rzucił pod nosem przekleństwo.

– I to też, sir? – zapytał zdumiony służący, wskazując na niedokończony obraz.

– To też – odpowiedział pan, wobec czego wszystko zaraz zostało wyniesione.

Pan Huntingdon poszedł na górę, ja tymczasem pozostałam w swoim fotelu – oniemiała i nieruchoma, choć nie roniąc nawet jednej łzy. Około pół godziny później mój mąż wrócił. Przysunąwszy świecę do mojej twarzy, zajrzał mi w oczy, śmiejąc się w sposób tak obraźliwy, że nie umiałam tego znieść ze spokojem. Gwałtownym ruchem wytrąciłam mu lichtarz z ręki.

– Coś podobnego! – mruknął. – Toż to prawdziwa diablina! Czy ktokolwiek widział takie oczy? – świecą w ciemnościach niczym u kota. Och, jesteś rozkoszna!

Rzekłszy to, podniósł z podłogi lichtarz i świecę, która nie tylko zgasła, ale także pękła na pół. Zadzwonił zatem na służącego.

– Benson, twoja pani zniszczyła tę świecę. Przynieś inną.

– Takim zachowaniem narażasz się na śmieszność – zauważyłam, kiedy służący wyszedł.

– Przecież to nie ja ją zniszczyłem, co? – odparł, po czym rzucając mi klucze na kolana powiedział: – Proszę! Przekonasz się, że nie zniknęło nic prócz pieniędzy i świecidełek – oraz kilku innych drobiazgów, które być może twój zmysł kupiecki kazałby ci zamienić na złoto. W twojej portmonetce zostawiłem kilka suwerenów – to powinno ci wystarczyć do końca miesiąca. A jeśli nie wystarczy, dostaniesz więcej pieniędzy, pod warunkiem, że nasamprzód łaskawie wyjaśnisz mi, na co wydałaś tamte. Odtąd co miesiąc będę wydzielał ci pewną niewielką kwotę na twoje osobiste wydatki. I nie będziesz już się zajmować moimi interesami, zamierzam poszukać sobie zarządcy – nie chciałbym bowiem wystawiać cię na taką pokusę, moja droga. Jeżeli zaś chodzi o kosztą prowadzenia domu, pani Greaves będzie musiała bardzo dokładnie się ze wszystkiego rozliczać. Potrzebujemy całkiem nowego planu...

– Jakiego to wielkiego odkrycia dokonał pan *teraz*, panie Huntingdon? Czy zamierzałam pana okraść?

– Nie, w każdym razie nie z pieniędzy, jak się zdaje. Ale zawsze lepiej zachować

ostrożność.

W tym miejscu do pokoju wszedł Benson, który przyniósł świecę i między mną a Huntingdonem na chwilę zapadła cisza – ja siedziałam w swym fotelu, on zaś stał odwrócony plecami do kominka, upajając się w milczeniu moją klęską.

– A więc – przemówił wreszcie – czy doprawdy zamyślałaś okryć mnie hańbą, uciekając z domu, przeistaczając się w artystkę i zarabiając na życie pracą swych rąk? I czy zaiste planowałaś ukraść mi syna, a potem wychować go na brudnego, jankeskiego kupca albo zwykłego, nędznego malarza?

– Tak. Zamierzałam w ten sposób zapobiec temu, by nie wyrósł na takiego samego dżentelmena, jakim jest jego ojciec.

– Na szczęście nie potrafiłaś zachować swoich planów w tajemnicy – ha, ha! Jak to dobrze, że wy, kobiety, nieustannie musicie mówić, i jeśli brakuje wam przyjaciela, któremu mogłybyście się zwierzyć, to szepczecie swoje sekrety rybom albo zapisujecie je patykiem na piasku... I jak to dobrze, że nie wypilem dzisiejszego wieczoru dużo wina – inaczej mógłbym się nigdy nie dowiedzieć, co knuje moja pani. Dzięki temu, że miałem dość przytomności umysłu i sił, zająłem się wszystkim tak, jak przystało na mężczyznę.

Zostawiając go sam na sam z jego samozadowoleniem, udałam się do bawialni, zamierzając schować w bezpiecznym miejscu swój dziennik, który – jak sobie przypomniałam – wciąż leżał na stole. Z całych sił pragnęłam, by już nigdy nie znalazł się w rękach mojego męża. Myśl o tym, że Huntingdon mógłby zabawiać się czytaniem moich zapisków i poznawaniem moich najskrytszych przemyśleń była mi nieznośna, choć trzeba przyznać, że nie znalazłby pośród nich wielu dobrych słów na swój temat – nie licząc wpisów z czasów, gdy jeszcze go kochałam – och, wolałabym wszystko spalić niż pozwolić na to, by je przeczytał!

– A tak przy okazji – zawołał za mną, gdy wychodziłam – lepiej powiedz tej starej donosicielce, by przez jaki dzień lub dwa trzymała się ode mnie z dala. Najchętniej już jutro wypłaciłbym jej odprawę i kazał pakować manatki, ale wiem, że znajdując się poza domem, narobi więcej szkód niż w nim pozostając.

Skoro tylko mój dziennik znalazł się w pewnym miejscu, poszłam powiedzieć swojej oddanej przyjaciółce, że nasze plany zostały udaremnione. Usłyszawszy tę nowinę, Rachel była przerażona i niepokieszona – być może nawet bardziej ode mnie, bowiem sama nadal czułam się oszołomiona owym ciosem, który na mnie spadł, a wrzący we mnie gniew dodawał mi sił. Jednak nazajutrz rano, gdy obudziłam się pozbawiona tamtej nadziei, która od tak długiego czasu była mi pocieszeniem i podporą, poczułam pełen ciężar swej niedoli i czuję go do tej pory. Jestem zaledwie niewolnicą – więźniem. Gdybym była jedyną ofiarą tej niewoli, nie skarżyłabym się, ale odebrano mi możliwość ocalenia syna przed upadkiem – i to, co dawniej stanowiło moją pociechę teraz stało się dla mnie koronnym źródłem rozpacz.

Czy straciłam już wiarę w Boga? Próbuję zwracać swoją duszę ku Niemu, próbuję się Go chwytać, ale w rękach zostaje mi tylko pył. Mogłabym powiedzieć: „Opasał mnie murem,

nie wyjdę, obciążył moje kajdany. On mnie nasycił goryczą, piołunem napoił”. Ale powinnam jeszcze dodać: „Bo nie jest zamiarem Pana odtrącić na wieki. Gdyż jeśli uniży, ma litość w dobroci swej niezmiernej; niechętnie przecież poniża i uciska synów ludzkich”^[11]. Nie wolno mi zapominać o tych słowach. A nawet jeśli w tym życiu nie czeka mnie nic innego, tylko smutek, czymże jest krótka ziemską niedola wobec całej wieczności spędzonej w pokoju? I czy mój mały Arthur tylko we mnie ma przyjaciela? Czyż nie zostało powiedziane: „Tak też nie jest wolą Ojca waszego, który jest w niebie, żeby zginęło jedno z tych małych”?^[12]

Rozdział XLI

Nadzieja żyje wiecznie

20 marca – Teraz, gdy na cały sezon pozbyłam się pana Huntingdona, moja dusza zaczyna odżywać. Wyjechał na początku lutego i w chwili, w której znalazł się za bramą naszego majątku odetchnęłam głęboko i poczułam, że wracają mi moje siły życiowe. Nie dlatego, że mam jakąkolwiek nadzieję na ucieczkę – mój mąż bowiem zadbał o to, by odebrać mi wszelkie możliwości przetrwania poza domem. Postanowiłam jednak jak najlepiej wykorzystać bieżącą, korzystną sytuację. W końcu mam Arthura tylko dla siebie i obudziwszy się wreszcie ze swej apatii i zniechęcenia, poczęłam wyęźać wszystkie siły, by jak najszybciej wyplenić chwasty, które wyhodowano w duszy mojego dziecka, a na ich miejscu na powrót zasiać ziarno dobra.

Z początku wiele wysiłku kosztowało mnie oduczenie Arthura tych wszystkich okropnych zwyczajów, które przejął po swoim ojcu, jednakże trudności te mam już prawie za sobą. Z jego ust rzadko padają teraz plugawe słowa, a do wszystkich odurzających napojów udało mi się wzbudzić w nim absolutną niechęć, której – jak mam nadzieję – nawet jego ojciec nie będzie potrafił w nim przełamać. Dziecko bardzo się w nich rozsmakowywało – zaskakująco bardzo, jak na tak młodą istotę – i mając w pamięci los zarówno swojego nieszczęsnego ojca, jak i swojego męża, drżałam o konsekwencje takiego upodobania. Jednak gdy zabraniałam Arthurowi kosztowania wina, tym samym jedynie pogłębiałam jego apetyt na nie i przyczyniałam się do tego, że widział w nim jeszcze większy smakołyk niż dotychczas. Zaczęłam zatem podawać mu taką samą jego porcję, do jakiej przyzwyczał go ojciec, lecz do każdego kieliszka ukradkiem dosypywałam niewielką ilość emetyku – w sam raz, by wywołała w nim uczucie nudności i przygnębienie, ale nie doprowadziła do wymiotów. Odkrywszy, że przyjemność owa kończy się dlań zawsze przykrymi konsekwencjami, chłopiec wkrótce stał się do niej uprzedzony, ale im gwałtowniej się przed nią wzbraniał, tym uporczywiej go do niej zmuszałam. I czyniłam tak codziennie dopóty, dopóki jego niechęć nie przerodziła się w prawdziwą odrazę. Kiedy czuł już całkowity wstręt do każdego rodzaju wina, pozwoliłam mu – na jego własne życzenie – skosztować brandy z wodą, a następnie dzinu z wodą, gdyż postanowiłam jednakowo zniechęcić go do wszystkich trunków, z jakimi był zaznajomiony. Wreszcie więc udało mi się dopiąć swego i odkąd Arthur zaczął się upierać, że sam zapach alkoholu wywołuje w nim mdłości, nie dokuczam mu już w ten sposób i jedynie w chwilach, w których jest nieposłuszny wygłaszam groźbę w rodzaju: „Arthurze, jeśli nie będziesz się poprawnie zachowywał, dam ci kieliszek wina” albo: „Arthurze, jeżeli jeszcze raz usłyszę, że używasz takiego języka, będziesz musiał wypić trochę brandy z wodą”. Gdy był chory, w charakterze lekarstwa raz czy dwa razy zmusiłam go do przełknięcia niewielkiej ilości

wina z wodą – już *bez* emetyku – i zamierzam praktykować ten zwyczaj dalej w przyszłości. Nie sądzę, by przynosiło to wielkie korzyści w sensie fizycznym, ale tym sposobem mam nadzieję wykształcić w dziecku jak najgorsze skojarzenia.

Pochlebiam sobie myślą, że udało mi się uchronić swojego syna przed skutkami przynajmniej jednego zgubnego nałogu. A jeśli będę miała powód obawiać się tego, że moje wysiłki zostaną zniweczone – jeżeli pan Huntingdon po swym powrocie do domu od nowa zacznie uczyć dziecko pogardy do matki i zachęcać je do pójścia w swoje grzeszne ślady, jeszcze raz spróbuję wyrwać je z jego rąk. Obmyśliłam bowiem nowy plan, do którego mogłabym się uciec w takich okolicznościach i który miałby duże szanse na powodzenie, gdyby tylko udało mi się przekonać doń swojego brata. O ile mi wiadomo, stary dwór, w którym urodziliśmy się oboje i w którym zmarła nasza matka jest obecnie niezamieszkały, mimo że nie znajduje się jeszcze w stanie całkowitej ruiny. Gdyby Frederick przystosował kilka tamtejszych pomieszczeń do zamieszkania i wynajął mi je jak komuś obcemu, mogłabym się tam osiedlić wraz ze swoim dzieckiem pod przybranym nazwiskiem i utrzymywać się ze swojej sztuki. Na początek brat mógłby mi udzielić pożyczki, a kiedy już bym ją spłaciła, żyłabym skromnie, ale niezależnie i w całkowitym odosobnieniu, bowiem dom usytuowany jest w ustronnym miejscu, a okolica nie jest nazbyt gęsto zaludniona. Wszystko już sobie ułożyłam w głowie i pozostaje mi tylko przekonać do swojego pomysłu Fredericka, który niebawem przyjeżdża z wizytą do Grassdale.

Podejrzewam, że wie on na temat mojej sytuacji więcej niż mu powiedziałam. Świadczy o tym smutek, którym przepojone są jego listy oraz to, że tak rzadko wspomina w nich o moim mężu – a jeśli mu się to zdarza, to jego słowa kryją w sobie zawsze pewną gorycz. Do tego nigdy mnie nie odwiedza, gdy wie, że pan Huntingdon przebywa w domu. Jak dotąd jednak nie zadawał mi żadnych pytań i nie próbował mnie nakłaniać do zwierzeń – być może czuje się zraniony moją powściągliwością. To osobliwy człowiek i żałuję, że nie znamy się lepiej. Dawniej, nim wyszłam za męża, co roku przyjeżdżał na miesiąc do Staningley, ale od śmierci naszego ojca widziałam się z nim tylko raz, kiedy to pod nieobecność pana Huntingdona przybył na kilka dni do Grassdale. Teraz jednakże zatrzyma się u nas na dłużej i wiem, że tym razem będzie między nami więcej serdeczności i otwartości – moje serce lgnie do niego bardziej niż kiedykolwiek dotąd, a moja dusza dość ma już samotności.

16 kwietnia – Dwutygodniowa wizyta Fredericka dobiegła już końca. Ten czas upłynął mi szybko, ale nader radośnie i przyniósł mi wraz z sobą prawdziwe pokrzepienie. Muszę być chyba osobą złego usposobienia, gdyż nieszczęścia sprawiły, że przesadnie zgorzkniałam i zaczynałam już żywić krańcowo nieprzyjazne uczucia do bliźnich – zwłaszcza tych rodzaju męskiego. Ale jakże wielką pociechą jest dla mnie świadomość, że przynajmniej jeden przedstawiciel męskiego rodu wart jest mojego zaufania i szacunku! Kim jednakże byłby dzisiaj Frederick, gdyby przyszło mu dorastać pośród ludzi podobnych do tych, których miałam okazję poznać? I kim *będzie* Arthur, jeśli nie ochronię go przed tym światem? Wspomniałam Frederickowi o swoich obawach i zdradziłam mu swoje plany już pierwszego

wieczoru po jego przyjeździe – zaraz po tym, jak przedstawiłam mu jego małego siostrzeńca.

– Jest podobny do ciebie, Fredericku – rzekłam. – Niekiedy nawet myślę, że pod pewnymi względami bardziej przypomina ciebie niż swojego ojca i jestem z tego bardzo rada.

– Pochlebiasz mi, Helen – odpowiedział, głaszcząc dziecko po główce.

– Nie. To żaden komplement z mojej strony, ponieważ wolałabym już, żeby przypominał *Bensona* niż swojego ojca.

Frederick nieznacznie uniósł brwi w zdumieniu, ale nic nie powiedział.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jakiego rodzaju człowiekiem jest pan Huntingdon? – zapytałam.

– Chyba się domyślam.

– A zatem nie zdziwisz się ani nie oburzysz, jeśli zdradzę ci, że zamierzam uciec wraz z dzieckiem z domu i schronić się w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie nikt nas nie będzie niepokoił?

– Doprawdy jest aż tak źle?

W tym miejscu pokrótce opowiedziałam mu o zwyczajach mojego męża, a następnie podzieliłam się z nim swoimi lękami co do przyszłości chłopca, dając mu do zrozumienia, jak bardzo zależy mi na tym, by uchronić dziecko przed zgubnym wpływem jego ojca.

Usłyszawszy to wszystko, Frederick nie krył swego oburzenia postępowaniem pana Huntingdona i niezmiernie przejął się moim losem, jednak pomysł mój uznał za nierozsądny i niewykonalny. Stwierdził, że moje obawy dotyczące małego Arthura są przesadzone i zaprotestował przeciw moim planom w sposób tak stanowczy, że zmuszona byłam ponownie przedstawić mu swoje położenie, tym razem nie szczędząc mu żadnych szczegółów. Przekonywałam go, że mój mąż już się nie zmieni, że bez względu na wszystko nigdy dobrowolnie nie zgodzi się na to, bym zabrała dziecko z domu i że jedyną alternatywą, jaka przychodzi mi do głowy jest opuszczenie na zawsze Anglii. Aby temu zapobiec, Frederick w końcu zgodził się ze mną i zapowiedział, że przygotowuje dla mnie jedno ze skrzydeł Wildfell Hall, tak by mogło mi posłużyć za schronienie, gdyby zaszła po temu potrzeba. Równocześnie jednak wyraził nadzieję, że nie będę z niego korzystać, jeśli nie będzie to naprawdę konieczne. Ja z kolei skwapliwie mu to obiecałam; bowiem choć w porównaniu z moim obecnym miejscem zamieszkania pustelnia taka jawi mi się jako prawdziwy raj, przez wzgląd na moich przyjaciół i krewnych postaram się zostać tutaj tak długo, jak tylko będzie to możliwe.

29 lipca – Pani Hargrave wróciła wraz z córką z Londynu i Esther nie mówi o niczym innym, jak o swoim pobycie w mieście, choć nie straciła jeszcze dla nikogo głowy. Matka wprawdzie znalazła dla niej zamożnego kandydata na męża, który zdążył już złożyć u stóp dziewczyny swoje serce i majątek, jednak ta miała czelność odmówić przyjęcia tych wspaniałych darów. Był to ponoć człowiek dobrze urodzony i niezmiernie bogaty, ale

Esther stwierdziła zuchwale, że do tego stary jak Matuzalem, brzydki jak grzech śmiertelny i nikczemny jak... ale nie wymieniamy tej osoby z imienia.

– Rzecz jasna, naraziłam się na kłopoty – powiedziała. – Mama była nader zawiedziona tym, że jej misterny plan runął w gruzach i bardzo – *bardzo* - rozgniewało ją to, że uparłam się sprzeciwić jej woli – wciąż się na mnie gniewa, ale nie mogę nic na to poradzić. Walter również jest wielce nierad z mojej „przekory i niedorzecznego rozkapryszania”, jak to ujął, i boję się, że być może nigdy mi nie wybaczy. Doprawdy, nigdy bym nie pomyślała, że potrafi być tak nieprzyjemny, jak mu się to ostatnio zdarza. Milicent jednak usilnie mnie prosiła, bym w żadnym wypadku nie ulegała ich namowom i jestem pewna, pani Huntingdon, że gdyby pani zobaczyła tego jegomościa, także by mi to odradziła.

– Zrobiłabym to bez względu na to, czy bym go zobaczyła, czy nie – odparłam. – To, że go nie lubisz jest dla mnie wystarczającym argumentem przeciw.

– Właśnie takich słów spodziewałam się z pani strony, choć mama zapewniała mnie, że byłaby pani wstrząśnięta moją krnąbrnością. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak ona mnie beszta – jej zdaniem jestem nieposłuszna i niewdzięczna; nieustannie postępuję wbrew jej życzeniom, swoim zachowaniem krzywdzę brata i jestem nieznośnym ciężarem na jej barkach. Niekiedy ogarnia mnie lęk, że w pewnego dnia mnie pokona – mam silną wolę, ale ona również. I czasem, kiedy kieruje pod moim adresem te gorzkie słowa, mam ochotę jej ustąpić, bym potem – gdy serce będzie mi pękać z rozpaczy – mogła powiedzieć: „Widzi mama? To wszystko jej wina!”

– Pod żadnym pozorem tego nie rób! – zawołałam. – Gdybyś zgodziła się na małżeństwo z takich pobudek, byłaby to z twojej strony prawdziwa niegodziwość. Nie ustępuj, a twoja mama wkrótce machnie na wszystko ręką. I sam dżentelmen w końcu zaprzestanie swoich zalotów, jeśli będziesz je konsekwentnie odrzucać.

– Och, nie! Mama prędzej zamęczy na śmierć wszystkich wokół niż sama da za wygraną. Jeśli zaś chodzi o pana Oldfielda, to dała mu do zrozumienia, że odmówiłam mu nie z powodu swojej niechęci do jego osoby, lecz tylko z tego względu, że jestem trzpiotowata, młoda i zbyt niedojrzała, by myśleć o małżeństwie – za rok bez wątpienia będę miała w sobie więcej rozsądku i przejdą mi wszystkie moje dziewczęce kaprysy. Zatem w międzyczasie mama zamierza udzielać mi nauk mających na celu wpoić mi należyte poczucie obowiązku. I, jak się domyślam, dopóki nie ustąpię, dopóty nie narazi się na koszty kolejnej wyprawy do Londynu – powiada, że nie stać jej na zabieranie mnie do miasta tylko po to, bym mogła zaznać pustej przyjemności; i że nie każdy bogaty dżentelmen zgodziłby się poślubić mnie bez posagu.

– Cóż, jakkolwiek by nie było, Esther, powtarzam: nie ustępuj i nie poślubiaj człowieka, który nie przypada ci do gustu. Równie dobrze mogłabyś sprzedać się w niewolę. Jeśli twoja matka i brat nie będą dla ciebie dobrzy, zawsze będziesz mogła się z nimi rozstać, ale pamiętaj: małżeństwo zwiąże cię z mężem na całe życie.

– Jednak nie będę mogła się z nimi rozstać, dopóki nie wyjdę za mąż i nie będę mogła wyjść za mąż, jeśli nie znajdzie się ktoś, za kogo mogłabym wyjść. Widziałam w Londynie

jednego lub dwóch dżentelmenów, którzy mogliby mi się spodobać, ale to byli młodsi synowie i mama nie pozwoliła mi się z nimi zaznajomić. Jednemu z nich chyba podobałam się szczególnie, ale mama robiła co mogła, by uniemożliwić nam bliższe poznanie się. Czy to nie okropne?

– Niewykluczone, że gdybyś go poślubiła, w przyszłości miałabyś więcej powodów po temu, by żałować swojego kroku niż wówczas gdybyś poślubiła pana Oldfielda. Kiedy radzę ci, abyś nie godziła się na małżeństwo *bez* miłości, bynajmniej nie próbuję przez to powiedzieć, że powinnaś wyjść za mąż z *samej* miłości – musisz wziąć pod uwagę również wiele innych względów. Swojego serca i ręki nie oddawaj nikomu, dopóki nie będziesz miała dobrego powodu, by się z nimi rozstać. I nawet jeśli nigdy nie znajdzie się ktoś, kto byłby ich wart, będziesz mogła pocieszyć się myślą, że choć życie w staropanieństwie nie niesie ze sobą wielu radości, jednocześnie nie przysparza też zbyt wielu zmartwień.

– Tak samo uważa Milicent. Jednak muszę przyznać, że ja jestem innego zdania. Gdybym wiedziała teraz, że zostanę skazana na staropanieństwo, straciłabym szacunek do swojego życia. Sama myśl, że mogłabym spędzić całe swoje życie w Grove u boku mamy i Waltera – w charakterze żerującego na nich pasożyta (bo teraz wiem, że za takowego by mnie uważali) – jest dla mnie nie do zniesienia. Wołałabym już uciec z lokajem.

– Przyznaję, że twoja sytuacja jest szczególna. Ale cierpliwości, moja droga, nie czyni niczego pochopnie. Pamiętaj, że nie masz jeszcze nawet dziewiętnastu lat i wiele czasu jeszcze upłynie, nim ktokolwiek będzie mógł cię nazwać starą panną. Nie możesz wiedzieć, co Opatrzność trzyma dla ciebie w zanadrzu. A tymczasem pamiętaj: masz prawo do opieki ze strony swojej matki i brata, niezależnie od tego, jak bardzo ci to wypominają.

– Jest pani taka ponura, pani Huntingdon – zauważyła Esther po chwili milczenia. – Gdy Milicent mówiła mi to samo, zapytałam ją, czy jest szczęśliwa w swoim małżeństwie. Odpowiedziała, że tak, ale nie do końca jej uwierzyłam. A teraz to samo pytanie muszę zadać pani.

– To bardzo zuchwałe pytanie! – roześmiałam się – I nie odpowiem na nie.

– Proszę mi wybaczyć, droga pani – zawołała Esther, rzucając mi się ze śmiechem w ramiona i obsypując mnie gradem czułych pocałunków. Ale zaraz potem, wtuliwszy się we mnie, odezwała się tonem, w którym pobrzmiwała mieszanina smutku i beztroski, onieśmienia i zuchwałości: – Wiem, że nie jest pani tak szczęśliwa, jak ja zamierzam być, bowiem spędza pani połowę swych dni sama w Grassdale, podczas gdy pan Huntington, tam gdzie tylko mu się spodoba oddaje się uciechom życia. Od swojego przyszłego męża oczekuję tego, że wszystkie swoje przyjemności będzie dzielił ze mną. A jeśli ponad wszystkie inne nie będzie przedkładał przyjemności przebywania w moim towarzystwie... tym gorzej dla niego!

– Jeśli właśnie takie oczekiwania masz względem swojego męża, Esther, to zaiste musisz być bardzo ostrożna w swoim wyborze. A raczej w ogóle musisz się wystrzegać małżeństwa...

Rozdział XLII

Postanowienie poprawy

1 września – Pan Huntingdon jeszcze nie wrócił. Być może będzie przebywał pośród swych przyjaciół aż do Bożego Narodzenia, a następnej wiosny znów wyruszy do Londynu. Jeśli stanie się to jego stałym zwyczajem, będę mogła pozostać w Grassdale i kto wie – może nawet wizyty jego przyjaciół w sezonie polowań nie będą mi się zdawały zanadto dokuczliwe? Pod warunkiem, że za sprawą mojej perswazji i uczucia Arthur nie podda się szkodliwemu wpływowi ich towarzystwa. Obawiam się jednak, że to płonne nadzieje... Ale mimo to, dopóki nie nadejdzie godzina próby, będę zabraniała sobie myśleć o tamtym cichym schronieniu czekającym na mnie w murach mojego drogiego, starego dworu.

Państwo Hattersley od dwóch tygodni przebywają w Grove, a ponieważ nie musiałam się obawiać spotkania z panem Hargrave'em i pogoda była nadzwyczaj łaskawa, każdego dnia widywałam się z Milicent i Esther – i albo to ja wybierałam się do nich z wizytą, albo one przyjeżdżały mnie odwiedzić. Pewnego razu, po tym jak pan Hattersley przywiózł je do Grassdale swoim powozem wraz z małą Helen i Ralphem, miałam okazję zamienić słowo z owym dżentelmenem na osobności.

– Czy życzyłaby sobie pani dowiedzieć się czegoś na temat swojego męża, pani Huntingdon? – zapytał.

– Nie. Chyba że umiałby mi pan powiedzieć, kiedy mam się spodziewać jego powrotu do domu.

– Niestety tego nie wiem. Nie zależy pani na tym, by wrócił, prawda? – rzekł szeroko się uśmiechając.

– Nie.

– Cóż, sądzę, że im dłużej nie ma go w domu, tym lepiej dla pani. Sam ze swej strony szczerze mam go dość. Ostrzegalem go, że zrezygnuję z jego towarzystwa, jeśli nie zmieni swych zwyczajów... Nie zrobił tego, więc przestałem się z nim widywać. Widzi pani, nie jestem tak złym człowiekiem, za jakiego mnie pani uważa. I co więcej, noszę się z zamiarem, by całkowicie umyć od niego ręce – i od wszystkich pozostałych również. Odtąd chciałbym postępować tak przyzwoicie, jak przystało na chrześcijanina i głowę rodziny – co pani o tym sądzi?

– Już dawno powinien był pan powziąć takie postanowienie.

– Hm, nie mam nawet trzydziestu lat. Chyba jeszcze nie jest za późno?

– Nie, nigdy nie jest za późno na to, by się zmienić, o ile posiada się wystarczająco dużo sił potrzebnych nam do dotrzymania takiego postanowienia.

– Cóż, prawdę mówiąc, już wcześniej o tym myślałem, ale Huntingdon to taki przedni kompan – nie wyobraża sobie pani, jaki jest z niego pocziwiec, gdy nie jest całkiem

pijany, a jedynie na lekkim rauszu... Wszyscy w głębi duszy czujemy do niego sympatię, choć nie mamy dlań zbyt wiele szacunku.

– Ale czy chciałby pan być taki, jak on?

– Nie, już wolę być sobą, choć do świętości też mi wiele brakuje.

– Jednak nie może pan żyć w grzechu, licząc na to, że nie stanie się pan już gorszy – każdego dnia ulegał pan będzie dalszemu zepsuciu i w rezultacie coraz bardziej będzie przypominał mojego męża.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, widząc komiczny wyraz malujący się na jego twarzy – moje słowa po części go rozzłościły i po części skonfundowały.

– Proszę nie mieć mi za złe mojej szczerości – powiedziałam. – Kierują mną jak najlepsze intencje. Lecz czy chciałby pan, by jego synowie byli tacy, jak pan Huntingdon – albo nawet tacy, jak pan?

– Do diabła, ależ nie!

– Czy chciałby pan, by jego córka pogardzała nim, a w każdym razie nie czuła do niego nawet krzty szacunku i by wszystkie jej uczucia do pana przepajała gorycz żalu?

– Psiakrew, nie! Tego bym nie zniósł.

– I wreszcie, czy chciałby pan, by pańska żona na sam dźwięk jego imienia marzyła o tym, by zapaść się po ziemię – by znienawidziła nawet pański głos i drżała za każdym razem, gdy będzie się pan do niej zbliżał?

– Do tego nigdy nie dojdzie; bez względu na to, co robię, Milicent kocha mnie zawsze tak samo.

– To niemożliwe, panie Hattersley! Myli pan jej uległość z uczuciem.

– Do pioruna!

– Proszę nie wpadać w gniew. Bynajmniej nie próbuję przez to powiedzieć, że żona pana nie kocha – ależ kocha, dużo bardziej niż on na to zasługuje. Jednak jestem pewna, że jej uczucie do pana byłoby jeszcze większe, gdyby zmienił się na lepsze. Jednak pomijając kwestię tego, co Milicent do pana czuje – czy chciałby pan zabrać jej całą radość życia i uczynić ją na wskroś nieszczęśliwą?

– Oczywiście, że nie. Nie robię tego teraz i w przyszłości też nie zamierzam.

– Ależ uczynił pan w tym kierunku więcej niż się mu wydaje.

– Phi! Milicent nie jest wcale tak delikatna, jak pani sądzi i potrafi cierpliwie znosić to, co przynosi jej życie.

– Proszę wobec tego sobie przypomnieć, jaka była pięć lat temu, kiedy się pan z nią żenił, a następnie ówczesną Milicent porównać z tą obecną.

– Tak, wiem. Była wówczas zaokrągloną dziewczyną o ładnej, zaróżowionej cerze; teraz zaś jest zabiedzonym stworzeniem, niknącym w oczach i topniejącym niczym śnieg – ale do diabła! Żadna w tym moja wina!

– Co jest zatem tego przyczyną? Chyba nie jej wiek, skoro skończyła dopiero dwadzieścia pięć lat?

– Jest delikatnego zdrowia i... – niech panią diabli porwą, madame, co chce pani przez

to powiedzieć? – ...i bez wątpienia zamartwia się dziećmi.

– Nie, panie Hattersley. Dzieci przynoszą jej więcej radości niż bólu – to wspaniałe, grzeczne dzieci...

– Doskonale o tym wiem! Niech im Bóg błogosławi.

– Więc dlaczego to je obarcza pan odpowiedzialnością za to wszystko? Powiem panu, co tak wyniszcza jego żonę: to nieustanny niepokój o to, co ją spotka z jego strony. Nawet jeśli pańskie zachowanie jest poprawne, Milicent nie potrafi się tym cieszyć inaczej, jak z drzeniem serca – zdaje sobie bowiem sprawę z tego, jak krucha i przelotna jest ta chwila szczęścia. Kiedy zaś pańskie zachowanie zmienia się na gorsze, Bóg jeden wie, w jak wielkim żyje strachu. Mimo wszystko jednak bez słowa skargi znosi swoją niedolę, zapominając przy tym, że naszym obowiązkiem jest upominać bliźnich, gdy dopuszczają się grzechów. Skoro nadal upiera się pan, że jej milczenie świadczy o obojętności, proszę pozwolić za mną. Pokażę panu kilka z jej listów – mam nadzieję, że nie będzie to z mojej strony nadużycie jej zaufania; jest pan przecież jej drugą połową.

Pan Hattersley podążył za mną do biblioteki, gdzie włożyłam mu w dłoń dwa listy, które w przeszłości dostałam od jego żony. Jeden z nich opatrzony był datą z okresu ich pobytu w Londynie, a jego treść przepojona była lękiem i cierpieniem, choć ze słów Milicent wynikało, że za nic nie potępia swego męża i że winą za jego hulaszczcze zwyczaje obarcza jego przyjaciół. Drugi list przepełniała nadzieja i uniesienie. Milicent pod niebiosa wychwalała w nim dobroć pana Hattersley, aczkolwiek radość jej podszyta była gorzką świadomością, że ów błogi stan szczęśliwości nie będzie trwał wiecznie.

Z przyjemnością zauważyłam, że podczas zapoznawania się z treścią pierwszego z listów pan Hattersley zaczerwienił się, po czym zaraz odwrócił się do mnie plecami. Czytając drugi zaś, kilkakrotnie uniósł dłoń do twarzy. Czy po to, ażeby otrzeć łzę? Skończywszy wreszcie lekturę, odchrząknął i na chwilę zapatrzył się w krajobraz znajdujący się za oknem. Następnie odwrócił się do mnie i ściskając moją dłoń, rzekł:

– Bóg mi świadkiem, że byłem przeklętym łotrem. I niech mnie piekło pochłonie, jeśli jej tego nie wynagrodzę!

– Proszę nie bluźnić, panie Hattersley. Jeżeli doprawdy zamierza pan naprawić swoje życie, powinien pan raczej poprosić Boga o miłosierdzie i pomoc, a nie wzywać go do tego, by pana pokarał.

– Wobec tego niechże Bóg mi dopomoże, bo niechybnie będę tego potrzebował. Gdzie jest Milicent?

– Ona i jej siostra właśnie idą w tę stronę.

Pan Hattersley wyszedł im na spotkanie. Ku zdumieniu swojej żony, podniósł ją z ziemi, ucałował serdecznie i mocno uściskał. Następnie zaś musiał opowiedzieć jej pokrótce o wielkich rzeczach, których zamierzał dokonać, gdyż tamta nagle zarzuciła mu ramiona na szyję i wybuchając płaczem, zawołała:

– Ależ tak, Ralphie – będziemy tacy szczęśliwi! Jesteś dla mnie taki dobry!

– Nie ja – powiedział, odwracając ją i popychając w moją stronę. – To wszystko jej

zasługa i to *jej* powinnaś być wdzięczna.

Milicent podbiegła, by mi podziękować, ale ja wyparłam się wszystkiego, mówiąc, że jej mąż już wcześniej skłonny był się zmienić i że zachęcając go do podjęcia tego kroku, nie uczyniłam niczego, czego ona sama by nie mogła zrobić.

– Och, nie! – zawołała. – Mnie by nie posłuchał. Nie mam daru przekonywania i moje niezdarne namowy tylko by go rozzłościły.

– Ale nigdy nawet nie próbowałaś, Milly.

Wkrótce potem oboje wyjechali. Przebywają teraz z wizytą u starszego pana Hattersley, a później zamierzają udać się do swojego domu na wsi. Mam nadzieję, że mąż biednej Milicent wytrwa w swych szlachetnych postanowieniach i że tym razem jej nie zawiedzie. Jej ostatni list pełen był nadziei i wiary w przyszłość, choć jak dotąd nie wydarzyło się nic, co poddałoby charakter pana Hattersley próbie. Jednakże Milicent będzie teraz niewątpliwie nieco odważniejsza i mniej powściągliwa, a on wobec niej miłszy i troskliwszy. I przynajmniej w tej myśli mogę znaleźć jakieś pocieszenie.

Przekroczona granica

10 października – Mniej więcej trzy tygodnie temu pan Huntingdon wrócił do domu. Nie chcę narażać się na trud opisywania naszych wzajemnych stosunków, ale trzeba mi wspomnieć, że już w dniu swego przyjazdu nieprzyjemnie mnie zaskoczył, ogłaszając swój zamiar wystarania się o guwernantkę dla małego Arthura. Dałam mu do zrozumienia, że biorąc pod uwagę obecną porę roku, jest to zupełnie niepotrzebne, by nie powiedzieć: niedorzeczne. Uważałam zresztą, że posiadam wystarczające kompetencje, by przez kilka następnych lat samodzielnie dbać o wykształcenie naszego syna, a skoro jego ojciec pozbawił mnie wszelkich innych życiowych przyjemności, mógłby mi zostawić przynajmniej tę jedną.

Pan Huntingdon odparł, że nie nadaje się do tego, by wychowywać dzieci: chłopiec, przebywając cały ten czas pod moją pieczęcią już stał się cieniem człowieka, swoim chłodem i surowością zламаła mu duszę i jeśli dalej będzie pozostawał pod moim wpływem, stanie się tak samo ponury i ascetyczny, jak ja. Gromy krytyki spadły również na głowę biednej Rachel, której Huntingdon nie znosi – domyśla się bowiem, że nie ma ona o nim najlepszego zdania.

Nie dając za wygraną, kolejnymi argumentami starałam się odwieść go od tamtego pomysłu, ale przerwał mi w pół słowa i oświadczył, że na nic się nie zdadzą moje protesty, ponieważ już kogoś zaangażował i nowa guwernantka pojawi się w naszym domu za tydzień – jedyną rzeczą, jaka mi zatem pozostaje jest przygotować się na jej przyjazd. Wiadomość ta niezwykle mną wstrząsnęła. Pozwoliłam sobie zapytać o godność owej osoby oraz o to, kto taki mu ją polecił.

– Nie masz żadnych powodów do obaw – odrzekł. – To bardzo zacna i pobożna panna. O ile mi wiadomo, nazywa się Myers, a polecona została mi przez pewną czcigodną wdowę – starszą kobietę cieszącą się doskonałą reputacją w kręgach religijnych. Nie widziałem owej dziewczyny osobiście, więc nie potrafię podać żadnych bliższych szczegółów na jej temat, ale jeśli wierzyć zapewnieniom starszej pani, posiada ona wszystkie pożądane kwalifikacje – przede wszystkim ogromnie kocha dzieci.

Słowa te Huntingdon wymówił wprawdzie poważnym i cichym tonem głosu, ale zdało mi się, że w jego oku dostrzegłam jakiś diabelski błysk, który niczego dobrego nie wróżył.

Nie byłam skłonna zgotować pannie Myers nazbyt serdecznego powitania. A w dniu jej przybycia do Grassdale pierwsze wrażenie, jakie wywarły na mnie jej powierzchowność i sposób bycia, pogłębiło tylko moje uprzedzenie do jej osoby. Uznałam, że jest niedouczona i niezbyt bystra. Co prawda, miała piękny, słowiczy głos i potrafiła śpiewać, akompaniując sobie równocześnie na fortepianie, lecz więcej talentów nie posiadała.

Sprawiała wrażenie przebiegłej i skrytej i zdawała się mnie obawiać, bowiem wzdragała się za każdym razem, gdy do niej niespodziewanie podchodziłam. Jej zachowanie wobec mnie było pełne szacunku i usłużności, a rzekłabym nawet: służalczości, i z początku nie szczędziła mi pochlebstw, czemu jednakże rychło położyłam kres. W stosunku do swego małego podopiecznego wykazywała się tak przesadną czułością, że zmuszona byłam pouczyć ją na temat szkodliwości nadmiernego chwalenia dzieci i pobożania im. Jej pobożność polegała na wygłaszaniu religijnych banałów przy jednoczesnym wydawaniu z siebie westchnień i wznoszeniu oczu ku niebu. Wyznała mi, że jest córką duchownego i że została osierocona w dzieciństwie, choć jakiś czas potem miała szczęście otrzymać posadę u pewnej bardzo pobożnej rodziny. Następnie zaś z taką wdzięcznością poczęła mówić na temat dobroci, jakiej doświadczyła od poszczególnych jej członków, że zaraz zawstydziłam się swojej nieżyczliwości i moje serce zmiękło – lecz nie na długo, gdyż powody mojej niechęci wydawały mi się zbyt racjonalne, a podejrzenia zbyt słuszne i wiedziałam, że dopóki moje obawy się nie rozproszą lub nie potwierdzą, mam obowiązek zachowywać wszelką ostrożność.

Kiedy zapytałam pannę Myers o to, jak nazywa się i gdzie mieszka owa zacna, bogobojna rodzina, w odpowiedzi usłyszałam pewne często spotykane nazwisko i nazwę jakiejś odległej, nieznannej mi miejscowości. Nigdy nie widziałam, by dużo rozmawiała z panem Huntingdonem, mimo że on często zaglądał do pokoju szkolnego, gdy mnie tam nie było. Wieczorami przesiadywała wraz z nami w bawialni i chętnie śpiewała dla jego przyjemności – albo *naszej*, jak udawała. Była wobec niego bardzo troskliwa i starała się uprzedzać jego życzenia, chociaż rozmawiała tylko ze mną – on zresztą rzadko znajdował się w stanie sprzyjającym rozmowie.

Nie podzieliłam się swymi podejrzeniami z Rachel, jednak ona sama – przeżywszy na tym padole łąz tyle lat – zdążyła nauczyć się nieufności i już pierwszego dnia usłyszałam od niej, że nowa guwernantka jej się nie podoba. Obserwowała ją nie mniej bacznie ode mnie i rada byłam z tego, bowiem pragnęłam jak najszybciej poznać prawdę – atmosfera panująca w Grassdale zdawała mi się duszna i przy życiu utrzymywała mnie teraz tylko myśl o Wildfell Hall.

Aż wreszcie pewnego ranka Rachel przysłała do mojej sypialni z taką wiadomością, że jeszcze nim skończyła mówić, podjęłam decyzję. Wyjaśniwszy jej wszystkie swoje zamiary, poinformowałam ją, jakiego rodzaju pomocy będę od niej potrzebowała i które z moich rzeczy powinna spakować, a które zabrać sobie – jako że nie widziałam innego sposobu, w jakim mogłabym jej wynagrodzić to nagłe rozstanie po długich latach jej oddanej służby.

– A ty co zamierzasz ze sobą zrobić, Rachel? – zapytałam. – Wrócisz do domu czy będziesz szukała zatrudnienia u innej rodziny?

– Mój dom jest tam, gdzie pani; innego nie mam – odparła. – I jeśli doprawdy trzeba mi będzie się z panią rozstać, nie będę szukała już nowej posady.

– Ale nie stać mnie teraz na to, by prowadzić życie damy – powiedziałam. – Sama będę musiała być sobie służącą i nianią dla mojego syna.

– To nie szkodzi – rzekła z pewnym poruszeniem. – Będzie pani potrzebny ktoś do sprzątnięcia i gotowania, a ja mogłabym robić to wszystko bez wynagrodzenia. Ciągle mam swoje małe oszczędności i jeśli nie zgodzi się pani przyjąć mnie pod swój dach, będę zmuszona wydać je na wynajęcie swojej własnej kwatery albo poszukać pracy u obcych – a do tego nie jestem nawykła... Lecz proszę robić, co pani uzna za słuszne – jej głos się załamał, a w oczach stanęły łzy.

– Ależ Rachel, ponad wszystko pragnęłabym cię przy sobie zatrzymać i chętnie dawałabym ci taką pensję, na jaką byłoby mnie stać. Ale czy nie widzisz, że uciekając wraz ze mną straciłabyś swoje dobre imię, choć nie uczyniłaś nic, by sobie na to zasłużyć?

– Och, to nic takiego! – wykrzyknęła.

– A poza tym, moje życie będzie odtąd tak inne – to nie będzie to, do czego przywykłaś...

– Czy uważa pani, że nie dam rady znieść tego, co ona? A wraz z nią mój mały paniczek, niech Bóg mu błogosławi... Nie, nie jestem tak dumna i delikatna.

– Ale ja jestem młoda, Rachel. A Arthur jest dzieckiem i będzie mu wszystko jedno.

– Mnie również. Nie jestem aż tak stara, bym nie mogła pomagać tym, których kocham jak swoje własne dzieci. Jednak jestem za stara, by żyć ze świadomością, że zostawiłam ich samych z ich kłopotami i niebezpieczeństwami, które im zagrażają. I za stara, by iść teraz pośród obcych.

– Wobec tego nie pójdziesz, Rachel! – zawołałam, obejmując ją. – Pojedziemy wszyscy razem i będziesz miała okazję się przekonać, czy odpowiada ci to nowe życie.

– Niech panią Bóg błogosławi! – wykrzyknęła Rachel, odwzajemniając moje czułości. – Kiedy tylko znajdziemy się poza murami tego przeklętego domu, wszystko będzie dobrze, zobaczy pani.

– Ja też tak myślę – brzmiała moja odpowiedź.

Tamtego ranka nakreśliłam kilka pospiesznych słów do Fredericka, prosząc go, by przygotował się na mój bezzwłoczny przyjazd i pokrótce wyjaśniając mu przyczyny swojej nagłej decyzji. Następnie zaś napisałam trzy listy pożegnalne, z których pierwszy zaadresowany był do Esther Hargrave. Informowałam ją w nim, że nie mogę już dalej żyć w Grassdale i że ponieważ sprawą najwyższej wagi jest to, by moje przyszłe miejsce zamieszkania pozostało tajemnicą dla mojego męża i jego znajomych, znał je będzie tylko mój brat. Przez jego osobę miałam nadzieję nadal kontaktować się ze swoimi przyjaciółmi i podawszy jej jego adres, poprosiłam, by jak najczęściej pisała, powtórzyłam kilka z udzielonych jej uprzednio rad i serdecznie się z nią pożegnałam. List do Milicent przypominał ten do jej siostry, choć jego ton, z uwagi na naszą dłuższą znajomość, był nieco bardziej poufaly.

Trzeci z listów skierowany był do mojej ciotki i napisanie go przysporzyło mi znacznie więcej trudności. Przedstawwszy jej powody, które skłoniły mnie do podjęcia tego niezwykłego kroku, przyznałam w końcu, że zdaję sobie sprawę z popełnionego przez siebie błędu. Nie skarżyłam się jednak na to, w jaki sposób zostałam zań ukarana i jedynie

wyraziłam żal, że jego konsekwencje dotkną także moich przyjaciół. Jej również nie zdradziłam, gdzie zamierzałam zamieszkać – tak by w razie konieczności ona i wuj mogli wyprzeć się jakiegokolwiek wiedzy na ten temat. Wyraziłam nadzieję, że oboje wybaczą mi to, co planowałam uczynić i prosiłam, by nie martwili się moim losem, bowiem skoro tylko bezpiecznie dotrę tam, gdzie zamierzam się ukryć, będę doskonale szczęśliwa.

Wszystko to wydarzyło się wczoraj. Całe dwa dni przeznaczyłam na przygotowania do wyjazdu – tak by dać Frederickowi więcej czasu i by Rachel mogła ostrożnie i dyskretnie spakować wszystkie nasze rzeczy. Ponieważ w portmonetce mam zaledwie kilka gwinei, nie stać mnie na to, by cokolwiek tutaj zostawić; a poza tym, jak zauważyła Rachel, pod moją nieobecność całe moje mienie najpewniej stałoby się własnością panny Myers, a do tego dopuścić nie chciałam.

Z jakim trudem przychodziło mi tymczasem zachowywanie należytych pozorów! Spotykając się z tamtymi dwojgiem, zmuszona byłam sprawiać wrażenie tak spokojnej i opanowanej, jak zawsze, a potem oddawać małego Arthura pod jej opiekę na długie godziny! Jakże spieszno mi było do chwili, w której wreszcie znajdziemy się w drodze! Dziś wieczorem, gdy skończyłam pomagać Rachel w przygotowaniach i nie pozostało mi już nic innego, jak tylko czekać, ogarnęło mnie tak wielkie poruszenie, że nie wiedziałam, co ze sobą począć. Zszedłszy zaś do jadalni na kolację, nie potrafiłam zmusić się do przełknięcia czegokolwiek, co nie uszło uwadze pana Huntingdona.

– A teraz co cię opętało? – zapytał.

– Źle się czuję i chyba będę musiała się położyć. Chyba nie będzie ci mnie brakowało?

– Ani trochę. Twoje puste krzesło nie będzie mi przeszkadzać – rzekł, a gdy wychodziłam dodał półgłosem: – Wręcz przeciwnie. Dzięki temu będę mógł sobie wyobrazić, że zamiast ciebie siedzi na nim ktoś inny.

„Już od jutra zaiste ktoś inny będzie mógł bez przeszkód na nim siadać” – odpowiedziałam mu w duchu.

A zamykając za sobą drzwi, wyszeptałam:

– Żegnaj! Mam nadzieję, że już nigdy więcej się nie zobaczymy.

Mały Arthur pogrążony jest teraz we śnie i w całym domu zalega głęboka cisza. Po zmierzchu nasze bagaże zostały dyskretnie zniesione przez Bensona na dół, a następnie załadowane na wóz, który zabrał je na stację dyliżansową w miejscowości M. Wszystkie opatrzone były etykietką z nazwiskiem Graham, którym zamierzam się odtąd posługiwać. To nazwisko panińskie mojej matki, więc sądzę, że mam do niego pewne prawo. W każdym razie swojego własnego nie odważę się powtórnie przyjąć.

Rozdział XLIV

Schronienie

24 października – Dzięki Bogu, nareszcie jestem wolna i bezpieczna! Wstaliśmy dziś wszyscy bardzo wczesnie rano i pospiesznie się ubrawszy, chyłkiem zesliśmy do holu, gdzie z lichtarzem w ręku czekał już na nas Benson, który miał zamknąć za nami drzwi. Ze względu na bagaże zmuszone byliśmy wtajemniczyć jednego ze służących w nasze plany, a ponieważ Benson był z nich najstarszy, najstateczniejszy i, co najważniejsze, serdecznie przyjaźnił się z Rachel, to właśnie jemu postanowiłam zaufać. Mam tylko głęboką nadzieję, że przysługa, jaką nam wyświadczył jemu samemu nie przysporzy kłopotów.

Gdy furtka w parkowej bramie zamykała się za nami, wypełniło mnie uczucie drżącej radości. Przystanąwszy na chwilę, by napełnić płuca chłodnym, orzeźwiającym powietrzem, spojrzałam za siebie na spowity mrokiem dom. Wokół panowała doskonała cisza, w żadnym z okien nie tliło się światło, z kominów nie wydobywał dym i nic nie przysłaniało gwiazd, które migotały ponad nami na zimowym niebie.

Żegnając się z tym miejscem na zawsze, rada byłam z tego, że czynię to dopiero teraz – kiedy nie mam już wątpliwości, iż podejmuję krok słuszny i w pełni uzasadniony i kiedy żadne skrupuły nie zakłócają mi tej radosnej chwili.

Zanim czerwona tarcza słońca pojawiła się na nieboskłonie, Grassdale znajdowało się już wiele mil za nami. Ale nawet gdyby któryś z okolicznych mieszkańców jakimś zrzędzeniem losu zauważył nas siedzących w rozpędzonym powozie, zapewne i tak nie zostalibyśmy rozpoznani. Ponieważ odtąd zamierzałam uchodzić za wdowę, koniecznym było, bym próg swojego nowego domu przestąpiła już w stroju żałobnym – miałam zatem na sobie prostą suknię z czarnego jedwabiu, czarną pelerynę, zaś moją twarz zakrywał czarny welon. Arthur odziany był w swoje najskromniejsze ubranie, a Rachel narzuciła na siebie szarą opończę z kapturem, która dni świetności miała już dawno za sobą i dzięki której wyglądała raczej niczym zwykła stara kobieta, niż pokojówka pani na włościach.

Jakże przyjemnie było móc jechać szeroką, rozświetloną drogą, trzymając swoje ukochane dziecko w ramionach i z wierną przyjaciółką siedzącą u mojego boku. Podmuchy lekkiego wiatru muskały moją twarz, wokół rozciągał się skąpany w promieniach poranka, nieznany krajobraz, a więzienie, w którym dotąd mieszkałam i rozpacz, którą tam zostawiłam oddalały się ode mnie z każdym uderzeniem końskiego kopyta.

Była to jednak bardzo długa podróż i nim dobiegła końca, wszyscy poczuliśmy się nią znużeni. Dopiero głęboką nocą nasz dyliżans dotarł do miasteczka L., choć stamtąd do pokonania mieliśmy jeszcze siedem mil. Niemal cała okolica pogrążona była już we śnie i z wielkim trudem udało nam się nająć zwykły wóz, którym przebyliśmy ostatni etap naszej podróży. Przemarznięci i zmęczeni, zmuszeni byliśmy siedzieć na naszych bagażach,

podczas gdy konie powoli ciągnęły nas za sobą po nierównych, wyboistych drogach biegnących przez pagórkowaty krajobraz. Arthur zasnął wreszcie na kolanach Rachel, ale wspólnymi siłami udało nam się go osłonić przed zimnem nocnego powietrza.

W pewnej chwili wóz wjechał w pnącą się stromo pod górę, kamienistą dróżkę, którą Rachel, pomimo otaczających nas ciemności, zaraz rozpoznała: dawniej często po niej spacerowała ze mną na rękach i wówczas nie przyszłoby jej do głowy, w jakich okolicznościach przyjdzie jej zobaczyć to miejsce ponownie. Trzeba nam było teraz zejść z wozu i pozostałą część drogi przejść pieszo. Ale co, jeśli Frederick nie otrzymał mojej wiadomości i zastaniemy dwór ciemny, przesiąknięty wilgocią i zimny? Bez czekającej na nas strawy, ognia trzaskającego w kominku i łóżek, w których moglibyśmy wypocząć po tym ciężkim dniu?

W końcu wyłoniła się przed nami posępna, mroczna sylwetka budynku. Znalazłszy się na tylnym dziedzińcu dworu, w napięciu rozejrzeliśmy się po otaczających nas murach. Czyżby cała budowla była ciemna i opustoszała? Nie, z jednego z okien sączyło się czerwone światło. Drzwi wejściowe były zamknięte, ale niebawem otworzyła je nam jakaś starsza kobieta, która – jak się okazało – miała opiekować się domem do naszego przybycia. Wprowadziwszy nas do przytulnego, niewielkiego pomieszczenia, które Frederick kazał był przekształcić w kuchnię, przyniosła nam światło, podsycała ogień w kominku i zabrała się za przygotowywanie dla nas skromnego posiłku, gdy tymczasem my, uwolniwszy się spod ciężaru naszego odzienia podróżnego, przyglądaliśmy się naszej nowej siedzibie. Poza kuchnię mieliśmy jeszcze do dyspozycji dwie sypialnie, okazałych rozmiarów salon oraz jedno mniejsze pomieszczenie, które już przeznaczyłam na swoją pracownię. Wszystkie pokoje umeblowane były tylko częściowo, głównie przedmiotami z ciężkiego, ciemnego dębu.

Starsza kobieta przyniosła nam kolację do salonu, mówiąc, że: „Pan przesyła wyrazy swojego uszanowania pani Graham i wszystko przygotował dla niej najlepiej jak umiał w tak krótkim czasie, ale pozwoli sobie zajrzeć do niej jutro, by zapytać, czy miałaby jeszcze jakieś życzenia”.

Z przyjemnością wspierałam się po surowych, kamiennych schodach do swojej sypialni, by wraz z moim małym Arthurem ułożyć się do snu na ponurym, staroświeckim łożu. Ale choć dziecko zasnęło w przeciągu minuty, mnie wzburzone emocje i niespokojne myśli nie pozwoliły zmrużyć oka aż do świtu. W końcu jednak przyszedł do mnie sen, a wraz z nim pokrzepienie. Przebudzenie było zaś niewypowiedzianie rozkoszne, bowiem mały Arthur obsypał mnie delikatnymi pocałunkami – a więc był tutaj razem ze mną, bezpieczny w moich ramionach i oddalony o wiele mil od swego niegodziwego ojca! Pokój wypełniało jasne światło dnia, gdyż słońce znajdowało się już wysoko na niebie, choć przysłaniały je przesuwające się nad ziemią kłęby jesiennej mgły.

Tegoż ranka zajrzał do nas mój brat i od tamtej pory widziałam się z nim już kilkakrotnie, aczkolwiek zmuszony jest on do zachowywania daleko posuniętej ostrożności, jako że o jego wizytach w Wildfell nie mogą wiedzieć nawet jego służący

i przyjaciele. Aby uniknąć plotek i nadmiernego zainteresowania moją osobą, inni muszą wierzyć, że nie jestem dla niego niczym więcej, jak lokatorką mieszkającą w jego domu.

Przebywamy tutaj od niemal dwóch tygodni i już zdążyłam się całkiem zadomowić. Frederick dostarczył mi wszystkich niezbędnych mebli i przyborów do malowania, a Rachel sprzedała w miasteczku większość moich starych ubrań i sprawiła mi trochę nowych. W naszym salonie stoi teraz używane pianino i przyzwoicie zaopatrzona biblioteczka, pracownia zaś już nabrała stosownego dla takiego pomieszczenia charakteru. Pragnąc zwrócić swemu bratu wszystkie koszty, na jakie go naraziłam, ciężko pracuję – nie oznacza to, że istnieje po temu prawdziwa konieczność, ale sprawia mi to przyjemność, a poza tym nie chcę, by ktokolwiek cierpiał skutki mojej dawnej nieroztropności – przynajmniej pod względem materialnym. Mam już kilka gotowych obrazów, bowiem przed wyjazdem poleciłam Rachel zapakować wszystko, co należało do mnie, a ona wywiązała się z owego polecenia aż nazbyt dobrze: pośród innych moich prac dotarł tu nawet razem z nami portret pana Huntingdona, który namalowałam w pierwszym roku naszego małżeństwa. Wyciągając obrazy ze skrzyni podróźnej, przeżyłam chwilę grozy, kiedy ni stąd, ni zowąd spoczęło na mnie drwiące spojrzenie mojego męża – jak gdyby upajał się tym, że wciąż ma władzę nad moim losem i szydził z mojej daremnej próby uwolnienia się od niego.

Zdaje się, że pan Huntingdon nie ustaje w wysiłkach, by mnie odszukać. Osobiście pojawił się w Staningley, licząc na to, że nawet jeśli nie zastanie tam swoich ofiar, to przynajmniej dowie się, gdzie się ukrywają. Wymyślił przy tym tyle zręcznych kłamstw, że wuj prawie we wszystko mu uwierzył i teraz usilnie namawia mnie do tego, bym wróciła do domu pojednać się z mężem. Ciotka jednakże jest mądrzejsza – zbyt dobrze zna charakter Huntingdona i mój własny, by mogła dać wiarę jakimkolwiek fałszywym zapewnieniom. Zresztą, on nie chce *mojego* powrotu do domu – pragnie tylko odzyskać dziecko. I dał moim krewnym do zrozumienia, że jeśli nie mam ochoty z nim mieszkać, to jest skłonny mi na to pozwolić, a nawet regularnie będzie wypłacał mi pensję, pod warunkiem, że natychmiast oddam mu syna. Ale ja nie zamierzam sprzedawać swojego dziecka, choćby groziła nam obojgu śmierć głodowa. Już lepiej, by umarło wraz ze mną, niż żyło u boku takiego ojca.

30 października – Niestety wygląda na to, że moi mili sąsiedzi nie dadzą mi spokoju. Jakimś sposobem mieszkające w okolicy rodziny dowiedziały się o mojej obecności tutaj i jak dotąd doczekałam się już trzech wizyt. Każdemu z moich gości mniej lub bardziej zależało na tym, by dowiedzieć się, kim jestem, skąd przybyłam i co skłoniło mnie do wybrania takiego, a nie innego miejsca na swoją siedzibę. Ich ciekawość irytuje mnie i napawa lękiem. Gdybym zgodziła się ją zaspokoić, tym samym mogłabym ściągnąć zgubę na swojego syna; gdybym zaś wydała im się zanadto tajemnicza, rozbudziłabym w nich podejrzenia i skłoniła do snucia rozmaitych domysłów, a powstałe w ten sposób na mój temat plotki zataczałyby coraz szersze kręgi, by być może wreszcie dotrzeć do uszu kogoś, kto powtórzyłby wszystko panu Grassdale Manor.

Wypadałoby mi owe wizyty odwzajemnić, ale jeśli okaże się, że sąsiedzi mieszkają zbyt daleko, bym mogła zabrać ze sobą Arthura, jeszcze długo będą musieli na mnie czekać. Nie potrafiłabym go zostawić, nie mając po temu ważnego powodu – być może to niedorzeczna słabość mojej duszy, ale nie opuszcza mnie lęk, że ktoś pod moją nieobecność mógłby mi go zabrać. W następną niedzielę zamierzam jednak wybrać się do kościoła, na kilka godzin powierzając dziecko opiece Rachel. Będzie to dla mnie ciężka próba, ale muszę się jej poddać, bowiem pastor podczas swojej wizyty zbeształ mnie za to, że zaniedbuję swoje religijne obowiązki. Nie mając dobrego pretekstu, którym mogłabym się wymówić i nie chcąc, by uznano mnie za poganę, obiecałam mu, że jeśli tylko Bóg pozwoli, na pewno stawię się na niedzielnym nabożeństwie.

3 listopada – Miałam okazję zawrzeć kilka innych znajomości. Najbardziej urodziwym z okolicznych dżentelmenów jest (przynajmniej w swoim własnym mniemaniu) pewien młody ziemianin...

* * *

To były już ostatnie słowa. Pozostałe kartki zostały przez nią wyrwane. Jakie to okrutne – w miejscu, w którym miałem się właśnie pojawić! Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że w dalszej części swego dziennika często wspominała o niżej podpisanym, choć zapewne w mało pochlebny sposób... Cóż! Teraz, kiedy wiedziałem, czego doświadczyła bez trudu potrafiłem wybaczyć jej tę niechęć do mnie i do całego męskiego rodu.

Od tamtej pory jednak dostrzegła, jak bardzo pomyliła się co do mojej osoby, jej negatywny stosunek do mnie uległ zmianie i być może nawet później stał się bliższy skrajności przeciwnej. I jeśli pierwszą część dalszego ciągu wyrwała z dziennika, nie chcąc dopuścić do tego, bym poczuł się zraniony, to drugą usunęła po to, by nie schlebić za bardzo mojej próżności. Ileż bym wówczas dał za możliwość przeczytania reszty jej wpisów – tak bardzo pragnąłem przekonać się, jak stopniowo zmieniały się jej uczucia względem mnie i jakie miejsce wśród owych uczuć zajmowało to najszlachetniejsze. Ale nie, nie miałem do tego prawa i dobrze się stało, że mi to uniemożliwiła.

Rozdział XLV

Pojednanie

A więc, Halfordzie, co o tym wszystkim myślisz? Czy potrafisz sobie wyobrazić, jakie uczucia towarzyszyły mi podczas lektury owego dziennika? Zapewne nie, ale sam też nie zamierzam się teraz nad nimi rozwodzić. Trzeba mi tylko przyznać się do czegoś, co być może źle świadczy o moim charakterze, ale czego wyprzeć się nie mogę. Otóż: druga część tej opowieści nie była dla mnie tak bolesna, jak pierwsza. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie współczułem pani Huntingdon gorzkich przeżyć, których nie szczędził jej los, jednak nie da się ukryć, że z rodzajem egoistycznej satysfakcji czytałem o tym, jak jej uczucie do męża stopniowo słabnie, by w końcu bezpowrotnie zgasnąć. I choć ubolewałem nad jej niedolą, a postępowanie tamtego napełniało mnie oburzeniem, lektura owych zapisków przyniosła ulgę mojej nieznośnie zgnębionej duszy i wypełniła moje serce radością – zupełnie jak gdyby jaki przyjaciel zbudził mnie ze straszliwego koszmaru.

Dochodziła już ósma rano i do tego czasu świeca zdążyła się już wypalić. Pozostało mi zatem albo pójść po nową, ryzykując tym, że zbudzę ze snu cały dom, albo udać się do łóżka i tam poczekać na światło dnia. Przez wzgląd na swą matkę, zdecydowałem się na to drugie – ale zapewne domyślasz się, z jaką niechęcią to uczyniłem i jak niewiele odpoczynku wówczas zaznałem.

Wraz z pojawieniem się pierwszych promieni słońca podniosłem się, by z zapalem pochłonąć pozostałą część lektury. Zapoznawszy się zaś z jej treścią do końca i uporawszy się z krótkotrwałym poczuciem zawodu, że wszystko urwało się tak raptownie, otworzyłem okno i wystawiłem głowę na zewnątrz, by poczuć na twarzy orzeźwiający chłód wiatru i nabrać w płuca czystego porannego powietrza. Zaczynał się piękny dzień: trawę przykrywała gruba warstwa na wpeł zamarzniętych kropel rosy, poranny chłód i promienie letniego słońca cudownie łączyły się ze sobą w atmosferze, wokół szczebiotały jaskółki i krakały gawrony, a z oddali dobiegało mnie muczenie krów. Ale co innego zajmowało teraz moje myśli. Patrząc nieobecny wzrokiem na wspaniałość roztaczającego się przede mną krajobrazu, w duszy walczyłem z bezlikiem sprzecznych myśli i uczuć. Wkrótce jednak ów wewnętrzny chaos się uspokoił, ustępując miejsca dwóm wyraźnie rysującym się emocjom. Pierwszą z nich była niewypowiedziana radość z tego, iż moja najdroższa Helen jest na wskroś taka, jak sobie tego życzyłem – tak czysta i nieskazitelna, jak południowe słońce, w które nie miałem odwagi spojrzeć. Drugą natomiast było poczucie wstydu i skruchy, jakim przepełniło mnie moje własne postępowanie.

Zaraz po śniadaniu pospieszyłem do Wildfell Hall. Choć Rachel od wczoraj bardzo urosła w mych oczach i gotowy byłem przywitać się z nią tak, jak ze starą przyjaciółką, nieufne spojrzenie, które posłała mi, otwierając drzwi, było niczym kubek zimnej wody wylany na

mą głowę. Przypuszczam, że stara panna wyznaczyła sobie rolę strażniczki honoru swej pani i niewątpliwie widziała we mnie kolejnego Hargrave'a, z tą różnicą, że ciesząc się większym szacunkiem i zaufaniem tamtej, jawiłem się jej jako ktoś bardziej niebezpieczny.

– Pani nie może dzisiaj nikogo przyjąć, sir. Jest niezdrowa – poinformowała mnie.

– Ale ja muszę się z nią zobaczyć, Rachel – powiedziałem, przytrzymując drzwi tak, by nie zostały mi zamknięte przed nosem.

– To niemożliwe, sir – odparła, a jej oblicze przybrało jeszcze bardziej lodowaty wyraz niż dotychczas.

– Bądźże tak dobra i zapowiedz mnie.

– To się na nic nie zda, panie Markham. Powiadam: jest niezdrowa.

W samą porę, uniemożliwiając mi popełnienie niestosowności polegającej na wtargnięciu na teren fortecy siłą, otwarły się jedne z wewnętrznych drzwi, a zaraz potem wyszedł zza nich Arthur w towarzystwie swego rozbrykanego psiego towarzysza zabaw. Chwyciwszy oburącz moją dłoń, z uśmiechem na ustach przeciągnął mnie przez próg.

– Mama prosi pana do środka, panie Markham – rzekł. – A ja mam wyjść do ogrodu pobawić się z Roverem.

Rachel, wzdychając, oddaliła się, a ja wszedłem do salonu i zamknąłem za sobą drzwi. Przed kominkiem stała wysoka, kształtna sylwetka kobiety zmagającej się z wieloma smutkami. Rzuciwszy dziennik na stół, spojrzałem jej w twarz. Była blada i zatroskana, a jej czyste, ciemne oczy wpatrywały w moje tak intensywnie, że poczułem się niczym pod wpływem jakiegoś czaru.

– Czy zaglądał pan do tego? – zapytała szeptem i czar przysł.

– Przeczytałem wszystko od początku do końca – odparłem, podchodząc bliżej. – I chciałbym wiedzieć, czy mi pani wybaczy – czy *będzie umiała* mi pani wybaczyć.

Nic nie odpowiedziała, ale jej spojrzenie się zaszklilo, a policzki nieco zaróżowiły. Kiedy się do niej zbliżyłem, odwróciła się gwałtownie i podeszła do okna. Byłem pewien jednak, że nie powoduje nią gniew, lecz jedynie próba zatuszowania swych emocji. Ośmieliłem się pójść za nią i przystanąć obok, choć ciągle milczałem. Wciąż na mnie nie patrząc, podała mi dłoń, po czym zapytała głosem, nad którym na próżno próbowała zapanować:

– Czy *pan* będzie umiał wybaczyć *mnie*?

Pomyślałem, że gdybym uniósł tę białą dłoń do swoich ust, ona mogłaby to uznać za nadużycie z mojej strony, zatem tylko delikatnie ją uścisnąłem i z uśmiechem odrzekłem:

– Nie przyjdzie mi to łatwo. Powinna była pani powiedzieć mi od razu. Nie robiąc tego, udowodniła tylko, że mi nie ufa...

– Och, nie! – zawołała, przerywając mi gwałtownie. – To bynajmniej nie to! To nie brak zaufania z mojej strony. Lecz gdybym wyjawiała panu cokolwiek ze swojej przeszłości, następnie, by usprawiedliwić swoje czyny, musiałabym zdradzić mu wszystko. I wzbraniałam się przed tym, dopóki nie zmusiły mnie do tego okoliczności. Czy wybaczy mi pan? Postąpiłam bardzo, bardzo źle – wiem o tym. Ale już zebrałam gorzkie owoce

swojego błędu – tak jak będę je zbierać do samego końca.

Głos jej zaiste przepelniony był goryczą, którą jednak w pewnym stopniu zagłuszał ton stanowczości, jakim wypowiadała owe słowa. Podniósłszy tym razem jej dłoń do swych ust, kilkakrotnie żarliwie ją ucałowałem, bowiem łzy nie pozwoliły mi odpowiedzieć w inny sposób. Nie opierała się owym czułościom z mojej strony i nie zdawała się nimi urażona. Lecz zaraz ruszyła z miejsca, by kilkakrotnie szybkim krokiem przemierzyć pokój. Przystając wreszcie przed pustym kominkiem, spojrzała na mnie i rzekła z wymuszonym spokojem:

– Za chwilę, Gilbercie, będzie pan musiał sobie pójść i *nigdy więcej* nie wolno panu tu wracać.

– Nigdy więcej, Helen? Właśnie teraz, gdy kocham panią bardziej niż kiedykolwiek dotąd?

– Z tego właśnie powodu – jeżeli to, co pan mówi jest prawdą – nie powinniśmy się już widywać. Tę rozmowę uznałam za konieczną – w każdym razie chciałam wierzyć, że jest konieczna – gdyż potrzebowaliśmy wybaczyć sobie nawzajem minione błędy. Ale kolejnego naszego spotkania nic nie usprawiedliwi. Skoro tylko będzie mnie stać na to, by poszukać sobie innego schronienia, wyjadę stąd. Nasza znajomość jednak już teraz musi się zakończyć.

– Zakończyć się! – powtórzyłem.

Podszedłszy do wysokiego, rzeźbionego kominka, zwiesiłem głowę, opierając się czołem o jego masywny gzyms.

– Nie wolno już panu tu przychodzić – mówiła dalej.

W jej głosie słychać było nieznaczne drżenie, ale całą jej postać przepelniał nieznośny spokój.

– Jestem pewna, że wie pan, dlaczego go o to proszę – ciągnęła. – I bez wątpienia rozumie pan, że lepiej będzie rozstać się od razu. To pożegnanie będzie dla mnie okrutnie trudne i powinien pan spróbować mi je ułatwić.

Zamilkła na chwilę, ale ja się nie odzywałem.

– Czy obieca mi pan, że nie będzie przychodził? Jeśli nie, zmuszona będę opuścić to miejsce od razu – choć nie wiem jeszcze, dokąd mogłabym się udać.

– Helen – odwróciłem się do niej z irytacją. – Nie potrafię mówić o naszym rozstaniu – rozstaniu na zawsze – z takim spokojem i obojętnością, jak pani. *Dla mnie* to nie tylko kwestia tego, co stosowne lub nie. *Dla mnie* to kwestia życia i śmierci!

Milczała. Jej blade usta drżały, drżały także jej palce, gdy nerwowo chwytła za łańcuszek, do którego przyczepiony był niewielki, złoty zegarek – jedyny wartościowy przedmiot, jaki pozwoliła sobie zatrzymać. To, co powiedziałem było krzywdzące i okrutne – ale musiałem dodać coś jeszcze okrutniejszego:

– Ależ Helen – zacząłem łagodnym, cichym głosem, nie śmiejąc podnieść na nią wzroku. – Tamten człowiek *nie jest* pani mężem: w oczach Nieba wyrzekł się wszelkich praw do...

Z nagłą gwałtownością złapała mnie za ramię.

– Gilbercie, *nie!* – zawołała tonem, który przeszłyby najbardziej zatwardziałe serce. – Na litość boską, proszę nie używać tego argumentu! Żaden demon nie mógłby mi zadać podobnych mąk!

– Dobrze już, nie będę tego robił – powiedziałem, delikatnie dotykając jej dłoni, równie bardzo zatrwożony jej wybuchem, co zawstydzony swym wykroczeniem.

– Zamiast zachować się jak prawdziwy przyjaciel – mówiła dalej, ruszając z miejsca i rzucając się na stary fotel – i zamiast mi pomóc mi w walce, którą zmuszona jestem prowadzić ze swoimi uczuciami, nie dość że każe mi pan samej nieść to brzemię, to jeszcze z całych sił walczy pan przeciw mnie – wiedząc, że ja... – zamilkła, chowając twarz w chusteczce.

– Proszę mi wybaczyć, Helen! – zaapelowałem. – Ani jednym słowem nie wspomnę już na ten temat. Ale czy nie moglibyśmy się spotykać jako przyjaciele?

– To do niczego dobrego nie doprowadzi – odparła, kręcąc ze smutkiem głową.

Po czym podniosła na mnie oczy, których wyraz zdawał się mówić: „Wiesz o tym tak samo, jak ja”.

– Więc *co poczniemy?* – zawołałem dziko. Ale zaraz spokojniejszym tonem dodałem: – Zrobię wszystko, czego będzie pani ode mnie chciała; tylko proszę *nie mówić*, że to spotkanie musi być naszym ostatnim.

– Dlaczego nie? Czy nie rozumie pan, że po każdym kolejnym naszym spotkaniu myśl o tym, że czeka nas nieuniknione rozstanie będzie dla nas bardziej bolesna? Czy nie czuje pan, że każda nasza rozmowa bardziej nas do siebie zbliża?

To ostatnie pytanie zadała pośpiesznie i zniżonym głosem, a jej spuszczone wzrok i płonący na policzku rumieniec dobitnie świadczyły o tym, że *ona* to czuła. Takie wyznanie z jej strony było nieroztropne i nieroztropnie postąpiła również, dodając jeszcze po chwili:

– Teraz wystarczy mi sił, by się z panem pożegnać; kolejnym razem mogłoby być inaczej...

Ja jednakże miałem w sobie na tyle przyzwoitości, by nie próbować wykorzystać jej szczerości i tylko zaproponowałem nieśmiało:

– Ale moglibyśmy do siebie pisać. Czy odmówi mi pani tego ostatniego pocieszenia?

– Mój brat mógłby przekazywać nam nowiny o sobie.

– Pani brat!

W tym miejscu poczułem nagłe ukłucie wstydu i skruchy. Nie dotarła do niej jeszcze wieść o obrażeniach, jakich doznał on z moich rąk. Lecz nie miałem odwagi jej o tym powiedzieć.

– Pani brat nam nie pomoże – rzekłem. – Zapewne wolałby, by wszelkie stosunki pomiędzy nami całkowicie ustały.

– I jak sądzę, całkiem słusznie. Jako nasz wspólny przyjaciel życzyłby nam obojgu jak najlepiej. A każdy przyjaciel powiedziałby nam, że choć być może sami tego nie dostrzegamy, w naszym dobrze pojętym interesie leży zapomnieć o sobie nawzajem. Ale proszę się nie obawiać, Gilbercie – dodała ze smutnym uśmiechem. – Istnieją nikłe szanse

na to, że o panu zapomnę. Jednak nie chciałam powiedzieć, że moglibyśmy się komunikować za pośrednictwem Fredericka – tylko to, że dzięki niemu wiedzielibyśmy, jak nam się żyje. To i tak za dużo, bo jest pan młody, Gilbercie, i powinien się kiedyś ożenić – i pewnego dnia uczyni to pan, choć być może teraz wydaje się to panu niemożliwe. I mimo że sama nie mogę powiedzieć, że pragnę, by pan o mnie zapomniał, wiem, że powinien pan.

– Pani także jest młoda – odrzekłam zuchwale. – I kiedy tamten rozpustny łajdak dokona już swojego podłego żywota, odda mi pani swoją rękę. Będę na to czekał.

Ale ona zabrała mi i to pocieszenie.

– Pomijając to, jak niemoralne z naszej strony byłoby wyczekiwanie z nadzieją na śmierć pana Huntingdona, trzeba pamiętać, że wielu ludzi o podobnych zwyczajach dożywa podeszłego wieku. Poza tym, choć jestem młoda w latach, moja dusza jest stara od smutków. I nawet jeśli troski nie zabiją mnie wcześniej niż jego zabije grzech, proszę pomyśleć: czy chciałby pan żyć jeszcze zapewne dziesiątki lat w ciągłej niepewności i napięciu, by w końcu poślubić tę zwiędłą i zniszczoną kobietę, którą wówczas będę? Nie, nie chciałby pan i nie powinien chcieć – stwierdziła, przerywając mi w pół słowa, gdy począł gorliwie zapewniać ją o stałości swoich uczuć. – Proszę mi wierzyć, Gilbercie. W tej kwestii jestem od pana mądrzejsza. Uważa mnie pan za zimną i bezduszną, i ma pan do tego pełne prawo, ale...

– To nieprawda, Helen.

– Dobrze już, mniejsza o to. W każdym razie w swoim samotnym życiu mam wiele czasu na rozważania. I musi pan wiedzieć, że w przeciwieństwie do pana, tego, co teraz powiedziałam nie powiedziałam bynajmniej pod wpływem chwili. Zamiast zawierzać swoim uczuciom, proszę zaufać moim słowom, a za kilka lat przekona się pan, że miałam rację. Choć w chwili obecnej sama prawie w to powątpiewam... – wyszeptła, z westchnieniem opierając głowę na dłoni. – I proszę nie próbować przekonywać mnie kolejnymi argumentami. Wszystko, co mógłby pan powiedzieć, powiedziało mi już moje serce, a mój rozum odrzucił. Przeżyłam już wystarczające męki, walcząc z podszeptami swojej duszy, a teraz, kiedy to samo słyszę z pańskich ust... Jestem pewna, że gdyby wiedział pan, jak cierpię i jakich uczuć doświadczam w tej chwili, postarałby się pan mi pomóc i natychmiast przestał...

– Za chwilę sobie pójdę, jeśli *to* przyniesie pani ulgę. I nigdy nie wrócę! – powiedziałem z rozgoryczeniem. – Ale skoro być może już więcej się nie spotkamy, czy zbrodnią byłoby, gdybyśmy do siebie pisali? Czy bratnie dusze nie mogą ze sobą obcować poza swymi ziemskimi ciałami?

– Ależ mogą, mogą! – zawołała w nagłym przypływie chwilowego entuzjazmu. – Ja również o tym myślałam, Gilbercie, ale nie chciałam o tym wspominać, obawiając się, że nie zrozumie pan, co mam na myśli. I obawiam się tego nawet teraz. Obawiam się, że każdy życzliwy przyjaciel powiedziałby nam, że oboje się oszukujemy – że nie uda nam się podtrzymać kontaktu duchowego, nie mając nadziei na coś więcej...

– Mniejsza o naszych życzliwych przyjaciół: wystarczy, że rozdzielają nasze ciała. Na Boga, niechże nie rozdzielają także naszych dusz! – zawołałem zdjęty lękiem, że uzna ona za swój obowiązek odmówić nam tego ostatniego pocieszenia.

– Ale trzeba nam pamiętać, że każdy list, którym byśmy się wymienili stałby się powodem plotek – powiedziała. – Zdecydowałam, że wyjeżdżając stąd, nie zdradzę ani panu, ani nikomu innemu swojego nowego miejsca zamieszkania. Nie dlatego, że nie uwierzyłabym panu, gdyby obiecał mnie nie odwiedzać. Jednak nie wiedząc, gdzie jestem, żyłby pan w większym spokoju. Ale proszę posłuchać – uśmiechając się, podniosła palec, by powstrzymać mnie przed udzieleniem odpowiedzi, która cisnęła mi się na usta. – Za pół roku dowie się pan od Fredericka, gdzie mieszkam. I jeżeli wciąż żywił pan będzie chęć pisania do mnie i jeśli wystarczą panu nasze kontakty na poziomie duchowym – takie, jakie mogłyby ze sobą utrzymywać dwie pozbawione ciał dusze – proszę do mnie wtedy napisać, a ja panu odpowiem.

– Za pół roku!

– Tak, dzięki temu pańska obecna namiętność będzie miała czas ostygnąć, a pan przekonać się, czy miłość jego duszy dla mojej jest stała. Dobrze, dość już zostało między nami powiedziane... Dlaczego nie potrafimy się rozstać od razu! – wykrzyknęła niemal dziko.

Wiedziałem, że powinienem natychmiast sobie pójść, wyciągnąłem więc do niej dłoń na pożegnanie. Ale myśl o tym, że rozstajemy się na zawsze była nie do zniesienia; zdawało mi się, że z mojego serca ktoś wycisnął całą krew i nie potrafiłem oderwać stóp od podłogi.

– Nigdy więcej nie wolno nam się spotkać? – wyszeptalem.

– Nie zapominajmy o tym, że spotkamy się w Niebie – rzekła spokojnie, ale jej oczy błyszczały łzami, a twarz jej była śmiertelnie blada.

– Ale inni niż jesteśmy teraz. To, że następnym razem zobaczę panią jako bezcielesnego ducha jest dla mnie nikłym pocieszeniem. Pani serce być może w ogóle mnie nie rozpozna!

– Nie, Gilbercie, w Niebie istnieje miłość doskonała!

– Tak doskonała zapewne, że nikogo nie wyróżnia. Będę dla pani zaledwie jedną z bezliku żyjących wokół niej dusz.

– Niezależnie od tego, jaka wówczas będę, pan będzie taki sam, więc nie będzie mógł niczego żałować. I bez względu na to, jak się zmienimy, zmienimy się na lepsze.

– Ale jeśli owa zmiana miałaby oznaczać, że przestałbym uwielbiać panią całym swoim sercem i duszą i kochać ją bardziej niż jakąkolwiek inną istotę, wówczas nie byłbym już sobą. I moje doczesne, ludzkie jestestwo nie potrafi cieszyć się perspektywą Nieba, skoro mam być tam pozbawiony swojej największej radości.

– A więc *cała* pańska miłość jest doczesna?

– Nie. Lecz podejrzewam, że w życiu wiecznym łącząca nas więź nie będzie się niczym różnić od więzi łączącej nas z innymi.

– Ależ nie dlatego, że nasze uczucia do siebie osłabną – tylko dlatego, że innych

będziemy kochać bardziej. Kiedy miłość jest wzajemna i czysta, im jest jej więcej, tym więcej jest też szczęścia.

– Ale czy pani, Helen, potrafi z radością myśleć o tym, że straci mnie w tym morzu szczęścia?

– Przyznaję, nie potrafię. Jednak nie mamy pewności, czy tak się naprawdę stanie. Wiem tylko tyle, że kiedyś przyjdzie nam zamienić nasze ziemskie przyjemności na niebiańską radość i próżnym byłoby teraz nad tym wszystkim ubolewać. To tak, jak gdyby gąsienica skarżyła się na to, że pewnego dnia będzie musiała opuścić swój nadgryziony liść i trzepocząc skrzydełkami, unieść się w powietrze, by potem, do woli fruwać nad ogrodem, spijać z kielichów kwiatów słodki nektar lub przysiadłszy na jakimś płatku, wygrzewać się na słońcu. A jeśli to porównanie nie przemówiło do pańskiej wyobraźni, oto następne: jesteśmy teraz niczym dzieci – czujemy tak, jak one i tak, jak one rozumiemy. I kiedy mówi nam się, że dorośli nie bawią się zabawkami i że nasi towarzysze zabaw pewnego dnia znużą się zajęciami, które teraz tak bardzo je pochłaniają, zasmuca nas to. Lecz tylko z tej przyczyny, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak nasze umysły w przyszłości rozszerzą się i uwznioślą i jak błahe będą nam się wydawały nasze obecne przyjemności. Ale Gilbercie, czy doprawdy nie potrafi pan znaleźć żadnego pocieszenia w myśli, że być może spotkamy się w miejscu, w którym nie ma bólu i cierpienia, gdzie dusza nie musi już walczyć z grzesznym ciałem, gdzie oboje poznamy te same doskonałe prawdy i pić będziemy ze źródła najwyższego szczęścia i dobroci – w obecności Tego, którego będziemy czcić z jednakową żarliwością? Jeśli nie potrafi pan, proszę nigdy do mnie nie pisać!

– Helen, będę potrafił, pod warunkiem, że moja wiara nigdy mnie nie zawiedzie.

– A więc teraz, kiedy wzmacnia nas ta sama nadzieja...

– Trzeba nam się rozstać! – zawołałem. – Nie będę już narażał pani na ból i natychmiast sobie pójdę, ale...

Nie musiałem wypowiadać swojej prośby na głos. Wszystko zrozumiała bez słów i *tym razem* się zgodziła – a raczej na nic nie musiała się zgadzać: przez każde z nas przebiegł ten sam impuls, któremu nie podobna było się oprzeć. W jednej chwili stałem, zaglądając jej w oczy, w drugiej zaś przyciskałem ją sobie do piersi. I gdy trwaliśmy tak w tym uścisku, zdawało mi się, że żadna siła nie zdoła nas rozdzielić. Ona wyszeptała: „Niech Bóg pana błogosławi” oraz: „Proszę iść!”, ale wypowiadając owe słowa, obejmowała mnie tak mocno, że nie umiałem jej usłuchać. W końcu jednakże, jakimś heroicznym wysiłkiem udało nam się od siebie oderwać i zaraz ruszyłem do wyjścia.

Jak przez mgłę pamiętam, że zobaczywszy małego Arthura biegnącego ku mnie ogrodową alejką, jednym susem przesadziłem mur, by uniknąć z nim spotkania i że później pędziłem w dół stromego zbocza, przeskakując przez wszystkie kamienne ogrodzenia i żywopłoty, które znalazły się na mojej drodze i nie zwalniając kroku dopóty, dopóki stary dwór nie znajdował się już daleko za mną. Następnie zaś spędziłem długie godziny, błąkając się po odludnej dolinie, roniąc gorzkie łzy i oddając się bolesnym rozmyślaniom.

Jak się zapewne domyślasz, Halfordzie, tego dnia niewiele czasu poświęciłem swym obowiązkom gospodarskim. Farmę zostawiłem w rękach robotników, a robotników zostawiłem samym sobie. Jednakże istniała jedna sprawa, którą koniecznie musiałem się zająć. Wciąż pamiętając o swojej napaści na Fredericka Lawrence'a, uznałem, że trzeba mi się do niego wybrać i poprosić, by mi wybaczył. Najchętniej poczekałbym z tym do jutra – jednak co, jeśli w międzyczasie opowie on o wszystkim swojej siostrze? Nie, musiałem uczynić to jeszcze dzisiaj.

Gdy dotarłem do Woodford Hall – siedziby owego młodego dziedzica, służący, który otworzył mi drzwi, zauważył, że jego pan jest bardzo chory, po czym wyraził wątpliwość, czy będzie w stanie mnie przyjąć.

– Nie zajmę mu wiele czasu – powiedziałem. – Potrzebuję tylko chwili, ale przychodzę w bardzo ważnej sprawie.

– Przekażę mu, sir – odrzekł tamten.

Idąc za nim przez hol, zbliżyłem się niemal do drzwi apartamentu jego pana, który – jak się zdawało – nie leżał w łóżku. Wróciwszy po chwili, służący oznajmił, że pan Lawrence prosi mnie, ażebym zostawił dla niego wiadomość, bowiem teraz nie może mnie przyjąć.

– Jeżeli zdołał przyjąć ciebie, to mnie również zdoła – odparłem, wymijając zdumionego lokaja.

Zastukawszy śmiało w drzwi, przeszedłem przez nie i zamknąłem za sobą. Pomieszczenie było przestronne i urządzone z przepychem. W gustownym palenisku płonął czerwony ogień, na miękkim dywaniku przed kominkiem wygrzewał się stary chart, a obok sofy siedział piękny, młody spaniel, który smutnym wzrokiem zaglądał w twarz swojego pana. Sam chory przedstawiał sobą nader interesujący widok: odziany był w elegancki szlafrok, czoło przewiązane miał jedwabną chustką, a jego zazwyczaj blade oblicze było teraz rozpalone. Gdy wchodziłem do środka, oczy miał przymknięte, ale zdawszy sobie sprawę z mojej obecności, zaraz otworzył je szeroko i w zaskoczeniu upuścił książkę, którą trzymał w przewieszonej przez oparcie sofy dłoni. Ruszając przez pokój, zbliżyłem się doń, na co on uniósł się na poduszkach i spojrzał na mnie wzrokiem, w którym w równych proporcjach mieszały się ze sobą lęk, gniew i zdumienie.

– Panie Markham, nigdy bym się tego nie spodziewał! – rzekł, a jego twarz pobladła.

– Wiem o tym – odpowiedziałem. – Ale proszę pozwolić mi wyjaśnić, po co przyszedłem.

Niewiele myśląc, uczyniłem jeszcze krok lub dwa naprzód, na co on drgnął z przestraszeniem. Widząc to, cofnąłem się nieznacznie.

– Tylko proszę mówić szybko, bo inaczej zmuszony będę wezwać pomoc. Jestem zbyt słaby, by znosić ataki z pańskiej strony – czy nawet samą pańską obecność tutaj.

Jak gdyby na potwierdzenie tych słów, jego białe czoło pokryło się kropelkami potu.

Takie powitanie bynajmniej nie ułatwiło mi mojego niewdzięcznego zadania. Trzeba mi było jednak doprowadzić tę sprawę do końca, zatem od razu, choć nieudolnie, przeszedłem do rzeczy.

– Prawda jest taka, Lawrence – zacząłem – że ostatnio, a zwłaszcza podczas naszego ostatniego spotkania, moje zachowanie względem pana było niewłaściwe. I mówiąc krótko, przyszedłem tutaj po to, by wyrazić swój żal i poprosić o wybaczenie... Jeśli nie zechce pan darować mi win – dodałem szybko, widząc grymas, który pojawił się na jego twarzy – to trudno... Najważniejsze, że uczyniłem to, co do mnie należało.

– Jakże łatwo to panu przyszło – odparł, uśmiechając się drwiąco. – Wpierw bez żadnego powodu brutalnie napada pan na swego przyjaciela, a następnie przyznaje, że postąpił źle, choć zaznacza pan jednak przy tym, że nie zależy mu, by ów przyjaciel mu wybaczył.

– Zapomniałem powiedzieć, że tamto zdarzenie było rezultatem omyłki – mruknąłem. – Wchodząc tutaj, zamierzałem wygłosić podniosłą mowę, ale zirytował mnie pan swoją... Cóż, podejrzewam, że to moja wina. Nie wiedziałem, że jest pan bratem pani Graham, a to, co usłyszałem od innych na temat pańskiego postępowania wobec niej wzbudziło we mnie nieprzyjemne podejrzenia – swoją drogą, nieco szczerości i zaufania z pańskiej strony mogłoby temu zapobiec... Poza tym przypadkiem usłyszałem też fragment waszej rozmowy, który kazał mi myśleć, że mam prawo pana nienawidzić.

– W jaki sposób dowiedział się pan, że jestem jej bratem? – zapytał z niepokojem.

– Wyjawiała mi to sama pani Graham. O wszystkim mi powiedziała – ona wiedziała, że zasługuję na zaufanie. Lecz proszę się nie niepokoić, panie Lawrence – dziś widziałem się z nią po raz ostatni.

– Po raz ostatni! Czy to oznacza, że wyjechała?

– Nie, ale pożegnała się ze mną na zawsze, a ja obiecałem jej, że dopóki będzie mieszkała w Wildfell Hall, nie pojawię się w okolicy.

Mówiąc to, zacisnąłem pięści i z trudem stłumiłem w sobie jęk rozpacz. Mój towarzysz jednakże sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Postąpił pan słusznie! – rzekł tonem absolutnej aprobaty i niemal się rozpromienił. – Jeśli zaś chodzi o tamtą omyłkę, jest mi bardzo przykro, że do niej doszło. Ale być może będzie potrafił pan wybaczyć mi mój brak otwartości, jeśli przypomni pan sobie, jak niewiele powodów do przyjacielskich zwierzeń dawał mi pan ostatnio.

– Tak, tak, pamiętam. I nie mógłbym już bardziej żałować tamtej – jak pan to słusznie ujął – *brutalnej* napaści z mojej strony.

– Mniejsza o to – rzekł, uśmiechając się nieznacznie. – Wybaczymy sobie nawzajem wszystkie nieprzyjemne słowa i czyny i zapomnijmy o całej sprawie. Czy zgodzi się pan uścisnąć mi rękę?

Gdy wyciągał ją do mnie, drżała z osłabienia. Uściskawszy ją serdecznie, zauważyłem:

– Jest rozpalona, Lawrence. Zaiste jest pan chory, a ja na dodatek zamęczam pana rozmową.

– Och, to nic takiego. Zwykłe przeziębienie, którego nabawiłem się od deszczu.

– To również moje dzieło.

– Zapomnijmy już o tym. Ale proszę mi powiedzieć: czy wspominał pan o tej sprawie

mojej siostrze?

– Prawdę mówiąc, nie miałem odwagi. Ale gdy pan będzie z nią na ten temat rozmawiał... czy mógłby jej pan powiedzieć, że głęboko żałuję i...

– Och, bez obaw! O ile będzie się pan trzymał od niej z daleka, nie powiem o panu złego słowa. Zatem nie dotarły do niej żadne wieści o mojej chorobie?

– Nie sądzę.

– Rad jestem z tego. Dotąd nieustannie dręczyła mnie obawa, czy aby ktoś nie powie jej, że jestem bardzo chory albo nawet umierający. Mogłaby wówczas zdecydować się mnie odwiedzić, a to byłoby szaleństwo. Muszę znaleźć sposób na to, by się z nią skontaktować, zanim dotrą do niej plotki. Wiem, że wielu chętnie przekazałoby jej tę nowinę tylko po to, by zobaczyć, jak ją przyjmie.

– Żałuję, że niczego jej nie powiedziałem – rzekłem. – Gdyby nie obietnica, którą złożyłem, zrobiłbym to teraz.

– W żadnym wypadku! Nie śniłoby mi się nawet o coś takiego pana prosić. Ale gdybym teraz skreślił do niej kilka słów – nie wspominając w ogóle o panu, Markham, tylko pokrótce informując ją o swojej chorobie i adresując list zmienionym charakterem pisma – czy wyświadczyłby mi pan tę uprzejmość i zostawił go na poczcie? W tej kwestii nie mogę zaufać żadnemu ze swoich służących.

Skwapliwie się zgodziłem, a kiedy list był już napisany, uznałem, że pora się pożegnać. Zanim to jednak uczyniłem, zapytałem jeszcze, czy istnieje coś, co mógłbym dla niego zrobić i czy mógłbym w jakiś sposób naprawić wyrządzoną mu krzywdę.

– Nie – odparł. – Uczynił pan już wystarczająco dużo. Nawet najbardziej utalentowany lekarz przyniósłby mi takiej ulgi, jaką przyniosła mi pańska wizyta. Zdjął pan z mojego serca dwa ciężary – ciężar niepokoju o moją siostrę oraz ciężar żalu, jakim przepełniało mnie to, co się między nami dwoma wydarzyło. Proszę pana jedynie o to, by od czasu do czasu mnie odwiedzał, bowiem, jak pan widzi, jestem tutaj bardzo samotny.

Zapewniwszy go, że będę do niego zaglądał, pożegnałem się z nim serdecznym uściskiem ręki i odszedłem. W drodze zaś powrotnej do domu nadałem na pocztę jego list, heroicznie walcząc z pokusą, by pod ten sam adres wysłać kilka słów od siebie.

Rozdział XLVI

Życzliwe rady

Z początku niekiedy odczuwałem silną pokusę, ażeby wyjaśnić matce i siostrze, kim tak naprawdę jest lokatorka Wildfell Hall i w jakiej sytuacji życiowej przyszło jej się znaleźć, lecz nie mogłem tego uczynić bez zgody samej zainteresowanej. Po głębokim namyśle doszedłem zresztą do wniosku, że gdyby moje krewne zostały dopuszczone do tajemnicy, wkrótce o wszystkim dowiedzieliby się również i Millwardowie, i Wilsonowie. A znając usposobienie Elizy Millward, miałem powody obawiać się, że skoro tylko pozna klucz do zagadki, zacznie szukać sposobu na skontaktowanie się z panem Huntingdonem, by powiadomić go, gdzie przebywa jego żona. Zamierzałem zatem najpierw cierpliwie przeczekać tych sześć długich miesięcy, a potem – gdy poszukiwana znalazłaby już dla siebie nowe schronienie i pozwoliła mi do siebie pisać – poprosić ją, by pozwoliła mi oczyścić swoje imię z wszelkich podłych zarzutów. Jak na razie musiałem zadowolić się zapewnianiem innych o tym, że sam znam prawdę i że pewnego dnia będę mógł jej dowieść – ku hańbie tych, którzy ośmielali się rzucać na panią Graham oszczerstwa. Nie sądzę, by ktoś dawał wiarę moim słowom, jednak wszyscy wkrótce zrozumieli, że w mojej obecności lepiej nie czynić pod jej adresem żadnych insynuacji czy choćby o niej wspominać. W międzyczasie moje usposobienie stało się doskonale ponure i mizantropijne, co nad wyraz martwiło moją nieszczęsną matkę. Rose i Fergus zazwyczaj mnie unikali – i całkiem słusznie, gdyż w obecnych okolicznościach nie mogliśmy stanowić dla siebie wzajem dobrego towarzystwa.

Pani Huntingdon przebywała w Wildfell Hall jeszcze dwa miesiące po naszej pożegnalnej rozmowie. W owym czasie ani razu nie pojawiła się w kościele, a ja ani razu nie znalazłem się w pobliżu dworu – o tym, że wciąż w nim mieszka wiedziałem dzięki jej bratu, choć ten za każdym razem, gdy gorączkowo wypytywałem go o siostrę, udzielał mi tylko zdawkowej odpowiedzi. W okresie jego choroby i późniejszej rekonwalescencji byłem częstym gościem w jego domu. Nie kierowała mną jedynie chęć poprawienia mu humoru i zadośćuczynienia za swą „brutalną napaść”, lecz również stale rosnąca we mnie sympatia do jego osoby i autentyczna przyjemność, jaką sprawiało mi przebywanie w jego towarzystwie – częściowo przez wzgląd na niego samego, ale przede wszystkim z powodu jego bliskiego pokrewieństwa z moją najdroższą Helen.

Lawrence wracał do zdrowia dłużej niż przewidywał: dopiero dwa tygodnie po naszym pojednaniu był w stanie dosiąść swojego kucyka, a pierwszą rzeczą, na którą spożytkował swoje powracające siły była nocna wyprawa do Wildfell Hall. Zarówno dla niego, jak i dla jego siostry wizyta ta była niebezpiecznym przedsięwzięciem, uznał jednak, że trzeba mu zaryzykować, bowiem należało przedyskutować z Helen szczegóły planowanego przez nią

wyjazdu, a także uspokoić ją co do stanu jego zdrowia. Skutkiem tego wszystkiego był nieznaczny nawrót choroby. Jak sądzę, początkowo nie zamierzał mi w ogóle wspominać o swojej wizycie w Wildfell Hall, gdyż kiedy następnego dnia, wstąpiwszy do niego, zwróciłem uwagę na to, że wygląda gorzej niż przedtem, odpowiedział jedynie, że zaszkodziło mu chłodne, wieczorne powietrze.

– Musi pan na siebie uważać; inaczej bowiem nigdy nie zdoła się zobaczyć ze swoją siostrą – zauważyłem z niejaką irytacją.

– Już się z nią widziałem – odparł cicho.

– Już się pan z nią widział! – powtórzyłem zaskoczony.

– Tak – potwierdził, po czym wyłuszczył mi powody, które skłoniły go do podjęcia tego ryzykownego kroku.

– I co u niej? – zapytałem niecierpliwie.

– Wszystko jak dawniej – brzmiała jego lakoniczna odpowiedź, a ton jego głosu zdradzał smutek.

– Jak dawniej, czyli wciąż jest nieszczęśliwa i słaba.

– Nie jest chora fizycznie – odparł. – A jej dusza też niebawem ozdowieje, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jednak próby, których nie szczędził jej los zbyt wiele ją kosztowały... Te chmury nie zapowiadają niczego dobrego – dodał, odwracając się do okna. – Nim zaczniesz się wieczór, nadciągnie burza. A moje zboże jeszcze nie w stodole.

– Lawrence, czy pańska siostra... czy wspominała o mnie?

– Pytała mnie, czy widywałem się z panem ostatnio.

– A czy mówiła coś jeszcze?

– Nie mogę panu powtórzyć wszystkiego – odparł, delikatnie się uśmiechając. – Choć moja wizyta była bardzo krótka, wiele dyskutowaliśmy – ale głównie o planowanym przez nią wyjeździe. Starłem się ją przekonać, by poczekała z tym do czasu, aż wrócą mi siły i będę w stanie pomóc jej w poszukiwaniach nowego lokum.

– O mnie już więcej nie wspominała?

– Na pański temat nie mówiła wiele, Markham. Zadała mi tylko kilka pytań i zdawała się być całkiem usatysfakcjonowana moimi krótkimi odpowiedziami – pod tym względem jest zdecydowanie mądrzejsza od mojego przyjaciela. I raczej sprawiała wrażenie bardziej zaniepokojonej tym, że mógłby pan o niej zbyt dużo myśleć niż tym, że mógłby pan o niej nie myśleć w ogóle. Jednak boję się, że w pańskim przypadku może być odwrotnie.

– Ależ nie. Choć nie chciałbym, by zupełnie o mnie zapomniała, pragnę jej szczęścia. Pani Huntingdon dobrze wie, że nie potrafiłbym o niej zapomnieć i miała rację, życząc mi, bym nazbyt często o niej nie myślał. Nie sądzę, by sama o mnie wiele myślała – wiem, że nie zasłużyłem sobie na to.

– Żadne z was nie zasłużyło sobie na to, by żyć ze złamanym sercem. Uczucia, jakie moje siostra żywi do pana są równie żywe, co pańskie i, jak mi się zdaje, bardziej stałe, ale ma ona więcej rozsądku i siły ducha od pana, by z nimi walczyć. I wierzę, że nie spocznie, dopóki całkowicie nie uwolni się... – w tym miejscu Lawrence zawałał się.

– Ode mnie?

– I życzyłbym sobie, by podjął pan podobne starania – ciągnął dalej.

– Czy powiedziała panu, że ma taki zamiar?

– Nie, nie poruszaliśmy tej kwestii. Nie było po temu potrzeby, gdyż wiem ponad wszelką wątpliwość, że bardzo jej na tym zależy.

– By o mnie zapomnieć?

– Tak, Markham! Dlaczego nie?

– Och, cóż...

Niczego więcej na głos nie powiedziałem, ale w duchu zaraz dodałem: „Nie, Lawrence, tutaj się mylisz – nie zależy jej na tym, by o mnie zapomnieć. Błędem z jej strony byłoby zapomnienie o kimś, kto jest jej tak bardzo oddany, kto tak doskonale potrafi docenić wszystkie jej zalety i zrozumieć wszystkie jej myśli”.

Postanawiając porzucić ten temat, skierowałem rozmowę na inne tory, a wkrótce potem – w sposób mniej serdeczny niż zazwyczaj – pożegnałem się ze swym towarzyszem. Być może nie miałem prawa się na niego gniewać, ale tak czy inaczej, czułem do niego żal.

Ponownie spotkaliśmy się nieco ponad tydzień później, gdy wracał z wizyty u Wilsonów. Tym razem postanowiłem, że to ja oddam *jemu* przysługę, choć być może kosztem zranienia jego uczuć i narażając się na nieprzyjemności, które zazwyczaj dotyczą tego, kto przynosi złe nowiny lub nie będąc o to poproszonym udziela innym rad. Wierz mi, Halfordzie, nie kierowała mną chęć zemsty za sporadyczne przykrości, które spotykały mnie ostatnimi czasy z jego strony. Nie powodowała mną też nienawiść do panny Wilson – nie chciałem jedynie dopuścić do tego, by taka kobieta stała się siostrą pani Huntingdon i by Lawrence, skłoniony podstępem, związał całe swoje życie z kimś, kto jest go tak niegodny. Domyślałem się, że z początku sam żywił wobec owej damy pewne podejrzenia, jednak jego brak doświadczenia oraz jej urok i zręczność, z jaką potrafiła zapanować nad jego młodą wyobraźnią sprawiły, że stracił czujność.

– Był pan z wizytą u Wilsonów, Lawrence? – zapytałem, przystając obok jego kucyka.

– Tak. Uznałem, że przy pierwszej nadarzającej się okazji powinienem podziękować im za życzliwość, jaką mi okazali. Gdy chorowałem, często i troskliwie się o mnie dowiadywali.

– To dzięki panie Wilson.

– Nawet jeśli to prawda – odparł, bardzo wyraźnie się rumieniąc – czy z tego powodu nie powinienem być wyznawać im swojej wdzięczności?

– Z tego powodu powinien pan powstrzymać się od wyznania, na które ona tak niecierpliwie czeka.

– Proszę, porzućmy już ten temat – powiedział zirytowany.

– Nie, Lawrence, pozwól pan, że dodam coś jeszcze – coś, w co być może pan nie uwierzy, ale proszę pamiętać: nie mam skłonności do konfabulacji i w tym przypadku nie mam też powodu, by kłamać...

– A więc? Oco chodzi, Markham?

– Panna Wilson *nienawidzi* pańskiej siostry. Być może to naturalne, że w swojej niewiedzy na temat łączącego was pokrewieństwa i uważając panią Huntingdon za swoją rywalkę, czuje do niej niechęć, ale podłość i zła wola, jaką w niej zaobserwowałem są niegodne kobiety.

– Markham!!!

– Tak. I jestem przekonany, że nawet jeśli to nie ona i Eliza Millward zapoczątkowały owe oszczercze pogłoski, to obydwie w zasadniczy sposób przyczyniły się do ich rozpowszechnienia. Pannie Wilson, rzecz jasna, nie zależy na tym, by przedstawić w niekorzystnym świetle *pana*, ale z lubością oczerniała i wciąż oczernia pańską siostrę.

– Nie wierzę w to – przerwał mi mój towarzysz, a jego twarz płonęła z oburzenia.

– Cóż, nie mogę tego w żaden sposób udowodnić i nie pozostaje mi nic innego, jak zapewnić pana, że to prawda. W każdym razie dobrze pan zrobi, jeśli zachowa ostrożność, dopóki nie będzie pan miał pewności co do jej charakteru.

– Nigdy panu nie mówiłem, Markham, że zamierzam poślubić pannę Wilson – odrzekł dumnie.

– Nie, ale ona zamierza poślubić pana.

– Tak panu powiedziała?

– Nie, ale...

– Zatem nie ma pan prawa tego sugerować.

Powiedziawszy to, ruszył naprzód. Ja jednak, postanawiając, że nie pozwolę mu odjechać, dopóki nie wysłucha mnie do końca, chwyciłem jego kucyka za grzywę.

– Niechże pan jeszcze chwilę zaczeka, Lawrence, i pozwoli mi się wytłumaczyć. I proszę nie być takim – doprawdy nie wiem, jak to nazwać – takim *nieprzystępnym*... Wiem, co myśli pan o Jane Wilson i wiem również, jak bardzo się pan co do niej myli. Wydaje się panu, że jest czarująca, rozsądna i subtelna, ale nie widzi pan jej egoizmu, przebiegłości, bezduszości, próżności...

– Dość tego, Markham.

– Nie, proszę pozwolić mi dokończyć. Gdyby się pan z nią ożenił, w jego domu nie byłoby ciepła i radości. W końcu odkryłby pan, że ta, z którą związał się na całe życie nie podziela jego upodobań, uczuć i poglądów i jest do reszty pozbawiona wrażliwości, dobroci i szlachetności duszy – to złamałoby panu serce.

– Czy skończył pan już? – zapytał cicho.

– Tak. Wiem, że znienawidzi mnie pan za moją zuchwałość, ale gotowy jestem ponieść taką ofiarę, jeśli tylko to ustrzeże pana przed popełnieniem tego tragicznego błędu.

– Cóż – rzekł, uśmiechając się lodowato. – Rad jestem, że udało się panu zapomnieć o swych własnych utrapieniach i że jest pan teraz w stanie dogłębnie przyglądać się cudzym sprawom i niepotrzebnie zaprzętać sobie głowę ewentualnymi nieszczęściami, które mogłyby spotkać innych w przyszłości.

Tego dnia rozstałem się w Lawrence'em w dość chłodnej atmosferze, co nie oznacza jednak, że przestaliśmy być przyjaciółmi. A moje ostrzeżenie – udzielone w dobrej wierze,

aczkolwiek być może w sposób mało przemyślany i odebrane bez wdzięczności – przyniosło zamierzony efekt, bowiem, o ile mi wiadomo, tamta wizyta na farmie Ryecote była jego ostatnią. Zastanowiwszy się nad moimi słowami i dyskretnie zasięgnąwszy opinii innych, mój znajomy najwyraźniej doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie czynić z panny Wilson pani Lawrence z Woodford Hall. I jak sądzę, z czasem również zaczął dziwić się swemu wcześniejszemu upodobaniu do niej i wieszować sobie tego, że w porę zbudził się ze swego zaślepienia. Nigdy mi się do tego nie przyznał ani też słowem nie podziękował za to, że pomogłem mu otworzyć oczy – jednak dla kogoś, kto znał go tak dobrze, jak ja nie mogło to być żadną niespodzianką.

Jane Wilson ze swej strony była, rzecz jasna, zawiedziona i rozgoryczona odwrotem, jakiego dokonał jej były już wielbiciel. Czy postąpiłem źle, przyczyniając się do tego, że jej nadzieje legły w gruzach? Nie sądzę, bowiem po dziś dzień sumienie nie oskarżyło mnie o posiadanie jakichkolwiek złych zamiarów w tej kwestii.

Wstrząsająca wiadomość

Pewnego ranka na początku listopada, gdy zaraz po śniadaniu zająłem się pisaniem listów handlowych, do mojej siostry z wizytą przyszła Eliza Millward. Rose nie miała w sobie na tyle przenikliwości, by zdać sobie sprawę z prawdziwego charakteru owej diablicy i wciąż się z nią przyjaźniła. W chwili przybycia Elizy znajdowaliśmy się z Fergussem sami w pokoju, lecz *ja* nie zamierzałem zadawać sobie trudu zabawiania jej rozmową i przywitawszy się z nią w nader chłodny sposób, wróciłem do swoich listów, resztę uprzejmości pozostawiając bratu. Ona jednakże postanowiła mi dokuczyć.

– Jakże miło zastać pana w domu, panie Markham! – rzekła, uśmiechając się fałszywie. – Tak rzadko pana widuję. W ogóle nie zagląda pan na plebanię i muszę powiedzieć, że papa czuje się tym okrutnie dotknięty.

Patrząc mi prosto w oczy, roześmiała się zuchwale i usadowiła się przy moim sekretarzyku.

– W ostatnim czasie miałem bardzo dużo zajęć – odpowiedziałem, nie odrywając wzroku od swojego listu.

– Doprawdy? Dotarły mnie słuchy, że w ciągu kilku minionych miesięcy osobliwie zaniedbywał pan swoje obowiązki.

– To nieprawda, byłem wyjątkowo zapracowany – zwłaszcza przez ostatnie dwa miesiące.

– Och! Cóż, jak sądzę, nie ma lepszego lekarstwa na troski serca niż ciężka praca. Proszę mi wybaczyć, panie Markham, ale nie wygląda pan najlepiej i z tego, co powiadają inni, ostatnimi czasy jest pan tak chmurny i nieobecny duchem, że zaczęłam się zastanawiać, czy pańskiej duszy nie dręczy przypadkiem jakieś potajemne zmartwienie. Dawniej – dodała nieśmiało – odważyłabym się zapytać, co to takiego i czy mogłabym pana jakoś pocieszyć. Teraz jednak się nie ośmielę.

– To bardzo uprzejme z pani strony, panno Elizo. Kiedy wpadnę na to, jak mogłaby mnie pani pocieszyć, nie omieszkać jej o tym powiadomić.

– Och, koniecznie proszę to zrobić! Zapewne nie powinnam zgadywać, co tak panu doskwiera?

– Nie ma po temu potrzeby, bo otwarcie pani powiem. W chwili obecnej najbardziej doskwiera mi pewna siedząca obok mnie młoda dama, która nie pozwala mi dokończyć pisanego listu.

Nim panna Millward zdążyła odpowiedzieć na tę mało szarmancką uwagę, do środka weszła Rose. Przywitawszy się, obydwie siadły przy kominku, obok którego z rękami w kieszeniach leniwie stał Fergus.

– Przychodzę z nie lada nowiną, Rose – mam nadzieję, że jeszcze jej nie słyszałaś, bo zawsze miło jest być tą pierwszą, która przekazuje nowe wieści – bez względu na to, czy są dobre, czy też złe. Chodzi o panią Graham...

– Ćśś! Nie wymawiamy tutaj nigdy tego nazwiska – powiedział ironicznym szeptem Fergus.

Podnosząc wzrok, zdążyłem dostrzec, że zerknąwszy na mnie, dotknął palcem czoła. Następnie zaś, mrugając porozumiewawczo do młodej damy i kręcąc boleściwie głową, wyszeptał:

– Monomania... Ale nie ma się czym martwić, nic więcej mu nie dolega.

– Nie chciałabym urazić niczyich uczuć – odparła panna Millward zniżonym głosem. – Być może innym razem...

– Ależ proszę kontynuować, panno Elizo! – rzekłem, nie zwracając uwagi na błazenadę tamtego. – W mojej obecności bez obaw może pani mówić wszystko, na co tylko ma ochotę.

– Dobrze więc. Być może wiadomo już państwu, że mąż pani Graham tak naprawdę żyje i że ona od niego uciekła?

Usłyszawszy te słowa, wzdrygnąłem się i czując, że moja twarz zaczyna płonąć, pochylilem się nad listem, który właśnie składałem.

– Ale zapewne tego, że niedawno do niego wróciła i że doszło między nimi do całkowitego pojednania państwo nie wiedzieli? Proszę tylko pomyśleć – w tym miejscu Eliza odwróciła się do oszołomionej Rose – jaki z tego dżentelmena musi być głupiec!

– A skąd pani o tym wie, panno Elizo? – zapytałem, przerywając okrzyki niedowierzania Rose.

– Z bardzo pewnego źródła, sir.

– Czy mogę zapytać, kto jest tym pewnym źródłem?

– Jeden ze służących zatrudnionych w Woodford.

– Och! Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że utrzymuje pani tak poufale stosunki ze służbą pana Lawrence'a.

– Osobiście z owym człowiekiem nie rozmawiałam. Powiedział to w tajemnicy naszej Sarze, a Sara wszystko powtórzyła mnie.

– Również w tajemnicy, jak mniemam. I teraz w tajemnicy powtarza pani nam. Ale *ja* pani powiem, że to godna politowania plotka i nie więcej niż połowa z pani słów jest prawdą.

Istotnie byłem co do tego przekonany i starałem się zachować zimną krew, lecz pomimo wysiłków, pieczętując listy, nie potrafiłem opanować nieznacznego drżenia rąk. Wiedziałem jednak, że rzekoma pani Graham w żadnym wypadku nie wróciłaby z własnej woli do męża. Najprawdopodobniej po prostu wyjechała, a nasz piękny gość, usłyszawszy domysły służących, uznał je za prawdę. Aczkolwiek nie można było wykluczyć ewentualności, że tamta została przez kogoś zdradzona, a następnie uprowadzona z Wildfell Hall siłą. Zdecydowany dowiedzieć się najgorszego, pospiesznie schowałem swoje dwa listy do

kieszeni i mamrocząc pod nosem coś na temat konieczności złapania gońca pocztowego, wybiegłem z domu. Znalazłszy się na dziedzińcu, zawołałem głośno, by przyprowadzono mi konia. Ale ponieważ wokół nie było żywej duszy, osobiście udałem się do stajni i osiodławszy swojego wierzchowca, co żywo pogalopowałem do Woodford. Kiedy dotarłem na miejsce, zadumany właściciel majątku przechadzał się właśnie po swoim parku.

– Czy pańska siostra wyjechała? – zapytałem, ściskając jego dłoń na powitanie.

– Tak, wyjechała – brzmiała odpowiedź.

Ton głosu Lawrence'a był tak opanowany, że cały mój niepokój minął jak ręką odjął.

– Podejrzewam, że nie wolno mi zapytać, gdzie teraz przebywa?

Zsiadłem z konia, oddając go ogrodnikowi, który na polecenie swego pana odprowadził zwierzę do stajni. Mój poważny towarzysz wiodąc mnie do ogrodu, rzekł:

– Moja siostra jest teraz w Grassdale Manor w hrabstwie X.

– Gdzie? – wykrzyknąłem przerażony.

– W Grassdale Manor.

– Jak to się stało? – zapytałem, z trudem łapiąc powietrze. – Kto ją zdradził?

– Pojechała tam dobrowolnie.

– To niemożliwe, Lawrence! Nie byłaby aż tak szalona! – zawołałem, po czym gwałtownie chwyciłem go za ramię, jak gdyby próbując zmusić go w ten sposób do tego, by cofnął swoje straszliwe słowa.

– Ale to prawda – upierał się dalej. – I miała po temu dobre powody... Pan Huntingdon jest chory – powiedział wreszcie, uwalniając się z mojego uścisku.

– Wobec tego pojechała pielęgnować go w chorobie?

– Tak.

– Niemądra! – wymknęło się z moich ust, na co Lawrence spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Jest umierający?

– Nie sądzę, Markham.

– A prócz niej, ile jeszcze ma opiekunek? Ile jeszcze dam stoi u wezgłowa jego łoża?

– Ani jedna. Gdyby nie to, że został sam, moja siostra nie pojechałaby do niego.

– Och, niech to diabli! To jest nie do zniesienia!

– Co takiego? To, że został sam?

Nic nie odpowiedziałem, tylko kroczyłem dalej, cierpiąc w milczeniu, z dłonią przyciśniętą do czoła. Po chwili raptownie przystanąłem i odwracając się do swego towarzysza, wykrzyknąłem niecierpliwie:

– Dlaczego uczyniła coś tak niedorzecznego? Jaki demon ją do tego podkusił?

– Kierowało nią poczucie obowiązku.

– To absurd!

– Z początku sam byłem podobnego zdania, Markham. Proszę mi wierzyć, nie namawiałem jej do tego kroku, bowiem gardzę tym człowiekiem tak samo, jak pan – z tą różnicą, że ja nie życzę mu śmierci. Wszystkim, co uczyniłem było poinformowanie jej

o jego chorobie (na którą zapadł ponoć wskutek upadku z konia) oraz o tym, że owa nieszczęsna osoba – panna Myers – opuściła go już jakiś czas temu.

– Źle pan postąpił! Teraz, kiedy Huntingdon przyzwyczai się do tego, że ma w niej oparcie, będzie zwodził ją kłamliwymi zapewnieniami i pięknymi obietnicami, w które ona naiwnie mu uwierzy. A potem przez to wszystko pańska siostra jeszcze bardziej podupadnie na zdrowiu.

– Jak na razie nie wydaje się, by istniały podstawy do takich obaw – zauważył Lawrence, wyciągając z kieszeni jakiś list. – Z wiadomości, jaką otrzymałem od niej dziś rano wynika, że...

To był zaiste jej charakter pisma! Wiedziony nieprzemyślanym impulsem, wyciągnąłem dłoń, mimowolnie mówiąc: „Proszę mi to pokazać”. Gdy Lawrence zawahał się, niecierpliwie wyrwałem mu list z ręki. Jednak zreflektowawszy się po chwili, rzekłem:

– Proszę, niechże pan zabierze ten list, skoro nie chce pan, bym go czytał.

– Nie, jeżeli tak bardzo panu na tym zależy, proszę zaspokoić swoją ciekawość.

Tym sposobem zapoznałem się z treścią listu, która przedstawiała się następująco:

Grassdale, 4 listopada

Drogi Fredericku, wiem, że z niecierpliwością czekasz na wieści ode mnie, więc teraz nie będę szczędziła ci szczegółów. Pan Huntingdon jest bardzo chory, ale jego życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, a od mojego przyjazdu jego stan nieco się poprawił. Dom zastałam w okropnym nieładzie: pani Grave, Benson i wszyscy przyzwoci służyący odeszli, a ci, którzy zajęli ich miejsca podchodzą do swych obowiązków w sposób – mówiąc najdelikatniej – niedbały. Do opieki nad nieszczęsnym chorym zaangażowano posępną, srogą pielęgniarkę w podeszłym wieku. Pan Huntingdon okrutnie cierpi i jest tak słaby, że nie potrafi nawet stanąć na nogi. Bezpośrednie obrażenia, których doznał podczas wypadku nie były jednak bardzo poważne i dla człowieka zdrowego, jak powiada doktor, okazałyby się drobnostką. Ale w jego przypadku jest inaczej. Kiedy wieczorem w dniu swojego przyjazdu po raz pierwszy weszłam do jego pokoju, znalazłam go w stanie granicznym z delirium. Dopóki nie przemówiłam, nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, a gdy się odezwałam, pomylił mnie z kim innym.

– Czy to ty, Alice? Wróciłaś? – wymamrotał. – Dlaczego mnie opuściłaś?

– To ja, Helen. Twoja żona, Arthurze – odpowiedziałam.

– Moja żona! – powtórzył, wzdrygając się. – Na litość boską, nie wspominaj o niej!... Ja nie mam żony – niech ją piekło pochłonie! – zawołał chwilę potem. – I ciebie też! Dlaczego to zrobiłaś?

Nic więcej nie powiedziałam, ale zauważywszy, że wzrok jego utkwiony jest w nogach łóżka, usiadłam tam, świecę trzymając tak, by jej światło wydobyło z mroku moją twarz. Zastanawiając się, czy nie jest umierający, chciałam, by mnie rozpoznał. Przez długi czas leżał, wpatrując się we mnie w milczeniu, po czym wreszcie nagle uniósł się na łokciu, pytając pełnym trwogi szeptem:

– Kto to?

– Helen Huntingdon – odrzekłam, podnosząc się cicho, by ukryć się w cieniu.

– Chyba zaczynam tracić zmysły! – zawołał. – Choć może to tylko majaki. Ale kimkolwiek jesteś, nie zniosę widoku tej białej twarzy i tych oczu – na litość boską, idź precz i przyślij mi kogoś, kto wygląda inaczej!

Natychmiast wychodząc, poleciłam pielęgniarce, by zajęła się chorym. Następnego ranka jednakże ponownie ośmieliłam się wejść do jego sypialni i przez kilka godzin czuwałam przy jego łóżku, starając się czynić to jak najdyskretniej i odzywając się tylko wtedy, gdy było to konieczne. Z początku pan Huntingdon sądził, że jestem jego pielęgniarką, ale kiedy na jego polecenie przeszłam przez pokój do okna, by zaciągnąć zasłony, zauważył:

– Nie, to nie pielęgniarka. To Alice. Zostań tu ze mną, Alice – ta stara wiedźma wpędzi mnie do grobu.

– Ależ nigdzie się nie wybieram – odrzekłam.

Od tamtej chwili zwracał się do mnie per „Alice” lub jakimś innym, równie wstrętnym mi imieniem. Przez pewien czas cierpliwie to znosiłam, lękając się, że protesty z mojej strony mogłyby zanadto nim wstrząsnąć. Ale kiedy poprosiwszy mnie o szklankę wody, podziękował mi słowami: „Dziękuję ci, najdroższa!”, nie mogłam nie zauważyć:

– Nie mówiłbyś tak do mnie, gdybyś wiedział, kim jestem.

W odpowiedzi wymamrotał tylko coś niezrozumiałego, ale chwilę potem, gdy przykładałam do jego czoła nasączony octem kompres, rzekł:

– Dokuczają mi tak dziwne halucynacje, w żaden sposób nie potrafię się od nich uwolnić. A najosobliwszą i najbardziej uporczywą z nich jest twoja twarz i twój głos – wydają się należeć do niej. Mógłbym przysiąc, że przed chwilą ona była przy mnie.

– I wciąż jest – powiedziałam.

– Te okłady są takie kojące – ciągnął dalej, nie zważając na moje słowa. – I wraz z nimi znikają wszystkie inne moje przywidzenia, ale *to* staje się jeszcze silniejsze. Nie przestawaj, dopóki się od niego nie uwolnię. To szaleństwo mnie zabije!

– Nie uwolnisz się od niego – odrzekłam dobitnym tonem. – Bowiem to nie jest przywidzenie – to rzeczywistość.

– Rzeczywistość! – zawołał, po czym drgnął, jak gdyby ukąsiła go żmija. – Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że ty to ona!

– Ależ tak. Ale niepotrzebnie się mnie obawiasz. Nie jestem twoim wrogiem: przyjechałam, by się tobą zaopiekować. Nikt *inny* nie chciał tego zrobić.

– Na litość boską, nie dręcz mnie! – zawołał budzącym litość głosem, a następnie począł mi gorzko złorzeczyć.

W końcu zapytał:

– Gdzie są inni? Czy wszyscy mnie opuścili?... służący i wszyscy pozostali?

– Służący ciągle tu są – wystarczy, że zawołasz. Ale teraz lepiej leż spokojnie i odpoczywaj. Nikt się tobą nie opiekuje tak dobrze, jak ja.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział zdeorientowany. – Czy to był sen...?

– Nie, Arthurze, to nie był sen: istotnie zmusiłeś mnie swoim zachowaniem do opuszczenia cię. Usłyszałam jednak, że jesteś chory i samotny, więc wróciłam, aby się o ciebie zatroszczyć. Nie bój się mi zaufać: nie będę czyniła ci żadnych wymówek. Powiedz mi tylko, czego ci trzeba, a ja się wszystkim zajmę.

– Och, rozumiem – rzekł, gorzko się uśmiechając. – To akt chrześcijańskiej dobroci, za pomocą którego zamierzasz pozyskać sobie wyższe miejsce w Niebie, a mnie strącić na samo dno Piekła.

– Ależ nie. Jestem tutaj, by zapewnić ci opiekę i pomoc, których w obecnych okolicznościach potrzebujesz. Jednak gdybym, pielęgnując twoje ciało, mogła jednocześnie przysłużyć się twojej duszy i rozniecić w tobie jakieś poczucie skruchy...

– O, tak. To doskonały moment, by wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia. Co zrobiłaś z moim synem?

– Jest cały i zdrowy i kiedy przyjdiesz do siebie, będziesz mógł się z nim zobaczyć.

– Gdzie on jest?

– W bezpiecznym miejscu.

– Tutaj?

– Gdziekolwiek by nie był, nie zobaczysz go, dopóki nie przysięgniesz, że powierzasz go całkowicie mojej opiece i że nie będziesz się sprzeciwiał, jeśli znów uznam za słusne go stąd zabrać. Ale na ten temat porozmawiamy jutro. Dziś musisz odpoczywać.

– Nie, pozwól mi go zobaczyć od razu. Przysięgam ci to wszystko, jeżeli to konieczne.

– Nie...

– Przysięgam na wszystkie świętości! A teraz przyprowadź go do mnie.

– Nie uwierzę tak po prostu twoim obietnicom. Potrzebuję pisemnej deklaracji, którą podpiszesz w obecności świadka. Ale nie dziś – zajmiemy się tym jutro.

– Nie, jeszcze dzisiaj – nalegał.

Stan gorączkowego pobudzenia, w którym się znajdował i jego upór sprawiły, że w końcu postanowiłam ustąpić. Jednak nie zapominając o dobrym interesie mojego syna, wpierw sporządziłam pisemną umowę, którą kazałam Huntingdonowi podpisać w obecności Rachel. Przekonywał, że nie ma takiej potrzeby i że lepiej, by służąca nie wiedziała, jak niewiele zaufania mam do jego słów. Później zaś stwierdził, że nie będzie w stanie utrzymać w ręku pióra.

– Wobec tego będziemy musieli z tym poczekać, aż wrócą ci siły – powiedziałam, na co on odrzekł, że chciałby spróbować, ale nie widzi wystarczająco dobrze. Wskazałam palcem miejsce, w którym powinien znaleźć się jego podpis, mówiąc, że może go tam złożyć w ciemno. Jednak ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

– To oznacza, że jesteś zbyt chory, by zobaczyć się z dzieckiem – zauważyłam.

Widząc, jak jestem nieubłagana, w końcu podpisał umowę. Dopiero wówczas poleciłam Rachel, by przysłała do nas chłopca.

Być może uznasz moje zachowanie za okrutne, ale czułam, że muszę wykorzystać swoją przewagę i że nie wolno mi na rzecz niewłaściwie pojętej wyrozumiałości dla tego

człowieka poświęcać dobra mojego dziecka. Mały Arthur bynajmniej nie zapomniał swojego ojca, ale tych trzynaście miesięcy, które spędził z dala od niego sprawiło, że teraz był nieco onieśmielony. Gdy chłopiec został wprowadzony do pogrążonego w półmroku pokoju, zobaczywszy chorego, instynktownie przylgnął do mnie. A we wzroku, którym wpatrywał się w swego zmienionego ojca było więcej trwogi niż radości.

– Podejdź tutaj, Arthurze – rzekł pan Huntingdon, wyciągając do niego dłoń.

Dziecko zbliżyło się do ojca i nieśmiało dotknęło jego rozpalonej dłoni, ale kiedy tamten przyciągnął je do siebie, wzdrygnęło się gwałtownie.

– Poznajesz mnie? – zapytał pan Huntingdon, z przejęciem zaglądając chłopcu w twarz.

– Tak.

– Kim jestem?

– Moim papą.

– Czy jesteś rad z tego, że mnie widzisz?

– Tak.

– Ależ nie! – zaprzeczył zawiedziony rodzic, rzucając mi mściwe spojrzenie.

Arthur, przybiegłszy z powrotem do mnie, włożył swoją rączkę w moją dłoń, podczas gdy jego ojciec, oskarżając mnie o to, że nastawiłam dziecko przeciw niemu, począł siarczyście kląć. Niezwłocznie kazałam chłopcu wyjść z pokoju, po czym spokojnie zapewniłam pana Huntingdona, że się myli.

– Nigdy nie próbowałam go do ciebie uprzedzać – powiedziałam. – Ale zaiste chciałam, by o tobie zapomniał, a przede wszystkim, by zapomniał o tym, czego go nauczyłeś. I przyznaję: z tego powodu, gdy zaczynał o tobie mówić, na ogół starałam się zmienić temat.

Jednak sądzę, że nie można mnie za to winić.

Chory odpowiedział jedynie jęknięciem i w przypiływie zniecierpliwienia wcisnął głowę w poduszkę.

– Już jestem w piekle! – zawołał po chwili. – To przekłete pragnienie wypala mi serce. Czy nikt...

Nim skończył mówić, nalałam do szklanki chłodnego napoju, który stał na stole i przystawiłam mu ją do ust. Wypiwszy wszystko chciwie, wyszeptał:

– Domyślam się, że próbujesz wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia.

Nie bacząc na jego słowa, zapytałam, czy mogłabym dla niego zrobić coś jeszcze.

– Tak, dam ci kolejną okazję do pokazania swojej chrześcijańskiej wielkoduszności – powiedział drwiąco. – Popraw mi poduszki – i tę przekłętą pościel.

Kiedy wykonałam owo polecenie, dodał:

– A teraz podaj mi jeszcze jedną szklankę tamtej lury.

Usłuchałam.

– To cudowne, prawda? – powiedział ze złośliwym uśmiechem, gdy przystawiałam mu naczynie do ust. – Czy kiedykolwiek spodziewałaś się, że przyjdzie ci robić coś tak wspaniałego?

– Czy życzysz sobie, bym z tobą została? – zapytałam, odkładając szklankę na stół. – A może będziesz spokojniejszy, jeżeli sobie pójdę, a moje miejsce zajmie pielęgniarka?

– O tak, jesteś zdumiewająco szlachetna i uczynna! Ale doprowadzasz mnie tym do szaleństwa! – zawołał, rzucając się gwałtownie na swoim pościeliu.

– Wobec tego sobie pójdę.

Tamtego dnia, nie chcąc dokuczać mu swoją obecnością, nie wchodziłam już do jego sypialni. Nazajutrz rano doktor zdecydował, że choremu należy upuścić krwi i po tym zabiegu pan Huntingdon stał się dużo spokojniejszy. Połowę dnia spędziłam, czuwając przy jego łóżku, a moja obecność zdawała się nie przeszkadzać mu tak bardzo, jak przedtem i moją pomoc przyjmował bez gorzkich wyrzutów czy złośliwych uwag. Ale w dniu następnym – to jest dzisiaj – gdy zmęczenie ustąpiło i otępienie minęło, ponownie obudziła się jego zła natura.

– Och, jakże słodko musi smakować ta zemsta! – zawołał, gdy robiłam co mogłam, by poprawić jego samopoczucie i zaradzić zaniedbaniom, których dopuściła się pielęgniarka. – Do tego możesz się nią rozkoszować z czystym sumieniem, bowiem jednocześnie wywiązuje się ze swoich obowiązków.

– Świadomość, że istotnie wywiązuje się ze swoich obowiązków jest moim jedynym pocieszeniem – powiedziałam głosem pełnym gorzkości. – I czystość mojego sumienia, jak się zdaje, będzie jedyną nagrodą za moje poświęcenia!

Huntingdon sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– A na jaką nagrodę liczyłaś? – zapytał.

– Zapewne nie uwierzysz, ale liczyłam na to, że ci się w jakiś sposób przysłużę – że dzięki mnie poprawi się zarówno stan twego ducha, jak i ciała. Wygląda jednak na to, że nie uda mi się dopiąć tego celu – nie pozwoli mi na to twoje podłe usposobienie. Każdy mój najdrobniejszy dobry uczynek wynika według ciebie z mojej złej woli i chęci zemsty!

– Wszystko to zaiste brzmi pięknie – powiedział, przyglądając się mi w osłupieniu. – Spodziewałaś się oczywiście, że doświadczając twojej wspaniałomyślności i nadludzkiej dobroci, roztkliwię się i zacznę ronić łzy skruchy – ale, jak widzisz, nie potrafię. Aczkolwiek jeżeli naprawdę znajdujesz w tym jakąś przyjemność, możesz mi pomagać do woli. Przyznaję, że odkąd tu jesteś, mogę liczyć na lepszą opiekę niż wcześniej, bowiem tamci niegodziwcy haniebnie mnie zaniedbywali, a wszyscy przyjaciele, jak się zdaje, opuścili mnie. Przeżyłem straszliwe chwile i niekiedy myślałem, że umrę – czy twoim zdaniem istnieje taka możliwość?

– Taka możliwość zawsze istnieje. I żyjąc, warto pamiętać o tym, że śmierć kiedyś nadejdzie.

– Tak, tak – ale czy twoim zdaniem moja obecna choroba jest śmiertelna?

– Tego nie wiem, ale zakładając, że tak – czy jesteś przygotowany na taką ewentualność?

– Ależ doktor powiedział mi, bym o tym nie myślał, gdyż jeśli będę stosował się do jego zaleceń, niechybnie wyzdrowieję.

– Mam taką nadzieję, Arthurze. Ale ani doktor, ani ja nie możemy mieć co do tego pewności. Odniosłeś obrażenia wewnętrzne i trudno ocenić, jak są poważne.

– Otóż to! Próbujesz wzbudzić we mnie śmiertelny lęk!

– Bynajmniej. Jednak nie chcę byś żywił fałszywe złudzenia i stracił czujność. Być może niepewność co do tego, czy przeżyjesz skłoni cię do poważnego zastanowienia się nad samym sobą. Czy perspektywa śmierci bardzo cię przeraża?

– To coś, o czym nie znoszę myśleć, więc jeśli masz jakiegokolwiek...

– Ale ta chwila kiedyś musi nadejść – przerwałam mu. – I niezależnie od tego, czy stanie się to dzisiaj, czy za wiele lat...

– Och, dość tego! Nie zadręczaj mnie teraz swoimi kazaniami, chyba że chcesz, bym od razu wyzionął ducha. Powiadam ci, wystarczająco już cierpię. Ale jeśli uważasz, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, uchroni mnie przed nim, a później być może z wdzięczności wysłucham tego, co masz mi do powiedzenia.

Wówczas zatem porzuciłam ten niemiły mu temat. A teraz, Fredericku, chyba pora mi już kończyć. Na podstawie tego listu będziesz mógł wyrobić sobie swój własny pogląd na stan mojego podopiecznego, a także na sytuację, w której przyszło mi się znaleźć i moje perspektywy na przyszłość. Napisz do mnie niebawem. Ja ze swej strony będę Cię o wszystkim na bieżąco informowała. Teraz jednak, kiedy chory nie tylko toleruje już moją obecność, ale nawet domaga się jej, będę miała niewiele wolnego czasu.

Znajduję się obecnie w osobliwej sytuacji: nie ustaję w wysiłkach, aby dopomóc swojemu mężowi wyzdrowieć zarówno fizycznie, jak i duchowo – jednak co zrobię, kiedy już mi się to uda? Oczywiście to, co będzie należało do moich obowiązków – ale jak? To nieważne... Wypełnię stojące przede mną zadanie, a potem z Bożą pomocą zniosę to, co trzyma dla mnie w zanadrzu los.

Do widzenia, drogi Fredericku.

Helen Huntingdon

– I co pan o tym wszystkim sądzi? – zapytał Lawrence, gdy w milczeniu składałem list.

– Sądzę, że pańska siostra rzuca perły przed wieprze – odparłem. – Oby tylko owe wieprze, zdeptawszy to, co im ofiarowała, nie zwróciły się znów przeciwko niej! Ale nie będę już czynił pod jej adresem żadnych wyrzutów. Wiem, że kierowały nią najszlachetniejsze pobudki, lecz jeżeli okaże się, że popełniła błąd, niech Bóg chroni ją przed jego konsekwencjami! Czy mogę zatrzymać ten list, Lawrence? Nie będzie w tym nic niestosownego czy szkodliwego, bowiem ani słowem o mnie w nim nie wspomniała.

– Wobec tego dlaczego pragnie go pan zatrzymać?

– Czy te słowa nie zostały napisane przez nią własnoręcznie? I czy nie powstały w jej umyśle? I czy wiele z nich nie padło z jej ust?

– Dobrze więc – powiedział Lawrence.

I dobrze się stało, Halfordzie, bo gdyby nie jego zgoda, teraz nie mógłbyś się zapoznać z treścią owego listu tak dokładnie.

– Kiedy będzie pan do niej pisał, czy byłby pan tak uprzejmy i poprosił ją w swoim liście o to, by pozwoliła mi zdradzić mojej matce i siostrze, kim jest w rzeczywistości i co ją spotkało w życiu? – tak by okoliczni mieszkańcy mogli dowiedzieć się, jak haniebną wyrządzili jej niesprawiedliwość? Nie proszę pana, by przekazywał jej jakieś rzewne wiadomości. Ale niechże jej pan powtórzy, że udzielając mi zgody na wyjawienie jej prawdziwej tożsamości, wyświadczyłaby mi ogromną przysługę. I proszę jej powiedzieć... nie, nic ponadto... Widzi pan, znam jej adres i sam mógłbym do niej napisać, ale przyzwoitość nakazuje mi się przed tym powstrzymać.

– Dobrze, Markham. Zrobię to, o co mnie pan prosi.

– I skoro tylko otrzyma pan odpowiedź, proszę dać mi o tym znać.

– Jeśli wszystko będzie tak jak należy, natychmiast osobiście pana powiadomię.

Rozdział XLVIII

Kolejne wiadomości

Pięć lub sześć dni później pan Lawrence zaszczycił nas swoją wizytą. Gdy znaleźliśmy się na osobności – do czego udało mi się doprowadzić, wyciągając go z domu pod pretekstem chęci pokazania mu naszego zboża – pokazał mi kolejny list, który otrzymał od swojej siostry. Być może sądził, że przeczytanie go dobrze mi zrobi. W odpowiedzi na moją prośbę pani Huntingdon napisała tylko to, co następuje:

„Pan Markham ma prawo ujawnić na mój temat tyle, ile uzna za słuszne. Mam nadzieję, że jest w dobrym zdrowiu, ale powiedz mu, że nie wolno mu o mnie myśleć”.

Mogę dosłownie przytoczyć kilka fragmentów owego listu, bowiem ten również pozwolono mi zatrzymać – zapewne w charakterze antidotum na wszystkie żywione przeze mnie szkodliwe nadzieje i złudzenia.

* * *

Pan Huntingdon fizycznie ma się zdecydowanie lepiej, choć nadal dokucza mu przygnębienie wynikające z implikacji zdrowotnych i ścisłej diety, której musi przestrzegać – tak różnej od tego, do czego był nawykły. Żalem napawa widok zniszczeń, jakich dokonały w jego ciele przeszłe zwyczaje. Doktor powiada jednak, że niebezpieczeństwo można uznać za zażegnane – pod warunkiem, że chory w dalszym ciągu będzie się stosował do jego zaleceń i przestrzegał koniecznych restrykcji żywieniowych. W charakterze lekarstwa musi on zażywać pewnego nasercowego kordiału – choć w rozsądnie rozcieńczonej postaci i w bardzo małych dawkach – i trzeba mi pilnować, by robił to z umiarem. Z początku jego ogromny lęk przed śmiercią ułatwiał mi to zadanie, ale w miarę jak choroba ustępuje i wracają mu siły, mój podopieczny staje się coraz bardziej krnąbrny. Obecnie wraca mu również apetyt na jedzenie i w tym względzie jego skłonność do nieumiarkowania także nie działa na jego korzyść. Staram się powściągać w nim tę nadmierną chęć dogadzania swemu podniebieniu, choć w ten sposób nieustannie narażam się na gorzkie zniewagi. Chory niekiedy ukradkiem próbuje mnie przechytrzyć, a innymi razy otwarcie postępuje na przekór mnie. Przyzwyczajwszy się już do mojej obecności, teraz dla odmiany gniewa się, kiedy mnie przy nim nie ma, i gdybym nie pilnowała się, by mu zanadto nie pobłażać, niechybnie uczyniłby ze mnie swojego niewolnika. Wiem, że niewybaczalną słabością z mojej strony byłoby zrezygnowanie dla niego z innych zajęć. Gdybym przystawała na wszystkie jego wygórowane żądania, nie mogłabym sprostać swym obowiązkom pani domu, zaniedbywałabym małego Arthura, a także naraziłabym swoje własne zdrowie na szwank. Nocne czuwanie pozostawiam pielęgniarce, ale mimo to rzadko udaje mi się przespać całą noc, bowiem pan Huntingdon, gdy tylko nachodzi go taki

kaprys, bez żadnych skrupułów wzywa mnie do siebie. Jednakże wyraźnie obawia się mojego niezadowolenia i jeśli w jednej chwili swoimi przesadnymi wymaganiami poddaje próbie moją cierpliwość, to w następnej, uświadomiwszy sobie, że posunął się za daleko, irytuje mnie swoją skrajną uległością i uniżonością. To jednak potrafię mu wybaczyć. Tym, co złości mnie w jego zachowaniu najbardziej są jego sporadyczne gesty czułości – w prawdziwość których nie potrafię uwierzyć i których nie umiem odwzajemnić. Nie oznacza to wcale, że go nienawidzę – moje pracowite zabiegi muszą świadczyć o tym, że wciąż darzę go pewnymi względami. Ale im bardziej stara się mnie sobie zjednać, tym większa rośnie we mnie niechęć do jego osoby i tym większym wstrętem napawa mnie perspektywa wspólnej przyszłości.

– Helen, co planujesz zrobić, kiedy już wyzdrowieję? – zapytał dzisiejszego ranka. – Czy znowu ode mnie uciekniesz?

– To zależy tylko od twojego zachowania.

– Och, będę dla ciebie bardzo dobry.

– Jednak jeśli uznam, że trzeba mi cię opuścić, Arthurze, nie będzie to z mojej strony „ucieczka”. Jak pamiętasz, obiecałeś mi, że będę mogła się udać dokądkolwiek mi się spodoba, zabierając wraz ze sobą naszego syna.

– Ale nie będziesz miała żadnych powodów, by to robić.

W tym miejscu z jego ust popłynął potok rozmaitych zapewnień, który jednak chłodno przerwałam.

– Wybaczysz mi? – zapytał.

– Tak, już ci wybaczyłam. Ale wiem też, że nie będziesz potrafił kochać mnie tak, jak kiedyś – i jestem z tego rada, ponieważ nie mogłabym ci się odwzajemnić. Porzućmy zatem ten temat i nigdy więcej do niego nie wracajmy. Na podstawie tego, co już dla ciebie zrobiłam możesz zgadnąć, jaka chciałabym być dla ciebie w przyszłości – pod warunkiem, że nie stałoby to w sprzeczności z dobrym interesem naszego syna. I jeśli pragniesz, bym była w stosunku do ciebie serdecznie usposobiona, musisz wiedzieć, że tylko czynem – a nie słowami – możesz sobie zasłużyć na mój szacunek i przyjaźń.

Jedyną odpowiedzią, jakiej się doczekałam był nieznaczący grymas twarzy i prawie niezauważalne wzruszenie ramionami. Nieszczęśnik! Słowa kosztują go mniej niż czyny. Mogłabym równie dobrze powiedzieć: „Za to, co pragniesz kupić musisz zapłacić złotem, srebro nie wystarczy”. Z jego ust wydobyło się westchnienie, w którym zdawał się dźwięczeć żal, że oto on – dawniej bożyszczem wielu dam – znalazł się teraz na łasce tak surowej, wymagającej i zimnej kobiety.

– Wielka szkoda, prawda? – powiedziałam.

I bez względu na to, czy udało mi się odgadnąć jego myśli, czy też nie, moja uwaga musiała w jakiś sposób dostroić się do jego myśli, gdyż odrzekł:

– Ale nic na to nie można już poradzić.

Dwukrotnie widziałam się z Esther Hargrave. To czarująca, pełna radości istota, ale

nieustanne wyrzuty ze strony matki niemal złamały jej już duszę. Owa wyrodna kobieta wciąż nie potrafi pogodzić się z tym, że córka wzgardziła tak doskonałym kandydatem do swojej ręki i zdaje się, że nie spocznie, póki tamta nie podporządkuje się jej woli.

– Mama robi co może – powiedziała mi Esther – bym poczuła, że jestem ciężarem dla swojej rodziny i najbardziej niewdzięczną, samolubną i nieposłuszną córką, jaka kiedykolwiek chodziła po tym świecie. I Walter podobnie. Jest wobec mnie tak przykry i wyniosły, jak gdyby naprawdę mnie nienawidził. Gdybym wiedziała, jak wielką cenę przyjdzie mi zapłacić za to, że się im sprzeciwiłam, prawdopodobnie od razu bym ustąpiła. Ale teraz dla samej zasady będę trwała przy swoim!

– Niewłaściwe umotywowana, ale właściwa decyzja – zauważyłam. – I doradzałabym ci się jej trzymać.

– Proszę mi wierzyć na słowo, będę. Niekiedy odgrażam się mamie, że jeśli nie przestanie mnie zadrezczać, ucieknę z domu i sprowadzę hańbę na całą naszą rodzinę, samodzielnie zarabiając na swoje utrzymanie. I zaiste zrobię to, jeżeli nie dadzą mi spokoju.

– Nie wolno ci tracić cierpliwości – powiedziałam. – Jeszcze nadejdą lepsze czasy.

Biedactwo! Życzyłabym jej, by znalazł się ktoś, kto by na nią zasługiwał i zabrał ją z tego okropnego domu. A Ty co o tym wszystkim sądzisz, Fredericku?

* * *

Lektura owego listu napełniła mnie niepokojem co do przyszłości Helen i mojej własnej, ale jednocześnie przyniosła mi jedno wielkie pocieszenie: mogłem teraz oczyścić jej imię z wszystkich fałszywych zarzutów. Wiedziałem, że wystarczy mi szepnąć słowo moim dwóm bliskim krewnym, ażeby wkrótce, bez żadnych innych wysiłków z mojej strony, cała okolica poznała prawdę.

Rose była zachwycona i skoro tylko zdradziłem jej wszystko, co uznałem za słuszne w tej sytuacji, co żywo narzuciła na siebie szal i włożyła swoją kapotkę, po czym pospieszyła podzielić się tą radosną nowiną z Millwardami i Wilsonami – radosną, jak podejrzewam, tylko dla niej samej oraz dla Mary Millward, której zacność rzekoma pani Graham potrafiła szybko dostrzec i docenić i która sama ze swej strony od razu poznała się na charakterze nieznanym damy.

Ponieważ nigdy więcej zapewne nie będę miał już okazji wspominać o Mary Millward, pozwolę sobie w tym miejscu napomknąć, że była ona wówczas nieoficjalnie zaręczona z Richardem Wilsonem – o czym nikt inny poza samymi zainteresowanymi nie wiedział. Ów szlachetny młodzieniec studiował w tamtym okresie na uniwersytecie w Cambridge, gdzie wzorowe zachowanie oraz pilność w nauce wkrótce przyniosły mu najwyższe laury. W późniejszym czasie Richard został wikarym pana Millwarda, bowiem posuwający się w latach dzentelmen w końcu doszedł do wniosku, iż słabnące siły nie pozwolą mu już na samodzielne niesienie pomocy duszpasterskiej wszystkim mieszkańcom naszej rozległej parafii. I na tę właśnie chwilę w tajemnicy i przez wiele lat czekali cierpliwi zakochani.

Niebawem się pobrali – ku zdumieniu wszystkich swoich sąsiadów, którzy od dawna wróżyli mało urodziwej Mary Millward staropanieństwo i nie sądzili, by Richard Wilson – ten błady i nieśmiały mól książkowy – kiedykolwiek zdobył się na odwagę i poszukał sobie żony.

Jeśli ciekawi Cię los siostry panny Millward, mogę tylko powiedzieć tyle, że mniej więcej trzynaście lat temu poślubiła pewnego zamożnego okolicznego kupca, któremu tej transakcji bynajmniej nie zazdrozczę. Eliza niechybnie nie czyni z życia swego męża nieprzerwanego pasma radości, choć temu szczęśliwie brakuje bystrości, by zdawać sobie sprawę z pełnych rozmiarów swej niedoli.

Co się zaś tyczy Jane Wilson, trzeba mi wspomnieć, że nie zdoławszy pozyskać sobie na nowo względów pana Lawrence'a, ani też nie znalazłszy sobie nikogo, kto w jej mniemaniu godny byłby jej ręki, pędzi obecnie żywot starej panny. Krótco po śmierci swojej matki uznała, że nie będzie dłużej znosić mało wyrafinowanych zwyczajów swojego brata oraz jego zacnej małżonki i opuściła farmę Ryecote, by osiedlić się w pobliskim mieście. Wynajawszy skromną prywatną kwaterę, żyła tam i żyje nadal, roztaczając wokół siebie aurę wytworności, dni wypełniając sobie haftowaniem i plotkami, nieustannie wspominając o swym bracie-pastorze, ale nigdy o bracie-rolniku i bywając w towarzystwie tak często, jak może sobie na to pozwolić – nikogo jednak nie kochając i nie będąc kochaną przez nikogo. Mówiąc krótko: wiezie tam życie zimnej, dumnej i nastawionej krytycznie do świata starej panny.

Rozdział XLIX

„Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i rzuciły się na ten dom. I runął, a upadek jego był wielki”. (Ewangelia wg św. Mateusza)

Mimo że pan Lawrence powrócił już całkiem do zdrowia, nie przestawałem go odwiedzać. Podczas naszych spotkań nie mówiliśmy wiele o pani Huntingdon, choć jego towarzystwa szukałem głównie z nadzieją na to, że dowiem się na jej temat czegoś nowego. Zawsze starałem się czekać, by to on jako pierwszy o niej wspomniał, aczkolwiek jeśli się tego nie doczekałem, niedbałym tonem głosu pytałem, czy dotarły do niego ostatnio jakieś wiadomości od siostry. O zdrowie jej męża pytać nie śmiałem – bez względu na to, jak wielka trawiła mnie ciekawość. Nie miałem w sobie bowiem dość hipokryzji, by udawać zatroskanie jego losem, ani też nie byłem wystarczająco bezczelny, by przyznać się do tego, że życzę mu śmierci. Ale czy doprawdy mu jej życzyłem? Obawiam się, że tak: ale niechże na moje usprawiedliwienie przemówi to, że Huntingdon swoim życiem wyrządził wiele krzywd – zarówno sobie samemu, jak i innym.

Minęły kolejne dwa tygodnie, podczas których na moje pytanie niezmiennie padała odpowiedź przecząca. Nadszedł jednak dzień, w którym mój towarzysz miłosiernie włożył mi w dłoń list otrzymany od swojej siostry. Przeczytawszy go w skupieniu, oddałem go właścicielowi nie czyniąc nawet najmniejszej uwagi na temat jego treści. Lawrence’owi owa powściągliwość z mojej strony musiała bardzo przypaść do gustu, bowiem odtąd od razu pokazywał mi każdy list, który do niego przyszedł – kosztowało go to wszak dużo mniej zachodu niż odpowiadanie na moje rozliczne pytania.

Czytając owe skarby, pochłaniałem każde słowo tak, by głęboko wryło się w moją pamięć, a następnie, wróciwszy do domu, to co najważniejsze przelewałem na karty swojego dziennika.

W pierwszym z listów pojawiła się wiadomość o nagłym pogorszeniu się stanu zdrowia pana Huntingdona, które w całości wynikało z jego nieposkromionego zamiłowania do mocnych trunków. Żona na próżno go upominała, na próżno rozcieńczała wino – jej prośby i perswazje były dlań tak nieznośne, że w końcu wyrzucił przez okno butelkę porto, do którego – jak odkrył – uprzednio ukradkiem dołała wody, po czym pod groźbą natychmiastowego wypowiedzenia pracy polecił lokajowi, by przyniósł mu najmocniejsze wino, jakie znajdzie w piwnicy. Poprzysiągłszy, że nie będzie dawał się oszukiwać jak dziecko i stwierdziwszy, że już dawno by wydobrzył, gdyby pozwolono mu postępować wobec własnego uznania i gdyby żona jego dla własnych korzyści nie próbowała go

utrzymywać w chorobie, w jedną rękę chwycił szklanę, a w drugą butelkę i nie spoczął, póki nie osuszył jej do dna. Wskutek owej „nieroztropności”, jak delikatnie ujęła to pani Huntingdon, wystąpiły u niego pewne niepokojące objawy, które od tamtej pory, zamiast ustąpić, jeszcze się zaostrzyły. Dawna choroba zaatakowała ze zdwojoną siłą – niewielka, powierzchowna rana, która zdążyła się już w pewnym stopniu zagoić na nowo pękła i pojawiło się wewnętrzne zapalenie, które jeśli nie zostałoby szybko powstrzymane, mogłoby okazać się śmiertelne. Jak się domyślam, wszystko to nie wpłynęło korzystnie na usposobienie nieszczęsnego chorego – mógłbym przysiąc nawet, że Huntingdon stał się zgoła nieznośny, choć jego łaskawa opiekunka nie skarżyła się nań w swoim liście i tylko dawała do zrozumienia, że trzeba jej było powierzyć syna opiece Esther Hargrave.

„Mój mąż – pisała – głęboko żałuje tamtego wybryku, który spowodował nawrót jego choroby, ale, jak zwykle, winą za wszystko obarcza mnie. Powiada, że gdybym obchodziła się z nim tak, jak z istotą rozumną i ostrzegając go, użyła właściwych argumentów, nigdy by do czegoś takiego nie doszło. Lecz ponieważ traktowałam go niczym dziecko albo głupca, jego cierpliwość wreszcie się wyczerpała i poczuł się zmuszony udowodnić mi, że jest człowiekiem wolnym, nawet za cenę własnego zdrowia. Pan Huntingdon zdaje się być świadom niebezpieczeństwa, które mu grozi, ale w żaden sposób nie mogę go przekonać do tego, by spróbował spojrzeć na sprawy we właściwym świetle. Kilka nocy temu, gdy chcąc załagodzić palące go pragnienie, podsunęłam mu do ust szklanę, złośliwym, pełnym gorzki głosem zauważył:

– O tak, *teraz* jesteś troskliwa. I zapewne nie istnieje nic, czego nie mogłabyś dla mnie w tej chwili zrobić?

– Dobrze wiesz – odrzekłam nieco zaskoczona – że zrobiłabym wszystko, by ulżyć ci w cierpieniu.

– Tak, *teraz*, moja nieskazitelna anielico. Ale kiedy już będziesz pewna swojej nagrody – kiedy zapewnisz sobie bezpieczne miejsce w Niebie, a ja znajdę się w ogniu piekielnym, *wtedy* nie kiwniesz nawet palcem, by mi pomóc! Będziesz mi się przyglądać z zadowoleniem i nie umoczysz nawet końca swego palca w wodzie, by ochłodzić mój język!^[13]

– Jeżeli istotnie tak będzie, to tylko z powodu ogromnej przepaści zionącej pomiędzy nami; a gdybym w takiej sytuacji odczuwała zadowolenie, wynikałoby to z mojej pewności, że oto właśnie jesteś oczyszczany z grzechów – tak byś potem mógł doświadczyć tego samego szczęścia, którym cieszyłabym się ja. Ale czy już *zdecydowałeś*, Arthurze, że nie spotkamy się w Niebie?

– Hm! Ciekawy jestem, co mógłbym tam robić?

– Doprawdy nie wiem. Obawiam się, że gdybyś chciał zaznać tam jakiegokolwiek przyjemności, twoje upodobania i wrażliwość musiałyby się całkowicie zmienić. Lecz czy na pewno chcesz się poddać bez walki?

– Och, to wszystko to mrzonki – powiedział z pogardą.

– Jesteś tego *pewien*, Arthurze? Bowiem gdybyś doszedł do wniosku, że się jednak

pomyliłeś, ale byłoby już za późno...

– To by było przykre, nie przeczę – odparł. – Ale nie dręcz mnie tym teraz. Jeszcze nie umieram; nie mogę i nie chcę... – dodał zawzięcie.

Jednakże zaraz, jak gdyby nagle uderzony tą straszliwą myślą, wykrzyknął:

– Helen, musisz mnie ocalić!

I chwytając we wzburzeniu moją dłoń, spojrział mi w twarz wzrokiem tak błagalnym, że moje serce wypełniło się po brzegi współczuciem i łzy nie pozwoliły mi przemówić”.

W swym kolejnym liście pani Huntingdon informowała, że choroba szybko się nasila i że obecnie strach przed śmiercią dokucza jej mężowi nawet bardziej niż męki fizycznego bólu. Nie wszyscy przyjaciele opuścili go jednak, bowiem pan Hattersley, dowiedziawszy się o powadze sytuacji, specjalnie przyjechał z wizytą ze swego domu na północy. Towarzyszyła mu jego żona – zarówno po to, by zobaczyć się ze swą dawno niewidzianą przyjaciółką, jak i po to, by odwiedzić swą matkę i siostrę.

Pani Huntingdon nie kryła radości ze spotkania z Milicent i z przyjemnością donosiła, że dawno nie widziała jej tak szczęśliwej i w tak dobrym zdrowiu.

„Przebywa teraz w Grove – pisała dalej w swym liście – ale często do mnie zagląda. Pan Hattersley spędza długie godziny przy łóżku Arthura. Ma w sobie więcej współczucia, niż sądziłam i gdyby tylko mógł, zrobiłby wiele, by ulżyć swemu nieszczęsnemu przyjacielowi w cierpieniu. Niekiedy próbuje rozweselać go opowieściami o starych czasach, ale jeśli jednego dnia udaje mu się w ten sposób oderwać chorego od jego smutnych myśli, drugiego pograża go tylko jeszcze bardziej w melancholii. Wówczas to Hattersley wpada w zakłopotanie i nieśmiało sugeruje, że być może należałoby posłać po pastora. Jednak Arthur nigdy się na to nie zgodzi – dobrze pamięta, z jaką pogardą potraktował owego duchownego, gdy ten w dobrej wierze próbował go upominać – i teraz ani myśli szukać u niego pocieszenia.

Pan Hattersley niekiedy proponuje, że wyręczy mnie w mych obowiązkach, lecz Arthur nie pozwala mi się oddalać – wciąż chce mnie mieć u swego boku i ta dziwna fanaberia zdaje się w nim rosnać w miarę jak słabną jego siły. Prawie w ogóle go nie odstępuję, a jeśli już mi się to zdarza, to tylko po to, by w pokoju obok skraść czasem godzinę lub dwie snu, i nawet wtedy zostawiam drzwi uchylone – tak by wiedział, że znajduję się w zasięgu jego głosu. Teraz, gdy piszę te słowa, również przy nim jestem i obawiam się, że moje zajęcie go złości, choć często wstaję, aby się nim zająć, a poza tym u jego boku siedzi pan Hattersley. Ów dżentelmen przyszedł po to, ażeby – jak sam powiedział – wyblagać dla mnie chwilę wolnego i umożliwić mi wybranie się na spacer po parku w towarzystwie Milicent, Esther i małego Arthura, których przywiózł z Grove. Nasz nieszczęsny chory najwyraźniej uznał, że to bezduszna propozycja, a mnie uznałby za jeszcze bardziej bezduszną, gdybym zdecydowała się na nią przystać. Powiedziałam zatem, że wyjdę tylko na chwilę, by się przywitać i zaraz wrócę. Byłam nieobecna nie dłużej niż pięć minut, mimo to po swoim powrocie zostałam gorzko zganiona za swoją lekkomyślność i zaniedbania,

jakich rzekomo się dopuściłam. Pan Hattersley stanął po mojej stronie, mówiąc:

– Dość tego, Huntingdon, jesteś dla niej zbyt surowy. Twoja żona musi jeść, spać i odetchnąć od czasu do czasu świeżym powietrzem, inaczej dłużej tego nie znieś. Spójrz na nią, bracie, już wygląda jak cień kobiety.

– Czymże są jej cierpienia wobec moich? – zapytał chory. – Ty nie żałujesz mi swojej uwagi i wysiłków, prawda, Helen?

– Nie, Arthurze. I gdyby miało cię to zbawić, oddałabym za ciebie życie.

– Naprawdę byś to zrobiła? Ależ nie!

– Zrobiłabym to z radością.

– Ach! Zapewne dlatego, że uważasz się za lepiej przygotowaną na śmierć!

Tutaj nastąpiła chwila bolesnej ciszy, którą przerwał wreszcie Hattersley:

– Powiadam ci, Huntingdon, na twoim miejscu posłałbym po jakiego duchownego – jeśli proboszcz ci nie odpowiada, mógłby przyjść do ciebie jego wikary – albo ktoś jeszcze inny.

– Nie, jeśli *ona* mi nie pomoże, nikt inny tego nie robi – brzmiała odpowiedź.

Oczy pana Huntingdona wezbrały łzami.

– Och, Helen, gdybym cię był posłuchał, w ogóle by do tego nie doszło! – zawołał żarliwie.

– Zatem posłuchaj mnie teraz, Arthurze – rzekłam, delikatnie ściskając jego dłoń.

– Już za późno – odparł ponuro.

Zaraz przyszedł kolejny atak bólu, po którym jego umysł począł błędzić i zdjął nas strach, że niebawem zabierze go śmierć. Jednak po zaaplikowaniu opium chory odczuł pewną ulgę i niebawem zapadł w rodzaj drzemki. Od tamtej pory jest spokojniejszy. Pan Hattersley właśnie pożegnał się z nim, wyrażając nadzieję, że jutro zostanie go w lepszej formie.

– Być może jeszcze wyzdrowieję, kto wie? – odrzekł tamten. – Może było to tylko przesilenie choroby? Co o tym myślisz, Helen?

Nie chcąc go przygnębiać, postarałam się, by moja odpowiedź zabrzmiała tak optymistycznie, jak to możliwe, choć jednocześnie poradziłam mu, by przygotował się na najgorszą ewentualność – serce bowiem podpowiadało mi, że wszystko jest przesądzone. On jednak uparł się być dobrej myśli. Krótco potem ponownie zapadł w sen, ale teraz znów jęczy z bólu.

Zaszła w nim jakaś zmiana. Nagle przywołał mnie do siebie w tak osobliwy, gorączkowy sposób, że zlekłam się, czy aby nie majaczy. Niepotrzebnie jednak.

– To *było* przesilenie, Helen! – powiedział uradowany. – Dokuczał mi w tym miejscu piekielny ból, ale teraz całkiem ustąpił. Od czasu tamtego upadku nie czułem się tak dobrze. W ogóle już nie cierpię – Bóg mi świadkiem!

Z tymi słowy uścisnął i ucałował moją dłoń, ale zaraz, zauważywszy, że nie podzielałam jego radości, odepchnął ją od siebie, złorzecząc gorzko na moją oziębłość i bezdusność. Klękając przy nim, po raz pierwszy od naszego rozstania ujęłam jego rękę i z czułością przycisnęłam ją sobie do ust, po czym przez łzy powiedziałam, że to nagłe ustąpienie bólu

nie jest tak pomyślnym objawem, jak mu się wydaje.

Natychmiast posłałam po doktora i teraz niecierpliwie na niego czekamy...

Moje najgorsze obawy się potwierdziły – w ranę chorego wdała się martwica. Doktor powiedział mu, że nie ma już nadziei... Żadne moje słowa nie oddadzą jego udręki... Nie potrafię już dalej pisać..."

Wydźwięk następnego jej listu był jeszcze bardziej zasmucający. Chory zbliżał się do swojego końca i stał już prawie na skraju owej straszliwej otchłani, o której nie śmiał dotąd myśleć i przed którą nie mogły go uratować żadne modlitwy ani łyzy. Wszelkie próby, jakie podejmował Hattersley w celu dodania przyjacielowi otuchy spełzały na niczym. Świat już nic dla niego nie znaczył: życie oraz jego drobne troski i ulotne przyjemności zdawały się mu okrucieństwem i drwiną. Wspominanie przeszłości wzmagало jego udrękę, rozmowy na temat przyszłości – tym bardziej, milczenie zaś wystawiało jego umysł na pastwę jego własnych lęków i żali. Niekiedy z budzącą grozę drobiazgowością rozwodził się nad tym, co po śmierci stanie się z jego ciałem – roztrząsał każdy najmniejszy szczegół owego powolnego, stopniowego rozkładu, który już zaatakował jego tkanki – mówił o swojej trumnie, całunie, ciemnym i samotnym grobie i podobnych okropnościach.

„Nie udaje mi się odwrócić uwagi pana Huntingdona od tego wszystkiego i w żaden sposób nie potrafię mu pomóc, ale on mimo to z rodzajem dziecięcej desperacji uporczywie do mnie łąnie – jak gdybym była w mocy ocalić go przed tym, co mu przeznaczone. Dzień i noc muszę być przy nim i nawet teraz, kiedy piszę te słowa, trzymamnie za rękę. A gdy próbuję wyciągnąć ją z jego dłoni, wpada w rozpacz.

– Nie odchodź, Helen – prosi. – Kiedy przy mnie jesteś, mam poczucie, że nie może mi się stać żadna krzywda. Ale śmierć niebawem przyjedzie... Już nadchodzi, jest coraz bliżej! Och, gdybym tylko mógł wierzyć, że po przekroczeniu tej granicy już nic na mnie nie czeka!

– Ależ czeka tam na ciebie szczęście i tylko od ciebie zależy, czy go sięgniesz, Arthurze.

– Jak to, *na mnie*? – zapytał, zanosząc się czymś w rodzaju śmiechu. – Czyż nie jest powiedziane, że będziemy sądzeni z naszych uczynków? Jaki sens miałyby to nasze próbne życie na ziemi, gdybyśmy spędzali je, łamiąc Boskie prawa, a potem mimo wszystko i tak trafiali do Nieba wraz z najlepszymi? Gdyby najpodlejszy z grzeszników miał zająć miejsce pośród najświętszych ze świętych, dzięki temu, że powiedziałby tylko: „żałuję”...

– Lecz gdybyś okazał *prawdziwą* skruchę...

– *Nie czuję* skruchy, jedynie strach.

– Żałujesz przeszłych grzechów tylko z powodu konsekwencji, które miałyby cię spotkać?

– Otóż to. Ale prawdziwie żałuję tego, że cię skrzywdziłem, Nell – jesteś przecież dla mnie taka dobra.

– Pomyśl więc o tym, jak dobry jest Pan Bóg, a wówczas poczujesz żal, że Go obraziłeś.

– Czymże jest Bóg, skoro Go nie widzę ani nie słyszę? Bóg to tylko wyobrażenie.

– Bóg to Nieskończona Mądrość, i Siła, i Dobroć... i Miłość; lecz jeśli nie potrafisz objąć

tego swoim ludzkim rozumem, pomyśl o Nim jako o kimś, kto łaskawie zgodził się zstąpić na ziemię i stać się jednym z nas, by następnie zająć miejsce w Niebie. Bóg to doskonałość.

Pan Huntingdon jednakże pokręcił tylko głową i westchnął. Po chwili, w nowym przypływie straszliwej trwogi zacieśnił uścisk na mojej dłoni i począł rozpaczliwie jęczeć i biadać nad sobą. Serce mi krwawiło, bowiem wiedziałam, że nie mogę mu w żaden sposób pomóc.

– Śmierć jest tak potworna! – zawołał. – Nie zniosę tego! Ty, Helen, nie wyobrażasz sobie, jak to jest, ponieważ dla ciebie to odległa perspektywa. Kiedy już mnie pochowają, wrócisz do swych starych zajęć i będziesz szczęśliwa. Świat nadal będzie istniał i życie będzie toczyło się dalej – tak jak gdyby nigdy mnie nie było. Podczas gdy ja...

Zaniósł się płaczem.

– Nie powinieneś się tym zadręczać – odparłam. – Wszyscy niedługo pójdziemy za tobą.

– Tak bardzo żałuję, że nie mogę cię ze sobą zabrać! – wykrzyknął. – Mogłabyś się za mną wstawić.

– Nikt z nas nie może zbawić drugiego bliźniego – powiedziałam. – By odkupić duszę, potrzeba znacznie więcej – potrzeba doskonałego, bezgrzesznego Boga i jego krwi – to Jego powinieneś prosić o to, by się za tobą wstawił.

Zdawało się jednak, że mówię na próżno. Obecnie pan Huntingdon nie drwi już tak, jak dawniej z owych świętych prawd – ale nadal nie potrafi w nie uwierzyć albo nie umie ich pojąć. Zostało mu niewiele czasu. Okrutnie cierpi i wraz z nim cierpią wszyscy, którzy się nim opiekują – ale nie będę Cię już zamęczać dalszymi szczegółami, Fredericku. Jak sądzę, powiedziałam już wystarczająco dużo, byś zrozumiał, że przyjeżdżając tutaj postąpiłam właściwie”.

* * *

Biedna Helen! Jakże straszne musiała przeżywać chwile! A ja nie mogłem nic zrobić, by uczynić je znośniejszymi... Co więcej, zdawało się mi, że żywionymi w skrytości ducha nadziejami sam ściągnąłem na nią owe cierpienia.

Po dwóch dniach przyszedł od niej następny list.

5 grudnia

Wreszcie odszedł. Siedziałam obok niego całą noc – z dłonią w jego dłoni, przyglądając się grymasom jego twarzy i wsłuchując się w jego słabnący oddech. Od długiego czasu się nie odzywał i sądziłam, że więcej już nie przemówi, ale w pewnej chwili wyszeptał – bardzo cicho, choć wyraźnie:

– Módl się za mnie, Helen!

– Ależ nieustannie się o ciebie modlę, Arthurze. Jednak sam także musisz się za siebie modlić.

Jego usta poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Potem wyraz jego oblicza stał się niespokojny. Począł mamrotać jakieś niespójne, niewyraźne słowa, a ja,

sądząc, że jest teraz nieprzytomny i czując, że zaraz być może zemdleję, spróbowałam delikatnie uwolnić się z jego uścisku, by pójść zaczerpnąć świeżego powietrza. Jednak jego palce poruszyły się spazmatycznie, a z jego ust wyrwał się szept:

– Nie zostawiaj mnie samego!

Na powrót chwyciłam jego dłoń i trzymałam ją tak, dopóki nie odszedł; a gdy już się to stało, zemdlałam – nie z żalu, lecz z wyczerpania, z którym dotąd udawało mi się skutecznie walczyć. Och, Fredericku! Nikt nie pojmie męki, której byłam świadkiem! I jak mogłabym znieść myśl, że ta nieszczęsna, roztrzęsiona dusza skazana została na wieczne cierpienie? Doprowadziłoby mnie to do szaleństwa! Jednak dzięki Bogu nie opuszcza mnie nadzieja, że panu Huntingdonowi w końcu udzielone zostanie wybaczenie, że dusza jego nie jest stracona i że Pan, który nie nienawidzi niczego, co sam stworzył w końcu udzieli jej swego błogosławieństwa!

We czwartek jego ciało złożone zostanie do tego grobu, którego tak bardzo się lękał. Jeśli zamierzasz uczestniczyć w pogrzebie, przyjedź szybko, bowiem potrzebna mi pomoc.

Helen Huntingdon

Rozdział L

Wątpliwości i rozczarowania

Po lekturze ostatniego z owych listów nie starałem się ukryć przed Frederickiem Lawrence'em swojej radości. Nie uważałem bowiem, bym musiał się jej wstydzić – wynikała ona wszakże z tego, że oto nareszcie cierpienia jego siostry dobiegły kresu. Miałem nadzieję, że Helen wkrótce otrząśnie się ze swych przeżyć i już do końca swoich dni będzie mogła cieszyć się spokojem. Jeżeli zaś chodzi o jej męża, to współczułem mu jego niedoli, choć miałem pełną świadomość tego, że sam ją na siebie sprowadził i w całości sobie na nią zasłużył. Zaraz jednak zacząłem się niepokoić, czy gehenna związana z długotrwałym czuwaniem przy łóżku umierającego nie odcisnie swojego piętna na zdrowiu pani Huntingdon.

– Zamierzasz do niej pojechać, Lawrence? – zapytałem, oddając mu list.

– Tak, niezwłocznie.

– I słusznie. Zatem natychmiast sobie pójdę, byś mógł zająć się przygotowaniem do wyjazdu.

– Już jestem przygotowany. Przed drzwiami czeka na mnie powóz.

Byłem pełen uznania dla jego gotowości do działania. Ściskając moją dłoń na pożegnanie, Lawrence badawczo przyjrzał się wyrazowi mojej twarzy, ale czegokolwiek próbował się w nim doszukać, nie znalazł w nim nic więcej, poza stosowną w tej sytuacji powagą i być może krztyną rozżalenia, którą wzbudziła we mnie jego podejrzliwość.

Czy zapomniałem o swojej wielkiej miłości i nadziejach na przyszłość? Wracanie do tego w owej chwili wydawało mi się świętokradztwem, jednak wszystko to wciąż we mnie żyło. Pani Huntingdon była teraz wolna i myśląc o niej, nie popełniałem zbrodni – ale czy ona kiedykolwiek myślała o *mnie*? W toku całej swojej korespondencji z bratem wspomniała o mnie ledwie raz – i tylko dlatego, że została do tego zmuszona. To kazało mi przypuszczać, że całkiem o mnie zapomniała; aczkolwiek być może tak naprawdę nie odzywała się do mnie z poczucia obowiązku, a może tylko *próbowała* o mnie zapomnieć. Pojawiło się jednak we mnie ponure przekonanie, że okropności, których była świadkiem, pojednanie z człowiekiem, którego niegdyś kochała oraz bycie świadkiem jego przeraźliwych cierpień i śmierci musiały wymazać z jej serca wszystkie ślady uczucia, jakie dawniej przelotnie do mnie żywiła. Być może w przyszłości miała otrząsnąć się ze swoich potwornych doświadczeń, powrócić do zdrowia i odzyskać dawny spokój, a nawet pogodę ducha – zdawało mi się jednak, że nigdy nie odnajdzie w sobie na nowo tamtej miłości, że odtąd musi jej się ona jawić jako przelotny kaprys i próżny sen; tym bardziej że nie było przy niej nikogo, kto przypominałby jej o moim istnieniu, a poczucie taktu nie pozwalało mi się do niej wybrać ani też do niej pisać. Jakże mógłbym poprosić jej brata o pomoc?

W jaki sposób mógłbym przełamać ów lód nieśmiałości? Być może teraz potępiłby moje nadzieje równie bezwzględnie, co przedtem? Co, jeśli uważał, że jestem zbyt ubogi i zbyt nisko urodzony, by być godnym ręki jego siostry? I w końcu: być może zmarły mąż pani Huntingdon, powodowany swym skrajnym egoizmem, zawarł w testamencie klauzulę, która uniemożliwiałaby jej powtórne wyjście za mąż?

Z wielką niecierpliwością czekałem na powrót pana Lawrence'a z Grassdale – z niecierpliwością, która rosła w miarę, jak jego pobyt tam się przedłużał. Gdybyż tylko napisał mi, jak się miewa jego siostra albo jak długo jeszcze u niej zabawi! Kiedy już wrócił, wszystkim, czego się na jej temat dowiedziałem było to, że usługiwanie człowiekowi, który stał się zmorą jej życia wielce ją wyczerpało i samą niemal wpędziło do grobu – i że wciąż jest wstrząśnięta i przygnębiona tym, w jaki sposób tamten pożegnał się z życiem. Lawrence nie powiedział nic, co wskazywałoby na to, że pani Huntingdon o mnie myśli. Sam naturalnie nie śmiałem zadawać w tej kwestii żadnych pytań, choć zauważyłem, że mój towarzysz spodziewa się ich z mojej strony i z niepokojem na nie czeka. Zaś nie doczekawszy się ich, sprawiał wrażenie równie zadowolonego, co zaskoczonego. Rzecz jasna, wrzał we mnie gniew, ale poczucie dumy kazało mi powściągnąć emocje i do końca naszej rozmowy zachować stoicki spokój. I dobrze się stało, bowiem zastanowiwszy się później nad tym wszystkim, doszedłem do wniosku, iż nedorzecznnością i wielką niestosownością byłoby się z nim przy tej okazji poróżnić. Trzeba mi także przyznać, że byłem wobec niego niesprawiedliwy – tak naprawdę bardzo mnie lubił i dobrze mi życzył, jednak mając świadomość tego, że mój związek z panią Huntingdon w oczach innych uchodziłby za mezalians, pragnął ochronić ją przed przykrościami, jakich mogłaby z tego powodu ewentualnie doświadczyć.

Być może nie miałem prawa żywić do niego tak wielkiego żalu, ale w owej chwili nie potrafiłem spojrzeć na tę sprawę we właściwym świetle i po krótkiej rozmowie na tematy mi obojętne rozstałem się z nim. Do domu wracałem z poczuciem urażonej dumy i duszą pełną lęku, że być może ta, którą kochałem doprawdy o mnie zapomniała. Doskwierała mi też świadomość, że jest teraz samotna, słaba i przygnębiona, a ja nie mogę jej pomóc, pocieszyć czy chociażby zapewnić o swym współczuciu. Przekazanie jej teraz jakiegokolwiek wiadomości za pośrednictwem pana Lawrence'a nie wchodziło w rachubę.

Cóż miałem zatem począć? Zamierzałem cierpliwie poczekać, aż minie owych sześć miesięcy od naszego rozstania, a następnie wysłać list, w którym przypomniałbym jej, że po upływie tego okresu pozwoliła mi do siebie pisać. Układałem sobie w głowie słowa, za pomocą których wyraziłbym głęboki smutek z powodu tego, przez co niedawno musiała przejść, uznanie dla jej wspaniałomyślności oraz nadzieję, że znajduje się już w dobrym zdrowiu i że od tej chwili dane jej będzie cieszyć się dobrodziejstwami spokojnego, szczęśliwego życia. Na końcu zaś dałbym jej do zrozumienia, jak bardzo liczę na to, że nie wyrzuciła mnie całkowicie ze swojego serca. Gdyby mi nie odpisała, już więcej oczywiście bym się jej nie naprzykrzał.

Dziesięć tygodni trwania w niepewności bynajmniej nie było przyjemną perspektywą,

lecz musiałem uzbroić się w cierpliwość. W międzyczasie zamierzałem dalej widywać się z Lawrence'em i, tak jak dawniej, dowiadywać się o jego siostrę, ale pytając tylko, czy miał ostatnio od niej jakieś wieści, i jak się miewa – nic ponadto.

Odpowiedzi, których mi udzielał nigdy nie wykraczały poza to, co było zawarte w pytaniu. W pierwszym liście na nic się nie skarżyła, ale jego ton świadczył o tym, że nadal jest bardzo przygnębiona... Treść następnego dowodziła, że ma się lepiej... W kolejnym informowała wreszcie, że czuje się już dobrze i że jest bardzo zajęta edukacją swojego syna oraz regulowaniem spraw związanych z majątkiem swojego świętej pamięci męża. Lawrence nigdy nie powiedział mi, czy pan Huntingdon pozostawił po sobie testament, a ja wolałbym umrzeć niż go o to zapytać, bałem się bowiem, że mógłby opacznie zrozumieć moje intencje. Teraz już nie pokazywał mi listów swojej siostry i sam też go o to nie prosiłem. Zbliżał się jednakże luty, w którym to miesiącu w końcu miała się dla mnie skończyć ta udręka niepewności.

Ale niestety! Mniej więcej w tym samym czasie na panią Huntingdon spadł kolejny cios w postaci śmierci jej wuja. Była przy nim, kiedy odchodził, gdyż pomagała ciotce pielęgnować go w ostatnim stadium jego choroby. Lawrence pojechał do Staningley, by wziąć udział w pogrzebie, a po powrocie poinformował mnie, że jego siostra wciąż przebywa u krewnej i najprawdopodobniej pozostanie tam jeszcze długi czas. To nie była dla mnie dobra wiadomość: dopóki znajdowała się poza domem, nie mogłem do niej napisać – nie znałem jej adresu w Staningley i nie zamierzałem też prosić Lawrence'a o to, by mi go podał. Mijał tydzień za tygodniem i za każdym razem, kiedy o nią pytałem, Frederick odpowiadał, że Helen nadal bawi w Staningley.

– Gdzie *jest* Staningley? – zapytałem w końcu.

– W hrabstwie X. – odpowiedział głosem tak oschłym, że nie śmiałem już pytać o bliższe szczegóły.

– Kiedy pańska siostra wróci do Grassdale? – brzmiało moje kolejne pytanie.

– Nie wiem.

– Niech to diabli porwą! – mruknąłem.

– Jak to, Markham? – zapytał z nutą niewinnego zaskoczenia w głosie.

Nic nie odpowiedziawszy, rzuciłem mu jedynie pełne pogardy spojrzenie, na co on z nikłym uśmiechem na ustach przeniósł wzrok na dywan. Zaraz jednak począł mówić na jakiś inny temat, starając się wciągnąć mnie w pogodną i przyjacielską pogawędkę, lecz ja, nie będąc w nastroju do rozmowy, wkrótce się z nim pożegnałem.

Po części przez przypadek i po części wskutek świadomego zaniedbania z mojej strony minęło kilka następnych tygodni, nim ponownie zobaczyłem się ze swoim przyjacielem. I to *on* tym razem szukał mojego towarzystwa. W pewien pogodny, czerwcowy poranek pojawił się na polu, na którym zaczynaliśmy właśnie sianokosy.

– Dawno się nie widzieliśmy, Markham – powiedział, przywitawszy się ze mną. – Czy już nigdy nie zobaczymy pana w Woodford?

– Kiedy przyszedłem ostatnim razem, nie zastałem pana.

– Żałuję, że się tak stało. Jednak od tamtego dnia minęło wiele czasu i miałem nadzieję, że znów pan do mnie zajrzy. Tym razem to ja wybrałem się do pana z wizytą i nie zastałem go w domu. Uznając jednak, że koniecznie muszę się z panem zobaczyć, zostawiłem swojego kucyka na drodze, pokonałem przeszkodę w postaci żywopłotu i oto jestem. Wyjeżdżam na jakiś czas z Woodford i być może przez następny miesiąc lub dwa nie będziemy mieli okazji się widzieć.

– Dokąd się pan wybiera?

– Nasamprzód do Grassdale – odparł, na próżno starając się ukryć uśmiech, który drżał na jego ustach.

– Do Grassdale! A więc ona ciągle tam jest!

– Tak, ale za kilka dni wyjeżdża wraz z panią Maxwell do nadmorskiego kurortu. I ja zamierzam towarzyszyć im w tej podróży.

Lawrence zdawał się czekać na to, czy nie spróbuję wykorzystać sytuacji, prosząc go, by przekazał swojej siostrze ode mnie jakąś wiadomość. I podejrzewam, że gdybym w owej chwili miał dość przytomności umysłu, by to uczynić, podjąłby się tego zadania bez żadnych protestów. Ale nie potrafiłem się na to zdobyć; i dopiero gdy odszedł, dotarło do mnie, jak doskonałą okazję straciłem. Wielce pożałowałem swojej bezmyślności i tego durnego uniesienia się dumą, lecz było już za późno.

Frederick wrócił z F. dopiero pod koniec sierpnia. W międzyczasie dwa lub trzy razy do mnie pisał, ale jego listy – pełne ogólników i nieistotnych banałów – zdawały mi się okrutnie nieznośne, gdyż prawie wcale nie wspominał w nich o swojej siostrze. Postanowiłem jednak cierpliwie czekać do jego powrotu z nadzieją, że być może wówczas uda mi się wyciągnąć z niego coś więcej. Nie mogłem wszakże napisać do pani Huntingdon teraz, gdy przebywała w towarzystwie swojej ciotki – która bez wątpienia okazałaby się jeszcze bardziej niechętnie nastawiona do moich zuchwałych aspiracji niż Frederick.

Po swoim powrocie Lawrence był tak powściągliwy, jak zawsze i powiedział mi jedynie, że pobyt w F. dobrze zrobił jego siostrze, że jej syn jest zdrowy i że – niestety! – oboje wrócili wraz z panią Maxwell do Staningley, gdzie mieli pozostać jeszcze co najmniej przez trzy miesiące.

Jednak nie będę się tutaj rozwodził nad tym, jak bardzo poczułem się rozczarowany. Zamiast tego opowiem Ci, w jaki sposób potoczyły się losy kilku postaci, które poznałeś już w toku lektury moich wspomnień – być może później nie będę już miał okazji tego zrobić.

Tuż przed śmiercią pana Huntingdona Lady Lowborough uciekła ze swym kolejnym wielbicielem do Europy, gdzie – nim się poróżnili i rozstali – oddawała się w jego towarzystwie beztroskim przyjemnościom i rozpuście. Potem przez pewien czas dalej prowadziła swój hulaszczy tryb życia, ale lata mijały, a pieniądze ubywało. W końcu, jak słyszałem, popadła w długi i zakończyła wreszcie swój haniebnny żywot w nędzy, niesławie i samotności. Pogłoski o jej śmierci mogą być jednak nieprawdziwe, być może wciąż jeszcze żyje – ale tego już się chyba nie dowiemy, bowiem wszyscy jej krewni i znajomi

dawno stracili z nią kontakt. Po owym kolejnym wykroczeniu z jej strony, mąż jej natychmiast wystąpił o rozwód i niedługo potem powtórnie się ożenił. I słusznie, bowiem Lord Lowborough nie był człowiekiem stworzonym do życia w pojedynkę. Żadne aktywne zajęcia, ambitne cele czy więzy przyjaźni nie były w stanie wynagrodzić mu braku domowego ciepła. Co prawda miał dwoje dzieci, jednak wywoływały one w nim nazbyt bolesne wspomnienia o matce – zwłaszcza córka, która była nią tylko nominalnie, stanowiła dlań źródło nieustannej, gorzkiej udręki. Mimo wszystko Lord Lowborough zdecydowany był traktować ją z rodzicielską troskliwością i być może nawet żywił do niej jakieś uczucia, podczas gdy ona, nieświadoma niczego, kochała go jak swego prawdziwego ojca.

Jego druga żona pod każdym względem różniła się od poprzedniej. Niektórzy dziwili się temu wyborowi, inni nawet z niego drwili, bowiem dama dobiegała już czterdziestego roku życia, a do tego nie wyróżniała się urodą, nie cieszyła się zamożnością ani też nie przejawiała żadnego wielkiego talentu. Jej jedyne zalety stanowiły zdrowy rozsądek, niezłomna uczciwość, prawdziwa pobożność oraz płynąca prosto z serca dobroć i niewyczerpane pokłady pogody ducha. Te cechy jednak, jak się zapewne domyślasz, czyniły z niej doskonałą matkę i bezcenną żonę. Lord Lowborough w swej skromności uważał, że jest jej niegodny i dziwiąc się szczęściu, jakie go spotkało, robił wszystko, ażeby odwdziaczyć się jej za całe dobro, które spotykało go z jej strony.

Jeżeli interesuje Cię los tego podłego łotra Grimsby'ego, to wiem na jego temat tylko tyle, że staczał się coraz niżej i niżej, by wreszcie sięgnąć dna zepsucia i w pijackiej bójce postradać życie z rąk jednego ze swych kompanów, którego oszukał był w grze.

Co się zaś tyczy pana Hattersley, nigdy nie zapomniał on o swym postanowieniu, by „wyjść spośród nich i odłączyć się od nich”^[14] i prowadzić się niczym prawdziwy chrześcijanin. Trzymał się zatem z dala od pokus wielkiego miasta, pędząc aktywny żywot wiejskiego dżentelmena. Na co dzień zajmował się rolą oraz hodowlą koni i bydła, niekiedy urozmaicając sobie czas polowaniem i goszczeniem u siebie przyjaciół (lecz bynajmniej nie tych z okresu młodości) i ciesząc się towarzystwem swej szczęśliwej żony oraz rosnących synów i pięknych córek. Kilka lat temu po śmierci swego ojca-bankiera odziedziczył całą jego fortunę, zatem teraz ma pełną możliwość rozwijać swoje upodobania. I chyba nie muszę wspominać o tym, że Wielmożny Pan Ralph Hattersley zasłynął na cały kraj swą doskonałą stadniną koni.

Niespodziane wydarzenie

Trzeba mi teraz wspomnieć o pewnym zimnym i pochmurnym popołudniu na początku grudnia, kiedy to pierwszy śnieg pokrywał cienką warstwą zmarznięte pola i drogi. Pamiętam tamten dzień doskonale, gdyż właśnie wtedy wracałem z plebanii w towarzystwie nie kogo innego, jak samej panny Elizy Millward. Na prośbę matki udałem się z grzecznościową wizytą do proboszcza, choć gdyby to ode mnie zależało, nie zbliżałbym się do jego domu nawet na krok – nie tylko przez wzgląd na swoją niechęć do Elizy, ale również dlatego, że nie wybaczyłem jeszcze starszemu dżentelmenowi krzywdy, jaką wyrządził pani Huntingdon, tak niesprawiedliwie ją oceniając. Teraz zresztą, poznawszy już prawdę i uznawszy swój błąd, nadal utrzymywał, że uciekając z domu dopuściła się grzechu i pogwałciła święte obowiązki, jakie żona ma wobec swojego męża i że tylko ciężka przemoc fizyczna być może usprawiedliwiałaby taki krok. Jednak to nie o nim miałem mówić, lecz o Elizie.

Kiedy żegnałem się z pastorem, jego córka weszła do pokoju w wyjściowym odzieniu.

– Zamierzałam właśnie pójść z wizytą do pańskiej siostry, panie Markham – rzekła. – I jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, potowarzyszę mu w drodze do domu. Zawsze, gdy się dokądś idzie, warto mieć towarzystwo, nie uważa pan?

– Zgadzam się – pod warunkiem, że jest to miłe towarzystwo.

– To zrozumiałe – odparła młoda dama, wyniośle się uśmiechając.

Tym sposobem wyszedłem z plebanii razem z nią.

– Czy sądzi pan, że zastanę Rose w domu? – zapytała, gdy zamknąwszy za sobą ogrodową furtkę, skierowaliśmy się ku Linden-Car.

– Tak myślę.

– Mam nadzieję, że tak, gdyż mam jej do przekazania interesującą nowinę – to jest, jeżeli mnie pan nie uprzedził.

– Ja?

– Tak. Czy wiadomo panu, dlaczego pan Lawrence wyjechał?

– A wyjechał?

Jej twarz rozjaśniła się.

– Ach! A więc nie powiedział panu o swojej siostrze?

– Co takiego miałby mi na jej temat powiedzieć? – zapytałem, zdjęty lękiem, czy aby coś złego nie przytrafiło się pani Huntingdon.

– Och, panie Markham, czerwieni się pan! – zawołała Eliza, wybuchając nieznośnym śmiechem. – Ha, ha! Jeszcze pan o niej nie zapomniał! Ale proszę postarać się jak najszybciej to zrobić, bo – niestety! – już w następnym czwartek wychodzi za mąż!

– Ależ nie, panno Elizo! To nie może być prawda.

– Czy oskarża mnie pan o kłamstwo, sir?

– Ktoś wprowadził panią w błąd.

– Czyżby? A więc pan jest lepiej ode mnie poinformowany?

– Tak sędzę.

– Dlaczego więc tak bardzo pan pobladł? – uśmiechnęła się, rozkoszując się moim wzburzeniem. – Czy gniewa się pan na mnie za to, że opowiadam kłamstwa? Hm... Powtarzam tylko to, co powtórzono mnie i nie mogę przysiąc, że to prawda. Ale z drugiej strony, nie widzę powodu, dla którego Sara miałaby mnie okłamywać. Ponoć lokaj pana Lawrence'a powiedział jej, że pani Huntingdon wychodzi we czwartek za mąż, a pan Lawrence pojechał na ślub. Wspomniała nazwisko owego dżentelmena, ale całkiem wypadło mi z głowy. Być może z pańską pomocą sobie przypomnę. Czy w okolicy nie mieszka przypadkiem ktoś, kto od długiego czasu darzył ją względami? Pan... ojej!... Pan...

– Hargrave? – podsunąłem, gorzko się uśmiechając.

– Tak! – zawołała. – To właśnie to nazwisko!

– To niemożliwe, panno Elizo! – wykrzyknąłem tak gwałtownie, że aż się wzdrygnęła.

– Cóż, tak mi powiedziano... – rzekła, po czym wybuchnęła piskliwym, przeciągłym śmiechem, który doprowadził mnie niemal do szczytu furii.

– Doprawdy, musi mi pan wybaczyć... Wiem, że to niegrzeczne z mojej strony, ale... ha, ha, ha! – czy sam zamyślał pan się z nią ożenić? Och, jaka szkoda! Ha, ha, ha! Mój Boże, panie Markham! Czy źle się pan poczuł? Och, litości! Czy mam wezwać tamtego człowieka, by panu pomógł? Jacobie, podejdź...

Ale nim zdążyła dokończyć to zdanie, tak mocno chwyciłem ją za ramię, że wydała z siebie cichy jęk bólu lub trwogi. To jednak nie poskromiło jej złośliwości, bowiem przychodząc zaraz do siebie, zapytała z udawaną troską w głosie:

– Jakże mogłabym poprawić panu samopoczucie? Czy chciałby pan wypić trochę wody – lub brandy? Mogłabym pobiec do tamtej gospody...

– Wystarczy już tych głupstw! – zawołałem srogo.

Przez jedną chwilę sprawiała wrażenie skonfundowanej, przerażonej nawet.

– Wie pani, że nie znoszę takiego rodzaju żartów – dodałem.

– Jak to: *żartów*? Ależ ja nie żartowałam!

– W każdym razie śmiała się pani, a ja nie lubię, kiedy się ze mnie drwi. A ponieważ znajduje się pani w tak wesołym nastroju, panno Elizo, zapewne wystarczy pani jej własne towarzystwo i pozostałą część drogi zdoła pokonać samodzielnie. Przypomniało mi się, że mam pilną sprawę do załatwienia, zatem tutaj się z panią pożegnaj.

Z tymi słowy rozstałem się z nią i przechodząc przez najbliższą lukę w żywopłocie, pospieszyłem na przełaj przez pola w stronę Woodford, ażeby natychmiast przekonać się, jaka jest prawda. Nigdy dotąd nie było dane mi poznać całej potęgi swojego uczucia i pełnej siły swoich nadziei, których nie zniszczyły nawet chwile najgłębszego zwątpienia i które niezmiennie mówiły mi, że pewnego dnia pani Huntingdon zostanie moją. U drzwi

wejściowych stanąłem z postanowieniem, że jeśli zastanę pana domu, śmiało zapytam go o siostrę, nie wahając się już, nie zwlekając i chowając swą niedorzeczną dumę do kieszeni – pragnąłem od razu poznać swój los.

– Czy pan Lawrence jest w domu? – zapytałem z przejęciem, gdy służący otworzył drzwi.

– Nie, sir, pan wyjechał wczoraj – odparł tamten przebiegle.

– Dokąd?

– Do Grassdale – nie wiedział pan o tym, sir? No tak, nasz pan jest bardzo skryty – zauważył ów jegomość, durnie się uśmiechając. – Przypuszczam, sir, że...

Ja jednak, nie chcąc słuchać jego przypuszczeń i nie zamierzając znosić drwin ze strony kogoś takiego, jak on, odwróciłem się na pięcie i odszedłem.

Lecz co miałem teraz począć? Czy pani Huntingdon mogłaby zrezygnować ze mnie na rzecz *tamtego*? Nie umiałem w to uwierzyć. Być może potrafiłaby o mnie zapomnieć, ale oddać się Hargrave'owi – nigdy! Trzeba mi było jak najszybciej dowiedzieć się prawdy – bowiem dopóki kotłowały się we mnie ta niepewność, zazdrość i gniew, nie umiałbym się skupić na żadnym z obowiązków dnia codziennego. Postanowiłem, że najbliższym dyliżansem wyruszę do Grassdale – musiałem bowiem znaleźć się tam nim zacznie się ślub. Co takiego mną kierowało? Uderzyła mnie myśl, że *być może* uda mi się wszystkiemu zapobiec; że jeśli nie spróbuję, oboje – ja i Helen – będziemy żałowali tego do końca życia. Pomyślałem, że ktoś mógł oczernić mnie w jej oczach: być może jej brat – tak, niewątpliwie brat jej, chcąc się mnie pozbyć raz na zawsze, przekonał ją, że nie zasługuję na jej zaufanie, że jestem wobec niej nielojalny. I wykorzystując jej oburzenie oraz poczucie braku nadziei, udało mu się ją zręcznie namówić do tego, by przystała na małżeństwo z tamtym.

Gnany owymi lękami, pospieszyłem do domu, by przygotować się do porannego wyjazdu. Matce powiedziałem, że niecierpiąca zwłoki sprawa wzywa mnie do miasta (miasta, przez które przejeżdżać miał mój dyliżans), jednak uwadze jej nie umknęło moje wzburzenie i sporo trudności nastęrczyło mi rozwianie wszystkich jej obaw i podejrzeń.

Tamtego wieczoru spadło wiele śniegu, co następnego dnia tak spowolniło mój dyliżans, że znalazłem się niemal na skraju szaleństwa. Podróżowałem całą noc, bowiem była środa; a ślub, według słów Elizy, miał się odbyć we czwartek. Noc okazała się długa i ciemna, śnieg blokował koła powozu, konie zaś były rozleniwione, woźnica ostrożny do przesady, a moi współpasażerowie irytująco obojętni wobec powolnego tempa naszej podróży, i zamiast pomóc mi w przynagłaniu powożącego, przyglądali się mojemu zniecierpliwieniu z drwiącymi uśmiechami na ustach.

Gdy zajechaliśmy do miasta, dzień zdążył się już rozpocząć na dobre. Wsiadłszy z dyliżansu, począłem szukać szybkiego powozu, który mógłby mnie zawieźć do Grassdale; ale na próżno – jedyny taki pojazd w mieście był właśnie w naprawie. Poprosiłem zatem o cokolwiek – dorożkę, dwukółkę, zwykły wóz... Znalazła się dwukółka, lecz brakowało konia, wysłałem więc człowieka do miasta, by mi jakiegoś poszukał. Tamten jednak długo nie wracał i uznałem w końcu, że pewnie szybciej dotrę do celu na piechotę. Poleciwszy, by

wysłano za mną ową przekłętą dwukółkę, jeżeli koń się znajdzie w przeciągu godziny, ruszyłem, co sił w nogach. Miałem do pokonania niewiele ponad sześć mil, ale nie znając okolicy, co chwila musiałem się zatrzymywać, by zapytać o drogę, a ponieważ był zimowy poranek, napotykałem niewielu ludzi i często trzeba mi było pukać do drzwi mijanych domów.

Wreszcie jednak dotarłem w pobliże Grassdale. Zbliżywszy się do niewielkiego, wiejskiego kościoła, przed którym stał długi ciąg powozów, nie musiałem już widzieć białych wstążek zdobiących ubrania służących, ani słyszeć wesołych głosów dobywających się z gardeł wioskowych gapiów, by zrozumieć, że wewnątrz odbywa się ceremonia zaślubin. Wbiegłszy w tłum, począłem niecierpliwie pytać, jak dawno temu rozpoczęła się uroczystość. Tamci jednakże tylko mi się przyglądali z szeroko rozdziawionymi ustami. W poczuciu desperacji, rozpychając się łokciami, przedarłem się przez tłok i miałem właśnie przejść przez bramę kościelnego dziedzińca, kiedy grupka obszarpanych, małych łobuzów, która niczym rój pszczół oblegała dotąd okna świątyni nagle rzuciła się w kierunku portyku, krzycząc na całe gardło: „Skończyło się! Zaraz wyjdą!”

Gdyby Eliza Millward zobaczyła mnie w owej chwili, doprawdy miałyby powody do radości. Chwyciwszy się słupa bramy, z przejęciem wpatrywałem się w drzwi kościoła, by po raz ostatni spojrzeć na tą, która była światłem mojego życia i po raz pierwszy na tego zniechęconego śmiertelnika, który mi ją zabrał i skazał ją – co do czego nie miałem wątpliwości – na nieszczęśliwe życie. Bowiem jakiego szczęścia mogłaby zaznać u jego boku? Nie chciałem, by Helen, dostrzegając mnie tutaj, doznała wstrząsu, ale nie potrafiłem odejść. Państwo młodzi wreszcie wyłonili się z kościoła. Na niego nie patrzyłem – miałem oczy tylko dla niej. Długi welon spowijał połowę jej wdzięcznej sylwetki, ale nie zasłaniał jej całkowicie. Zobaczyłem, że powieki jej są opuszczone, a policzki i szyja oblane szkarłatnym rumieńcem. Każdy rys jej twarzy promieniał radością, zaś pod białą mgiełką welonu połyskiwały pukle jej złotych włosów... Na nieba! To *nie była* moja Helen! Mój wzrok przyćmiony był jednakże zmęczeniem i rozpaczą – czy mogłem mu ufać? Tak, to nie była ona! Panną młodą była młodsza, drobniejsza i bardziej rumiana od niej piękność – zaiste urocza, ale pozbawiona owej majestatyczności, głębi i niewypowiedzianego wdzięku, który potrafił podporządkowywać sobie serca – w każdym razie *moje* serce. Przeniósłszy wzrok na pana młodego, od razu rozpoznałem w nim Fredericka Lawrence'a! Otarłem czoło, z którego ściekały krople zimnego potu, po czym cofnąłem się, by tamten mnie nie zauważył. Za późno jednak.

– Czy to pan, Markham? – zapytał Frederick zaskoczony moim widokiem i być może również stanem, w jakim obecnie się znajdowałem.

– Tak. Czy to pan, Lawrence? – odrzekłem z nadspodziewaną przytomnością umysłu.

Uśmiechnął się i jednocześnie zarumienił, jak gdyby na wpół przepęłniała go duma ze swojego szczęścia i na wpół zawstydzienie tym, że tak długo się przede mną z nim ukrywał.

– Pozwoli pan, że przedstawię mu moją żonę – rzekł, usiłując zatuszować swoje zakłopotanie. – Esther, poznaj pana Markhama; przyjacielu, proszę poznać dawną pannę

Hargrave.

Skłoniwszy się pannie młodej, uściskałem mocno dłoń pana młodego.

– Dlaczego nie powiadomił mnie pan o tym wszystkim? – zapytałem, pozorując rozzalenie, którego bynajmniej nie czułem (tak naprawdę bowiem rozpieła mnie radość z tego, że tak szczęśliwie się pomyliłem).

– Ależ powiadomiłem – odpowiedział zdezorientowany. – Otrzymał pan mój list?

– Jaki list?

– Ten, w którym pisałem o swoim zbliżającym się ślubie.

– Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wspomniał mi pan o nim choćby słowem.

– Wobec tego rozminął się pan z tym listem. Powinien był dotrzeć do pana wczoraj rano. Przyznaję, zbyt długo zwlekałem. Ale co pana tu sprowadza, skoro moja wiadomość do niego nie doszła?

Tym razem to ja poczułem się zakłopotany. Jednak młoda dama, która podczas naszej prowadzonej zniżonymi głosami rozmowy zajęta była dotąd pracowitym ubijaniem śniegu pod swoją stopą, szczęśliwie dla mnie wybrała ten moment na to, by ścisnąć ramię swego towarzysza i wyszeptać mu do ucha, że powinien zaprosić przyjaciela do powozu, bowiem nie godzi się dłużej tak stać w tłumie, każąc wszystkim innym czekać.

– Do tego na takim zimnie! – dodał Lawrence, z niepokojem zerkając na jej cienkie okrycie i natychmiast pomagając jej wsiąść do pojazdu. – Markham, zabierze się pan z nami? Jedziemy do Paryża, ale mógłby pan wsiąść tam, gdzie by sobie zażyczył.

– Nie, dziękuję. I do zobaczenia – chyba nie muszę mówić, że życzę wam przyjemnej podróży. Jednak będę czekał na list ze zgrabnymi przeprosinami od pana. I wiele innych listów, nim zobaczymy się ponownie.

Uściskawszy mi dłoń na pożegnanie, Frederick pospiesznie wszedł do powozu, by zająć miejsce obok swojej żony. Przez opuszczone okno pojazdu ujrzałem, jak obejmuje ją w talii i jak ona, w aurze małżeńskiego szczęścia, przyciska swój rumiany policzek do jego ramienia. Nim drzwi zostały zamknięte, dostrzegłem jeszcze, że podniosła nań swoje roziskrzone, brązowe oczy, mówiąc figlarnie:

– Zapewne sądzisz, że brakuje mi wrażliwości, Fredericku. Przyjęte jest bowiem, że damy płaczą przy takich okazjach, ale ja za nic nie potrafiłabym wycisnąć z siebie teraz nawet jednej łzy.

On odpowiedział tylko pocałunkiem, a następnie jeszcze mocniej ją do siebie przycisnął.

– Co to, Esther? – wyszeptał po chwili. – Ależ ty płaczesz!

– Och, to nic takiego – to z nadmiaru szczęścia. Pomyślałam sobie, że bardzo życzyłabym naszej drogiej Helen, by kiedyś mogła doświadczyć tego samego, czego w tej chwili doświadczamy my.

„Niech Bóg ci za to wynagrodzi! – odpowiedziałem jej w duchu, kiedy koła powozu zaczęły się toczyć. – I niech sprawi, by nie było to tylko twoje pobożne życzenie”.

Zdało mi się, że usłyszawszy jej słowa, Lawrence spochmurniał. O czym myślał? Czy

żałował swej siostrze i swemu przyjacielowi tej samej radości, której właśnie sam zaznawał? Nie, w *takiej* chwili nie byłby zdolny do podobnych uczuć. To świadomość różnicy dzielącej jej los od jego własnego kazała mu się tak zasępić. Być może ubolewał nad tym, że nie uczynił nic, ażeby pomóc naszej miłości, w międzyczasie dyskretnie zajmując się sprawami swojego serca. Bez wątpienia przyszłą żonę poznał podczas swojego trzymiesięcznego pobytu w owym nadmorskim kurorcie – teraz przypomniałem sobie, jak w jednym z listów zdawkowo wspominał o tym, że jego ciotce i siostrze towarzyszy pewna młoda dama. Teraz zrozumiałem też przyczyny jego częstej ostatnimi czasy nieobecności w Woodford, z której nigdy w sposób zadowalający mi się nie wytłumaczył. Być może miał prawo być „bardzo skrytym” wobec swego służącego, ale skąd ta dziwna tajemniczość w stosunku do mnie? Zakładam, że to po części z powodu swojej wrodzonej powściągliwości i po części przez wzgląd na moje uczucia dbał o to, by nie poruszać ze mną owego zaraźliwego tematu miłości.

Rozdział LII

Rozterki

Gdy spóźniona dwukółka nareszcie mnie dogoniła, zajmąwszy miejsce obok woźnicy, poleciłem mu, ażeby zabrał mnie do Grassdale Manor. Sam byłem nazbyt pochłonięty swymi myślami, by powozić. Zamierzałem spotkać się z panią Huntingdon – teraz, kiedy mąż jej już nie żył, nie mogło być w tym nic niestosownego. Zastanawiałem się, w jaki sposób zostaną przez nią przyjęty: już wkrótce miało się okazać, czy nie jestem jej obojętny, już niebawem miałem się dowiedzieć, czy jej serce należy do mnie... Jednakże mój towarzysz – gadatliwy, pewny siebie jegomość – nie pozwolił mi długo oddawać się tym wewnętrznym rozważaniom.

– Odjeżdżają! – zauważył, kiedy ciągnący się przed nami sznur powozów zaczął się oddalać. – Czeka ich dziś nie lada świętowanie – żeby nie wspomnieć o jutrze. Czy zna pan tę rodzinę, sir? A może jest pan w tych stronach zupełnie obcy?

– Tylko o niej słyszałem.

– Hm. Tak czy inaczej, wszyscy najlepsi powyjeżdżali. I przypuszczam, że starsza pani, kiedy całe to zamieszanie dobiegnie już końca, też zamieszka gdzie indziej. Zaś ta młoda – a w każdym razie nowa, bo nie jest już pierwszej młodości – ma zamieszkać w Grove.

– Czy to znaczy, że pan Hargrave się ożenił?

– Tak, sir, kilka miesięcy temu. Wcześniej jeszcze zamierzał poślubić jaką wdowę, jednak nie porozumieli się co do majątku: miała sporo pieniędzy, do których Hargrave chciał pełnych praw, ale tamtej się to nie spodobało i rozstali się. Jego nowa wybranka nie jest tak bogata i urodą też się nie może pochwalić, ale przynajmniej nigdy nie była zamężna. Powiadają, że jest zaiste brzydka i że liczy sobie czterdzieści albo i więcej wiosen, więc gdyby nie skorzystała z tej okazji, podobna mogłaby się jej już nie trafić. Niechybnie doszła do wniosku, że taki przystojny, młody mąż wart jest wszystkiego, co kiedykolwiek posiadała i dlatego chętnie przystała na jego warunki. Jednak założę się, że rychło pożałuje ubitego przez siebie interesu. Ponoć już zaczyna sobie uzmysławiać, że mąż jej nie jest w rzeczywistości tym serdecznym, wspaniałomyślnym i kryształowym dżentelmenem, za jakiego miała go przed ślubem. I już chodzą słuchy, że Hargrave staje się coraz bardziej niefrasobliwy i apodyktyczny – tak, nowa pani Hargrave wkrótce przekona się, za jak trudnego wyszła człowieka.

– Mówicie tak, jakbyście dobrze go znali – zauważyłem.

– Bo tak jest, sir. Znałem go jeszcze kiedy był małym dzieckiem – bardzo hardym do tego i niesfornym. Przez kilka lat pełniłem w Grove posadę służącego, ale szybko uprzykrzyły mi się zwyczajnie skąpej pani domu. Ponieważ robiła się coraz to chciwsza, podejrzliwsza i nieprzyjemniejsza, uznałem, że lepiej będzie poszukać sobie innego

miejsca.

Tu począł rozwodzić się nad wyższością swojej obecnej posady stajennego, którą piastował przy pobliskiej gospodzie o nazwie „Róża w Koronie”, a następnie ją opowiadać mi o tym, jakie porządki panowały za jego czasów w Grove i jakim usposobieniem charakteryzowali się starsza pani Hargrave i jej syn.

– Czy daleko jeszcze? – przerwałem mu w połowie zdania.

– Nie, sir. Już widać park.

Moje serce zamarło, kiedy w oddali ujrzałem okazałą rezydencję stojącą pośród rozległego, wspaniałego parku – obecnie przystrojonego w zimową szatę. Majestatyczne, pokryte nieskalaną bielą, pagórkowate grunty, które otaczały budynek... strzeliste drzewa uginające się pod ciężarem śniegu i połyskujące na tle szarego nieba... przepastne lasy okalające majątek... tafla zamarzniętego, śpiącego jeziora otoczona ośnieżonymi jesionami i wierzbami... – wszystko to przedstawiało sobą zaiste frapujący widok, lecz bynajmniej nie dodawało mi śmiałości. Pewne pocieszenie znalazłem jednak w myśli, że właścicielem tych wspaniałości jest mały Arthur i że w żadnym wypadku nie mogą one należeć – w ścisłym znaczeniu tego słowa – do jego matki. Ale w jakiej sytuacji tak naprawdę znajdowała się obecnie pani Huntingdon? Przewyciężając w sobie niesmak, którym napawała mnie myśl o wymówieniu jej nazwiska w obecności tego człowieka, zapytałem go, czy wiadomo mu coś na temat testamentu jej świętej pamięci męża. Och, tak – orientował się w tej kwestii, rzecz jasna, znakomicie i szybko zostałem przez niego poinformowany, że na czas małoletniości jej syna przyznano jej całkowitą kontrolę nad majątkiem, a prócz tego cały majątek, który wniosła była w posagu znalazł się w jej pełnym posiadaniu. (Wiedziałem jednak, że nie może być to duża suma, bowiem ojciec jej nie wykazał się wobec niej hojnością).

Nim mój towarzysz skończył mówić, znaleźliśmy się przed bramą prowadzącą do parku. Za chwilę miało się okazać, czy dane mi będzie ją ujrzeć – mogła wszakże wciąż przebywać w Staningley; Lawrence nie powiedział mi nic, z czego mógłbym wywnioskować, że jest inaczej. Zapytałem odźwiernego, czy pani Huntingdon jest w domu, na co ten odrzekł, że nie: pani bawi w gościnie u swej ciotki w hrabstwie X., ale prawdopodobnie wróci przed Bożym Narodzeniem.

– Gdzie leży Staningley?

Dowiedziawszy się zaraz wszystkiego, czego potrzebowałem, rzekłem:

– Teraz, towarzyszu, oddajecie mi lejce – wracamy do miasta. Trzeba mi będzie najpierw posilić się czymś w gospodzie, a potem pierwszym dyliżansem pojedę do Staningley...

– Dziś już pan tam nie dotrze, sir.

– Nic nie szkodzi. Zamierzam być na miejscu jutro; przenocuję gdzieś po drodze.

– W przydrożnym zajeździe, sir? Lepiej zrobiłby pan, zatrzymując się na noc w naszej gospodzie i ruszając w drogę jutro z rana. W ten sposób miałby pan cały dzień na podróż.

– I stracił kolejnych dwanaście godzin? Wykluczone.

– Czy jest pan krewnym pani Huntingdon, sir? – zapytał z zaciekawieniem.

– Nie, nie mam zaszczytu nim być.

– Ach! No tak – odparł, spoglądając ukradkiem na moje zachlapanie błotem, skromne odzienie. – Ale – dodał pocieszająco – sądzę, że wiele podobnie wspaniałych dam posiada krewnych uboższych od pana, sir.

– Bez wątpienia. Ale też i wielu wysoko urodzonych dżentelmenów pokrewieństwo ze wspomnianą damą mogłoby poczytywać sobie za wielki honor.

Jegomość rzucił mi chytre spojrzenie.

– Być może *zamierza* pan...

Domyślając się, o co próbuje zapytać, powściągnąłem jego zuchwałość, słowami:

– Bądźcie łaskawi zamilknąć na chwilę, jestem teraz zajęty.

– Zajęty, sir?

– Tak, jestem zajęty swoimi myślami i nie chcę, by mi przeszkadzano.

– Oczywiście, sir!

Dotarłszy do miasta, miałem dość czasu, by przed odjazdem dyliżansu zdążyć podreperować swoje siły sowym śniadaniem, dokonać porannej toalety, poprawić wygląd swojego odzienia oraz wysłać do matki krótki list, w którym zapewniałem ją, że wciąż żyję i prosiłem o wybaczenie mi mojej przedłużającej się nieobecności. Podróż do Staningley była długa, lecz w międzyczasie ani nie żałowałem sobie posiłków, ani też nie odmówiłem sobie nocnego wypoczynku w przydrożnym zajeździe, jako że nie chciałem wycieńczony i brudny stanąć przed panią swego serca i jej ciotką – domyślałem się, że i bez tego obydwie niechybnie będą zdumione moim widokiem. Z tego względu nazajutrz rano nie tylko pokrzepiłem się obfitym śniadaniem, ale również więcej czasu niż zwykle poświęciłem swojej toalecie. A później – odziany w świeżą bieliznę, którą wyciągnąłem ze swej niewielkiej torby podróżnej, nienagannie wyszczotkowane ubranie, wypolerowane na wysoki połysk buty i nowe rękawice – wyruszyłem dalej. Kiedy poinformowano mnie, że dyliżans przejeżdżał będzie w pobliżu Staningley, poprosiłem, by wysadzono mnie tak blisko dworu, jak to możliwe.

Był bezchmurny, mroźny poranek. Sam fakt siedzenia na dachu omnibusu, kontemplowania zaśnieżonego krajobrazu skąpanego w promieniach słońca i wdychania czystego, orzeźwiającego powietrza był wystarczająco emocjonujący. A kiedy dodać do tego cel, jaki temu wszystkiemu przyświecał... Moje serce wypełniło po brzegi poczucie niewypowiedzianego szczęścia, a mój umysł ogarnęło niemal szaleństwo – mimo że roztropnie próbowałem poskromić swe gwałtownie wzrastające nadzieje, przypominając sobie o różnicy społecznej, która dzieliła mnie i panią Huntingdon, o tym, przez co przeszła od naszego rozstania, o jej długim, konsekwentnym milczeniu, a przede wszystkim: o jej chłodnej, rozważnej ciotce, której rad po raz drugi zapewne nie odważyłaby się zlekceważyć. Myśli te wprawiły moje serce w stan drżenia i przyspieszyły oddech w mojej piersi, lecz nie zdołały wyprzeć z pamięci obrazu Helen, słów, które między nami padły i uczuć, których oboje doświadczyliśmy. Pod koniec podróży jednak

rozmowa, którą przeprowadziło dwoje z mych współpasażerów ostudziła mój zapał.

– Wspaniałe włości – rzekł jeden z nich, końcem swego parasola wskazując na ciągnące się po prawej stronie, rozległe grunty, które poprzecinane były gęstymi żywopłotami i starannie wykopanymi rowami i które gdzieniegdzie porastał wysokopienny las.- Wyjątkowo wspaniałe, gdyby zobaczyć je wiosną lub latem.

– Racja – odpowiedział drugi. – Zdaje się, że należą do starego Maxwella.

– *Należały*, sir, jako że ów dżentelmen zmarł niedawno, wszystko zostawiając swojej siostrzenicy.

– Wszystko!

– Zapisał jej każdy cal tej ziemi, swój dwór mieszkalny i wszystko, co posiadał na tym świecie – poza symboliczną sumą, którą zostawił swemu bratankowi i dożywotnią rentą dla swojej żony.

– Dziwna rzecz, sir!

– A jakże, sir. Tamta nie była nawet jego własną krewną. Ale własnych krewnych starszy pan nie miał – poza bratankiem, z którym się był poróżnił. Za to zawsze miał słabość do tamtej i powiadają, że to jego żona doradziła mu, by tak postąpił. Pani Maxwell wniosła zdecydowaną większość ich majątku w posagu i teraz zażyczyła sobie, by został on przekazany tej młodej damie.

– Która teraz nie będzie mogła opędzić się od adoratorów skuszonych jej fortuną.

– Ani chybi. Jest wdową, ale jeszcze bardzo młodą i niepospolicie urodziwą. Ma tylko jedno dziecko i obecnie zarządza również okazałym majątkiem swojego syna. Będzie o niej całkiem głośno! Ale obawiam się, że my nie mamy u niej szans... – dodał, krotocwilnie szturchając mnie w żebro. – Ha, ha, ha! Mam nadzieję, że pana nie uraziłem, sir? – zwrócił się do mnie. – Hm... Założę się, że tylko jaki możliwy pan zdoła sprostać ambicjom owej damy. Proszę popatrzeć, sir – mówił dalej do tamtego – to właśnie ten dwór. Jak pan widzi, otoczony jest wielkim parkiem i rozległymi, pełnymi zwierzyny łownej lasami ... A co to? Co się dzieje? – zapytał jegomość, zaskoczony tym, że dyliżans raptownie zatrzymał się u wrót parku.

– Który z dżentelmenów chciał wysiąść przy Staningley Hall? – zawołał woźnica.

Podniósłszy się, rzuciłem swą torbę na ziemię, zamierzając wyskoczyć zaraz za nią z pojazdu.

– Źle się pan poczuł, sir? – zapytał mój rozmowny sąsiad, przyglądając się mi uważnie (jak sądzę, twarz moja była w owej chwili biała jak pergamin).

– Nie – odparłem, po czym podszedłem do woźnicy, by uiścić opłatę za przejazd.

Kiedy tamten, schowawszy pieniądze do kieszeni, popędził konie naprzód i powóz odjechał, ja bynajmniej nie skierowałem się w parkową alejkę, lecz pozostając przed bramą majątku, z rękoma założonymi na piersi i wzrokiem wbitym w ziemię, począłem nerwowo chodzić tam i z powrotem, podczas gdy przez umysł mój przetaczała się kotłowanina niewesołych myśli. Zrozumiałem, że na próżno pielęgnowałem w sobie tę miłość; zrozumiałem, że moje nadzieje zostały pogrzebane na zawsze. Trzeba mi było natychmiast

zapomnieć o Helen i o tym nedorzecznym, szalonym śnie. I mimo że rad byłbym pozostać w tym miejscu jeszcze wiele godzin, by chociaż w przelocie ujrzeć ją po raz ostatni, nie wolno mi było tego robić. Nie wolno mi było dopuścić do tego, by mnie tutaj zobaczyła. Bowiem co innego mogłoby mnie tu sprowadzać, jak nie nadzieja na to, że uda mi się wskrzesić jej uczucia i tym samym zdobyć jej rękę? Nie zniósłbym myśli, że mogłaby uznać mnie za zdolnego do żerowania na naszej dawnej znajomości – znajomości, podczas której była ona tylko ukrywającą się przed mężem, pozbawioną majątku i rodzinnych koneksji kobietą. Jakże miałem stanąć przed nią teraz, kiedy na powrót znajdowała się w swym prawdziwym świecie? I jakże miałem zażądać od niej, by przyznała mi w nim poczesne miejsce? A wszystko to po upływie szesnastu miesięcy, które minęły od naszego ostatniego spotkania i podczas których ona konsekwentnie się do mnie nie odzywała? Nie, sama myśl o tym była nie do zniesienia.

– Żegnaj na zawsze, najdroższa Helen! Już nigdy się nie zobaczymy! – powiedziałem, choć długo jeszcze nie potrafiłem stamtąd odejść.

Uczyniwszy wreszcie kilka kroków naprzód, odwróciłem się, by po raz ostatni spojrzeć na majestatyczny dom swojej ukochanej, po czym ruszyłem dalej. Za chwilę jednak znów przystanąłem i opierając się o chropawy pień starego przydrożnego drzewa, pograżyłem się w bolesnej zadumie.

Rozdział LIII

Finał

Kiedy stałem tak z głową pełną gorzkich myśli, wnet z za zakrętu drogi wyłonił się elegancki powóz. Nie spojrzałem nań w ogóle i jego pojawienie się w całkiem uszłobyj mojej uwadze, gdyby nie to, że z jego wnętrza dobiegł mnie piskliwy głosik, który zawołał:

– Mamo, mammo, to pan Markham!

Zaraz ten sam głosik dodał:

– Ależ tak, mammo – zobacz sama.

Wzrok wbity miałem wciąż w ziemię, ale rzeczona mama musiała uczynić to, o co ją poproszono, bowiem zaraz odezwał się czysty, melodyjny głos, którego dźwięk poruszył każdy nerw mojego ciała:

– Och, ciociu! To zaiste pan Markham – przyjaciel Arthura! Richardzie, zatrzymaj konie!

Powóz natychmiast stanął. Podnosząc oczy, napotkałem poważne spojrzenie bladej, starszej damy, która badawczo przyglądała się mi z otwartego okna. Skinęła do mnie głową, na co ja odpowiedziałem tym samym, podczas gdy Arthur zawołał do stangreta, by wypuścił go z pojazdu. Ale zanim tamten zdążył zejść ze swego siedziska, w oknie powozu pojawiła się czyjaś dłoń. Od razu ją poznałem – wiedziałem, że jest delikatna i biała, choć obecnie okrywała ją czarna rękawiczka. Pod wpływem pierwszego impulsu natychmiast z przejściem ją ująłem, lecz pomiarkowawszy się, zaraz wypuściłem ją z rąk. Jej właścicielka zapytała cicho:

– Czy przybył pan specjalnie po to, by nas odwiedzić, czy jest on tu tylko przejazdem?

Czułem, że pani Huntingdon uważnie przygląda się mojemu obliczu z za grubego, czarnego welonu, który jej własne całkowicie skrywał przed moim wzrokiem.

– Przyjechałem... przyjechałem zobaczyć okolicę – odpowiedziałem łamiącym się głosem.

– Okolicę... – powtórzyła tonem, w którym pobrzmiwało więcej rozczarowania niż zaskoczenia. – A zatem nie zechce pan wstąpić do środka?

– Tylko, jeśli sobie pani tego życzy.

– Czy może pan żywić co do tego jakiegokolwiek wątpliwości?

– Tak, tak! Musi pan do nas wstąpić! – zawołał Arthur, wyskakując z powozu przeciwnymi drzwiami, by po chwili serdecznie uścisnąć moją rękę.

– Pamięta mnie pan, sir? – zapytał.

– Jakże mógłbym cię zapomnieć? Choć muszę przyznać, że bardzo się zmieniłeś.

– Prawda, że urosłem?

– I to ze trzy cale, jak daję słowo!

– Skończyłem już siedem lat – brzmiała dumna odpowiedź. – Jeszcze drugich tyle

i prawie dorównam panu wzrostem.

– Arthurze – wtrąciła jego matka – zaprowadź pana Markhama do środka. Jedźmy dalej, Richardzie.

Nuta smutku, którą dosłyszałem w jej głosie bardzo mnie zastanowiła. Wyprzedziwszy nas, powóz jako pierwszy minął bramę. Mój mały towarzysz poprowadził mnie przez park, cały czas wesoło o czymś mówiąc, a kiedy znaleźliśmy się przed drzwiami rezydencji, przystanąłem na chwilę, by rozejrzeć się wokół i ochłonać – jeśli tylko było to możliwe. Dopiero kiedy Arthur delikatnie pociągnął za skraj mojego surduta, po raz kolejny zapraszając mnie do środka, ruszyłem z miejsca i poszedłem za nim do apartamentu, gdzie czekały już na nas damy.

Helen, przypatrując mi się wzrokiem pełnym łagodnej powagi, grzecznie zapytała, czy pani Markham i Rose są w dobrym zdrowiu. Pani Maxwell zaś poprosiła, bym usiadł, po czym zauważywszy, że jest bardzo mroźno, zapytała, czy przebyłem tego dnia długą drogę.

– Nie więcej niż dwadzieścia mil – odparłem.

– Chyba nie na piechotę!

– Ależ nie, madame. Dylizansem.

– Oto Rachel, sir – oznajmił Arthur, który, jak się zdawało, jako jedyny z nas znajdował się w doskonałym nastroju.

Owa zacna kobieta, która pojawiła się w środku po to, by pomóc swojej pani uwolnić się od wierzchniego okrycia, dostrzegłszy moją obecność, zaszczyliła mnie niemal przyjacielskim uśmiechem – widać zrozumiała, jak bardzo pomyliła się wcześniej co do mojego charakteru. Na ów gest wypadało mi tylko odpowiedzieć uprzejmym pozdrowieniem, co też niezwłocznie uczyniłem.

Kiedy Helen zdjęła z siebie swą żałobną kapotkę, welon i zimową pelerynę, ujrawszy ją taką, jaką była dawniej, poczułem w sobie niemal niemożliwy do zniesienia zachwyt. Szczególnie rad byłem zobaczyć w pełnej okazałości jej piękne, czarne włosy – wciąż długie, bujne i lśniące.

– Mama przestała nosić swój wdowi czepek, by uhonorować mojego wuja i zawarte przez niego małżeństwo – z dziecięcą prostotą zauważył Arthur, zupełnie jak gdyby czytał w moich myślach.

Wspomniana mama spojrzała nań poważnie, a pani Maxwell pokręciła głową.

– Ale cioteczka Maxwell nigdy nie przestanie nosić swojego – dodał niesforny chłopiec.

Jednak zrozumiawszy zaraz, że swoją zuchwałością sprawił ciotce przykrość, podszedł do niej i nic nie mówiąc, objął ją i ucałował jej policzek, a następnie skierował się do okiennej wnęki, gdzie począł cicho bawić się ze swoim psem. Pani Maxwell tymczasem rozmawiała ze mną uroczyście na temat pogody, obecnej pory roku i stanu dróg. Z początku jej obecność uznawałem za pomocną, jako że hamowała porywy mojego serca i stanowiła antidotum na wszystkie te emocje, którym w przeciwnym wypadku dałbym się ponieść – wbrew swojemu zdrowemu rozsądkowi i swojej woli. Wkrótce jednak towarzystwo jej zaczęło mi się zdawać uciążliwe i wielką trudnością sprawiało mi słuchanie

tego, co miała do powiedzenia. Cały ten czas potrafiłem myśleć tylko o tym, że stojąca obok kominka Helen znajduje się zaledwie kilka kroków ode mnie i że czuję na sobie jej wzrok.

Wykorzystując pierwszą przerwę, która nastąpiła w owej wymuszonej rozmowie pomiędzy jej ciotką i mną, rzekła:

– Proszę powiedzieć: jak się mają wszyscy mieszkańcy Lindenhope? Czy nic się nie zmieniło od mojego wyjazdu?

Jej policzki były nieco zarumienione, a jej palce bawiły się nerwowo łańcuszkiem od zegarka.

– Nie sędzę.

– Czy wszyscy żyją?

– Tak.

– Nikt nie wyszedł za mąż? Nikt się nie ożenił?

– Nie.

– I... nikt się nie zaręczył? Nie zawiązały się od tego czasu żadne nowe przyjaźnie? Czy starzy przyjaciele nie poszli w niepamięć? A może zastąpiono ich nowymi?

Helen tak bardzo zniżyła głos, że dwóch ostatnich z wypowiedzianych przez nią pytań nie mógł usłyszeć nikt poza mną. Wpatrzona we mnie wyczekująco, smutno się do mnie uśmiechnęła, podczas gdy przeze mnie przebiegł dreszcz niewypowiedzianych emocji.

– Nie sędzę – odparłem. – W każdym razie jeżeli chodzi o mnie, nic się w tym względzie nie zmieniło.

Jej twarz promieniała.

– I naprawdę nie zamierzał pan do nas wstąpić?

– Nie chciałem się pani naprzykrzać.

– Naprzykrzać się! – zawołała, czyniąc ręką gest zniecierpliwienia. – Jak...

Przypominając sobie nagle o obecności swojej ciotki, pomiarkowała się i zwracając się do owej starszej damy, rzekła:

– Ciociu, ten dżentelmen jest bliskim przyjacielem mojego brata i niegdyś przyjaźnił się także ze mną i moim synem (choć tylko przez kilka krótkich miesięcy). Teraz jednak, przejeżdżając obok mojego domu – oddalonego o wiele dziesiątek mil od jego własnego – ani myślał do nas zajrzeć, obawiając się, że zostanie uznany za intruza!

– Pan Markham jest nazbyt skromny – stwierdziła pani Maxwell.

– Raczej nazbyt przywiązany do konwenansów – powiedziała jej siostrzenica. – Ale mniejsza o to.

Odwracając się ode mnie, pani Huntingdon siadła na krześle przy stole i przyciągając do siebie jakąś książkę, poczęła energicznie i w roztargnieniu przewracać jej strony.

– Gdybym tylko wiedział – odezwałem się – że czyni mi pani ten zaszczyt i pamięta o mnie jako o przyjacielu, z pewnością nie odmawiałbym sobie przyjemności złożenia jej wizyty. Byłem jednak pewien, że dawno o mnie pani zapomniała.

– Widać sędzi pan innych podług własnej miary – mruknęła, nie podnosząc wzroku znad

książki, choć jednocześnie spąsowiała i pospieszenie przewróciła z tuzin kartek na raz.

Zapadła między nami cisza, co zaraz wykorzystał Arthur, podchodząc do mnie ze swym pięknym, młodym seterem i pytając, jak się miewa jego ojciec, Sancho. Kiedy pani Maxwell oddaliła się, aby pozbyć się części swego odzienia, Helen odepchnęła od siebie książkę, po czym zaczęła się przyglądać swemu synowi, jego przyjacielowi oraz psu. Po chwili temu pierwszemu nakazała pójść po książkę, którą właśnie czytał – tak by mógł pokazać ją mnie. Ale kiedy dziecko skwapliwie wykonało jej polecenie i opuściło pokój, ja dalej w milczeniu głaskałem psa. Owa zalegająca między nami cisza mogłaby trwać aż do powrotu Arthura, gdyby nie to, że niecałe pół minuty później pani domu podniosła się w zniecierpliwieniu i zajmując swoje poprzednie miejsce pomiędzy mną a rogiem kominka, wykrzyknęła poważnym głosem:

– Gilbercie, co się z panem stało? Dlaczego tak bardzo się pan zmienił? Wiem, że to nietaktowne pytanie – dodała pospieszenie. – Być może nawet niegrzeczne... Jeśli za takie je pan uważa, proszę nie odpowiadać na nie. Ale nie znoszę tajemnic i milczenia.

– Nie zmieniłem się, Helen: na swoje własne nieszczęście czuję to, co czułem zawsze. To nie ja się zmieniłem, ale okoliczności.

– O jakich okolicznościach pan mówi? Proszę niczego przede mną nie ukrywać!

Jej twarz pobladła z niepokoju.

– Zatem od razu pani powiem – rzekłem. – Przyznaję: przyjechałem tutaj po to, by się z panią zobaczyć (choć towarzyszyły mi obawy, że odbierze to pani jako zuchwałość z mojej strony). Jednak wyruszając w drogę nie wiedziałem, że ta posiadłość należy do pani. Dopiero z zasłyszanej rozmowy dwóch moich współpasażerów dowiedziałem się o spadku, który pani otrzymała. Wówczas to zrozumiałem, jakim szaleństwem z mojej strony byłoby dalej podsycać w sobie nadzieje, które żywiłem do tej pory. I chociaż wysiadłem z powozu przed bramą pani majątku, postanowiłem, że jej nie przekroczę. Zdecydowany byłem natychmiast wyruszyć w drogę powrotną do domu – w ogóle się z panią nie widząc.

– I gdyby nie to, że wracałam właśnie wraz z ciotką z porannej przejażdżki, nigdy więcej bym pana nie ujrzała?

– Uznałem, że lepiej będzie dla nas obojga, jeżeli się nie spotkamy – odpowiedziałem cicho, starając się panować nad swoim głosem. – Sądziłem, że moja wizyta tylko zakłóciłaby pani spokój, a mnie doprowadziłaby do szaleństwa. Teraz jednak rad jestem z naszego powtórnego spotkania, bowiem dzięki niemu miałem okazję dowiedzieć się, że jeszcze o mnie pani nie zapomniała.

Nastała między nami kolejna chwila ciszy. Pani Huntingdon oddaliła się, by przystanąć we wnęce jednego z okien. Czy słysząc moje słowa doszła do wniosku, że tylko skromność nie pozwalała mi się jej oświadczyć? I czy teraz zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby mi odmówić, nie raniąc przy tym moich uczuć? Chciałem przemówić i położyć kres jej podejrzeniom, lecz to ona jako pierwsza przerwała milczenie. Odwracając się do mnie gwałtownie, zauważyła:

– Już dawno miałby pan taką okazję – gdyby tylko zechciał pan do mnie napisać.

– Zrobiłbym to, ale nie znałem adresu. Zaś wiedząc, że brat pani niechętnie patrzy na naszą znajomość, uznałem, że niewłaściwym byłoby prosić go o to, by mi go podał. Jednak nawet to nie przeszkodziłoby mi do pani napisać, gdybym tylko miał powody wierzyć, że czeka ona na jakąś wiadomość z mojej strony. Ale pani milczenie kazało mi myśleć, że o mnie zapomniała.

– Czy spodziewał się pan wobec tego, że to *ja* napiszę *do niego*?

– Nie, Helen... To jest, pani Huntingdon... – odparłem, zakłopotany jej insynuacją. – Oczywiście, że nie. Ale gdyby przekazała mi pani jaką wiadomość przez swojego brata lub nawet pytała go o mnie od czasu do czasu...

– Ależ często go o pana pytałam. Jednak dopóki sam ograniczał się pan do kilku grzecznościowych pytań o moje zdrowie – uśmiechnęła się – nie zamierzałam robić niczego ponadto.

– Pani brat nigdy nie wspominał, że przejawia pani jakiegokolwiek zainteresowanie moją osobą.

– A czy kiedykolwiek go pan o to pytał?

– Nie, ponieważ widziałem dobrze, że nie życzy sobie, bym poruszał ten temat i że nie podoba mu się to, jakimi względami panią darzę.

Helen nie odpowiedziała.

– I miał w tej kwestii całkowitą rację – dodałem.

Ale ona nadal milczała, wyglądając przez okno na zaśnieżony trawnik. „Och, uwolnię ją od swojej obecności!” – pomyślałem, po czym wiedziony poczuciem dumy natychmiast się podniosłem i z iście heroiczną determinacją podszedłem do niej, ażeby się pożegnać.

– Zamierza już pan sobie pójść? – zapytała, ujmując moją wyciągniętą do niej dłoń.

– Dlaczego miałbym zostać dłużej?

– Proszę chociaż poczekać, dopóki nie wróci Arthur.

Skwapliwie podporządkowując się jej prośbie, oparłem się o przeciwległą część wykuszowego okna.

– Powiedział mi pan, że się nie zmienił – zauważyła moja towarzyszka. – Ale to nieprawda. Zmienił się pan; i to bardzo.

– Nie, pani Huntingdon. Choć powinienem.

– Czy to znaczy, że wciąż darzy mnie pan tymi samymi uczuciami, które miał pan dla mnie dawniej?

– Tak, ale teraz niestosownie byłoby o tym mówić.

– Gilbercie, to wówczas niestosownie było o nich mówić. Obecnie nie byłoby w tym nic niewłaściwego – chyba że oznaczałoby to bycie nieszczerym.

Byłem nazbyt poruszony, by przemówić, jednak ona, nie czekając na odpowiedź z mojej strony, odwróciła ode mnie swą płonąca twarz i otworzywszy okno, wyjrzała na zewnątrz – być może po to, by uspokoić swoje wzburzone emocje, a może tylko po to, by zerwać piękną, na wpół rozkwitłą różę z wyglądającego spośród śniegu krzewu. Kwiat ów w każdym razie zerwała i strząsnąwszy delikatnie biały pył z jego liści, powiedziała:

– Ta róża jest równie wonna jak letnie kwiaty, choć doświadczyła wielu trudów. Żywił ją tylko zimny deszcz i ocieplały ją jedynie słabe promienie zimowego słońca. Jednak silny wiatr i mróz nie zdołały jej zniszczyć. Proszę spojrzeć, Gilberte – wciąż jest świeża i kwitnąca, mimo że jej płatki nawet teraz jeszcze pokrywa śnieg. Czy zechce pan ją przyjąć?

Owładnięty silnymi emocjami nie odważyłem się przemówić. Zastanawiając się głęboko, co też mogły znaczyć jej słowa i w jaki sposób powinienem na nie odpowiedzieć, bez przekonania wyciągnąłem przed siebie rękę. Helen jednakże błędnie odczytała to zawahanie, uznając je za obojętność lub może nawet niechęć, i nim zdążyłem zacisnąć palce na rzeczony różę, gwałtownym ruchem zabrała ją z mojej dłoni, rzuciła ją za okno, które następnie zatrzasnęła, po czym podeszła do kominka.

– Helen! Co to ma znaczyć? – zawołałem, porażony tą nagłą zmianą w jej zachowaniu.

– Nie zrozumiał pan istoty tamtego daru – odparła. – A może nawet wzgardził nim pan.

– Opacznie zrozumiała pani moje zachowanie – rzekłem, otwierając na powrót okno.

Wyszedłszy na zewnątrz, podniosłem kwiat z ziemi, po czym wróciłem do środka i podając go jej, zapewniłem, że jeśli wręczy mi go ponownie, zatrzymam go na zawsze i będę cenił go bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

– I to panu wystarczy? – zapytała, odbierając ode mnie różę.

– Tak – odpowiedziałem.

– Proszę więc, oto ona.

Przycisnąłem kwiat do swoich ust, potem zaś włożyłem go do butonierki, czując na sobie na wpół ironiczne spojrzenie pani Huntingdon.

– A teraz pan sobie pójdzie?

– Pójdę, skoro tak trzeba.

– Doprawdy, zmienił się pan – powtórzyła. – Stał się pan albo bardzo dumny, albo całkiem obojętny.

– To nieprawda, Helen, to jest: pani Huntingdon. Gdyby tylko ujrzała pani moje serce...

– Na pewno mam rację. I dlaczego zwraca się pan do mnie per „pani Huntingdon”?

Dlaczego nie mówi pan do mnie „Helen” – tak, jak dawniej?

– Wobec tego: Helen! Najdroższa Helen! – wyszeptalem.

Wewnątrz cierpiałem katusze miłości mieszającej się z niepewnością.

– Róża, którą panu dałam miała symbolizować moje serce – powiedziała. – Rozumiem, że zabrałby ją pan, zostawiając mnie tutaj samą?

– Czy gdybym o to poprosił, oddałaby mi pani swoją rękę?

– Czyżbym za mało jeszcze powiedziała? – odrzekła, a jej oblicze rozświetlił zachwycający uśmiech.

Chwyciłem jej dłoń, zamierzając żarliwie ją pocałować, jednak pohamowałem się i zapytałem:

– Ale czy zastanawiała się pani nad konsekwencjami?

– Zdaje się, że wcale, bowiem w przeciwnym razie nie ofiarowałabym swojego serca

człowiekowi, który jest zbyt dumny, by je przyjąć lub zbyt obojętny, by uznać wyższość mojego uczucia nad znaczeniem posiadanych przeze mnie dóbr doczesnych.

Jaki był ze mnie głupiec! Miałem ochotę porwać ją w ramiona, lecz nie śmiejąc uwierzyć w swoje szczęście, znów się pohamowałem.

– Ale czy nie będzie pani tego kiedyś żałować?

– Tylko jeśli sprawi mi pan gorzki zawód – odparła. – Jednak jeżeli wciąż wątpi pan w moje uczucia, proszę zostawić mnie w spokoju.

– Mój najdroższy aniele – *moja* Helen! – zawołałem, obsypując jej dłoń płomiennymi pocałunkami. – Zrobiłbym wszystko, byś nigdy nie musiała niczego żałować. Ale czy brałaś pod uwagę swoją ciotkę?

W tym miejscu instynktowny lęk przed utratą mojego nowo odnalezionego skarbu kazał mi mocniej przycisnąć ją sobie do serca.

– Moja ciotka na razie nie powinna o niczym wiedzieć – odrzekła. – Uznałaby to za pochopny, nieprzemyślany krok z mojej strony, gdyż nie zdaje sobie sprawy, jak dobrze cię znam, Gilbertcie. Najpierw sama musi cię poznać i nauczyć się darzyć cię sympatią. Dziś po lunchu będziesz musiał wyjechać, ale wrócisz do nas wiosną, by zatrzymać się tu na dłużej. Wówczas zawrzesz z nią bliższą znajomość i jestem pewna, że bardzo polubicie się nawzajem.

– A potem zostaniesz moją żoną – dodałem, składając na jej ustach pocałunek, a za nim następny i następny.

– Nie, dopiero za rok – odparła, delikatnie wyplątując się z moich objęć, ale nie wypuszczając z rąk mojej dłoni.

– Dopiero za rok! Och, Helen, nie mógłbym tak długo czekać!

– Tak więc wygląda twoja wierność?

– Chciałem przez to powiedzieć, że nie zniosę tak długiej rozłąki.

– To nie będzie rozłąka. Będziemy do siebie codziennie pisali, duchem będę zawsze przy tobie i niekiedy nawet będziesz widywał mnie w mojej cielesnej postaci. Skłamałabym, mówiąc, że sama pragnę czekać tak długi czas, jednak powinnam poradzić się swoich przyjaciół w sprawie daty ślubu.

– Przyjaciele nie pochwalą twoich planów.

– Kiedy cię poznają, pochwalą je, inaczej oznaczałoby to, że nie są moimi prawdziwymi przyjaciółmi. A w tej sytuacji ich opinia nie miałaby dla mnie żadnego znaczenia. Czy jesteś teraz usatysfakcjonowany? – uśmiechnęła się, czule zaglądając mi w oczy.

– Czy mogłoby być inaczej, skoro mam twoją miłość? Ale czy naprawdę mnie kochasz, Helen? – zapytałem, chcąc usłyszeć to z jej ust.

– Gdybyś kochał mnie tak bardzo, jak ja cię kocham – odpowiedziała poważnie – nigdy nie dokuczałyby ci tamte skrupuły i nie uniósłbyś się w ten sposób dumą. Wiedziałbyś bowiem, że nawet największa przepaść społeczna dzieląca dwoje kochających się ludzi jest niczym wobec zgodności myśli i uczuć oraz jedności serc i dusz.

– Nie zasłużyłem sobie na tak wielkie szczęście, Helen – rzekłem, znów ją obejmując. –

Nawet nie mam odwagi w nie wierzyć. I im dłużej będę musiał czekać, tym bardziej będę się lękał, że coś lub ktoś mi cię zabierze. Pomyśl, jak wiele może wydarzyć się w przeciągu jednego roku! Przez cały ten czas moją duszę wypełniał będzie strach i niepewność. Na dodatek zima jest taką przygnębiającą porą roku...

– Ja też tak uważam – odparła z powagą. – Nie chciałabym brać ślubu zimą, a zwłaszcza w grudniu – dodała, wzdrygając się: miesiąc ten budził w niej najgorsze wspomnienia. – To dlatego zasugerowałam, byśmy poczekali przynajmniej rok do wiosny.

– Do *następnej* wiosny.

– Nie, nie... być może do jesieni.

– Wobec tego do lata.

– Dobrze, do drugiej połowy lata. Dość już! Tak trudno cię zadowolić.

Tymczasem do pokoju wrócił mały Arthur.

– Mamo, nie znalazłem książki w żadnym z tych miejsc, w których kazałaś mi szukać.

W uśmiechu jego mamy czaiło się coś, co zdawało się mówić: „Oczywiście, mój drogi, wiedziałam, że jej nie znajdziesz”.

– Ale Rachel w końcu się udało. Proszę spojrzeć, panie Markham, to historia naturalna – z rysunkami wszystkich ptaków i zwierząt.

Znajdując się w doskonałym nastroju, siadłem, by obejrzeć podaną mi książkę. Gdyby chłopiec zjawiał się minutę wcześniej, przywitałbym go mniej łaskawie, ale teraz, przyciągnąwszy go do siebie, z czułością gładziłem jego kręcone włoski i raz nawet ucałowałem jego białe czółko. Będąc synem mojej Helen, był zarazem i moim – i od tamtej pory nigdy nie myślałem o nim inaczej, niż jak o własnym dziecku.

Tamten śliczny chłopiec jest już teraz przystojnym młodzieńcem. Spełnił wszystkie nadzieje, jakie pokładała w nim jego matka i obecnie rezyduje w Grassdale u boku swej młodej żony – niegdyśszej Helen Hattersley.

Nie dotarłem nawet do połowy owej książki, kiedy w drzwiach pojawiła się pani Maxwell, by zaprosić mnie do jadalni na lunch. Z początku powściągliwość i chłód tej damy przejmowały mnie dreszczem, ale robiłem co mogłem, by zdobyć jej przychylność i śmiem twierdzić, że podczas tamtej krótkiej wizyty poniekąd mi się to udało, bowiem gdy ta dobiegała już końca, pani Maxwell pożegnała się ze mną nader wylewnie i wyraziła nadzieję, że dane nam będzie się zobaczyć ponownie.

– Zanim sobie pan pójdzie, musi jeszcze zobaczyć zimowy ogród mojej ciotki – powiedziała Helen, kiedy starając się zapanować nad swymi emocjami, podchodziłem do niej, by się z nią pożegnać.

Rad z możliwości przedłużenia swojego pobytu w Staningley o tych kilka chwil, podążyłem za nią do przestronnej, pięknej oranżerii wypełnionej bezlikami wspaniałych roślin, którym rzecz jasna teraz nie poświęciłem nazbyt wiele ze swej uwagi. Okazało się jednak, że moja towarzyszka nie przyprowadziła mnie tutaj po to, by wymienić się ze mną czułościami.

– Moja ciotka ma szczególne upodobanie do kwiatów – zauważyła. – I tak samo kocha

Staningley. Chcę cię poprosić, byś obiecał mi, że pozwolisz jej mieszkać tutaj do końca życia i że jeśli sami zamieszkamy gdzie indziej, będziesz pozwalał mi ją często odwiedzać.

– Jak najbardziej, najdroższa! Z tym, co twoje postępuj tak, jak uważasz za stosowne. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, że mógłbym wyrzucić stąd twoją krewną. I będziesz się z nią widywała tak często, jak będziesz chciała. Wiem, że rozstanie z tobą będzie dla niej bardzo bolesne i zrobię wszystko co w mojej mocy, by załagodzić ten ból. Przez wzgląd na ciebie już ją kocham i obiecuję ci, że jej szczęście będzie dla mnie tak samo ważne, jak szczęście mojej własnej matki.

– Dziękuję, kochany! W nagrodę pozwolę ci się pocałować. Do zobaczenia. Ale dość już tego, Gilbercie... Pozwól mi odejść... Nadchodzi Arthur, wprawisz go w zdumienie tym nedorzecznym zachowaniem.

Najwyższa pora kończyć tę długą opowieść... Jednak dla Twojej satysfakcji, Halfordzie, dodam jeszcze kilka słów, domyślam się bowiem, że będziesz pragnął się dowiedzieć, jak zakończyła się ta historia.

Wiosną wróciłem do Staningley i zgodnie z sugestiami Helen, robiłem wszystko co w mojej mocy, by zaskarbić sobie względy starszej pani. Ta, zapewne usłyszawszy uprzednio wiele dobrego na mój temat od swej siostrzenicy, już od samego początku nastawiona była do mnie bardzo serdecznie. A ponieważ starałem się ukazać się jej z jak najlepszej strony, szybko się zaprzyjaźniliśmy. Kiedy dowiedziała się o ambitnych zamiarach, jakie miałem wobec jej siostrzenicy, przyjęła to z zaskakującym spokojem i uczyniła tylko tę jedną uwagę:

– A więc, panie Markham, zamierza mi pan ukraść Helen. Cóż! Mam tylko nadzieję, że Pan Bóg wam poszczęści i że dziewczyna zazna wreszcie w życiu nieco radości. Przyznaję, lepiej byłoby dla mnie, gdyby nie wychodziła już za mąż. Ale skoro musi to zrobić, nie znam nikogo bardziej odpowiedniego aniżeli pan.

Rzecz jasna, byłem uradowany owym komplementem i miałem nadzieję udowodnić, że w pełni na niego zasługuję.

– Chciałabym jednak o coś pana poprosić – mówiła dalej pani Maxwell. – Wciąż uważam Staningley za swój dom – i życzyłabym sobie, by pan również czuł się tutaj jak u siebie w domu. Helen jest bardzo przywiązana zarówno do tego miejsca, jak i do mnie – a ja jestem ogromnie przywiązana do niej. Nie będę wam tutaj przeszkadzać: jestem bardzo spokojną osobą. Przynajmniej panu: będę się trzymała swoich własnych apartamentów i własnych spraw i będziemy widywać się tylko od czasu do czasu.

Oczywiście z gotowością na to wszystko przystałem i żyliśmy z naszą drogą ciotką w doskonałej zgodzie aż do dnia, w którym umarła. Ów smutny dzień nastąpił kilka lat później – smutny nie dla niej samej (bowiem odeszła spokojnie, rada z tego, że dotarła już do kresu swojej ziemskiej wędrówki), tylko dla kilku kochających przyjaciół, których po sobie zostawiła.

Lecz wracając do mnie: ożeniłem się latem, w pewien cudowny, sierpniowy poranek.

Potrzeba mi było całych ośmiu miesięcy, by pokonać uprzedzenia, jakie wobec mojej przyszłej żony żywiła moja matka. Tyleż samo czasu zajęło mojej rodzicielce pogodzenie się z myślą, że już niedługo opuszczę Linden-Car, by zamieszkać tak daleko od niej. Mimo to cieszyła się szczęściem swojego syna i z dumą mawiała, że to jego niezrównane zalety i zdolności mu owe szczęście zapewniły. Swoją farmę przekazałem w ręce Fergusa z nadziejami większymi od tych, które miałbym w podobnych okolicznościach jeszcze rok wcześniej. Mój brat bowiem zakochał się ostatnimi czasy w najstarszej córce pewnego proboszcza, co obudziło wiele drzemających w nim zalet i skłaniało go do podejmowania coraz to nowych, zaskakujących wysiłków, mających na celu zapewnić mu nie tylko jej uczucie i szacunek, ale również majątek, który pozwoliłby mu aspirować do jej ręki i podniósłby jego wartość w oczach jej rodziców oraz jego własnych. I jak Ci zresztą wiadomo, Halfordzie, jego starania nie poszły na marne.

Jeżeli zaś chodzi o mnie, nie muszę chyba mówić, w jak wielkim szczęściu i miłości żyję wraz z moją Helen pośród naszych dorastających latorośli. Obecnie z niecierpliwością czekamy na chwilę, w której Ty i Rose przybędziecie do nas ze swoją coroczną wizytą, zamieniając brud i hałas wielkiego miasta na kilka miesięcy pokrzepiającego, wiejskiego spokoju.

Do tego czasu żegnaj,

Gilbert Markham

Staningley, 10 czerwca 1847 r.

- [1] Ewangelia wg św. Mateusza.
- [2] List do Filipian
- [3] Słowa św. Pawła z Listu do Efezjan.
- [4] Marmion – poemat epicki Waltera Scotta.
- [5] Hebe – w mitologii greckiej: córka Zeusa, bogini młodości.
- [6] Drugi List do Koryntian.
- [7] Olney Hymns autorstwa Johna Newtona i Williama Cowpera.
- [8] „Wieczór trzech króli”, tłumaczenie Stanisława Barańczaka.
- [9] Ewangelia wg św. Jana.
- [10] Księga Izajasza.
- [11] Lamentacje.
- [12] Ewangelia wg św. Mateusza.
- [13] Ewangelia wg św. Łukasza.
- [14] Drugi List do Koryntian.

Spis treści

Do Wielmożnego J. Halforda

Rozdział I. Nowina

Rozdział II. Rozmowa

Rozdział III. Kontrowersja

Rozdział IV. Przyjęcie

Rozdział V. Pracownia

Rozdział VI. Postęp

Rozdział VII. Wyprawa

Rozdział VIII. Podarunek

Rozdział IX. Fałszywy przyjaciel

Rozdział X. Umowa

Rozdział XI. Kolejne spotkanie z pastorem

Rozdział XII. Sam na sam

Rozdział XIII. Powrót do obowiązków

Rozdział XIV. Napaść

Rozdział XV. Spotkanie i jego skutki

Rozdział XVI. Przestrogi doświadczenia

Rozdział XVII. Dalsze przestrogi

Rozdział XVIII. Miniatura

Rozdział XIX. Incydent

Rozdział XX. Upór

Rozdział XXI. Opinie

Rozdział XXII. Przymioty przyjaźni

Rozdział XXIII. Pierwsze tygodnie małżeństwa

Rozdział XXIV. Pierwsza kłótnia

Rozdział XXV. Pierwsza nieobecność

Rozdział XXVI. Goście

Rozdział XXVII. Występek

Rozdział XXVIII. Ojcowskie uczucia

Rozdział XXIX. Sąsiad

Rozdział XXX. Sceny domowe

Rozdział XXXI. Zalety towarzyskie

Rozdział XXXII. Porównania

Rozdział XXXIII. Dwa wieczory

Rozdział XXXIV. Sekret

Rozdział XXXV. Prowokacje

Rozdział XXXVI. Podwójna samotność

Rozdział XXXVII. Sąsiad raz jeszcze

Rozdział XXXVIII. Zraniony dżentelmen

Rozdział XXXIX. Plan ucieczki

Rozdział XL. Nieszczęście

Rozdział XLI. Nadzieja żyje wiecznie

Rozdział XLII. Postanowienie poprawy

Rozdział XLIII. Przekroczona granica

Rozdział XLIV. Schronienie

Rozdział XLV. Pojednanie

Rozdział XLVI. Życzliwe rady

Rozdział XLVII. Wstrząsająca wiadomość

Rozdział XLVIII. Kolejne wiadomości

Rozdział XLIX. „Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i rzuciły się na ten dom. I runął, a upadek jego był wielki”. (Ewangelia wg św. Mateusza)

Rozdział L. Wątpliwości i rozczarowania

Rozdział LI. Niespodziane wydarzenie

Rozdział LII. Rozterki

Rozdział LIII. Finał